

Val McDermid

Krwawiąca blizna

Z angielskiego przełożyła Magdalena Jędrzejak



PODZIĘKOWANIA

Trudno sobie wyobrazić, że mogłabym napisać tę książkę bez pomocy kilku życzliwych osób. Za fachowość oraz chęć dzielenia się wiedzą specjalistyczną chciałabym podziękować Sheili Radford, doktorowi Mike'owi Berry'emu, Jai Pennie, Pauli Tyler oraz doktor Sue Black. Przeprosiny należą się Edwinie oraz Lesley. Obie poświęciły mnóstwo czasu na zebranie pewnych informacji, które później zostały usunięte podczas redagowania. Bez Jima i Simona z Thornton Electronics, bez Maca i Mandy z pewnością przesłabym kompletne załamanie nerwowe po tym, jak padł twardy dysk mojego komputera. Przede wszystkim jednak do końca pozwoliła mi dobrnąć żelazna konsekwencja i wyrozumiałość trzech wyjątkowych kobiet. Z tego powodu książkę dedykuję:

Julii, Lisanne i Brigid z wyrazami głębokiej przyjaźni.

Przesyła hasło po drucie

Krew pod zastarzałą blizną.

Dawne wojny są już jedno.

T.S. Eliot.

Cztery Kwartety, Burnt Norton,
przełożył Czesław Miłosz

PROLOG

Morderstwo jest jak magia, pomyślał. Szybkość jego ręki zawsze miała ludzkie oczy i zawsze mieć je będzie. Był niczym listonosz dostarczający przesyłkę do domu, w którym wszyscy zaklinają się potem, że nikt do nich nie zaglądał. Świadomość własnej mocy wrosła w jego jestestwo jak rozrusznik w serce pacjenta. Bez owej potęgi magii byłby martwy. Albo jak martwy.

Patrzył na nią i wiedział, że będzie następna. Odkąd pamiętał, istniała bardzo precyzyjnie określona kombinacja cech, która w teaurusie jego zmysłów składała się na ideał. Niewinność i dojrzałość, włosy ciemnoblonde, niespokojne oczy. Jeszcze nie zdarzyło mu się pomylić. Instynkt trzymał go przy życiu. Mniej więcej.

Wpatrywała się w niego; w głowie, pod nagłym szmerem głosów, słyszał muzykę. „Raz Jack i Jill na wzgórze szli, by przynieść wiadro wody. Lecz nagle trach! Przewrócił się, koronę zgubił z głowy...”. Dźwięczna melodyjka nabrzmiewała i napierała jak fala wiosennego przypływu, tłukąca o falochron. A Jill? Co z Jill? Och, dobrze wiedział, jaki los spotyka biedną Jill. Zawsze taki sam, jak w tej prymitywnej rymowance: „Na ziemię, bęc! I za nim się sturlała”.

Ale jemu to nie wystarczało. W jego przekonaniu kara nie odpowiadała zbrodni.

Dlatego musiał znaleźć następczynię. Wzajemny kontakt wzrokowy zacieśniał się, dawała mu znaki oczami. Mówiła: „Zauważyłam cię. Zbliź się do mnie, a poświęcę ci jeszcze więcej uwagi”. Wyczytała w jego twarzy to, co powinna. Wyczytała czarno na białym. Była taka przewidywalna: życie nie napiętnowało jej marzeń bliznami marazmu. Przebiegły uśmiezek czał się w kącikach jej ust w chwili, gdy stawiała pierwszy krok na długiej i - dla niego - podniecającej drodze poznania i bólu. Ból nie był celem nadrzędnym, raczej jedną z konieczności.

Przedzierała się ku niemu. Zauważył, że pokonują dystans na bardzo różne sposoby. Niektóre szły bezpośrednio, śmiało; inne zakosami, czujne na wypadek, gdyby się okazało, że opacznie odebrały komunikat, który słały jego oczy. Ta wybrała pokrętną drogę: krążyła coraz bliżej i bliżej, jakby stopami zakreślała od wewnątrz kontury muszli olbrzymiego nautilusa, miniaturowej galerii Guggenheima wtłoczonej w dwa wymiary. Szła miarowym, stanowczym krokiem, ani na chwilę nie odrywając od niego oczu, jakby dzieliło ich tylko powietrze, jakby nie istniały żadne przeszkody, nic, co rozpraszałoby uwagę. Nawet kiedy znikwała z zasięgu jego wzroku, czuł na sobie jej uważne spojrzenie i właśnie tak być powinno.

Rozszyfrował jej podchody. Chciała rozkoszować się spotkaniem. Chciała go obejrzeć ze wszystkich stron, na zawsze

wpisać do swoich wspomnień. Sądziła, że to jej pierwsza i ostatnia okazja do tak dokładnych oględzin. Gdyby jej powiedziano, co kryje przyszłość, zemdlałaby z wrażenia.

Wreszcie orbita zacisnęła się dostatecznie. Odgradzał ich jedynie wianuszek najgorliwszych wielbicielek. Zawisł wzrokiem na jej oczach, przesycał spojrzenie czarem i uprzejmym skinieniem przepraszając fanki, postąpił krok w jej stronę. Ciała rozstąpiły się posłusznie, zaledwie powiedział:

- Cudownie było panie poznać, a teraz, jeśli panie wybaczą... Po twarzy dziewczyny przemknął wyraz niepewności. Powinna odsunąć się, tak jak one, czy zostać w kręgu hipnotycznego spojrzenia? Wybór był banalnie prosty, jak zawsze. Była oczarowana, dzisiejszy wieczór przerastał jej najśmielsze wyobrażenia.

- Witaj - zagadnął. - Jak ci na imię?

Zaniemówiła - pierwszy raz tak blisko prawdziwej sławy - oszołomiona olśniewającym uśmiechem przeznaczonym dla niej i tylko dla niej. Ojej, ależ ty masz wielkie zębiska, pomyślał. Po to, żeby ją zjeść.

- Donna - wymamrotała w końcu. - Donna Doyle.

- Piękne imię - powiedział łagodnie.

Uśmiech, którym został nagrodzony, był równie promienny jak jego własny. Czasem wszystko wydawało mu się nazbyt łatwe.

Ludzie z reguły słyszą to, co chcą usłyszeć, zwłaszcza wtedy, kiedy łudzą się, że zaraz spełnią się ich marzenia. Wszelka nieufność znika, oto co osiągał za każdym razem. Przychodzą na imprezy

przekonani, że Jacko Vance i wszyscy, którzy z tym wielkim człowiekiem mają coś wspólnego, będą tacy sami jak w telewizji. W konsekwencji każdą osobę należącą do świty gwiazdora mierzono tą samą - połączoną - miarką. Telewidzowie tak bardzo przyzwyczaili się do otwartości i szczerości Vance'a, tak dalece oswoili się z manifestowaną przy każdej okazji prawością, że nawet im się nie śniło szukać jakiegoś fałszu. Nic zresztą dziwnego, skoro Vance miał taki publiczny wizerunek, że przy nim i najbardziej szczodrobliwemu królowi z bajki bliżej było do Kaczora Sknerusa. Publika słuchała samych słów i słyszała bajkę o Jasiu i Czarodziejskiej Fasoli, a w ich wyobrażeniach z małego nasionka, zasadzonego przez Vance'a czy jego sługę, błyskawicznie rozkwitał piękny kwiat - życie u jego boku.

Pod tym względem Donna Doyle nie różniła się od innych. Równie dobrze mogłaby odgrywać rolę ze scenariusza. Strategicznie pokierował ją w róg sali, niby szykował się już do wręczenia jej zdjęcia Vance'a Megagwiazdy z autografem. Potem wykonał dubel z błyskotliwą naturalnością, której nie powstydziliby się sam De Niro.

- Mój Boże... - rzucił nagle bez tchu. - Oczywiście. Oczywiście! Znieruchomiała zaskoczona, choć zaledwie centymetry dzieliły jej dłoni od jego palców. Zmarszczyła czoło. Nic nie rozumiała.

- Co?

Odpowiedział cierpkim, samokrytycznym grymasem.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Przepraszam cię, jestem pewny, że masz znacznie ciekawsze plany na przyszłość niż wszystko, co moglibyśmy wymyślić my, niepoważni producenci programów.

Kiedy wypróbował tę kwestię po raz pierwszy, ze spoconymi dłońmi, z dudnieniem własnej krwi w uszach, był przekonany, że takiej szmiry nie kupiłby nawet pijaczyna, którego jeden łyk dzieli od zapadnięcia w katatonię. Niemniej miał rację, ufając intuicji, mimo że zaprowadziła go na drogę karygodnej banalności. Jego pierwsza wybranka - zupełnie tak samo jak dzisiejsza - błyskawicznie się zorientowała, że właśnie zaproponowano jej coś, czego programowo nie przewidziano dla nieliczących się małolat, z jakimi rozmawiał wcześniej.

- Jak to? - Bez tchu, czujna, bała się przyznać sama przed sobą, że już mu wierzy, bo a nuż źle go zrozumiała i narobi sobie okropnego wstydu.

Zareagował leciutkim wzruszeniem ramion, obnoszony z wdziękiem nieskazitelny garnitur ledwie się poruszył.

- Zapomnij o tym - mruknął i pokręcił głową. Oczy mu posmutniały, olśniewający uśmiech zgasł.

- Nie, proszę mi powiedzieć!

Na tym etapie pojawiała się nutka desperacji, w końcu każdy, obojętnie czy się do tego przyznaje, czy nie, chce być gwiazdą. Czy to możliwe, że zamierza w ostatniej chwili odmówić jej przejażdżki na czarodziejskim dywanie, który mógł unieść ją z szarego życia wprost w jego świat?

Rzucił szybkie spojrzenia na boki, żeby upewnić się, iż nikt go nie podsłucha, potem rozpoczął tonem, który był zarazem łagodny i przejmujący.

- Nowy projekt, nad którym obecnie pracujemy. Masz odpowiednią prezencję. Byłabyś idealna. Jak tylko lepiej ci się przyjrzałem, zrozumiałem, że właśnie ciebie szukaliśmy. - Uśmiech pełen żalu. - Teraz będę miał przynajmniej twój obraz przed oczami, kiedy będziemy przesłuchiwać setki marzycielek podsyłanych przez agencje. Może dopisze nam szczęście... - Zawiesił głos, oczy mu się zaszklily z rozpaczy jak śleпка szczeniaka zostawionego na wakacje w schronisku.

- Czy ja bym nie mogła... znaczy, no...

Twarz Donny opromieniła nadzieja, by ustąpić zdumieniu własną śmiałością, a następnie rozczarowaniu; wiedział, że bezgłośnie przekonywała samą siebie, że i tak nie miałyby szans.

Jego uśmiech stał się pobłażliwy, wręcz protekcyjny, ale ona była zbyt młoda, by się zorientować, że jest traktowana z wyższością.

- Raczej nie. To byłoby olbrzymie ryzyko. Taki projekt, na tym etapie produkcji... Jedno słowo trafi do niewłaściwego ucha i sprawa może się skończyć komercyjnym fiaskiem. A ty nie masz doświadczenia zawodowego, prawda?

Rozkoszny przedsmak przyszłości wyzwolił wulkan burzliwych nadziei, słów płynących jedno za drugim jak kamienie w strumieniu lawy. Nagrody za występy karaoke w klubie młodzieżowym, rewelacyjna tancerka, każdy to powie, rola niańki podczas czytania na głos „Romea i Julii” w szkole.

Na jej twarzy zagościł wyraz przymilnej gorliwości.

Skapitulował z uśmiechem.

- No dobrze! Przekonałaś mnie! - Pochylił głowę i wpatrzył się dziewczynie w oczy. Potem dodał konspiracyjnym tonem: - Tylko czy umiesz dochować tajemnicy?

Pokiwała głową tak energicznie, jakby od tego zależało jej życie.

- O tak - zapewniła.

Ciemnoniebieskie oczy roziskrzyły się, usta rozchyliły lekko i mignął w nich koniuszek różowego języka. Vance wiedział, że zaczyna jej zasychać w gardle. Wiedział także, że w tym młodym ciele są i inne otwory, w których zachodzi teraz odwrotne zjawisko.

Posłał jej pełne namysłu, otwarcie taksujące spojrzenie, które odwzajemniła z obawą i pożądlivością.

- Zastanawiam się... - Westchnął. - Możesz się ze mną spotkać jutro rano? O dziewiątej?

Przelotnie ściągnęła brwi, potem jej twarz wygładziła się, w oczach błysnęło postanowienie.

- Tak - odparła, uznawszy, że szkoła to błahostka. - Mogę. Gdzie?

- Znasz Hotel Plaża? - Ich czas się kończył. Zbliżali się już ci, którzy chcieli skorzystać z jego wpływów.

Skinęła głową.

- Mają tam podziemny garaż. Wejście od Beamish Street. Będę czekał na poziomie drugim. I nikomu ani słowa, jasne? Ani mamie, ani tacie, ani najlepszej przyjaciółce, nawet psu. - Zachichotała. - Możesz to dla mnie zrobić?

Poczęstował ją dziwnie poufałym spojrzeniem człowieka obytego z kamerą; takim, jakie w niezrównoważonych umysłowo budzi przeświadczenie, iż prezenter wiadomości jest w nich zakochany.

- Poziom drugi? O dziewiątej? - upewniła się Donna. Czy można mieć wspanialsze perspektywy?

- Tylko ani słowa, przyrzekasz?

- Przyrzekam - powiedziała uroczyście. - Jak mamę kocham.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Tony Hill leżał w łóżku i patrzył, jak długie pasmo chmur sunie po niebie koloru skorupki kaczego jaja. W tym wąskim segmencie, wtłoczonym między inne, ujęła go sypialnia na poddaszu, z sufitem i ścianami nietypowo zestawionymi względem siebie i parą świetlików, dzięki którym miał na czym zawiesić wzrok, gdy sen przed nim umykał. Nowy dom, nowe miasto, nowy początek, lecz mimo to przespanie ciurkiem ośmiu godzin nadal przysparzało mu trudności.

Nic dziwnego, że nie najlepiej sypia. Latka lecą, przypomniał sobie z cierpkim uśmiechem, układającym skórę wokół oczu w sieć zmarszczek, których najlepszy przyjaciel nie nazwałby mimicznymi. Zbyt rzadko się śmiał, by się ich dorobić.

Najwygodniej byłoby powiedzieć, że to przez pracę, rzecz jasna. Przez dwa lata harował nad programem, któremu patronowało Home

Office, aby ocenić celowość powołania ogólnokrajowej jednostki, skupiającej wyszkolonych profilerów - psychologów specjalizujących się w tworzeniu charakterystyk psychologicznych przestępców. Jednostka ta miałaby współpracować z ekipami dochodzeniowymi i skrócić czas wykrywania sprawców. Aby sprostać zadaniu, musiał wykorzystać wszystkie umiejętności zawodowe oraz dyplomatyczne, zdobyte dzięki latom pracy w strzeżonym szpitalu psychiatrycznym.

Praca nad ministerialnym programem pozwoliła mu odpocząć od szpitalnych oddziałów, lecz równocześnie wystawiła go na inne niebezpieczeństwa. Chociażby na niebezpieczeństwo nudy. Zniechęcony wiecznym przesiadywaniem za biurkiem albo gonieniem ze spotkania na spotkanie, chętnie oderwał się od dotychczasowych zajęć na rzecz nader kuszącej propozycji: udziału w sprawie, która już na pierwszy rzut oka wydawała się wyjątkowa. Nawet w najgorszych koszmarach nie śniło mu się wtedy, jaka niecodzienna się okaże. I niszczycielska.

Kurczowo zacisnął powieki. Znowu napłynęły wspomnienia, które przez cały czas czatowały na obrzeżach świadomości, czekając, by opuścił gardę i dopuścił je do siebie. I to był kolejny powód, dla którego kiepsko sypiał. Kiedy senność pozwalała odpłynąć myślom, umysł zdawał się na łaskę podświadomości.

Chmura w zwolnionym tempie płynęła po niebie, aż wreszcie znikła Tony'emu z oczu. Przetoczył się na bok i zwłókł z łóżka, potem boso poczłapał na dół do kuchni. Nalał wody do ekspresu, środkową część napełnił ciemną, aromatyczną paloną kawą wyjętą z

zamrażalnika, przykręcił pusty górny zbiornik i postawił ekspres na fajerce. Myślał o Carol Jordan, co zdarzało mu się przeciętnie raz na trzy dni, gdy rano parzył kawę. To właśnie Carol podarowała mu ten ciężki aluminiowy ekspres, kiedy wyszedł ze szpitala, już po zakończeniu tamtej sprawy.

„Przez jakiś czas nie będziesz chodził do kawiarni”, powiedziała. „A tak przynajmniej napijesz się czegoś przyzwoitego w domu”.

Minęły miesiące, odkąd ostatnio widział się z Carol. Nie skorzystali nawet z okazji, by wspólnie uczcić jej awans na stopień starszej inspektor policji, co dowodziło, że ich drogi zupełnie się rozeszły. Na początku, zaraz po tym, jak został wypisany ze szpitala, przyjeżdżała z wizytą, gdy tylko pozwalał na to nawał pracy. Stopniowo oboje uświadamiali sobie, że ilekroć przebywają razem, staje między nimi widmo tamtego śledztwa, a wizja bycia razem rozmywa się i przygasa. Wiedział, że Carol rozumiałaby go jak nikt. Ale najzwyczajniej w świecie bał się, że zostanie odtrącony, bo Carol zdaje sobie sprawę z tego, w jakim stopniu skaziła go praca.

Wątpił, czy potrafiłby wówczas względnie normalnie funkcjonować. Zapewne nie mógłby pracować w swoim zawodzie. A jego praca była zbyt ważna, żeby jej poniechał. Ratowała ludziom życie. Ponadto w jego fachowych rękach spoczywała teraz przyszłość nowo powołanej Ogólnokrajowej Jednostki ds. Profilowania Sprawców Przestępstw.

To, co dla jednych jest poświęceniem, dla innych jest dywidendą, upomniał się w duchu, nalewając sobie kawy. Miał szczęście, że mógł zajmować się tym, w czym był dobry, i jeszcze mu za to płacono. Po twarzy przemknął mu zmęczony uśmiech.

Shaz Bowman świetnie rozumiała, co popycha ludzi do mordy. Ta wiedza nie miała nic wspólnego z posadą, która skłoniła ją do przeprowadzki, natomiast bardzo dużo z hydraulikami kowbojami, którzy podłączali wodę podczas przebudowy niegdysiejszej rezydencji majątnego wiktoriańskiego młynarza na szereg odrębnych mieszkań. Budowlańcy zabrali się do roboty z głową: zachowali oryginalny charakter wnętrza i uniknęli stawiania ścian działowych w miejscach, gdzie rujnowałyby one wyważone proporcje przestronnych pomieszczeń. Na oko mieszkanie wydawało się idealne, łącznie z przeszklonymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu.

Po latach koczowania w wynajmowanych na spółkę studenckich klitkach z lepiącymi się dywanami i zapyziałymi wannami, potem w Domu Policjanta i w absurdalnie drogiej kawalerce w zachodnim Londynie, Shaz rozpaczliwie chciała się przekonać, czy określenie „dumna pani domu” będzie jej odpowiadało. Dzięki przeprowadzce na północ kraju zdołała znaleźć coś na miarę swojego budżetu. Jednak idylla została zdruzgotana już pierwszego ranka, gdy Shaz śpieszyła się do pracy.

Z zamglonymi oczami i półprzytomna doczłapała do prysznicy, odkręciła kran i odczekała, aż woda nabierze odpowiedniej temperatury. Stała pod silnym strumieniem i umęśla ręce nad głowę

w dziwnie nabożnym geście. Błogie westchnienie raptem przerodziło się we wrzask, bo oto przyjemne ciepło zmieniło się w tysiące palących jak parzydełka rozbryzgów. Shaz wyskoczyła z kabiny i poślizgnęła się na mokrej posadzce, nadwerężając nogę w kolanie i klnąc z wprawą nabytą podczas trzyletniej służby w „Mecie” bądź „Metropolitalnej”, jak mawiali szczęściarze służący w najbardziej prestiżowej, londyńskiej Metropolitan Police.

Oniemiała wpatrywała się w kłęby pary przesłaniające kąpielnicę, w którym przed chwilą stała. W następnej sekundzie, równie nagle jak się pojawiła, para znikła. Shaz ostrożnie podsunęła rękę pod strumień wody. Temperatura znowu była taka, jaka być powinna. Centymetr po centymetrze wsunęła się pod natrysk. Przestała wstrzymywać oddech i sięgnęła po szampon. W momencie, kiedy na głowie utworzyła się aureola białej piany, na jej nagie ramiona posypały się lodowate igły, przenikliwe jak zimowy deszcz. Tym razem odruchowo zrobiła głęboki wdech, przy okazji zasysając do płuc wystarczającą ilość szamponu, by do porannych efektów dźwiękowych dodać napad paskudnego kaszlu.

Wkrótce doszła do wniosku, że jej męki są wynikiem równoczesnych ablucji któregoś z sąsiadów. Rozumiała, w czym rzecz, choć to wcale nie poprawiło jej humoru. Pierwszy dzień w nowej pracy, a tu śledcza - zamiast spokojna i zrelaksowana po długim, kojącym prysznicu - przyjdzie wściekła i roztrzęsiona, z nerwami w strzępach i mięśniami karku napiętymi w sposób, który zwiastował piekielny ból głowy.

- Świetnie - burknęła, mruganiem próbując odegnąć łzy, które miały więcej wspólnego z emocjami niż z szamponem.

Jeszcze raz doskoczyła do prysznicza i z furią zakręciła kran. Zagryzła usta i odkręciła drugi, nad wanną. O spokoju w dniu dzisiejszym mogła już zapomnieć, ale mimo to musiała jakoś spłukać pianę z włosów; albo to, albo byłaby zmuszona wkroczyć do pokoju sztabowego w nieznannej jednostce, prezentując się jak coś, co wstydziłby się przywlec z dworu każdy szanujący się kot. Będzie miała wystarczającą ilość powodów do zdenerwowania, po co więc jeszcze się zamartwiać swoim wyglądem.

Przykucnęła w wannie i podetknęła głowę pod kran. Usiłowała odnaleźć w sobie nastrój uniesienia i wyczekiwania.

- Masz szczęście, że tu jesteś, dziewczyno - upomniała się na głos. - Tabuny ludzi złożyły podania, a ty nie musiałaś nawet wypełniać formularza, zostałaś wybrana. Wyselekcjonowana do ścisłej elity. Opłaciło się odwalanie czarnej roboty, znoszenie cudzych fochów z uśmiechem na twarzy. Kowboje z kantyny donikąd się w najbliższym czasie nie wybierają, teraz sami będą się musieli babrać w gównie. Nie to co ty, śledcza Shaz Bowman. Posterunkowa Bowman, oficer Ogólnokrajowej Jednostki ds. Profilowania Sprawców Przestępstw. Jeszcze ci mało? Będiesz pracowała u boku człowieka uznawanego za mistrza w tej dziedzinie, obdarzonego intuicją i doświadczeniem, należącego do garstki wtajemniczonych. U boku samego doktora Tony'ego Hilla, z bakalaureatem w Londynie,

doktoratem w Oxon, autorytetu w świecie profilerów, autora najpoczytniejszego brytyjskiego podręcznika o seryjnych zabójcach.

Gdyby Shaz cechowała skłonność do idolatrii, Tony Hill miałby zagwarantowane miejsce w jej prywatnym panteonie bóstw. Nie zmieniało to jednak faktu, że w imię możliwości uczenia się od niego i opanowania rzemiosła, w którym był mistrzem, radośnie zgodziłaby się na szereg poświęceń. Na szczęście niczego poświęcać nie musiała. Okazja sama wepchnęła się jej w ręce.

Gdy wycierała ręcznikiem gęstwą krótkich ciemnych włosów, myśl o życiowej szansie uciszyła jej złość, choć nie uspokoiła nerwów. Shaz z wysiłkiem skupiła się na dniu dzisiejszym. Beztrosko przerzuciła ręcznik przez brzeg wanny i wpatrzyła się w lustro, nie dostrzegając plejady piegów na policzkach i na grzbiecie małego, delikatnego nosa. Przelotnie spojrzała na prostą kreskę ust i skoncentrowała się na tym, co wyróżniało ją z tłumu.

Oczy miała niezwykle. Ciemnoniebieskie tęczęwki z prążkami intensywnego błękitu ogniskowały światło niczym fasetki szafiru. Podczas przesłuchań nie było takiego, który zdołałby się im oprzeć. Uważne, przetykane błękitem spojrzenie działało na ludzi jak klej błyskawiczny. Shaz odnosiła wrażenie, że ilekroć zawieszała je na swoim poprzednim szefie, czuł się tak nieswojo, że zachwyciła go perspektywa pozbycia się funkcjonariuszki z najkrótszym stażem, mimo że miała na koncie liczbę aresztowań - a w następstwie skazań - jaka robiłaby wrażenie w dorobku doświadczonego śledczego.

Nowego szefa widziała tylko raz. Mimo to miała mgliste przeczucie, że z Tonym Hillem nie pójdzie jej tak łatwo. Shaz odwróciła się od bezlitosnego spojrzenia w lustrze i zaczęła nerwowo obgryzać skórkę na kciuku.

Starsza inspektor Carol Jordan wysunęła oryginał z kserokopiarki, wyjęła kopię z podajnika i środkiem pozbawionego ścianek działowych pokoju dochodzeniówki przeszła do swojego gabinetu, rzucając banalne: „Hej, chłopaki!”, pod adresem dwóch rannych ptaszków urzędujących przy biurkach. Najwyraźniej przyszli tak wcześnie, żeby się jej podlizać. Żałosne.

Stanowczym gestem zatrzasnęła za sobą drzwi i pomaszerowała do biurka. Oryginał doniesienia o przestępstwie wrócił do segregatora z nocnymi wezwaniem, segregator na tackę na wydruki.

Pięć zgłoszeń, uznała, to masa krytyczna. Czas wkroczyć do akcji. Zerknęła na zegarek. Ale jeszcze nie teraz.

Teraz na biurku leżał tylko jeden dokument, długaśna notatka służbowa z Home Office. Suchym, urzędniczym językiem, który nawet z Tarantino zrobiłby nudziarza, obwieszczała oficjalną inaugurację Ogólnokrajowej Jednostki ds. Profilowania Sprawców Przestępstw. „Jednostkę, pod nadzorem komendanta policji metropolitalnej Paula Bishopa, z ramienia Home Office poprowadzi psycholog kliniczny i specjalista profiler Tony Hill. Wyjściowo zespół będzie obejmować szóstkę doświadczonych śledczych,

wydelegowanych do współpracy z doktorem Hillem oraz komendantem Bishopem zgodnie z wytycznymi Home Office”.

Carol westchnęła.

- To mogłam być ja. O tak, to mogłam być ja... - zanuciła cicho.

Oficjalnie nikt jej niczego nie proponował, ale wiedziała, że wystarczyłoby poprosić. Tony chętnie widziałby ją w swoim zespole. Z bliska obserwował ją przy pracy i nieraz powtarzał, że dzięki jej sposobowi myślenia jednostka wiele by zyskała. Ale to wcale nie takie proste. Jedyna sprawa, przy jakiej dotąd współpracowali, była trudna, także osobiście, dla nich obojga. Ponadto uczucia, jakimi darzyła Tony’ego Hilla, wciąż jeszcze były zbyt skomplikowane, żeby mogła ją cieszyć perspektywa stania się jego prawą ręką w dochodzeniach, które mogłyby się okazać równie wyczerpujące uczuciowo i intelektualnie jak to, podczas którego się poznali.

Wprawdzie z początku ją kusilo, żeby się zgłosić, ale potem wypłynęła ta sprawa. Wczesny awans i transfer do nowo utworzonej jednostki policji w Seaford - szansa, na której utratę nie mogła sobie pozwolić. Ironia sytuacji zasadzała się w tym, że szansę tę otrzymała właśnie dzięki sprawie seryjnego zabójcy, którego rozpracowywali wcześniej z Tonym. John Brandon, wówczas naczelnik policji miejskiej w Bradfield, ściągnął Tony’ego Hilla do pomocy, a Carol wyznaczył na oficer łącznikową. Kiedy Bishop został komendantem nowej jednostki, chciał, żeby Carol dołączyła do załogi. Nie mógł sobie wybrać lepszej chwili, pomyślała nie bez ukłucia żalu. Wstała, postąpiła trzy kroki, a więc dokładnie tyle, ile potrzebowała, żeby

przemierzyć gabinet wszerz, stanęła przy oknie i zapatrzyła się na doki, po których uwijali się robotnicy.

Carol uczyła się policyjnego fachu najpierw w „Mecie”, w Londynie, a potem w jednostce w Bradfield, w dwóch lewiatanach na wiecznym adrenalinowym odlocie napędzanym wewnętrzną przestępczością. Teraz znalazła się na obrzeżach Anglii we wschodnim Yorkshire, gdzie, jak cierpko zauważył jej brat Michael, skrót „EYA” - od „East Yorkshire Police” - wymawiano prawie jak „heja”. W tych stronach funkcjonariusz w randze starszego inspektora nie musiał żonglować dochodzeniami w sprawach o morderstwa, strzelaniny z okien samochodów, wojny gangów, napady z bronią w rękę i hurtowy handel narkotykami.

W miasteczkach i wioskach wschodniego Yorkshire przestępczości nie brakowało. Były to jednak wyłącznie sprawy małego kalibru. Inspektorzy i sierżanci radzili sobie z nimi z palcem w nosie, nawet gdy szło o większe miasta, takie jak Holm, Traskham czy Seaford, miasto portowe na wybrzeżu Morza Północnego, gdzie znajdowała się siedziba jednostki. Podwładni nie chcieli, żeby wiecznie się za nimi snuła. W końcu, co taka miastowa dziewczyna może wiedzieć o kradzieżach owiec? Albo o podrobionych kwitach przewozowych? Ponadto wszyscy się zorientowali, że odkąd starsza inspektor objęła urzędowanie, bardziej niż tym, co się dzieje w terenie, interesowała się tym, kto jest sumienny, a kto bumeluje, kto może za często zaglądać do kieliszka, a kto brać w łapę. I mieli rację.

Trwało to dłużej, niż przewidywała, ale stopniowo zaczynał się w jej umyśle krystalizować obraz całej ekipy i tego, kogo na ile stać.

Carol z westchnieniem zwichrzyła i tak już potargane blond włosy. Ciągłe pod górkę, i to z wielu powodów. Ten nie najbliższy przedstawiał się tak, że większości tępych facetów z Yorkshire wpajano od dzieciństwa, że z „szeficą” liczyć się nie trzeba. Po raz tysięczny zastanawiała się, czy nie popełniła tragicznej pomyłki, przez którą jej kariera utknie w martwym punkcie.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się od okna, potem ponownie wyciągnęła z aktówki plastikową teczkę. Może i z wyboru machnęła ręką na nową jednostkę profilerską, ale praca z Tonym Hillem zdążyła ją nauczyć kilku sztuczek. Wiedziała już sporo o sygnaturach seryjnych sprawców. Miała tylko nadzieję, że nie będzie potrzebowała ekipy specjalistów, żeby wytropić tego, który grasował na jej podwórku.

Jedno skrzydło drzwi otworzyło się sekundę wcześniej niż drugie. Kobieta, której twarz - w myśl najświeższego sondażu wśród widzów - natychmiast rozpoznawano w siedemdziesięciu ośmiu procentach brytyjskich domów, i której stopy tkwiły w szpilkach, podkreślających kształt nóg stworzonych do reklamowania pończoch, wparowała do charakterystyki, oglądając się przez ramię, ze słowami:

- ... i nie muszę już niczego odpracowywać, więc powiedz Trevorowi, żeby zamienił dwójkę z czwórką w harmonogramie emisji, okay?

Betsy Thorne, która dreptała tuż za nią, spokojnie skinęła głową. Wyglądała zbyt swojsko, żeby pracować na wizji. Ciemne włosy przetykane nitkami srebra, zaczesane do tyłu i za pomocą cienkiej opaski z niebieskiego aksamitu przytrzymywane z dala od twarzy, w której jakimś cudem zawierała się kwintesencja angielskości; inteligentne oczy owczarka pasterskiego, kości wyścigowego konia pełnej krwi angielskiej i cera przywodząca na myśl skórę koksy.

- Nie ma sprawy - zapewniła tonem równie ciepłym i pieśczośliwym jak przed chwilą tamta. Zanotowała coś na kartce.

Micky Morgan, prezenterka i jedyna gwiazda „Popołudnia z Morgan”, emitowanego w porze lunchu dwugodzinnego magazynu informacyjnego niezależnych sieci telewizyjnych, pomaszzerowała w stronę ulubionego fotela. Rozsiadła się, odgarnęła z twarzy miodowoblond włosy i poddała swoje odbicie szybkim, choć dokładnym oględzinom, pozwalając, by makijażystka okryła ją fartuchem.

- Chwała Bogu. Powiedz, że byłeś za granicą i nie widziałeś, co ze mną wyprawiali pod twoją nieobecność. Kategoriecznie zabraniam ci znowu wyjeżdżać na urlop!

Marla uśmiechnęła się.

- Głupoty gadasz, Micky.

- Za to jej płacą - zauważyła Betsy, opierając się o blat przy lustrze.

- Trudno w tych czasach o odpowiedni personel - wymamrotała Micky, starając się nie poruszać ustami, bo Marla zaczęła

rozprowadzać podkład na jej skórze. - Znosi się na syfek na prawej skroni - dodała.

- Będziesz miała okres? - spytała Marla.

- Myślałam, że ja jedna czuję przez skórę, że się na to zanosi - stwierdziła przeciągle Betsy.

- Widać po skórze. Elastyczność się zmienia - mruknęła Marla, całkowicie pochłonięta pracą.

- „Gorący temat” - rzuciła Micky. - Przypomnij mi, Bets. Zamknęła oczy, żeby się skoncentrować, Marla zaś skorzystała z okazji, żeby popracować nad jej powiekami. Betsy zerknęła do notatek.

- „Po najświeższym skandalu z kolejnym wiceministrem przyłapanym przez brukowce nie w tym łóżku, w którym być powinien, pytamy: Co sprawia, że kobieta chce być kochanką?”

Zwięźle omówiła gości przewidzianych na ten segment, Micky zaś słuchała z uwagą. Betsy doszła do finałowego wywiadu i uśmiechnęła się.

- To ci się spodoba: Dorien Simmonds, twoja ulubiona pisarka. „Zawodowa” kochanka, broniąca poglądu, że to wielka frajda, ale i nieoceniona pomoc społeczna dla rzeszy zniechęconych żon, które muszą znosić seks małżeński, choć mężowie śmiertelnie im się znudzili.

Micky zachichotała.

- Kapitalne. Pocziwa stara Dorien. Jak myślicie, jest cokolwiek, czego Dorien by nie zrobiła, żeby książka schodziła z półek?

- To z zazdrości - stwierdziła Marla. - Usta, proszę cię, Micky.

- Z zazdrości? - spytała Betsy uprzejmie.

- Gdyby Dorien Simmonds miała takiego męża jak Micky, nie agitowałaby za kochankami. Zazdrość ją zżera, bo nigdy się nie załapie na takie cudo jak Jacko. A zresztą, której tam nie zżera?

- Mmmm - zamruczała Micky.

- Mmmm - zgodziła się z nią Betsy.

Lata upłynęły, zanim machina *publicity* wyryła w świadomości narodu obraz pary Micky Morgan i Jacko Vance równie trwale jak duetów: ryba z frytkami czy Lennon i McCartney. Gwiazdorskie małżeństwo numer jeden, nierozwiązywalne. Nawet autorzy rubryk plotkarskich przestali węszyć za sensacją.

Jak na ironię, właśnie obawa przed szumem w prasie zbliżyła ich do siebie. Życie Micky wywróciło się do góry nogami, odkąd poznała Betsy, a były to czasy, gdy jej kariera zaczynała nabierać rozmachu. Dotarcie na sam szczyt w tak krótkim czasie, w jakim się to udało Micky, równało się zebraniu interesującej kolekcji wrogów. Ponieważ w sferze zawodowej trudno było Micky cokolwiek zarzucić, zawistni uczepili się jej życia prywatnego. A we wczesnych latach osiemdziesiątych nikt nie uważał, że homoseksualna orientacja dodaje gwiazdom pikanterii, przeciwnie, w dalszym ciągu stanowiła jedną z najkrótszych dróg na kanał czterdziesty piąty. Po zaledwie kilku miesiącach, odkąd porzuciła dawny heteroseksualny styl życia na rzecz miłości do Betsy, Micky zrozumiała, jak czuje się zaszczute zwierzę.

Problem ten rozwiązała w sposób radykalny i nad wyraz skuteczny. A wszystko to Micky zawdzięczała Jacko. Szczęście, że go ma, pomyślała, patrząc z uznaniem na swoje odbicie w lustrze.

Super.

Tony Hill spojrział na zespół, który dobrał tak starannie, i nagle zdjęła go litość. Łudzą się, że wkraczają w nowy, mroczny świat z szeroko otwartymi oczami. Gliny nigdy nie czują się jak prostaczkowie za granicą. Za dobrze znają ulicę. Wszystko widzieli, wszystkiego doświadczyli, dali się z zaskoczenia obsikać albo puścić sobie pawia na koszulę. Rolą Tony'ego było uświadomić tej szóstce gliniarzy, przekonanych, że nic ich nie zaskoczy, iż na zewnątrz czekają niewyobrażalne koszmary. Dlatego nie było wśród nich ani jednej osoby, która dokonałaby w pełni świadomego wyboru, zgłaszając się do Ogólnokrajowej Jednostki ds. Profilowania Sprawców Przepstępstw.

Może z wyjątkiem Paula Bishopa. Gdy Home Office dało programowi zielone światło, Tony wykorzystał wszystkie przysługi, które mu się należały, oraz poprosił o kilka takich, o jakie domagać się nie miał prawa, aby zyskać pewność, że wyżsi funkcjonariusze policji zrozumieją doniosłość przedsięwzięcia. Podtykał politykom nazwisko Bishopa jak marchewkę wyjątkowo upartemu mułowi. Największy nacisk kładł na to, jak znakomicie Paul spisuje się przed kamerami. Mimo to nie miał pewności, wóz albo przewóz, dopóki nie oznajmił, że nawet cyniczne londyńskie pismaki czują trochę respektu

wobec człowieka, który dowodził skutecznymi poszukiwaniami psychopatów, ochrzczonych przez prasę „Kolejowym Gwałcicielem” i „Mordercą z Metrolandu”. Tony nie wątpił, że po tych śledztwach Paul doskonale wie, jakiego rodzaju koszmary mającą na horyzoncie.

Koszmary, ale też i niebywała satysfakcja. Gdy mechanizm zadziała, gdy dzięki ich wysiłkom winny rzeczywiście trafi za kraty, ci policjanci zaznają największego uniesienia w życiu. Wiedzieć, że dopomogło się w uwięzieniu zabójcy, to znaczy doznać potężnych emocji. Jeszcze większa satysfakcja pojawia się w chwili, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, ile istnień uratował tylko dlatego, iż skierował snop światła we właściwym kierunku i wskazał drogę kolegom. Było w tym coś uskrzydlającego, choć radość przyćmiewała pamięć o tym, co sprawca zdążył już zrobić. Na tę wielką radość także musiał ich jakoś przygotować.

Paul Bishop właśnie wygłaszał mowę. Powitał ich w jednostce i przedstawił w zarysie program szkolenia, o który wcześniej wyklócali się obaj do upadłego.

- Przeprowadzimy was przez cały proces tworzenia profilu, damy wam zaplecze, którego potrzebujecie, żeby zacząć przyswajać sobie tę umiejętność - oznajmił.

Innymi słowy, kurs psychologii w pigułce, w nieunikniony sposób powierzchowny, lecz obejmujący podstawy. Jeżeli on i Paul dokonali mądrego wyboru, „czeladnicy” z czasem zawęzają pole zainteresowań, samodzielnie szukać lektur uzupełniających,

innych specjalistów, budować własną wiedzę fachową w konkretnych obszarach profilerskiej profesji.

Tony rozejrzał się po twarzach nowych współpracowników. Wszyscy przeszkoleni w pracy dochodzeniowej, wszyscy prócz jednego świeżo po studiach. Sierżant i pięcioro posterunkowych, w tym dwie kobiety. Oczy pełne zapału, otwarte notesy, długopisy w pogotowiu. Bystrzaki. Wiedzieli, że jeśli się wykażą, a jednostka nabierze rozmachu, siłą rozpędu mogą wtoczyć się na sam szczyt.

Omiótł ich spokojnym spojrzeniem. W cichości ducha żałował trochę, że nie ma wśród nich Carol Jordan, która dzieliłaby się swoimi błyskotliwymi przemyśleniami i misternymi koncepcjami, okazjonalnie okraszając je iskierką humoru, żeby rozproszyć posepną atmosferę. Ale zdrowy rozsądek przypominał, że i bez dodatkowych komplikacji czeka go wystarczająco wiele problemów.

Gdyby miał się założyć, które z nich stanie się gwiazdą zespołu i pozwoli mu przestać tęsknić za intelektem Carol, obstawiałby tę o oczach, w których płonął zimny ogień. Sharon Bowman. Jak najlepsi myśliwi, zabiłaby, gdyby musiała.

Tak jak swego czasu zrobił to sam.

Tony odsunął tę myśl i skupił się na słowach Paula, czekając na sygnał. Gdy Paul skinął głową, Tony gładko przejął pałeczkę.

- FBI przez całe dwa lata szkoli oficerów operacyjnych w technice sporządzania portretów psychologicznych sprawców - zaczął, rozmyślnie rozpierając się w fotelu w zrelaksowanej, swobodnej pozie. - My tutaj inaczej do tego podchodzimy. - Nutka jadu w głosie.

- Za sześć tygodni będziemy przyjmować pierwsze sprawy. Za trzy miesiące, wedle oczekiwań Home Office, zaczniemy pracować w pełnym wymiarze. Wy w tym przedziale czasowym macie opanować górę materiału teoretycznego, nauczyć się serii protokołów długości ramienia, całkowicie oswoić się z oprogramowaniem komputerowym, stworzonym z myślą o tej jednostce, i pielęgnować w sobie instynktowne zrozumienie tych, którzy, by użyć żargonu klinicystów, mają totalnie posrane w głowach. - Nieoczekiwanie uśmiechnął się, spoglądając na poważne twarze słuchaczy. - Jakież pytania?

- Czy już za późno na rezygnację? - W elektryzujących oczach Bowman iskrzył się humor, ale ton był grobowy.

- Tylko poświadczoną przez patologa, innych tu nie przyjmują. - Cierpka uwaga pochodziła od Simona McNeilla.

Absolwent psychologii Glasgow, cztery lata służby w Strathclyde Police, wyrecytował bezgłośnie Tony; odkrycie, że bez większego wysiłku przypomina sobie imiona, nazwiska i życiorysy poszczególnych kursantów, poprawiło mu humor.

- Zgadza się - przytaknął.

- A niepoczytalność? - strzelił ktoś inny.

- Zdecydowanie zbyt pożyteczna, żebyśmy wypuścili kogoś, kto już wpadł w nasze łapy - odparł Tony. - Co więcej, cieszę się, że poruszyłaś ten temat, Sharon. Będę miał idealne przejście do spraw, od których chcę dzisiaj zacząć.

Wodził wzrokiem po twarzach kursantów i czekał, aż jego powaga odzwierciedli się na każdej z nich. Ktoś, kto rutynowo

dostosowuje swoją osobowość i zachowanie odpowiednio do okazji, nie powinien być zdziwiony, że manipulować ludźmi jest tak łatwo; niemniej Tony się zdziwił. Jeżeli sprawdzi się jako pedagog, za parę miesięcy będzie mu znacznie trudniej osiągnąć podobny efekt.

Gdy spoważniali i skoncentrowali się, rzucił tekturową teczkę z notatkami na podnoszony blat przy poręczu krzesła. Zachowywał się, jakby przestał ich dostrzegać.

- Osamotnienie - rzucił w przestrzeń. - Wyobcowanie. Oto z czym poradzić sobie najtrudniej. Istoty ludzkie żyją w skupiskach. Jesteśmy zwierzętami stadnymi. Polujemy gromadnie, w gromadzie świętujemy. Gdy pozbawić człowieka kontaktu z innymi, jego zachowanie ulega wypaczeniu. Przez najbliższe miesiące i lata wiele się na ten temat dowiedziecie.

Teraz wsłuchiwali się w jego słowa. Czas na zabójczy cios.

- Nie mówię tu o seryjnych przestępcach. Mówię o was. Wszyscy jesteście policjantami, macie doświadczenie w pracy dochodzeniowej. Jako gliniarze odnosiliście sukcesy, dopasowaliście się tak, by system działał na waszą korzyść. Dlatego tu jesteście. Przywykliście do pracy zespołowej, do kumpli, którzy udzielają wam systemowego wsparcia. Kiedy się wam powiodło, zawsze była pod ręką ekipa, z którą mogliście świętować zwycięstwo przy kielichu. Kiedy świat walił się wam na głowę, ta sama ekipa była tuż i użalała się nad wami. Trochę jak w rodzinie, tylko że takiej bez starszego brata, który wam dokucza, i bez ciotki, która ciągle się dopytuje, kiedy się wreszcie ustatkujecie.

Odpowiedziały mu potakujące skinienia i rozbawione miny. Jak oczekiwał, panie były powściągliwsze. Milczał przez moment, potem pochylił się w stronę grupy.

- Właśnie zaczynacie kolektywnie obchodzić żałobę. Wasze rodziny nie żyją i nigdy, przenigdy nie będziecie mogli wrócić do domu. Odtąd to miejsce jest waszym jedynym domem, ci ludzie całą waszą rodziną.

Zahipnotyzował ich, przykuł ich uwagę skuteczniej niż najlepszy dreszczowiec. Prawa brew Bowman drgnęła i ułożyła się w zdziwiony łuk; cała szóstka trwała w bezruchu.

- Najlepszymi profilerami są ci, których więcej łączy z seryjnymi zabójcami niż z resztą rasy ludzkiej. A to dlatego, że zabójcy z konieczności stają się dobrymi profilerami. Portretują swoje ofiary. Morderca musi się nauczyć patrzeć na zatłoczone centrum handlowe w taki sposób, żeby wytypować tę jedną jedyną osobę, która idealnie nada się na ofiarę. Wybierze źle i cześć pieśni. Więc nie stać go na pomyłkę, tak samo jak nas. Podobnie jak my, zaczyna od świadomej klasyfikacji według ustalonych kryteriów, ale z czasem, jeśli jest dobry, zaczyna działać instynktownie. Chcę, żebyście równie dobrzy stali się i wy.

Raptem pozorny spokój runął. Przed oczami stanęły mu koszmarne obrazy z przeszłości. Był najlepszy, teraz już wiedział. Ale za tę naukę przyszło mu drogo zapłacić. O tym, że życie po raz drugi mogłoby wystawić taki słony rachunek, udawało mu się nie myśleć

dopóty, dopóki był trzeźwy. Nieprzypadkowo od blisko roku praktycznie nie tykał alkoholu.

Chrząknął i wyprostował się na krześle.

- Wasze życie wkrótce ulegnie przeobrażeniu. Wasze priorytety zmieniają się jak Los Angeles podczas trzęsienia ziemi. Wiercie mi, kiedy dniami i nocami zgłębia się umysł zaprogramowany na zabijanie, póki końca nie położy temu śmierć albo osadzenie w więzieniu, człowiek przekonuje się raptem, że mnóstwo spraw, które wcześniej wydawały się ważne, jest kompletnie bez znaczenia. Trudno się oburzać wzrostem bezrobocia, gdy analizuje się działania człowieka, który przyczynił się do skreślenia z rejestru zatrudnionych większej liczby osób, niż w ostatnim czasie udało się to rządowi.

Cyniczny uśmiech stał się dla słuchaczy sygnałem do rozluźnienia mięśni napiętych nieprzerwanie od kilku minut.

- Ci, którzy nigdy nie pracowali w takim zawodzie, nie mają pojęcia, jak to jest. Po raz czterdziesty siódmy studiujesz dowody w poszukiwaniu nieuchwytniej wskazówki, przeoczonej wcześniej, i tak dzień w dzień. Przyglądasz się bezradnie, jak nieuchronnie stygną gorące tropy, stają się zimniejsze niż serce ópuna. Chciałoby się potrząsnąć świadkami, którzy widzieli zabójcę, ale niczego nie zapamiętali, bo nikt ich nie uprzedzał, że człowieczek, który pewnego wieczoru tankował na stacji ich samochód, to wielokrotny morderca. Śledczy, który uważa, że wasza praca jest gównem warta, nie widzi powodów, żebyście mieli mniej przerabiane niż on, więc rozdaje numery waszych telefonów mężom, żonom, kochankom, dzieciom,

rodzicom - wszystkim tym, którzy chcą od was okruszyny nadziei. Jakby tego było mało, media czepiają się was jak rzep psiego ogona. A potem zabójca uderza ponownie.

Leon Jackson, który dzięki stypendium na Oksfordzie wyrwał się z czarnego getta w Liverpoolu i dostał do „Metropolitalnej”, przypalił papierosa. Szczęk zapalniczki zmobilizował dwójkę pozostałych palaczy do sięgnięcia do własnych zapasów.

- Dla mnie bomba - oznajmił, przekładając rękę przez oparcie krzesła.

Tony'emu przez chwilę było go żal. Im pewniej się czują, tym boleśniejszy będzie moment otwarcia oczu.

- Atomowa - mruknął. - Zatem wiecie już, jak będą was postrzegać osoby z zewnątrz. A wasi obecni koledzy? Wierzcie mi, kiedy ponownie zetkniecie się z nimi, natychmiast zauważą, że trochę zdziwaczeliście. Przestaliście należeć do starej paczki, a pozostali będą was unikać, bo zwąchają, że coś jest z wami nie tak. Później zaczniecie pracować nad jakąś sprawą, przeflancowani w obce środowisko, w którym nie zabraknie osób wrogo do was nastawionych. To nieuniknione. - Ponownie pochylił się do przodu i zgarbił, jakby to mogło go obronić przed niemiłymi wspomnieniami. - I bez wahania dadzą wam to odczuć.

Złowił pobłażliwy uśmiezek Leona. Domyślał się, że posterunkowy jest przekonany, że skoro jako czarnoskóry nie raz doświadczył szykan, nie musi się już obawiać uczucia odrzucenia. Niemniej z całą pewnością nie wiedział jednego: że jego zwierzchnicy

zażyczyli sobie, żeby do zespołu trafił czarny funkcjonariusz. Dali to dobitnie do zrozumienia selekcjonerom, którzy odsiewali kandydatów, toteż najprawdopodobniej nikt nie podnosił Leonowi poprzeczki aż tak wysoko, jak on sobie pochlebiał.

- Tylko nie wyobrażajcie sobie, że ci z odznakami poprą was, kiedy zrobi się niezły syf - ciągnął Tony. - Bo nie poprą. Będą was nosić na rękach przez jakieś dwa dni, a potem, jeśli nie rozwiążecie ich bolączek, znieawidzą was. Im dłużej to potrwa, tym duszniejsza zrobi się atmosferka. Inni śledczy będą was unikać jako cierpiących na zakaźną chorobę o nazwie „porażka”. Może i prawda czeka tylko na to, by ją odkryć, ale dopóki to się wam nie uda, będziecie traktowani jak wyrzutki.

Umilkł, a potem dodał, jakby tknęła go pewna myśl:

- A, nawiasem mówiąc, jak już przygwożdżą drania dzięki waszej ciężkiej pracy, nawet nie zaproszą was na przyjęcie.

Ciszę zakłócił jedynie syk żarzącego się tytoniu; Leon zaciągnął się papierosem. Tony wstał i odgarnął sprężyste czarne włosy z czoła.

- Pewnie myślicie, że kolory żują. Ale wierzcie mi, to tylko przedsmak tego, jak paskudnie będziecie się czuć w tej robocie. Jeżeli nie jesteście pewni, czy ona jest dla was, jeśli wahacie się, czy podjęliście dobrą decyzję, to właściwy moment, żeby się wycofać. Nie usłyszycie złego słowa. Żadnego poczucia winy, żadnego wstydu. Wystarczy szepnąć słówko komendantowi Bishopowi. - Zerknął na tarczę zegarka. - Przerwa na kawę. Dziesięć minut.

Sięgnął po kartonową teczkę, z rozmysłem nie patrząc na kursantów, którzy odsunęli krzesła i w rozsypce ruszyli ku drzwiom. W największym z trzech pomieszczeń, jakie niechętnie udostępniła im i tak narzekająca już na ciasnotę policja, czekała kawa. Gdy w końcu podniósł wzrok, zobaczył Shaz Bowman; stała oparta o ścianę przy drzwiach. Patrzyła na niego.

- Wątpliwości, Sharon? - zagadnął.

- Nie znoszę imienia Sharon - mruknęła. - Ci, którzy liczą na jakąś reakcję, mówią mi Shaz. Chciałam tylko powiedzieć, że nie tylko profilerów traktuje się jak gówno. To, co pan mówił, nie jest gorsze od tego, z czym kobiety w policji mają do czynienia przez cały czas.

- Tak też słyszałem - przyznał Tony i bezwiednie pomyślał o Carol Jordan. - Jeśli to prawda, w tej grze będziecie miały niezłe fory.

Shaz błysnęła zębami w uśmiechu i odepchnęła się od ściany, zadowolona.

- Przekona się pan - odparła, okręciła się na pięcie i wyszła cicho i sprężyście jak puma.

Jacko Vance pochylił się nad rachitycznym stolikiem i ściągnął brwi. Wskazał otwarty kalendarz na blacie.

- Widzisz, Bill? Już się zobowiązałem do poprowadzenia półmaratonu w tę niedzielę. Potem w poniedziałek i we wtorek kręcimy program, ja robię otwarcie klubu w Lincoln we wtorkowy wieczór... skoro o tym mowa, ty też się wybierasz, prawda? - Bill

kiwnął głową, a Jacko wyliczał dalej: - W środę mam spotkania, jedno po drugim, no i muszę wrócić autem do Northumberland na wolontariat. Po prostu nie widzę, jak moglibyśmy ich wcisnąć.

Usiadł ciężko na niewygodnej, obszytej pasiastym tweedem kanapie w przyczepie, którą podróżował dział produkcji, i westchnął ciężko.

- I właśnie o to chodzi, Jacko - odparł spokojnie Bill, który w aneksie kuchennym przygotowywał właśnie dwie kawy; dolał odtłuszczonego mleka i zamieszał.

Bill Ritchie był producentem „Wizyt Vance’a” wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że przekonywanie gwiazdora do zmiany podjętej decyzji nie ma większego sensu. Jednak tym razem szefowie nalegali dość stanowczo, żeby pokusił się o próbę.

- Ten krótkometrażowy dokument *powinien* ukazywać cię jako zabieganego, komunikować: „To ci dopiero niesamowity facet, taki zapracowany, a zawsze znajduje czas na działalność dobroczynną, czemu więc nie znajdziesz na nią czasu i ty?”

Postawił kubki na stoliku.

- Przykro mi, Bill, ale grafik tego nie przewiduje - oznajmił Jacko, sięgając po kawę, i skrzywił się, bo była gorąca, po czym szybko odstawił kubek. - Kiedy kupimy przyzwoity ekspres do kawy?

- Jeśli mam tu cokolwiek do powiedzenia, nigdy - odparł Bill z udawaną powagą. - Ta parszywa lura to jedyna rzecz, jaka bankowo przerywa twoje wywody.

Jacko smętnie pokiwał głową.

- Niech ci będzie. Ale i tak się nie zgadzam. Po pierwsze, nie chcę, żeby po piętach deptała mi ekipa telewizyjna, mam dość kamer. Po drugie, nie po to pracuję charytatywnie, żeby mieć się czym przechwalać w kobylastych programach nadawanych w godzinach największej oglądalności. Po trzecie, te biedne, schorowane sukinsyny, przy których siedzę wieczorami, to umierający ludzie, którzy nie potrzebują, żeby im wciskać ręczną kamerę w obłożone gardła. Z przyjemnością zrobię coś innego do tego programu, może coś z Micky, ale nie pozwolę wyzyskiwać tych, którym staram się pomagać, żeby pograć na wyrzutach sumienia telewidzów i wycisnąć z nich kilka tysięcy więcej.

Bill rozłożył ręce w geście kapitulacji.

- Jak sobie chcesz. Sam im to powiesz czy mam cię wyręczyć?

- Oszczędzić mi nerwów? Mógłbyś, Bill?

Uśmiech Jacko był promienny jak przeblysłk słońca zza burzowej chmury, pełen obietnic jak ostatnia godzina przed randką. Wrósł w telewidzów tak bardzo, że stał się częścią ich zbiorowej pamięci. Kobiety z większym upodobaniem kochały się z mężczyznami, mając w pamięci zapraszające do seksu oczy Jacko i usta stworzone do całowania. Nastolatki przyłapywały się na tym, że ich niesprecyzowane tęsknoty erotyczne nagle ogniskują się na jednym obiekcie. Starsze panie rozczuły się, nie kojarząc z jego osobą pojawiających się później odczuć smutku i niespełnienia.

Mężczyźni także go lubili, choć nie za seksowny wygląd. Mężczyźni czuli sympatię do Jacko Vance'a, bo na przekór

wszystkiemu pozostał równym facetem. Złoty medalista Wielkiej Brytanii, Wspólnoty Brytyjskiej i Europy, ulubieniec dziennikarzy sportowych, któremu olimpijskie złoto wydawało się po prostu pisane. Aż pewnego wieczoru Jacko, wracając z mityngu lekkoatletycznego w Gateshead, wjechał w gęsty wał mgły na autostradzie A1. Nie on jeden zresztą.

Poranne biuletyny informacyjne szacowały liczbę pojazdów uszkodzonych w karambolu w przedziale od dwudziestu siedmiu do trzydziestu pięciu. Jednak to nie sześć ofiar śmiertelnych stanowiło sensację dnia. Tematem numer jeden stał się tragiczny w skutkach heroizm Jacko Vance'a, brytyjskiego złotego medalisty. Pomimo cierpień spowodowanych licznymi ranami ciętymi i trzech złamanych żeber, Jacko wyczołgał się ze zmiażdżonego auta i uratował dwoje dzieci, uwieczonych na tylnej kanapie innego wozu, na sekundy przed tym, jak pojazd stanął w płomieniach. Złożywszy je na pasie awaryjnym, wrócił w gęstwinę splątanego metalu i usiłował wyciągnąć kierowcę ciężarówki, unieruchomionego między kierownicą a wgiętymi drzwiami kabiny.

Pośród trzasków metalu nagle rozbrzmiał krzyk naprężenia przekroczyły wytrzymałość materiału i dach lory zapadł się gwałtownie. Kierowca nie miał żadnych szans. Podobnie jak ręka Jacko Vance'a: ta, która miotła oszczepem. Trzy upiorne godziny zajęło strażakom wydobyć go spod potwornej masy metalu, która zdruzgotała mu przedramię na krwawą miazgę, a kości strzaskała na drzazgi. Co gorsza, przez większą część akcji ratowniczej był

przytomny. Zawodowi sportowcy wiedzą wszystko o forsowaniu bariery bólu.

Wiadomości o przyznaniu mu Krzyża Jerzego pojawiły się dzień po tym, jak lekarze dopasowali Jacko pierwszą protezę. Była to nikła pociecha, sport bowiem przez kilkanaście lat stanowił sens jego życia. Ale rozgoryczenie nie przyćmiło wrodzonej inteligencji Jacko. Wiedział, jak niestałe w uczuciach bywają media. Nadal dręczyło go wspomnienie nagłówków z sezonu, w którym zawalił pierwsze podejście do europejskiego tytułu. „Oszczepem w płot!” było najmniej bolesną szpilą pod adresem tego, którego zaledwie dzień wcześniej nazywano „Zdobywcą medali i serc”.

Wiedział, że musi szybko spieniężyć swoją popularność, bo inaczej stanie się kolejnym przebrzmiałym bohaterem, przedwczesną pożywką dla artykułów pod hasłem „Losy dawnych gwiazd”. Więc pociągnął za kilka sznurków, odświeżył znajomość z Billem Ritchiem i koniec końców komentował na wizji tę samą olimpiadę, która powinna dać mu podium. Zawsze to jakiś początek. Z czasem wypracował sobie opinię niestrudzonego społecznika, człowieka, który nigdy nie pozwoli, żeby sława przeszkodziła mu w dopomaganiu tym, dla których los okazał się mniej łaskawy.

Przyćmił sławą wielu głupców, którzy chcieli już stawiać na nim krzyżyk. Z pozoru drogę na sam szczyt rankingów komentatorów sportowych utorował sobie urokiem osobistym i umiejętnością prowadzenia rozmów, niemniej w gruncie rzeczy była to operacja w duchu taktyki spalonej ziemi, przeprowadzona z chorobliwym

brakiem litości; niektóre z jego „ofiar” nie orientowały się nawet, że na zimno, z wyrachowaniem, podłożył im świnie. Kiedy poczuł się pewnie w nowej roli, zaczął prowadzić talk-show, który przez trzy lata nie schodził z pierwszego miejsca na liście najpopularniejszych programów rozrywkowych. Kiedy w czwartym roku emisji spadł na trzecią pozycję, odszedł od starej formuły i ruszył z „Wizytami Vance’a”.

Program rościł sobie pretensje do całkowitej spontaniczności. W rzeczywistości pojawienie się Jacko pośród tych, których wierna publiczność określała mianem „zwykłych ludzi wiodących zwykłe życie”, było nieodmiennie wyreżyserowane z precyzją godną monarszej wizyty, z tym że próby odbywały się w pustym studiu. Po prostu przyciągałby większe tłumy niż tracąca popularność rodzina królewska. Zwłaszcza gdy na próbach pojawiał się z żoną.

Ale jemu ciągle było mało.

Carol zapłaciła za kawę; w końcu była najstarsza stopniem. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odmówić sponsorowania batoników czekoladowych na tej podstawie, że nikt nie potrzebuje aż trzech kit-katów, żeby przetrwać spotkanie ze starszym inspektorem... lub starszą inspektorem. Jednak wiedziała, że - zostałyby to źle odebrane, więc uśmiechnęła się tylko i wysupłała kasę. Zaprowadziła swój doborowy oddział w cichy kąt, oddzielony od pozostałej części kantyny kompozycją z plastikowych palm. Ekipa śledczych - sierżant Tommy Taylor, posterunkowy Lee Whitbread oraz posterunkowa Di Earnshaw - zaimponowała jej zapalem. Co prawda mogło się jeszcze

okazać, że dokonała złego wyboru, stawiając na tę trójkę, niemniej w cichości ducha była przekonana, że właśnie oni zostaną przyjęci do wydziału dochodzeniowego bazy policji w Seaford.

- Nie będę udawać, że zebraliśmy się tu na towarzyskie pogaduszki, żeby lepiej się nawzajem poznać - zaczęła, rozdając batoniki.

Di Earnshaw wlepiła w nią oczy podobne do dwóch wirków w puddingu z baraniego łożu; posterunkowa najwyraźniej nie mogła przeboleć, że nowa szefowa prezentuje się elegancko w lnianym kostiumie, pogniecionym jak łachmany kloszarda, podczas gdy ona w idealnie wyprasowanej garsonce wygląda w najlepszym razie niechlujnie.

- I chwała Panu za to - wpadł jej w słowo Tommy, a na usta wypłynął mu szeroki uśmiezek. - A już się zaczynałem martwić, że nasza szefowa może nie rozumieć, jakie znaczenie dla sprawnego kierowania wydziałem dochodzeniowym ma tetley's bitter. Bez piwka rozum rdzewieje.

Carol odpowiedziała cierpkim uśmiechem.

- Jestem z Bradfield. Zapomnieliście?

- Właśnie dlatego się martwiliśmy, pani inspektor - odparł Tommy.

Lee parsknął śmiechem. Udał, że to napad kaszlu, i mruknął:

- Przepraszam, pani inspektor. Żałuję, że...

- Pożałujesz - zapewniła Carol wesoło. - Mam dla waszej trójki zadanie. Od mojego przyjazdu z uwagą studiowałam nocne zgłoszenia

i trochę mnie niepokoi duża liczba niewyjaśnionych pożarów. Doszukałam się pięciu potencjalnych podpałek w ostatnim miesiącu, dowiadywałam się też u służb mundurowych i twierdzą, że było jeszcze pięć czy sześć niewyjaśnionych przypadków zaprószenia ognia.

- W dokach jest ich zawsze od groma - zbył ją Tommy i lekceważąco wzruszył masywnymi ramionami ukrytymi pod workowatą jedwabną koszulą, niemodną od ładnych paru lat.

- Wiem o tym, ale zastanawiam się, czy coś się za tym nie kryje. Owszem, parę mniejszych pożarów to wynik oczywistej fuszerki, ale mam przeczucie, że w grę może wchodzić coś poważniejszego.

Carol świadomie zdecydowała się na niedopowiedzenie. Była ciekawa, kto podejmie wyzwanie.

- Piroman, to ma pani na myśli, pani inspektor? - Głos Di Earnshaw był uprzejmy, ale mina graniczyła z bezczelnością.

- Seryjny podpalacz, owszem.

Zapadła cisza. Carol domyślała się, jakie myśli krążą jej podwładnym po głowach. Jednostka w Yorkshire była nowa, ale ta trójka odpracowała swoje w starym reżimie. Wrosli w tę ziemię, a ona była tu nowa i podejrzewali, że chce pobrylować ich kosztem. W dodatku nie zdecydowali jeszcze, czy warto podczepić się pod tę ciuchnię, czy też raczej spróbować ją wykoleić. Musiała ich jakoś przekonać, że to ona tu decyduje, że jest lokomotywą, która pociągnie wszystkie wagony.

- Powtarza się pewien schemat - podjęła wątek. - Opustoszałe posesje we wczesnych godzinach rannych. Szkoły, budynki przemysłu lekkiego, magazyny. Nic przesadnie dużego, gdzie mógłby się pętać nocny stróż. Ale to nie przelewki. Pożary spowodowały znaczne szkody i uderzyły firmy ubezpieczeniowe po kieszeni.

- Iiii tam. Jakoś żeśmy nic nie słyszeli o maniakalnym podpalaczu - zauważył Tommy spokojnie. - A strażacy zwykle dają nam cynk, jak uważają, że coś nie gra.

- Albo oni, albo miejscowy szmatławiec. Aż uszy puchną - poparł go Lee niewyraźnie, bo usta miał zapchane drugim batonikiem.

Smukły jak chart, choć opycha się słodyczami, a do kawy sypie trzy łyżeczki cukru, skostatowała Carol. A na takich z nadaktywnością ruchową lepiej uważać.

- Może powiecie, że jestem wybredna, ale wolę, żebyśmy sami ustalali gryplan, zamiast zdawać się na straż pożarną albo na lokalnych pismaków - oświadczyła Carol chłodno. - Podpalenia to nie żarty. Konsekwencje bywają równie poważne jak w przypadku morderstw. Macie także cały wachlarz potencjalnych motywów. Chęć wyłudzenia pieniędzy, zniszczenia dowodów, wyeliminowania konkurencji, dokonania zemsty i zatarcia śladów to ten logiczny koniec spektrum. Na drugim, irracjonalnym, mamy tych, którzy robią to dla dreszczyku emocji bądź gratyfikacji seksualnej. Seryjni podpalacze, podobnie jak seryjni zabójcy, z reguły kierują się swoistą, niepowtarzalną logiką, która dla reszty świata pozbawiona jest wszelkiego sensu. Nabrała tchu.

- Na całe szczęście seryjne zabójstwa są znacznie rzadsze od seryjnych podpaień. Ubezpieczyciele twierdzą, że jedna czwarta wszystkich pożarów w skali kraju to przypadki, w których doszło do celowego podłożenia ognia. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby co czwarta śmierć była wynikiem morderstwa.

Taylor wyglądał na znudzonego. Lee Whitbread gapił się w Carol tępo, z ręką zastygłą w pół drogi ku paczce papierosów. Tylko Di Earnshaw, jak się wydawało, chciała dodać coś od siebie.

- Słyszałam gdzieś, że liczba podpaień jest wykładnikiem sytuacji ekonomicznej danego kraju. Im wyższe statystyki, tym gorszy obraz gospodarki. A my mamy przecież całe rzesze bezrobotnych - powiedziała takim tonem, jakby spodziewała się, że jej komentarz zostanie puszczone mimo uszu.

- I to powinniśmy mieć na uwadze - podchwyciła Carol, kiwając głową z wyraźną aprobatą. - A więc, oto czego oczekuję. Uważnie przeanalizujecie nocne zgłoszenia z ostatniego półrocza, zarówno te skierowane do dochodzeniówki, jak i do służb mundurowych. Ponownie przesłuchacie poszkodowanych i sprawdzicie, czy poszczególne sprawy coś łączy, na przykład ta sama firma ubezpieczeniowa. Ustalcie między sobą, kto się czym zajmie. Ja rozmówię się z szefem straży pożarnej, a wszyscy razem spotkamy się za... powiedzmy, trzy dni? Świetnie. Jakies pytania?

- Ja mogłabym pomówić z szefem straży pożarnej, pani inspektor - odezwała się Di Earnshaw gorliwym tonem. - Już się z nim kontaktowałam.

- Dziękuję za tę propozycję, Di, ale im szybciej go poznam, tym lepiej.

Wyglądało to tak, jakby usta Di Earnshaw skurczyły się. Posterunkowa kiwnęła głową, wyraźnie rozczarowana.

- Czyli wszystko inne mamy odłożyć na bok? - ożywił się Tommy. Uśmiech Carol był ostry jak szpikulec do lodu. Nie znosiła leserów.

- Proszę, sierżancie... - zachnęła się. - Wiem, iloma sprawami się zajmujecie. Jak wspominałam na samym początku, jestem z Bradfield. Seaford może i nie jest wielkim miastem, ale nie widzę powodów, żebyśmy działali w tempie wioskowego policmajstra.

Wstała, napawając się zbulwersowanymi minami podwładnych.

- Nie przyjechałam tu po to, żeby robić sobie wrogów. Ale zrobię to, jeśli zostanę zmuszona. Jeśli myślicie, że jestem jędzą i że trudno ze mną pracować, obserwujcie mnie uważnie. Choćbyście urabiali sobie ręce po łokcie, zobaczycie, że ja haruję nie mniej ciężko. Chciałabym, żebyśmy stworzyli zgrany zespół. Ale grać będziemy według moich reguł.

Po jej wyjściu Tommy poskrobał się po podbródku i mruknął:

- Ale się nam dostało. Teraz też powiesz, że z łóżka byś jej nie wyrzucił, Lee?

Di Earnshaw zasznurowała usta.

- Nie powie, chyba że chce śpiewać falsetem.

- Nie sędzę, żeby ktokolwiek jeszcze miał ochotę do śpiewu - burknął Lee. - Jakiś chętny na ostatniego kitkata?

Shaz potarła oczy i odwróciła się od monitora. Przyszła wcześniej, bo chciała jeszcze raz powtórzyć sobie to, czego uczyli się na wczorajszych zajęciach z obsługi oprogramowania. Fakt, że przy jednym z terminali zastała Tony'ego, był jak nieoczekiwana premia. Zrobił zdumioną minę, gdy tuż po siódmej stanęła w drzwiach.

- Myślałem, że jestem jedynym W tych stronach pracoholikiem cierpiącym na bezsenność - zagadnął.

- Mam antytalent do komputerów - stwierdziła szorstko, bo nie chciała, żeby się domyślił, jak bardzo się cieszy, że będzie go miała tylko dla siebie. - Zawsze musiałam pracować dwa razy ciężiej niż wszyscy, żeby nie zostać na szarym końcu.

Tony uniósł brwi. Gliniarze nigdy nie opowiadają o swoich słabościach ludziom z zewnątrz. Albo Shaz Bowman była wyjątkiem, albo też on sam zaczął nareszcie tracić status obcego.

- Sądziłem, że każdy przed trzydziestką jest w te klocki geniuszem - podchwycił wesoło.

- Przykro mi, że pana rozczarowałam. Stałam w innej kolejce, kiedy Bóg rozdawał komputerowe talenty - odparła Shaz, rozsiadła się przed monitorem i podwinęła rękawy bawełnianego swetra. - Najpierw przypomnieć sobie hasło - mruknęła pod nosem, zastanawiając się, co Tony o niej myśli.

Dwa żywioły szalały pod opanowaniem Shaz Bowman i rządziły nią na zmianę. Z jednej strony trawił ją strach przed porażką, który stale nakazywał doszukiwać się w sobie wad i deprecjonować

wszystko, co osiągnęła. Kiedy patrzyła w lustro, nigdy nie widziała swoich atutów, a jedynie to, że ma wąskie usta i nieładny nos. Gdy sięgała myślami wstecz, pamiętała tylko te momenty, w których ujawniły się jakieś jej niedoskonałości, wyżyny, na które nie zdołała się wspiąć. Przeciwwagę stanowiła ambicja. W niepojęty sposób, odkąd jasno określiła swoje cele, dążenie do nich odbudowało nadwątloną pewność siebie i pomogło przezwyciężyć własną nadwrażliwość, nim ta zdążyła uczynić z niej emocjonalną kalekę. Równocześnie, zanim ambicja zdążyła popchnąć ją ku arogancji, w krytycznym momencie włączał się strach.

Powstanie nowej jednostki profilerskiej idealnie zbiegło się z kierunkiem, w jakim podążały jej marzenia, i nie umiała oprzeć się wrażeniu, że samo przeznaczenie maczało w tym palce. Co nie znaczyło, rzecz jasna, iż zamierzała czekać z założonymi rękami. Dalekosiężne plany zawodowe Shaz wymagały, by stała się najjaśniejszą gwiazdą jednostki. Jedną z taktyk prowadzących do celu było otwarcie skarbnicy, która kryła się w umyśle Tony'ego, z fachowością mistrza ślusarskiego, a następnie wyciągnięcie każdego strzępka wiedzy. Równocześnie zamierzała zyskać sympatię Tony'ego, żeby pomógł jej w potrzebie. Ten manewr stanowił część jej strategii, ale też i wynikał ze strachu, że będzie odstawać od grupy i wyjdzie na idiotkę. Świącie wierzyła, że jest najśłabsza, i potajemnie nagrywała wszystkie sesje, a potem przesłuchiwała je, w kółko, w każdej wolnej chwili. Teraz czuła się tak, jakby dostała nieoczekiwany podarunek od losu.

Shaz zmarszczyła czoło i wpatrzyła się w ekran. Przegryzła się przez żmudny proces protokołowania zgłoszenia o przestępstwie, a następnie uruchomiła procedurę porównania najnowszego incydentu z wcześniejszymi, figurującymi już w komputerowych bankach pamięci. Gdy Tony cicho wymknął się sprzed terminalu, kątem oka zarejestrowała poruszenie, ale zmusiła się do dalszej pracy. Nie byłoby przecież po jej myśli, gdyby się zorientował, że Shaz usiłuje pozyskać jego życzliwość.

Koncentracja, jaką sobie narzuciła, wystarczyła, by Shaz nie zauważyła nawet, kiedy wrócił, dopóki podświadomie nie zarejestrowała lekkiego zapachu męskiej wody kolońskiej, którą nauczyła się kojarzyć z jego osobą. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od jakiegokolwiek reakcji. W dalszym ciągu stuknęła w klawiaturę, póki na blacie, tuż przy niej, nie pojawił się kubek kawy z ciastkiem na plastikowej przykrywce.

- Chwila przerwy?

Potarła oczy i oderwała wzrok od ekranu.

- Dzięki - mruknęła.

- Nie ma za co. Może coś jest niejasne? Wytlumaczę krok po kroku, jeśli chcesz.

Trzymała się na dystans. Nie rzucaj się na niego, przestrzegła się w duchu. Nie chciała wykorzystywać swojego kredytu u Tony'ego Hilla, dopóki okoliczności bezwarunkowo jej do tego nie zmuszą, a jeszcze lepiej, dopóki nie będzie w stanie mu się jakoś zrewanżować.

- To nie tak, że czegoś nie rozumiem - wyjaśniła. - Po prostu jestem sceptycznie nastawiona.

Tony uśmiechnął się, rozbawiony jej defensywnym tonem.

- Jak dzieciaki, które potrzebują namacalnych dowodów na to, że dwa plus dwa równa się cztery?

Przez krótką chwilę czuła się szczęśliwa, że zdołała go rozśmieszyć, ale opanowała się szybko. Przełożyła ciastko i zdjęła z kubka pokrywkę.

- Zawsze byłam rozkochana w dowodach. Jak pan myśli, dlaczego zostałam policjantką?

Tony uśmiechnął się; był to krzywy, wiele mówiący uśmiezek.

- Mógłbym pobawić się w domysły. U nas masz niezłe pole do popisu.

- Raczej nie. Dziewicze to ono nie jest od dawna. Amerykanie zajmują się tymi sprawami szmat czasu, dorobili się nie tylko podręczników, ale nawet filmów. Po prostu, jak to zwykle bywa, całe wieki trwało, zanim nadrobiliśmy zaległości. A pan należy do ludzi, którzy dokonali przełomu, więc my nie musimy już niczego udowadniać.

Shaz odgryzła wielki kęs ciastka i z uznaniem skinęła głową, rozkoszując się smakiem brzoskwiniowego lukru na kruchym cieście.

- Nie wierz w to - poradził Tony sucho, wracając przed terminal.
- Kłopoty dopiero się zaczynają. Trzeba było dużo czasu, żeby policja pogodziła się z myślą, że nasza pomoc może być przydatna, a już hieny z mediów, które do niedawna traktowały nas jak bóstwa,

zaczynają wycierać sobie gęby naszą niedoskonałością. Przeklamowali nas, a teraz winią za to, że nie sprościliśmy oczekiwaniom, jakie sami przed nami postawili.

- Czy ja wiem - odparła Shaz z namysłem. - Ludzie pamiętają tylko spektakularne sukcesy. Chociażby sprawę, którą prowadził pan w Bradfield w zeszłym roku. Portret psychologiczny był trafiony w dziesiątkę. Policja dotarła do sprawcy jak po sznurku. - Nieświadoma lodowatego wyrazu twarzy Tony'ego, entuzjastycznie drażyła temat: - Poświęci pan temu którąś sesję? Plotki słyszeliśmy wszyscy, ale w literaturze jest na ten temat tyle co kot napłakał, chociaż nie ulega wątpliwości, że odwalił pan kawał podręcznikowej roboty.

- Nie będziemy tego omawiać - oznajmił głucho.

Shaz podniosła wzrok. Błyskawicznie zdała sobie sprawę, że nadgorliwość zawiiodła ją prosto na mieliznę. Tym razem zaważyła sprawę, i to na całego.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Poniosło mnie, takt i dyplomacja wyleciały przez okno. Zachowałam się bezmyślnie.

Ty tępy tłumoku, skarciła się w duchu. Nawet gdyby dzięki terapii pozbierał się jakoś po tych koszmarnych przejściach, nie miałby ochoty wdawać się w szczegóły tylko dlatego, że ktoś jest chorobliwie wścibski, choćby to wścibstwo skrywał pod płaszczkiem naukowej ciekawości.

- Nie musisz przeproszać, Shaz - odezwał się Tony ze zmęczeniem. - Masz rację, to przełomowa sprawa. Nie będziemy jej omawiać dlatego, że nie potrafię o niej mówić, nie czując się jak

wybryk natury. Będziecie musieli mi to wybaczyć. Może pewnego dnia dostaniecie sprawę, po której będziecie się czuć podobnie. W trosce o was mam szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

Spojrzał na ciastko, jakby było wytworem pozaziemskiej cywilizacji, i odsunął je od siebie. Raptem stracił apetyt.

Shaz żałowała, że nie może przewinąć tej rozmowy do początku, wrócić do momentu, gdy postawił na jej biurku kawę i ciastko, bo wówczas wciąż jeszcze istniała szansa na przerzucenie pomostu wzajemnego porozumienia.

- Jeszcze raz przepraszam, doktorze Hill - odezwała się niezręcznie.

Podniósł na nią oczy i z wysiłkiem przywołał blady uśmiech.

- Mówię serio, Shaz, nie ma za co. I czy możemy darować sobie to „doktorze Hill”? Chciałem o tym wspomnieć na wczorajszej sesji, ale jakoś mi umknęło. Nie chcę, żebyście mieli poczucie, że ja jestem nauczycielem, a wy uczniami. Jestem liderem grupy, bo wykonuję ten zawód od pewnego czasu. Ale wkrótce zaczniemy pracować ramię w ramię i nie ma sensu wznosić między nami barier. Więc od tej pory „Tony”, dobrze?

- Masz to jak w banku, Tony.

Shaz szukała w jego oczach i słowach ukrytej urazy. Doszukała się jedynie wybaczenia, więc, ucieszona, z wilczym apetytem dokończyła ciastko i ponownie wpatrzyła w monitor. Nie mogła się tym zająć od razu, nie przy Tonym, ale jak będzie miała salę komputerową tylko dla siebie, wykorzysta dostęp do Internetu i

wyszuka wszystkie dane na temat sprawy bradfieldzkiego seryjnego zabójcy. Wiedziała o niej sporo, ale spotkanie z Tonym Hillem zmieniło postać rzeczy. Zyskała szczególne powody, by się nim interesować. Jeszcze trochę i będzie o Tonym Hillu wiedziała wystarczająco dużo, żeby napisać książkę, która, z przyczyn dla niej niezrozumiałych, dotąd jeszcze nie powstała. Wymagało to przeprowadzenia małego śledztwa, ale, bądź co bądź, jest śledczą, no nie?

Carol Jordan majstrowała przy skomplikowanym chromowanym ekspresie do kawy, który dostała od brata, Michaela, z okazji parapetówki zaraz po tym, jak przeprowadziła się do Seaford. Pomimo kryzysu na rynku mieszkaniowym dopisało jej szczęście. Nie musiała długo szukać kupca na swoją połowę zaadaptowanego na mieszkanie magazynu, w którym mieszkała z Michaelem. Radczyni prawna, która ostatnimi czasy dzieliła z nim sypialnię, tak się rwała do kupna, że Carol, która i bez tego czuła się niczym piąte koło u wozu, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy jej obecność nie wadziła im bardziej, niż sobie dotąd wyobrażała.

Teraz mieszkała w niskim, kamiennym domku na zboczu wzgórza wznoszącego się nad ujściem rzeki dokładnie naprzeciwko Seaford. Nareszcie własny kąt. No, prawie własny, poprawiła się w myśli, czując, jak zaskakująco twardy łeppek bodzie ją w goleń.

- W porządku, Nelson - mruknęła i schyliła się, żeby podrapać czarnego kocura za uszkami. - Słyszę cię doskonale.

Czekała, aż kawa się zaparzy. Nabrała miseczką kociej karmy do wtóru ekstatycznych pomruków. Kiedy Nelson, mlaszcząc głośno, pochłonał swoje śniadanie, przeszła do salonu, by nacieszyć się widokiem rzeki i niewiarygodnie smukłego łuku zwodzonego mostu. Błądząc spojrzeniem wzdłuż zasnutej mgłą rzeki ku przęsłom mostu, na pozór nieprzytwierdzonym do stałego lądu, rozmyślała, jak rozegrać rozmowę z szefem straży pożarnej. Po chwili z kuchni przytruchtał Nelson ze sztywno wyprężonym ogonem i, nie zatrzymując się, wskoczył na parapet. Potem przeciągnął się i podsunął łebek pod rękę Carol, domagając się czułości. Carol pogładziła gęstą sierść i mruknęła:

- Mam tylko jedną szansę, żeby przekonać faceta, że odróżniam dupę od łokcia, Nelson. Muszę go mieć po swojej stronie. Bóg mi świadkiem, że muszę kogoś mieć po swojej stronie.

Nelson, jakby w odpowiedzi na te słowa, zaczął szybko, delikatnie bić łapką w jej dłoń. Carol dopiła kawę i wstała, poruszając się równie sprężysto jak on. Jedną z zalet jasno określonych godzin pracy wydziału dochodzeniowego było to, że mogła korzystać z karty członkowskiej na siłownię częściej niż raz w miesiącu. Zaczynała już zauważać efekty: mięśnie miała wyraźniej zarysowane i lepszą kondycję. Miłym dodatkiem byłby ktoś, kto by to docenił, ale nie dlatego ćwiczyła. Była dumna ze swojego ciała, cieszyła się jego siłą i gibkością.

Godzinę później, podczas przymusowego zwiedzania głównego posterunku straży pożarnej, zyskała kolejny powód do zadowolenia ze

swojej kondycji, choć i tak z trudem dotrzymywała kroku długonogiemu naczelnikowi Jimowi Pendlebury'emu.

- Widzę, że jesteście tutaj lepiej zorganizowani, niż my w dochodzeniówce możemy sobie zamarzyć - pochwaliła Carol, gdy w końcu dotarli do jego gabinetu. - Będzie pan musiał podzielić się ze mną tajemnicą swoich osiągnięć.

- Tak drastycznie cięliśmy koszty, że naprawdę musieliśmy uprościć procedury - wyjaśnił. - Swego czasu wszystkie jednostki były obsadzone kompletem ludzi na pełnych etatach, ale to było nieopłacalne. Wiem, że wielu chłopaków narzekało, kiedy parę lat temu przeszliśmy na system mieszany, część na pełnych etatach, część na niepełnych. Trzeba było kilku miesięcy, żeby się jakoś pozbierali, ale korzyści są olbrzymie. Łatwiej mi tym zarządzać. Carol skrzywiła się ostentacyjnie.

- U nas to by się nie sprawdziło. Pendlebury wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Moglibyście wprowadzić podstawową ekipę, która zajmowałaby się rutynowymi sprawami, oraz oddział uderzeniowy, który wkraczałby do akcji w razie potrzeby.

- Z grubsza tak to właśnie wygląda - stwierdziła Carol cierpko. - Zespół podstawowy to nocna zmiana, a oddział uderzeniowy to ekipy pracujące za dnia. Niestety, nigdy nie robi się na tyle spokojnie, żeby któryś mógł zejść z placu boju.

Przez całą rozmowę Carol konstruowała mentalny obraz naczelnika. Gdy odpowiadał, jego proste ciemne brwi marszczyły się i

tworzyły daszek nad niebieskoszarymi oczami. Uwzględniając to, jak dużo czasu musiał spędzić za biurkiem, skórę miał zaskakująco ogorzałą; zmarszczki wokół kącików oczu błyskały bielą, gdy się nie uśmiechał ani nie marszczył czoła. Prawdopodobnie marynarz albo rybak na niepełnym etacie, zgadywała. Kiedy schylił głowę, by przytaknąć jej słowom, w ciemnych kręconych włosach dojrzała kilka srebrnych nitok. A więc jednak nie trzydzieści kilka lat, a trochę więcej, pomyślała Carol, wymazując wcześniejszą, szacunkową ocenę. Miała nawyk analizowania poznawanych osób pod kątem tego, jak brzmiałby ich rysopis w policyjnych biuletynach. Co prawda nigdy dotąd nie uczestniczyła w tworzeniu komputerowego portretu pamięciowego, pochlebiała sobie jednak, że dzięki temu przyzwyczajeniu byłaby doskonałym świadkiem, co ułatwiłoby życie policyjnemu specowi od portretów.

- Widziała pani, jak to działa. Zakładam, że teraz nie będzie się pani wyrywać z wnioskiem, że jak mówimy, iż do pożaru mogło dojść wskutek podpalenia, to gadamy od rzeczy? - Ton Pendlebury'ego był swobodny, ale spojrzenie zaczepne.

- Nigdy tak nie uważałam - wyjaśniła spokojnie. - Po prostu mam wątpliwości, czy traktowaliśmy sprawy z powagą, na jaką zasługują. - Z trzaskiem otworzyła zamek aktówki i wyjęła dokumenty. - Chciałabym z panem przeanalizować te dane, o ile może mi pan poświęcić trochę czasu.

Przekrzywił głowę.

- Czy dobrze się domyślam, co chce mi pani powiedzieć?

- Po tym, co tu widziałam, nie chce mi się wierzyć, że nie wpadliście na to, że to może być robota seryjnego podpalacza.

Pociągał za płatek ucha, mierząc ją wzrokiem. W końcu mruknął:

- Zaczynałem wątpić, czy kiedyś to zauważycie. Carol sapnęła przez nos.

- Może byłoby dobrze, gdybyście sami nas popchnęli we właściwym kierunku. W końcu to wy jesteście specami.

- Pani poprzednik był innego zdania - stwierdził Pendlebury obojętnie; równie dobrze mógłby komentować tegoroczne ceny ryb.

Entuzjazm, jakim wcześniej aż tryskał, zniknął, jego twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę. Carol wyciągnęła z tego właściwe wnioski. Położyła kartonową teczkę z dokumentami na biurku Pendlebury'ego i otworzyła ją zamasyście.

- Co było, to było. Odtąd będzie inaczej. Zatem mówi pan, że mieliście tu potencjalne podpalenia z datami wcześniejszymi od tej?

Zerknął w dokumenty i parsknął ironicznie.

- A jaki przedział czasowy by panią interesował?

Tony tkwił samotnie za biurkiem. Pozornie przygotowywał się do jutrzejszego seminarium z funkcjonariuszami nowej jednostki, ale myślami był daleko od takich błahostek. Rozmyślał o psychopatach przebywających na wolności, o umysłach ukształtowanych w sposób, który nieuchronnie przysporzy bólu i nieszczęść tym, którzy niczego jeszcze nie przeczuwają.

Od dawna krążyła wśród psychologów teoria negująca istnienie zła. Jej zwolennicy najgorsze postęпки socjopatycznych porywaczy, sadystów i zabójców kładli na karb splotu okoliczności i dawnych doświadczeń, których kulminacją stawać się miało jedno stresogenne zdarzenie, raz na zawsze wyrzucające ich poza granice tolerancji cywilizowanego społeczeństwa. Tony'ego nigdy to do końca nie przekonywało. Nasuwało się pytanie, dlaczego w gronie osób mających za sobą niemal identyczne dzieje przemocy i nędzy, niektórzy, zamiast wyrosnąć na psychopatów, wiedli wartościowe, owocne życie, zintegrowani z jakąś społecznością.

W ostatnich czasach naukowcy wskazywali chętnie na uwarunkowania genetyczne, na uszkodzenie kodu DNA, mające rzekomo tłumaczyć takie rozbieżności. To wyjaśnienie w mglisty sposób zawsze wydawało się Tony'emu aż nazbyt wygodne. Niebezpiecznie przypominało przestarzałą koncepcję zakładającą, iż niektórzy są po prostu źli z natury i cześć. Kolejna wydumana teoria, która uwalnia sprawców od odpowiedzialności, zżymał się w duchu.

Ta kwestia zawsze szczególnie go nurtowała. Zdawał sobie sprawę, dlaczego jest taki dobry w swoim zawodzie: przez pewien czas podążał ścieżką, którą wędrowała tropiona przez niego „zwierzyna”. Na pewnym etapie, choć nigdy nie potrafił precyzyjnie określić tego momentu, ich drogi się rozchodziły. Najpierw myśliwymi stawali się oni, potem, niejako wtórnie, w myśliwego zmieniał się i on, bo szukał ich, odkąd przekroczyli ostateczną granicę. Mimo to we własnym życiu odnajdował echa ich chorych

fascynacji. Rojenia, które nimi powodowały, obracały się wokół seksu i śmierci; jego „fantazje” na temat seksu i śmierci nazywano tworzeniem portretu psychologicznego, profilowaniem. Byli sobie przerażająco bliscy.

Czasem myślał sobie, że jego problemy przypominają dylemat z jajkiem i kurą. Stał się impotentem niejako ze strachu, że jeśli da nieskrępowane ujście swojej seksualności, sam także wkroczy na ścieżkę przemocy i śmierci? Czy też raczej wiedział, jak często popęd seksualny prowadzi do mordy, i to wywołało u niego utratę sprawności seksualnej? Wątpił, czy kiedykolwiek tego się dowie. Tak czy siak, nie sposób było zaprzeczyć, że praca wywarła znaczący wpływ na jego życie.

Nagle, bez konkretnego powodu, przypomniał mu się błysk entuzjazmu w oczach Shaz Bowman; to taka nieskomplikowana reakcja. Pamiętał, że kiedyś i on doświadczał podobnych emocji, nim jego zapał ostudziło zetknięcie z potwornościami, jakie ludziom potrafią zgotować ludzkie. Może zdoła spożytkować tę wiedzę i przemyślenia, by własny zespół lepiej uzbroić przeciwko złu, niż swego czasu samego siebie. Nawet gdyby nie osiągnął nic więcej, wszystkie zachody opłaciłyby się z nawiązką.

W innej części miasta Shaz nacisnęła klawisz myszy i zamknęła program. Bezmyślnie wyłączyła komputer i wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w czerniejący monitor. Gdy postanowiła przeszukać zasoby Internetu - co miało być pierwszym etapem na drodze do poznania przeszłości Tony’ego Hilla - przypuszczała, że

znajdzie garstkę odnośników i, przy odrobinie szczęścia, komplet artykułów w archiwach którejs z gazet.

Jednak zaledwie wpisała do wyszukiwarki słowa kluczowe: „Tony, Hill, Bradfield, zabójca”, odkryła kopalnię mrocznych informacji o sprawie, z której powodu jego twarz trafiła na pierwsze strony gazet. Natknęła się na garść makabrycznych witryn, w całości poświęconych seryjnym zabójcom, z informacjami na temat sztandarowej sprawy Tony’ego. Na rozlicznych prywatnych stronach internetowych dziennikarze i komentatorzy zamieścili artykuły swojego autorstwa. Nie zabrakło nawet perwersyjnej galerii słynnych przestępców, ze zdjęciami najbardziej makabrycznych seryjnych zabójców świata. „Homobójca”, którego Tony wtedy rozpracowywał, figurował w tej kuriozalnej galerii nie pod jedną postacią, lecz pod dwiema.

Shaz ściągnęła z sieci wszystko, co tylko zdołała znaleźć, a resztę wieczoru spędziła na lekturze. Po tym, co zaczęło się jako akademickie ćwiczenie, mające dopomóc w rozszyfrowaniu Tony’ego, pozostały jej autentyczne mdłości.

Z suchymi faktami nikt nie dyskutował. Czterech zamordowanych, nagich mężczyzn znaleziono w odwiedzanych przez gejów zakątkach Bradfield. Ofiary były przed śmiercią torturowane z okrucieństwem przekraczającym ludzkie pojęcie. Zwłoki poddawano okaleczeniom natury seksualnej, obmywano do czysta i wyrzucano jak śmiecie.

Ostatnią deską ratunku miał być Tony, wciągnięty do śledztwa w charakterze konsultanta. Współpracował z inspektorem Carol Jordan nad stworzeniem psychologicznego portretu zabójcy. Deptali mu już po piętach, gdy nagle Tony z myśliwego zmienił się w zwierzynę. Został porwany i omal nie stał się piątą ofiarą zabójcy. Narzędzie tortur czekało, by zadać śmierć, każda komórka jego ciała krzyczała z bólu. Uratował się cudem, nie dzięki pojawieniu się odsieczy, ale dzięki umiejętności mówienia, nabytej przez lata pracy z kryminalistami cierpiącymi na zaburzenia psychiczne. Ocalił się; jednak, żeby przetrwać, zmuszony był odebrać życie.

Shaz czytała ze zgrozą, oczy zachodziły jej łzami. Przeklinała bujną wyobraźnię, która podpowiadała jej, jakie Tony musiał przejść piekło. Czuła porywający ją koszmar ostatecznej konfrontacji, w której role zabójcy i ofiary raz na zawsze uległy odwróceniu. Był to scenariusz, który budził strach i niepewność.

Jak nauczył się z tym żyć? Nie pojmowała tego. Jak po czymś takim zasnąć? Jak zamknąć oczy, nie będąc natychmiast osaczanym przez niewyobrażalne zło, przez obrazy ponad ludzką wytrzymałość? Nic dziwnego, że nie dojrzał, by na własnej przeszłości uczyć ich, jak powinni pokierować swoją przyszłością. Cud, że w ogóle skłonny jest w dalszym ciągu praktykować fach, który przywiódł go na skraj obłądu.

I jak na jego miejscu poradziłaby sobie ona sama? Shaz ukryła twarz w dłoniach i po raz pierwszy, odkąd usłyszała o nowej

jednostce, zadała sobie pytanie, czy aby nie popełniła największego błędu w swoim życiu.

Betsy przygotowała dziennikarce drinka. Dużo dżinu, mało toniku, sok z ćwiartki cytryny, która stłumi oleistą słodycz alkoholu i dzięki której całość nie będzie się wydawała aż taka mocna. Jednym z powodów, dla których na wizerunku Micky nigdy nie odcisnęło się piętno skandalu, był upór, z jakim Betsy domagała się, by w ich sprawy nie wtajemniczać nikogo spoza trójki. Suzy Joseph może i była promienna i pełna wdzięku, może napełniała przestronny salon dźwięcznym śmiechem i dymem mentolowych papierosów, niemniej dziennikarka to dziennikarka. Co z tego, iż reprezentowała życzliwe gwiazdom i rozkochane w luksusie kolorowe pismo, skoro wśród jej znajomych znalazłaby się niejedna dziennikarska hiena z brukowca, gotowa sięgnąć do portfela, by zapłacić za smakowitą plotkę, i Betsy doskonale o tym wiedziała. Zatem Suzy będzie dzisiaj hojnie raczona drinkami. Nim przyjdzie pora lunchu z Jacko i Micky, przenikliwe oczy Suzy zdążą się mocno zamglić.

Betsy przysiadła na poręczy sofy, na której, pośród puchatych dekoracyjnych poduszek, niemal ginęła anorektyczna postać dziennikarki. Stąd mogła swobodnie ją obserwować, Suzy natomiast musiałaby się przesiąść, żeby Betsy znalazła się na linii jej wzroku. To ułatwiało Betsy zasygnalizowanie Micky, żeby uważała, co mówi, tak by gość niczego nie zauważył.

- Prześliczny pokój - paplała Suzy. - Taki jasny, taki chłodny. Rzadko się widuje takie gustowne wnętrza, takie eleganckie, takie...*stosowne*. A proszę mi wierzyć, zwiedziłam więcej rezydencji przy Holland Park niż okoliczni pośrednicy handlu nieruchomościami! - Obróciła się niezręcznie i tonem, jakim zwraca się do kelnerki, przemówiła do Betsy: - Dopilnowałaś, żeby ci z cateringu mieli wszystko, czego im potrzeba? Betsy kiwnęła głową.

- Wszystko pod kontrolą. Zachwycili się kuchnią.

- Jestem pewna, że tak. - Suzy ponownie skupiła uwagę na Micky, jakby Betsy była powietrzem. - Sama zaprojektowałaś salon, Micky? Taki stylowy! Taki... po prostu cała ty! Wymarzona sceneria dla odcinka „W gościnie z Joseph”.

Pochyliła się, żeby zgasić papierosa, a Betsy miała wątpliwą przyjemność podziwiania pomarszczonej skóry jej dekoltu, czego nie były w stanie zamaskować nawet sztuczna opalenizna i drogie kosmetyki.

Zachwyty z ust kobiety, która bez cienia zażenowania obnaszała krzykliwy szkarłatno-czarny kostium od Moschino, uszyty z myślą o kimś o dwadzieścia lat młodszym i o diametralnie innej figurze, to niekoniecznie komplement, pomyślała Micky. Ale uśmiechnęła się i wyjaśniła:

- Prawdę mówiąc, to głównie zasługa Betsy. Ma lepszy gust. Ja tylko mówię, jaka atmosfera mi się marzy, a ona dba o całą resztę.

Zamyślony uśmiech Suzy nie niósł w sobie ciepła. Wydawał się mówić: I znowu nic wartego przytoczenia, kolejna zmarnowana

kwestia. Zanim pokusiła się o następną próbę, do salonu wkroczył Jacko w nieskazitelnie skrojonej marynarce. W powitalnym geście rozłożył ramiona, co nadało jego sylwetce kształt klina. Udał, że nie słyszy piskliwych okrzyków Suzy, i podszedł prosto do Micky. Objął ją mocno ramieniem i przygarnął do siebie, ale nie pocałował.

- Kochanie. - Sięgnął po tony z telewizyjnego repertuaru, jego głos dźwięczał jak trącona struna wiolonczeli. - Wybacz spóźnienie.

Stanął obok żony, oparty o sofę, i posłał Suzy uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

- Jeśli dobrze zgaduję, Suzy? - zagadnął dziennikarkę. - Ogromnie się cieszymy, mogąc panią gościć.

Suzy jaśniała jak choinka w Boże Narodzenie.

- A ja, że mogę tu gościć - wymamrotała, przestając panować nad modulacją głosu; pojawiła się w nim charakterystyczna intonacja West Midlands, której latami próbowała się oduczyć.

Betsy nigdy nie przestała się zdumiewać, jak wielkie wrażenie Jacko robi na kobietach. Babska kwaśne jak ocet ociekały przy nim słodyczą. Nawet rutynowy cynizm dziennikarki, której relacja ze sławami była wypisz, wymaluj taka, jak żuka gnojowca z gnojem, nie stanowił wystarczająco mocnego pancerza, zdolnego ochronić Suzy Joseph przed jego urokiem.

- Nieczęsto mam okazję przebywać z osobami, które szczerze podziwiam - wdzięczyła się dziennikarka.

- Dziękuję pani - odparł Jacko, rozplywając się w uśmiechu. - Betsy, nie powinniśmy przejść do jadalni?

Betsy zerknęła na zegar.

- Byłoby dobrze - przyznała. - Firma cateringowa chciała o tej porze podać do stołu.

Jacko zerwał się sprężyście, w pozie pełnej uwagi poczekał, aż Micky wstanie i podejdzie do drzwi. Przepuścił Suzy, potem z miną wyrażającą zgrozę i znudzenie obejrzał się na Betsy i przewrócił oczami. Betsy stłumiła śmiech i udała się za nimi do jadalni. Upewniła się, czy wszystkim jest wygodnie, i zostawiła ich samych. To, że nie była oficjalną towarzyszką życia Micky, miało swoje jasne strony, pocieszyła się w myśli, zasiadając z kanapką z serem przed telewizorem; leciał akurat „Świat o pierwszej”.

O wytchnieniu mogła natomiast zapomnieć Micky, która musiała udawać, że nie zauważa topornych uśmiechów Suzy do jej męża. Micky wyłączyła się z nudnego rytuału, rozgrywającego się przed jej nosem, i skupiła na wydobywaniu ostatnich kąsków mięsa ze szczypców homara.

Zmiana tonu Suzy uświadomiła jej, że rozmowa nabiera rumieńców. Czas popracować, skonstatowała bez zachwyty Micky.

- Oczywiście, czytałam mnóstwo artykułów o tym, jak cudownie się między wami układa - perorowała Suzy, kładąc dłoń na rękę Jacko; na tej zdrowej, bo po protezie nie klepałaby go tak chętnie, pomyślała gniewnie Micky. - Ale chcę to usłyszeć od was.

No, to lecimy, westchnęła w duchu Micky. Pierwsza część recitalu należała do niej.

- Poznaliśmy się w szpitalu - zaczęła. Po upływie półtora tygodnia wszyscy czuli się w nowej siedzibie jak u siebie. Nieprzypadkowo funkcjonariusze przyjęci do zespołu byli wolni i nie mieli żadnych zobowiązań, jak wynikało ze złożonych przez nich oświadczeń oraz z nieoficjalnych wywiadów środowiskowych, przeprowadzonych na życzenie komendanta Bishopa w kantynach i klubach policyjnych całego kraju. Tony chciał skompletować grupę osób, które zostałyby wyrwane z dotychczasowego życia i zdane na siebie nawzajem, zmuszone do stworzenia zgranego zespołu. Wyglądało na to, że nie popełnił błędu, pomyślał, rozglądając się po sali seminaryjnej, gdzie sześć głów zgodnie pochylało się nad kserokopiami akt, jakie z myślą o nich przygotował.

Stopniowo zaczęli się zżywać. Dotąd skutecznie unikali osobistych utarczek, które mogłyby nieodwracalnie podzielić grupę. Co interesujące, przymierza, jakie zawierali, były elastyczne, nie przybierały postaci raz skojarzonych par. Wprawdzie niektóre koalicje wydawały się solidniejsze niż inne, niemniej żadna nie opierała się na zasadzie wyłączności.

Jedynym wyjątkiem, jak oceniał Tony, była Shaz. Nie żeby między nią a grupą dochodziło do jakichś konfliktów. To raczej ona trzymała się na dystans, broniła przed poufałością, jaka spontanicznie połączyła resztę towarzystwa. Żartowała z nimi, uczestniczyła w burzach mózgow, zawsze jednak w jej stosunku do grupy wyczuwało się rezerwę. Cechował ją pęd do kariery, którego brakowało reszcie zespołu. Byli ambitni, temu nie sposób zaprzeczyć, jednak aspiracje

Shaz sięgały dalej. Parła do przodu jak czołg, trawiona ambicją, która czyniła ją niezdolną do najmniejszej niefrasobliwości. Zawsze przychodziła pierwsza, a wychodziła ostatnia, nie przepuściła żadnej okazji, by poprosić Tony'ego o rozwinięcie wcześniej omawianego zagadnienia. Rozpaczliwy głód aprobaty był jak obosieczny miecz, który mógł zostać użyty przeciwko niej z druzgoczącym skutkiem. Shaz musiała się nauczyć opuszczać gardę, inaczej bowiem nigdy nie zdobyłaby się na empatię, a bez niej nie wykorzystałaby w pełni swojego potencjału w tym zawodzie. Tony ma więc sprawić, by Shaz zrozumiała, że może sobie pozwolić na chwilę słabości.

W tym momencie Shaz podniosła głowę i odwzajemniła jego spojrzenie. Bez cienia zawstydzenia czy skrępowania. Po prostu wpatrywała się w niego przez moment, zamiast wrócić do przerwanej lektury. Zupełnie jakby przeszukiwała jego umysł jak pamięć komputera i, znalazłszy brakującą informację, wylogowała się z systemu. Nieco zdeprimowany Tony chrząknął głośno.

- Cztery odrębne przypadki napaści seksualnej i gwałtu. Jakież spostrzeżenia?

Grupa miała już za sobą etap niezręcznego milczenia i uprzejmego wyczekiwania, by mógł się wykazać ktoś inny. Najodważniejszy okazał się Leon Jackson, jak zwykle.

- Ja myślę, że najwięcej mówią same ofiary. Czytałem gdzieś, że seryjni gwałciciele działają zwykle w obrębie własnej grupy wiekowej, a wszystkie te kobiety miały po dwadzieścia kilka lat. Wszystkie miały też krótkie jasne włosy i poświęcały dużo czasu i

starań, żeby utrzymać dobrą kondycję. Dwie miłośniczki joggingu, jedna hokeistka, jedna wioślarka. Wszystkie uprawiały takie dyscypliny, że jakiś świr mógł je swobodnie podglądać, nie zwracając na siebie uwagi.

- Dzięki, Leon. Inne uwagi?

Simon, nieoficjalnie mianowany przez grupę adwokatem diabła, wtrącił swoje trzy grosze. Akcent z Glasgow i nawyk wpatrywania się w rozmówcę spod grubych brwi sprawiały, że odbierało się go jako osobę agresywną.

- Można by argumentować, że dzieje się tak dlatego, że babki, które uprawiają podobne dyscypliny, są zwykle bardzo pewne siebie i często bywają w niebezpiecznych miejscach, bo są przekonane, że im to się nie zdarzy. Równie dobrze mogło być dwóch, trzech albo i czterech napastników. A w takim przypadku ściąganie profilera będzie totalną stratą czasu.

Shaz pokręciła głową.

- Nie chodzi tylko o to, że ofiary należą do określonego typu - stwierdziła z mocą. - Jeżeli czytałeś ich zeznania, wiesz, że każdej z nich sprawca zasłonił oczy. Każda napomykała, że była wyzywana i poniżana. To nie jest zwykły zbieg okoliczności.

Simon nie dojrzał jeszcze do kapitulacji.

- Ejże, Shaz - zaprotestował. - Każdy koleś, który musi się uciekać do gwałtu, żeby poczuć się lepiej, będzie się zagrzewał taką gadką. Owszem, wszystkie miały zasłonięte oczy, ale co z tego? Tylko w pierwszym i trzecim przypadku sprawca posłużył się

opaskami ofiar. Popatrzcie - zamachał kserokopiami - sprawa numer dwa, napastnik naciągnął ofierze na głowę jej własną koszulkę i zawiązał na supeł. Sprawa numer cztery, gwałciciel miał przy sobie rolkę taśmy, którą okleił jej głowę. Zupełnie inna bajka.

Usiadł. Dobroduszny uśmiech złagodził jego słowa.

Tony również się uśmiechnął, od ucha do ucha.

- Idealne wprowadzenie do następnego zagadnienia. Dzięki, Simon. Dzisiaj dostaniecie swoje pierwsze zadanie, do którego wstępem jest przewodnik: sygnatura versus *modus operandi*, w wersji dla początkujących. Ktoś wie, o czym mówię?

Kay Hallam, jedna z dwóch kobiet w zespole, uniosła rękę o kilkanaście centymetrów i spojrzała na Tony'ego pytająco. Gdy skinął głową, odgarnęła z twarzy kosmyki jasnobrązowych włosów. Tony zdążył już zauważyć, że powtarzała ten charakterystyczny gest, ilekroć chciała wyglądać kobieco i delikatnie, aby osłabić ewentualną krytykę, szczególnie wtedy, gdy zamierzała powiedzieć coś, czego była absolutnie pewna.

- *Modus operandi* jest dynamiczny, sygnatura jest statyczna - wyrecytowała.

- Można i tak to ująć. Choć przypuszczam, że dla mniej wtajemniczonych w naszym gronie - umilkł i z szerokim uśmiechem wskazał pozostałą piątkę kursantów - to najpewniej zbyt fachowe sformułowanie.

Odsunął krzesło i zaczął krążyć po sali.

- *Modus operandi* znaczy tyle co sposób działania. To po łacinie. Kiedy używamy tego terminu w kontekście przestępstwa, będziemy go rozumieć jako serię działań, które sprawca podjął, by osiągnąć swój cel: zbrodnię. Gdy profilowanie psychologiczne było jeszcze w powijakach, policjanci, a w dużym stopniu także i psycholodzy, bardzo dosłownie podchodzili do charakterystyki seryjnego sprawcy. To był ktoś, kto za każdym razem robił z grubsza to samo i osiągał z grubsza takie same rezultaty. Tyle że działania większości sprawców ulegały eskalacji, powiedzmy, od napaści na prostytutkę, do zatłuczenia kobiety na śmierć młotkiem.

Ale dowiadaliśmy się coraz więcej i w końcu zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nie tylko my uczymy się na błędach. Mieliśmy do czynienia z przestępcami, którzy dysponowali inteligencją i wiedzą, i także potrafili wyciągać właściwe wnioski. A to oznaczało, że musimy pogodzić się z niepokojącą myślą, że *modus operandi* może ulegać znacznym zmianom od zbrodni do zbrodni, jeżeli sprawca uzna, że określony sposób działania nie jest szczególnie skuteczny. Więc się przystosowuje. Pierwszą ofiarę udusił, ale doszedł do wniosku, że to trwało zbyt długo, było za dużo hałasu, za bardzo się bał, zestresował, zamiast cieszyć się chwilą spełnienia. Zatem następnej rozłupuje głowę łomem. Za dużo krwi. No więc trzecią dźga nożem. A śledczy nie wiążą tych spraw, ponieważ w każdej sposób działania wydaje się całkiem inny.

To, co pozostaje niezmienione, z braku lepszej nazwy nazywamy sygnaturą. Albo potocznie podpisem sprawcy. - Tony

zatrzymał się i oparł o parapet. - Sygnatura nie zmienia się, ponieważ stanowi sedno przestępczego aktu. Właśnie z niej sprawca czerpie satysfakcję.

Jakie zatem elementy składają się na sygnaturę? Cóż, wszystkie zachowania sprawcy, które wykraczają poza ramy tego, co absolutnie konieczne, by dokonać zbrodni. Rytuał czynu przestępczego. Aby sprawca osiągnął satysfakcję, wszystkie elementy sygnatury muszą zostać wcielone w życie za każdym razem, gdy sprawca wyrusza na swoją „krucjatę” i za każdym razem muszą być w podobnym stylu. Przykładowe sygnatury mordercy są bardzo różne. Czy rozbiera ofiarę? Czy układa jej ubrania w schludny stosik? Czy po dokonaniu zabójstwa maluje ofiarę kosmetykami? Czy pośmiertnie odbywa z nią stosunek? Czy dokonuje rytualnych okaleczeń, na przykład obcina piersi, penis bądź uszy?

Simon wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości. Tony był ciekaw, jak wiele ofiar morderstw Simon miał dotąd okazję oglądać. Będzie musiał się uodpornić albo znosić kpiny niedawnych kolegów, którzy chętnie by popatrzyli, jak profiler zwraca lunch przy kolejnej okaleczonej ofierze.

- Seryjny zabójca odczuwa przymus wykonania czynności składających się na sygnaturę, aby osiągnąć gratyfikację; by akt nabrał właściwego znaczenia - ciągnął Tony. - Wszystko obraca się wokół zaspokojenia szeregu potrzeb: chęci dominacji, zadawania bólu, prowokowania określonych reakcji, rozładowania seksualnego. Środki mogą być rozmaite, ale cel zawsze taki sam.

Odetchnął głęboko i próbował oderwać myśli od konkretnych metod, z jakimi miał swego czasu okazję zapoznać się na własnej skórze.

- Dla zabójcy, który przyjemność czerpie z zadawania bólu i słuchania krzyków ofiar, najmniejszego znaczenia nie ma to, czy... - Głos mu się załamał, bo przed oczami zaczęła mu się przewijać galeria natrętnych obrazów. - Czy... wiąże je i tnie na kawałki, czy...

- Czy chłoszcze drutem kolczastym - uzupełniła Shaz obojętnym tonem, ale minę miała pokrzepiającą.

- Otóż to - podchwycił Tony, opanowując się szybko. - Miło wiedzieć, że masz taką liryczną wyobraźnię, Shaz.

- Jak to kobieta, nie? - Simon zarechotał ochryple.

Shaz miała niewyraźną minę. Zanim ktokolwiek zdążył dorzucić nowy żart, Tony wrócił do tematu:

- Czyli możemy mieć dwóch denatów z diametralnie różnymi obrażeniami. Ale gdy przestudiujecie scenariusz, okaże się, że inaczej przebiegało tylko to, co wobec aktu zabójstwa było drugorzędne, a ostateczna gratyfikacja nie uległa zmianie. I to właśnie będzie sygnatura.

Umilkł, całkiem już spokojny, i rozejrzał się. Chciał się upewnić, czy wszyscy dali się porwać jego słowom. Na jednej twarzy malowało się powątpiewanie.

- W maksymalnym uproszczeniu - podjął Tony - myślcie o drobnych przestępcach. Mamy włamywacza, który kradnie kasety wideo. Nic więcej, tylko kasety, bo ma pasera, który nieźle za nie

płaci. Nasz włamywacz obrabia osiedlowe segmenty, przy czym do środka dostaje się tylnymi drzwiami. Ale potem czyta w lokalnej gazecie, że policja ostrzega przez włamywaczem, który wynosi kasety magnetofonowe, a do domów dostaje się od podwórka, mieszkańcy zaś powołują straż sąsiedzką, która szczególnie pilnie patroluje uliczki na tyłach budynków. Więc włamywacz odpuszcza sobie segmenty na osiedlach i przerzuca się na bliźniaki z okresu międzywojennego, do których włamuje się przez boczne okno na parterze. Zmienił *modus operandi*. Ale w dalszym ciągu wynosi tylko kasety. To jego sygnatura.

Twarz sceptyka wypogodziła się. Teraz już skapował. Zadowolony Tony uniósł plik kartek podzielonych na sześć kompletów.

- Zatem kiedy mamy do czynienia z seryjnym sprawcą, musimy myśleć globalnie. Starajcie się raczej doszukiwać podobieństw niż różnic.

Krażył między słuchaczami, przygotowując się do najważniejszej części wykładu.

- Grupa starszych funkcjonariuszy policji oraz profilerów wysnuła hipotezę skrzętniej strzeżoną niż tajemnice loży masońskiej. - Znowu przykuł ich uwagę. - Otóż, naszym zdaniem, zachodzi możliwość, że na wolności pozostaje aż sześciu niewykrytych seryjnych zabójców, którzy działali w Wielkiej Brytanii w ostatnim dziesięcioleciu. Możliwe, że część z nich ma na koncie dziesięć lub więcej ofiar. Stan dróg oraz historyczną już niechęć sił policyjnych do

wymieniania się informacjami należy winić za to, że nikt nie przysiadł nad tą sprawą i nie wyłowił kluczowych powiązań. Jak już będziemy pracować pełną parą, przyjrzymy się także i tej sprawie, o ile i kiedy starczy nam czasu i mocy przerobowych.

Zrobił pauzę, którą przyjęli uniesieniem brwi i zbiorowym pomrukiem.

- Zaczniemy od czegoś w guście przymiarki - zapowiedział Tony. - Trzydzieścioro zaginionych nastolatków. Autentyczne sprawy, wyciągnięte od kilkunastu jednostek policji, z okresu ostatnich siedmiu lat. Macie tydzień na przestudiowanie dokumentacji w wolnym czasie. Potem będziecie mieli okazję, żeby wykazać, czy którekolwiek z tych przypadków mają dość cech wspólnych, by stanowić podstawę do postawienia tezy, iż mogą być dziełem seryjnego sprawcy.

Rozdzielił komplety materiałów i dał chwilę na ich przejrzanie.

- Powinienem podkreślić, że chodzi nam tylko o ćwiczenie - oznajmił, wracając na swoje miejsce. - Nie ma powodów do przypuszczeń, jakoby którakolwiek z tych osób została uprowadzona albo zabita. Część zapewne już nie żyje, i to od dawna, choć prawdopodobnie wiąże się to raczej z wyniszczeniem wynikającym z życia na ulicy niż z jakąś nieczystą siłą. Wspólny mianownik: nie chodzi o typ dzieciaków, jakie uciekają z domów. Najbliźsi utrzymywali, że zaginione nastolatki czuły się szczęśliwe, nie było żadnych poważniejszych kłótni ani problemów w szkole. Co prawda jedno czy dwoje zaliczyło w przeszłości epizodzik z policją czy z

opieką społeczną, ale tuż przed zniknięciem nie było z nimi żadnych kłopotów. Tak czy inaczej, żadne z tych dzieciaków nie kontaktowało się później z rodziną, choć przypuszczalnie większość z nich bezpiecznie dotarła do Londynu.

Nabrał powietrza i zwrócił się twarzą do zasłuchanej grupy.

- Niemniej nie sposób wykluczyć, że te zniknięcia przebiegły według bardziej ponurego scenariusza. Jeśli tak, waszym zadaniem będzie to odkryć.

W Shaz zapłonęło podniecenie, przyćmiewając wszystko, co wyczytała na temat zabójcy, a właściwie zabójczyni, która zmieniła życie Tony'ego w koszmar. Dostała swoją pierwszą szansę. Jeżeli wśród zaginionych są ofiary morderstw, ona je wskaże. Co więcej, stanie się ich obrończynią. I mścicielką.

Ujęcie przestępcy często bywa kwestią przypadku. Wiedział o tym, dość się naoglądał programów w telewizji. Denis Nilsen, morderca piętnastu bezdomnych młodych mężczyzn, aresztowany, bo fragmenty zwłok zatkały kanalizację; Peter Sutcliffe, „Rozpruwacz z Yorkshire”, oprawca trzynastu kobiet, wsadzony do więzienia za kradzież tablic rejestracyjnych; Ted Bundy, nekrofil i morderca aż czterdziestu młodych kobiet, zatrzymany, ponieważ pewnej nocy z nadmierną prędkością i z wyłączonymi światłami przejechał obok wozu patrolowego. Nie bał się przypadkowej wpadki, po prostu kopowi adrenaliny - nieodłącznej części rytuału podkładania ognia - towarzyszył dodatkowy dreszczyk emocji. Motywacja zabójców

diametralnie różniła się od jego własnej, fakt, ale ryzyko ponosił niewiele mniejsze. Jego miękkie niegdyś skórzane rękawiczki zdążyły zeszywnieć od potu; teraz znowu były wilgotne.

Okolo pierwszej nad ranem zostawił samochód w przemyślnie wybranym miejscu. Nigdy nie parkował przy osiedlowych uliczkach; brał poprawkę na starsze osoby, cierpiące na bezsenność, i na młodych balujących do późna. Wolał parkingi przez sklepami dla majsterkowiczów, puste place przy fabrykach, wjazdy do zamykanych na noc garaży. Komisy samochodowe były najlepsze: nikt nie zauważał, że w środku nocy na godzinę czy dwie pojawiało się dodatkowe auto.

Nigdy nie zabierał ze sobą torby. Wolał nie rzucać się w oczy. Jeśli mimo to zauważy go jakiś glina, nie znajdzie powodów, żeby podejrzewać w nim włamywacza. A nawet gdyby trafił się wyjątkowo znudzony „krawężnik” z nocnej zmiany, który dla rozrywki kazałby mu opróżnić kieszenie, nie miał przy sobie nic podejrzanego. Kawałek sznurka, staroświecka zapalniczka, świeżo otwarta paczka papierosów, kilka zapalek w wymiętoszonym kartoniku, wczorajsza gazeta, scyzoryk, pognieciona i uwalana olejem chustka do nosa, mała, ale wydajna latarka. Gdyby to była podstawa do aresztowania, każdego wieczora cele pękałyby w szwach.

Szedł zapamiętaną trasą, starając się trzymać blisko ścian budynków. Pustymi ulicami wędrował w kompletnej ciszy; buty na gładkich podszwach nie robiły hałasu. Po kilku minutach dotarł do wąskiej uliczki prowadzącej na teren niewielkiego kompleksu

przemysłowego, który upatrzył sobie jakiś czas temu. Kompleks - dawna fabryka sznurków - składał się z czterech starych budynków, niedawno zaadaptowanych na nowe cele. Elektryka samochodowa obok salonu tapicerskiego, naprzeciwko dostawcy urządzeń hydraulicznych, i piekarnia, szczycąca się herbatnikami według przepisu starego ponoć jak misteria z Yorku. Osobiście był zdania, że każdy, kto żąda kroci za nędzną paczuszkę herbatników, od których trzeszczy człowiekowi w zębach, aż się prosi, by mu zrównać fabrykę z ziemią, ale wiedział, że nie znajdzie tam potrzebnej ilości łatwopalnych substancji.

Dzisiaj jak fajerwerk rozbłyśnie salon tapicerski.

Później będzie się podniecał widokiem żółtych i karmazynowych płomieni, wbijających długie jęzory w pierzaste kłęby szarego i brązowego dymu, jaki uniesie się sponad gorzejących obić, drewnianych podłóg i belek. Najpierw jednak musi dostać się do środka.

W koszu na śmieci przy bocznym wejściu do salonu czekała wcześniej podrzucona tam plastikowa torebka. Sięgnął po nią i wyjął przepychaczkę do zlewu oraz tubkę superglue. Obszedł budynek i zatrzymał się przy oknie toalety. Przycisnął do szyby przepychaczkę i odczekał kilka minut, aż klej złapie, po czym oburącz chwycił rękojeść, zaparł się nogami o ścianę i szarpnął. Szyba pękła z cichym brzękiem, okruchy szkła posypały się na zewnątrz budynku, zupełnie jakby tafla eksplodowała pod wpływem gorąca. Postukał przepychaczką o ścianę, żeby pozbyć się przyklejonego do niej krążka

ze szkła, tak że na gumie pozostał jedynie cienki szklany pierścień. Nie zaprzętał sobie tym głowy, bo też i czemu eksperci kryminalistyczni mieliby rekonstruować szybę i przejmować się brakiem szklanego pierścienia w samym środku zgliszczy. Wejście przez okno było kwestią paru chwil. Wiedział, że nie musi się obawiać alarmu antywłamaniowego.

Szybko włączył i wyłączył latarkę, by zorientować się, gdzie jest, po czym wyszedł na korytarz na tyłach głównej hali. Na samym końcu, jak pamiętał, stoi parę kartonów ze ścinkami materiałów, skupowanych za śmieszne pieniądze przez miejscowych rzemieślników. Dlaczego inspektorzy pożarnictwa mieliby wątpić, że mogli się tu kręcić pracownicy chcący po cichu wypalić papierosa.

Skonstruowanie urządzenia zapalającego zajęło mu kilka minut. Najpierw rozmontował zapalniczkę i potarł sznurek o wyściółkę, którą wcześniej nasączył benzyną. Potem umieścił sznurek na samym środku zawiniątka składającego się z pięciu czy sześciu papierosów, przewiązanych luźno bandażem elastycznym. Całość ułożył tak, żeby sznurkowy lont przylegał do boku najbliższego kartonowego pudła, po czym tuż przy nim umieścił lepka od oleju chustkę do nosa i pogniecioną gazetę. Na koniec podpalił papierosy. Spłoną do połowy, zanim zajmie się sznurek. Trochę potrwa, zanim pudła zaczną się tlić. Kiedy buchną ogniem, żadna siła nie powstrzyma pożaru. Będzie się hajcowało aż miło.

Długo się zbierał, wiedząc, że to będzie coś naprawdę pięknego. I satysfakcjonującego pod niejednym względem.

Betsy zerknęła na zegarek. Jeszcze dziesięć minut, a potem zakończy wizytę Suzy Joseph, wymawiając się fikcyjnym spotkaniem Micky. Jeśli Jacko chce ją dalej czarować, jego sprawa. Podejrzewała jednak, że chętnie skorzysta z okazji, by uwolnić się od towarzystwa. Ubiegłej nocy skończył zdjęcia do najnowszego odcinka „Wizyt Vance’a” i najpewniej wybierał się na kolejną imprezę charytatywną w specjalistycznym szpitalu, w którym pracował nieodpłatnie jako doradca i prowadzący grupy wsparcia. Wyjdzie po południu, a ona i Micky będą miały spokój w domu i weekend tylko dla siebie.

- I jak śmiertelnie chory człowiek ma tu liczyć bodaj na chwilę spokoju? Jak nie księżna Walii, to Jacko się przyplącze, żeby poprawić kołdrę. Chociaż ja to i tak mam szczęście - burczała, robiąc porządek na biurku, bo w weekend chciała się pobyczyć bez wyrzutów sumienia. - Nie muszę wysłuchiwać „wersji autoryzowanej” po raz milionowy. - Naśladując wznoszącą się, dramatyczną intonację Jacko, wyrecytowała: - „Leżałem i dumałem nad końcem moich marzeń, przekonany, że nie mam już po co żyć. Wtedy, w otchłani mojej rozpacz, ujrzałem wizję”. - Betsy powtórzyła podpatrzony u Jacko zamaszysty gest, jaki często robił zdrową ręką. - „Uosobienie piękna, tę oto kobietę. Przy moim szpitalnym łóżku stała ta, dzięki której zrozumiałem, że pomimo wypadku jednak warto żyć”.

Ta historyjka miała się nijak do rzeczywistości. Betsy pamiętała pierwsze spotkanie Micky z Jacko i nie była to miłość od pierwszego

wejrzenia ani romans, od którego ziemia trzęsie się w posadach. Wspomnienia Betsy były zupełnie inne i znacznie mniej romantyczne. Micky debiutowała w roli korespondentki terenowej numer jeden w głównym wieczornym wydaniu wiadomości. Dzięki niej miliony zafascynowanych telewidzów mogły oglądać pierwszy wyłączny wywiad z Jacko Vance'em, bohaterem najgłośniejszej osobistej tragedii, którą wtedy żyły media. Betsy obejrzała wywiad w domu, sama, niesamowicie przejęta, że w jej ukochaną wgapia się dziesięć milionów par oczu, i zachwycona.

Stan uniesienia nie trwał długo. Świątowały, oglądając wywiad nagrany na kasetę, przy migotliwym świetle telewizora, gdy w przyjemną atmosferę wdarł się dzwonek telefonu. Odebrała go Betsy, rozśpiewana. Dziennikarka, która powitała ją jako dziewczynę Micky, wyssała z niej całą radość. Pomimo lodowatych, stanowczych protestów Betsy i ironicznych uwag Micky, obie kobiety rozumiały, że ich związek może się niebawem stać pożywką dla brukowców.

Cierpliwa kampania, jaką Micky wszczęła w odpowiedzi na podstępny atak dziennikarskich sępów, była zaplanowana równie drobiazgowo i zrealizowana równie twardo jak każde posunięcie dotyczące jej kariery. Każdego wieczoru w oknach dwóch oddzielnych sypialni zaciągały się zasłony i zapalały światła. Lampy włączały się o różnych porach: tą w „zapasowej” sypialni zawiadywała czasówka, którą Betsy każdego dnia ustawiała na inną godzinę. Codziennie rano, znowu o różnych porach, zasłony w sypialniach rozjeżdżały się, choć okna zasłaniała i odsłaniała ta sama

para rąk. Obejmowały się tylko w miejscach niedostrzegalnych z zewnątrz, nawet gdy zasłony w oknach były szczelnie zaciągnięte, albo w holu skrytym przed oczami obserwatora. Jeżeli z domu wychodziły równocześnie, rozstawały się na ostatnim stopniu schodów, żegnając się jak znajome, bez fizycznego kontaktu.

Troska o to, by domniemanym podglądaczom nie trafił się najmniejszy kąsek, zapewne dałaby większości osób poczucie bezpieczeństwa. Micky jednak uważała, że najlepszą obroną jest atak. Skoro brukowce szukały sensacji, już ona im tę sensację zafunduje. Musiała tylko wymyślić coś bardziej podniecającego, wiarygodnego i ociekającego seksem od tego, co tamtym udało się wywęszyć. Za bardzo zależało jej na Betsy, żeby narażać na szwank spokój ducha ukochanej albo i cały ich związek.

Nazajutrz po złowróżbnym telefonie Micky wygospodarowała wolną godzinę. Podjechała do szpitala, w którym leczył się Jacko, i czarowała pielęgniarki, aż w końcu wpuściły ją na salę. Jacko najwyraźniej ucieszył się z jej wizyty, i to nie tylko dlatego, że przysłała z podarunkiem w postaci miniaturowego radia AM/FM ze słuchawkami. Co prawda przyjmował silne leki przeciwbólowe, ale był przytomny i otwarty na wszystko, co mogło rozproszyć nudę szpitalnego życia. Przez pół godziny gawędziła niezobowiązująco o wszystkim i o niczym, unikając tematów wypadku i amputacji, po czym, szykując się do wyjścia, pochyliła się nad rekonwalescentem, by po przyjacielsku cmoknąć go w czoło. Nie było w tym przymusu. Nie bez zdziwienia stwierdziła, że Jacko budzi w niej sympatię.

Okazało się, że wcale nie jest takim aroganckim macho, jakiego się spodziewała po wcześniejszych doświadczeniach z gwiazdami sportu. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, iż wcale nie użalał się nad sobą. Odwiedziny Micky może i zrodziły się z cynicznego egoizmu, ale w bardzo krótkim czasie stały się przyjemnością, z początku dlatego, że szanowała Jacko za stoicyzm, potem dlatego, iż najzwyczajniej dobrze się czuła w jego towarzystwie. Co prawda sobą interesował się chyba bardziej niż nią, zawsze jednak był zabawny i sympatyczny.

Po pięciu dniach i czterech wizytach Jacko zadał pytanie, na które czekała.

- Dlaczego mnie odwiedzasz?

Micky wzruszyła ramionami.

- Bo cię lubię?

Brwi Jacko uniosły się na chwilę, jakby chciał powiedzieć: „To nie powód”.

Westchnęła i podjęła świadomy wysiłek, by odwzajemnić jego zamyślane spojrzenie.

- Nigdy nie brakowało mi wyobraźni. Rozumiem też pęd do sukcesu. Urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby osiągnąć to, co osiągnęłam. Wymagało to pewnych poświęceń i niejednokrotnie musiałam zachować się tak, że w każdych innych okolicznościach umierałabym potem ze wstydu. Ale dotrzeć tam, gdzie chcę się znaleźć, jest najważniejszą rzeczą w moim życiu. I wiem, jak bym się czuła, gdyby coś, na co nie mam wpływu, przekreśliło moje marzenia. Dlatego budzisz we mnie... jak to nazwać? Empatię?

- Czyli? - spytał z nieprzeniknioną miną.

- Współczucie bez litości?

Kiwnął głową, jakby ta odpowiedź go ucieszyła.

- Pielęgniarka myśli, że ci się najzwyczajniej podobam.

Wiedziałem, że się myli.

Micky wzruszyła ramionami. Szło nadspodziewanie gładko.

- Nie odbieraj jej złudzeń. Ludzie są nieufni wobec pobudek, których nie rozumieją.

- Święta prawda - przytaknął z nutą goryczy, której wcześniej w jego głosie nie słyszała, choć powodów do rozgoryczenia miał aż nazbyt wiele. - Ale zrozumieć nie zawsze znaczy zaakceptować.

Micky podejrzewała, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Ale wiedziała też, kiedy lepiej przestać drążyć. Będzie mnóstwo okazji, żeby wrócić do tej sprawy. Kiedy wychodziła, dopilnowała, żeby pielęgniarka zobaczyła, jak całuje go na pożegnanie. Jeśli spisek ma być wiarygodny, wieści muszą się rozejść samoistnie, a nie zostać oficjalnie ogłoszone. A z dziennikarskiego doświadczenia wiedziała, że w szpitalach plotki rozchodzą się szybciej niż legionelloza. Potrzeba tylko jednego nosiciela.

Kiedy przyjechała po tygodniu, Jacko wydawał się nieobecny. Micky wyczuła, że targają nim potężne emocje, ledwie trzymane na uwierzy, ale nie potrafiła ich rozszyfrować. W końcu zmęczona monologowaniem spytała:

- Sam mi powiesz, czy wolisz czekać, aż jeszcze bardziej ci się podniesie ciśnienie i dostaniesz wylewu?

Po raz pierwszy, odkąd przyszła, spojrzał jej prosto w twarz. Przez sekundę myślała, że męczy go gorączka, potem uświadomiła sobie, że to furia, tak potężna, że Micky nie pojmowała, jakim cudem nad sobą panował. Wściekłość dławiała go za gardło i nie mógł wydobyć z siebie słowa. W końcu przemógł się ogromnym wysiłkiem woli.

- Moja pieprzona tak zwana „narzeczona” - warknął głucho.

- Jillie? - Micky miała nadzieję, że nie przekreśliła imienia. Widziały się przelotnie któregoś dnia, kiedy Micky zbierała się do domu. Smukła, ciemnowłosa ślicznotka, pełna seksu, ale raczej niewyglądająca na dziwkę.

- Suka - syknął; żyły nabrzmiały mu jak postronki.

- Co się stało, Jacko?

Zamknął oczy. Oddychał głęboko, szeroka pierś unosiła się, podkreślając asymetrię doskonałego do niedawna ciała.

- Rzuciła mnie - powiedział w końcu schrypniętym z nienawiści głosem.

- Nie - wyszeptała Micky. - Och, Jacko.

Delikatnie dotknęła jego pięści, zaciśniętej tak kurczowo, że bez trudu wyczuła oszalały puls. Aż się w nim gotuje, pomyślała Micky, a mimo to nie traci panowania nad sobą.

- Mówi, że nie potrafi sobie z tym poradzić. - Zaniósł się zgrzytliwym, cynicznym śmiechem. - Ona nie daje rady? Myśli, kurwa mać, że mnie z tym lekko?

- Przykro mi - powiedziała Micky nieporadnie.

- Widziałem to w jej twarzy, kiedy pierwszy raz odwiedziła mnie po wypadku. Ale wiedziałem już wcześniej. Wiedziałem, bo się jej nie śpieszyło. Czekala całe dwa dni, zanim przywlokła tu dupę. - Jego głos był ochryply i gardłowy, słowa pełne nienawiści. - A kiedy raczyła się pojawić, nie mogła znieść mojego widoku. Miała to wypisane na twarzy. Brzydziła się mnie. Widziła tylko moje kalectwo.

Wyszarpnął rękę i walnął nią w łóżko. - Jej strata.

Otworzył oczy i wpatrzył się w Micky z wściekłością.

- Nawet nie zaczynaj. Tylko tego mi jeszcze trzeba, żeby następna głupia suka patrzyła na mnie z góry. Najpierw tamta, nie przeszkadzało jej nawet, że wszystko słyszy ta cholerna pielęgniarka, a teraz ty. Daruj sobie!

Micky nawet nie drgnęła. Zbyt wiele razy użerała się z producentami i wychodziła obronną ręką, żeby się teraz zdenerwować.

- Ucz się rozpoznawać, kiedy ktoś okazuje ci szacunek - odpaliła ze złością. - Żałuję, że Jillian nie stać na to, żeby cię wesprzeć, ale im wcześniej się o tym dowiedziałeś, tym lepiej.

Jacko wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Oprócz dawnego trenera nikt nie rozmawiał z nim bez podszytej zdenerwowaniem czołobitności.

- Co? - wyskrzecztał; wściekłość ustąpiła miejsca konsternacji. Micky postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Teraz musisz zdecydować, jak to rozegrasz. - Co?

- To się wyda, prawda? Sam mówiłeś, że pielęgniarka już wie. Jak będą podawać ci herbatę, ktoś zadzwoni do redakcji i powie: „Rezerwujcie pierwszą stronę”. Jeśli chcesz, możesz pogodzić się z rolą obiektu politowania: bohater porzucony przez dziewczynę, ponieważ przestał być prawdziwym mężczyzną. Wszyscy będą ci współczuć, znajdą się i tacy, którzy będą opluwać Jillie na ulicy. Ale masz alternatywę, możesz się zemścić i jeszcze na tym skorzystać.

Jacko otwierał już usta, ale się nie odezwał. W końcu tonem, jaki koledzy z drużyny olimpijskiej uznaliby za sygnał do włożenia kamizelek kuloodpornych, poprosił:

- Mów dalej.

- Twój wybór. Chcesz, żeby ludzie widzieli w tobie ofiarę czy zwycięzcę?

Pod uważnym, taksującym spojrzeniem Micky poczuł się tak, jak niegdyś na stadionie, stając przed nowym wyzwaniem.

- A jak myślisz? - zakpił.

- Jak słowo daję, człowieku, co za dziura - narzekał Leon, zakreślając kawałkiem kurczaka w cieście łuk, który najwyraźniej obejmował nie tylko restaurację, ale i większą część West Riding w Yorkshire.

- Najwyraźniej nie byłeś nigdy w Greenock w sobotni wieczór - stwierdził Simon sucho. - Wierz mi, Leon, przy nim Leeds to światowa metropolia.

- Jak takie zadupie może być światowe - zachnął się Leon.

- Wcale nie jest tak źle - wtrąciła Kay. - Świetne miejsce do robienia zakupów.

Nawet poza seminaryjną salą, jak zauważyła Shaz, Kay natychmiast wchodziła w rolę mediatorki: włosy przygładzała z taką samą zręcznością, z jaką pacyfikowała zbyt ożywione rozmowy.

Simon jęknął teatralnie.

- Och, proszę cię, Kay, tylko nie przeskakuj na nijakie babskie tematy. Śmiało, zrób mi tę przyjemność i powiedz, że w Leeds są fantastyczne salony piercingu. Kay pokazała mu język.

- Odczep się od Kay, bo jak nie, to my, kobiety, rozważymy możliwość piercingu pewnej cennej części twojej anatomii za pomocą tej oto butelki po piwie - powiedziała Shaz ze słodyczą i pokiwała butelką kingfishera.

Simon uniósł ręce.

- Dobra. Będę grzeczny, jeśli wy, kobiety, obiecacie, że nie zbijecie mnie plackiem.

Zrobiło się cicho, bo czwórka policjantów z zapalem zabrała się za przystawki. Sobotni wieczorny wypad na potrawkę curry powoli stawał się dla tego kwartetu swoistym rytuałem; pozostała dwójka wolała wracać na stare podwórko niż odkrywać nowe. Kiedy Simon zaproponował wspólne wyjście, Shaz nie była pewna, jak zareagować. Ale Simon umiał być przekonujący, w dodatku komendant Bishop wyraźnie nadstawiał uszu i nie chciała zarobić minusa za brak koleżeńskiej. Zgodziła się zatem i, ku swojemu zaskoczeniu, spędziła przyjemny wieczór. Mimo to wykręciła się od zaplanowanej

na później wyprawy do nocnego klubu, wymawiając się jakimiś obowiązkami. Teraz, po trzech tygodniach od wstąpienia do zespołu profilerskiego, przyłapała się na tym, że naprawdę nie może się doczekać wspólnego wieczoru, i to nie tylko dlatego, że lubiła indyjską kuchnię.

Jak zwykle Simon pierwszy opróżnił talerz.

- Mówię tylko, że to dzicz.

- Czy ja wiem - zamyśliła się Shaz. - Mają mnóstwo dobrych hinduskich knajpek, nieruchomości są tanie, więc stać mnie na coś większego od zajęczej nory, no i z jednej części centrum do innej można się wybrać pieszo, zamiast przez godzinę tłuc się metrem.

- Albo na wieś. Nie zapominajcie, jak blisko jest stąd na wieś - uzupełniła Kay.

Leon odchylił się w krześle, jęcząc i teatralnie przewracając oczami jak karykatura czarnoskórego z „Black and White Minstrel Show”^{*}.

^{*}„Black and White Minstrel Show” - cykl programów telewizyjnych, popularyzujących muzykę amerykańskiego Południa i utrwalających rasistowskie stereotypy, nadawany w Wielkiej Brytanii w latach 1958-1978 (przyp. tłum.).

- Heathcliffieeee... - zajodlował falsetem.

- Dziewczyna dobrze gada - wtrącił Simon. - Boże, jaki ty jesteś banalny, Leon. Powinieneś wyrwać się z miasta, odetchnąć świeżym powietrzem. Co powiecie na to, żebyśmy się jutro wybrali na spacer?

Chętnie bym się przekonał, czy wrzosowisko Ilkley Moor jest takie jak w piosence. Shaz roześmiała się.

- Co? Chcesz powłóczyć się bez czapki, żeby sprawdzić, czy naprawdę można się przeziębic na śmierć?

Pozostała trójka także zaniósła się śmiechem.

- Widzisz, człowieku, dobrze mówiłem. To dzicz. Jedyne, co można tu robić, to iść, gdzie nogi poniosą. Kurde, Simon, nie ja tu jestem banalny. Wiesz, że drogówka już trzy razy mnie haltowała, odkąd się przeprowadziłem? Nawet ci z metropolitalnej są trochę bardziej uświadomieni, żeby nie myśleć, że każdy czarny, który ma przyzwoite cztery kółka, musi zaraz być dilerem narkotyków - stwierdził Leon gorzko.

- Nie zatrzymują cię dlatego, że jesteś czarny - oświadczyła Shaz, gdy Leon umilkł i przypalił papierosa.

- Nie? - Leon wstrzymał oddech.

- Nie, zatrzymują cię za posiadanie niebezpiecznego narzędzia.

- Jak to?

- Twój elegancki gajer, skarbie. Zaprasowany w taki kancik, że jeszcze trochę i pokaleczyłbyś się przy ubieraniu. Jak się ma na sobie taką brzytwę, to jasne, że drogówka cię zatrzyma.

Shaz uniosła rękę, żeby Leon przybił piątkę. Zrobił to, ze smętną miną, pośród salw śmiechu pozostałej dwójki.

- Ty to dopiero jesteś brzytwa, Shaz - rzucił Simon, a ona zadała sobie pytanie, czy tylko pikantne jedzenie odpowiada za szkarłatne rumieńce na jego bladych zwykle policzkach.

- Skoro już mowa o ostrych zawodnikach... - wpadła mu w słowo Kay, gdy na stoliku pojawiły się główne dania: - Przed Tonym Hillem nic się nie ukryje, no nie?

- Bystrzacha z niego, to fakt - przyznał Simon, odgarniając ciemne włosy ze spoconego czoła. - Wolałbym tylko, żeby trochę wyluzował. Zupełnie jakby stał za ścianą, do której można podejść, ale przez którą nic nie widać.

- Powiem wam, dlaczego tak jest - powiedziała Shaz, nagle poważniejąc. - Bradfield. Homobójca.

- Sprawa, która równo i zdrowo się pochrzaniła, taa? - spytał Leon.

- Zgadza się.

- A wiesz coś? Myślałam, że skutecznie to zatuszowali? - podchwyciła Kay; jej skupiona twarz przypominała Shaz pyszczek małego zwierzątka futerkowego, uroczego, ale wyposażonego w ostre ząbki. - W prasie robili najróżniejsze aluzje, ale nigdy nie podali szczegółów.

- Wierście mi - mruknęła Shaz, wpatrzona w połówkę kurczaka na talerzu przed sobą; pożałowała raptem, że nie zamówiła wegetariańskiego dania. - Wolelibyście nie znać szczegółów. Jeśli interesuje was cała historia, poszperajcie w Internecie. Takie drobiazgi jak takt czy apele władz o nieujawnianie informacji nikomu nie przeszkodziły. Jak słowo daję, jeżeli zdołacie przebrnąć przez sprawozdania o tym, co przeszedł Tony Hill, i nie będą was

nachodziły myśli, czy praca w tym fachu to dobry pomysł, to jesteście cholerne kozaki.

Milczeli przez chwilę. Potem Simon pochylił się do przodu i spytał konfidencjonalnym tonem:

- Ty nam opowiesz, prawda, Shaz?

2

Zawsze przychodził kwadrans przed umówioną porą, bo wiedział, że ona będzie przed czasem. Bez względu na to, na którą się umawiali, one zawsze pojawiały się wcześniej, przekonane, że mają do czynienia z Titeliturym, człowieczkiem, który potrafił ze słomy prozaicznego życia pruć dwudziestoczerokaratowe złoto.

Donna Doyle - już nie „następna”, co raczej „najnowsza” - nie stanowiła tu wyjątku. Gdy jej sylwetka zmaterializowała się na tle przyćmionych świateł parkingu, z miażdżącą siłą rozbrzmiała mu w głowie nieporadna dziecinna melodyjka. *Raz Jack i JM na wzgórze szli, by przynieść wiadro wody...*

Potrząsnął głową jak znudzony oglądaniem rafy koralowej nurek po wynurzeniu się nad tafelę wody. Patrzył, jak idzie w jego kierunku, ostrożnie lawirując między drogimi brykami, ukradkiem rozglądając się na boki, z ledwie widoczną zmarszczką na młodym, gładkim czole, jakby nie pojmowała, dlaczego niewidzialne czułki nie wskazują jej drogi prosto w jego ramiona. Zauważył, że zrobiła, co mogła, by prezentować się jak najlepiej; szkolna spódnica najwyraźniej była podwinięta w talii, żeby uwidocznic zgrabne nogi, szkolna bluzka rozpięta o jeden guzik więcej, niż rodzice albo nauczyciele by to

zaaprobowali, blezer przerzucony przez ramię i udrapowany tak, by zasłonić plecak ze szkolnymi przyborami. Makijaż mocniejszy niż wczoraj; jego przesadna teatralność katapultowała ją wprost w wiek średni. Włosy lśniły atramentową czernią, rozwichrzone i krótkie, łapiące refleksy przytłumionych świateł.

Kiedy Donna przechodziła obok jego samochodu, znienacka otworzył drzwiczki od strony pasażera. Powódź blasku, jaka wylała się z wnętrza auta, przestraszyła ją; aż podskoczyła, choć rozpoznała jego piękny profil, wyrysowany ciemną kreską na tle świetlistego trójkąta. Szyba w oknie była przezornie opuszczona.

- Wsiadaj, to ci opowiem, o co w tym wszystkim chodzi - zagadnął neutralnym tonem.

Donna zawahała się, zbytnio jednak wierzyła w jego wyidealizowany publiczny wizerunek, żeby wykorzystać ten moment na rzetelną refleksję. Wślizgnęła się na sąsiednie siedzenie. Zadbał, by nie uszło jej uwagi, że nawet nie zerknął na spory kawałek odsłoniętego przez chwilę uda. Na tym etapie wstrzemięźliwość to najlepsza strategia. Z uśmiechem, kokieteryjnym i niewinnym zarazem, wyznała:

- Obudziłam się dziś i nie byłam pewna, czy to mi się tylko nie śniło.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Stale się tak czuję - zapewnił obłudnie. - Zastanawiałem się, czy nie zmienisz zdania. Możesz pokierować swoim życiem na tyle

sposobów, a w końcu jest tyle bardziej wartościowych rzeczy od pracy w telewizji.

- Ale pan udowodnił, że jedno drugiemu nie przeszkadza - zapewniła z przekonaniem. - Cała ta działalność charytatywna. Przecież właśnie dlatego, że gwiazdy telewizyjne są sławne, zbierają tyle pieniędzy. Ludzie płacą, żeby je oglądać. Inaczej nie wyłożyliby kasy. Chcę móc robić to samo. Być jak te gwiazdy.

Nieziszczalny sen. A raczej koszmar. Niemożliwe, by kiedykolwiek stała się taka jak on. Tacy jak on byli niesłychaną rzadkością, niemal dowodem na istnienie Boga. Uśmiechnął się dobrodusznie jak papież z balkonu swojej watykańskiej rezydencji. Wiedział, za które sznurki należy pociągnąć.

- No, może mógłbym ci pomóc w starcie - powiedział, a Donna mu uwierzyła.

Trzymał ją w garści: była sama, posłuszna każdemu jego słowu, w jego samochodzie na podziemnym parkingu. Gdyby chciał, mógłby ją porwać i wywieźć na koniec świata.

Ale tylko głupiec rozumowałby w taki sposób. Zrozumiał to już dawno temu, a nigdy nie był głupi. Po pierwsze, parking jest opustoszały, ale nie pusty. Biznesmeni oddawali w recepcji klucze do pokoi, pakowali garnitury w wypchanych pokrowcach do dyrektorskich sedanów i na wstecznym wyjeżdżali z ciasnych miejsc parkingowych. Zauważali znacznie więcej, niż można by się spodziewać. Po drugie, na dworze był biały dzień, centrum miasta jak girlandą spowite światłami sygnalizacji miejskiej, a w korkach

mnóstwo ludzi, którzy z braku ciekawszych zajęć gapili się na osoby w sąsiednim aucie. Natychmiast zwróciliby uwagę na taki samochód. Srebrny mercedes, dostatecznie luksusowy, żeby wpadać w oko i budzić podziw. Albo, rzecz jasna, zawiść. Potem mozolnie złożyliby litery na zderzaku: „Używane samochody przedstawione w »Wizytach Vance’a« dostarczyła firma Morrigan Mercedes z Cheshire”. Domyślając się bliskości gwiazdora, zerkaliby za przyciemniane szyby. Nie zapomnieliby o tym szybko, zwłaszcza gdyby na przednim siedzeniu wypatrzyli ładniutką nastolatkę. Kiedy jej zdjęcie ukaże się w lokalnej gazecie, mogłoby się okazać, że pamiętają aż za wiele.

A przed nim pracowity dzień.

Toteż rozbudzał tylko apetyt dziewczyny.

- Nie wierzyłem własnym oczom, gdy zobaczyłem cię wczoraj wieczorem. Byłabyś po prostu idealną współprowadzącą. Przy dwojgu gospodarzy najważniejszy jest kontrast. Ciemnowłosa Donna, jasnowłosa Jacko. Filigranowa Donna, masywny, wielki brutal Jacko.

- Błysnął zębami w uśmiechu, ona zachichotała. - Pracujemy teraz nad nowym teleturniejem, rodzice kontra dzieciaki. Ale drużyny nie wiedzą, że uczestniczą w programie, dopóki nie zjawimy się my, żeby porwać ich na antenę. Kompletnie zaskoczenie, jak w „Mamy cię”. To jeden z powodów, dla których musimy być absolutnie pewni, że ktokolwiek ostatecznie poprowadzi ze mną program, będzie to osoba w stu procentach godna zaufania. Absolutna dyskrecja jest nieodzowna.

- Umiem trzymać język za zębami - zapewniła Donna z przejęciem. - Słowo. Nikomu nie powiedziałam, że jadę na spotkanie z panem. Koleżance, która była ze mną na wczorajszej imprezie, powiedziałam tylko, że zadałam panu jedno pytanie: czy ma pan dla mnie jakąś radę, jak bym chciała dostać się do telewizji.

- A miałem? - badał grunt.

Uśmiechnęła się, łatwowiernie i uwodzicielsko.

- No więc, pan powiedział, że powinnam zdobyć określone kwalifikacje, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję o wyborze kariery. Kupiła to, bo za mało o panu wie. Pan nigdy by nie wyjeżdżał z nudnymi kazaniem w stylu mojej mamy.

- Brawo - pochwalił. - Przy mnie nigdy nie będziesz się nudziła, to akurat mogę ci obiecać. Niestety, przez parę najbliższych dni będę bardzo zajęty. Ale na piątek rano mogę bez problemu załatwić ci zdjęcia próbne. Jest takie studio nagrań na północnym wschodzie i moglibyśmy tam popracować.

Usta jej się rozchyliły, oczy rozbłysły w przyciemnionym wnętrzu samochodu.

- Serio? Mogę wystąpić w telewizji?

- Niczego nie obiecuję, ale masz wymarzoną prezencję i piękny głos. - Obrócił się nieco i spojrzał przeciągle w jej oczy. - Musisz mnie tylko przekonać, że naprawdę potrafisz dochować tajemnicy.

- Już... już panu mówiłam - wykrztusiła Donna ze skonsternowaną miną. - Nikomu nie powiedziałam ani słowa.

- Tylko czy wytrwasz? Czy będziesz umiała milczeć do czwartku? - Wyjął ze spodniej kieszeni kurtki bilet kolejowy. - To bilet do stacji Five Walls Halt w Northumberland. W czwartek na najbliższej stacji wsiądziesz do pociągu do Newcastle, który odjeżdża o trzeciej dwadzieścia pięć, w Newcastle przesiądziesz się na pociąg do Carlisle, odjazd siódma pięćdziesiąt. Po wyjściu ze stacji po lewej stronie zobaczysz parking. Będę na ciebie czekać w land roverze. Nie mogę być na peronie, bo obowiązuje mnie klauzula poufności, ale przyrzekam, że zastaniesz mnie na parkingu. Znajdziemy ci jakiś nocleg, a od samego rana ruszymy ze zdjęciami próbnymi.

- Mama wpadnie w panikę, jeśli nie wrócę na noc, nie będzie wiedziała, gdzie jestem - zaprotestowała bez przekonania.

- Możesz do niej zadzwonić, jak tylko dotrzemy do studia - uspokoił. - Bądźmy szczerzy, najprawdopodobniej nie pozwoliłaby ci na udział w zdjęciach próbnych, gdyby o wszystkim wiedziała, prawda? Założę się, że jej zdaniem występowanie w telewizji to nie jest normalna praca, mam rację?

Jak zawsze, perfekcyjnie to sobie wykalkulował. Zmartwiona minka znikła, Donna spojrzała na niego ufnie.

- Nie powiem ani słowa - obiecała uroczyście.

- Grzeczna dziewczynka. Mam nadzieję, że mówisz szczerze. Jedno słowo do niewłaściwego ucha i z projektu nici. A to kosztuje, i nie mówię tylko o pieniądzach, ale i o ludziach, którzy mogą stracić posady. Ty powiesz coś swojej najlepszej przyjaciółce, ona wspomni o tym siostrze, siostra swojemu chłopakowi, chłopak wygada

najlepszemu kumplowi przy partyjce snookera, a bratowa kumpla okaże się dziennikarką. Albo zajmuje kierownicze stanowisko w konkurencyjnej sieci telewizyjnej. I twoja wielka szansa idzie z dymem. Coś ci powiem. Na początku kariery dostajesz tylko jedną szansę. Schrzanisz ją i nikt cię więcej nie zatrudni. Musisz nazbierać na koncie wiele sukcesów, zanim szefowie z telewizji wybaczą ci drobną wpadkę. - Pochylił się i oparł dłoń na jej ramieniu, naruszając przestrzeń osobistą dziewczyny; chciał, żeby odczuła erotyczny dreszczyk, ale i zrozumiała, że potrafi być groźny.

- Rozumiem - zapewniła Donna z całym przekonaniem czternastolatki, która uważa, że jest naprawdę dorosła, i nie rozumie, dlaczego dorośli nie chcą jej wciągnąć do spisku. Perspektywa wkroczenia w wielki świat wystarczyła, by łyknęła tę nedorzeczną opowiadkę.

- Mogę na tobie polegać? Pokiwała głową.

- Nie rozczaruję pana. Ani w tym, ani w niczym innym. Ewidentnie seksualna aluzjka. Zapewne nadal jest dziewicą, pomyślał. Składała mu siebie w ofierze jak westalka.

Przysunął się i ucałował miękkie, zapraszające usta, które ufnie rozchyliły się pod jego świętoszkowato zaciśniętymi wargami. Odsunął się i uśmiechnął, by złagodzić jej zawód. Zawsze pozostawiał im niedosyt. To najstarsza sztuczka w show-biznesie. Działała bez pudła.

Carol zgarnęła resztkę jalfrezi z kurczaka kawałkiem placka chlebowego i rozkoszowała się ostatnim kęsem.

- Za takie pyszności - powiedziała nabożnym tonem - warto umrzeć.

- Jeszcze sporo zostało - odparła Maggie Brandon, popychając w jej stronę ciężki półmisek z zapiekanką.

- Musiałabym napakować sobie po kieszeniach - jęknęła Carol. - We mnie już nic się nie zmieści.

- Chcesz, dam ci trochę na wynos, zjesz sobie w domu? - zaproponowała Maggie. - Wiem, w jakich wariackich godzinach będziesz pracowała. Gotowanie to ostatnia rzecz, na jaką starczy ci czasu. Kiedy John awansował na starszego inspektora, miałam ochotę zapytać komendanta, czy rodzina może się wprowadzić do cel przy Scargill Street. Wydawało mi się, że to jedyny sposób, żeby dzieciaki choć czasem go widywały.

John Brandon, komendant policji wschodniego Yorkshire, potrząsnął głową i wtrącił z czułością:

- Okropna z niej kłamczucha. Mówi takie rzeczy, żeby wzbudzić w tobie wyrzuty sumienia, bo wtedy będziesz pracowała tak ciężko, że ja nie będę się musiał o nic martwić.

Maggie prychnęła jak kotka.

- Już to widzę! A jak myślisz, Carol, dlaczego on wygląda tak, jak wygląda, hmm?

Carol posłała Brandonowi przebiegłe spojrzenie. To było dobre pytanie. Jeżeli ktokolwiek urodził się z cmentarnym obliczem, to

właśnie Brandon. Jego twarz składała się wyłącznie z pionowych linii, długa i wąska; pionowe zmarszczki na zapadniętych policzkach, pionowe linie zmarszczek między brwiami, orli nos, stalowoszare włosy proste jak kratownica na mapie. Wysoki i szczupły, lekko przygarbiony: brakowało mu tylko kosy w dłoni, żeby mógł wziąć udział w zdjęciach próbnych do roli Kostuchy. Carol zastanawiała się, co powiedzieć. Dzisiaj mogło być John”, ale jutro znowu będzie „panie Brandon”. Lepiej nie nadużywać nieoficjalnej znajomości z szefem.

- A ja myślałam, że to dlatego, że jest szczęśliwy w małżeństwie
- odpowiedziała niewinnie.

Maggie ryknęła śmiechem.

- Nie tylko bystra dziewczyna, ale i dyplomatka, co? -
wykrztusiła w końcu i poklepała męża po ramieniu. - Dobrze zrobiłeś,
że przekonałeś Carol do porzucenia zbytków Bradfield na rzecz tej
pipidówki, kochanie.

- Skoro o przeprowadzkach mowa, czy już się tu
zadomowiliście?

- Cóż, to mieszkanie zastępcze - wyjaśniła Maggie, wskazując
gładkie białe ściany z lamperiami, które wypadały blado w
porównaniu z imitującym marmur, ręcznie malowanym wzorem na
ścianach w ich bradfieldzkim salonie. - Ale będzie musiało
wystarczyć. Dom w Bradfield już wynajęliśmy, wiesz? Za pięć lat
stuknie Johnowi trzydziestolecie służby i będziemy chcieli wtedy
wrócić. Tam są nasze korzenie, nasi przyjaciele. A dzieciaki pokończą

do tego czasu szkoły, więc nie będzie tak, że znowu wywrócimy ich życie do góry nogami.

- Maggie nie wspomniała o tym, że czuje się trochę jak wiktoriańska misjonarka wśród Hotentotów - uzupełnił Brandon.

- No, sam przyznasz, że wschodnie Yorkshire trochę się różni od Bradfield. Mnóstwo pięknych krajobrazów, ale ani jednego przyzwoitego teatru w promieniu godziny jazdy samochodem. Raptem jedna księgarnia, w której można kupić wszystko oprócz bestsellerów. Bo o operze najlepiej od razu zapomnieć! - narzekała Maggie, zbierając nakrycia.

- Nie poprawia wam humoru to, że dzieci wychowują się z dala od wpływu śródmięscia? Poza zasięgiem narkotykowych lordów? - spytała Carol żartem.

Maggie potrząsnęła głową.

- Miejscowi są tacy... wyspiarscy, Carol. W Bradfield dzieciaki miały przyjaciół z najróżniejszych środowisk, azjatyckiego, chińskiego, afrokaraibskiego. Był nawet jeden chłopaczek z Wietnamu. A tutaj swój ciągnie do swego. Z braku ciekawszych zajęć godzinami sterczą na ulicach. Pochlebiam sobie, że moje dzieci mają dość rozsądku, żeby trzymać się z dala od śródmięscia, więc wolałabym ryzyko w zamian za wszystkie możliwości, jakie oferowało Bradfield. Wieś jest stanowczo przereklamowana.

Pomaszerowała do kuchni.

- Przepraszam - stropiła się Carol. - Nie wiedziałam, że to drażliwy temat.

Brandon wzruszył ramionami.

- Maggie już taka jest. Dajmy jej jeszcze kilka miesięcy i będzie trzęsła całym miasteczkiem. Dzieciakom całkiem się tu podoba. A tobie? Jak twój nowy dom?

- Jestem nim zachwycona. Para, od której go kupiłam, wyremontowała go bez zarzutu.

- W takim razie dziwię się, że go sprzedali.

- Rozwód - wyjaśniła Carol krótko. - Ach.

- Myślę, że oboje bardziej smucili się utratą domu niż małżeństwa. Musicie z Maggie koniecznie wpaść do mnie na kolację.

- O ile znajdziesz czas na zrobienie zakupów - przepowiedziała Maggie posepnie, niosąc duży dzbanek kawy.

- Cóż, w razie czego pošlę Nelsona, żeby upolował dla nas królika. - Jemu wiejskie życie pewnie bardzo się podoba, tyle okazji do mordowania? - spytała Maggie kwaśno.

- Jest przekonany, że umarł i trafił do kociego raju. Wy może i tęsknicie za śródmieściem, ale on z dnia na dzień zmienił się we włościanina.

Maggie naląła im kawy, po czym oznajmiła:

- A teraz zostawię was samych, jeśli pozwolicie. Wiem, że aż was skręca, żeby nareszcie pogadać o pracy, a ja obiecałam Karen, że odbiorę ją z Seaford po kinie. Z taką ilością kawy do świtu sen was nie zmorzy, a gdybyście nabrali ochoty na małą przekąskę, w lodówce jest domowy sernik. Od razu uprzedzam, że Andy zapowiedział się na jakąś dziesiątą, więc poczęstujcie się, zanim wróci. Słowo honoru, ten

chłopak chyba ma robaki. Albo to, albo nogi puste w środku. - Energicznie pochyliła się nad Brandonem i z czułością cmoknęła go w policzek. - Miłej zabawy.

Z mętym poczuciem, że właśnie została fachowo w coś wrobiona, Carol napiła się kawy i czekała. Gdy padło pytanie Brandona, nie było dla niej najmniejszym zaskoczeniem.

- No, więc jak ci idzie osvajanie się z nowym terenem? - Ton był pogodny, ale spojrzenie czujne.

- To jasne, że są wobec mnie nieufni. Nie dość, że jestem kobietą, co w łańcuchu ewolucyjnym wschodniego Yorkshire wypada gdzieś między tchórzofretką a pinczerem, to jeszcze wtyczką samego komendanta. Ściągniętą z wielkiego miasta, żeby zagnać ich do kieratu - odpowiedziała ironicznie.

- Obawiałem się, że będą ci robić problemy - zmartwił się Brandon. - Ale musiałaś przecież wiedzieć, co cię czeka, kiedy zgodziłaś się tam pracować.

Carol wzruszyła ramionami.

- Zdziwić to się nie zdziwiłam. Zresztą i tak jest lepiej, niż przewidywałam. Może w dalszym ciągu starają się być grzeczniutcy, ale myślę sobie, że to nie jest zła ekipa. Przed reorganizacją utknęli na odludziu, nikt się nimi nie interesował, więc się trochę rozleniwili, zrobili trochę niedbali. Na moje oko jedna czy dwie osoby wydają więcej, niż zarabiają, ale nie sądzę, żeby chodziło o głęboko zakorzenioną, systemową korupcję.

Brandon z zadowoleniem pokiwał głową. Bardzo szybko zorientował się, że osądom Carol Jordan można ufać, i dlatego postanowił namówić ją do wyjazdu z Bradfield. Carol będzie robiła swoje w Seaford, wieści się rozejdą, a potem zmiana sposobu działania innych wydziałów dochodzeniowych stanie się kwestią czasu. Czasu i niekiedy kija, ale Brandon nie bał się go użyć.

- A co z aktami, jest coś, co przyprawia cię o ból głowy? Carol dopiła kawę i ponownie napełniła filiżankę, po czym chciała podać dzbanek Brandonowi, ale on podziękował tylko skinieniem głowy. W zamyśleniu zmarszczyła czoło, porządkując informacje.

- Jest - przyznała. - Bo rozmawiamy nieoficjalnie? Przytaknął gestem.

- No więc, jak przeglądałam zgłoszenia z nocy, zauważyłam, że mamy wysyp niewyjaśnionych pożarów i potencjalnych podpałek. Zawsze nocą, na niezamieszkanym posesjach, takich jak szkoły, fabryki, kawiarnie, magazyny. Niby nic dużego, ale, jak podsumować, spowodowały spore straty. Skrzyknęłam zespół, który ponownie przeprowadził przesłuchania w starych sprawach, szukał motywu, finansowego albo związanego z ubezpieczeniem. I nic. Rozmawiałam z szefem tamtejszej straży pożarnej, który udokumentował całą serię incydentów, ciągnącą się od czterech miesięcy. Żadnego z tych pożarów nie można ponad wszelką wątpliwość uznać za podpalenie, ale w jego ocenie mówimy o przedziale od sześciu do dwunastu przypadków celowego podłożenia ognia na tym terenie - zreferowała Carol.

- Seryjny podpalacz? - spytał Brandon łagodnie.
- Trudno to interpretować inaczej - przyznała.
- I co zamierzasz z tym zrobić?
- Złapać go - odpowiedziała z szerokim uśmiechem.
- No tak, cóż by innego. - Brandon także się uśmiechnął. - Masz

jakiś konkretny pomysł?

- Będę w dalszym ciągu współpracować z ekipą, która się tym zajmuje, no i pokuszę się o stworzenie profilu.

Brandon zmarszczył brwi.

- Ściągnąć kogoś z zewnątrz?

- Nie - rzuciła Carol ostro. - Za mało dowodów, nie ma sensu ponosić takich kosztów. Myślę, że spokojnie mogę sama się do tego przymierzyć.

Brandon patrzył na Carol z nieprzeniknioną miną.

- Nie jesteś psychologiem.

- Nie, ale dużo się nauczyłam w zeszłym roku, pracując z Tonym Hillem. Od tamtej pory przeczytałam o profilowaniu psychologicznym wszystko, co tylko wpadło mi w ręce.

- Powinnaś się zgłosić do tej jego nowej jednostki - stwierdził Brandon, wpatrując się w nią bez zmrużenia.

Carol czuła, że skóra na niej płonie. Miała tylko nadzieję, że wino i kawa dostatecznie tłumaczą, skąd te kolorki.

- Chyba nie szukali funkcjonariuszy w mojej randze - mruknęła.

- Oprócz komendanta Bishopa nie ma nikogo powyżej sierżanta. Poza

tym wolę ograniczyć się do uprawy jednego poletka, poznać ludzi, teren.

- Zaczynają pracę na pełnych obrotach już za kilka tygodni - ciągnął niewzruszenie Brandon. - Może ucieszyliby się, gdyby mogli już teraz spróbować swoich sił, poćwiczyć.

- Może i tak - zachnęła się Carol. - Ale to ja prowadzę tę sprawę. Nie dojrzałam do tego, żeby ją komuś przekazać.

- Świetnie - uciał Brandon; zaintrygował go fakt, iż Carol tak zazdrośnie strzeże kompetencji policji wschodniego Yorkshire. - Ale informuj mnie na bieżąco, dobrze?

- Oczywiście - zapewniła Carol.

Odetchnęła z ulgą. Wmawiała sobie, że zależy jej wyłącznie na tym, by okryć siebie i swój zespół chwałą, kiedy już rozwiążą tę sprawę. W głębi duszy jednak wiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego.

Noc w pomieszczeniu, które pośrednik handlu nieruchomościami, pokazując Shaz mieszkanie, szumnie nazwał „sypialnią gościnną”, niejedną osobę przyprawiłaby o bezsenność, zwłaszcza jeśli byłaby to osoba lubiąca poczytać przed zaśnięciem. W przeciwieństwie do regału w salonie, zawierającego niewinną kolekcję średnio ambitnych pozycji z gatunku prozy współczesnej, półki w sypialni, przemianowanej przez Shaz na gabinet, wypełnione były horrorami, z których większość rościła sobie pretensje do miana podręczników. Nie brakowało także kilku powieści, poddających

umysły psychopatów literackiej sekcji albo w anatomiczny sposób opisujących agonię, autorów takich jak Barbara Vine czy Thomas Harris. Mimo to w roboczym księgozbiornie Shaz królowały przede wszystkim dzieła dziwniejsze i brutalniejsze od najodważniejszej prozy. Gdyby istniało coś takiego, jak kurs doskonalący dla seryjnych zabójców, w jej biblioteczkę czekał gotowy komplet lektur.

Dolne półki okupowały książki, których w niejasny sposób się wstydziła - szmatławe, „oparte na faktach” biografie seryjnych zabójców o budzących strach pseudonimach, nastawione na sensację opowieści o morderczych „karierach”, za które życiem zapłaciły setki niewinnych ludzi. Nad szmatławcami stały biografie tych samych sprawców, lecz w bardziej już szacownych wydaniach, pretensjonalne tomiście, epatujące czytelnika finezyjnymi konkluzjami oraz psychologicznymi, socjologicznymi, a czasem najzwyczajniej nielogicznymi teoriami.

Następne piętro - na wysokości wzroku osoby siedzącej przy stole, na którym, obłożony notesami, spoczywał laptop Shaz - zajmowały relacje weteranów wojen przeciwko seryjnym przestępcom. Od początków profilowania psychologicznego upłynęło blisko dwadzieścia lat. Pionierzy, jeden po drugim, przechodzili na emeryturę, a każdy chciał powiększyć skromne dochody, plastycznie opisując swój wkład w rozwój najmłodszej dyscypliny nauk społecznych; stąd szereg studiów konkretnych przypadków, których autorzy ze swadą rozwodzili się nad swoimi sukcesami, bagatelizując niepowodzenia. Dotychczas byli to sami mężczyźni.

Nad autobiografiami stały najpoważniejsze dzieła, książki o takich tytułach jak „Psychopatologia zabójstwa na tle seksualnym”, „Analiza miejsca zbrodni” czy „Seryjny gwałt: Studium kliniczne”. Jedynie zawartość najwyższej półki - wybór tekstów prawniczych, w tym kilka opracowań Ustawy o Policji i Dowodach Kryminalnych - przemawiała za tym, że Shaz sposobi się do roli myśliwego, a nie zwierzyny. Takiej kolekcji Shaz nie zdażyłaby zgromadzić na przestrzeni raptem paru miesięcy, odkąd znalazła się w zespole profilerów; powstawała latami w oczekiwaniu na dzień, gdy Shaz zostanie poproszona o napisanie książki o ujętym przez siebie osławionym seryjnym zabójcy. Gdyby do łapania przestępców wystarczała jedynie znajomość literatury fachowej, Shaz byłaby krajową rekordzistką pod względem dokonanych aresztowań.

Wyłągała się od wspólnego wypadu do nocnego klubu, do którego mieli wybrać się po kolacji, pomimo nalegań pozostałej trójki. Nie chodziło tylko o to, że nie przepadała za dubbingiem. Dzisiaj własny gabinet wydawał się jej nieskończenie bardziej kuszący od wszystkiego, co mieli do zaoferowania DJ czy barman. Prawdę mówiąc, przez cały wieczór siedziała jak na szpilkach; nie mogła się doczekać, kiedy zasiądzie przed laptopem i dopracuje zestawienie informacji z baz danych. W ciągu trzech dni, odkąd Tony powierzył im pierwsze zadanie, Shaz każdą wolną chwilę poświęcała na ślęczenie nad notatkami z trzydziestu omawianych spraw. Nareszcie miała okazję, by teorie i branżowe sztuczki, jakie знаła z lektur, wypróbować w praktyce. Przeczytała wszystko nie raz, a trzy razy.

Dopiero kiedy była pewna, że dobrze wszystko zapamiętała i poukładała w głowie, zbliżyła się do komputera.

Baza danych, na której pracowała, nie była najnowocześniejszym programem na rynku software'u już wtedy, gdy Shaz przegrywała ją od kolegi ze studiów; obecnie program nadawał się na eksponat w muzeum mózgow elektronowych. Nie miał najnowszych bajerów, niemniej do jej potrzeb nadawał się znakomicie. Wyświetlał dane w przejrzysty sposób, pozwalał na definiowanie kategorii i kryteriów sortowania informacji, ponadto procedury, które musiała wykonywać, współgrały z jej intuicją i logiką, był zatem wyjątkowo prosty w obsłudze. Za wprowadzanie danych zabrała się z samego rana. Praca pochłonęła ją tak dalece, że w porze lunchu, byle tylko nie odrywać się na dłużej od monitora, zamiast czegoś ciepłego wybrała banana i pół paczki słonych herbatników. Pochłonęła je błyskawicznie, a potem na chwilę odwróciła laptopa, żeby okruszki wypadły z klawiatury.

Teraz, wpatrzona w monitor, uwolniona od wyjściowych ciuchów, ze starannie zmytym makijażem, Shaz czuła się szczęśliwa. Cursor myszy migotał, gdy za dotknięciem klawisza wyświetliło się menu, które interesowało ją bardziej niż najwykwintniejsza pozycja karty dań. Przesortowała „uciekinierów” według wieku i wydrukowała wyniki. Powtórzyła proces sortowania według kryterium lokalizacji geograficznej, typu fizycznego, wcześniejszych zatargów z prawem, szeregu wariantów dotyczących sytuacji domowej, nadużywania alkoholu i narkotyków, kontaktów

seksualnych i hobby. Chociaż nie odniosła wrażenia, by śledczych interesowało, w jaki sposób te dzieciaki spędzały wolny czas.

Shaz zajęła się wydrukami. Przystudiowała każdy z osobna, następnie rozłożyła wszystkie na blacie biurka, by porównać je ze swoimi notatkami. Przeanalizowała je jeszcze raz, posiłkując się zdjęciami; chciała mieć absolutną pewność, że nic jej się nie przywidziało.

- Och, moje śliczne... - powiedziała cicho i westchnęła.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Kiedy spojrzała ponownie, nic się nie zmieniło: powtarzały się nazwiska siedmiu dziewcząt. Po pierwsze, podobieństwa „na plus”. Wszystkie miały dość krótkie ciemne włosy i niebieskie oczy. Wszystkie miały czternaście, piętnaście lat, wzrost w przedziale od metra pięćdziesiąt sześć do metra sześćdziesiąt trzy. Mieszkały w domach z jednym lub obojgiem rodziców. W każdym przypadku znajomi i rodzice podkreślali, że zaginięcie dziewczyny było dla nich szokiem, że nie miała powodu do ucieczki. Zaginione zabierały ze sobą tylko jeden komplet ubrań na zmianę, co stanowiło główny powód, dla którego policja nie traktowała tych nastolatków jako potencjalnych ofiar porwania czy morderstwa, przynajmniej nie na serio. Czas zaginięcia także przemawiał za ucieczką. Cała siódemka jak co dzień wyruszyła do szkoły, ale do niej nie dotarła. W domu podały adres, pod którym rzekomo zamierzały spędzić noc i który w każdym przypadku okazał się fałszywy. Kropkę nad i stanowił fakt - chociaż tego akurat nie dało się przełożyć na język zrozumiały dla komputera - iż wszystkie były w

tym samym typie. Miały w sobie jakąś gotowość do flirtu, zmysłowy wygląd, dojrzałość w spojrzeniu, kierowanym na aparat fotograficzny, co wskazywało na to, że okres dziecięcej niewinności miały już za sobą. Były seksowne, czy o tym wiedziały, czy nie.

Potem podobieństwa „na minus”. Żadną nie zajmowała się opieka społeczna. Żadna nie miała konfliktów z policją. Znajomi przyznawali, że było trochę alkoholu na imprezkach, może nawet okazjonalnie jakiś skręt albo nawet odrobina speedu. Ale żadnych poważniejszych eksperymentów z narkotykami. Żadnych przesłanek, że którakolwiek z tych siedmiu dziewcząt zajmowała się prostytutką bądź padła ofiarą wykorzystywania seksualnego.

Rzecz jasna, nie wszystko się zgadzało. Trzy miały chłopaków w czasie poprzedzającym zniknięcie, cztery nie. Pochodziły z miejscowości rozrzuconych po całym kraju, od położonego na północy Sunderland, po najdalej wysunięte na południe Exmouth, między nimi Swindon, Grantham, Tamworth, Wigan i Halifax. Zaginięcia obejmowały okres sześciu lat, przy czym odstępy czasowe nie były stałe ani też nie skracały się, choć właśnie tego Shaz by się spodziewała, gdyby ta siódemka miała istotnie zginąć z ręki jednego seryjnego zabójcy.

Ale też mogły być i inne, o których Shaz nie wiedziała.

W niedzielę Shaz obudziła się nad ranem i próbowała siłą woli zmusić się do ponownego zaśnięcia. Wiedziała, że pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia, dzięki której poszukiwania związków

między teoretycznymi ofiarami mogłyby ruszyć z miejsca, ale rozumiała także, że to misja, przy której pośpiech jest niewskazany. Gdy kładła się nieco po północy, obiecała sobie, że w porze lunchu załatwi sprawę jednym telefonem. Kiedy jednak leżała w łóżku rozbudzona, z umysłem na najwyższych obrotach, choć dopiero dochodziła siódma, musiała przyznać sama przed sobą, że tylu godzin nie wytrzyma.

Wściekła, że nie obejdzie się bez pomocy, zrzuciła z siebie kołdrę. Pół godziny później dojeżdżała już do M1 na pełnym gazie.

Gdy brała prysznic, ubierała się i duszkiem piła kawę, słuchając wiadomości radiowych, nie miała czasu na rozmyślanie. Teraz, gdy przed nią rozciągała się pusta trzypasmówka, nic nie rozpraszało jej uwagi. Głos spikera nie wystarczy. Nawet mądrości Tony'ego Hilla nie zdadzą dziś egzaminu. Z rozdrażnieniem wepchnęła do magnetofonu kasetę z ariami operowymi i przestała udawać, że koncentruje się na jeździe. Przez najbliższe dwie i pół godziny nie będzie miała nic do roboty oprócz przeglądania własnych wspomnień tak, jak w deszczową niedzielę ogląda się stare filmy.

Przed dziesiątą wjechała do przypominającego barbakan podziemnego parkingu. Ucieszyła się, że parkingowy ją pamięta, jak na to liczyła. Na widok uśmiechniętej twarzy, która wychynęła zza drzwi jego kanciapy, zrobił zdziwioną minę.

- Witaj, nieznajoma - powiedział wesoło. - Dawnośmy tu pani nie widzieli.

- Przeprowadziłam się do Leeds - wyjaśniła, rozmyślnie nie precyzując kiedy; nie zaglądała tu od przeszło półtora roku, ale powody tego stanu rzeczy były wyłącznie jej sprawą.

- Nikt nie uprzedzał, że pani przyjedzie. Chris wie? - zauważył parkingowy, wstając.

Podążył za Shaz, która wycofała się z budki i schodziła już po schodach.

- To wynikło jakoś tak w ostatniej chwili - odparła wymijająco i otworzyła drzwi samochodu.

Parkingowemu najwyraźniej wystarczyła ta odpowiedź.

- Zostanie pani na noc? - spytał, lustrując wzrokiem parking w poszukiwaniu wolnego miejsca.

- Nie, nie planuję długo tu zabawić - odparła Shaz stanowczo, odpaliła silnik i w ślimaczym tempie ruszyła za parkingowym alejką między samochodami, po czym zaparkowała we wskazanym miejscu.

- Wpuszczę panią do bloku - mruknął, kiedy wysiadła. - No, to jak się żyje na lodowatej północy?

Shaz uśmiechnęła się.

- Mają lepszych piłkarzy - powiedziała, gdy otworzył masywne drzwi ze szkła i metalu, i skinieniem zaprosił ją do środka.

Całe szczęście, że nie jestem terrorystką, pomyślała, czekając na windę.

Na trzecim piętrze zatrzymała się w połowie wyłożonego bieżnikiem korytarza. Zrobiła głęboki wdech i nacisnęła dzwonek. Gdy znowu zapadła cisza, Shaz starała się oddychać przez nos, powoli

i miarowo; próbowała zapanować nad zdenerwowaniem, które zmieniało jej żołądek w jacuzzi. Ciężkie drzwi uchyliły się o parę centymetrów.

W szparze ukazały się zmierzwione orzechowe włosy, mętne brązowe oczy z ciemnymi smugami na dolnych powiekach, zadarty nos i fragment otwartych do ziewnięcia ust, skrytych za kanciastą dłonią z krótkimi palcami o starannie wymanikiurowanych paznokciach.

Tym razem uśmiech Shaz sięgnął oczu. Jego ciepło sprawiło, że Chris Devine stopniała, nie po raz pierwszy zresztą. Dłoń opadła, odsłaniając usta; wargi nadal były rozchylone. Na twarzy Chris pojawiło się zdumienie, potem radość, w końcu konsternacja.

- Jakaś szansa na filiżankę kawy? - spytała Shaz.

- No to wejdz - odparła Chris, niepewnie wycofując się w głąb mieszkania, i otworzyła drzwi na oścież.

4

Nic, co warto mieć, łatwo nie przychodzi. Powtarzał to sobie regularnie przez te dwa dni katuszy, choć nie groziło mu, że kiedykolwiek zapomni tę maksymę. Jego dzieciństwo niczym bliznami naznaczone było żelazną dyscypliną, każde zarzewie buntu czy przejaw beztroski dławiono siłą. Stał się jak jezioro, które pod gładką taflą aż kłębi się od potężnych wirów, pozornie spokojny i uległy wobec tych, którzy rzucali mu kłody pod nogi. Kto inny na jego miejscu może i nie zdołałby zapanować nad podnieceniem, jakie napływało wraz z myślą o Donnie Doyle, ale on z niczym się nie

zdradził. Sztukę udawania opanował do perfekcji. Nikt nawet nie podejrzewał, jak często błądził myślami po zupełnie innej krainie, niepomny otoczenia, w innym świecie. Kiedyś ta umiejętność pozwalała mu uniknąć cierpienia, teraz zapewniała bezpieczeństwo.

Myślami był przy niej. Zastanawiał się, czy dotrzymała obietnicy, i wyobrażał ją sobie, podnieconą, w pąsach. Niemalże istotę nie z tej ziemi, wyposażoną w sekretną wiedzę i przekonaną, że ma tę przewagę nad każdym astrologiem na świecie, że istotnie zna przyszłość.

Zdawał sobie sprawę, iż wyobrażenia dziewczyny w nieunikniony sposób odbiegają od wizji, które snuł w cichości ducha. W gruncie rzeczy trudno byłoby o dwie bardziej różniące się od siebie fantazje, zgoła położone na przeciwnym krańcach spektrum, toteż nie istniał - bo istnieć nie mógł - żaden pierwiastek wspólny. Cóż, może tylko orgazm.

Świadomość, że widziała swoją przyszłość w kompletnie fałszywym świetle, sama w sobie niosła rozkoszny dreszczyk. Równocześnie jednak rodziła strach, pojawiający się to na pierwszym, to na drugim planie, iż dziewczyna może mimo wszystko nie dotrzymać słowa, że w tej samej chwili, gdy on zabawiał grami komputerowymi ciężko doświadczonych przez los małych pacjentów dziecięcego oddziału onkologicznego, Donna zdradzi ich wspólny sekret najlepszej przyjaciółce w kącie szkolnej szatni. To było jak hazard: za każdym razem ponosił ryzyko, dotąd jednak trafnie przewidywał wynik rzutu kością. Nikt go nie nachodził. No,

przynajmniej nikt z policji. Tylko raz się zdarzyło, że rodzice jednej z „zaginionych” nastolatek poprosili go, żeby zaapelował o jej powrót na antenie, bo „gdziekolwiek przebywa teraz ich córka, przenigdy nie przegapiłaby cotygodniowego odcinka »Wizyt Vance’a«„. Uznał to za pyszny żart i potem jeszcze przez kilka miesięcy stawał mu, zaledwie przypomniawszy sobie tę sytuację. Przecież nie mógł im powiedzieć, że już nigdy nie skontaktują się z córką, chyba że za pośrednictwem medium, prawda?

Kładł się wcześniej i budził o świcie spętany wilgotnymi prześcieradłami, z szalejącym pulsem i szeroko otwartymi oczami. Nie pamiętał nagle spłoszonego snu, który przekreślał wszelkie widoki na ponownie zaśnięcie, i skazywał go na miotanie się po hotelowym pokoju, to w stanie uniesienia, to udręki.

Jednak nic nie trwa wiecznie. Czwartkowy wieczór zastał go w jego northhumberlandzkim zaciszu, położonym o zaledwie kwadrans drogi od śródmieścia, lecz mimo to odludnym jak pasterskie chaty w górach. Niegdyś była to mała kaplica metodystów, niezdolna pomieścić więcej niż kilkadziesiąt osób. Kupił budynek, gdy pozostały z niego właściwie tylko cztery wybrzuszone ściany i zapadnięty dach. Miejscowi budowlańcy, uszczęśliwieni, że w ręce wpada im trochę gotówki, wyremontowali go wedle bardzo szczególnych wytycznych, nie zastanawiając się nad powodami, którymi tłumaczył potrzebę wprowadzenia pewnych innowacji.

Z pietyzmem przygotował się na przyjęcie gościa. Świeżo zmieniona pościel, ubrania ułożone na kołdrze. Telefon odłączony,

automatyczna sekretarka ściszona, faks odłączony od gniazdka i schowany w szufladzie. Sieć światłowodów mogła przez całą noc śpiewać od telefonicznych połączeń, on jednak nie usłyszy nic do rana. Stół był nakryty obrusem tak białym, że w ciemności niemal świecił. Na obrusie kryształ, srebra i porcelana. Pąki czerwonych róż w rżniętym kryształowym wazonie, majestatyczne świece w prostym georgiańskim świeczniku. Donna będzie oczarowana. Oczywiście, dopóki nie zrozumie, że to jej ostatnia okazja do posługiwania się sztucami.

Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszystko prezentuje się jak powinno. Łańcuchy i skórzane pasy były pochowane, jedwabny knebel skrzętnie ukryty, stolarska ława niewinna, bo bez narzędzi, nie licząc zamontowanego na stałe imadła. Sam ją zaprojektował - z kompletem narzędzi na solidnej drewnianej płycie, działającej na zasadzie opuszczanego blatu, umocowanej na drugim końcu ławy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do powierzchni roboczej.

Ostatnie pośpieszne spojrzenie na zegarek. Czas wsiąść do land rovera i pojechać zrytą koleinami polną ścieżką do bocznej drogi, która doprowadzi go do Five Walls Halt i opustoszałej stacji kolejowej. Zapalił świece i uśmiechnął się z nieskrywaną przyjemnością, nagle pewny, że jego gość dotrzymał słowa i dochował tajemnicy.

Zechcesz wejść do mego salonu? - rzekł pajak do muchy.

Modlitwy Tima Coughlana zostały w końcu wysłuchane. Znalazł wymarzone miejsce. Zatoczka załadownicza była nieco węższa od samej fabryki, toteż pozostawał pusty plac o powierzchni około pół metra. Na oko wydawało się, że prześwit jest zastawiony spłaszczonymi kartonami, wciśniętymi pionowo jeden przy drugim. Gdyby jednak przyjrzeć się temu bliżej, okazałoby się, że kartony wcale nie są ustawione aż tak ciasno i że przy odrobinie wysiłku można by się między nimi przecisnąć. Osoba dociekliwa trafiłaby w ten sposób do „kawalerki” Tima Coughlana, której umeblowanie składało się z poplamionego i zatłuszczonego śpiwora oraz dwóch dużych toreb. Pierwsza zawierała czysty T-shirt, parę czystych skarpetek oraz czystą bieliznę. Druga - jeden brudny T-shirt, jedną parę brudnych skarpetek, brudne bokserki oraz bezkształtne sztruksowe spodnie, które mogły kiedyś być ciemnobrązowe, teraz jednak przypominały kolorem pióra mewy uwięzionej w plamie oleju.

Tim kulił się w rogu pośłania; śpiwór zwinął w prowizoryczną poduszkę i podłożył pod kościste pośladki. Wyjadał ze styropianowego pojemniczka frytki z sosem curry. Został mu prawie cały litr cydru, żeby je popić i pomóc sobie w zaśnięciu. W zimne wieczory potrzebował czegoś, co poniosłoby go ku zapomnieniu.

Trzeba było długich miesięcy trudów życia na ulicy, zanim wyłonił się z mgły heroinowego uzależnienia, które obrabowało go z dawnego życia. Upadł tak nisko, że nawet narkotyki znalazły się poza jego zasięgiem. I, o ironio, właśnie to go ocaliło. W drżące wywołanej głodem narkotyku, w schronisku otwartym na okres świąt

Bożego Narodzenia nareszcie wyszedł na prostą. Zaczął sprzedawać „Big Issue” na rogach ulic. Zdołał odłożyć dość pieniędzy, żeby w sklepikach przy noclegowniach kupować ubrania, które kojarzyły się raczej z biedą niż beznadziejną bezdomnością. Zdołał także znaleźć pracę w dokach. Stara historia: marne pieniądze wypłacane pod stołem, czarny rynek w najbardziej ponurym wydaniu. Ale zawsze był to jakiś początek. Niewiele później znalazł ten kąt przy placu załadunkowym montowni, której właściciele zbytnio szczypali się z kasą, żeby zatrudnić nocnego stróża.

Od tamtej pory odłożył blisko trzysta funtów na rachunku spółdzielczym, który był chyba ostatnią rzeczą, jaka łączyła go z przeszłością. Jeszcze trochę i uciula dość, by wystarczyć na kaucję oraz miesięczny czynsz za przyzwoitszą chatę i na lepsze żarcie, zanim jego podanie o przyznanie zasiłku zostanie rozpatrzone.

Tim sięgnął dna i omal nie utonął. Wkrótce - wierzył w to święcie - dojrzeje do wypłynięcia na powierzchnię. Zamknął pojemnik z frytkami i cisnął w kąt. Potem odkręcił butelkę i wlał do gardła całą zawartość, przelękając szybko. Nie wpadł na to, że cydr można saczyć, by poczuć jego smak. Nie o to chodziło.

Okazja rzadko pukała do drzwi Jacko Vance'a. Jeśli już tak się stało, najczęściej chwycił ją za gardło i włókł, wierzgającą i rozwrzeszczaną, w światła jupiterów. W dzieciństwie zrozumiał, że jeśli szczęście ma się do niego uśmiechnąć, to tylko wtedy jeśli on sam weźmie los w swoje ręce. Matka, cierpiąca na przewlekłą postać

depresji poporodowej, która powodowała, że syn budził w niej odrazę, najzwyczajniej go ignorowała. Nie mógł powiedzieć, że była okrutna, raczej nieobecna duchem. To ojciec zwracał na niego uwagę, najczęściej w negatywnym sensie.

Zaczął chodzić do szkoły, ładne dziecko o miękkich włosach koloru blond, zapadniętych policzkach i olbrzymich, wiecznie zdziwionych oczach. Szybko pojął, że marzenia mimo wszystko mają sens; że można sprawić, by coś się zmieniło. Wygląd zagubionego chłopczyka działał na nauczycielki jak płomień gazowego palnika na sople lodu. Z czasem nauczył się nimi manipulować tak, by grały rolę sojuszniczek w jego prywatnej rozgrywce o władzę. To nie rekompensowało wszystkiego, co działo się w domu, niemniej otwierało przed nim pole do manewrów, na którym oswajał się z urokami władzy.

Co prawda Jacko czerpał korzyści ze swojego wyglądu, nigdy jednak nie polegał wyłącznie na uroku osobistym. Zupełnie jakby przyszedł na ten świat, rozumiejąc, że na jego drodze staną i tacy, którzy nie ulegną, o ile nie zastosuje oręża innego rodzaju. Ponieważ szacunek do pracy wpajano mu praktycznie od chwili, gdy zaczął rozumieć słowo mówione, nie miał nic przeciwko wypracowywaniu zamierzonego efektu. Wymarzonym polem do popisu okazało się sportowe boisko.

Co nieuniknione, cechy, które czyniły go oczkiem w głowie ciała pedagogicznego, zrażały do niego rówieśników. Ulubieńcy nauczycieli nie są lubiani. Zaliczał obowiązkowe bójkę: niektóre

wygrywał, kilka przegrał. Jeśli już przegrał, nie zapominał o tym nigdy. Czasem latami szukał sposobu, żeby się odegrać, ale nie odpuszczał sobie nigdy. Najczęściej ofiara odwetu nie orientowała się nawet, że to Jacko stał za największym upokorzeniem jej życia. Zdarzało się także, że wiedziała o tym doskonale.

Wszyscy z osiedla komunalnego, w którym dorastał, pamiętali, jak zemścił się na Dannym „Chłoptasiu” Fergusonie. Danny „Chłoptas” prześladował Jacko, odkąd ten skończył dziesiąty rok życia. Przez dwa lata dręczył go niemiłosiernie. W końcu, gdy Jacko rzucił się na niego w napadzie szału, Danny dosłownie wdeptał go w ziemię, jedną rękę ostentacyjnie trzymając nad głową. Złamany nos zagoił się bez śladu, natomiast mroczną nienawiść Jacko skrywał pod maską uroczego uśmiechu, jaki rezerwował na użytek dorosłych.

Kiedy Jacko wygrał swoje pierwsze młodzieżowe mistrzostwa Wielkiej Brytanii, z dnia na dzień stał się osiedlowym bohaterem. Nikt z tutejszych nie doczekał się swojego zdjęcia w ogólnokrajowych gazetach, nawet Liam Gascoigne, który z dziesiątego piętra upuścił betonową płytę Gladstone’owi Sandersowi prosto na głowę. Nietrudno było namówić dziewczynę Danny’ego „Chłoptasia”, żeby któregoś wieczoru wypuściła się z takim gwiazdorem zaszaleć.

Przez tydzień poił Kimberley winem i fundował jej kolacje, potem rzucił. Tego samego wieczoru, w chwili gdy Danny „Chłoptas” szykował się właśnie do zamówienia piątej kolejki, Jacko wsunął właścicielowi pubu pięćdziesiątka do kieszeni w zamian za puszczenie na cały regulator potajemnie nagranej rozmowy, podczas

której Kimberley opowiadała szczegółowo, jaki to Danny „Chłoptaś” jest beznadziejny w łóżku.

Kiedy Micky Morgan zaczęła go odwiedzać w szpitalu, od razu rozpoznał w niej pokrewną duszę. Nie wiedział, o co jej chodziło, ale przeczucie mu podpowiadało, że czegoś od niego chciała. W dniu, gdy Jillie go rzuciła, a Micky zaoferowała swoją pomoc, zyskał pewność.

Pięć minut po jej wyjściu ze szpitala zatrudnił prywatnego detektywa. Facet był dobry; odpowiedzi pojawiły się szybciej, niż Jacko się spodziewał. Zanim przeczytał nagłówki krzyczące z pierwszych stron brukowców - jej robota - zrozumiał, jakie cele przyświecają Micky i jak wykorzystać sytuację.

DZIELNY JACK POZWALA UKOCHANEJ ODEJŚĆ!
BOHATER ZE ZŁAMANYM SERCEM! MIŁOSNE UDREKI
NIESZCZĘSNEGO JACKA!

Uśmiechnął się i wrócił do lektury.

Najdzielniejszy człowiek Wielkiej Brytanii wyznaje, że złożył największą z ofiar.

Nie dalej jak przed kilkoma dniami stracił marzenia o olimpiadzie, ratując życie dwojgu maleńkim dzieciom. Teraz Jacko Vance zrywa zaręczyny ze szkolną miłością, Jillie Woodrow. Nieszczęśliwy Jacko, dochodzący do siebie w szpitalu po amputacji ręki, która z taką siłą ciskała oszczepem, nie skarży się: „Zwracam jej

wolność. Nie jestem już mężczyzną, którego zgodziła się poślubić. Byłbym nieuczciwy, oczekując, żeby zachowywała się jak dawniej. Nie mogę jej ofiarować takiego życia, o jakim kiedyś marzyliśmy, a dla mnie najważniejsze jest jej szczęście. Wiem, że teraz czuje się zraniona, ale z czasem zrozumie, że robię jedyną słuszną rzecz”.

Teraz Jillie nie mogła zaprzeczyć jego wersji wydarzeń, nie wychodząc na zimną sukę.

Jacko czekał na dogodny moment, udając, że przyjmuje przyjaźń, jaką oferowała mu Micky. Następnie, gdy ocenił, że nadszedł właściwy moment, uderzył nieoczekiwanie jak grzechotnik.

- No, to kiedy wypada dzień zemsty? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Dzień zemsty? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Historyjka o moim poświęceniu na ołtarzu miłości - przypomniał jadowicie. - Czy takich bzdur nie nazywa się aby chwilową sensacją?

- No, tak - mruknęła Micky, zajęta układaniem kwiatów w wazonie, który wyprosiła przed chwilą od którejś z pielęgniarek.

- Cóż, minęła nie chwila, ale całe dziewięć dni, odkąd media puściły ją w świat. Jacko i Jill oficjalnie przestali być materiałem na nagłówki. Zastanawiam się, kiedy przyjdzie pora, by wyrównać rachunki. - Mówił spokojnym tonem, ale gdy Micky spojrzała mu w oczy, poczuła się tak, jakby wpatrywała się w ściętą lodem kałużę na wrzosowiskach.

Potrząsnęła głową i przysiadła na skraju łóżka. Panowała nad wyrazem twarzy, ale Jacko czytał w niej jak w otwartej książce.

- Nie jestem pewna, o co ci chodzi. - Zagrała na zwłokę. Uśmiech Jacko był pełen lekceważenia.

- Ej że, Micky. Nie urodziłem się wczoraj. Znam świętek, w którym pracujesz, musi być z ciebie prawdziwa pirania. W kręgach, w jakich się obracasz, nikt nikomu nie oddaje przysługi, o ile nie jest pewny, że może liczyć na rewanż.

Obserwował ją, wiedział, że się waha, niepewna, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę. Wybrała złoty środek.

- Zadowolę się wiedzą, że będziesz mi coś winien.

- Skoro tak chcesz to rozegrać, niech będzie - odparł z nonszalancją. Lewą ręką znieńacka, nagłym ruchem chwycił ją za nadgarstek. - Ale sądziłem, że ty i twoja dziewczyna jesteście teraz w wielkiej potrzebie.

Zacisnął mocno palce. Mięśnie przedramienia nabrzmiały jak wyrzeźbione; wstrząsające przypomnienie tego, co utracił. Chwył nie był mocny, ale Micky czuła, że jest nie do zerwania jak obręcz kajdanek. Podniosła wzrok na nieprzeniknioną twarz Jacko. Ogarnął ją lęk, zaledwie zaczęła zgłębiać wyraz jego oczu. Jacko dostrzegł to i zmusił mięśnie twarzy do ułożenia się w widmowy cień uśmiechu. Przeglądał się w oczach Micky niczym w lustrze i wiedział, że przestał się jej wydawać złowrogi.

- Mówisz takie dziwne rzeczy - mruknęła.

- Nie tylko dziennikarze mają informatorów - oświecił ją Jacko pogardliwie. - Kiedy zaczęłaś się mną interesować, pomyślałem, że wypada odpowiedzieć podobnym komplementem. Nazywa się Betsy Thorne, jesteście parą od ponad roku. To twoja asystentka i kochanka. Na Gwiazdkę kupiłaś jej zegarek Bulova u jubilera przy Bond Street. Przed dwoma tygodniami dzieliłyście dwuosobowy pokój w wiejskim zajezdzie pod Oksfordem. Posyłasz jej kwiaty dwudziestego trzeciego każdego miesiąca. Mógłbym mówić dalej.

- Poszlaki - zachnęła się Micky. Głos wionął lodem, ale skóra pod jego palcami płonęła. - Poza tym nic ci do tego.

- Brukowcom też nic, prawda? Ale węższą, Micky. To tylko kwestia czasu. I dobrze o tym wiesz.

- Nie znajdą czegoś, czego nie ma - odparła.

- Znajdą - zapowiedział Jacko. - Ale ja mógłbym ci pomóc.

- Zakładając, że istotnie potrzebuję pomocy... co proponujesz? Puścił jej rękę. Zamiast przyciągnąć ją do siebie i pomasować.

Micky pozwoliła jej bezwładnie leżeć na kołdrze.

- Ekonomiści powiadają, że zły pieniądz wypiera dobry pieniądz. Podobnie jest z dziennikarzami. Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć. Daj im lepszą historyjkę, a przestaną obleśnie węszyć przy czymś, co nie jest ich sprawą.

- Z tym się nie będę spierać. Masz jakiś pomysł?

- Co byś powiedziała na „Szpitalny romans bohaterskiego Jacko i telewizyjnej dziennikarki”? - Uniósł brew, a Micky zastanowiła się, czy jako nastolatek ćwiczył to przed lustrem.

- A co ty byś z tego miał? - spytała po chwili, kiedy przestali taksować się wzrokiem, jakby oceniając, czy mogliby stworzyć ładną parę.

- Święty spokój - odparł Jacko. - Nie masz pojęcia, ile jest chętnych do tego, żeby mnie pocieszyć.

- Może któraś z nich okazałaby się tą jedyną. Jacko roześmiał się sucho, z goryczą.

- Maksyma Groucho Marxa, tak? Nie chcę należeć do klubu, który byłby skłonny mnie przyjąć. Kobieta, która jest aż taką kretynką, żeby sądzić, że: „a”, potrzebuję pocieszycielki, „b”, ona idealnie się do tej roli nadaje, odpada z definicji. Nie, Micky, mnie potrzeba kamuflażu. Żeby po wyjściu stąd, co powinno nastąpić niebawem, mógł wrócić do normalnego życia i żeby każda bezmózga dziwka w Wielkiej Brytanii nie łudziła się, że jestem jej wielką szansą na rozgłos. Nie chcę litości. Dopóki sam kogoś nie wybiorę, przydałby mi się erotyczny odpowiednik kamizelki kuloodpornej. Zainteresowana posadą?

Tym razem to on musiał zgadywać, co się w niej dzieje. Micky opanowała się szybko. Teraz okazywała powściągliwe zainteresowanie, które przysporzyło jej wielkiej popularności i uczyniło stałym gościem w wielu brytyjskich domach.

- Nie prasuję - uprzedziła.

- Zawsze byłem ciekaw, na czym polega praca osobistej asystentki - skwitował Jacko tonem równie cierpkim jak jego uśmiech.

- Lepiej żeby Betsy cię nie usłyszała.

- Umowa stoi? - spytał Jacko i nakrył jej rękę swoją.

- Stoi - przytaknęła, obracając mu dłoń, i splótła palce z jego palcami.

Carol poczuła fetor, jak tylko uchyliła drzwiczki samochodu. Nie ma nic równie obrzydliwego jak woń zwęglonego ludzkiego ciała: wystarczyło raz ją poczuć, by na zawsze wryła się w pamięć. Starając się nie krztusić w nazbyt widoczny sposób, pokonała niewielką odległość dzielącą ją od Jima Pendlebury'ego, który w światłach strażackich lamp łukowych prowadził zwołaną naprędce konferencję prasową. Na szczęście w porę zauważyła dziennikarzy i poprosiła kierowcę, żeby ją wysadził kawałek drogi od falangi szkarłatnych wozów, przy których strażacy polewali wodą dymiący magazyn. Jeden, który stał na wysuniętej drabinie, wysoko nad głowami kolegów skierował potężny łuk wody na łuszczące się resztki dachu. Nieco dalej uwijało się sześciu umundurowanych policjantów. Paru obejrzało się i natychmiast wróciło do swoich zajęć.

Carol trzymała się na dystans, gdy Pendlebury udzielał zwięzłych i niezobowiązujących odpowiedzi przedstawicielom lokalnych rozgłośni radiowych i prasy. Kiedy dziennikarze zdali sobie sprawę, że na tym etapie więcej z szefa straży pożarnej nie wycisną, rozeszli się, każdy w swoją stronę. Gdyby ktokolwiek zwrócił uwagę na blondynkę w trenczu, przypuszczalnie wzięłby ją za kolejną dziennikarkę. Jedynie sprawozdawcy kryminalni znali Carol z widzenia, ale cała sprawa nie zdążyła jeszcze z incydentu

zasługującego na wzmiankę przerodzić się w aferę kryminalną pełną gębą. Kiedy się wyda, że jest ofiara śmiertelna, a do pożaru doszło wskutek podpalenia, szakale pisujące do rubryk kryminalnych dostaną temat na poranny artykuł podany jak na tacy. Może nawet któryś zostanie wyrwany z łóżka równie bezceremonialnie jak niedawno ona.

Pendlebury powitał Carol posepnym uśmiechem.

- Piekielny smród - mruknął. - Jedyne w swoim rodzaju.

- Dziękuję, że pani przyjechała.

- Dziękuję, że dał mi pan cynk. Inaczej ominęłaby mnie przyjemność oglądania świeżutkiego miejsca zbrodni - odpowiedziała kwaśno.

- No, po naszej ostatniej rozmowie przypuszczałem, że to panią zainteresuje.

- Myśli pan, że znowu dał o sobie znać nasz podpalacz?

- Nie dzwoniłbym na pani domowy numer o wpół do czwartej nad ranem, gdybym nie miał takiej pewności - burknął.

- No więc, co tu mamy?

- Chce pani rzucić okiem?

- Za chwilę. Najpierw prosiłabym o małe wprowadzenie, dopóki jestem w stanie skoncentrować się na tym, co pan do mnie mówi, zważywszy rewolucję w moim żołądku.

Pendlebury miał nieco zaskoczoną minę, jakby spodziewał się, że takie widoki to dla niej pestka.

- Racja - przytaknął, wnosząc z tonu, trochę zdeprimowany. - Telefon odebraliśmy o drugiej z minutami, tak się składa, że dzwonił

ktoś z patrolowych pod pani komendą. Objeżdżali rewir i zauważyli płomienie. Posłaliśmy dwa wozy, dotarły na miejsce w siedem minut, ale magazyn stał już w ogniu. Kolejne trzy wozy pojawiły się pół godziny później, ale już nie było szans, żebyśmy uratowali budynek.

- A denat?

- Jak tylko w magazynie trochę przygasło, czyli kolejne pół godziny później, moi ludzie rozpoznali ten zapach. Właśnie wtedy po mnie zadzwonili. Zawsze jestem w stanie pogotowia, bo wzywają mnie do wszystkich pożarów z ofiarami śmiertelnymi. Pani ludzie ściągnęli dochodzeniówkę, a ja zadzwoniłem po panią.

- Gdzie zwłoki?

Pendlebury wskazał ręką kierunek.

- Na tyle, na ile jesteśmy w stanie ocenić, z boku zatoczki załadowniczej. Jest tam coś w rodzaju niszy. Prawdopodobnie składowano przed nią kartonowe pudła. Jeszcze nie zdołaliśmy dostać się do środka, bo nadal jest tam bardzo gorąco i grozi zawaleniem, ale na oko i na nosa powiedziałbym, że ciało znajduje się za lub pod wszystkimi tymi mokrymi śmieciami, w głębi.

- Nie ma pan absolutnie żadnych wątpliwości, że to ludzkie zwłoki? - Carol wiedziała, że chwyta się brzytwy.

- Jest tylko jedna rzecz, która wydaje zapach upieczonego człowieka i tą rzeczą jest upieczony człowiek - odpowiedział brutalnie Pendlebury. - Poza tym mam wrażenie, że ledwie, ledwie, ale widać zarys zwłok. Zapraszam, pokażę pani.

Parę minut później Carol stała obok Pendlebury'ego, w bezpiecznej, jak twierdził, odległości od dymiących zgliszczy. Było tam zdecydowanie zbyt gorąco, ale lata służby nauczyły ją ufać doświadczeniu i wiedzy specjalistów. Kiedy Pendlebury wskazał kontury poczerniającej postaci, czy raczej tego, co z niej pozostawiły ogień i woda, musiała przyznać mu rację.

- Kiedy technicy mogą zabrać się do pracy? - spytała głucho. Pendlebury skrzywił się.

- Za jakiś czas? Skinęła głową.

- Dopilnuję, żeby ekipa czekała w pogotowiu. - Odwróciła się. - Dokładnie tego chciałam uniknąć - rzuciła półgłosem, trochę do siebie, trochę do niego.

- To się wcześniej czy później musiało stać. Rachunek prawdopodobieństwa - stwierdził Pendlebury lekkim tonem, zrównując się z Carol, która maszerowała już w stronę zaparkowanego auta.

- Powinniśmy się zająć tym piromanem całe wieki temu - wyrzucała sobie Carol, ze złością przeszukując kieszenie; chciała zetrzeć chustką mokry popiół ze sportowych butów. - Daliśmy plamę. Już dawno powinien siedzieć. To nasza wina, że nadal jest na wolności i może zabijać.

- Niech pani nie będzie dla siebie taka surowa - zaprotestował Pendlebury. - Jest tu pani od paru minut i od razu wzięła się pani do pracy. To nie pani wina.

Carol oderwała wzrok od butów, które usiłowała doprowadzić do jakiego takiego wyglądu, i gniewnie ściągnęła brwi.

- Nie winię siebie, chociaż może i nie włożyliśmy w tę sprawę tyle energii, ile należało. Mówię tylko, że gdzieś po drodze policja odpowiadająca za ten rewir zawiodła tych, których powinna chronić. Może i pan mógł odrobinę dobitniej dać mojemu poprzednikowi do zrozumienia, że pańskim zdaniem mamy do czynienia z piromanem.

Pendlebury był dotknięty do żywego. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio został tak otwarcie skrytykowany przez członka innej służby mundurowej.

- Chyba trochę pani przeholowała, starsza inspektor Jordan - warknął wściekły.

- Przykro mi - odparła Carol oficjalnym tonem, wstając i prostując plecy. - Ale jeżeli nasza współpraca ma być owocna, nie stać nas na kurtuazję za cenę szczerości. Oczekuję, że poinformuje mnie pan, jeżeli to my nie dotrzymamy tej umowy. Za to kiedy zobaczę coś, co mi się nie podoba, nazwę to po imieniu. Nie chcę, żeby ta sprawa doprowadziła do konfliktów między nami. Niemniej nic nie osiągniemy, jeśli będziemy w dalszym ciągu stać w miejscu i powtarzać, że nic nie możemy poradzić na to, że jakiś biedny drań leży tu trupem.

Przez moment piorunowali się wzrokiem, Pendlebury niepewny, jak poradzić sobie z jej stanowczością. W końcu rozłożył dłonie w ugodowym geście.

- Przepraszam. Ma pani rację. Nie powinienem słowa „nie” przyjmować za odpowiedź.

Carol uśmiechnęła się i zamasyżuje podała mu rękę.

- Oboje się postarajmy, żeby odtąd było lepiej, dobrze? Zgodę poparli energicznym uściskiem dłoni.

- Umowa stoi - stwierdził. - Porozmawiamy później, jak technicy skończą pracę.

Gdy Carol odjeżdżała, myślała o jednym: w jej rewirze podpalacz zmienił się w mordercę. Ujęcie go było zadaniem priorytetowym. Zanim ekipa techników kryminalistycznych będzie w stanie podać jakieś konkrety, Carol powinna mieć wstępnie opracowany profil na biurku. Kiedy dochodzenie zostanie oficjalnie wszczęte, chce mieć podejrzanego w areszcie. Jeżeli John Brandon jest przekonany, że w Bradfield przeszła samą siebie, czeka go niespodzianka. Carol Jordan poprzysięgła sobie, że paru osobom da coś niecoś do zrozumienia. Bez względu na wszystko. Feter, który wwiercał się w jej nozdrza, był wystarczająco kategoriyczny, żeby parła przed siebie jak czołg.

Shaz przekręciła się na bok i zerknęła na zegar. Za dwadzieścia siódma, minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd ostatnio sprawdzała. Teraz już na pewno nie zaśnie. Wstała z łóżka i poczłapała do łazienki, rozmyślając o tym, że najpewniej nie wyśpi się jak człowiek, dopóki Chris nie dotrzyma swojej obietnicy.

Prosząc o przysługę, czuła się znacznie mniej skrepowana, niż można się było spodziewać, wspominała Shaz, siadając na sedesie i,

pochylona, sięgnęła do kurków nad wanną. Czas wyciszył jej burzliwe relacje z sierżant Devine i nareszcie wróciły do stanu sprzed niefortunnego wydarzenia, które zmieniło ich znajomość w pasmo przykrości.

Kiedy Shaz rozpoczęła pracę w policji metropolitalnej, Chris Devine uosabiała wszystko, do czego Shaz dopiero dążyła. W wydziale dochodzeniowym posterunku w zachodnim Londynie pracowały tylko dwie kobiety, a Chris była najstarsza stopniem. Dobra policjantka, mająca na koncie niemal najwyższą liczbę aresztowań w całym oddziale. Twarda jak skała w sytuacjach kryzysowych, pracowita, z wyobraźnią i nieprzekupna, a w dodatku obdarzona inteligencją i poczuciem humoru. Co najważniejsze, zachowywała się jak faceci, jednocześnie nie pozwalając choćby na minutę nikomu zapomnieć, że jest kobietą.

Shaz studiowała ją jak wyjątkowy okaz pod mikroskopem. Chciała osiągnąć to, co Chris, marzył się jej taki sam szacunek. Znała zbyt wiele funkcjonariuszek, którym przyklejono etykietkę idiotek albo niezłych dup, i poprzysięgła sobie, że nie pozwoli się zaszufładować. Shaz wiedziała, że jako świeżo upieczona posterunkowa sekcji mundurowej stanowi jedynie punkcik na obrzeżu pola widzenia Chris, ale zawsze znajdowała sposób, by przypomnieć zwierzchniczce o swojej obecności, aż w końcu - o ile przebywały na posterunku w tym samym czasie - zawsze można je było znaleźć w kantynie, gdzie popijały straszliwie mocną herbatę, pochłonięte rozmową o pracy.

W dniu, w którym Shaz mogła zacząć się ubiegać o tymczasową posadę asystentki w wydziale dochodzeniowym, zgłosiła swoją kandydaturę. Rekomendacje Chris wystarczyły, żeby przepchnąć sprawę, i kilka tygodni później Shaz zaliczyła swoją pierwszą nocną zmianę, razem z Chris obserwując podejrzanego. Poniewczasie zorientowała się, że Chris jest lesbijką i zakłada, że Shaz ugania się za nią z pobudek nie tyle zawodowych, co seksualnych. Chwila, kiedy sierżant ją pocałowała, była najgorszym momentem w jej policyjnej karierze.

Przez ułamek sekundy korciło ją, żeby na to pójść - aż tak bardzo zżerała ją ambicja. Potem wróciła na ziemię. Może i nie miała za sobą szczególnie udanych związków, ale znała siebie na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że zdecydowanie woli mężczyzn i że między nią a inną kobietą raczej nie zaiskrzy. Wyplątała się z objęć Chris i odsunęła energiczniej, niż gdyby Chris mierzyła do niej z obrzyna. Ani jedna, ani druga nie potrafiła później wracać do tego incydentu bez całej baterii nieprzyjemnych uczuć: upokorzenia, zażenowania, złości i rozczarowania. Zapewne naj sensowniej byłoby, gdyby jedna z nich poprosiła o przeniesienie, jednak Chris nie chciała porzucać terenu, który znała jak własną kieszeń, Shaz natomiast była zbyt uparta, żeby rezygnować z pierwszej stałej pracy w dochodzeniówce.

Poprzestały więc na krępującym zawieszeniu broni, dzięki któremu mogły pozostać w zespole. Mimo to, ilekroć nadarzała się okazja, by rozminąć się zmianami, z możliwości tej skwapliwie

korzystały. Pół roku przed przeprowadzką Shaz do Leeds Chris awansowała i została przeniesiona do nowego Scotland Yardu. Nie rozmawiały ze sobą aż do momentu, gdy Shaz pojawiła się przed drzwiami Chris z gorącą prośbą.

Shaz posiekała owoce i wrzuciła je do miseczki z muesli. Dziwiła się, że tak łatwo przyszło jej przełknąć dumę i poprosić Chris o pomoc. Być może dlatego, że Chris czuła się skrepowana nieprzypadkową obecnością techniczki od daktyloskopii, którą Shaz pamiętała z Notting Hill Gate, w swoim mieszkaniu. Zaledwie Shaz wyjaśniła, czego jej potrzeba, Chris zgodziła się bez wahania: doskonale rozumiała, dlaczego Shaz tak bardzo zależy na tym, aby wykroczyć poza program kursu. Traf chciał - zupełnie jakby przeznaczenie po raz drugi wtrąciło się do życia Shaz - że Chris miała nazajutrz wolny dzień, tak więc zebranie potrzebnych Shaz informacji w krótkim czasie nie przedstawiało większych trudności.

W zamyśleniu pochłaniała śniadanie. Wyobrażała sobie, jak Chris spędza dzień w krajowych archiwach czasopism w Colindale, strona po stronie kserując gazety, aż uzbiera się kolekcja obejmująca daty siedmiu zaginięć, które tak silnie poruszyły wyobraźnię Shaz. Opłukała pustą miskę pod gorącą wodą, czując, jak ogarnia ją nastrój radosnego wyczekiwania.

Dotąd intuicja nigdy jej nie zawiodła. Nie licząc, rzecz jasna, afery z Chris. Ale, jak powiedziała sobie w duchu, to już była zupełnie inna para kaloszy.

- Sprawy, nad jakimi będziemy pracować, zwykle psują humor funkcjonariuszom policji. A to dlatego, że sprawcy tańczą do całkiem innej muzyki.

Tony rozejrzał się i upewnił, że naprawdę go słuchają zamiast ukradkiem przeglądać gazety. Leon miał taką minę, jakby wolał się znajdować gdzie indziej, ale Tony zdążył się przyzwyczać do jego fochów i nauczył się nimi nie przejmować. Zadowolony, podjął wątek:

- Wiedza, że ma się do czynienia z kimś, kto stworzył własny komplet zasad, każdego zdeprymuje, nawet doświadczonego policjanta. My przychodzimy z zewnątrz, by szukać logiki w tym, co dziwaczne, dlatego też często jesteśmy postrzegani jako część problemu, a nie jego rozwiązanie. W pierwszej kolejności powinniśmy koncentrować się na nawiązaniu kontaktu z tymi, którzy prowadzą śledztwo. Wszyscy macie za sobą pracę w dochodzeniówce. Jakież pomysły? Jakie sztuczki mogłyby się sprawdzić?

- Zabrać ich na piwo? - wyrwało się Simonowi, a pozostali jękami i pomrukiwaniem dali wyraz zgodnej opinii, że jest całkowicie przewidywalny.

Tony uśmiechnął się, ale w jego oczach malowała się powaga.

- Znajdą z pół tuzina dobrych wymówek, żeby nie wybrać się z tobą do pubu. Inne propozycje?

Shaz uniosła długopis.

- Harować do siódmych potów. Jak zobaczą, że ktoś nie boi się pracy, będą go szanować.

- Albo to, albo pomyślą, że włączysz szefostwu w tyłek.

- Pomysł nie jest zły - odparł Tony - chociaż Leon też ma trochę racji. Musielibyście manifestować całkowitą pogardę dla każdego powyżej stopnia starszego inspektora, co może być dość nużące, nie mówiąc o tym, że przyniosłoby skutek odwrotny do zamierzonego. Ja wymyśliłem banalnie prosty trick - dodał ze śmiechem, po czym spojrzął na nich pytająco. - Nic? A co powiecie na odrobinę pochlebstwa? Parę osób pokiwało z mądrymi minami. Leon z obrzydzeniem uniósł górną wargę i parsknął.

- Czyli wracamy do wazeliniarstwa.

- Wolę o tym myśleć jako o jednej z wielu technik w arsenale profilerów. Nie korzystam z tej metody dla prywatnej korzyści, a jedynie dla dobrej sprawy - wyjaśnił uprzejmie Tony. - Ułożyłem mantrę, którą chwale się przy każdej okazji. - Nieznacznie się przygarbił, ale ta drobna zmiana spowodowała diametralną różnicę w mowie ciała: z pozycji swobodnej i autorytatywnej przeszedł w poddańczą. Do tego dodał przepraszający uśmiech. - Oczywiście - powiedział przymilnym tonem - nie ja rozwiązuję morderstwa. To rola naszych dzielnych policjantów. - Równie szybko przyjął wyjściową postawę. - W moim przypadku to się sprawdza. Wam może lepiej wychodzić coś innego. Ale nigdy nie zaszkodzi zapewnić śledczych, jak bardzo szanujecie ich pracę i że jesteście tylko małutkimi trybikami, dzięki którym cała ta machina może zacząć działać odrobinę sprawniej. - Zrobił krótką pauzę. - Musicie im to powtarzać co najmniej pięć razy dziennie.

Teraz wszyscy suszyli zęby.

- Wtedy może udzielią wam informacji potrzebnych do stworzenia charakterystyki sprawcy. Jeśli szkoda wam będzie fatygi, najprawdopodobniej zatają tyle danych, ile tylko zdołają bez narażania się na reprimendę, bo będą w was widzieć konkurencję do laurów za rozwiązanie głośnej sprawy. Więc tak. Macie śledczych po swojej stronie, macie dowody. Czas popracować nad profilem. Najpierw oszacujemy prawdopodobieństwa.

Zerwał się i zaczął krążyć po sali jak kocur obchodzący granice swoich włości.

- Rachunek prawdopodobieństwa to jedyny bóg profilerów. Odrzucenie prawdopodobieństwa na rzecz innych kryteriów wymaga niezbitych dowodów. Ma to taki minus, że nieraz będziecie musieli świecić ze wstydu oczami. Czasem będziecie się czuć jak żywe latarki.

Żartował, ale puls zaczynał mu szaleć, choć jeszcze nie napomknął o tym, co stało się w Bradfield.

- Mnie przydarzyło się to w trakcie ostatniej dużej sprawy. Rozpracowywaliśmy seryjnego zabójcę młodych mężczyzn. Choć może powinienem raczej powiedzieć: zabój czynię. Miałem wgląd we wszystkie informacje, jakimi dysponowała policja, dzięki błyskotliwej oficer łącznikowej. Wykorzystując dowody opracowałem profil. Oficer łącznikowa wysunęła kilka intuicyjnych sugestii. Jedna z nich, szczególnie interesująca, nie przyszła mi wcześniej do głowy. Nie dysponowałem dostateczną wiedzą informatyczną, by na nią wpaść. I

właśnie dlatego, że o takich sprawach wiedzą nieliczni, przypisałem tej teorii względnie niski stopień prawdopodobieństwa. W zwykłych okolicznościach ekipa dochodzeniowa skreśliłaby ten trop z listy priorytetów, ale że tropów akurat było tyle co kot napłakał, tak się nie stało. Okazało się, że oficer miała rację, jednak na ówczesnym etapie w znaczący sposób nie posunęło to dochodzenia naprzód.

Dłonie miał wilgotne i lepkie od potu. Nareszcie odważył się stawić czoło wspomnieniom, które wdzierały się w jego sny, i nagle przestało go ścisnąć w żołądku. Dokończenie historii przyszło mu nadspodziewanie łatwo.

- Drugą hipotezę oficer łącznikowej odrzuciłem z miejsca jako wydumaną. Była sprzeczna z całą moją wiedzą na temat seryjnych zabójców. - Tony odwzajemnił zaciekawione spojrzenia. Jego wewnętrzne napięcie udzieliło się zespołowi; w milczeniu czekali na dalszy ciąg. - Decyzji o odrzuceniu tej hipotezy omal nie przypłaciłem życiem - powiedział prosto z mostu, usiadł i rozejrzał się po sali, zaskoczony, że może o tym mówić tak spokojnie. - I wiecie co? Miałem rację, ignorując jej sugestię. Nie dość, że nie mieściła się w skali prawdopodobieństwa od jednego do stu, ja po prostu nie przyznałbym jej nawet zera.

Jak tylko przyszło oficjalne potwierdzenie, że z pogorzeliśka wydobyto ludzkie zwłoki, Carol zwołała swoją ekipę. Tym razem nie było czekoladowych batoników.

- Zakładam, że wszyscy już słyszeliście poranne wiadomości - zaczęła głucho, kiedy zajmowali miejsca w jej gabinecie.

Tommy Taylor usiadł okrakiem na jedynym wolnym krześle. Może i uczono go, że nie siada się, kiedy kobieta stoi, ale już dawno przestał myśleć o Di Earnshaw jako o kobiecie.

- Ano - przytaknął.

- Biedny skurczybyk - wtrącił Lee Whitbread.

- Jaki tam biedny skurczybyk - zachnął się Tommy. - Po co włąził, gdzie nie potrzeba?

Zdegustowana, ale nie zaskoczona Carol warknęła:

- Czy powinien tam być, czy nie powinien, nie żyje, a my powinniśmy szukać sprawcy.

Tommy siedział w buntowniczej pozie, z rękami skrzyżowanymi na oparciu krzesła, mocno zapierając się nogami o podłogę, ale Carol zignorowała wyzwanie.

- Podpalenia są jak bomba zegarowa - podjęła. - Tym razem bomba eksplodowała nam prosto w twarz. Dzisiejszy dzień nie należy do najjaśniejszych w mojej karierze. No, co dla mnie macie?

Lee, który stał oparty o szafkę, wzruszył ramionami.

- Przejrzałem akta z ostatniego półrocza. Przynajmniej te, do których udało mi się dorwać - dodał kwaśno. - Znalazłem sporo incydentów, jakie nas interesują, część u dochodzeniówki, część u mundurowych. Planowałem dzisiaj przelać wnioski na papier.

- Di i ja ponownie przesłuchaliśmy osoby, które poniosły straty w wyniku pożarów. Ale albo nie ma żadnego wspólnego mianownika,

albo jeszcze żeśmy go nie wypatrzyli - dorzucił od niechcienia Tommy, bo zauważył pogardliwy uśmieszek Carol.

- Różne firmy ubezpieczeniowe itepe - uzupełniła Di.

- A co z motywem rasowym? - spytała Carol.

- Trochę Azjatów wśród poszkodowanych, ale nie w liczbie, jaką można by nazwać znaczącą - wyjaśniła Di.

- Z samymi ubezpieczycielami już rozmawialiśmy?

Di spojrzała na Tommy'ego, a Lee zagapił się w okno. Tommy chrząknął.

- Di miała się tym zająć dziś z samego rana. W pierwszej wolnej chwili.

Carol potrząsnęła głową. Nie była pod wrażeniem.

- Jasne. Oto czym się zajmiemy. Mam pewne doświadczenie w profilowaniu psychologicznym... - urwała, bo Tommy mruknął coś pod nosem. - Przepraszam, sierżancie Taylor, chciał pan coś dodać?

Tommy odzyskał już pewność siebie. Uśmiechnął się bezczelnie.

- Powiedziałem: „Słyszeliśmy”, pani inspektor.

Carol milczała chwilę i wbijała go wzrokiem w ziemię. Właśnie tego rodzaju sytuacje mogą zmienić jej pracę w mękę, o ile nie zdusi zła w zarodku. Dotąd miała do czynienia z tupeciarstwem i brakiem szacunku. Gdyby jednak przymknęła na nie oczy, szybko przerodziłyby się w niesubordynację pełną gębą. Kiedy przemówiła, jej głos był cichy, ale ścinał krew w żyłach.

- Sierzancie, nie pojmuję, skąd u pana to gorące pragnienie, żeby znowu przywdziać mundur i pobawić się w dzielnicowego, ale z największą radością przychylię się do pańskiego życzenia, skoro praca w wydziale dochodzeniowym panu nie odpowiada.

Usta Lee drgnęły mimowolnie, ciemne oczy Di Earnshaw zwięzły się, jakby oczekiwała wybuchu, który jednak nie nastąpił. Tommy podwinął rękawy, spojrzął Carol prosto w oczy i oświadczył:

- Myślę sobie, że lepiej, żebym pokazał pani, na co mnie stać, szefowo.

Carol skinęła głową.

- To rozumiem, Tommy. A więc, zamierzam popracować nad profilem, ale będę do tego potrzebowała całej masy danych. Ponieważ nie znaleźliśmy dotąd żadnego związku między ofiarami, nadstawię karku i powiem, że sprawca to raczej amator mocnych wrażeń, a nie spec do wynajęcia. Co oznacza, że szukamy młodego mężczyzny. Przypuszczalnie bezrobotnego, nieżonatego i mieszkającego z rodzicami. W tej chwili nie będę wdawać się w psychologiczne wywody na temat dysfunkcyjności społecznej i tak dalej. Interesuje nas ktoś, kto był w przeszłości notowany za drobne wykroczenia: wandalizm, alkohol albo substancje odurzające, takie rzeczy. Może czyny lubieżne. Podglądactwo, obnażanie się. Nie bandyta, włamywacz, złodziej czy naciągacz, tylko żalosna łajza. Mając naście lat, zaczął się pakować w kłopoty. Nie sądzę, by dysponował własnym samochodem, więc dokładniej przyjrzymy się lokalizacji pożarów. Jest szansa, że będzie mieszkał na obszarze, który można wyznaczyć,

łącząc na mapie najdalej od siebie położone miejsca pożarów. Zapewne obserwuje swoje dzieła, więc pokombinujcie, skąd mógłby się im przyglądać i kto mógłby go tam zauważyć.

Teren znacie. Wasze zadanie polega na wskazaniu podejrzanych, których będę mogła zestawić z profilem. Lee, chcę, żebyś pogadał z informatykiem i dowiedział się, czy mundurowi nie mają w aktach kogoś odpowiadającego temu opisowi. Ja się zabiorę za obszerniejszą wersję profilu, a Tommy z Di zajmą się rutynowymi procedurami, czyli będą kontaktować się z laboratorium kryminalistycznym i zorganizują ekipę, która pochodzi po najbliższej okolicy i popyta mieszkańców. Cholera, przecież nie muszę wam mówić, jak wygląda śledztwo w sprawie o morderstwo... Przerwało jej pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

W drzwiach stanął John Brandon. Oto, uświadomiła sobie Carol, wykładnik tego, jak daleką miała przed sobą drogę, nim zostanie zaakceptowana w policji wschodniego Yorkshire; nikt nie zajrzał do gabinetu, żeby ją ostrzec, że szef się do niej wybiera. Zerwała się na równe nogi, Tommy omal się nie wywrócił, z impetem poderwawszy się z krzesła, a Lee rąbnął łokciem o szafkę, odpychając się do pionu. Tylko Di Earnshaw nie musiała się miotać, nadal stała pod ścianą z założonymi rękami.

- Przepraszam, że przeszkadzam, inspektor Jordan - odezwał się Brandon uprzejmie. - Na słowo...?

- Naturalnie, sir. Właściwie już skończyliśmy. Wiecie, czego się trzymać, więc wracajcie do swoich zajęć.

Uśmiech, którym Carol dała ekipie sygnał do odejścia, był pełen zachęty. Trójka funkcjonariuszy wymknęła się z gabinetu bez oglądania się za siebie.

Brandon wskazał Carol krzesło, po czym usadowił się na drugim.

- Pożar w Wardlaw z ofiarą śmiertelną - zaczął bez wstępów. Carol skinęła głową.

- Już tam byłam.

- Słyszałem. Zakładam, że to kolejna sprawa z twojej serii?

- Tak myślę. Ten sam schemat. Czekam, aż się odezwą inspektorzy pożarniczy, ale Jim Pendlebury, szef straży, uważa, że to robota tego samego człowieka.

Brandon nerwowo przygryzał wargę. Po raz pierwszy w obecności Carol nie wydawał się w stu procentach opanowany. Odetchnął ciężko przez nos i stwierdził:

- Rozmawialiśmy o tym wcześniej i wiem, że jesteś przekonana, że dasz sobie radę. Nie twierdzę, że się mylisz, bo uważam cię za cholernie dobrą śledczą, Carol. Ale chcę, żeby Tony Hill rzucił na to okiem.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby - zaprotestowała Carol; fala ciepła rozeszła się po jej policzkach i szyi. - Nie na tym etapie.

Smutna twarz Brandona, przywodząca na myśl pysk posokowca, wyciągnęła się jeszcze bardziej.

- To żadna ujma dla twoich kompetencji - podkreślił.

- Jestem zmuszona zauważyć, że ja widzę to nieco inaczej - wycodziła Carol, starając się zapanować nad głosem. Pamiętała, jaką złość wzbudziła w niej impertynencja Tommy'ego Taylora. - Sir, dopiero co wszczęliśmy dochodzenie. Niewykluczone, że uporamy się z tym w kilka dni. Nie wierzę, żeby w Seaford było wielu piromanów pasujących do profilu.

Brandon poruszył się na krześle, jakby mozolnie próbował znaleźć wygodną pozycję dla swoich długich nóg.

- Znalazłem się w dość niezręcznym położeniu, Carol. Nigdy nie byłem zwolennikiem maksymy „nie im pytać o powody”. Uważałem i nadal uważam, że ta machina sprawniej działa, kiedy moi oficerowie rozumieją, dlaczego wydają takie czy inne rozkazy, zamiast polegać na ślepym posłuchu. Z drugiej strony, z powodów operacyjnych, pewne sprawy trzeba przyjmować na słowo honoru. A kiedy w grę wchodzi inne jednostki, niepozostające pod moją komendą, nawet jeśli moim zdaniem nie ma powodu do domagania się absolutnej dyskrecji, muszę ich prośbę uszanować. Nadażasz za mną...?

Niespokojnie, w niemym pytaniu, uniósł brwi. Ale i tak był pewien, że Carol rozumie. Zmarszczyła czoło.

- Zatem, teoretycznie - mówiła powoli, bo chciała dobrze to sobie przemyśleć - gdyby powoływano akurat nową jednostkę specjalistyczną i gdyby ci specjaliści szukali wyrozumiącej jednostki policyjnej, która udostępniłaby im jedną ze swoich spraw, powiedzmy, zgodziłaby się zostać królikiem doświadczalnym, nawet gdyby pan uważał, że oficer prowadzący ma prawo wiedzieć, co jest

grane, byłby pan zobligowany do spełnienia prośby o nieujawnianie powodów, dla których specjalistyczna jednostka dostaje tę sprawę? Jakoś tak, sir?

Brandon uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Tak, choć to czysta teoria.

Nie doczekał się uśmiechu podwładnej.

- Moim zdaniem, to nie byłaby stosowna chwila na taki eksperyment. - Umilkła. - Sir.

Brandon wydawał się zdziwiony.

- Czemu nie? - spytał.

Carol zastanawiała się przez chwilę. Z awansami w tym fachu było jak ze wspinaniem się po naoliwionym słupie: niewielu absolwentów, a co dopiero absolwentek, wdrapywało się tak wysoko jak ona. Patronat Johna Brandona dał jej więcej, niż mogłaby oczekiwać. W dodatku sama nie była pewna, czy jej protesty istotnie wynikają z powodów, które zamierzała przytoczyć. Niemniej nie zwykła poddawać się bez walki.

- Jesteśmy nową jednostką - zaczęła z namysłem. - Próbuję się porozumieć z ludźmi, którzy od dawna stanowią zespół. Pracuję nad zbudowaniem takich relacji, które pozwolą nam wypełniać nasze obowiązki służbowe. Przegram, jeśli zostanie mi odebrana pierwsza duża sprawa, jaka przewinęła się przez moje biurko, odkąd się tu pojawiłam.

- Nikt nie mówi o odebraniu pani sprawy, inspektor - poprawił Brandon, przybierając, wzorem Carol, oficjalny ton. - Rozmawiamy o

wykorzystaniu nowej specjalistycznej jednostki na zasadzie konsultacji.

- Powstanie wrażenie, iż nie ma pan do mnie zaufania - upierała się Carol.

- Bzdura. Gdybym nie ufał pani umiejętnościom, dlaczego, u licha, mianowałbym panią na to stanowisko? Że o awansie nie wspomnę.

Carol z niedowierzaniem pokręciła głową. On naprawdę nic nie kapował.

- Jestem pewna, że kowboje z kantyny bez trudu znajdą sobie inne wytłumaczenie.

Oczy Brandona otworzyły się szeroko, gdy zrozumiał aluzję.

- Myślisz, że oni... Niemożliwe... To śmieszne! W życiu nie słyszałem takiego absurdu!

- Skoro tak pan twierdzi, sir. - Carol zmusiła się do krzywego uśmiechu i przegarnęła postrzępione włosy. - Nie sądziłam, że wyglądam aż tak kiepsko.

Brandon potrząsnął głową.

- Nie pomyślałem, że ludzie mogą opacznie zrozumieć twój awans. Przecież to jasne, że jesteś świetną policjantką. - Westchnął i przygryzł usta. - Teraz jestem w jeszcze gorszej sytuacji, niż kiedy tu wchodziłem.

Spojrzał na nią i ostatecznie podjął decyzję.

- Mówię nieoficjalnie. Paul Bishop miał ostatnio problemy z dogadaniem się z mundurowymi z Leeds. Dali mu jasno do

zrozumienia, że nie życzą sobie jego zespołu na swoim terenie i że nie udostępnią akt. A on potrzebuje autentycznego dochodzenia, żeby jego ludzie mogli się nauczyć rzemiosła, choć, z oczywistych powodów, nie mogą dostać żadnego seryjnego zabójcy czy gwałciciela z pierwszych stron gazet. Do mnie zadzwonił, bo jesteśmy po sąsiedzku. Poprosił, żebym się rozejrzył za czymś odpowiednim. Taka przymiarka, zanim zjedzą zęby na tej robocie. Będę całkiem szczery: zamierzałem im podsunąć twojego seryjnego podpalacza, jeszcze zanim pojawiła się pierwsza ofiara śmiertelna.

Carol modliła się, by złość nie uzewnętrzniła się na jej twarzy. Ci faceci. Jak tylko człowiek pomyśli, że nareszcie przyuczył takiego, żeby zachowywał się grzecznie, ten natychmiast wraca do swoich neandertalskich zwyczajów.

- Morderstwo. Trudno o lepszy materiał na pierwsze strony - sarknęła. - Ze względu na mój szacunek dla samej siebie, o szacunku ze strony moich ludzi nie wspomnę, powinnam osobiście pokierować tym dochodzeniem. A nie publicznie podczepiać się pod ogólnokrajową jednostkę profilerską - ciągnęła zimno. - Gdybym uważała, że najlepszym sposobem na prowadzenie dochodzenia jest spraszanie miastowych bonzów na wizytację, sama bym się z nimi skontaktowała. Nie mogę uwierzyć, jak może pan tak podkopywać moją pozycję. Sir. - Ostatnie słowo było pełne jadu.

Metoda, jaką Brandon zwykł radzić sobie z niesubordynacją, diametralnie różniła się od sposobów Carol. Człowiek na jego

stanowisku nie musiał sięgać po zawołane groźby, mógł sobie pozwolić na bardziej finezyjne rozwiązanie.

- Nie jest moją intencją podkopywanie autorytetu moich oficerów, starsza inspektor Jordan. Dlatego będzie pani jedyną funkcjonariuszką bezpośrednio kontaktującą się z zespołem profilerów. To pani będzie jeździć do nich do Leeds, a nie oni do pani. Dam komendantowi Bishopowi dobitnie do zrozumienia, że jego ludzie nie będą omawiać tej sprawy z żadnym innym funkcjonariuszem policji wschodniego Yorkshire. Zakładam, że to rozwiązanie panią satysfakcjonuje?

Carol wbrew sobie poczuła zaprawiony urazą podziw dla Brandona: szybko myślał, decydował z marszu.

- Wydał pan krystalicznie jasne rozkazy, sir - odpowiedziała z rezygnacją, rozpięram się na krześle.

Z ulgą, że zdołał zażegnać kryzys, nie uciekając się do niczego, o czym byłoby mu wstyd raportować Maggie, Brandon wstał i uśmiechnął się odprężony.

- Dzięki, Carol. Doceniam to. Dziwne, przysięgłbym, że obiema rękami chwycisz się ponownej współpracy z Tonym Hillem. Tak dobrze się dogadywaliście, kiedy odpowiadałaś za przepływ informacji w związku z zabójstwami w Bradfield.

Zmusiła mięśnie twarzy, by z pamięci odtworzyły grymas uśmiechu. Miała nadzieję, że Brandon uzna go za szczery.

- Moje wątpliwości nie mają nic wspólnego z doktorem Hillem - oświadczyła, zastanawiając się, czy Brandon jej uwierzy, skoro sama nie była o tym przekonana.

- Uprzedzę ich, że się niebawem odezwiesz. - Brandon zamknął za sobą drzwi: uprzejmy gest, za który Carol była mu nieskończenie wdzięczna.

- Nie mogę się doczekać - mruknęła posepnie do pustego pokoju.

Shaz w podskokach wpadła na posterunek, z radosnym wyczekiwaniem spojrzała na urzędującego za biurkiem funkcjonariusza i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Posterunkowa Bowman - rzuciła. - Z OJP-u. Powinna być dla mnie jakaś przesyłka...?

Mundurowy zrobił sceptyczną minę.

- Tutaj?

- Zgadza się. - Zerknęła na zegarek. - Wysłana nocnym kurierem. Z doręczeniem na dziewiątą rano. A że na moim zegarku jest dziesięć po...

- No, to powinnaś kogoś ochrzanić, bo nic dla ciebie nie ma, skarbie - oświadczył z nieskrywaną satysfakcją. Nieczęsto nadarzała się okazja, żeby za jednym zamachem utrzyć nosa komuś spoza jednostki i lekceważąco potraktować kobietę.

- Jest pan pewny? - spytała Shaz, starając się nie okazać zawodu; nie chciała mu jeszcze bardziej poprawiać humoru.

- Mam odznakę małego czytelnika, skarbie. Zaufaj mi, jestem gliną. Nie ma dla ciebie żadnej przesyłki. - Znudzony, ostentacyjnie odwrócił się do niej plecami i udał, że frapuje go stos dokumentów.

Posykując gniewnie, w paskudnym nastroju, Shaz nie zatrzymała się przed windą i biegiem pokonała pięć pięter.

Ufaj tylko sobie, ufaj tylko sobie, dudniło jej w głowie w rytm kroków.

Pomaszerowała prosto do sali komputerowej i ciężko opadła na krzesło, z wysiłkiem zdobywszy się na burkliwe słowa powitania pod adresem Simona urzędującego przed jednym z terminali. Złapała słuchawkę i ze złością wystukała domowy numer Chris.

- Niech to szlag! - wymamrotała, gdy odezwała się automatyczna sekretarka.

Wyciągnęła z torebki elektroniczny organizer i wstukała imię Chris. Palcem wskazującym dźgnęła numer bezpośredniej linii do nowego Scotland Yardu. Głos w słuchawce poprzedziły dwa sygnały.

- Devine.

- Tu Shaz.

- O cokolwiek ci chodzi, odpowiedź brzmi: nie, lalka. Chyba do końca życia nie wydłubię całego kurzu i tuszu spod paznokci po wczorajszym wyczynie. Stanowczo nie umieściłabym tego na górze listy fajnych sposobów na spędzenie wolnego dnia.

- Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna, przecież wiesz. Tylko że... Chris jęknęła.

- Co, Shaz?

- Przesyłka jeszcze nie dotarła. Chris parsknęła.

- To wszystko? Słuchaj, zanim skończyłam, a muszę ci powiedzieć, że nic by z tego nie było, gdybym nie błysnęła starą legitymacją, a personelu nie związała sznurkiem, zrobiło się za późno, żeby przesyłka doszła z samego rana. Najwcześniej będzie w porze południa. No więc dzisiaj, tylko trochę później. W porządku?

- A jak ma być? Jest, jak jest - burknęła Shaz, świadoma, że zachowuje się niewdzięcznie, ale nie umiała zmusić się do skruchy.

- Odpreż się, lalka. To nie koniec świata. Chcesz się nabawić wrzodów? - mitygowała Chris.

- Muszę być gotowa z prezentacją na jutro po południu - pożaliła się Shaz.

- No to w czym problem? - spytała ze śmiechem Chris. - Ożesz ty, Shaz, widzę, że wiejskie powietrze z Yorkshire strasznie cię rozleniwiło. Kiedyś była z ciebie błyskawica. Masz całą noc, żeby wszystko przewałkować. Nie mów mi, że wymiękasz.

- Wyobraź sobie, że lubię złapać trochę snu między zmrokiem a świtem - marudziła Shaz.

- W takim razie to chyba lepiej, że nigdy się ze sobą nie spiknęłyśmy, prawda? Przedzwoń do mnie, jeśli nie dostaniesz tych materiałów do popołudnia, zgoda, lalka? Po prostu wyluzuj. Nikt przez to nie umrze.

- Mam gorącą nadzieję, że nie - rzuciła Shaz w słuchawkę, ale Chris już się rozłączyła.

- Kłopoty? - spytał Simon, przysiadając się i popychając w jej stronę pełny kubek.

Shaz wzruszyła ramionami i sięgnęła po kawę.

- Tylko takie tam rzeczy, które chciałam sprawdzić, zanim będziemy omawiać nasze ćwiczenie.

Zainteresowanie Simona nagle wykroczyło poza wizję erotycznych przeżyć z Shaz.

- Masz coś? - rzucił niby od niechcenia, choć skręcało go z ciekawości.

Uśmiech Shaz miał w sobie coś diabolicznego.

- Chcesz powiedzieć, że nie zauważyłeś tej grupy?

- Oczywiście, że tak. Od razu mnie to uderzyło, bez jaj - obruszył się, ale ewidentnie blefował.

- Jasne. Zatem znalazłeś także zewnętrzny związek? - Shaz napawała się wyrazem konsternacji, jaki przemknął po białej jak mleko twarzy Simona, zanim ten odzyskał panowanie nad sobą. Parsknęła śmiechem. - Prawie mnie nabrałeś, Simon.

Potrząsnął głową.

- No, dobra, Shaz, twoje na wierzchu. Powiesz mi, co znalazłaś, jak obiecuję postawić ci dziś kolację?

- Powiem, ale jutro po południu, o tej samej porze, jak będę mówiła wszystkim innym. Ale o ile kolacja nie jest tylko próbą przekupstwa, zgodziłabym się na drinka przed sobotnim wypadem na curry.

Simon wyciągnął rękę.

- Umowa stoi, posterunkowa Bowman. Shaz uścisnęła ją mocno.

Perspektywa przedkolacyjnego drinka w towarzystwie Simona, choć kusząca, nie oderwała myśli Shaz od oczekiwanej przesyłki. W przerwie na kawę znalazła się na dole, zanim pozostali sięgnęli po kubki. Przez resztę rana, kiedy Paul Bishop omawiał zestawianie profilu z listą podejrzanych, Shaz, zwykle najpilniejsza z uczennic, wierciła się jak czterolatka w operze. Zaledwie grupa rozeszła się na lunch, Shaz pognęła po schodach jak chart spuszczonej ze smyczy.

Tym razem jej modły zostały wysłuchane. Na kontuarze spoczywało kartonowe pudło, oklejone chyba całą rolką taśmy.

- Jeszcze chwila i zadzwoniłbym po saperów, żeby się tego pozbyli - warknął zza biurka mundurowy. - To posterunek policji, nie poczta.

- Całe szczęście. Nie wytrzymałbyś takiego tempa.

Shaz złapała pudło i pomaszerowała na parking. Otworzyła bagażnik swojego auta i zerknęła na zegarek. Uznała, że ma jakieś dziesięć minut, zanim jej nieobecność wywoła komentarze. Pośpiesznie zdarła paznokciami taśmę i zajrzała do środka.

Ręce jej opadły. Pudło było niemal po brzegi wypełnione kserokopiami. Przez ułamek sekundy Shaz rozważała, czy nie darować sobie lunchu. Potem pomyślała o siedmiu nastoletnich dziewczynach, które uśmiechały się na fotografiach z całym przekonaniem, że obojętnie ile rozczarowań przyniesie im życie, przynajmniej będą żyć. To już nie było zwykłe ćwiczenie. Na wolności czaił się zabójca działający z zimną krwią. I najwyraźniej

wiedziała o tym tylko jedna osoba: Shaz Bowman. Nawet jeśli robota rzeczywiście zajmie jej całą noc, czuła się w obowiązku podjąć ten wysiłek.

Stojąc z Tonym Hillem twarzą w twarz, wstrząśnięta Carol uświadomiła sobie, że to ból wyciera z jego twarzy. W czasach, gdy łączyła ich pewna zażyłość, nie pojmowała, skąd bierze się jego obsesyjny stosunek do pracy. Zakładała, że jak przez nią, tak i przez niego przemawia pragnienie ujęcia sprawcy, wręcz dodaje mu skrzydeł, równocześnie zaś prześladowuje go to, co niegdyś widział, słyszał i robił. Dystans pozwolił jej zrozumieć to, czego wcześniej nawet nie dostrzegała. Nagle pomyślała z żalem, że zupełnie inaczej odnosiłaby się do niego, gdyby w porę odgadła, co dzieje się za tymi ciemnymi, znękanymi oczami.

Oczywiście, w taki sposób zaaranżował ich pierwsze od miesięcy spotkanie, by ani na chwilę nie zostali sami. Paul Bishop, wydelegowany, aby ją powitać w Leeds, epatował wdziękiem, za który kochały go media, Carol jednak miała wrażenie, że zaraz się udusi. Jego kurtuazja nie obejmowała natomiast propozycji wniesienia na górę dwóch ciężkich, wyładowanych aktami walizek. Carol zauważyła także z rozbawieniem, że nie był w stanie przejść obok błyszczącej powierzchni, nie szukając niedoskonałości w swoim wyglądzie; to przyglądał brew, to prostował się i poprawiał na szerokich ramionach mundur uszyty na miarę.

- Jestem zachwycony, że nareszcie mogę panią poznać - zagaił. - Najlepszą i najbliższą oficer Johna Brandona. Wspomniała rekomendacja, nie wspominając już o pani dotychczasowych osiągnięciach. One mówią same za siebie, rzecz jasna. Czy John wspominał, że byliśmy w tej samej szkole oficerskiej? Wspomniały gliniarz, a przy tym jaki łowca talentów!

Entuzjazm Bishopa był zaraźliwy. Carol musiała w duchu przyznać, że wbrew jej postanowieniom pochlebstwa robią swoje.

- Praca z panem Brandonem to dla mnie przyjemność - zapewniła. - Co słyhać w jednostce?

- Och, sama się pani przekona. - Zbył to pytanie, gestem zapraszając ją do windy. - Oczywiście, Tony wychwalał panią pod niebiosa. Jaka to radość z panią współpracować, jaka z pani urocza koleżanka, błyskotliwa, przeurocza w kontaktach. - Błysnął wszystkimi zębami. - Itepe.

Teraz Carol wiedziała już, że to bajerant. Nie wątpiła, że Tony szanuje ją jako profesjonalistkę, ale znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie omawiałby jej walorów towarzyskich. Przewyciężenie jego rezerwy wymagałoby znacznie większego taktu i umiejętności niż te, którymi dysponował Paul Bishop. Tony nigdy nie opowiadałby o Carol, ponieważ musiałby wspomnieć o sprawie, dzięki której się poznali. To z kolei za bardzo obnażyłoby ich przed jakąkolwiek osobą postronną. Musiałby wyjaśnić, jak Carol się w nim zakochała i jak problemy seksualne zmusiły go do odtrącenia tego uczucia, jak ostatnie, ciche nadzieje, że może jednak kiedyś będą

razem, padły ofiarą psychopatycznego mordercy. Czują przez skórę, że nikomu by się z takich spraw nie zwierzał, a jeśli było coś, co wynosiło ją ponad kolegów po fachu, to właśnie intuicja.

- M-hm - mruknęła niezobowiązująco. - Zawsze podziwiałam profesjonalizm doktora Hilla.

Bishop otarł się o jej biodro, przyciskając guzik piątego piętra. Gdybym była mężczyzną, pomyślała Carol, rzuciłby „piąte” i czekał, aż sama to zrobię.

- To dla nas jak nieoczekiwana premia, że pracowała pani wcześniej z Tonym - kontynuował Bishop, lustrując swoją fryzurę, odbitą w gładkich, metalowych drzwiach. - Nowi kursanci będą mogli się wiele nauczyć, obserwując, jak dzielicie pracę między sobą, jak się porozumiewacie, uzupełniacie wzajemnie.

- „Znasz moje metody, Watsonie” - zacytowała Carol kąśliwie. Bishop przez sekundę wydawał się skonsternowany, potem twarz mu się rozpuściła.

- No, tak. - Winda się otworzyła. - Tędy. Napijemy się kawy, tylko we troje, potem pani będzie mogła popracować z Tonym, a studenci popatrzeć i pouczyć się.

Zamaszystym krokiem przemierzył korytarz, otworzył drzwi i poczekał, aż Carol wejdzie do środka; salka przypominała miniaturowy obskurny pokój nauczycielski.

W drugim końcu salki stał Tony Hill. Okręcił się dookoła z filtrem do kawy w jednej ręce i z łyżką w drugiej. Na widok Carol

oczy mu się rozszerzyły, ona zaś poczuła, że powoli, nieodparcie, na usta wypływa jej szeroki uśmiech.

- Tony. - Jakimś cudem jej głos zabrzmiał oficjalnie. - Miło cię zobaczyć.

- Carol - rzucił powitalnym tonem, łyżka wypadła mu z ręki i z brzękiem upadła na stół. - Wyglądasz... dobrze. Wyglądasz dobrze.

Skłamałaby, gdyby odpowiedziała tym samym komplementem. Był blady, choć widywała go już bledszego. Cienie pod oczami w mniejszym stopniu przypominały sińce, które miał, kiedy ostatnio się w siebie wpatrywali, w dalszym ciągu jednak była to cecha kogoś, dla kogo osiem godzin snu na dobę pozostaje nieziszczalnym marzeniem. Z jego oczu zniknął wyraz czujności, ale nadal wydawał się spięty. Mimo to miała ochotę go pocałować.

Zamiast tego położyła walizki na stoliku i spytała:

- To jak, mam szansę na łyk twojego naparu?

- Mocna, czarna, bez cukru? - upewnił się Tony z lekkim uśmiechem.

- Widzę, że zrobiła pani na nim wrażenie - wtrącił Bishop; długimi krokami przeszedł obok Carol i opadł na krzesło o zapadniętym siedzeniu, po czym pieczołowicie podciągnął nogawki, żeby nie wypchać spodni na kolanach. - Mnie codziennie pyta, jaką pijam.

- Kiedy wcześniej współpracowaliśmy, była to sytuacja, w jakiej każdy drobiazg raz na zawsze utrwała się w mózgu - powiedziała Carol poważnie.

Tony ukradkiem posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie, potem odwrócił się i zajął parzeniem kawy.

- Dzięki za podesłanie akt - powiedział wśród szumu wiekowego czajnika elektrycznego. - Dałem je do skopiowania, a kopie rozdałem zespołowi do przestudiowania przez noc.

- Świetnie. Jak chcesz to rozegrać? - spytała Carol.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pobawić się w odgrywanie ról na żywo - stwierdził Tony; nadal był odwrócony plecami. - Usiąść naprzeciwko siebie przy jednym stoliku i krok po kroku przeanalizować akta, jakby to było prawdziwe śledztwo.

Stanął w półobrocie, z niepewnym uśmiechem na ustach, a Carol poczuła dziwny skurcz w żołądku.

Weź się w garść, upomniała się gniewnie. Nawet gdyby mógł cię chcieć, i tak by cię nie zechciał. Pamiętasz?

- Brzmi nieźle - usłyszała własny głos. - Jak zamierzasz wciągnąć w to kursantów?

Tony zonglował trzema kubkami; szerokie, kanciaste dłonie ustawiły je na stoliku na tyle zręcznie, że tylko parę kropeł trafiło na tabaczkowy dywan.

- Specjalnie wybrany, żeby nie było widać plam - mruknął, marszcząc w skupieniu brwi.

- Jest ich sześcioro - wtrącił Bishop. - Więc to niewykonalne, żeby każde z nich mogło wziąć w tym udział, nawet gdyby poświęciła im pani mnóstwo czasu. Będą się przysłuchiwać, jak pani i Tony omawiacie akta. Następnie, jeśli będą mieli pytania odnośnie do tej

części procesu, zadadzą je. Po pani wyjściu Tony popracuje z nimi nad stworzeniem wstępnego profilu, który zostanie pani przekazany za kilka dni. Ze swojej strony liczymy na to, że kiedy wytypuje pani podejrzanego i przejdzie do fazy aresztowania i stawiania zarzutów, skontaktuje się pani z Tonym w kwestii strategii przesłuchania i udostępni nam nagrania z samych przesłuchań. - Uśmiech świadczył o tym, że Bishop nieczęsto spotyka się z odmową.

- A jeśli nie będzie takiej możliwości? - odpowiedziała Carol ostrożnie, nie do końca pewna swojej pozycji. - Może się okazać, że dopiero po zakończeniu procesu uzyska pan dostęp do nagrań, a i to pod warunkiem, że przesłuchiwany wyrazi zgodę. Będę musiała zasięgnąć konsultacji w tej sprawie.

Mikroskopijne poruszenia mięśni odarły twarz Bishopa z wyrazu dobrotliwości.

- Moje wrażenie po rozmowie z panem Brandonem było takie, że w tej sprawie nie trzymamy się niewolniczo formalności - odpalił.

- Ja prowadzę to dochodzenie, panie komendancie. To nie szkolne ćwiczenie. To dochodzenie w sprawie o spowodowanie śmierci i moją intencją jest doprowadzenie do skazania sprawcy. Nie podejmę najmniejszego ryzyka, za które mogłabym zapłacić podważeniem aktu oskarżenia. Nie zostawiam otwartych drzwi dla cwanych obrońców.

- Ona ma rację - nieoczekiwanie poparł ją Tony. - Trochę nas poniosło. Takie rzeczy uderzają ludziom do głowy, wiesz, Paul? A Carol musi zadbać, żeby sprawa przeciwko temu seryjnemu

podpalaczowi utrzymała się w sądzie, nie wymagajmy więc, by poszła nam na rękę, ryzykując, że sąd go uniewinni.

- Świetnie - uciął Bishop; nie patrząc nawet na przygotowaną dla niego kawę, skierował się do wyjścia. - Nie będę wam przeszkadzał. Muszę szybko wykonać parę telefonów, żeby móc asystować przy waszej sesji. Do zobaczenia później, inspektor Jordan.

Carol uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Czy za każdego piątku dostałabym dycę, gdybym się założyła, że będzie wisiał na telefonie i marudził Johnowi Brandonowi, zanim jego cztery litery znowu dotkną krzesła?

Tony potrząsnął głową; oczy iskrzyły mu się z rozbawienia.

- Prawdę mówiąc, raczej nie. Paul nie lubi, jak ktoś mu się stawia, ale oszczędza proch na walne bitwy.

- Nie to co ja. Zawsze wdzieram się tam, gdzie aniołowie boją się chodzić, ech...

Tony odwzajemnił jej spojrzenie i dostrzegł w nim życzliwość.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju, Carol. Było mi autentycznie przykro, że nie chcesz wstąpić do zespołu.

Wzruszyła ramionami.

- To nie dla mnie, Tony. Jasne, lubię duże sprawy, ale nie życie w przedpieklu.

Uciekł wzrokiem i chrząknął.

- Tym bardziej się cieszę, że mimo wszystko będziemy współpracować. Gdyby nie okoliczności, nie sądzę, żebyś przybiegła do nas z czymś, co na pierwszy rzut oka wygląda na dość prostą

sprawę: seria podpaień, które jakby przypadkiem przerodziły się w tragedię. To dla zespołu nieoczekiwany uśmiech losu, móc obserwować prawdziwą profesjonalistkę przy pracy.

- Wiesz, odkąd ten twój zespół po raz pierwszy wymieniono jednym tchem z moim śledztwem, karmi się mnie tutaj taką ilością pochlebstw, że nawet politykowi stanęłyby kością w gardle - odparła Carol, próbując zamaskować zadowolenie sardonicznym tonem.

- A kiedy to próbowałem ci schlebiać? - zdziwił się Tony szczerze. Carol poczuła kolejny skurcz żołądka.

- Może to jednak nie najlepszy pomysł - powiedziała pośpiesznie. - Żeby obserwowali akurat mnie, o to mi chodziło. Powinieneś im pokazać, jak wygląda szara rzeczywistość w policji, i przywieźć im jakiegoś jaskiniowca. - Pilnowała, by jej uśmiech nie przybladł.

Tony zaśmiał się wesoło.

- Wyobrażasz to sobie? Prawdziwie wiekopomne sesje. - Ściszył głos i huknął z przerysowanym akcentem z Yorkshire: - Ale ci, kurna, szajs. Chcecie, żebym laził od podejrzanego do podejrzanego i pytał, czy lał w łóżko, jak był mały?

- Zapomniałam, że pochodzisz z tych stron - zaśmiała się Carol.

- A ja nie - mruknął Tony. - Stare, dobre West Riding, ostatnie miejsce na ziemi, dokąd chciałem trafić. Ale chciałem też poprowadzić ten zespół, a w Home Office się uparli, żebyśmy stacjonowali poza Londynem. Boże broń, żebyśmy zrobili cokolwiek sensownego, chociażby zakwaterowali zespół profilerski ze służbami

wywiadowczymi. A jak ty się odnajdujesz w prastarym bagnie Seaford?

Carol wzruszyła ramionami.

- Życie wśród dinozaurów? Spytaj mnie za pół roku. - Zerknęła na swój zegarek. - O której zaczynamy?

- Za parę minut.

- Co ty na to, żebyśmy nadrobili zaległości przy lunchu? - Neutralny ton przecwiczyla setki razy w drodze do Leeds.

- Nie mogę. - Wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro. - Cały zespół jada razem. Ale chciałem cię spytać...

- Tak? - Ostrożnie, Carol, żadnej nachalności!

- Śpieszysz się do domu?

- Nie, nic mnie nie pili. - Serce się w niej rozśpiewało: tak, tak, zaprosi mnie na kolację!

- Zastanawiałem się, czy może zostałąbyś na dzisiejszej popołudniowej sesji, popatrzyła, posłuchała...?

- Jasne. - Jej głos był promienny, nadzieje zdruzgotane, oczy zgaszone. - Jakież szczególne powody?

- W zeszłym tygodniu dałem im materiały do przejrzania. Mają przedstawić dzisiaj swoje wnioski i pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyśmy poznali twoje zdanie.

- Świetnie.

Płytki wdech, po czym Tony dodał:

- Pomyślałem też, że może moglibyśmy po wszystkim pójść na drinka...?

Nerwowe wyczekiwanie sprawiło, że Shaz czuła się jak po zastrzyku adrenaliny. Mimo że udało się jej złapać zaledwie trzy godzinki snu, była nakrecona jak naćpane amfetaminą małolaty na rave party. Zajęła się fotokopiami gazet, zaledwie zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Porozkładała je na dywan w salonie, raz tylko robiąc sobie krótką przerwę, żeby zamówić pizzę przez telefon. W zaaferowaniu nie zauważyła nawet, że przysłali jej margaritę o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów, a policzyli za trzydziestocentymetrową ze wszystkimi dodatkami.

Do pierwszej nad ranem przerobiła wszystko oprócz działów rozrywki i stron ze sportem. Jej wcześniejsze przekonanie, że zauważy uwarunkowania zewnętrzne, które potwierdzą jej tezę o siedmiu powiązanych sprawach, zaczynało w coraz mniejszym stopniu przypominać odważny wniosek, w coraz większym natomiast bzdurę wyssaną z palca. Przeciągnęła się, bo zeszywniały jej plecy, i przetarła obolałe oczy. Potem wstała i chwiejnie powędrowała do kuchni, żeby zaparzyć świeżą kawę.

Z nową energią wróciła do lektury, postanowiwszy, że zacznie od stron ze sportem. Może ta sama drużyna piłkarska, grająca na wyjeździe, i jej wierni kibice? Albo piłkarz, który przechodził z klubu do klubu, a potem został menedżerem? Może miejscowe mistrzostwa golfowe, które przyciągały przyjezdnych, albo może seria turniejów brydżowych? Wykluczenie wszystkich możliwości zajęło jej parę

następnych godzin. Shaz cała się trzęsła - ze zmęczenia, od kofeiny i ze strachu przed majaczącym na horyzoncie widmem kompromitacji.

Kiedy wreszcie wypatrzyła upragniony wspólny mianownik, w pierwszej chwili pomyślała, że ma halucynacje. Pomysł był szalony, nawet jej samej wydawał się niedorzeczny. Przyłapała się na tym, że chichocze nerwowo, jak dziecko, które nie nauczyło się jeszcze, że są rzeczy, z których nie wypada się śmiać.

- To jakiś obłąd - szepnęła, wertując kolejno siedem kompletów kserówek, żeby sprawdzić, czy coś jej się nie przywidziało. Zesztywniała, podniosła się na nogi, usiłując rozluźnić napięte do bólu mięśnie, i poczłapała do sypialni; rozebrała się po drodze. Zbyt wiele wrażeń jak na piątą trzydzieści rano. Nastawiła budzik na wpół do siódmej i padła na łóżko twarzą w poduszki. Zasnęła w ułamku sekundy.

Shaz śniła o telewizyjnych teleturniejach, których zwycięzcy mogli wybierać sobie rodzaj śmierci. Kiedy włączył się alarm budzika, w jej śnie zmienił się w brzęczyk krzesła elektrycznego. W zmańczonym z niewyspania umyśle Shaz wspomnienie tego, czego doszukała się gazetach, stało się przedłużeniem sennego koszmaru. Wygrzebała się spod nakrycia, wstała i poszła do salonu na palcach, jakby odgłos kroków mógł spłoszyć jej znalezisko i skłonić je do ucieczki.

Siedem nierównych stert fotokopii. Na wierzchu każdej strona z rozrywką. A każda zawierała albo zapowiedź występu, albo zamieszczała wywiad z tym samym człowiekiem. Jakkolwiek patrzeć,

wyglądało na to, że jeden z ulubieńców narodu był w jakiś sposób zamieszany w zniknięcie i domniemane morderstwa co najmniej siedmiu nastolatków.

A teraz Shaz będzie musiała podzielić się tą sensacją z innymi.

Nietrudno sprawić, żeby języki poszły w ruch, odkryła niebawem Micky. Ilekroć wpadała do centrum rehabilitacyjnego, w którym Jacko uczył się posługiwać protezą ręki, oboje stawiali sobie za punkt honoru, by dokładnie zamknąć drzwi i siedzieć tuż obok siebie, tak aby - kiedy przeszkodzi im fizjoterapeuta albo pielęgniarka - móc odskoczyć od siebie z zawstydzonymi minami.

Wydzwaniała do niego z pracy, kiedy sąsiednie biurka były zajęte i miała pewność, że rozmowa zostanie podsłuchana. Same rozmowy oscylowały od żywiołowej wesołości, z jego imieniem wtrącanym w roli przerywnika, po ciche, poufale tony, które nawet jej koleżanki i koledzy, nie grzeszący zbytnią wyobraźnią, skojarzyli z zakochanymi.

W końcu, by intryga nabrała rozpędu, przyszła pora na skandal i dramat. Micky wybrała znajomą ze średnio poczytnego brukowca. Trzy dni później z pierwszej strony krzyczał nagłówek:

ZBOCZENIEC PRZEŚLADUJE NOWĄ UKOCHANĄ JACKO

Przeciwko dziewczynie bohaterskiego Jacko, który z narażeniem życia uratował dwójkę dzieci, wytoczono przerażającą serię aktów wandalizmu i grózb.

Od początku głośnego romansu telewizyjna dziennikarka Micky Morgan wielokrotnie stwierdzała, że ktoś oblał jej samochód farbą, znajdowała w skrzynce pocztowej martwe myszy i ptaki, otrzymywała jadowite anonimy, przesyłane na jej adres domowy. Para poznała się, gdy dziennikarka przeprowadzała z Jacko wywiad w szpitalu, dokąd gwiazdor sportu i światowy rekordzista w rzucie oszczepem trafił w następstwie tragicznego karambolu, podczas którego za swoje bohaterstwo zapłacił utratą prawego przedramienia i marzeń o olimpiadzie. Para starała się ukryć swoją miłość przed światem.

Jednak nasza gazeta zdołała się dowiedzieć, że wieść o ich tajemnicy dotarła do uszu kogoś, kto żywi urazę do Micky, atrakcyjnej dwudziestopięcioletniej blondynki, popularnej dziennikarki, znanej nam z programu „Świat o szóstej”. Wczoraj wieczorem, w swoim domu w zachodniej części Londynu, Micky zwierzyła się: „To koszmar. Nie mamy pojęcia, kto się za tym kryje. Kimkolwiek jest, chciałabym tylko, żeby się opamiętał. Nie afiszowaliśmy się z naszym związkiem, ponieważ chcieliśmy się nawzajem lepiej poznać z dala od oślepiających świateł jupiterów. Bardzo się kochamy. Człowiek, którego poznałam prywatnie, jest jeszcze bardziej ekscytujący od postaci, jaką zna publiczność.

Jest dzielny i piękny jak młody bóg. Jak mogłabym nie być w nim szaleńczo zakochana? Teraz chcemy tylko, żeby te okrutne prześladowania nareszcie się skończyły. W imieniu Jacko, który przechodzi obecnie intensywną rehabilitację i fizjoterapię w ekskluzywnej londyńskiej Martingale Clinic, wypowiada się jego

rzecznik: „Naturalnie Jacko jest zbulwersowany, że ktoś traktuje Micky w taki sposób. To najcudowniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek poznał. Ktokolwiek się za tym kryje, niech się modli, żeby to policja go/ją złapała, a nie Jacko”. Jacko, który zerwał zaręczyny z... (cd. na stronie 4)

W prasie wrzało przez parę tygodni, potem sprawa przycichła, odzywając co pewien czas, ilekroć coś się przydarzyło „parze zakochanych”. Koniec rehabilitacji Jacko i powrót do dawnego życia; przyjęcie posady telewizyjnego prezentera sportowego; nowy program Micky w telewizji śniadaniowej; wolontariat Jacko na rzecz nieuleczalnie chorych - wszystkie te wydarzenia i wiele innych na nowo rozbudzały zainteresowanie rzekomym romanssem. Wkrótce zrozumieli, że muszą być widywani w miejscach publicznych - i cieszących się uwagą mediów - przynajmniej raz w tygodniu, bo tylko dzięki temu mogli uniknąć spekulacji w rubrykach plotkarskich. Często po wspólnym balowaniu po klubach albo na imprezach charytatywnych, wiedząc, że są obserwowani, Jacko decydował się na spędzenie nocy pod tym samym dachem z „ukochaną” i jej dziewczyną. Po blisko roku Micky wezwała Jacko na naradę wojenną przy kolacji.

Talenty kulinarne nie zawiodły Betsy, która przez lata dbała o to, by zarząd dostawał na lunch prawdziwe frykasy. Gdy Jacko przełknął ostatni kęs, spojrział na obie kobiety z lisim uśmieszkiem.

- Czarno to widzę - powiedział - skoro potrzeba było czegoś aż tak dobrego, żeby mnie rozmiękczyć.

Betsy uśmiechnęła się wstydliwie.

- Nie spróbowałaś jeszcze puddingu o smaku toffi z domowej roboty lodami z orzechów laskowych.

Jacko udał, że jest wstrząśnięty.

- Gdybym był policjantem, mogłabyś zostać aresztowana za samą propozycję.

- Wyobraź sobie, że rzeczywiście chcemy ci coś zaproponować - podchwyciła Micky.

- Coś mi podpowiada, że nie chodzi o łożkowy trójkącik - zażartował, bujając się na krześle.

- Ani śladu rozczarowania w głosie - rzuciła Betsy sucho. - Myśl, że jesteśmy kompletnie niepociągające, bardzo szkodzi naszej, jak Amerykanie określają z właściwym sobie wdziękiem, „selfesteem”.

Uśmiechnięty Jacko niepokojąco kojarzył się Micky z Jackiem Nicholsonem.

- Samoocenie, powiadasz? Betsy, moja droga, gdybyś wiedziała, jak lubię traktować swoje kobiety, byłabyś głęboko wdzięczna losowi za brak zainteresowania z mojej strony.

- Prawdę mówiąc, niewiedza w tej kwestii jest jednym z powodów, dla których tak długo wahałyśmy się, czy w ogóle złożyć ci tę propozycję - wyznała Betsy, szybko zbierając naczynia i wynosząc je do niewielkiej kuchni.

- Zaintrygowaliście mnie - odparł Jacko; proteza oparła się o blat stołu, przednie nogi krzesła stuknęły o podłogę. Wytrzymał spojrzenie Micky, oczy mu zabłyśły. - Wal prosto z mostu, Micky.

Betsy stanęła w drzwiach kuchni i oparła się o framugę.

- Te wasze wspólne wypadki na miasto są bardzo czasochłonne. Ani trochę mi nie przeszkadza, że ona wychodzi z tobą. Chodzi tylko o to, że obie mamy ograniczoną ilość wolnego czasu i wołałybyśmy spędzać go razem.

- Chcecie odwołać akcję? - Jacko ściągnął brwi.

- Wręcz przeciwnie - oznajmiła Betsy, siadając przy stole, i nakryła ręką dłoń Micky. - Sądzymy raczej, że moglibyście wziąć ślub.

Wydawał się zdumiony. Micky pomyślała, że po raz pierwszy w życiu widzi u Jacko, starannie kontrolującego mimikę, szczerzy wyraz twarzy.

- Ślub - powtórzył jak echo. Nie było to pytanie.

Shaz ponownie rozejrzała się po sali seminaryjnej, szacując miny słuchaczy, i modliła się, by za chwilę nie zrobić z siebie kompletnej idiotki. Starła się przewidzieć, kto zgłosi zastrzeżenia i jak one będą brzmiały. Simon z zasady szuka dziury w całym. Leon odchylił się na krześle i zapali papierosa z szyderczym grymasem na ustach, potem wyłowi kluczowy element argumentacji i bezlitośnie go obali. Kay będzie krytykować i czepiać się szczegółów, nie ogarniając całości koncepcji. Tony, miała nadzieję, będzie milczał, pełen uznania dla błyskotliwości, dzięki której dostrzegła tę siedmioosobową grupę, oraz dla metodyczności, która pozwoliła jej ustalić zewnętrzny

związek między ofiarami. Niemal całonocna harówka stanie się bodźcem do szeroko zakrojonego śledztwa, a kiedy kurz w końcu opadnie, jej przyszłość będzie zapewniona. Kobieta, która rozszyfrowała seryjnego zabójcę-idola. Stanie się żywą legendą dyskutowaną w pokojach sztabowych w całym kraju. Nareszcie zajmie należne jej miejsce.

Jedyną niewiadomą była Carol Jordan. Co prawda rano Shaz przyglądała się jej pracy z Tonym, ale stanowczo trwało to zbyt krótko, by potrafiła trafnie przewidzieć reakcję śledczej na swoją teorię. Żeby do minimum ograniczyć ryzyko, będzie musiała zdobyć się na cierpliwość i pozwolić, by parę osób wystąpiło przed nią. Posłucha, na co Carol zwraca szczególną uwagę, oceniając inne prezentacje.

Leon poszedł na pierwszy ogień. Shaz była zaskoczona zwięzłością jego raportu i przypuszczała, że nie tylko ona. Stwierdził, że aczkolwiek istnieją oczywiste związki między niektórymi z omawianych spraw, biorąc pod uwagę liczbę nastoletnich uciekinierów, jaką odnotowuje się rokrocznie, trudno jest bronić tezy, by ten fakt miał większe znaczenie statystyczne. Wytypował, choć najwyraźniej bez przekonania, cztery dziewczyny z West Country, w tym jedną z siódemki Shaz. Jako czynnik wiążący te przypadki podał fakt, iż wszystkie chciały zostać modelkami. Na koniec zasugerował, że mogły zostać uprowadzone przez jedną lub więcej osób zajmujących się pornografią, które, oferując dziewczynom pracę

fotomodelek, wciągnęły je w świat filmów erotycznych i seksu za pieniądze.

Zrobiło się cicho, potem z sali padło kilka apatycznych komentarzy. Carol odezwała się chłodno:

- A ile czasu poświęcił pan tej analizie, panie Jackson? Brwi Leona powędrowały w dół.

- A co tu analizować - burknął zaczepnym tonem. - Zrobiłem, co było do zrobienia.

- Gdybym to ja prowadziła śledztwo i przekazała panu te materiały, byłabym porażona powierzchownością pańskiej pracy - oznajmiła Carol. - Czułabym się rozczarowana, zlekceważona i miałabym kiepskie zdanie o jednostce specjalistycznej, która jest w stanie stworzyć coś, z czym każdy z moich podwładnych uporałby się w jedno popołudnie.

Leon ze zdumienia aż rozdziawił usta. Ani Tony, ani Bishop nigdy nie krytykowali nikogo tak otwarcie. Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Tony:

- Starsza inspektor Jordan ma rację, Leonie. To za mało. Mamy być elitarną jednostką, ale nie zdobędziemy sprzymierzeńców, jeżeli każdego zadania nie potraktujemy jako ważnego i zasługującego na staranność. Choćby nawet były to sprawy mniejszego kalibru. Dla oficerów prowadzących są ważne. Dla ofiar są ważne.

- To tylko ćwiczenie - bronił się Leon. - Nie ma oficera prowadzącego. To tylko wygłupy. Nie możecie się czepiać o coś

takiego! - Zawodząca nuta w jego głosie mówiła: „To niesprawiedliwe!” dobitniej niż słowa.

- W moim rozumieniu to są jak najbardziej realne sprawy - powiedziała Carol cicho. - Każde z tych dzieciaków figuruje na liście osób zaginionych. Część niewątpliwie już nie żyje. Ból niepewności bywa często bardziej wyniszczający niż najgorsza prawda. Jeśli lekceważymy czyjś ból, zasługujemy tylko na pogardę.

Shaz przyglądała się, jak nieprzenikniona twarz Tony’ego mimowolnie pochyła się w uznaniu dla słów Carol, potem podążyła za jego wzrokiem ku Leonowi, który zacisnął usta w cienką kreskę, i usiadł bokiem na krześle, żeby nie patrzeć na Carol.

- Racja - przytaknął Tony. - Ustaliliśmy właśnie, że inspektor Jordan nie bawi się w grzeczności. Następny chętny do skoku przez wysoko podniesioną poprzeczkę?

Shaz wierciła się jak na szpilkach przez całą prezentację Kay, pozbawioną polotu, lecz boleśnie wręcz szczegółową analizę, wskazującą kilka potencjalnych grup powiązanych całym wachlarzem czynników. Jedna idealnie pokrywała się z grupą wytypowaną przez Shaz, ale Kay nie przypisała jej większej wagi niż pozostałym. Kiedy ten recital dobiegał końca, Tony miał bardziej zadowoloną minę.

- Kawał rzetelnej roboty - pochwalił; niedopowiedziane „ale” zawisło w powietrzu jak pałeczka na chwilę przed przekazaniem.

Carol przechwyciła ją płynnie.

- Owszem, ale wydaje mi się, że za wcześnie spoczęła pani na laurach. Prowadzący dochodzenie oczekują informacji

przedstawionych w sposób, który wartościuje konkretne hipotezy. Zatem powinna pani jakoś pogrupować swoje wnioski. „Ten jest dość prawdopodobny, ten mniej, ten naciągany, ten, szczerze mówiąc, nieprawdopodobny”. To pozwoli funkcjonariuszom w terenie pracować w sposób najbardziej produktywny.

- Gwoli sprawiedliwości dodam, że trudno to zrobić w próżni, w warunkach dyskusji w sali wykładowej - uzupełnił Tony. - Ale zawsze powinniśmy próbować. Jakies pomysły co do tego, jak należałoby uszeregować omawiane tu możliwości?

Shaz z rzadka tylko uczestniczyła w ożywionej dyskusji, jaka się wywiązała. Za bardzo się denerwowała tym, co ją czeka, żeby się przejmować bieżącą dyskusją. Parokrotnie złowiła kątem oka zabłąkane, pytające spojrzenie Carol Jordan i reagowała jakąś bezpieczną uwagą.

W końcu przysła jej kolej. Shaz chrząknęła i ułożyła przed sobą notatki.

- Mimo że istnieje kilka powierzchownych podobieństw, które pozwalają na wyodrębnienie gamy potencjalnych grup, dokładniejsza analiza ujawnia, że jest wśród nich jedna, którą spaja cały szereg czynników - zaczęła stanowczym tonem. - Zamierzam wykazać, że grupę tę dodatkowo cementuje pewien istotny czynnik zewnętrzny oraz że nieuchronna konkluzja jest taka, że wszystkie osoby z tej grupy są ofiarami jednego seryjnego zabójcy.

Podniosła wzrok w chwili, gdy usłyszała zdławiony okrzyk Kay i bezczelny śmiech Leona. Tony miał zaskoczoną minę, ale Carol

Jordan siedziała pochylona do przodu, podpierając twarz rękami, wsłuchana. Shaz pozwoliła sobie na dyskretny uśmiezek.

- Nie zmyślam, daję wam słowo - zapewniła, rozdając spięte zszywkami komplety fotokopii. - Siedem spraw. Na pierwszej stronie znajdziecie tabelę zawierającą podobieństwa między nimi. Jedno z kluczowych, moim zdaniem, powiązań to fakt, że cała siódemka zabrała ze sobą jedną zmianę ubrania. Mimo to nie wybierały odzieży, po jaką sami sięgnęlibyście, gdybyście planowali ucieczkę i życie na ulicy. Za każdym razem były to wyjściowe, modne ciuchy, jakie zakłada się na ważną randkę, żadnych wygodnych, sportowych butów czy narciarskich kurtek, w których byłoby ciepło nocą. Wiem, że nastolatki nie zawsze są rozsądne, gdy chodzi o dobór stroju, ale pamiętajcie, iż to nie były nieodpowiedzialne, szalone dziewczyny, z którymi rodzice nie potrafili dać sobie rady.

Znowu podniosła wzrok i stwierdziła z satysfakcją, że Tony słucha jej równie bacznie jak Carol Jordan.

- W każdym z tych przypadków zaginiona nie docierała do szkoły, a wcześniej kłamała na temat swoich planów, żeby zyskać około dwunastu wolnych godzin. Tylko o jednej z nich kiedykolwiek słyszała policja czy opieka społeczna, a to w związku z kradzieżą sklepową w wieku dwunastu lat. Nie były młodocianymi przestępczyniami, nie piły ani nie brały narkotyków w ilościach, o jakich warto by mówić.

A teraz, jeśli spojrzycie na drugą stronę, zobaczycie, że zestawiałam ich zdjęcia, zeskalowane do tych samych rozmiarów. Czy

nie sądzicie, że fizyczne podobieństwo jest uderzające? - Shaz zrobiła efektowną pauzę.

- Włos się jeży - wymamrotał Simon. - Nie wierzę, że sam tego nie zauważyłem.

- To więcej niż podobieństwo - zauważyła Carol, jakby trochę rozbawiona. - Wszystkie są... rozerotyzowane.

- Umierają z niecierpliwości, żeby stać się eksdziewicami - oświecił salę Leon. - Ot co. Nie sposób się pomylić.

- Cokolwiek to jest - przerwała Shaz - mają to wszystkie. Miejsca zaginięć są rozsiane po całej mapie, ramy czasowe sięgają sześciu lat, do zniknięć dochodziło w nieregularnych odstępach, ale ofiary wyglądają praktycznie jak siostry. To samo w sobie stanowi mocny dowód. Niemniej jednak Tony uczył nas, że powinniśmy szukać także zewnętrznych uwarunkowań, czynników pozostających poza kontrolą bądź wpływem ofiar. Czynników, które wiążą się z zabójcą.

Zadałam sobie pytanie, gdzie mogłabym znaleźć wspólny mianownik dla tej potencjalnej serii zabójstw. - Shaz sięgnęła po następną stertę kserówek i rozdała je słuchaczom. - Lokalne gazety. Wertowałam lokalne gazety z okresu poszczególnych zaginięć, z dwutygodniowym marginesem w obie strony. I wczesnym rankiem w dniu dzisiejszym znalazłam to, czego szukałam. Macie to przed sobą. Tuż przed zniknięciem każdej z tych dziewczyn, ta sama *bardzo* publiczna osobistość gościła w ich rodzinnych miastach. Pozwolę

sobie przypomnieć: każda z ofiar zabrała z domu strój, po który sięgnęłaby, gdyby chciała zrobić wrażenie na jakimś mężczyźnie.

Szmer niedowierzania potężniał wokół niej: słuchacze wydawali się porażeni insynuacjami Shaz.

- Zgadza się - oznajmiła. - Sama nie mogłam w to uwierzyć. No bo jak tu wierzyć, że bożyszcze sportu i telewizji to seryjny zabójca? I kto wyrazi zgodę na wszczęcie postępowania przeciwko komuś takiemu jak Jacko Vance?

6

Wydawało się, że zimne ciemności całkowicie pochłaniają jej ciche kwilenie. Donna Doyle w całym swoim krótkim życiu nigdy tak bardzo się nie bała. Nie pomyślałaby, że strach może działać jak narkoza, że panika zdolna jest stępić niewyobrażalną mękę do bolesnego pulsowania. Ale niewiedza, co przyniesie przyszłość, była chyba najgorsza.

A zaczęło się tak miło. Dochowała sekretu, mimo że rozpierała ją potrzeba zwierzeń, słowa same pchały się na usta. Ale rozumiała, że kiedy mówił, jak ważne jest, żeby wszystko pozostało w tajemnicy, mówił serio, poza tym okazja była zbyt kusząca, by ją przepuścić. Podniecenie na myśl o perspektywach, jakie się przed nią otwierają, umacniało ją, pozwalało nie myśleć o tym, że jej postępek wywoła w domu karczemną awanturę. Choć zataiła prawdę przed matką, rozgrzeszała się myślą, że kiedy wszystko ułoży się tak, jak sobie wymarzyła, będzie tyle radości, że wszystkie żale pójdą w

zapomnienie. W głębi duszy wiedziała, że to kłamstwo, ale przecież nic nie mogło przyćmić jej szczęścia.

Zwiąć ze szkoły było dziecinnie prosto. Wyszła z domu jak zwykle, tyle że zamiast skrócić w ulicę prowadzącą w stronę szkolnego gmachu, poszła dalej, do centrum miasta. Biegiem wpadła do publicznej toalety i przebrała się w ubranie, które, starannie poskładane, spakowała do plecaka zamiast podręczników. W swoich najlepszych ciuchach - wiedziała o tym - wyglądała na starszą i upodobniała się do czaderskich lasek z MTV. W tym samym szalecie, przy słabym świetle, zrobiła makijaż i, odymając usta, przejrzała się w lustrze. Boże, wyglądała ekstra. Ale czy „ekstra” to dla niego nie za mało?

Pocieszała się, że wpadła mu w oko, mimo że nie była zrobiona na bóstwo. Dostrzegł w niej materiał na gwiazdę. Jak ją zobaczy w tym stroju, chyba padnie trupem. Prawda...?

Wspomnienie tamtej buńczucznej pewności siebie wydawało się Donnie chorym żartem teraz, gdy zboleła i przerażona kuliła się w ciemnościach. Ale euforia tamtej chwili dała jej napęd na cały dzień. Wsiadła do piętrowego autobusu do Manchesteru, upewniwszy się, że nie jedzie nim żaden z sąsiadów czy nudnych znajomych matki. Od razu wbiegła na górę i usiadła na samym końcu, żeby widzieć, kto wsiada i kto wysiada.

Kilka godzin w Manchesterze - w środku tygodnia i bez rodziców - samo w sobie było już prawie przygodą. Zwiedzała domy towarowe, grała na automatach w salonie gier, kupiła parę zdrapek w

kiosku niedaleko dworca i uznała, że wygranie dziesiątaka za pierwszym razem to nie wynik, ale omen. Gdy wsiadała do pociągu, była rozśpiewana i bez trudu stłumiła leciuteńki niepokój, który sprawiał, że czuła się, jakby coś trzepotało jej w żołądku, zaledwie pomyślała, co powie mama.

Przesiadka do innego pociągu nie była już taka fajna. Zmierzchało, na stacji w Newcastle nie rozumiała ani słowa z komunikatów o odjazdach i przyjazdach. Tutejsi wcale nie mówili jak Jimmy Nail albo Kevin Whately z telewizji. Brzmiało to raczej jak mowa kosmitów. Cudem odszukała właściwy peron i wsiadła do pociągu jadącego do Five Walls Halt, zdenerwowana, bo zdała sobie sprawę, że w tłumie nieznanomych nie brak ciekawskich twarzy, oczu drapieźnie taksujących jej krótką spódniczkę i mocny makijaż. Wyobraźnia Donny zadziałała z opóźnieniem, w zmęczonych ludziach tłukących się z pracy do domów każąc jej widzieć gwałcicieli i maniaków z siekierami. Odczuła ulgę, gdy zastała go na parking; czekał, dokładnie tak, jak obiecał. Było cudownie. Mówił tylko to, co chciała usłyszeć, pocieszył ją i przekonał, że dobrze zrobiła. On jest cudowny, myślała, całkiem nie jak „osoba z telewizji”.

Potem jechali wąskimi wiejskimi drózkami. Powiedział, że ze zdjęciami próbnymi trzeba będzie poczekać do jutra rana, i spytał, czy zje z nim kolację. Wyjaśnił, że ma tu dom i może ją przenocować, jest oddzielny pokój, nie musiałby odwozić jej na dworzec po kieliszeczkę czy dwóch. O ile ona nie ma nic przeciwko temu, rzecz jasna. W przeciwnym razie może podrzucić ją do hotelu.

Donna była dobrze wychowana i od dzieciństwa powtarzano jej, żeby była ostrożna, toteż z jednej strony najchętniej kazałaby się zawieźć do tego hotelu, zadzwoniła do matki i uspokoiła ją, że jest cała i zdrowa. Z drugiej strony nie nęciła jej perspektywa spędzenia nocy w pustym pokoju w obcym mieście, za towarzystwo mając telewizor i rozzłoszczony głos mamy w słuchawce. Równocześnie odezwał się cichy głosik, kuszący głos miłośniczki przygód, powtarzający, że nie będzie drugiej takiej okazji, żeby się wybić. Przez cały wieczór mieć go tylko dla siebie, przecież to wymarzona szansa, żeby zrobić na nim takie wrażenie, by zdjęcia próbne stały się zwykłą formalnością.

Inny głos, pełen obawy, ale i wyczekiwania, suflerował, że taki sprzyjający moment na utratę dziewictwa może się już nie powtórzyć.

- U ciebie byłoby super. - Zdecydowała się. Uśmiechnął się, na sekundę odrywając wzrok od drogi.

- Obiecuję, że będziemy świetnie się bawić - powiedział.

I nie kłamał. Przynajmniej jeśli chodzi o sam początek. Jedzenie było wspaniałe, zupełnie jak te naprawdę drogie potrawy z Marks & Spencer, na które, jak mama zawsze powtarzała, nie było je stać. No i pili wino. Dużo różnych rodzajów wina. Najpierw szampana, potem białe do przystawek, czerwone do dania głównego i lepkie, aromatyczne, złociste, kiedy jedli pudding. Nie miała zielonego pojęcia, że może ich być aż tyle i o tak różnych smakach. On przez całą kolację zachowywał się jak anioł. Żartował, flirtował z nią i sypał

dykteryjkami, aż się uśmiechała i gratulowała sobie w duchu, że poznaje sekrety ludzi z telewizji.

On także, jak się wydawało, dobrze się bawił w jej towarzystwie. Co chwila dopytywał się, o czym myśli, jak się czuje, kogo lubi oglądać w telewizji, a kogo nie cierpi. Był pełen uwagi, stale wpatrywał się jej w oczy i naprawdę słuchał tego, co mówiła. Słowem zachowywał się tak, jak zachowują się mężczyźni, kiedy ktoś im się podoba, a nie jak chłopaki ze szkoły, z którymi się dotąd umawiała i których interesowała tylko piłka i to, czy a nuż pozwoli się przelecieć. Ani nie ślinił się do niej jak jakiś sprośny staruch. Był troskliwy, traktował ją jak osobę. Tyle rozmawiali, że telefon do matki był ostatnią rzeczą, o jakiej by pomyślała.

Po kolacji przyjemnie szumiało jej w głowie. Nie spała się jak na prywatce u Emmy Lomas, gdy wlała w siebie pięć butelek ekstra mocnego cydru i wymiotowała godzinami. Po prostu była na lekkim rauszu, przepełniona szczęściem i chciała poczuć ciepło jego ciała, wtulić się w cytrusowo drzewny zapach wody kolońskiej, urzeczywistnić swoje fantazje.

Poszedł, zaparzyć kawę, a ona podreptała za nim, nieco chwiejnie trzymając się na nogach. Troszeczkę kręciło się jej w głowie i salon kołysał się łagodnie, choć było to całkiem przyjemne. Stała za jego plecami i oplótła ramionami w pasie.

- Myślę, że jesteś przecudowny - powiedziała. - Fantastyczny. Obrócił się i pozwolił, by się w niego wtuliła, ukrył twarz w jej włosach i delikatnie skubał wargami płatek jej ucha.

- A ty jesteś wyjątkowa - szeptał. - Zupełnie wyjątkowa. Miał wzwód; czuła, jak do jej brzucha przyciska się naprężony członek. Przebiegł ją dreszcz strachu, ale trwało to zaledwie moment. Potem jego usta przywarły do jej ust i zatraciła się w nim, zupełnie jakby to był jej pierwszy pocałunek. Całowali się długo, miała wrażenie, że całą wieczność. Oszłamiająca feeria kolorów rozbłyskiwała jej przed oczami, podniecenie sprawiało, że krew coraz szybciej krążyła w żyłach.

Niepostrzeżenie obracał się wraz z nią, aż stanęła plecami do stołu ślusarskiego. Nie przestawał jej całować, penetrować językiem wnętrza jej ust. Nagle, bez ostrzeżenia, zacisnął palce na jej nadgarstku i szarpnął ją za rękę. Donna poczuła dotyk zimnego metalu i szeroko otworzyła oczy. W tej samej sekundzie ich usta przestały się dotykać.

Wstrząśnięta, spojrzała na przegub dłoni, nie pojmując, dlaczego tkwi między dwiema szczękami dużego stalowego imadła. On odsunął się i targnął pokrętem; metalowe szczęki zacisnęły się na odsłoniętej ręce dziewczyny. Usiłowała się wyrwać, ale na próżno. Nie było ucieczki. Znalazła się w pułapce, przyszpilona do stołu.

- Co ty wyprawiasz? - pisnęła; na poblądłej twarzy malowały się uraza i zdumienie. Na strach było jeszcze za wcześnie.

Patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Wszystkie jesteście takie same, co? - rzucił beznamiętnym tonem. - Próbujecie wyciągnąć z życia, ile tylko się da.

- Co ty pleciesz? - rzuciła Donna błagalnie. - Puść mnie, to nie jest zabawne. Boli. - Wolną ręką chciała chwycić pokrętko imadła.

Na odlew rąbnął ją w twarz, z siłą, która zmusiła dziewczynę do wykonania dziwaczego półobrotu.

- Rób, co się do ciebie mówi, ty zdradziecka suko - powiedział ze spokojem.

Donna poczuła smak własnej krwi. Z krtani wyrwał się jej rozdzierający szloch.

- N... nie rozumiem - wydukała. - Co zrobiłam źle?

- Pchasz mi się do łóżka, bo myślisz, że załatwię ci to, czego chcesz. Mówisz, że mnie kochasz. Ale jakbyś się obudziła rano, a ja nie byłbym w stanie dać ci tego wszystkiego, wepchnęłabyś się do łóżka pierwszemu lepszemu frajerowi z kupą szmalu.

Legł na niej całym ciężarem ciała, udaremniając kolejną próbę uwolnienia się z zacisku imadła.

- Nie wiem, o co ci chodzi - zakwiliła Donna. - Ja nigdy... Aach! Słowa przerodziły się w przeciągły wrzask; mocniej dokręcił metalowe szczęki. Ból przeszył jej ramię aż po bark, mięśnie i kości zostały ścieśnione, ostre krawędzie głęboko i bezlitośnie wrzynały się w żywą tkankę. Kiedy jej krzyki ścichły i zmieniły się w błagalne skamlenie, oparł się o nią bokiem, całym swoim ciężarem przyciskając do blatu wolną rękę dziewczyny. Rozdarł na niej sukienkę, od góry do dołu, jednym potężnym szarpnięciem.

Teraz naprawdę się bała. Nie rozumiała, co w niego wstąpiło. Chciała tylko kochać go, być przez niego wybrana do telewizji. Miało

być inaczej. Miało być romantycznie, czule i pięknie, a skończyło się bezsensownie i głupio. Nie pojmowała, jakim cudem ręka może aż tak bardzo boleć, i chciała tylko, żeby ból minął.

Ale to był dopiero początek. Po chwili rozdarte majtki leżały u jej stóp, a czerwone pręgi na biodrach znaczyły miejsca, w których materiał werznął się w skórę, zanim szwy w końcu trzasnęły.

Trzęsła się od szlochu, mamrotała bezsensowne błagania, bezsilna. Rozpiął rozporek i wbił w nią kutasa.

To nie ból towarzyszący utracie cnoty Donna pamiętała, kiedy było już po wszystkim. Zapamiętała tylko obejmującą całe ciało męczarnię, gdy dokręcał imadło w rytmie, w jakim napierał na nią udami. Pęknięcie błony dziewiczej przebiegło niepostrzeżenie pośród trzasku kruszonych kości nadgarstka i przedramienia, tkanki miażdżonej przez dwie gładkie, metalowe szczęki.

Leżąc w ciemności, mogła się tylko cieszyć, że wtedy zemdląca. Nie wiedziała, gdzie jest i jak się tu znalazła. Wiedziała tylko, że jest sama i że samotność jest jak błogosławieństwo. I to jej wystarczało. Przynajmniej w tej chwili.

7

Tony kroczył ulicą Briggate z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie kurtki, broniąc się przed przenikliwym ziąbem. Co pewien czas musiał odskoczyć, by uniknąć zderzenia z chodzącymi zygzakiem spóźnionymi zakupowiczami, czy zmęczonymi sklepowymi, człapiącymi w stronę przystanków autobusowych. Zasłużył na drinka. To było nieprzyjemne popołudnie. Przez moment

zanosiło się na to, że duch współpracy, pielęgnowany od pierwszego dnia zajęć, stanie się wspomnieniem, kiedy różnica poglądów urosła do kłótni, w której blisko było do obrzucania się wyzwiskami.

Pierwszą reakcją na dramatyczną hipotezę Shaz była pełna zdumienia cisza. Potem Leon klepnął się w udo i zaczął kołysać na krześle.

- Shazza, dziecinko - zawołał. - Jesteś bardziej posrana niż oczyszczalnia ścieków, ale w całym mieście nie ma drugiej takiej jak ty! Brawo, dziecinko, tylko tak dalej!

- Weź sobie na wstrzymanie, Leon - zachnął się Simon. - Do krytyki to ty zawsze jesteś pierwszy. A jeśli dziewczyna ma rację?

- Taa... - wycedził Leon pogardliwie. - Niby że Jacko Vance jest psychopatycznym seryjnym zabójcą, jasne. Wystarczy go pooglądać w telewizji. Albo poczytać o nim w brukowcach. Taa, Jack Chłopak na Medal, małżeństwo jak z bajki, chluba Anglii, bohater, który poświęcił ramię i nadzieje na olimpijskie złoto, żeby ocalić niewinne dzieci. Bardzo w stylu Jeffreya Dahmera, bardzo w stylu Petera Sutcliffe'a. Akurat.

Podczas perory Leona Tony przyglądał się Shaz ukradkiem. Zauważył, że oczy jej pociemniały, usta zacisnęły się w linijkę. Nie potrafił sobie poradzić z kpinami w taki sposób, w jaki radziła sobie z rzeczową krytyką, uświadomił sobie raptem. Kiedy Leon umilkł, żeby nabrać tchu, Tony wtrącił ironicznym tonem:

- Wprost przepadam za intelektualną dyskusją na poziomie. Zatem, Leonie, może przestaniesz się popisywać i podasz nam jakiś przekonujący kontrargument?

Leon gniewnie ściągnął brwi. Jak zwykle, nie był w stanie ukryć emocji. Aby zamaskować zmieszanie, zapalił papierosa i bąknął coś niezrozumiale.

- Zechce pan powtórzyć? - poprosiła Carol głosem słodkim jak miód.

- Powiedziałem: nie uważam, żeby osobowość Jacko Vance'a odpowiadała ogólnej charakterystyce seryjnych zabójców - burknął.

- Skąd możesz to wiedzieć? - rezonowała Kay. - Taki Jacko Vance, jakiego oglądamy, to tylko obraz wytworzony przez media. Niektórzy seryjni mordercy byli z pozoru czarujący i potrafili manipulować otoczeniem. Na przykład Ted Bundy. Człowiek, który chce zostać światowej klasy lekkoatletą, musi się nauczyć fenomenalnej samokontroli. Może tylko z tej strony znamy Jacko Vance'a. Syntetyczną maskę, pod którą kryje się psychopata.

- Otóż to - poparł ją Simon gorąco.

- Ale on jest żonaty od lat. Czy żona zostałaby przy nim, gdyby rzeczywiście był psychopata? Znaczący się, niemożliwe, żeby przez cały czas zachowywał pozory - zgłosił zastrzeżenie ktoś inny.

- Sonia Sutcliffe zarzekała się, że w głowie jej nie powstało, że jej mąż wypuszczał się na miasto sprzątnąć jakąś prostytutkę, tak jak niektórzy faceci chadzają na mecze piłki nożnej. Rosemary West

nadal utrzymuje, że nie miała pojęcia, iż Fred wmurowywał ludzkie zwłoki w fundamenty pod nowy taras - przypomniała Carol.

- No właśnie, zastanówcie się tylko - apelował Simon - ludzie, którzy mają takie posady jak Micky Morgan i Jacko Vance, nie są tacy jak my. Jacko pół życia spędza w trasie przez te „Wizyty Vance’a”. Do tego dochodzi jego ochotnicza praca po szpitalach. Micky natomiast musi być w studiu skoro świt, żeby przygotować się do swojego programu. Prawdopodobnie widują się jeszcze rzadziej niż gliniarze ze swoimi dziećmi.

- Interesująca uwaga - oznajmił Tony, uciszając parę głośnych sprzeciwów. - Co ty o tym sądzisz, Shaz? W końcu to twoja teoria.

Shaz buntowniczo wysunęła podbródek.

- Nie słyszę, żeby ktokolwiek podważał kryteria, według których wyodrębniłam tę grupę. O czymś to chyba świadczy.

- Eee, nie wiem - mruknęła Kay. - Zastanawiam się, czy to nie za wiele powiedziane. To znaczy, sama wyłoniłam kilka grup na podstawie szeregu czynników. Chociażby grupę dziewcząt, które zdaniem policji mogły być wykorzystywane seksualnie.

- Nie - ucięła Shaz. - U mnie tych czynników jest zbyt wiele, żeby to mógł być przypadek. Warto powtórzyć, że część z nich jest nietypowa, przynajmniej na tyle, żeby funkcjonariusze prowadzący dochodzenie nie zwrócili na nie szczególnej uwagi. Na fakt zniknięcia pojedynczych kompletów wyjściowych ubrań, że posłużę się przykładem.

Tony był zadowolony, że Shaz nie przejęła się krytykanctwem Kay.

Przytoczenie konkretnego argumentu nie zapobiegło dalszym atakom.

- Jasne, że zwrócili uwagę - obruszył się Leon; szybko doszedł do siebie. - To jedyne, co przemawia za uciekinierkami, a nie ofiarami seryjnego zabójcy. Tylko dupa wołowa, a nie śledczy, nie zauważyłaby tego.

- A jak nazwiesz śledczego, który w ogóle nie zauważył tej siedmioosobowej grupy? - spytała Shaz zaczepnie.

Leon uniósł oczy ku sufitowi i zgasił papierosa.

- Kobiety. Jak już coś sobie ubrdacie...

- Chryste, czasem chrzaniś jak potłuczony - zirytował się Simon. - Może byśmy wrócili do sedna sprawy, o ile jeszcze ktoś pamięta, o co w tym wszystkim powinno chodzić... Zastanawiam się, jakie znaczenie ma to, że Vance był w tych miejscowościach. Znaczy się, nie wiadomo, ile imprez zalicza średnio w ciągu tygodnia. Może być i tak, że ciągle jest w rozjazdach, a wtedy ta siódemka o niczym by nie świadczyła.

- Święta racja - poparła go Kay. - Co z innymi, których nie włączyłaś do tej grupy? Sprawdziłaś, czy Vance pokazał się w ich rodzinnych miastach?

Zaciśnięte usta Shaz mówiły same za siebie.

- Nie miałam okazji - przyznała z niechęcią. - Może chciałabyś wziąć na siebie tę drobnostkę, Kay?

- Gdyby to była prawdziwa operacja, musiałabyś pójść za sugestią Kay - zauważyła Carol. - Ale dysponowałabyś ludźmi i czasem, żeby sprawdzanie przebiegło sprawnie, a teraz byłaś zdana tylko na własne siły. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem tego, jak wiele osiągnęłaś w tak krótkim czasie i opierając się na tak skąpych materiałach.

Shaz wyprostowała się, słysząc tę pochwałę, ale minę miała podejrzliwą. Inspektor mówiła dalej:

- Ale nawet jeśli powiązania między tymi siedmioma zaginięciami są jak najbardziej realne, pozostaje zbyt wiele niewiadomych, by wskazać Jacko Vance'a. Jeżeli zniknięcia dziewcząt i hipotetyczne morderstwa istotnie łączą się z jego osobą, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że sprawcą okazałby się ktoś z otoczenia Jacko albo telewizz, który dostał fiksacji na jego punkcie wskutek dawnego urazu psychicznego. Chociażby został odrzucony przez kobietę zachwyconą Jacko. Takie byłoby moje pierwsze podejrzenie, zanim wysunęłabym tezę, że Jacko jest w to osobiście zamieszany.

- To jeden z punktów widzenia - mruknęła Shaz przygnębiona, że w swoim przejęciu nawet o takiej ewentualności nie pomyślała.

Tony natomiast stwierdził w duchu, że po raz pierwszy niewiele brakuje, by ta zapalczywa dziewczyna przyznała, że nie do końca ma rację.

- Ale pani zdaniem warto się tą grupą zainteresować? - walczyła Shaz.

Carol posłała Tony'emu rozpaczliwe spojrzenie. - Ja... ehm...

Pośpieszył jej na ratunek.

- To w zamyśle tylko i wyłącznie ćwiczenie, Shaz. Nic nie uprawomocnia nas do popchnięcia sprawy dalej.

Miała zdruzgotaną minę.

- Ale ta grupa istnieje. Siedem podejrzanych zaginięć. Te dziewczyny... każda ma rodzinę.

Leon wtrącił z sarkazmem:

- Daj spokój, Shazza. Rusz szarymi komórkami. Mamy tu wyjaśniać różne rzeczy, żeby ułatwić życie gliniarzom w terenie, a nie szukać dla nich dodatkowej roboty. Naprawdę myślisz, że ktokolwiek nam podziękuje za robienie szumu wokół teoryjki, którą cholernie łatwo obalić? Każdy powie, że to wytwór rozgorączkowanych mózgownic żółtodziobów z jednostki specjalnej, której w policji i tak nikt nie chce.

- Świetnie - ucięła Shaz, rozgoryczona. - Zapomnijmy, że w ogóle się odezwałam, dobra? No, to czyja kolej dać się zestrzelić w ferworze walki? Simon? Będziemy czerpać z twojej skarbnicy wiedzy?

Tony uznał pozorną kapitulację Shaz za sygnał do zmiany tematu. Wnioski pozostałych kursantów były znacznie mniej kontrowersyjne, co pozwoliło mu na podanie grupie kilku użytecznych wskazówek i wskazanie pułapek w procesie przesiewania danych i wstępnego wyciągania wniosków. Zauważył, że Shaz powoli dochodzi do siebie po negatywnym przyjęciu, z jakim spotkała się jej

koncepcja. Przestała wyglądać na nieszczęśliwą, potem na zniechęconą, a wreszcie zastygła w wyrazie uporu, który wydał mu się niepokojący. Będzie musiał znaleźć chwilę, żeby z nią porozmawiać, podkreślić, jak wartościowa była większa część jej prezentacji, i wytłumaczyć, że lepiej najodważniejsze konkluzje zachować do siebie, dopóki nie będzie w stanie podeprzeć ich czymś konkretniejszym niż przeczucie.

Skręcił z głównej ulicy w alejkę, przy której mieścił się pub „The Whitelocks”, staroświecki budynek, cudem ocalały, choć centrum miasta od lat zamierało o wpół do szóstej wieczorem. Prawdę mówiąc, wybranie się z Carol na drinka było ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę. To, co razem przeżyli, stanowiło gwarancję, że ich spotkania nigdy nie będą należały do najprzyjemniejszych. Wiedział też, że Carol nie spodoba się to, co musi dziś od niego usłyszeć.

Stanął przy barze i zamówił piwo, po czym znalazł stolik w kącie sali. Nigdy nie należał do osób wymigujących się od wypełniania swoich obowiązków. Fakt, iż Shaz nie pomyślała o tym, że sprawcą może być ktoś ze świty Vance’a albo któryś z jego fanów, uzmysłowił mu, jak ważną sprawą jest poczekać na konkrety, zanim wystawi się swoje teorie pod ostrzał bezlitosnej krytyki. Tym razem Tony postanowił sam zastosować się do tej rady i przemilczeć własne hipotezy, póki nie zbierze więcej dowodów.

Upłynęło pół godziny, nim Carol zdołała uciec przez dociekliwością dwóch przyszłych profilerek. Odnosiła niejasne wrażenie, że gdyby nie pożegnała się z całą stanowczością i nie wyszła, Shaz wielkimi oczami przyszpiliłaby ją do ściany i wyssałaby z niej całą wiedzę, jaka tylko miała związek z dzisiejszą sprawą, i wcale by na tym nie poprzestała. Kiedy popchnęła drzwi z mrożonego szkła, była przekonana, że Tony dał sobie spokój i wyszedł.

Zobaczyła, że macha do niej na powitanie, jak tylko podeszła do baru. Siedział w wyłożonej boazerią niszy w rogu pomieszczenia, przed nim tkwił kufel z resztką piwa.

- Jeszcze raz to samo? - spytała bezgłośnie, uzupełniając to pytanie uniwersalnym gestem, jakby przechylała szklanke.

Tony oparł palec wskazujący jednej ręki na czubku palca wskazującego drugiej, składając je w literę „T”. Carol uśmiechnęła się szeroko. Parę chwil później postawiła przed Tonyem kufel tetleysa i usiadła naprzeciwko; dla siebie też wzięła piwo, tyle że małe.

- Prowadzę - wyjaśniła konkretnie.

- A ja przyjechałem autobusem. Zdrówko - odparł, unosząc kufel.

- Zdrówko. Dobrze cię widzieć.

- I ciebie.

Carol odpowiedziała kwaśnym uśmiechem.

- Tak sobie myślę, czy przyjdzie kiedyś taka chwila, że będziemy mogli usiąść przy stole bez poczucia, że siedzi z nami jeszcze jedna osoba? - Nie umiała się powstrzymać. To było jak

rozdrapywanie blizny: za każdym razem ma się nadzieję, że rana się zagoiła i już nie pokaże się krew.

Odwrócił wzrok.

- Szczerze powiedziawszy - mruknął - jesteś chyba jedyną osobą, przy której tak się nie czuję. Dziękuję, że przyjechałaś. Podejrzewam, że wolałabyś w innych okolicznościach odświeżyć naszą...

- Znajomość? - dokończyła Carol, niezdolna zagłuszyć kąśliwej nutki w głosie.

- Przyjaźń?

Teraz ona uciekła spojrzeniem.

- Taką mam nadzieję - powiedziała cicho. - Mam nadzieję, że to jest przyjaźń.

Nie była to cała prawda, o czym oboje wiedzieli, ale cel został osiągnięty: Carol odnalazła kruchy uśmiech.

- Interesująca gromadka, ten twój profilerski narybek.

- Prawda? Zauważyłaś pewnie, co ich wszystkich łączy?

- Gdyby ambicja była karalna, odsiadywaliby dożywocie. W celi obok Paula Bishopa.

Tony zakrztusił się piwem; chlapnęło na stolik, o włos chybiając kremowy tweedowy żakiet Carol.

- Widzę, że nie straciłaś zabójczego poczucia humoru - zaśmiał się.

- A co tu się certować? Nie sposób tego nie zauważyć. Wysokooktanowe aspiracje. Pełno ich było jak testosteronu w nocnym

klubie. Nie martwi cię, że podopieczni traktują twoją jednostkę jako schodek do błyskotliwej kariery?

Tony pokręcił głową.

- Nie. Może połowa wykorzysta tę pracę, żeby wybić się i dochrapać czegoś, co uważa za bardziej wiekopomne zajęcie. Pozostali zakochają się w tej pracy i nigdy nie będą chcieli innej.

- Rzuć paroma nazwiskami.

- Simon, chłopak z Glasgow. Urodzony sceptyk, który niczego nie przyjmuje na wiarę. Dave, sierżant. Podoba mu się, bo zajęcie wymaga metodyczności i logicznego myślenia, ale mimo to można wykazać się polotem. Ale prawdziwą gwiazdą będzie Shaz. Ona jeszcze o tym nie wie, ale już złapała bakcyła. Zgodzisz się ze mną?

Przytaknęła.

- To obsesyjna pracoholiczka. Chciałaby jak najszybciej zmierzyć się z psychopatami przemykającymi ulicami tego miasta. - Przekrzywiła głowę. - Wiesz co?

- Co?

- Przypomina mi ciebie.

Tony nie potrafił wybrać między urażoną a rozbawioną miną, więc poprzestał na zaskoczonej.

- Dziwna sprawa - stwierdził. - Powiedziałbym raczej, że ciebie.

- Co?! - wykrzyknęła Carol.

- Dzisiejsza prezentacja. Przygotowana była solidnie. Wytypowana przez nią grupa stanowczo zasługuje na uwagę jako pewne zjawisko. - Rozłożył ręce i szerzej otworzył oczy. - Przeskok

do konkluzji, iż Jacko Vance jest seryjnym zabójcą, dowodzi wybujałej wyobraźni, jakiej nikt nie dorównał od czasu twojego mistrzowskiego występu przy bradfieldzkiej sprawie!

Carol nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Przecież miałam rację - zaprotestowała.

- Mogłaś mieć rację co do *faktów*, ale złamałaś wszystkie prawa logiki i prawdopodobieństwa.

- Może Shaz też ma rację. Może najzwyczajniej jesteśmy w tym lepsze od was, chłopaki - odpowiedziała Carol przekornie.

Tony chrząknął.

- Nie wykluczam, że dziewczyny są lepsze w te klocki - odparł. -

Ale nie uwierzę, że naprawdę kupiłaś teorię Shaz.

Carol skrzywiła się.

- Za pół roku będzie truchlała, jak tylko sobie przypomni, że wyskoczyła z czymś takim.

- Znając gliniarzy, ktoś z tej gromadki gotów jej załatwić wejściówkę na „Wizyty Vance’a”.

Carol aż się wzdrygnęła.

- Już to widzę. Jacko Vance stoi jak przyszpilony do ściany spojrzeniem tych jej niesamowitych oczu, Shaz pyta: „Gdzie pan przebywał w nocy z siedemnastego na osiemnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku?” - Kiedy już się wyśmiali, dodała: - Umieram z ciekawości, co też wydedukowała w związku z moim seryjnym podpalaczem.

- M-hm - mruknął Tony. Uniosła szklankę w geście toastu.

- Za oddział od gadki-szmatki.

- Obyśmy już od dawna byli w niebie, zanim diabeł spostrzeże, że zeszło się nam z tego łoża padołu - odparł cierpko i wychylił zawartość kufla. - Repeta?

Carol z namysłem zerknęła na swój zegarek. Nie chodziło o to, że się gdzieś spieszyła; chciała mieć chwilę na decyzję, czy wyjść, póki panuje taka przyjemna atmosfera, czy zostać na jeszcze jedno piwo, ryzykując, że wieczór zakończy się nowym dystansem. Postanowiła nie ryzykować i z żalem pokręciła głową.

- Obawiam się, że nic z tego. Chcę złapać kogoś z nocnej zmiany, zanim wszyscy rozplyną się w strefie zmroku. - Dopła piwo i wstała. - Cieszę się, że mieliśmy okazję pogawędzić.

- Ja też. Wróc w poniedziałek, wtedy będziemy już coś dla ciebie mieli.

- Wspaniale.

- Jedź ostrożnie - dodał, kiedy zbierała się do odejścia. Zastygła w półobrocie.

- Będę ostrożna. Trzymaj się ciepło.

I już jej nie było. Tony siedział przez chwilę, wpatrując się w pustą szklankę. Zastanawiał się, co oprócz pobudek seksualnych może skłaniać człowieka do wszczynania pożarów. Kiedy w głowie zaświtała mu pewna myśl, wstał i wyszedł z pubu. Długo spacerował pustymi ulicami, a echo zwielokrotniało odgłos jego kroków.

To nie śmiech kolegów sprawiał, że oczy ją piekły jak od szamponu. Nawet nie fakt, że Carol Jordan niemalże poklepała ją po ramieniu. Najgorsze było współczucie Tony'ego. Zamiast paść na kolana wobec jej solidnej pracy i błyskotliwych przemyśleń, Tony zachował się uprzejmie. Nie chciała słuchać o tym, że wykazała się inicjatywą, po prostu wpadła w pułapkę, jaką jest przypisywanie przesadnej wagi przypadkowym szczegółom. Gdybyż okazał lekceważenie czy wręcz potraktował ją z góry, ale współczucie, którym podszyta była jego życzliwość, Shaz uznała za boleśnie oczywiste. Opowiedział nawet parę anegdotek, jak to sam nieraz się wygłupił na początku zawodowej kariery.

Z taką wspaniałomyślnością nie potrafiła sobie poradzić. Shaz, jedyne i nieplanowane dziecko pary tak silnie ze sobą związanej, że emocjonalne potrzeby córki ledwie dostrzegali, nauczyła się żyć, nie oczekując od nikogo czułości czy pobłażania. Besztali ją, kiedy była niegrzeczna, z roztargnieniem chwalili za sukcesy, najczęściej jednak po prostu traktowali jak powietrze. Jej wybujała ambicja miała swoje początki w dzieciństwie, gdy Shaz rozpaczliwie starała się zapracować na uznanie rodziców. Ale to nauczyciele okazali jej aprobatę, a ich szorstkie, rzeczowe pochwały stały się substytutem ciepła; jedynym, jaki nauczyła się przyjmować bez skrzępowania. Natomiast autentyczna ludzka serdeczność wprawiała Shaz w zakłopotanie. Z rzeczową oceną Carol Jordan umiała się pogodzić, natomiast współczucie Tony'ego zdeprymowało ją i zbiło z tropu. Chciała zrobić coś, co go przekona, że wszelkie współczucie jest zbędne.

Przez całą dyskusję znosiła przytyki kolegów, nawet włączyła się do ich paplaniny. Pozornie była pogodna, ale w jej umyśle wrzało, kipiało od pomysłów, jak udowodnić, że wcale się nie wygłupiła.

Ślęczenie nad listami osób zaginionych, bo a nuż trafi na inne sprawy, które pasowałyby do schematu, nie wchodziło w grę. Shaz pamiętała, że tylko w tym regionie corocznie znika bez śladu jakieś ćwierć miliona osób, z czego blisko sto tysięcy przed osiemnastym rokiem życia. Gros ucieka od stresów w zniechęconej pracy i od rodzin, które umiały tylko brać. Inni pozwalają się uwieść marzeniom o ulicach brukowanych złotem. A kilkoro zostaje wbrew swojej woli wyrwanych ze swojskiego świata i strąconych do piekła. Naturalnie, lektura zwięzłych raportów nie wystarczała, by zawyrokować, do której kategorii należy określona osoba. Nawet gdyby Shaz przekonała sceptycznie nastawionych kolegów, żeby pomogli jej w poszukiwaniach, ujawnienie kolejnych potencjalnych ofiar seryjnego zabójcy, w którego istnienie Shaz nie wątpiła, wymagałoby znacznie większych możliwości niż te, którymi obecnie dysponował zespół.

Gdy Tony oznajmił, że popołudnie przeznaczone będzie na naukę indywidualną, Shaz poczuła, że ogarnia ją spokój. Nareszcie będzie mogła coś zrobić. Podziękowała Leonowi za propozycję wybrania się do pubu na lunch i pomaszerowała prosto do największej księgarni w mieście. Parę minut później stała przy kasie z egzemplarzem: „Jacka, człowieka małego ekranu; biografia nieautoryzowana” autorstwa Tosha Barnes, znanego z kąśliwego pióra felietonisty z Fleet Street, oraz z książką „Lwie Serce:

prawdziwa historia bohatera”, autorstwa Micky Morgan, najnowsza wersją biografii napisanej niedługo po ślubie z Jacko. Tony wspominał, że gdyby Shaz miała rację, zabójcą okazałaby się raczej osoba ze świty Vance’a, a nie sam Vance. Może dzięki tym książkom ona skreśli go z listy podejrzanych albo znajdzie dowody przemawiające za jej teorią.

Podjechała autobusem i niebawem znalazła się domu. Zasiadła za biurkiem z otwartą puszką dietetycznej coli i zabrała się za bałwochwalcze wywody pani Morgan-Vance na temat błyskotliwej kariery męża. Wielki sportowiec, wyzuty z egoizmu bohater, waleczny człowiek, niezrównany producent telewizyjny, niestrudzony społecznik i idealny mąż. Z wysiłkiem brnęła przez tę hagiografię. Nagle przyszło jej do głowy, że strącenie z piedestału wręcz obrzydliwie idealnej postaci mogłoby się okazać całkiem przyjemne. Jeżeli jej początkowe założenie jest zgodne z prawdą, Jacko był nie tyle kolosem na glinianych nogach, co gigantyczną glinianą wydmuszką.

Odczuła ulgę, gdy doczytała do końca, mimo że musiała stawić teraz czoło pytaniu, które spychała dotąd poza obręb świadomości. Klasyczny problem w dochodzeniach związanych z seryjnymi zabójcami: jakim cudem żona mogłaby o niczym nie wiedzieć? Co prawda każde z małżonków żyło swoim życiem, ale czy jednak Micky Morgan mogłaby dzielić łóżko i całą swoją egzystencję z porywaczem i mordercą nastolatek, nie orientując się, iż w jego umyśle jest coś wynaturzonego? A gdyby wiedziała, albo chociaż coś podejrzewała,

czy dzień w dzień z takim opanowaniem siadałaby przed kamerą i wypytywała o koleje losu życiowych nieudaczników i tryumfatorów, nie czując nic ponad przelotne, czysto profesjonalne współczucie?

To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Chyba że mimo wszystko nie chodziło o samego Jacko, ale o fana czy współpracownika. Shaz odłożyła wątpliwości na bok i zajęła się „Człowiekiem małego ekranu”, w gruncie rzeczy wariantem tego samego mitu, tyle że odartym z nabożnej czci; książki różniły się głównie doborem anegdot. Shaz nie znalazła niczego bardziej złowieszczego od historyjki, że na płaszczyźnie zawodowej Jacko Vance opanował uwagi tak jadowite, że nawet najbardziej gruboskórni studyjni goście niemalże padali jak muchy. Trudno to nazwać przesłanką do uznania go za maniakałnego zabójcę.

Shaz skoncentrowała się na szukaniu elementów, które odpowiadałyby podręcznikowej charakterystyce seryjnego mordercy. Znalazła szereg zawołowanych wskazówek i odzyskała nadzieję, że może jednak nie ma urojeń. Co więcej, takich czynników było zdecydowanie więcej niż u przeciętnej osoby, co nadal gwarantowało Jacko Vance'owi pierwsze miejsce na liście podejrzanych.

Czytając obie biografie, Shaz robiła notatki. Po zakończeniu wstępnej lektury włączyła laptopa i otworzyła plik, nad którym pracowała od początku kursu. Nazwa „Lista kontrolna cech sprawcy” wiernie oddawała zawartość: listę potencjalnych wskaźników pomagających określić, czy podejrzany byłby zdolny do popełnienia ciężkiego przestępstwa. Shaz skopiowała plik, następnie, posiłkując

się notatkami i okazjonalnie zaglądając do książek, przeprowadziła dokładną inwentaryzację. Gdy skończyła, prawie mruczała z zadowolenia. Jednak nie oszalała. To było coś, czego Tony Hill nie będzie w stanie zlekceważyć, gdy Shaz wręczy mu nowe dossier, w którym zawartość pliku pojawi się w postaci „Części pierwszej”. Wydrukowała ją i uśmiechnęła się z satysfakcją, po czym na wszelki wypadek jeszcze raz przeczytała tekst.

Najbardziej zadowolona była z ostatniego akapitu. Zwięzły, rzeczowy, ale mówiący czytelnikowi wszystko, co wiedzieć powinien, podsumowała. Żałowała, że nie ma pod ręką artykułów prasowych na temat Vance'a i Micky Morgan, zwłaszcza tych z brukowców i pism plotkarskich. Gdyby jednak oficjalnie zamówiła je w jakiegokolwiek bibliotece, natychmiast rozdzwoniłyby się dzwonki alarmowe. Sprawa była takiego kalibru, że Shaz nie śmiała zaufać swoim prywatnym kontaktom.

Przez chwilę korciło ją, by wręczyć Tony'emu świeżo powstałą analizę, lecz w głębi serca wiedziała, że to nie wystarczy, by zmienić zdanie. Niemniej od lat ktoś bezkarnie mordował młode dziewczyny, a wszystko wskazywało na Jacko Vance'a. Nie wiadomo jak, nie wiadomo gdzie, ale na pewno musi się znaleźć coś, co obnaży jego słabości, i Shaz zamierzała szukać tak długo, aż znajdzie.

8

Sierżant dyżurny wsypał do czarnej kawy drugą łyżeczkę cukru i zamieszał ją sennie, a potem gapił się, jak zawartość wiruje ospale, jakby chciał siłą woli zmusić ją do zrobienia czegoś interesującego, co

oderwałyby myśli od sterty papierkowej roboty na biurku. W końcu powierzchnia cieczy znieruchomiała. Z ciężkim westchnieniem otworzył pierwszą teczkę.

Wybawienie pojawiło się, gdy skończył czytać drugą stronę raportu. Złapał za słuchawkę telefonu tak szybko, jakby jego ręka przytwierdzona była do barku za pomocą gumki, która właśnie pękła.

- Policja Glossop, sierżant Stone - odezwał się wesoło. Zdenerwowany głos, słowa wypowiedziane *staccato*. Kobieta, ani młoda, ani stara, zarejestrował machinalnie Peter Stone, przysuwając sobie kartkę.

- Chodzi o moją córkę Donnę. Nie wróciła do domu. Ma dopiero czternaście lat. Nigdy nie nocowała u przyjaciółki. Nie wiem, gdzie ona jest. Niech mi pan pomoże! Musi mi pan pomóc! - mówiła coraz bardziej piskliwie.

- Rozumiem, że jest pani bardzo zdenerwowana - powiedział Stone spokojnie. Sam też miał córki i nie pozwalał swojej wyobraźni na przywoływanie wszelkich katastrof, jakie mogłyby na nie spaść. Inaczej nigdy by chyba nie zasnął. - Będę potrzebował kilku szczegółów, żebyśmy byli w stanie pomóc. - Celowo przybrał oficjalny ton: stanowił on wyrachowaną próbę uspokojenia oszalałej ze strachu rozmówczynie. - Pani godność?

- Doyle. Pauline Doyle. Mojej córce na imię Donna. Donna Theresa Doyle. Mieszkamy przy Corunna Street. Corunna Street, pod piętnastką. Tylko my dwie. Jej ojciec nie żyje, wie pan? Zmarł na

wylew trzy lata temu, ot tak, po prostu padł i więcej nie wstał. Co się stało z moją Donna? - Głos jej drżał.

Stone słyszał, jak kobieta pociąga nosem i popłakuje, choć z całych sił starała się mówić wyraźnie.

- A oto co zamierzam zrobić, pani Doyle. Podeślę do pani kogoś, żeby spisał oświadczenie. Tymczasem proszę mi powiedzieć, kiedy córka zaginęła?

- Nie wiem - zakwiliła Pauline Doyle. - Dziś rano wyszła z domu do szkoły i mówiła, że wpadnie na herbatę do koleżanki, Dawn. Pracowały razem nad jakimś szkolnym projektem. Jak nie wróciła do domu do dziesiątej wieczorem, zadzwoniłam do mamy Dawn i powiedziała mi, że Donny u nich wcale nie było, a Dawn mówi, że w szkole też jej nie widziała.

Stone zerknął na swój zegarek. Kwadrans po jedenastej. A więc dziewczyna zawieruszyła się na blisko piętnaście godzin. Oficjalnie to jeszcze nie powód do zmartwienia, ale kilkanaście lat służby nauczyło go instynktownie rozróżniać sprawy poważne od błahych.

- Czy się pani z nią aby nie przemówiła...? - spytał łagodnie.

- Ni... e... e... e - zaszlochała pani Doyle. Czknęła, potem starała się głęboko oddychać, żeby zapanować nad głosem. W końcu powiedziała, miękko, żałośliwie: - Ona jedna mi została.

- Może się okazać, że wyjaśnienie jest całkiem proste. Takie rzeczy często się zdarzają, mówię o całonocnych zaginięciach młodych panienek. A teraz niech pani nastawi wody na herbatę, bo za parę minut będzie pani miała gości, dobrze?

- Dziękuję panu.

Nieszczęsna Pauline Doyle odłożyła słuchawkę i wpatrzyła się bez nadziei w zdjęcie stojące na telewizorze. Donna uśmiechała się do niej zalotnym, świadomym uśmiechem; powoli przekraczała granicę między dzieciństwem a kobiecością. Matka dziewczyny zacisnęła zęby na własnej dłoni, żeby się nie rozkrzyczyć, potem chwiejnie zerwała się na nogi i jak lunatyczka potoczyła ku fluorescencyjnemu światłu kuchni.

W tym momencie Donna Doyle żyła, czuła się bosko i była odrobinę wstawiona.

9

Kiedy zapadła decyzja, reszta była już tylko kwestią szczegółów. Dla efektu oficjalne oświadczyzny uplasowano w środku wielogodzinnego programu telewizyjnego, który zakończył się zbiórką grubych milionów dla instytucji charytatywnych działających na rzecz dzieci. Na oczach ośmiu milionów telewidzów Jacko uklęknął i poprosił Micky o rękę. Wyglądała na stosownie zaskoczoną, a potem na wzruszoną. Stała w pąsach i zgodziła się.

Wzięli cywilny ślub, a następnie wydali przyjęcie, dzięki któremu czasopisma plotkarskie miały o czym pisać przez wiele dni. Świadkami byli agent Jacko i Betsy, którzy pilnowali przy okazji, by młodzi nie przeholowali ze ślubnym szampanem i nie powiedzieli za dużo. Potem miesiąc miodowy. Prywatna wyspa na Seszelach, Betsy z Micky w jednym domku, Jacko w drugim. Kilkakrotnie widywały go

na plaży, za każdym razem z inną kobietą, ale żadnej z nich nie przyprowadził nigdy na kolację ani też nie przedstawił.

Ostatniego dnia pobytu we trójkę zjedli kolację pod księżycem Oceanu Indyjskiego.

- Twoje przyjaciółki gdzieś się zapodziały, co? - spytała Betsy, ośmielona piątym kieliszkiem szampana.

- Nie przyjaciółki. - Jacko starannie dobierał słowa. Usta mu się wykrzywiły w dziwnym uśmiechu. - Nawet nie osobiste asystentki, obawiam się. Nie sypiam z przyjaciółkami. Seks to coś, co wolę pozostawiać w sferze transakcji. Po wypadku, po tej szopce z Jillie, obiecałem sobie, że już nigdy nie wpakuję się w sytuację, w której ktoś mógłby mi odebrać coś ważnego.

- To smutne - westchnęła Micky. - Dużo tracisz, unikając ryzyka.

Oczy przesłoniła mu mgła; nie wiedzieć czemu Micky pomyślała o limuzynach, których przyciemniane szyby podnoszą się, by skryć pasażera. Była pewna, że takiego Jacko nigdy nie oglądała publiczność ani nieuleczalnie chorzy, którym poświęcał tyle czasu i energii. Gdyby decydenci dostrzegli mrok czający się w jego oczach, dopilnowaliby, żeby nigdy więcej nie znalazł się w promieniu wielu setek kilometrów od bezbronnych i konających. Ale świat załapywał się tylko na jego wdzięk. Ona zresztą też. Dzisiaj albo chciał, żeby żona zobaczyła więcej, albo też nie był świadomy, jak dobrze go zna. Betsy twierdziła, że Micky przesadza, opowiadając o mrocznej duszy

męża. Tylko Micky wiedziała, że w jej słowach nie ma najmniejszej przesady.

Jacko bez uśmiechu spojrzał jej prosto w oczy i wycedził: - Ja ciągle ryzykuję, Micky. Po prostu staram się ograniczyć możliwość powstania szkód. Chociażby nasze małżeństwo. Jest pewne ryzyko, ale nie podjąłbym go, gdybym nie był pewny, że ryzykuję mniej niż ty. Masz więcej do stracenia, gdyby się wydało, że to pic na wodę.

- Być może - przyznała Micky, bawiąc się kieliszkiem. - Ale uważam, że to smutne, że odcinasz się od szansy na miłość, odkąd rozstałaś się z Jillie i wciągnęłaś mnie w swoje gierki.

- To nie zabawa - poprawił Jacko z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, nagle czujny. - Ale jeśli się zamartwiasz, że żyję w celibacie, to przestań. Ponoszę odpowiedzialność za swoje potrzeby. I obiecuję ci, że moje metody nigdy nie przyniosą ci wstydu. Jestem królem dementi.

Położył lewą rękę na sercu i uśmiechnął się uroczyście.

Te słowa nie przestały Micky prześladować, choć nigdy nie dał jej powodu, by mogła mu je rzucić prosto w twarz. Czasem jednak, gdy w jego oczach przelotnie gościł wyraz, który przypominał jej o lodowatej furii, jaką widziała u niego po raz pierwszy w tamtej sterylnej, szpitalnej sali, zastanawiała się nad tajemnicami, które mogłyby wymagać dementi.

Minus pracy w pojedynkę jest taki, że po prostu nie sposób ze wszystkim się uporać, pojęła Shaz po niespokojnej nocy. Dzień był za krótki, nie miała ani uprawnień do zaordynowania pełnego

rozpoznania środowiskowego, ani dostępu do policyjnych sieci komputerowych w miejscowościach, gdzie Jacko Vance dorastał i mieszkał. Toteż właściwie nie było wyboru.

Musi włożyć kij w mrowisko. I znowu zacząć wydzwaniać po prośbie. Najpierw wykręciła numer Chris Devine. Automatyczna sekretarka włączyła się po trzecim sygnale. Shaz odetchnęła z ulgą; nie będzie musiała wyjaśniać całego pozornie wariackiego przedsięwzięcia. Po sygnale nagrywania powiedziała szybko:

- Chris? Tu Shaz. Dziękuję ci za pomoc ostatnim razem. Aż tak się przydała, że potrzebuję następnej przysługi. Jest jakaś szansa, że zdobędziesz dla mnie domowy numer Jacko Vance'a? Będę w domu wieczorem. Jesteś aniołem, dzięki.

- Czekaj, czekaj - usłyszała raptem i skoczyła na równe nogi, omal nie strącając kubka z kawą.

- Halo? Chris?

- Byłam pod prysznicem. Co ty znowu knujesz? - Głos Chris był znacznie cieplejszy, niż Shaz na to zasługiwała.

- Chcę się umówić na rozmowę z Jacko Vance'em, a nie znam jego numeru.

- Nie idzie go uzyskać oficjalnym torem, lalka? Shaz chrząknęła.

- To właściwie nie jest oficjalne dochodzenie.

- Będziesz musiała się bardziej postarać. Czy to ma coś wspólnego z pół tuzinem drzew, jakie musiałam zamordować, żeby skserować dla ciebie te papiery?

- W pewnym sensie. Pamiętasz to ćwiczenie, o którym ci opowiadałam? Otóż wyszło z tego coś, co wygląda jak grupa ofiar autentycznych przestępstw. Myślę, że na wolności pozostaje seryjny zabójca nastoletnich dziewczyn. I wiąże się to z osobą Jacko Vance'a.

- Jacko Vance? *Ten* Jacko Vance? Jacko Vance z „Wizyt Vance'a”? A co ma on ma z tym wspólnego?

- Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Jest problem, bo na razie oficjalnie nie prowadzimy żadnej sprawy, więc nikt nie kiwnie palcem w bucie, chyba że będę miała jakieś konkrety.

- Chwila, lalka. Wróć do momentu, kiedy powiedziałaś, że to ma związek z Jacko Vance'em. Co przez to rozumiesz? - Chris zaczyna się niepokoić, pomyślała Shaz. Czas przystopować, i to ostro. Oraz podeprzeć się mniej kontrowersyjnymi hipotezami kolegów.

- Może coś, a może nic. Ta grupa, którą wypatrzyłam. Otóż Vance występował w rodzinnych stronach tych dziewczyn na parę dni przed ich zniknięciem. Dziwnie się to zbiegało i pomyślałam, że może chodzi o kogoś z jego świty albo jakiegoś psychotycznego fana, któremu rośnie żyła, jak widzi dziewczynę nachalnie zalecającą się do Jacko albo coś takiego.

- Niech się upewnię, że się w tym połapałam. Chcesz konfrontacji z Jacko Vance'em, żeby spytać, czy zauważył jakichś błyskających białkami oczu maniaków, kręcących się przy jego występach? I chcesz to przeprowadzić nieoficjalnie? - W głosie Chris niedowierzanie łączyło się z troską.

- Mniej więcej.

- Kompletnie ci odbiło, Bowman.

- Sądziłam, że to część mojego uroku.

- Nie pieprz, lalka, urok nie pomoże ci wybrnąć z kłopotów, jeśli noga ci się powinie.

- Powiedz mi coś, czego bym nie wiedziała. Pomożesz mi czy nie? Zapadła cisza. Shaz nie odzywała się, choć nerwy miała napięte jak postronki. W końcu Chris zmiękła.

- Jeśli ja nie pomogę, pójdziesz do kogoś innego, dobrze mówię?

- Będę musiała, Chris. Ktoś zabija dzieciaki. Nie mogę siedzieć beczynnie. Jeśli mam rację...

- Mnie akurat martwi, co będzie, jeśli nie masz racji, lalka. Chcesz, żebym się z tobą wybrała, żeby rozmowa wypadła trochę bardziej oficjalnie?

Kuszająca propozycja.

- Raczej nie - odpowiedziała Shaz powoli. - Jeśli runę na ziemię w płomieniach, nie chcę cię pociągnąć za sobą. Ale jest jedna sprawa, w której mogłabyś mi pomóc.

Chris jęknęła.

- Jeśli w grę wchodzi biblioteka, to nie.

- Mogłabyś mi zrobić plecy. Prawdopodobnie będę musiała dać numer do oddzwonienia. Tacy jak on nigdy nie przyjmują niczego na słowo honoru. A my nie możemy odbierać telefonów podczas kursu, bo to zawsze jakiś wykład, sesje grupowe czy co tam jeszcze. Czy mogłabym podać numer do twojego gabinetu na wypadek, gdyby

chciał mnie sprawdzić? Niechby się przynajmniej dodzwonił do policji.

- Załatwione - odpowiedziała Chris i westchnęła. - Daj mi pięć minut.

Shaz czekała ze stoickim spokojem. Zdarzały się chwile, kiedy zazdrościła palaczom, choć nie aż tak, żeby zacząć palić. Wpatrywała się w dłuższą wskazówkę zegarka i zacisnęła usta w chwili, gdy ta przesunęła się o szóstą minutę. Kiedy odezwał się telefon, chwyciła słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Masz coś do pisania? - rzuciła Chris. - Jasne.

- No, to dyktuję. - Wyrecytowała teoretycznie zastrzeżony numer, wycyganiony od dyżurnego z komisariatu w Notting Hill. - Ale nie dostałaś go ode mnie.

- Dzięki, Chris. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Większy niż kiedykolwiek będziesz w stanie spłacić, niestety - stwierdziła Chris smętnie. - Wrzuć na luz, lalka. Do usłyszyska.

- Będę cię na bieżąco informować. Pa.

Shaz studiowała numer z milczącym uśmiechem tryumfu. Raz kózie śmierć, pomyślała, ponownie sięgając po słuchawkę; wpół do dziewiątej to chyba nie za wcześnie na telefon.

Po paru sygnałach automatycznie generowany głos obwieścił:

- Rozmowa jest przekierowywana. - Seria trzasków, głuchy dźwięk, potem charakterystyczny sygnał komórki.

- Halo?

Shaz natychmiast rozpoznała ten głos. Przyłapała się na myśli, że to bardzo deprymujące usłyszeć go w słuchawce, choć zwykle dobiegał z telewizora, tym bardziej że spodziewała się zupełnie innej osoby.

- Pani Morgan? - spytała niepewnie.

- Przy telefonie. Kto mówi?

- Posterunkowa Sharon Bowman z policji metropolitalnej. Przepraszam, że panią niepokoję, ale muszę porozmawiać z pani mężem.

- Obawiam się, że nie ma go w domu. Mnie zresztą także. Dzwoni pani pod niewłaściwy numer. To moja komórka. On ma inny numer.

Shaz poczuła, że na szyję wypełza jej rumieniec.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę.

- Nie ma za co. Może ja bym jakoś pomogła, pani posterunkowa?

- Raczej nie, pani Morgan. Chyba że zechciałaby pani podać mi numer, pod którym mąż jest aktualnie uchwytany?

Micky zawahała się.

- Wolałabym nie, jeśli pani wybaczy. Ale mogę przekazać mu wiadomość, o ile to wystarczy?

Będzie musiało, skostatowała Shaz ponuro. Ci bogacze to naprawdę całkiem inny gatunek. Ale skoro już umówiła się z Chris...

- Podejrzewam, że mąż pani może dysponować pewnymi informacjami w związku z prowadzonym przez nas dochodzeniem.

Zdaję sobie sprawę, że to bardzo zajęty człowiek, ale mogę się z nim spotkać jutro o dowolnej porze, w dowolnie wybranym przez niego miejscu. A że do końca dnia będę na mieście, gdyby mógł przedzwonić pod ten numer... - Podyktowała numer bezpośredniej linii Chris. - I poprosić do telefonu sierżant Devine. Może z nią omówić szczegóły.

Micky powtórzyła numer.

- Zgadza się? Jutro? Świetnie, pani posterunkowa Bowman, przekażę mu wiadomość.

- Jeszcze raz przepraszam za kłopot - bąknęła Shaz. Ze słuchawki napłynął znajomy śmiech.

- Proszę się nie przejmować. Zawsze z radością pomagam policji. Ale pani zapewne o tym wie, o ile oglądała pani kiedyś mój program.

Była to oczywista zachęta do przedłużenia konwersacji. Shaz nie zdołała się oprzeć.

- Jest naprawdę świetny. Oglądam, kiedy tylko mogę.

- Pochlebstwa czynią cuda. Teraz może być pani spokojna, że wiadomość dotrze do adresata - powiedziała ze śmiechem Micky; jej głos brzmiał równie uwodzicielsko jak w telewizji.

- Czekam niecierpliwie na telefon od pana Vance'a - dodała Shaz.

W życiu nie mówiła bardziej serio.

Pauline Doyle gapiała się tępo w pustą ramkę na telewizorze. Policjanci, którzy pojawili się u niej wieczorem w dniu zaginięcia Donny, zabrali zdjęcie, żeby zrobić odbitki. Chyba naprawdę martwili się o Donnę; wypytywali o jej koleżanki i o szkołę, czy ma chłopaka, jak spędza weekendy. Kiedy w końcu wyszli ze zdjęciem i rysopisem Donny, Pauline miała wrażenie, że dotąd tylko ich obecność jakoś ją uspokajała. Niewiele brakowało, a wybiegłaby na opustoszałe ulice wzywać córkę strasznym krzykiem, lecz spokojne odpowiedzi dwóch mundurowych, którzy wprosilili się na herbatę, uspokoiły ją, uzmysłowiły, że to nie czas na szaleństwo.

- Najlepiej, żeby pani nigdzie się nie ruszała - rzekł ten starszy. - Może próbować zadzwonić do domu, a nie chciałyby pani, żeby córka jej nie zastała. Poszukiwania proszę pozostawić nam. Bądź co bądź jesteśmy fachowcami.

Policjantka, która przyszła następnego dnia rano, nadwątlila jej kruchy spokój. Nakłoniła Pauline do przeprowadzenia szczegółowego inwentarza rzeczy Donny. Kiedy wykryły, że brakuje ulubionego stroju Donny: krótkiej czarnej spódniczki z lycry, obcisłej bluzki w biało-czarne paski, tej z owalnym dekoltem, oraz pary oryginalnych czarnych martensów, śledcza w widoczny sposób się odprężyła. Pauline domyślała się dlaczego. Dla policji brak kilku fatalaszków oznaczał kolejną niepełnoletnią uciekinierkę. Mogli teraz spokojniej odetchnąć, zapomnieć o wcześniejszych podejrzeniach, że równie dobrze mogą szukać zwłok.

Jak wytłumaczyć wszystko tak, by zrozumieli? Jak sprawić, żeby do nich dotarło, że Donna nie miała ani potrzeby, ani powodu uciekać. Nie pokłóciła się z Pauline. Przeciwnie, były z sobą zżyte bardziej niż większość matek ze swoimi nastoletnimi córkami. Po śmierci Bernarda pocieszały się nawzajem i odtąd nie przestały się sobie zwierzać. Pauline zacisnęła powieki i wzniosła gorące błagania do Najświętszej Dziewicy, choć wiarę straciła przed wielu laty. Policja nie chciała słuchać. Ale pomodlić się chyba nie zaszkodzi...?

11

Świt wstał za lewym oknem samochodu, przy akompaniamencie ulicznego hałasu i głosu Shaz. Ćwiczyła tę rozmowę, odkąd wjechała na M1. Zawsze zazdrościła prawnikom komfortu, jakim było zadawanie tylko takich pytań, na które odpowiedzi z góry znali. Konfrontacja ze starym wygą bez odegrania w myśli całego dialogu i rozważenia każdej możliwej riposty byłaby szaleństwem, toteż Shaz przez całą drogę prowadziła jak robot, rozmyślając nad pytaniami i przewidując reakcje Jacko. Kiedy dotarła do zachodniego Londynu, wiedziała, że lepiej przygotowana już nie będzie. Albo jemu coś się wymknie - choć wątpiła, by okazał się aż takim amatorem - albo też ona spróbuje sprawić, żeby wpadł w panikę i jakoś się zdradził. Oczywiście, o ile miała rację. A nawet gdyby się myliła, może skieruje ją na trop fanatycznego wielbiciela, widzianego w towarzystwie domniemanych ofiar. Byłoby to zaprzeczeniem oczekiwanego przez nią finału, ale do przyjęcia, skoro ocaliłoby komuś życie, a zabójcę posłało za kratki.

Do głowy jej nie przyszło, że sama naraża się na niebezpieczeństwo, choć Chris Devine dyskretnie ją ostrzegła. Shaz miała dwadzieścia cztery lata i czuła się niemal nieśmiertelna. Nawet trzyletnia praca w dochodzeniówce nie podkopała jej poczucia, że jest nietykalna, choć zdawała sobie sprawę, że zdarzają się napaści na funkcjonariuszy. Mieszkańcy rezydencji przy Holland Park nie napadają na policjantki. W dodatku na spotkanie umówiła ich żona.

Jak zawsze, dotarła na miejsce przed czasem. Zignorowała telefoniczną prośbę o zaparkowanie samochodu na podjeździe przed rezydencją. Znalazła parkomat na Notting Hill, tam zostawiła auto i wróciła na Holland Park pieszo. Zerknęła na tabliczki z numerami ulicy, lecz i tak bez trudu rozpoznała dom należący do Jacko i Micky. Aż trudno uwierzyć, iż takiego kolosa w sercu londyńskiego śródmieścia zajmuje tylko jedna rodzina. Całość pozostawała do wyłącznej dyspozycji Jacko i Micky oraz jej długoletniej osobistej asystentki, niejkiej Betsy Thorne, która z nimi mieszkała. Robi wrażenie, pomyślała Shaz, idąc wzdłuż białego jak weselny tort budynku o nieskalanie czystej elewacji. Widziała tylko skrawek ogrodu, osłoniętego przed światem przez wysokie, przystrzyżone żywopłoty z różnych odmian wawrzynu, a zieleń widoczna za elektronicznie sterowanymi bramami była utrzymana nieskazitelnie, niczym na wystawie kwiatów w Chelsea. Shaz ogarnęły wątpliwości.

Przygryzła usta, okręciła się na pięcie i wróciła po samochód. To przestępca i jak ona z nim skończy, cały świat się o tym dowie. Pięć

minut później podjeżdżała pod bramę rezydencji. Opuściła szybę i nacisnęła domofon.

- Posterunkowa Bowman na spotkanie z panem Vance'em - powiedziała z mocą.

Brama otworzyła się z cichym brzęczeniem i po chwili Shaz znajdowała się na - nie umiała nazwać tego inaczej - terytorium wroga. Niepewna, gdzie powinna zostawić auto, ale nie chcąc zastawiać dwustanowiskowego garażu, przejechała na tyły budynku. Minęła land rovera zaparkowanego przy frontowych schodach i zaparkowała równolegle do srebrnego mercedesa kabrio z podnoszonym dachem. Wyłączyła silnik i siedziała, zbierając siły i koncentrując się na swojej misji.

- No, to do dzieła - mruknęła w końcu.

Wbiegła po schodkach i zadzwoniła do drzwi. Prawie natychmiast otworzyły się i Shaz ujrzała przed sobą uśmiechniętą twarz Micky Morgan, swojską jak twarz kogoś z rodziny.

- Posterunkowa Bowman - odezwała się pani domu, cofając się i gestem zapraszając Shaz do środka. - Proszę wejść. Właśnie miałam wychodzić. - Micky wskazała ramieniem kobietę w średnim wieku, o szarawych włosach związanych luźno w gruby warkocz. - Betsy Thome, moja asystentka. - Spieszmy się na Le Shuttle.

- Na nocne szaleństwa w Le Touquet - uzupełniła Betsy.

- Mnóstwo owoców morza i zgiełk kasyna - dodała Micky, odbierając od Betsy skórzaną torebkę. - Jacko na panią czeka. Zaraz

skończy rozmawiać przez telefon. Proszę, pierwsze drzwi na lewo. Dołączy do pani za minutkę.

- Dzięki. - Shaz nareszcie udało się wtrącić słowo.

Micky i Betsy kręciły się w progu i nagle Shaz uświadomiła sobie, że nie wyjdą, póki nie upewnią się, że znalazła się we właściwym pomieszczeniu. Z zawstydzonym uśmiechem skinęła głową i weszła przez drzwi, wskazane jej przez Micky. Dopiero kiedy znikła im z oczu, usłyszała trzask frontowych drzwi. Podeszła do okna i patrzyła, jak dwie kobiety wsiadają do land rovera.

- Śledcza Bowman?

Shaz określiła się błyskawicznie. Nie słyszała, żeby ktoś wchodził. Na drugim końcu pokoju, na żywo niższy, niż się wydawał w telewizji, uśmiechał się do niej Jacko Vance. Wyobraźnia podsunęła Shaz obraz pantery, szczerzącej kły na chwilę przed tym, jak z ofiary zostanie tylko truchło. Zastanawiała się, czy stoi twarzą w twarz ze swoim pierwszym seryjnym zabójcą. Jeżeli tak, miała nadzieję, że on nie domyśla się, iż ma przed sobą swoją prywatną nemezis.

Oczy miała wyjątkowe. Od tyłu wyglądała zupełnie przeciętnie. Brązowe włosy trącające kołnierzyk dopasowanego ciemnognatowego blezera, do tego niebieskie dzinsy i cieliste mokasyny. Nic, co przyciągnęłoby wzrok w zatłoczonym barze. Ale gdy odwróciła się, przestraszona, ognistość jej niebieskich oczu zmieniła ją w zupełnie inne stworzenie. Vance poczuł ukłucie

niepokoju, połączone z niezrozumiałą satysfakcją. Obojętnie, o co jej chodziło, ta kobieta była kimś. Była godną przeciwniczką.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać - sumitował się pieszczotliwym głosem, który tak dobrze znała z anteny.

- Przyszłam przed czasem - odpowiedziała neutralnym tonem.

Vance przystanął jakieś dwa metry od niej.

- Zechce pani spocząć? - rzucił, wskazując sofę za jej plecami.

- Dziękuję. - Shaz zignorowała ten gest i usiadła w fotelu, który sam planował zająć. Wolał go, bo fotel miał wyżej zamocowane siedzenie i był oświetlony od tyłu. Chciał, żeby znalazła się na mniej komfortowej pozycji, ale odwróciła sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Z ukłuciem irytacji, przykrym jak ukąszenie owada, zamiast usiąść, podszedł do kominka i oparł się o misternie rzeźbiony gzyms. Wpatrywał się w nią, milczeniem zmuszając do otwarcia rozgrywki.

- Doceniam to, że znalazł pan czas, żeby się ze mną spotkać - zaczęła po chwili. - Zdaję sobie sprawę, jaki z pana zabiegany człowiek.

- Właściwie nie dała mi pani wyboru. Zresztą zawsze chętnie pomagam policji. Zastępca komisarza policji metropolitalnej, pani zwierzchnik, mógłby długo opowiadać o tym, jak wspieram instytucje policyjne. - Uśmiechał się, ale był to zimny uśmiech.

Niebieskooka kobieta wpatrywała się w niego bez zmrużenia powiek.

- Nie wątpię w to, proszę pana.

- Byłbym zapomniał... Pani legitymacja? - Vance nie ruszył się z miejsca, więc to Shaz musiała podejść z dokumentami. - Nie do wiary, że też okazaliśmy się tacy nieostrożni - rzucił Vance tonem pogawędki. - Wpuścić do domu obcą osobę, nie sprawdzając, czy jest tym, za kogo się podaje.

Rzucił okiem na legitymację wydaną przez policję metropolitalną.

- Ma pani jeszcze jedną, prawda?

- Słucham? Funkcjonariusze policji metropolitalnej otrzymują identyczne legitymacje. Nie ma innych. To taki nasz dowód osobisty - wyjaśniła Shaz, choć w głowie rozdzwoniły się jej dzwonki alarmowe: za dużo wiedział i powinna wiać stąd, zanim zrobi się nieprzyjemnie.

Wargi Vance'a jakby się skurczyły, uśmiech stał się bardziej lisi. Pora pokazać, kto tu rozdaje karty.

- Ale pani już w policji metropolitalnej nie służy, prawda, pani posterunkowa Bowman? Widzi pani, nie tylko pani odrobiła pracę domową. Bo odrobiła ją pani?

- Nie przestałam być funkcjonariuszką - podkreśliła Shaz. - Ktokolwiek twierdzi inaczej, jest w błędzie, zapewniam pana. Przystąpił do ataku.

- Ale nie pracuje pani na terenie, który podlega policji metropolitalnej, prawda? Została pani oddelegowana do specjalistycznej jednostki. Może wreszcie pokaże mi pani swój obecny identyfikator, żebym wiedział, że pod nikogo się pani nie

podszyciwa, i przejdziemy do rzeczy? - Ostrożnie, upomniał się w duchu, nie przeszarżuj. Jeszcze nie wiesz, co ją tu sprowadza. Rozbrajającym gestem wzruszył ramionami. - Nie chcę stwarzać problemów, ale przezorności nigdy dość, zwłaszcza w mojej sytuacji.

Shaz zmierzyła go wzrokiem; jej twarz była jak maska.

- Święta prawda - mruknęła, wyciągając legitymację ogólnokrajowej jednostki profilerskiej ze zdjęciem. Sięgnął po nią, ale schowała ją szybko.

- Nigdy wcześniej takich nie oglądałem - zauważył niezobowiązująco, choć dławiła go frustracja; przelotnie błysnęło mu logo, a słowo „profilerska” aż kłuło w oczy. - Zespół profilerów, o którym wszyscy tak wiele czytaliśmy, hm? Jak już się wdrożycie do pracy, powinniście namówić któregoś z doświadczonych funkcjonariuszy na występ u mojej żony, opowiedzieć ludziom, jak wiele robicie, żeby ich chronić.

Niech wie, że nie jest dla niego tajemnicą, że ma do czynienia z nowicjuską.

- To nie leży w mojej gestii, panie Vance. - Shaz rozmyślnie odwróciła się do niego plecami i podeszła do fotela. - Czy możemy zacząć?

- Oczywiście. - Skinął łaskawie. - Jestem do pani dyspozycji, pani posterunkowa Bowman. Może najpierw pani wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ponownie wszczęliśmy dochodzenie w sprawie szeregu przypadków zaginięć wśród nastolatków - oznajmiła Shaz i otworzyła

tekturową teczkę. - Początkowo wytypowaliśmy siedem podobnych przypadków z okresu sześciu lat. Obecnie myślimy o śledztwie na większą skalę na wypadek, gdyby się okazało, że coś przeoczyliśmy.

- Nadal nie pojmuję, co ja... - Vance przekonująco zmarszczył czoło. - Nastolatki?

- Dziewczyny w wieku czternastu, piętnastu lat - uściśliła Shaz. - Nie jestem upoważniona do wdawania się w szczegóły, ale mamy podstawy uważać, że te sprawy są ze sobą powiązane.

- Więc nie chodzi o zwykłe uciekinierki, którym obrzydł codzienny młyn? - spytał zdumionym tonem.

- Mamy powody podejrzewać, że we wszystkie zniknięcia zamieszana jest jedna i ta sama osoba - wyjaśniła ostrożnie Shaz, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Czuł się nieswojo pod tym baczным spojrzeniem. Chciał usunąć się z pola widzenia tej kobiety, umknąć uważnym oczom. Mimo to zmusił się do przyjęcia zrelaksowanej postawy.

- Zostały porwane, to chce pani powiedzieć? - Lekkie uniesienie brwi i nieznaczne skinienie wyrażało brak przejęcia.

- Jak już mówiłam, nie jestem upoważniona do podawania bardziej szczegółowych informacji - odparła z dziwnym uśmiechem.

- Świetnie, ale w dalszym ciągu nie widzę w tym wszystkim sensu. Co mi do zaginionych nastolatek? - Zaprawił głos nutą rozdrażnienia. Krew aż burzyła mu się w żyłach z niepokoju.

Shaz wyjęła z teczki plik odbitych na ksero zdjęć.

- Na parę dni przed zniknięciem każdej z tych dziewcząt miał pan występ bądź uczestniczył w imprezie charytatywnej na terenie ich rodzinnego miasta. Niebezpiepodstawnie uważamy, że one pojawiały się tych imprezach.

Poczuł, że furia dławi go za gardło, a twarz zaczyna mu płonać. Przemógł się jednak i cudem zapanował nad głosem.

- Setki osób przychodzą mnie oglądać - oznajmił stanowczo, choć wychwyciła chropawą nutę w jego głosie. - Statystycznie rzecz biorąc, część musi spotkać coś takiego. Ludzie ciągle znikają.

Shaz przekrzywiła głowę, zaalarmowana zmianą jego tonu. Wyglądała jak pies myśliwski, który zwęszył słabiutką woń czegoś, co może się okazać królikiem.

- Wiem. Przepraszam, że zawracam panu głowę. Ale rzecz w tym, że mój szef jest zdania, że ktoś z pańskiego otoczenia, ewentualnie osoba wykazująca niezdrowe zainteresowanie pańską osobą, może być zamieszana w zniknięcia tych dziewcząt.

- Mam rozumieć, że jakiś maniak porywa moje fanki?

Tym razem niedowierzający ton przyszedł mu bez cienia wysiłku. Wyobraził sobie nagłówki i zachciało mu się śmiać. Nawet kretyń by zauważył, że nie interesował ją żaden szajbus ani nikt z jego ludzi, tylko on sam. Widział to w jej oczach, obsesyjnie w niego wlepionych, rejestrujących każdy jego ruch, najmniejszą kroplę potu, który zaczynał mu się perlić na czole. Ta gadka o szefie też ewidentnie była blefem. Była samotniczką, zupełnie jak on. Czuł to przez skórę.

Shaz kiwnęła głową.

- Możliwe. Przeniesienie, jak nazywają to psycholodzy. Jak u Johna Hinckleya. Pamięta go pan? Facet, który postrzelił Ronalda Reagana, bo chciał, żeby Jodie Foster zwróciła na niego uwagę? - Głos był uprzejmy, przyjazny, starannie modulowany.

Rzygać mu chciało na myśl, że ta idiotka wierzy, iż podejdzie go prostacką sztuczką.

- Dziwaczne - mruknął.

Odepchnął się od kominka i zaczął krążyć po ręcznie tkanej jedwabnej bucharze, którą sam wybrał. Wpatrywał się w misterne szaro-kremowe wzory pod stopami, coraz spokojniejszy, póki nie nabrał sił, by odwzajemnić spojrzenie kobiety.

- To jakiś absurd. Cała ta historia zakrawa na śmieszność. Ale w dalszym ciągu nie pojmuję, co ma w ogóle wspólnego ze mną.

- To proste - zapewniła Shaz protekcyjnym tonem. Dotknęła go do żywego. Zatrzymał się w pół kroku i gniewnie ściągnął brwi.

- Co? - warknął; jego urok rozwiązał się w ułamku sekundy.

- Chcę tylko, żeby pan zerknął na kilka zdjęć i powiedział mi, czy rozpoznaje którąś z tych dziewczyn. Może zachowywały się wobec pana szczególnie natrętnie i ktoś chciał je ukarać. Może widział pan, jak zagaduje je któryś z pańskich pracowników. A może żadna twarz nie wyda się panu znajoma. Proszę jedynie o kilka minut pańskiego czasu i już mnie tu nie ma - namawiała Shaz.

Pochyliła się i rozłożyła fotokopie na nakrytym kilimem podnóżku.

Podszedł jak zahipnotyzowany. Za ledwie drobna cząstka jego dzieła. Niemniej zgasił każde z tych śmiejących się spojrzeń. Wysilił się na zblazowany ton.

- Siedem twarzy z tysięcy? Przykro mi, pani posterunkowa Bowman, ale traci pani czas.

- Niech pan się jeszcze przyjrzy - poprosiła. - Jest pan absolutnie pewny?

W jej głosie pojawiła się nuta, której wcześniej nie słyszał, ostra, podniecona. Oderwał wzrok od namiastek żywych ciał i spojrzał w nieprzeniknione oczy Shaz Bowman. Ona wiedziała. Może jeszcze nie ma dowodów, ale wie, nie wątpił w to. I nie poprzestanie, dopóki go nie zniszczy. Ale nie miała szans. Prawo wiązało jej ręce. Potrząsnął głową z obłudnym smutkiem.

- Całkowicie. Żadnej z nich nie widziałem.

Shaz, nie odrywając od niego oczu, podsunęła mu jedno ze zdjęć.

- Na łamach ogólnokrajowego brukowca apelował pan do Tiffany Thompson, żeby zadzwoniła do rodziców - obwieściła takim samym jak przed chwilą tonem.

- Mój Boże! - wykrzyknął, nadając twarzy wyraz zdumienia. - A wie pani, że kompletnie o tym zapomniałem? Ma pani słuszość, oczywiście, teraz sobie przypominam.

Obserwowała go uważnie. Nieoczekiwanie Vance zamachnął się protezą, zakreślając nią ciasny łuk, i brutalnie uderzył ją w skroń. W oczach Shaz pojawił się szok, potem panika. Spadając z fotela,

zawadziła głową o podnózek. Nim dotknęła podłogi, była już nieprzytomna.

Vance nie tracił czasu. Zbiegł do piwnicy, chwycił szpulę z kablem do głośników oraz paczkę lateksowych rękawiczek. Parę minut później Shaz leżała na wypolerowanej posadzce, związana. Potem pośpieszył na piętro, otworzył garderobę i na oślep obmacywał podłogę, póki nie znalazł tego, czego szukał. Zbiegł na dół, potem założył Shaz na głowę miękki flanelowy worek, pełniący dotąd funkcję pokrowca na walizkę. Następnie kilkakrotnie owinał szyję kobiety kablem, na tyle ciasno, żeby poczuła mores, ale mogła oddychać. Chciał, żeby zdechła, ale jeszcze nie teraz. Nie tu i nie przypadkiem.

Jak tylko upewnił się, że sama się szybko nie rozwiąże, zdjął jej torbę z ramienia, zgarnął po drodze zdjęcia i teczkę z dokumentacją, po czym usiadł na sofie. Zaczął metodycznie wszystko przeglądać, zaczynając od zawartości teczek. Wycinki policyjnych raportów przebiegł tylko wzrokiem, bo wiedział, że zdąży się z nimi zapoznać później. Kiedy doszedł do prezentacji Shaz, nie spieszył się: ważył i obliczał, jak niebezpieczna może się dla niego okazać. Nie bardzo. Kserokopie artykułów prasowych były bez znaczenia; na każdy występ związany ze zniknięciem jakiejś dziewczyny mógł przytoczyć dwadzieścia całkiem niewinnych. Następnie przyjrzał się liście cech sprawcy. Wnioski tak go rozwścieczyły, że zerwał się na nogi i parokrotnie, z niepohamowaną nienawiścią, kopnął nieprzytomną w brzuch.

- Co ty tam, kurwa, wiesz! - wrzasnął, żałując, że oczy miała zamknięte: teraz nie osądzałyby go, tylko błagały o litość.

Rozjuszony wepchnął listę do teczki razem z fotokopiami. Później dokładnie wszystko przeczytał. Słusznie ukreślił łeb całej sprawie, zanim ktokolwiek wziął sobie do serca odkrycia tej suki. Zajrzał do pojemnej torebki i wyjął kołonoatnik. Przekartkował go szybko, ale nie znalazł nic bardziej interesującego od numeru telefonu Micky i adresu rezydencji. Skoro i tak się nie wyprze tego, że u nich była, lepiej ich nie ruszać. Wyrwał natomiast garść kartek po ostatnim wpisie, tak aby wyglądało, iż ktoś usunął zapiski dotyczące późniejszego spotkania, po czym odłożył notatnik na miejsce.

Następnym przedmiotem okazał się dyktafon na mikrokasety z nadal kręcącą się taśmą. Wyłączył nagrywanie, usunął kasety i odłożył ją na bok razem z kartkami wydartymi z notatnika. Niezainteresowany książką lana Rankina, w miękkiej oprawie, wydobył organizator. Pod bieżącą datą jedyny zapis głosił: „JV 9.30”. Zastanowił się nad dopisaniem jakiejś enigmatycznej notatki i po chwili nakreślił na samym dole samotną literę „T”. Niech trochę pogłównują. Pod okładką znalazł coś interesującego. „Znalazca proszony o zwrócenie S. Bowman, mieszkanie 1, 17 Hyde Park Hill, Headingley, Leeds. NAGRODA”. Obmacał od wewnątrz dno torebki. Kluczy nie było.

Vance upchnął z powrotem całą zawartość, sięgnął po teczkę i podszedł do Shaz. Klucze znalazł w kieszeni spodni. Z uśmiechem wrócił na górę do gabinetu i wyjął grubą kopertę. Zaadresował ją na

swój dom w Northumberland, nalepił znaczek i zakleił z materiałami Shaz w środku.

Zerknął na zegarek: parę minut po dziesiątej. Pomaszerował do sypialni i przebrał się w dżinsy, jeden z nielicznych podkoszulków z krótkimi rękawami, jakie posiadał, i granatową dżinsową kurtkę. Wyciągnął dużą torbę z wykonanej na zamówienie głębokiej szafy pod pawlaczem. Założył bejsbolówkę z logo Nike, do której przyszyta była perfekcyjnie wykonana peruka ze szpakowatymi, długimi do ramion włosami. Do tego lotnicze okulary o przezroczystych szklach i dwie piankowe poduszeczki, którymi wypchał policzki, i metamorfoza się dokonała. Zdradzała go jedynie proteza ręki. Ale i na to miał sposób.

Wymknął się z domu, starannie zamykając za sobą drzwi, i otworzył samochód Shaz. Zapamiętał ustawienie fotela, potem usiadł za kierownicą i dopasował jego pozycję do swoich dłuższych nóg. Kilka minut poświęcił na oswojenie się z kontrolkami, bo chciał być pewny, że da radę równocześnie wrzucać biegi i prowadzić. Potem ruszył w drogę, robiąc przystanek na wrzucenie koperty do skrzynki przy Ladbroke Grove. Gdy zobaczył przed sobą wjazd na M1, była jedenasta z minutami. Pozwolił sobie na uśmiezek cichego tryumfu. Shaz Bowman pożałuje, że zalażła mu za skórę. Choć nie będzie żałowała długo.

Najpierw omal nie krzyknęła z bólu, bo skurcz targnął jej lewą nogą, przebijając się przez mgłę nieświadomości tak gładko, jak ostry

nóż rozcina skórę. Odruchowa próba wyprostowania nogi i poruszenia nią spowodowała rozdzierający ból nadgarstków. Otumaniony umysł, pulsujący jak palec przytłuczony młotkiem, nie był w stanie ogarnąć przyczyny. Shaz z wysiłkiem otworzyła oczy, ale ciemności się nie rozproszyły. Potem stwierdziła, że jej twarz oblepia coś wilgotnego. Jakby kaptur z jakiejś tkaniny z meszkiem. Okrywał całą jej głowę, przylegając ściśle do szyi, utrudniając przełykanie.

Stopniowo docierało do niej, co się dzieje. Leżała na boku na twardej powierzchni, ręce miała związane za plecami postronkiem, który boleśnie wrzynał się w ciało. Nogi też były spętane, a więzy na nich i na nadgarstkach połączone tak, by drastycznie ograniczyć możliwość ruchu. Szalone przedsięwzięcia, jak wyprostowanie nóg czy próba przesunięcia się, okupione były dokuczliwym bólem. Nie miała pojęcia, czy pomieszczenie, w którym ją zamknęto, jest małe, czy też duże, ale nie kusiło ją, żeby to sprawdzić, odkąd spróbowała przekreślić się na bok i poznała, jaka to mordęga.

Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była twarz, chyląca się ku niej i roześmiana, jakby Vance nie miał na tym świecie ani jednej troski, bo jest pewny, że nikt nie będzie słuchał takiej szarej myszki jak ona. Nie, coś się tu nie zgadzało. Inne wspomnienie natarczywie domagało się uwagi. Shaz zastosowała technikę relaksacyjną, polegającą na rytmicznym oddychaniu, i usiłowała je zwizualizować. Wspomnienie drgnęło i zaczęło nabierać kształtu. Widziana kątem oka prawa ręka Vance'a

wznosząca się do ciosu, a potem opadająca z siłą kija bejsbolowego. I to naprawdę była ostatnia rzecz, jaką pamiętała.

Wraz z pamięcią wróciło przerażenie, boleśniejsze niż wszystkie fizyczne obrażenia. O tym, dokąd się wybiera, powiedziała jedynie Chris, a ta nie spodziewała się od niej telefonu. Nikomu innemu nie zająknęła się ani słowem, nawet Simonowi. Nie czuła się na siłach stawić czoło ich docinkom, choćby nawet płynęły z przyjaźni. Shaz nie miała w tej kwestii żadnych złudzeń. Pytania, które zadała Jacko Vance'owi, uświadomiły mu, że rozpoznała w nim seryjnego mordercę, ale nie wpadł w panikę, jak tego oczekiwała. Zorientował się, że działała na własną rękę. Ze choć jej teorie mogłyby mu zaszkodzić, łatwo oddalić wizję egzekucji. Wystarczy pozbyć się ich autorki, policyjnego odszczepieńca podążającego solo za swoim przeczuciem. W najgorszym razie, usuwając Shaz, zyska więcej czasu na zatarcie śladów albo wręcz na wyjazd z kraju.

Shaz poczuła, że oblewa ją zimny pot. Nie ulega wątpliwości - zginie. Pytanie brzmiało - jak. Miała rację. I właśnie to ją zabije.

12

Pauline Doyle była w rozpacz. Policja nie wierzyła, że zniknięcie Donny to coś poważniejszego niż zwykła ucieczka z domu.

- Najpewniej pojechała do Londynu. Nie ma sensu, żebyśmy jej tu szukali - z rozdrażnieniem wyjaśnił pewnego wieczoru mundurowy, jeden z wielu, których bezustannie zadręczała pytaniami.

Pauline mogłaby krzyknąć na całe gardło, że ktoś porwał jej córkę, ale dowód w postaci brakującego kompletu ubrań wystarczał,

żeby przekonać zapracowanych gliniarzy, że Donna Doyle jest kolejną małą znużoną domem i przekonaną, że hen, daleko czekają ulice brukowane złotem. Wystarczy spojrzeć na jej zdjęcie, na zalotny uśmiech, aby zrozumieć, że wcale nie była taka niewinna, jak chce myśleć jej biedna, łatwowierna matka.

Policja poprzestała na rutynowym wciągnięciu Donny na listę osób zaginionych. Pauline nie wiedziała, co począć. Bez oficjalnego poparcia nie załatwi przecież telewizyjnego apelu o powrót córki. Nawet miejscowa gazeta miała to gdzieś, mimo że redaktorka jednego z pism kobiecych nosiła się z zamiarem zamieszczenia felietonu o zaginionych nastolatkach. Kiedy obejrzała zdjęcia Donny, nabrała podobnych podejrzeń jak śledczy. Donna miała w sobie coś, co przekreślało wszelkie próby przedstawienia jej jako niewinnej dziewczeczki. Coś w zarysie ust, w lekkim pochyleniu głowy mówiło, że przekroczyła próg niewinności. Redaktorka uznała Donnę Doyle za lólitkę, na której widok większość kobiet najchętniej założyłaby mężom klapki na oczy.

Nocami bezsilność znajdowała ujście w powodzi łez. W końcu Pauline uznała, że pora wziąć sprawy w swoje ręce. Jej posada w agencji handlu nieruchomościami nie należała do szczególnie lukratywnych: wystarczało na kupno ubrań i jedzenia dla obu oraz na opłacenie dachu nad głową, lecz na niewiele więcej. Nadal jednak miały parę tysięcy z ubezpieczenia Bernarda. Pauline przeznaczyła tę sumę na czas studiów Donny. Wiedziała, że trudno im wtedy będzie związać koniec z końcem.

Jeśli Donna nie wróci, oszczędzanie na czesne i tak miałyby się z celem, rozumowała Pauline. Lepiej wydać pieniądze na próbę sprowadzenia jej do domu, a ze studiami jakoś będzie. Toteż Pauline zaniósła zdjęcie Donny do najbliższej drukarni i zamówiła tysiące ulotek z fotografią córki na jednej stronie. Tekst na drugiej brzmiał: „KTO WIDZIAŁ TĘ DZIEWCZYNĘ?” Donna Doyle zaginęła w czwartek, 11 października. Ostatnio widziano ją o wpół do dziewiątej rano w drodze do Glossop Girls Grammar. Miała na sobie szkolny uniform składający się z kasztanowej spódnicy, kasztanowego sweterka i białej bluzki z rozpiętym kołnierzykiem. Do tego czarne knickersy i czarną kurtkę kangurkę. Niosła czarny plecak firmy Nike. Osoby, które widziały ją później, proszone są o kontakt z jej matką, Pauline Doyle”. Na dole umieściła adres domu przy Corunna Street i numery telefonów, domowy i agencyjny.

Następnie wzięła tydzień urlopu i od świtu do zmierzchu wpychała ulotki do skrzynek pocztowych. Zaczęła w centrum miasta, składając zdjęcie Donny w ręce każdego przechodnia, który zgodził się je wziąć, i stopniowo kierowała się ku przedmieściom, nie czując, jak jej stopy pokrywają się bąblami.

Nikt nie zadzwonił.

13

Gdy Shaz Bowman leżała na gołej podłodze w londyńskim domu Jacko Vance’a, świadoma tylko strachu i bólu, on penetrował jej królestwo. Dotarł do Leeds w godziwym czasie; zatrzymał się raz, żeby zatankować i wpaść do toalety dla niepełnosprawnych na stacji

przy drodze szybkiego ruchu. Chciał, żeby kasetka z dyktafonu Shaz trafiła na najbliższą wywózkę śmieci. Jeszcze na parkingu zmiążdżył ją stopą, a okruchy plastiku zostawił na pastwę porywistych wichrów omiatających Midlands.

Odszukanie mieszkania Shaz stało się bardzo proste dzięki świeżo kupionemu „Od A do Z”. Dla wygody zaznaczył jej ulicę niebieskim flamastrem. Zaparkował za rogiem, a potem, narzuciwszy sobie absolutny spokój, spacerował niespiesznie ulicą, pustą, jeśli nie liczyć paru małych chłopców grających w krykieta na chodniku. Skręcił ku bramie z numerem siedemnastym i spróbował obrócić jeden z dwóch kluczy yale w zamku ciężkich wiktoriańskich drzwi. Udało się za pierwszym podejściem i to przekonało go, że bogowie naprawdę mu sprzyjają.

Znalazł się w ponurym holu, do którego słabe światło wpadało jedynie przed dwie lancetowate szyby po bokach drzwi. W półmroku dojrzał przed sobą szerokie, eleganckie schody na piętro. Po każdej stronie schodów wejście do oddzielnego, jak przypuszczał, mieszkania. Wybrał to po lewej: trafił bez pudła. Oddychając coraz spokojniej, pewny, że wszystko pójdzie jak z płatka, przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Nie planował długo tu zabawić, ot, chciał rozeznać się w układzie pomieszczeń. Szybko wędrował z pokoju do pokoju. Zaledwie zajrzał do salonu, uświadomił sobie, że Shaz nie mogłaby wybrać mieszkania bardziej nadającego się do jego celów. Przeszklone drzwi prowadziły do ogrodu otoczonego wysokim

murem, osłoniętym przez wysokie drzewa owocowe. Po chwili na tle ceglanego muru wypatrzył zarysy drewnianej furtki.

Do zrobienia została już tylko jedna rzecz. Ściągnął kurtkę i odpiął protezę. Z torby wyjął przedmiot, do którego wykonania zdołał przed paru laty namówić rekwizytornię, rzekomo po to, aby zrobić komuś dowcip. Wykorzystując zaczep z modelu, który dawno trafił już do kosza, sporządzili dla niego gipsowy odlew ręki o niepokojąco realistycznie wyglądających palcach. Po zamocowaniu, zwłaszcza gdy Jacko oparł odlew na temblaku i narzucił na wierzch kurtkę, wyglądał, jakby miał złamaną rękę. Sprawdził, czy o niczym nie zapomniał, szybko spakował torbę i odetchnął głęboko. Czas się zbierać.

Wymknął się przeszklonymi drzwiami. Przymknął je za sobą, po czym spokojnie pomaszerował żwirową ścieżką w stronę furtki. Nagle poczuł, jak włoski jeża mu się na karku - a może z któregoś okna śledzą go czyjeś oczy. Pociężył się, że rysopisu, jaki mógłby podać ewentualny świadek, nikt nie skojarzy z Jacko Vance'em.

Nie zasunął rygla, bo nie sądził, by o tej porze ktoś tędy chadzał. Wyszedł na wąski pas zieleni między murami dwóch ogrodów, a stamtąd na jedną z głównych dróg w kierunku śródmieścia. Dotarcie na dworzec zajęło mu blisko godzinę, dziesięć minut czekał na pociąg do Londynu. Wrócił na Holland Park, już w skórze Jacko Vance'a, jakieś pół godziny przed północą.

Przed ostatnimi przygotowaniem wrzucił do piekarnika trzydziestocentymetrową pizzę. Nie tak sobie wyobrażał sobotnią kolację, ale co zrobić. Najważniejsze, że dawka węglowodanów

uspokoi jego żołądek, bo czuł się, jakby coś fikało w nim koziółki. Nerwy zawsze odbijały się na jego żołądku. Ilekroć ogarniała go gorączka wyczekiwania, cierpiał kurcze i bóle, aż robiło mu się niedobrze. Kiedy pracował jako komentator sportowy, nauczył się, że jedynym lekarstwem na sensacje żołądkowe jest porządny posiłek. Niebawem odkrył, iż ta sama recepta sprawdza się także w przypadku morderstwa. Zawsze starał się coś przekąsić, zanim spotka się z ofiarą. Nie zapominał też o wspólnej kolacji.

Kiedy pizza się podgrzewała, on pakował rzeczy do mercedesa. Wysilek łatwiej się znosi o pustym żołądku. Teraz już wszystko było przygotowane do ostatniego występu Shaz Bowman. Musi ją tylko przetransportować na scenę.

14

Donna Doyle także była sama. Otumanionej bólem dziewczyny nie było stać na luksus introspekcji. Za pierwszym razem, gdy zbudziła się z urywanego snu, czuła się siłach, by spenetrować swoje więzienie. Strach nadal ścisnął za krtani, lecz już nie paraliżował. Gdziekolwiek się znajdowała, było tu ciemno jak w grobie, a powietrze miało zatechłą woń jak w malutkiej piwniczce na węgiel u nich w domu. Sprawną ręką wodziła wokół siebie, próbując zorientować się, gdzie jest i co ją otacza. Leżała, jak uświadomiła sobie po chwili, na zafoliowanym materacu. Palcami obrysowywała kontury zimnych kafli. Nie tak gładkie jak ceramiczne kafelki w domowej łazience, przypominały raczej szkliwioną terakotę na schodkach do oranżerii przy domu pani Dyson, mamy Sarah.

Za plecami wymacała szorstką, kamienną ścianę. Mozolnie dźwignęła się na nogi i dopiero wtedy dotarło do niej, że są czymś skute. Pochyliła się i opuszkami palców obwiodła żelazne obręcze wokół kostek, połączone ciężkim łańcuchem. Nie mogła ocenić, jak długim, korzystając tylko z jednej ręki. Cztery chwiejne kroki i dotknęła następnej ściany. Obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i poczłapała przed siebie. Po dwóch krokach potknęła się o coś i boleśnie uderzyła. Po chwili, posiłkując się dotykiem i węchem, rozpoznała w przedmiocie chemiczną toaletę. Żałośnie wdzięczna, Donna opadła na nią i opróżniła pęcherz.

Zaraz potem strasznie zachciało się jej pić. Czy jest głodna, czy nie, sama właściwie nie była pewna, ale wręcz umierała z pragnienia. Dźwignęła się i ruszyła wzdłuż ściany. Nim uszła metr, w pół kroku zatrzymał ją naprężony łańcuch. Gdy się szarpnęła, spazm bólu targnął jej ręką, sięgając szyi i głowy, aż jęknęła. Powoli, przygarbiona jak staruszka, wycofała się w stronę materaca.

Niecały metr dalej wyjaśniło się, co z jedzeniem i piciem. Z metalowego kraniku chlusnęła lodowata woda, której napiła się łapczywie, padając na kolana, żeby wsunąć głowę pod strumień. Kiedy klękała, coś się za nią przewróciło. Zaspokoiwszy pragnienie, po omacku sprawdziła, co to takiego. Wymacała cztery duże pudła z lekką zawartością. Potrząsnęła nimi i usłyszała znajomy szelest płatków kukurydzianych.

Godzinę później zmuszona była pogodzić się z myślą, że to już wszystko. Cztery pudła płatków - sprawdziła wszystkie - i tyle

lodowatej wody, ile dusza zapragnie. Chciała obmyć zmiażdżoną rękę, ale zaboląo tak, że aż zakręciło się jej w głowie. Koniec. Bydlak zostawił ją na łańcuchu jak psa. Zostawił na śmierć?

Przykucnęła na piętach i zaczęła zawodzić jak matka nad umarłym dzieckiem.

Ale od tamtej pory upłynęło kilka dni - cała wieczność. Oszalała z bólu, jęczała i bełkotała cicho, to mdlejąc, to wynurzając się z umęczonego snu, skrajnie wycieńczona. Gdyby Donna Doyle miała świadomość tego, co się z nią dzieje, zapewne przestałaby kurczowo czepiać się życia.

15

Samochód zahamował. Shaz z impetem uderzyła o ściankę dzielącą ciasny bagażnik od tylnej kanapy, boleśnie objając sobie nadgarstki i ramiona. Spróbowała się unieść i zabębnić głową o klapę, ale nie osiągnęła nic ponad nową falę bólu. Starła się nie szlochać, bo bała się, że jeśli nos jej się zatka, najzwyczajniej się udusi. Nie mogła oddychać przez usta, bo Vance wepchnął w nie knebel i czymś przewiązał. Później przetoczył ją po niewyobrażalnie twardych posadzkach i schodach, dźwignął z ziemi i wrzucił do bagażnika. Była przerażona i zdumiona siłą tego jednorękiego człowieka.

Oddychała tak głęboko, jak tylko się dawało: zbyt głębokie wdechy rozpierały klatkę piersiową, przeciwko czemu protestowały zeszywniałe mięśnie ramion. Wiele wysiłku wkładała w to, by się nie zakrztusić, choć dławił ją smród własnego moczu. Ciekawe, jakim cudem usuniesz z bagażnika tę pamiątkę, pomyślała tryumfalnie. Nie

leżało w jej mocy ocalić życie, ale poprzysięgła sobie zrobić wszystko, by Vance odpowiedział za swoje zbrodnie.

Przytłumiona muzyka urwała się nagle. Przez całą drogę słuchał przebojów z lat sześćdziesiątych. Shaz zmusiła się do wyłączenia uwagi i liczenia. Przy średniej trzy minuty na utwór jechali w przybliżeniu trzy godziny, przy czym po pierwszych dwudziestu minutach drogą szybkiego ruchu. Najprawdopodobniej na północ, gdyby bowiem jechali na zachód, znacznie szybciej znaleźliby się na ekspresówce. Oczywiście, mógł ją zmylić, klucząc M25 wokół Londynu. Ale Shaz w to wątpiła. Po cóż miałyby starać się wprowadzić ją w błąd? Bądź co bądź, żeby mu zagrozić, musiałyby pozostać przy życiu.

Pewnie już zdążyło się ściemnić. W rezydencji przeleżała chyba kilka godzin, zanim Vance wrócił, żeby się z nią ostatecznie rozprawić. Jeżeli wywiózł ją na głuchą wieś, nikt niczego nie zobaczy ani nie usłyszy. Miała mętne wrażenie, że właśnie taki był plan Vance'a. Musiał przecież zabierać swoje ofiary w jakieś odludne miejsce, skoro go nie wykryto. A nie widziała powodów, by nagle zmienić metody.

Drzwiczki zamknęły się: najpierw miękkie pacnięcie, potem cichy trzask. Inny metaliczny dźwięk, znacznie bliższy, i westchnienie mechanizmu hydraulicznego podnoszącego maskę.

- Boże, ale ty cuchniesz - rzucił Vance pogardliwie, szarpiąc jej ciałem ku górze. - Słuchaj - już całkiem z bliska - zaraz uwolnię ci nogi. Nożem. Nóż jest bardzo, bardzo ostry. Używam go do

porcjowania mięsa. Domyśl się jakiego. - Niemalże szeptał, gorący oddech przenikał materiał kaptura na wysokości jej ucha. Shaz poczuła kolejną falę mdłości. - Jeśli spróbujesz uciekać, wypatroszę cię jak świnię. Nie ma dokąd uciekać, rozumiesz? Jesteśmy na kompletnym pustkowiu.

Uszy przekonywały Shaz o czymś zupełnie innym. Słyszała wcale nie tak dalekie echa ulicznego zgiełku, charakterystyczne odgłosy miasta. Jeżeli nadarzy się jakaś szansa, uchwyci się jej obiema rękoma.

Poczuła, jak zimne ostrze muska jej kostkę, i w cudowny sposób odzyskała władzę w nogach. Pomyślała, czy nie kopnąć na oślep i nie rzucić się do ucieczki. Potem wróciło krążenie i nieznośne mrowienie w stopach. Ze spierzchniętych warg pod nieustępliwym kneblem wyrwał się słaby jęk. Nieoczekiwanie została dźwignięta nad krawędź bagażnika. Bezwładnie zwała się na ziemię, potem on zatrzasnął bagażnik i brutalnie podniósł ją na nogi. Na poły powlókł, na poły przeniósł ją przez jakiś otwór albo bramę - uderzyła ramieniem o mur - potem prosto i w górę, po paru schodkach. W końcu odepchnął ją brutalnie i runęła jak długa na przykrytą dywanem podłogę; nogi nadal miała bezużyteczne, jak z gumy.

Nawet pośród oszołomienia i bólu odgłos zamykania drzwi i szelest zaciąganej zasłony wydał się jej dziwnie znajomy. Strach ścisnął Shaz za gardło i ogarnęło ją niepoohamowane drżenie. Po raz drugi w ciągu ostatniej półgodziny straciła kontrolę nad pęcherzem.

- Ty obleśna suko - syknął Vance. Poczowała, że znowu się unosi. Tym razem popchnął ją na krzesło. Zanim zdążyła przywyknąć do nowego bólu w barkach i ramionach, przywiązał jej nogę do nogi krzesła, tak jak unieruchamia się złamaną kończynę. Podjęła rozpaczliwą próbę oswobodzenia się: na oślep kopnęła drugą, uszczęśliwiona, że trafiła Vance'a, napawając się jego krzykiem.

Nagle wepchnął udo między jej kolana. Ciepło jego ciała było chyba najgorszą z tortur, jakie Shaz dotąd wycierpiała. Przełożył jej ręce za oparcie krzesła, zmuszając, by się wyprostowała. Potem usłyszała szelest ostrza tnącego materiał. Zamrugła powiekami, oślepiona, i serce w niej zamarło. Urzeczywistnił się najczarniejszy scenariusz - znajdowała się we własnym salonie, przywiązana do jednego z czterech krzeseł kupionych przed zaledwie dziesięcioma dniami w salonie IKEA.

Vance przyciskał się do niej całym ciałem. Zrobił nacięcie na kapturze tuż nad kneblem; chciał, żeby wszystko widziała i słyszała, ale mogła wydać co najwyżej stłumiony jęk. Potem się odsunął, boleśnie uszczypnąwszy ją w pierś.

Wpatrywał się w nią i postukiwał ostrzem rzeźnickiego noża o krawędź stołu. Shaz nigdy dotąd nie widziała takiej przerażającej postaci. To, jak stał, wyraz jego twarzy, wszystko emanowało przekonaniem o własnej wszechmocy.

- Spieprzyłaś mi weekend - powiedział ściszym głosem. - Wierz mi, inaczej sobie zaplanowałem sobotni wieczór. Przebieranie się w cholerny chirurgiczny fartuch i lateksowe rękawiczki w jakiejś

zasranej klitce w Leeds? Nie tak sobie wyobrażam dobrą zabawę. - Z ubolewaniem pokręcił głową. - Zapłacisz mi za to, Bowman. Zapłacisz za swoją głupotę.

Odłożył nóż i pogmerał pod bluzą Shaz mignął materiałowy pokrowiec, z którego Vance wyjął płytę kompaktową. Bez słowa wyszedł z salonu. Shaz usłyszała znajome buczenie, potem trzaski; najpierw komputer, potem drukarka. Wyteżęła wzrok i wyobrażała sobie, że słyszy kliknięcie myszki, stukot klawiszy. Potem charakterystyczne, wibrujące buczenie towarzyszące podawaniu papieru i drukowaniu.

Wrócił z kartką papieru i uniósł ją na wysokość jej twarzy. Rozpoznała artykuł z ilustrowanej encyklopedii. Nie musiała go czytać, żeby wiedzieć, co ma symbolizować ilustracja na samej górze.

- Wiesz, co to jest? - zażądał odpowiedzi.

Shaz wlepiła w niego oczy, podbiegnięte krwią, ale nadal hipnotyzujące. Ślubowała sobie, że się nie ugnie.

- To pomoc dydaktyczna, studentko Bowman. Trzy mądre małpy. Jedna zakrywa sobie oczy, druga uszy, trzecia usta. Powinniście byli wziąć sobie tę dewizę do serca: niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć i nic nie mówić. A ty powinnaś była trzymać się z dala ode mnie. Nie wtykać nosa w moje sprawy. Ale więcej go nie wetkniesz.

Pozwolił, by kartka z szelestem sfrunęła na ziemię. Dziko doskoczył do Shaz i odchylił jej głowę. Kciuk syntetycznej ręki znalazł się nad okiem, cisnąc w dół i w bok, drąc mięśnie, wydzierając

lekką gałkę z oczodołu. Krzyk rozbrzmiewał tylko w umyśle Shaz. Był jednak wystarczająco głośny, by ponieść ją ku błogosławionej nieświadomości.

Jacko Vance podziwiał swoje dzieło i wiedział, że jest dobre. Ponieważ do wcześniejszych zabójstw popychały go całkiem inne potrzeby, nigdy nie rozważał ich w czysto estetycznym świetle. Ale to było dzieło sztuki, nabrzmiałe od symboliki. Zastanawiał się tylko, czy znajdzie się ktoś na tyle bystry, żeby rozszyfrować przesłanie, a nawet jeśli odczyta, czy się do niego zastosuje. Szczerze w to wątpił.

Pochylił się i dokonał drobnej poprawki kąta, pod jakim kartka spoczywała na jej kolanach. Potem pozwolił sobie na luksus uśmiechu. Teraz musi tylko dopilnować, by nie przemyciła jakiejś wiadomości. Zaczął metodycznie przeszukiwać mieszkanie, centymetr po centymetrze, łącznie z zawartością koszy na śmieci. Był przyzwyczajony do bliskości zwłok, toteż towarzystwo doczesnych szczątków Shaz wcale go nie stresowało. Kiedy przetrząsał kuchnię, czuł się odprężony i podśpiewywał pod nosem.

W gabinecie znalazł więcej, niż by chciał. Pudło z kserokopiami gazet, kołonoatnik z zapiskami, pliki na twardym dysku laptopa i kopie zapasowe na dyskietce, wydruki wcześniejszych wersji prezentacji, którą miała przy sobie, przychodząc do niego do domu. Na domiar złego większość wydruków nie miała odpowiedników w postaci plików w komputerze. Na dyskietce były kopie zapasowe, ale z twardego dysku znikły oryginały. Koszmar. Gdy zauważył modem,

omal nie spanikował: nie znalazł ich, ponieważ byli gdzie indziej, przypuszczalnie w komputerze ogólnokrajowej jednostki profilerskiej. A do niego nie potrafił się włamać. Cała nadzieja w tym, że Shaz Bowman była taką samą paranoiczką, jeśli chodziło o zabezpieczanie danych, jak o dzielenie się informacjami. Tak czy owak, teraz nie mógł nic na to poradzić. Usunie, co się da, i będzie trzymał kciuki, żeby śledczy nie okazali się przesadnie dociekliwi. O ile znani mu gliniarze - dyletanci - byli jakimś przykładem, nikomu nie przyjdzie do głowy, że kobieta mogła mieć smykałkę do informatyki. Ponadto zajmowała się sprawą wbrew wyraźnym życzeniom zwierzchników. Tak przynajmniej twierdzili dyskretnie podpytani informatorzy. Nikt nie skojarzy tego dziwaczego zabójstwa ze szkoleniem profilerskim.

Tylko co począć z całym majdanem? Zabrać do domu nie sposób, bo a nuż przypadkowe spotkanie z drogówką zakończy się przeszukaniem auta. Zostawić? Wykluczone, bo niczym gigantyczny palec wskazywałby go jako winowajcę. Odechciało mu się podśpiewywania.

Kucnął w rogu gabinetu i rozmyślał gorączkowo. Spalić nie da rady, trwałoby to zbyt długo, a smród jak nic zaalarmowałby sąsiadów, a ostatnią rzeczą, jakiej było mu teraz trzeba, był najazd straży pożarnej. Spłukać z wodą w klozecie też nie, bo odpływ zaraz by się zatkał, chyba że podarłby albo połamał wszystko na malutkie kawałki, co potrwałoby do świtu albo i dłużej. Zakopanie w ogrodzie też odpadało, jako że po znalezieniu zwłok tej suki zacznie się

upierdliwie drobiazgowo śledztwo, a cały najbliższy teren zostanie dokładnie przeszukany.

Koniec końców zabrał obciążające dowody ze sobą. Bał się jak diabli, ale powtarzał sobie, że szczęście i bogowie są po jego stronie, że jest nietykalny, bo nie zaniedbuje absolutnie żadnego środka ostrożności, jaki tylko leży w ludzkiej mocy, a jedynie ułamek ryzyka pozostawia w rękach życzliwego losu.

Spakował materiały Shaz do dwóch worków na śmieci i objuczony poczłapał do auta; każdy krok okupiony był wielkim wysiłkiem. Pracował nad pozbyciem się posterunkowej Shaz Bowman od jakichś piętnastu czy szesnastu godzin i znalazł się u kresu sił i pomysłowości. Z zasady nie brał narkotyków przy pracy; fałszywe poczucie mocy, jakie wywoływały, prostą drogą prowadziło do niechlujstwa i głupich wpadek. Niemniej po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie ma w kieszeni schludnego pakieciku z kokainą. Parę kresek „śniegu” dodałoby mu skrzydeł i uporałby się z robotą raz, dwa, zamiast wlec znużone ciało zwirową alejką na zadupiu Leeds.

Z cichym westchnieniem ulgi wrzucił do bagażnika drugi worek. Znieruchomiał na sekundę, z obrzydzeniem marszcząc nos. Naszczała mu w samochodzie, suka, złała się na dywanik. Jeszcze jedna rzecz do wywalenia, pomyślał, zadowolony, że ma z głowy kolejny problem. Zdarł z siebie zielony kitel i rękawiczki, po czym wepchnął je do schowka na zapasowe koło i delikatnie docisnął pokrywę; zaskoczyła z cichym metalicznym szczęknięciem.

- Zegnaj, posterunkowa Bowman - mruknął i, znużony, usiadł za kierownicą.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał prawie wpół do trzeciej. O ile gliniarze nie zatrzymają go za prowadzenie bajeranckiej bryki we wczesnych godzinach rannych, wyrobi się na wpół do piątej. Posiłkując się spoconą dłonią i protezą, zimną jak nocne powietrze, wyjechał z miasta i skierował się na północ.

Na miejscu znalazł się dziesięć minut wcześniej, niż przewidywał. Plac przed Royal Newcastle Infirmary świecił pustkami. Vance wiedział, że nic tu się nie zmieni aż do szóstej, kiedy pojawi się nieliczna ranna zmiana. Na wstecznym wjechał w zatoczkę po prawej stronie podwójnych drzwi, za którymi znajdowały się spalarki do usuwania szpitalnych odpadów. Często po zajęciach z pacjentami schodził tu napić się kawy i pogadać z personelem. Byli dumni, że mogą zaliczać taką sławę jak Jacko Vance w poczet swoich znajomych, i chętnie wystarali się o dodatkową kartę magnetyczną, dzięki której mógł wchodzić i wychodzić, kiedy mu się podobało. Bywało, że sam z siebie wpadał którejs nocy i solidarnie stawał z nimi do roboty, pakując do pieca zapieczętowane worki pełne odpadów z klinik, szpitalnych oddziałów i sal operacyjnych.

Nikt nawet nie pomyślał, że dorzuczał do pieca i własne „odpady”.

Dlatego, między innymi, Jacko Vance nie obawiał się, że zostanie schwytany. Nie był głupi jak Fred West, który zamuroвывał zwłoki w fundamentach domu. Kiedy już skończył zażywać

przyjemności z ofiarami, znikają na wieki w szalejącym, unieczniającym żarze szpitalnego pieca. Dla urządzenia, które z łatwością pochłaniało odpady dużego miejskiego szpitala, dwie torby wypełnione papierami Shaz Bowman będą błahym *amuse bouche*. Góra dwadzieścia minut i sprawa załatwiona. Potem będzie już z górki. Padnie na ulubione łóżko, to, które znajdowało się w samym sercu jego „ubojni”, zapomni o troskach i zaśnie snem sprawiedliwego.

CZEŚĆ DRUGA

16

- Ktoś wie, co z tą Bowman? - dopytywał się Paul Bishop niecierpliwie, spoglądając na zegarek po raz piąty w ciągu ostatnich dwóch minut.

Pięć par oczu wpatrzyło się w niego obojętnie.

- Chyba odwaliła kite, no nie? - Leon wyszczerzył zęby. - Ona nigdy się nie spóźnia, nie dziecinka Shazza.

- Ha, ha, Jackson - rzucił Bishop z sarkazmem. - Bądź grzeczny i idź na dół spytać w dyżurce, czy nie zostawiła jakiejś wiadomości.

Leon przechylił się, tak aby przednie nogi krzesła znowu znalazły się na ziemi, po czym powłókł się do drzwi; metr osiemdziesiąt trzy i chudy jak szczapa, w marynarce o poszerzanych ramionach i mocno zwężającej się ku dołowi, nawet od tyłu całą swoją postacią wyrażał urazę. Bishop bębnił palcami o pilota do

magnetowidu. Jeśli ta sesja się nie zacznie, i to zaraz, sam gotów się spóźnić. Musi odsiedzieć cały pokaz nagrań z miejsc przestępstw i zaraz potem pędzić na spotkanie z ministrem Home Office, z którym był umówiony na lunch. Cholerna Bowman. Dlaczego musiała się spóźnić akurat dziś? Poczekaj do powrotu Jacksona i ruszy z pokazem. Jej strata, jeśli ominie ją coś istotnego.

Simon cicho zagadnął Kay:

- Widziałaś się z Shaz od piątku?

Kay pokręciła głową. Jasnobrązowe włosy niczym zasłona osunęły się jej na policzek, tworząc obrazek, który przywodził na myśl polną mysz wyglądającą zza zimowych traw.

- Zostawiłam jej wiadomość, bo nie pokazała się w knajpie, ale nie oddzwoniła. Myślałam, że spotkamy się na zawodach pływackich wczoraj wieczorem, ale nie przyszła. Nie żebyśmy oficjalnie się umawiały, ale zawsze.

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, wrócił Leon.

- Ani me, ani be. Wcale się nie odezwała - obwieścił. - Nie dzwoniła, że jest chora.

Bishop zacmokał.

- Cóż, po prostu będziemy musieli się bez niej obejść. Przedstawił pokrótce plan porannych zajęć, po czym nacisnął klawisz „play”.

Galeria przemocy i okrucieństwa, jaka przewinęła się przez ekran, nie wywarła na Simonie większego wrażenia. Nie uczestniczył też w późniejszej dyskusji. Nie mógł przestać myśleć o Shaz. W

sobotę wieczorem był u niej, żeby zabrać ją na drinka, jak się umawiali. Ale kiedy zadzwonił do drzwi, nie doczekał się żadnej reakcji. Pojawił się trochę za wcześnie, pomyślał więc, że może nie słyszała dzwonka, bo akurat brała prysznic albo suszyła włosy. Cofnął się do głównej drogi i poszukał budki. Telefon dzwonił i dzwonił, aż rozmowa została automatycznie rozłączona, potem próbował jeszcze dwa razy. Nie wierzył, że go wystawiła bez słowa, znowu pomaszerował pod jej mieszkanie i zadzwonił do drzwi.

Stojąc pod jej domem, zauważył, że okno wykuszowe głównej sypialni, przylegającej do frontowej ściany budynku, jest zasłonięte. Po chwili zapaliły się światła. Jego skromnym zdaniem znaczyło to, że szykowała się do wyjścia na randkę, choć najwyraźniej nie z nim. Chciał już sobie odpuścić i pójść do pubu samotnie topić smutki w piwie, gdy jego wzrok padł na alejkę biegnącą wzdłuż boku budynku. Niewiele myśląc, wślizgnął się w wąskie przejście i przez bramę z kutego żelaza wpadł do ciemnego ogródka.

Za rogiem skręcił i omal się nie potknął o krótkie, kilkustopniowe schodki przed przeszklonymi drzwiami.

- Do kurwy nędzy - mruknął gniewnie, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem.

Zajrzał przez szybę, składając palce wokół oczu na kształt lornetki. Zobaczył niewyraźnie kształty mebli na tle bladej poświaty bijącej z sąsiedniego pomieszczenia, do którego wchodziło się z holu. Ale żadnych oznak życia. Nagle na pierwszym piętrze zapaliło się

światło, kładąc się na ziemi tuż obok Simona nieregularnym prostokątem.

Raptem uświadomił sobie, że postronnemu obserwatorowi musi się wydawać nie tyle policjantem, co włamywaczem, i umknął w ciemności pod ogrodowym murem. Wrócił na ulicę, modląc się, by nikt go nie zauważył. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były przytyki mundurowych na temat podglądacza świntuszka z zespołu profilerskiego. Skonsternowany nieoczekiwanym kosztem od Shaz, poczłapał do Sheesh Magai spotkać się z Leonem i Kay. Nie był w nastroju, żeby razem z nimi dowcipkować, jaką to ciekawszą propozycję mogła dostać Shaz, więc skupił się na wlewaniu w siebie kingfishera.

Ale z soboty zrobił się poniedziałek i Simon poważnie się zaniepokoił. Wystawić go do wiatru to jedna sprawa. Bądźmy szczerzy, najpewniej mogła sobie znaleźć lepszego niż on, i to zbytnio się nie starając. Ale opuszczenie sesji treningowej kompletnie nie leżało w jej charakterze. Głuchy na mądrości padające z ust Paula Bishopa, Simon wiercił się jak na szpilkach, pionowe zmarszczki nie znikwały pomiędzy jego ciemnych brwi. Jak tylko zgrzyt krzesel obwieścił koniec zajęć, poszedł szukać Tony'ego Hilla.

Zastał psychologa w kantynie, usadowionego za stołem, przy którym zwykle gromadził się zespół profilerów.

- Poświęci mi pan minutę? - spytał; jego zasepione, uważne spojrzenie wyglądało jak lustrzane odbicie oczu psychologa.

- Jasne. Weź sobie kawy i przysiądź się. Simon niepewnie obejrzał się przez ramię.

- Tylko że reszta zejdzie tu lada moment... a to... ehem, trochę, wie pan, prywatna sprawa.

Tony sięgnął po swoją kawę.

- Zajmiemy na chwilę jeden z pokoiów przesłuchań.

Simon podążył za nim korytarzem do pierwszego pokoju, nad którym nie paliło się czerwone światełko. Powietrze tchnęło wonią potu, zwietrzałego dymu papierosowego i jakby przypalonego cukru. Tony usiadł okrakiem na jednym z krzeseł i obserwował Simona, który przez moment krążył niespokojnie, potem zastygł w rogu, oparty o ścianę.

- Chodzi o Shaz - powiedział. - Martwię się o nią. Nie pojawiła się dzisiaj, nie zadzwoniła ani nic.

- Przyznaję, to do niej niepodobne. Jest bardzo sumienna. Ale może coś jej wypadło. Jakiś problem rodzinny?

Kącik ust Simona drgnął i skierował się ku dołowi.

- Pewnie tak - przyznał niechętnie. - Ale przecież by zadzwoniła. Ona nie jest sumienna. Ona ma obsesję. Wie pan o tym.

- Może miała wypadek. Simon wyraźnie się ożywił.

- Otóż to. Do tego zmierzałem. Chyba powinniśmy się o nią martwić, prawda?

Tony wzruszył ramionami.

- Jeśli miała wypadek, usłyszymy o tym niebawem. Albo sama do nas zadzwoni, albo zrobi to ktoś inny.

Simon zacisnął zęby. Będzie musiał wyjaśnić, dlaczego sprawa jest znacznie pilniejsza.

- Jeśli miała wypadek, to raczej nie dzisiaj rano. Byliśmy jakby umówieni na sobotę wieczór. Leon, Kay, ja i Shaz od jakiegoś czasu wypuszczamy się w soboty do indyjskiej knajpki coś przekąsić i wypić kilka piw. Ale wcześniej wybieraliśmy się z Shaz na drinka, tylko we dwoje. Miałem po nią wpaść. - Gdy już zaczął, słowa polały się strumieniem. - Dobijałem się, ale nie otworzyła. Uznałem, że się rozmyśliła. Strach ją obleciał, czy ja wiem. Już poniedziałek, a jej jak nie było, tak nie ma. Może miała wypadek w domu. Może poślizgnęła się pod prysznicem i uderzyła w głowę. Albo nie w domu. Może leży gdzieś w szpitalu, a nikt nawet nie wie, kim ona jest. Nie uważa pan, że trzeba coś zrobić? Mamy stworzyć zgrany zespół, tak?

W umyśle Tony'ego kiełkowało straszne przeczucie. Simon miał rację. Shaz nie zapadłaby się jak pod ziemię na całe dwa dni, wiedząc, że sprawi tym zawód koledze i da plamę w pracy. Zerwał się na nogi.

- Próbowałeś się do niej dodzwonić? - spytał.

- Setki razy. Automatyczną sekretarkę ma wyłączoną. Właśnie dlatego pomyślałem, że może coś jej się stało w domu. Wie pan? Może wyłączyła ją po wejściu, a potem coś się zdarzyło i... sam nie wiem - dodał niecierpliwie. - Aż mi wstyd, wie pan? Czuję się jak gówniarz. Robię burzę w szklance wody. - Odepchnął się od ściany i podszedł do drzwi.

Tony oparł dłoń na jego ramieniu.

- Myślę, że coś w tym jest. Masz policyjnego nosa i wiesz, kiedy zanoszą się na śmierdzącą sprawę. To jedna z przyczyn, dla których znalazłeś się w tym zespole. No, chodź, pojedziemy do mieszkania Shaz i sprawdzimy, co się dzieje.

Przez całą drogę Simon siedział pochylony do przodu, jakby tylko dzięki temu auto się nie zatrzymywało. Zatrzymali się przed domem Shaz. Simon wypadł na chodnik, zanim Tony zdążył wyłączyć silnik.

- Zastłony zaciągnięte - stwierdził Simon ze zdenerwowaniem, zaledwie Tony stanął obok niego przed wejściem na klatkę. - Jej sypialnia to ta po lewej. Okna były zasłonięte w sobotę wieczorem, kiedy tu byłem.

Nacisnął dzwonek przy tabliczce: „Mieszkanie 1: Bowman”. Obaj słyszeli dobiegające z wewnątrz irytujące brzęczenie.

- Wiemy przynajmniej, że dzwonek działa - mruknął Tony.

Odsunął się o krok i omiół wzrokiem imponującą willę o frontonie z piaskowca, który zdążył szernieć przez stulecie od wynalezienia silnika spalinowego.

- Można podejść od tyłu - wtrącił Simon, puszcżając przycisk dzwonka.

Nie czekając na odpowiedź, popędził przed siebie. Tony poszedł za nim, ale nie dość szybko. Kiedy dotarł do rogu, usłyszał zawodzący jęk; brzmiało to tak, jakby w ciemnościach zdychał ranny kot. Wyłonił się w porę, by zobaczyć, jak Simon chwiejnie, jak ugodzony

w twarz, odsuwa się od przeszklonych drzwi. Młody policjant padł na kolana i zwymiotował, jęcząc niezrozumiale.

Tony niepewnie postąpił kilka kroków naprzód. Gdy stanął przed przeszklonymi drzwiami, widok, który zmienił Simona McNeilla w galarete, zmroził mu krew w żyłach. Niezdolny do myślenia, niezdolny do odczuwania, Tony wpatrywał się przez szybę w coś, co przypominało raczej pastisz któregoś z obrazów Bacona niż ludzkie zwłoki. W pierwszej chwili nie uświadomił sobie nawet, na co patrzy.

Chwilę później pojawiło się zrozumienie i ochoczo zaprzedałby duszę, byleby wrócić do stanu wcześniejszej niewiedzy.

Nie były to pierwsze okaleczone zwłoki, jakie Tony oglądał. Jednak po raz pierwszy z ofiarą coś go łączyło. Na moment nakrył dłońią oczy, kciukiem i palcem wskazującym masując brwi. Nie czas na żalobę.

Odetchnął głęboko, zwrócił się twarzą do Simona i poprosił:

- Zgłoś to. Potem idź przed budynek i zabezpiecz miejsce przestępstwa.

Simon spojrzał na niego błagalnie, wstrząśnięty, z bólem, którego nie sposób było pomylić z niczym innym.

- To Shaz?

Tony skinął głową.

- Tak, to Shaz. Simon, zrób, o co proszę. Zgłoś to i czekaj przed wejściem. To ważne. Musimy tu ściągnąć innych funkcjonariuszy, i to zaraz. Ruszaj.

Począł, aż Simon podniósł się chwiejnie i jak pijany zatoczył w stronę przejścia między ogrodami. Następnie wpatrzył się w zmasakrowane szczątki Shaz Bowman. Chciał znaleźć się bliżej, obejść ciało i zapisać w pamięci każdy szczegół. Ale rozumiał konieczność zabezpieczenia śladów, więc było to tylko zbożne życzenie.

Poprzestał na zapamiętaniu tego, co było w zasięgu wzroku. Widok dla większości byłby nie do zniesienia, lecz dla Tony'ego męką było to, że nie ogarnia wzrokiem całej sceny. Przede wszystkim musiał przestać myśleć o tej pustej skorupie jako o Shaz Bowman. Musi być zdystansowany, myśleć analitycznie i trzeźwo, jeśli chce dopomóc tym, którzy poprowadzą dochodzenie. Popatrzył ponownie na zwłoki na krześle i przekonał się, że wcale nie jest tak trudno odsunąć wspomnienia o Shaz. Dziwoląg o zdeformowanej głowie, zwrócony twarzą w jego stronę, praktycznie nie przypominał istoty ludzkiej.

Widział ciemne otwory tam, skąd ostatnio spoglądała na niego para wstrząsająco pięknych oczu. Wyłupione, domyślił się, bo z ran zwisało coś, co przypominało nitki i strzępki sznurka. Krew wypłynęła i zaschła wokół czarnych oczodołów, co nadawało makabrycznej masce, w jaką zmieniła się twarz, jeszcze bardziej groteskowy wygląd. Usta przypominały gruzel plasteliny mieniący się odcieniami fioleto i różu.

Brakowało uszu. Tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się małżowiny, włosy nastroszyły się jak szpikulce, zlepily w strąki sztywne od zaschłej krwi.

Gałki oczne leżały na jej kolanach. O klatkę piersiową opierała się kartka papieru. Z tej odległości Tony nie był w stanie przeczytać napisu, ale rysunek rozpoznał z łatwością. Trzy mądre małpy. Przebiegł go zimny dreszcz. To nie było zabójstwo na tle seksualnym. Shaz nie zwróciła na siebie uwagi jakiegoś psychopaty w sposób przypadkowy. To była egzekucja.

- Nie zrobiłeś tego dla przyjemności - powiedział miękko, sam do siebie. - Chciałeś dać jej nauczkę. Chciałeś nam wszystkim dać nauczkę. Chwalisz się, że jesteś od nas lepszy. Popisujesz się, grasz nam na nosie, bo jesteś przekonany, że nigdy nie znajdziemy dowodów, które cię obciążą. I ostrzegasz nas, żebyśmy nie wtykali nosa w twoje sprawy. Ty arogancki draniu...

Makabryczna sceneria odsłaniała przed Tonym więcej niż przed przeszkolonym policjantem, który szuka tylko fizycznych śladów. Psychologowi ukazywała ona umysł człowieka inteligentnego i szybko podejmującego decyzję. Zabójstwo z zimną krwią, nie zaś rozszalała napaść, do której popychają sprawcę pobudki seksualne. A to dowodziło, że morderca uznał, iż Shaz Bowman mu zagraża. Więc wyeliminował zagrożenie. Brutalnie, na zimno i metodycznie. Jeszcze przed przybyciem techników Tony wiedział, że nie znajdą żadnych znaczących poszlak wskazujących na tożsamość sprawcy.

Rozwiązanie tej zbrodni leżało w umyśle, nie w laboratorium kryminalistycznym.

- Dobry jesteś - mruknął Tony. - Ale ja będę lepszy.

Gdy syreny na strzępy rozdarły ciszę, a w pasażu zadudniły kroki, Tony nadal tkwił przy oknie, powierzając pamięci widok, rejestrując każdy szczegół. Dopiero potem udał się przed fronton budynku, żeby pocieszyć Simona najlepiej jak umiał.

- Też mi, cholera, urgens - wymamrotał policyjny chirurg, otwierając torbę i wyjmując parę lateksowych rękawiczek. - W jej stanie, godzina wte czy wewte... jeden pies. Nie to co z żywymi, no nie? Zastrany pager, przekleństwo mojego cholernego życia.

Tony przewyciężył impuls, żeby rąbnąć puciołowatego lekarza w gębę.

- Była policjantką - powiedział ostrym tonem. Lekarz posłał mu przebiegłe spojrzenie.

- My się nie znamy, prawda? Pan tu nowy?

- Doktor Hill pracuje dla Home Office - wyjaśnił inspektor, którego nazwisko Tony zdążył już zapomnieć. - Szeфуje nowo powstałej jednostce profilerskiej, o której zapewne pan słyszał. Ta dziewczyna była jedną z jego kursantek.

- Ano cóż, może liczyć na takie samo traktowanie jak każda denatka z Yorkshire - stwierdził lekarz sucho, zabierając się do pracy.

Tony czekał przed otwartymi przeszklonymi drzwiami, przyglądając się miejscu przestępstwa, gdzie uwijali się fotograf i

zespół techników kryminalistycznych. Nie mógł oderwać wzroku od wraku, w jaki zmieniło się ciało Shaz Bowman. Choć się starał, przed oczami ciągle stawał mu obraz Shaz, takiej, jaka była za życia.

Simonowi to dopiero ciężko, pomyślał ze smutkiem. Zabrali go, bladego jak upiór i rozdygotanego, do kwatery policji, żeby złożył zeznanie na temat sobotniego wieczoru. Tony wystarczająco dobrze znał działanie tej maszyny, żeby wiedzieć, iż na tym etapie sekcja do spraw zabójstw prawdopodobnie widzi w Simonie podejrzanego numer jeden. Będzie musiał jakoś temu zaradzić, im szybciej, tym lepiej.

Inspektor bez nazwiska zszedł po schodkach i przystanął obok niego.

- Piekielna jatka - mruknął.

- Była dobrą policjantką - odpowiedział Tony własnym myśłem.

- Dorwiemy bydlaka - zapewnił inspektor z przekonaniem. -

Niech się pan o to nie martwi.

- Chcę pomóc. Inspektor uniósł brew.

- Nie ja o tym decyduję - uprzedził. - To nie seryjny zabójca, sam pan wie. Nigdy żeśmy czegoś takiego nie widzieli w naszym rewirze.

Tony z trudem przemógł frustrację.

- Inspektorze, to nie było jego pierwsze zabójstwo. To prawdziwy fachowiec. Może nie zabijał dotąd w waszym rewirze, ale zapewniam, że to nie jest robota amatora.

Śledczy nie zdążył odpowiedzieć, bo policyjny chirurg już zmierzał w ich stronę.

- No, Colin - odezwał się - zdecydowanie mamy tu nieboszczkę. Inspektor zerknął ukradkiem na Tony'ego i poprosił:

- Ten jeden raz oszczędź nam szubienicznego humoru, doktorku. Znamy czas zgonu? Z grubsza?

- Proszę zapytać patologa, inspektorze Wharton - odparł chirurg z rozdrażnieniem.

- Tak zrobię. Poda pan przybliżony czas? Chirurg ściągnął rękawiczki.

- Poniedziałek pora lunchu... niech się zastanowię... Jakoś w przedziale między siódmą wieczór w sobotę, a czwartą rano w niedzielę, zależnie od tego, czy ogrzewanie było włączone, a jeśli było, to na jak długo.

Inspektor Colin Wharton westchnął.

- Cholernie duży rozstrzał. Nie da się tego trochę zawęzić?

- A co ja jestem? Lekarz czy cholerna wróżka? - rzucił kostycznie. - A teraz wracam do przerwanej partyjki golfa, jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu. Rano doślę raport.

Tony impulsywnie położył dłoń na jego ramieniu.

- Doktorze, bylibyśmy szczerze wdzięczni za odrobinę pomocy. Wiem, że to nie leży w pańskiej gestii, ale widzę, że ma pan doświadczenie w podobnych sprawach. - Nie wiesz, co robić? Schlebiaj. - Te obrażenia... Wie pan, czy żyła jeszcze, czy raczej zostały zadane pośmiertnie?

Chirurg zasnurował pełne, czerwone usta i z namysłem wpatrzył się w zwłoki. Wyglądał jak mały chłopiec, który nadstawia usta, by mogła go cmoknąć podstarzała, niezamężna ciotka, bo liczy na to, że coś mu za to wpadnie.

- Trochę tego, trochę tego - stwierdził w końcu. - Oceniam, że oczy zostały wyłupione jeszcze za życia. Sądzę, że była zakneblowana, bo inaczej krzyczałyby tak, że zawaliłyby się ściany. Przypuszczalnie wtedy zemdląca, ze wstrząsu i bólu. Cokolwiek wlano jej do gardła, było żrące i właśnie to ją zabiło. Całkowita dezintegracja układu oddechowego, oto co powiedzą, jak ją otworzą. Założyłbym się o własną emeryturę. Wnosząc z ilości krwi, obstawiałbym, że uszy odcięto, kiedy była w agonii. Fachowa robota. Żadnych próbnych cięć, jakie zwykle widuje się przy tego rodzaju okaleczeniach. Musiał mieć piekielnie ostry nóż i dużo ikry. Jeśli chciał, żeby przypominała te trzy małpy, zabrał się do tego jak trzeba. - Pożegnał ich skinieniem. - No, to będę się zbierał. Nie przeszkadzam w pracy. Powodzenia. Złapcie go, bo to wariat pełną gębą.

Drobnym kroczkiem ruszył wzdłuż ściany budynku.

- Największy cham w całym West Riding - podsumował Colin Wharton z niesmakiem. - Najmocniej za niego przepraszam.

Tony potrząsnął głową.

- Jaki jest sens ubierać w wymyślne słówka taką brutalną przemoc? Nic nie zmieni faktu, że ktoś pokrajał Shaz Bowman na kawałki i dopilnował, żebyśmy się dowiedzieli dlaczego.

- Co? - ocknął się Wharton. - Coś przegapiłem? A wiemy? Bo ja nie mam, kurwa mać, bladego pojęcia.

- Przecież widział pan rysunek? Trzy mądre małpy. Nie widzę zła, nie słyszę zła, nie mówię zła. Zabójca zmasakrował jej oczy, uszy, usta. Nic to panu nie mówi?

Wharton wzruszył ramionami.

- Albo zabójcą jest jej chłopak, a wtedy to świr z papierami i nie ma znaczenia, jakie chore, walnięte pomysły chodzą mu po głowie. Albo to robota jakiegoś innego świrusa, któremu rośnie gula na głiniarzy, bo uważa, że wtykamy nosy w sprawy, których zdrowiej dla nas byłoby nie tykać.

- A może zabójca „miał gulę” właśnie na Shaz? - zasugerował Tony.

- Nie widzę takiej możliwości - zbył go Wharton. - Nie pracowała nad żadną aktualną sprawą, prawda? Pan i pańscy ludzie nie uczestniczycie w żadnym dochodzeniu, więc niby jak miała wejść w paradę jakiemuś miejscowemu psycholowi?

- Nie przyjmujemy wprawdzie nowych spraw, ale analizowaliśmy kilka dawniejszych, dotąd nierozwiązanych. Shaz miała teorię na temat niezidentyfikowanego seryjnego zabójcy...

- Historyjka z Jacko Vance'em? - Wharton nie zdołał ukryć drwiny. - Ale żeśmy się uśmiali.

Twarz Tony'ego stężała.

- A nie powinniście byli w ogóle jej słyszeć. Kto to rozpowiedział?

- Co to, to nie, doktorku, ja nikogo nie zakabluję. Sam pan wie, że u nas nie ma tajemnic. To był za dobry kawał, żeby go zatrzymać dla siebie. Jacko Vance, seryjny zabójca. Następna chyba będzie królowa matka! - Roześmiał się i pobłaźliwie poklepał Tony'ego po ramieniu. - Niech się pan z tym pogodzi, doktorku, może dał pan plamę, przyjmując do zespołu jej chłopaka. Mnie pan nie musi uczyć, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć śledztwo zaczyna się i kończy na kimś, kto posuwał denata. - Krzywy uśmieszek. - Bo o znalazcy zwłok nawet nie wspomnę. Tony sapnął pogardliwie.

- Zmarnujecie tylko czas, jeśli będzie chcieli to przypiąć Simonowi McNeillowi. On tego nie zrobił.

Wharton zwrócił się twarzą ku Tony'emu i zębami wyciągnął papierosa z paczki marlboro. Trzymając go w ustach, przypalił jednorazową zapalniczką.

- Byłem na pańskim wykładzie, doktorku - oznajmił. - W Manchesterze. Mówił pan, że najlepsi myśliwi to zarazem najbardziej prawdopodobna zwierzyna. Dwie strony tej samej monety, tak się pan wyraził. I chyba miał pan rację. Wygląda na to, że jeden z pańskich myśliwych właśnie został upolowany.

Jacko poirytowanym gestem odprawił asystenta i sięgnął po pilota do telewizora. Wielki ekran wypełniła twarz jego żony: pożegnała widzów i połączyła się ze studiem na popołudniowy przegląd prasy. Cisza. I dobrze, pomyślał. Im mniej precyzyjnie patolog określi moment zgonu, tym trudniej będzie skojarzyć śmierć

tej głupiej krowy z wizytą w jego domu. Wyłączył telewizor i wrócił do czytanego scenariusza. Przelotnie zastanowił się, jak to jest, kiedy prowadzi się takie życie, że można przez kilka dni leżeć trupem, a nikt niczego nie zauważy. Jemu to się nie przydarzy, pomyślał zadowolony jak nigdy. Już dawno minęły czasy, kiedy znaczył tak mało.

Nawet matka zauważyłaby, gdyby zniknął. Może i byłaby tym zachwycona, ale przynajmniej by ten fakt dostrzegła. Był ciekaw, jak zaginięcie Donny Doyle przyjmuje jej matka. W wiadomościach o niczym nie wspominali, zresztą nie przypuszczał, by narobiła więcej zamieszania niż matki innych dziewczyn.

Kazał im płacić, każdej z osobna, za swoją mękę. Wiedział, że na tej, która najbardziej zasługiwała na zemstę, nie może się wyładować; to byłoby zbyt oczywiste, wskazywałoby na niego jak drogowskaz z jego imieniem. Ale wszędzie znajdował zastępcze „Jillie”, wyglądające równie dojrzałe i smakowicie jak ona w dniu, gdy po raz pierwszy przycisnął ją do ziemi i poczuł, jak dziewictwo kapituluje przed jego siłą. Mógł sprawić, by zrozumiały, przez co przeszedł, żeby poczuły się jak on, choć ta zdradziecka suka nie miała o niczym pojęcia. Jego dziewczyny nie mogły rzucić pana ich życia i śmierci. Raz po raz spłacały długi Jillie.

Kiedyś wierzył, że przyjdzie taki dzień, gdy wszystkie zastępcze śmierci na dobre go oczyszczą, nasycą żądzą krwi. Jednak katharsis nie trwała długo. Zawsze cichcem, podstępnie, wracało pragnienie.

Z biegiem czasu z realizowania swych potrzeb uczynił dyscyplinę sztuk pięknych. Po tylu latach, po tylu śmierciach tylko jedna działająca w pojedynkę policjantka cokolwiek podejrzewała.

Jacko uśmiechnął się do siebie; był to uśmiech, którego nigdy nie oglądali jego fani. „Środki płatnicze” w przypadku Shaz Bowman musiały być inne niż zwykle. Lecz nie mniej satysfakcjonujące. Aż się zaczął zastanawiać, czy nie pora na wprowadzenie paru zmian.

Nie przystoi niewolniczo trzymać się rutyny.

Frustracja kazała Tony’emy wbiec po schodach, pokonując po dwa schodki. Nikt nie chciał go dopuścić w pobliże Simona. Colin Wharton był jak skała, powtarzał, że nie ma kompetencji, by wyrazić zgodę na współpracę Tony’ego przy dochodzeniu. Paula Bishopa nie było; pojechał na jedno z niemających końca i stanowiących idealną wymówkę oficjalnych spotkań, a naczelnik okręgu był rzekomo zbyt zajęty, by znaleźć dla Tony’ego czas.

Na oścież otworzył drzwi sali seminaryjnej. Spodziewał się zobaczyć czworo kursantów, zajętych czymś pożytecznym, ale to Carol Jordan spojrzała na niego sponad sterty dokumentów.

- Zaczynałam myśleć, że pomyliłam dni - odezwała się.

- Ach, Carol - westchnął Tony, opadając na najbliższe krzesło. - Kompletnie mi wyleciało z głowy, że tu będziesz.

- Wygląda na to, że nie tylko tobie - stwierdziła sucho i wskazała puste krzesła. - Gdzie zespół? Na wagarach?

- Nikt ci nie powiedział, prawda? - spytał Tony; na jego pobladłej twarzy oczy zabłysły gniewnie.

- Co się stało? - W piersi coś się jej ścisnęło. Co się wydarzyło, że jeszcze więcej w nim udręki?

- Pamiętasz Shaz Bowman?

Carol skinęła z niewesołym uśmiechem.

- Chodząca ambicja. Płonące niebieskie oczy, uszu i ust używa we właściwej proporcji dwa do jednego.

Tony skulił się.

- Już nie.

- Coś się jej przytrafiło? - Troska w głosie Carol nadal obejmowała raczej Tony'ego niż Shaz.

Przełknął i kurczowo zacisnął powieki. Przywołał jej obraz, po śmierci, i wypranym z emocji głosem odpowiedział:

- Przytrafił się jej psychopata. Ktoś, kto uważał, że zabawnie byłoby wylupić te płonące niebieskie oczy, odrąbać te szeroko otwarte uszy i wlać żrący płyn w te mądre usta, żeby wyglądały jak wyzuta guma. Już jej nie ma, Carol. Shaz Bowman została zamordowana.

Na twarzy Carol malowały się niedowierzanie i zgroza.

- Nie - wyszeptała wstrząśnięta. - To straszne - powiedziała w końcu.

- Była najlepsza z tej bandy. Rozpaczliwie chciała być najlepsza. A przy tym cienia arogancji. Potrafiła pracować z innymi, nie obnosząc się z tym, że jest jak koń wyścigowy w stadzie osłów. To, co jej zrobił... to chore podsumowanie tego, jaka była.

- Jak to?

- Podrzucił przy niej komputerowy wydruk. Z rysunkiem i hasłem z encyklopedii, „Trzy mądre małpy” - odpowiedział Tony.

W oczach Carol błysnęło zrozumienie, potem szybko zmarszczyła brwi.

- Chyba nie traktujesz poważnie... teorii, z którą wtedy wyskoczyła? To kompletnie bez związku, prawda?

Tony pomasaował czoło opuszkami palców.

- Ciągle do niej wracam. Bo i do czego? Jedyna autentyczna sprawa, z jaką mieliśmy do czynienia, to ten twój seryjny podpalacz, a żadne z nich nie wyciągnęło wniosków, które mogłyby komukolwiek zagrozić.

- Ale Jacko Vance? - Carol potrząsnęła głową. - Sam w to chyba nie wierzysz? Babuleńki od Land's End po John O'Groats roztkliwiają się nad nim. Połowa kobiet uważa, że jest równie seksowny jak Sean Connery.

- A ty? Co myślisz ty? - spytał Tony. W tym pytaniu nie było żadnych dwuznaczności.

Carol milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Ja bym mu nie ufała - stwierdziła w końcu. - Jest zbyt... gładki. Nic się nie przylepi. Nic nie zostawi trwałego śladu. Niby uroczy, współczujący, wyrozumiały, ale jak przychodzi do drugiego wywiadu, jest tak, jakby pierwszego w ogóle nie było. Niemniej...

- Nie pasuje ci na seryjnego zabójcę - dokończył Tony głucho. - Mnie też nie. Na świeczniku jest sporo takich osób, że gdyby im

postawić całą garść zarzutów o morderstwo, nikt by się specjalnie nie zdziwił. Ale Jacko Vance do nich nie należy.

Siedzieli w milczeniu, zwróceniu do siebie twarzami, na przeciwnych końcach sali.

- Może to nie on - powiedziała Carol po pewnym czasie. - Ktoś z jego otoczenia? Kierowca, ochroniarz, biograf. Jeden z tych, którzy zawsze się wokół niego plączą, no, wiesz?

- Asystentów najróżniejszej maści? - Właśnie.

- To nie jest odpowiedź na najważniejsze pytanie: dlaczego? - Tony zaczął krążyć po sali. - Nie wyobrażam sobie, jak coś, co mówiła w tych czterech ścianach, mogłoby dotrzeć do kręgu znajomych Jacko Vance'a. Jak zatem nasz hipotetyczny zabójca dowiedział się, że wpadła na jego trop?

Carol obróciła się na krześle.

- Chciała sławy, Tony. Nie wierzę, że zamierzała dać sobie spokój. Sądzę raczej, że postanowiła pójść za ciosem. I w taki czy inny sposób ostrzegła zabójcę.

Tony dotarł do rogu i zatrzymał się nagle.

- Czy wiesz... - Tylko tyle zdążył powiedzieć, bo drzwi otworzyły się, a w progu stanął naczelnik Dougal McCormick. Masywne ramiona wypełniły prawie całą framugę.

Potężny aberdeenczyk przypominał czarnego bezrogiego byka rasy aberdeen nagus, hodowanej w jego rodzinnych stronach: czarne kręcone włosy opadające na szerokie czoło, załzawione ciemne oczy wiecznie wypatrujące czerwonej płachty, masywne kości policzkowe

jakby rozciągające mięsisty nos ku skroniom, pełne, zawsze wilgotne wargi. Nie pasował jedynie głos: nie gardłowy ryk, grzmiący z rozłożystej piersi, ale melodyjny, subtelny tenor.

- Doktorze Hill... - Urwał i szybko domknął za sobą drzwi, nie zaszczycając ich spojrzeniem. Strzelił oczami w kierunku Carol, potem znacząco wpatrzył się w Tony'ego.

- Panie naczelniku, proszę poznać starszą inspektor policji wschodniego Yorkshire. Pomagamy jej przy dochodzeniu w sprawie serii podpałów.

- Miło mi pana poznać, sir. - Carol podniosła się. McCormick odpowiedział ledwie zauważalnym skinieniem. - Jeśli pani wybaczy, chciałbym zamienić słowo z doktorem Hillem na osobności - stwierdził zdawkowo.

Carol wiedziała, kiedy jej obecność jest niemile widziana.

- Poczekam na dole w kantynie.

- Doktora Hilla nie będzie na terenie budynku - uprzedził McCormick. - Może rozsądniej byłoby zaczekać na parkingu.

- Doskonale, sir - powiedziała tylko, ale oczy się jej rozszerzyły. - Do zobaczenia na dworze, Tony.

Jak tylko Carol zamknęła za sobą drzwi, Tony natarł na McCormicka:

- Co to ma niby znaczyć, panie McCormick?

- To, co powiedziałem. To ja jestem naczelnikiem tego okręgu i tak się składa, że prowadzę dochodzenie w sprawie o morderstwo. Funkcjonariuszka została... starta w proch, moim zadaniem jest

znaleźć winnego. W mieszkaniu Shaz Bowman nie ma śladów włamania. Czyli są szanse, że знаła swojego zabójcę. A wedle mojej obecnej wiedzy, tu w Leeds Sharon znali jedynie koledzy z kursu... i pan, doktorze Hill.

- Shaz - przerwał mu Tony. - Nie znosiła imienia Sharon. Shaz, tak się do niej zwracaliśmy.

- Shaz, Sharon, wszystko jedno. Teraz to niewielka różnica. - McCormick zbył tę obiekcję z niewyszukanym wdziękiem byka oganiającego się ogonem od natrętnej muchy. - Sęk w tym, że nikogo oprócz kolegi czy koleżanki z zespołu nie wpuściłaby do domu. Dlatego nie chcę, żebyście się kontaktowali między sobą, dopóki śledczy sekcji do spraw zabójstw nie będą mieli okazji was przesłuchać. Pański zespół zostaje zawieszony do odwołania. Pan i pańscy podwładni tracicie uprawnienia do przebywania na terenie obiektu policyjnego, otrzymujecie także zakaz komunikowania się między sobą. Przedyskutowałem to z komendantem Bishopem, jak również z Home Office, i doszliśmy do zgodnego wniosku, że to słuszna decyzja. Czy wyrażam się jasno?

Tony pokręcił głową. No, to już przesada. Shaz zginęła potworną śmiercią. A teraz McCormick szykanuje garstkę osób zdolnych wskazać jej zabójcę.

- Możliwe, że ma pan władzę nad funkcjonariuszami z mojego zespołu, choć musiałbym bardzo wysilić wyobraźnię, żeby się z tym zgodzić. Ale ja nie jestem policjantem, McCormick. Nie jestem twoim

podwładnym. Powinieneś wykorzystać nasze umiejętności, a nie robić nam wstępy. Możemy pomóc, człowieku, tak trudno ci to pojąć?

- Pomóc? - zapytał McCormick z przekąsem. - Pomóc? A coś pan planował zrobić? Obiło mi się o uszy kilka kretyńskich teoryjek, jakie sobie wymyśliliście. Moi ludzie potrzebują śladów, a nie marnych dowcipów. Jacko Vance, na litość boską. Za chwilę poprosicie, żebyśmy aresztowali Sooty'ego. Chyba że to robota Kermita?

- Jesteśmy po tej samej stronie - mitygował Tony, ale na policzkach zaczęły mu wykwiatać szkarłatne plamy.

- Może i tak, ale z takiego pomagierstwa jest czasem więcej szkody niż pożytku. Macie się stąd natychmiast zabrać. Nie życzę sobie, żebyście zawracali głowę moim ludziom. Ponownie stawi się pan na tym posterunku jutro o godzinie dziesiątej, żeby moi funkcjonariusze mogli pana oficjalnie przesłuchać w związku ze śmiercią Shaz Bowman. Czy jasno się wyraziłem, doktorze Hill?

- Niech pan posłucha, ja naprawdę mogę panu pomóc. Rozumiem zabójców. Wiem, dlaczego robią to, co robią.

- Nietrudno się w tym połapać. Są nienormalni i tyle.

- Owszem, ale każdy jest „nienormalny” na swój niepowtarzalny sposób - przekonywał Tony. - Chociażby ten. Założę się, że nie napastował jej seksualnie, zgadza się?

McCormick ściągnął brwi.

- Jak się pan o tym dowiedział?

Tony przegarnął włosy i odpowiedział z żarem:

- Nie dowiedziałem się, nie w tym sensie, że ktoś się przy mnie wygadał. Wiem to, ponieważ potrafię z miejsca przestępstwa wyczytać rzeczy, których nie widzą pańscy ludzie. To nie był mord na tle seksualnym, panie naczelniku, to przemyślana wiadomość dla nas: zabójca jest przekonany, że ma nad nami przewagę i że nigdy go nie złapiemy. Ale ja mogę pomóc panu go złapać.

- Odnoszę wrażenie, że bardziej pana interesuje upieczenie własnej pieczeni - warknął McCormick i potrząsnął głową. - Podłapał pan jakąś informację na miejscu zbrodni i osnuł wokół niej finezyjną teorię. To za mało, żeby mnie pan przekonał. Nie mam czasu, żeby czekać, aż wpadnie panu w ucho następna plotka. Jeśli chodzi o mój posterunek, przeszedł pan do historii. A pańscy szefowie z Home Office się ze mną zgadzają.

Zaślepiiony furją Tony zapomniał o pochlebstwach i pojednawczym tonie.

- Popelnia pan piekielny błąd, McCormick - rzucił głosem ochryłym z gniewu.

Potężny śledczy parsknął śmiechem.

- Podejmę to ryzyko, synu. - Kciukiem wskazał drzwi. - Zmykaj, i to już.

Tony zdał sobie sprawę, że tej batalii już nie wygra, i mocno przygryzł policzek. Upokorzenie miało metaliczny posmak świeżej krwi. Z lekceważącą miną podszedł do swojej szafki i wyciągnął walizkę, po czym spakował do niej akta spraw i prace kursantów. Trzasnął drzwiczkami, okręcił się na pięcie i wyszedł. Gdy

maszerował przez posterunek, funkcjonariusze milkli na jego widok. Dziękował Bogu, że Carol nie stała się świadkiem jego upokorzenia.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi frontowe, usłyszał, jak obcy głos woła za nim:

- I krzyżyk, psiakrew, na drogę!

17

W rzadkim przebłysku jasności umysłu w oceanie bólu Donna Doyle dumiała nad swoim krótkim życiem i głupią ufnością, która przywiodła ją w to miejsce. Żal rozrastał się w niej jak nowotwór, pożerając wszystko na swojej drodze. Jeden błąd, jedna próba dotarcia na drugi koniec tęczy po garnek złota, jeden akt wiary, nie bardziej irracjonalny niż ten, o którym każdej niedzieli mówił ksiądz, i oto co ją spotyka. Dawno, dawno temu powiedziałaaby, że zrobi wszystko, byle stać się gwiazdą. Teraz wiedziała, że to nieprawda.

Co za niesprawiedliwość. Przecież to nie tak, że chciała być sławna, bo myślała tylko o sobie. Ze sławą pojawiłyby się pieniądze, mama nie musiałaby oszczędzać i martwić się o każdego pensa, tak jak to było od śmierci taty. Donna chciała zrobić jej niespodziankę, cudowną, przekorną, podniecającą niespodziankę. Ale niespodzianki nie będzie. Nawet jeśli się stąd wydostanie, nie będzie już gwiazdą, nigdy, przenigdy. Może będzie miała swoje piętnaście minut, jak w tej piosence, ale nie jako jednoręka gwiazda ekranu, tak jak Jacko Vance. Nawet gdyby ją znaleźli, jest skończona.

Bo jeszcze mogą znaleźć, powtórzyła sobie. Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślała buntowniczo. Przecież musieli zacząć

jej szukać, gdzie tam, już jej szukają, to pewne. Mama poszła na policję, dała jej zdjęcie do gazet, może nawet pokażą je w telewizji. Ludzie w całym kraju zobaczą ją i zaczną szperać w pamięci. Ktoś na pewno sobie przypomni. W pociągach było mnóstwo osób. Pół tuzina innych pasażerów wysiadło razem z nią na Five Walls Halt. Ktoś *musiał* ją zauważyć. Wiedziała, że wystrojona jak lalka, w najlepszych ciuchach, wygląda apetycznie. Policja będzie zadawać mnóstwo pytań, dowie się, do czyjego land rovera wsiadła. Prawda...?

Jęknęła. W głębi serca wiedziała, że nie wyjdzie stąd żywa. Samotna w swoim grobowcu, Donna Doyle zaszlochała nad sobą.

18

Tony siedział w fotelu, zgarbiony i pochylony do przodu, i wpatrywał się w migotliwe płomienie gazowego kominka. Nadal piastował w rękach szklanek theakstona, którą podała mu Carol, jak tylko dotarli do niej do domu. Nie przyjęła jego odmowy do wiadomości. Przeżył szok, potrzebował kogoś, z kim mógłby przedyskutować sprawę, ona zaś chciała usłyszeć jego spostrzeżenia na temat sprawy seryjnego podpalacza. A ponieważ Carol musiała nakarmić kota, podczas gdy na Tony'ego nikt nie czekał, logika przemawiała za półgodzinną wyprawą ku obrzeżom Seaford.

Od przyjazdu może raz odezwał się słowem. Siedział z oczami utkwionymi w ogniu, a w jego umyśle trwała projekcja filmu o śmierci Shaz Bowman. Carol zostawiła go samego; skorzystała z okazji, by wrzucić do garnka wyjęte z zamrażalnika piersi kurczaka, parę poszatkowanych cebul i słoik gotowego sosu cydrowo-

jabłkowego. Całość włożyła do piekarnika z paroma kartoflami i ustawiła na niską temperaturę, sama tymczasem poszła posłać w sypialni gościnnej. Wiedziała, że gość ledwie się trzyma na nogach.

Przyrządziła sobie duży dzin z tonikiem, dorzuciła kilka kawałków mrożonej cytryny i wróciła do salonu. Bez słowa usiadła, podwijając pod siebie nogi, w fotelu naprzeciwko Tony'ego. Pomiedzy nimi, podobny do długiego czarnego dywanika, wyciągnął się Nelson.

Tony spojrział na Carol i zdobył się na blady uśmiech.

- Dzięki za ciszę i spokój - odezwał się. - Bardzo tu u ciebie przytulnie.

- To jeden z powodów, dla których kupiłam ten dom. No i ze względu na widok. Cieszę się, że ci się podoba.

- Ja... bezustannie to sobie wyobrażam - wyznał nagle. - Krok po kroku. Jak ją wiązał, kneblował. Torturował z pełną świadomością, że to jej ostatnie chwile, nie wiedząc, ile ona o nim wie.

- Cokolwiek wiedziała. Skinął głową.

- Cokolwiek wiedziała.

- Pewnie od razu wraca tamten koszmar? - spytała Carol łagodnie. Westchnął przeciągle.

- To nieuniknione - odparł przez ściśnięte gardło.

Podniósł na nią błyszczące oczy osłonięte daszkiem ściągniętych brwi. Gdy ponownie się odezwał, dziwnie ożywiony ton dowodził, że Tony chce uciec przed bolesnymi wspomnieniami.

- Carol, jesteś śledczą. Słyszałaś prezentację Shaz, byłaś jedną z osób, które ją oceniały. Wyobraź sobie, że to ciebie krytykowaliśmy. Wyobraź sobie, że dopiero zaczynasz, że jeszcze tak wiele musisz udowodnić. Ale nie zastanawiaj się. Jak byś zareagowała? Co byś zrobiła?

- Chciałabym udowodnić, że to wy się mylicie, a ja mam rację.

- Tak, tak - przyznał Tony niecierpliwie. - To pewne. Ale co byś *zrobiła*? Jak byś się za to zabrała?

Carol z namysłem sęczyła drinka.

- Wiem, jak bym to załatwiła teraz. Skrzyknęłabym mały zespół, jednego sierżanta i paru posterunkowych, i błyskawicznie przewałkowałam każdą ze spraw. Zaczęłabym od samego początku i porozmawiała z przyjaciółmi, rodzinami. Sprawdziła, czy te zaginione dziewczyny były fankami Jacko Vance'a, czy były na którejś z jego imprez. Jeśli tak, to z kim. Co zauważyły osoby towarzyszące.

- Shaz nie dysponowała ani czasem, ani ludźmi. Przypomnij sobie, jak się czułaś, kiedy byłaś młoda i spragniona pochwał - ponaglił Tony.

- Co bym wtedy zrobiła... Nie mając obecnych możliwości, musiałabym liczyć na własne siły.

Tony skinął zachęcająco.

- To znaczy?

- Wyszczekanie i kilometry w nogach. Wiesz, że masz rację, i to jest najważniejsze. Ze prawda czeka tylko, aż znajdziesz

wystarczająco mocne dowody. Ja? Potrząsnęłabym drzewem i zobaczyła, co spadnie.

- Czyli?

- Podsunęłabym temat zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi. Ale Shaz chyba nie miała tego rodzaju znajomości, a może wolała działać sama. Na jej miejscu najprawdopodobniej, o ile starczyłoby mi tupetu, umówiłabym się z nim na spotkanie.

Tony wcisnął się plecami w fotel i pociągnął łyk piwa.

- Cieszę się, że to powiedziałaś. Zawsze niechętnie wychodzę z podobnymi wnioskami, żeby nie zrobić z siebie pośmiewiska i nie wysłuchiwać wykładów, że żaden szanujący się gliniarz nie zrobiłby czegoś równie niebezpiecznego dla zdrowia i kariery.

- Sądzisz, że skontaktowała się z Jacko Vance'em? Skinął głową.

- I sądzisz, że powiedziała mu coś takiego...

- Albo komuś z jego otoczenia - przerwał jej Tony. - To niekoniecznie Vance. Może jego menedżer albo ochroniarz, albo wręcz jego żona. Ale owszem, uważam, że powiedziała za dużo i zabójca się przestraszył.

- Ktokolwiek to jest, nie traci czasu.

- Owszem, tupetu też mu nie brakuje. Zamordował Shaz w jej własnym salonie. Nie bał się wołania, krzyków, hałasu przewracanych mebli, choć wokół pełno sąsiadów.

Carol sączyła dzin z tonikiem; cytryna się rozmroziła i napój stał się bardziej kwaskowaty.

- Najpierw musiał ją tam zawlec. Tony spojrzał na nią pytająco.

- Nie rozumiem?

- Nie umówiłaby się we własnym domu na spotkanie z człowiekiem, którego podejrzewała o serię zabójstw. Mimo całej młodszej pychy. To byłoby jak zapraszanie lisa do kurnika. A gdyby nawet pojawił się u niej po spotkaniu, bałaby się go wpuścić. Nie, Tony, do domu wróciła już jako więzień.

- Masz rację, oczywiście. Dziękuję ci. - Poparł te słowa milczącym toastem. Wiedział już, od czego zacząć. Dopił piwo i spytał: - Jakież szanse na jeszcze jedno? Potem chyba powinniśmy się zająć twoim problemem.

Carol wstała i przeciągnęła się jak Nelson.

- Na pewno nie chcesz jeszcze pomówić o Shaz? - Mina Tony'ego wystarczyła jej za odpowiedź.

Gdy wróciła z piwem i ponownie ułożyła się w fotelu, oderwał zamyślane spojrzenie od kominka i wyjął z walizki parę czystych kartek.

- Pod koniec tygodnia poprosiłem ich, żeby pomyśleli nad profilem twojego podpalacza. Dostali dzień na indywidualną pracę, potem, w piątek, wspólnie stworzyli ostateczną wersję. Zrobiłem dla ciebie odbitkę, później ci pokażę.

- Fantastycznie. Nie chciałam nic mówić, ale ja też coś niecoś spisałam. Będzie ciekawie porównać wnioski.

Zabrzmiało to lekko, lecz i tak wiedział, jak bardzo Carol zależy na jego pochwałach. Tym trudniej będzie powiedzieć to, co musi zostać powiedziane. Czasami autentycznie żałował, że nie pali.

Potarł czoło.

- Carol, musisz wiedzieć, że podejrzewam, że traciliśmy tylko czas.

Nieświadomie zacisnęła zęby.

- Niby jak to?

- A tak, że moim zdaniem te pożary nie zaliczają się do żadnej znanej kategorii.

- Mam rozumieć, że to nie podpalenia?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Carol drgnęła, ochlapując się drinkiem.

- Spodziewasz się gości? - spytał Tony i wyjrzał przez okno, ale nie wypatrzył niczego w ciemnościach.

- Nie - odparła, zrywając się na nogi.

Podeszła do ciężkich drewnianych drzwi prowadzących na kamienny ganek. Gdy otworzyła zasuwę, do środka wdarł się zimny powiew, a w powietrzu rozszedł się nikły zapach rzeczno-mułny. Carol wydawała się szczerze zaskoczona. Za nią majaczył zarys masywnej męskiej sylwetki.

- Jim! - wykrzyknęła. - Nie spodziewałam się ciebie.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić dziś po południu, ale sierżant Taylor nic tylko kręcił i kręcił. Więc pomyślałem, że równie dobrze mogę sam się tu kropnąć, a nuż cię zastanę. - Carol wycofała

się do środka, Pendlebury podążył za nią. - O, przepraszam... Masz towarzystwo.

- Nie, nie, nie mogłeś wybrać lepszej chwili - zapewniła, gestem zapraszając go do salonu. - Poznaj doktora Hilla z Home Office. Właśnie rozmawialiśmy o tych podpaleniach. Tony, to Jim Pendlebury, szef straży pożarnej w Seaford.

Tony poddał swoją rękę miazdzącemu uściskowi.

- Miło mi - powiedział uprzejmie, nie podejmując wyzwania.

- Tony stoi na czele nowej ogólnokrajowej jednostki profilerskiej z Leeds - uzupełniła prezentację Carol.

- Ciężka robota. - Pendlebury wcisnął ręce do głębokich kieszeni zbyt obszernego, wedle nakazów mody, płaszcza. Kiedy je wyjął, w każdej trzymał butelkę australijskiego shiraza. - Prezent na nowy dom. No, w gardle nikomu chyba nie zaschnie, więc możemy pogadać o naszym piromanie.

Carol przyniosła kieliszki i korkociąg, po czym naląła wina dla siebie i dla Pendlebury'ego, bo Tony kiwnął szklanką na znak, że woli się trzymać piwa.

- No, Tony, co też dla nas mają twoi mali naukowcy? - zagadnął Pendlebury, prostując długie nogi i zmuszając Nelsona do przesunięcia się. Kot rzucił mu nienawistne spojrzenie i zwinął się w kulkę przy fotelu Carol.

- Nic, na co Carol sama by nie wpadła, jak przypuszczam. Problem w tym, że podejrzewam, że ich praca nijak się nie przyda.

Śmiech Pendlebury'ego był przesadnie hałaśliwy.

- Czyżbym miał omamy słuchowe? - zarżał. - Profiler przyznaje, że to wszystko gównem warte? Carol, nagrywasz to?

Tony zastanowił się przelotnie, ile jeszcze razy będzie zmuszony przysłuchiwać się z uśmiechem, jak ktoś kwestionuje dorobek jego życia, i postanowił upuścić z Pendlebury'ego trochę powietrza.

- Czy próbowałbyś śrubokrętem przykręcić do ziemi sztachtę pod parkan?

Pendlebury przekrzywił głowę.

- Chcesz powiedzieć, że profilowanie to nieodpowiednie narzędzie do tej roboty?

- Dokładnie to mówię. Profilowanie sprawdza się w pewnych przypadkach, gdzie motywacja sprawcy jest w pewnym stopniu psychopatyczna.

- Znaczy się? - spytał Pendlebury, przyciągnął do siebie nogi i pochylił się pod przodu, skupiony, ale ze sceptyczną miną.

- Chcesz trzydziestosekundową wersję czy cały wykład?

- Lepiej wal wersję dla idiotów, prosty strażak jestem.

Tony przegarnął włosy odruchowym gestem, który upodobał go do szalonego naukowca z kreskówek.

- W porządku. Większość przestępstw w tym kraju popełniana jest albo z chęci zysku, albo w afekcie, albo pod wpływem alkoholu bądź narkotyków. Albo wszystko naraz. Zbrodnia jest środkiem do celu: zdobycia gotówki czy prochów, wywarcia zemsty, położenia końca nieakceptowanemu zachowaniu.

Garstka przestępstw ma dziwniejsze podłoże. Mają swój początek w wewnętrznym psychologicznym przymusie odczuwanym przez przestępcę. Coś popycha go - to z reguły mężczyzna - do popełniania czynów, które są celem samym w sobie. Akt przestępczy może być tak błahy jak podkradanie damskiej bielizny wywieszanej do wyschnięcia. Może też być poważny jak seria zabójstw. Seryjne wszczynanie pożarów pasuje się w tej kategorii.

Gdyby w grę wchodził seryjny podpalacz, pierwszy bronilibym wartości portretu psychologicznego. Ale jak wspomniałem Carol na chwilę przed twoim przyjściem, nie sądzę, żebyście mieli w Seaford klasycznego piromana. Nie jest to także ktoś, kto działa na zlecenie. To zwierz zupełnie innej maści. Coś w rodzaju hybrydy.

Pendlebury nie był przekonany.

- Raczysz to wyjaśnić?

- Z największą chęcią - odparł Tony i oparł się wygodnie, piastując szklanek w stulonych dłoniach. - Jedyne, co łączy te przypadki, to fakt, że ogień podłożono nocą i, nie licząc ostatniego, na opustoszałych posesjach. Zatem nie mamy powodów, żeby zakładać, że to podpalacz do wynajęcia. Zgodzicie się ze mną?

Carol sięgnęła po kieliszek i ponownie go napełniła.

- Ja się z tobą nie spieram.

- A jeśli wynajmowano go z rozmaitych pobudek? Czasem dla korzyści, czasem dla zemsty? - upierał się Pendlebury.

- W dalszym ciągu zbyt wiele kwestii pozostaje nierozstrzygniętych - stwierdziła Carol. - Moja ekipa praktycznie od

razu wykluczyła płatnego podpalacza. Tony, czemu nie jakiś emocjonalny kaleka szukający podniety?

- Mogę się mylić - zastrzegł się.

- O, taak. Twój życiorys usiany jest pomyłkami - mruknęła ironicznie Carol.

- Dziękuję ci. Oto dlaczego nie sędzę, że to jakiś świr. Wszystkie pożary były perfekcyjnie zaplanowane. W większości przypadków praktycznie nie ma śladów kryminalistycznych, tylko z grubsza ognisko pożaru, pozostałości po paliwie do zapalniczek i lontach. Zwykle nie ma też śladów włamania. Gdyby nie taki wysyp incydentów, przypuszczalnie większość zostałaby uznana za przypadkowe lub wynikłe z bezmyślności. Więc okoliczności przemawiałyby za płatnym podpalaczem, tyle że jego akurat wykluczyliśmy już wcześniej.

Sięgnął po notatki.

- Zatem mamy kogoś, kto jest opanowany i zorganizowany, a piromani tacy nie bywają. Przynosi ze sobą materiały, ale również korzysta z tych dostępnych na miejscu. Wie, co robi, mimo to nie ma żadnych oznak, które świadczyłyby, że doszedł do dużych pożarów od czegoś na mniejszą skalę, powiedzmy, od podpalania stert śmieci, altan ogrodowych czy placów budowy.

Następnie trzeba uwzględnić to, że większość piromanów kieruje się seksualnymi pobudkami. Często na miejscu przestępstwa onanizują się, oddają mocz albo defekują. I znowu nic na to nie wskazuje, nie znaleziono śladów ani materiałów pornograficznych.

Jeżeli nie tam, to najpewniej byłyby gdzieś w pobliżu, w miejscu, z którego sprawca mógłby oglądać pożar. Ale nie ma doniesień od zbulwersowanych obywateli o kimkolwiek obnażającym się w okolicy. Czyli kolejny argument przeciwko tej tezie.

- A częstotliwość? - przerwała Carol. - Drastycznie się zwiększyła. Czy to nie typowe dla seryjnych sprawców?

- Taa, w każdej książce można o tym przeczytać - dorzucił Pendlebury.

- W odniesieniu do piromanów to nie reguła - wyjaśnił Tony. - Zwłaszcza tych, którzy wolą coś na dużą skalę. Interwały czasowe są nie do przewidzenia. Potrafią tygodniami, miesiącami czy wręcz latami obywać się bez wielkiego pożaru. Jednak w obrębie serii zdarzają się okresy nasilonej działalności, zatem tak, częstotliwość tych pożarów mogłaby przemawiać za koncepcją, że mamy do czynienia z seryjnym sprawcą. Tyle że ja wcale nie próbuję przekonywać, że to robota kilku osób. Uważam, że to ten sam człowiek. Po prostu nie wierzę, że jest poszukiwaczem mocnych wrażeń.

- Więc jak to rozumieć? - sondowała Carol.

- Ktokolwiek stoi za tymi pożarami, nie jest to psychopata. Sądzę, że ma klasyczną motywację, żeby zrobić to, co robi.

- Niby jaką? - spytał Pendlebury podejrzliwie.

- Tego jeszcze nie wiemy. Pendlebury parsknął.

- Detal.

- Prawdę mówiąc, w pewnym sensie to jest detal - przyznała Carol. - Skoro już ustaliliśmy, że to nie psychol kierujący się unikalnym, niepowtarzalnym sposobem myślenia, powinno się dać na logikę odkryć jego pobudki. A jak się z tym uporamy... no, reszta będzie już tylko kwestią solidnej gliniarskiej roboty.

Wyraz niezadowolenia i irytacji zasnuł twarz Pendlebury'ego niczym zimny front atmosferyczny mapę pogody.

- Ja tam nie wyobrażam sobie innego powodu, żeby ktoś podkładał ogień, chyba że go to rajcuje.

- Och, czy ja wiem - odparł uprzejmie Tony, którego sytuacja zaczynała bawić.

- Podziel się z nami, Sherlocku - zażartowała Carol.

- Może to firma ochroniarska, która pojawia się po pożarach, żeby zaproponować wynajęcie stróża nocnego po preferencyjnych stawkach. Może firma produkująca alarmy pożarowe albo systemy tryskaczy, która ostatnimi czasy cienko przedzie. Albo... - urwał i posłał szefowi straży pożarnej pełne namysłu spojrzenie.

- No, co?

- Jim, zatrudniasz ludzi na pół etatu?

Pendlebury miał przerażoną minę. Potem dojrzał lekki uśmiech, unoszący kącik ust Tony'ego, i mylnie go odczytał. Odpreżył się i wyszczerzył zęby.

- Podpuszczasz mnie - zarechotał, grożąc Tony'emu palcem.

- Skoro tak mówisz - przytaknął Tony. - A zatrudniasz? Gwoli ciekawości?

W oczach szefa straży malowały się niepewność i podejrzliwość.

- Zatrudniamy, owszem.

- Może jutro podałybyś mi ich nazwiska? - spytała Carol. Pendlebury wysunął głowę do przodu, wpatrzony z uwagą w nieprzeniknioną twarz Carol. Wydawało się, że jego szerokie ramiona pęcznieją. Bezwiednie zacisnął pięści.

- Mój Boże - zdumiał się. - Ty mówisz serio, tak, Carol?

- Nie możemy sobie pozwolić na zlekceważenie jakiegokolwiek możliwości - odpowiedziała spokojnie. - To nic osobistego, Jim. Niemniej Tony wskazał uprawniony kierunek dochodzenia. Zaniegabałabym swoje obowiązki, gdybym nie poszła tym tropem.

- Ty zaniegabałaś obowiązki? - Pendlebury wstał. - Gdyby obowiązki zaniegabali moi ludzie, w tym mieście nie ocalałby ani jeden budynek. Narażają życie za każdym razem, kiedy ten wariat idzie się wieczorem zabawić. A ty siedzisz tutaj i sugerujesz, że może to jeden z nich?

Carol także wstała i zwróciła twarz ku Pendlebury'emu.

- Czułabym się tak samo, gdyby chodziło o szurniętego gliniarza. Nikt nikogo nie oskarża na tym etapie. Wcześniej pracowałam już z Tonym i postawiłabym na szali całą swoją karierę, że nigdy nie wyrywa się ze złośliwymi czy nieprzemyślanymi teoriami. Może usiądziesz, napijesz się wina...? - Oparła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się. - No, przestań, nie ma powodu, żebyśmy się poprzytkali.

W końcu Pendlebury ochłonął. Ze znużeniem opadł na fotel, pozwolił, by Carol dolała mu wina, zdobył się nawet na półuśmiech pod adresem Tony'ego.

- Zawsze będę stał murem za moimi chłopakami - mruknął. Tony, pod wrażeniem tego, jak sprawnie Carol opanowała potencjalnie wybuchową sytuację, wzruszył ramionami.

- Mają szczęście, że jesteś ich szefem - powiedział tylko. Udało im się przenieść rozmowę na bardziej neutralny grunt: aklimatyzację Carol we wschodnim Yorkshire. Szef straży gładko wszedł w rolę najprawdziwszego tubylca, uszczęśliwiając ich serią dykteryjek. Dla Tony'ego była to błoga ucieczka od myśli o ostatnich godzinach Shaz Bowman.

Kiedy nad ranem w zupełnej ciszy leżał w pokoju gościnnym Carol, zabrakło czegoś, co zajęłoby jego myśli i trzymało w cuglach wyobraźnię. Odsuwając od siebie obraz koszmarnie zniekształconej i okaleczonej twarzy, poprzysiągł Shaz Bowman, że postawi przed sądem tego, kto jej to zrobił. Za każdą cenę.

Jacko Vance siedział za zamkniętymi na klucz drzwiami dźwiękoszczelnej i elektronicznie ekranowanej sali projekcyjnej na górnym piętrze domu. Obsesyjnie, raz po raz, oglądał kasetę z nagranyimi fragmentami wieczornych wiadomości z różnych kanałów telewizyjnych. Łączyło je to, że dotyczyły śmierci Shaz Bowman. Jej niebieskie oczy znowu spopielaly go z ekranu; podniecający kontrast z obrazem, jaki zachował w pamięci z ich ostatniego spotkania.

Bo w obecnym stanie już jej nie pokażą. Nawet późnym wieczorem. Nawet z oznaczeniem „tylko dla dorosłych”.

Był ciekaw, jak się czuje Donna. W telewizji o niej nie wspominali. Każda z nich była pewna, że jest materiałem na gwiazdę, ale w nikim oprócz niego nie wzbudzały nawet przelotnego zainteresowania. Dla niego były ideałami, ucieleśnieniem marzeń o kobiecie doskonałej. Uwielbiał ich uległość, ochoczość, z jaką wierzyły w każde jego słowo. I ten idealny moment, gdy zaczynały rozumieć, że nie chodzi o seks i sławę, lecz o ból i śmierć. I wyraz, jaki wtedy pojawiał się w ich oczach.

Patrzył, jak uwielbienie zmienia się w przestach, a twarze zatracają niepowtarzalność rysów. Przystawały jedynie przypominać mu Jillie - stawały się nią. Nareszcie mógł ją ukarać.

Zarazem czynił zadość wielkiej niesprawiedliwości. Prawie wszystkie jego dziewczyny mówiły o swoich rodzinach z czułością. Może uczucie to skrywało się za zasłoną młodzieńczej frustracji i krytycyzmu, ale było ewidentne, że matki, ojcowie i rodzeństwo kochali je, choć gotowość tych małych dziwek do spełniania wszystkich jego zachcianek udowadniała, że na tę miłość nie zasługiwały. A on?

Targnął nim gniew, ale samokontrola włączyła się jak termostat i przygasiała płomienie. To nie czas ani miejsce na taki wydatek energii, upomniał się w duchu. Dla gniewu można znaleźć szereg pożytecznych ujęć; snucie bezsensownych rozważań o tym, czego mu odmówiono w dzieciństwie, do nich nie należało.

Zrobił serię głębokich wdechów i okiełznał emocje. Satysfakcja. Oto co powinien odczuwać. Satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, z tego, że zneutralizował zagrożenie.

Mały Jacek w kątku siedział z plackiem i puddingu miską; miast jeść łyżką, kciukiem sięgnął po śliwkę soczystą. Dumnym wzrokiem wkoło toczy: „Bardzo jestem dziś uroczy!”

Vance zaśmiał się cicho. On też sięgnął kciukami po soczyste śliwki: wyłupił je z oczodołów Shaz Bowman, całym sobą słyszał jej bezgłośny, rozedrgany krzyk. Poszło łatwiej, niż się podziewał. Potrzeba było zaskakująco niewielkiej siły, by wyskoczyły ze swoich orbit.

Szkoda tylko, że nie mogły na niego patrzeć, kiedy do ust wlewał jej kwas albo odcinał uszy. Nie przewidywał, by powtórka okazała się konieczna, gdyby tak się jednak stało, będzie musiał dobrze sobie przemyśleć przebieg ceremonii.

Westchnął z zadowoleniem i przewinał kasetę do początku.

Gdyby Micky maniakalnie nie przestrzegała swojego porannego rytuału, możliwe, że dowiedziałyby się o śmierci Shaz z radia albo z telewizji satelitarnej. Zarzekała się jednak, że wiadomości nie interesują ją do chwili, w której zamykają się za nią drzwi gabinetu w studiu nagrań, tak więc śniadanie zjadły przy Mozarcie, do pracy jechały przy Wagnerze. Nikt ze współpracowników Micky nie był na tyle głupi, żeby w drodze z parkingu do gabinetu podetknąć jej pod

nos jakiegoś brukowca. A już na pewno nie tak głupi, by zrobić to po raz drugi.

Wstawały i kładły się wcześniej, jeszcze przed ostatnimi wiadomościami, które zaalarmowały Jacko, toteż Betsy doznała prawdziwego szoku, rozpoznając Shaz na zdjęciu w gazecie.

- Mój Boże... - szepnęła Betsy ze zgrozą i szybko obeszła biurko Micky, żeby przestudiować artykuł pod zdjęciem.

- Co się stało? - spytała Micky, nie przerywając procedury ostrożnego zdejmowania żakietu, układania go na wieszaku i krytycznych oględzin, czy aby nie wymaga podprasowania.

- Patrz, Micky. - Betsy podsunęła jej „The Daily Mail”. - Czy to nie ta policjantka, która była u nas w sobotę? Tuż przed naszym wyjściem?

Micky zauważyła grubą, czarną czcionkę nagłówka, zanim jeszcze spojrzała na fotografię. Nagłówek brzmiał: „Ofiara rzezi”. Zatrzymała spojrzenie na uśmiechniętej twarzy Shaz Bowman w charakterystycznej czapce z daszkiem, znaku rozpoznawczym funkcjonariuszy policji metropolitalnej.

- Chyba że miała bliźniaczkę - mruknęła pod nosem. Opadła ciężko na fotel dla gości i przejrzała melodramatyczny komentarz. W oczy rzucały się sformułowania w stylu „koszmar”, „makabra”, „morze krwi”, „agonia” i „potworność”. Zrobiło jej się dziwnie słabo.

Odkąd Micky podjęła pracę w telewizji, choć nieraz mówiła o strefach działań wojennych, masakrach i prywatnych tragediach, nieszczęścia, jakie relacjonowała, nigdy nie dotyczyły nikogo, z kim

by się osobiście zetknęła. Nawet przy tak powierzchownej znajomości jak z Shaz Bowman wiadomość była tym bardziej wstrząsająca, że zupełnie bezprecedensowa.

- Jeezu... - jęknęła przeciągle. Podniosła wzrok na Betsy, wstrząśnięta. - Była u nas w sobotę rano. Podają, że najprawdopodobniej została zamordowana w sobotę późnym wieczorem albo w niedzielę rano. Rozmawialiśmy z nią, a kilka godzin później już nie żyła. Co my teraz zrobimy, Bets?

Betsy przykucnęła przy Micky, położyła dłonie na jej udach i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Absolutnie nic - oznajmiła. - To nie nasza rola. Przyszła do Jacko, nie do nas. To nas nie dotyczy.

Micky była oburzona.

- Tak nie można - protestowała. - Zginęła niedługo po tym, jak od nas wyszła. Policja musi wiedzieć, że w sobotę rano żyła jeszcze, była cała i zdrowa. Nie możemy się zachowywać, jak gdyby nigdy nic.

- Kochanie, oddychaj głęboko i zastanów się, co ty pleciesz. To nie jest jakaś anonimowa ofiara morderstwa. To zamordowana policjantka. Co oznacza, że jej koledzy nie zadowolą się jednostronicowym oświadczeniem, że wpadła do nas z wizytą, kiedy wybierałyśmy się na miasto. Zaczną interesować się naszym życiem, aż dowiedzą się wszystkiego. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli wezmą nas pod lupę, nasz świat się zawali. Mówię ci, zostaw to

Jacko. Zadzwońię do niego i powiem, żeby zeznał, że wyszliśmy przed jej wizytą. Tak będzie najprościej.

Micky gwałtownie odepchnęła się razem z fotelem, pociągając za sobą dywan, tak iż Betsy omal nie upadła. Micky zerwała się i zaczęła nerwowo krążyć po gabinecie.

- A jeśli zaczną wypytywać sąsiadów i znajdzie się jakaś wścibska starucha, która sobie przypomni, że najpierw przyszła posterunkowa Bowman, a dopiero później my się gdzieś wybrałyśmy? Tak czy inaczej, to ja z nią rozmawiałam. Ja ją umówiłam. A jeśli to sobie gdzieś zapisała? Może nawet nagrała całą rozmowę, na litość boską? Nie mogę uwierzyć, że twoim zdaniem powinniśmy po prostu siedzieć cicho.

Betsy podniosła się z podłogi. Głowę miała zwieszoną, zęby zaciśnięte w grymasie uporu.

- Gdybyś przestała melodramatyzować, przyznałabyś, że mówię do rzeczy - rzuciła niskim, rozgniewanym głosem. Zbyt długo dyrygowała Micky, żeby dać się zdetronizować w najważniejszym momencie. - Nic dobrego z tego nie wyniknie - dodała złowróźnie.

Micky doskoczyła do biurka i chwyciła za słuchawkę.

- Dzwonię do Jacko - wyjaśniła, zerkając na zegarek. - Najpewniej jeszcze się wyleguje w łóżku. Lepiej, żeby dowiedział się ode mnie niż z brukowców.

- I dobrze. Może on przemówi ci do rozumu - odparła Betsy kostycznym tonem.

- Nie dzwonię prosić o pozwolenie, Betsy. Dzwonię uprzedzić, że zaraz zatelefonuję na policję. - Wystukując prywatny numer męża, Micky patrzyła ze smutkiem na ukochaną. - Boże, nie wierzę, że aż tak się boisz, że nie chcesz postąpić, jak należy.

- To się nazywa miłość - odpowiedziała Betsy gorzko i odwróciła się, żeby ukryć łzy gniewu i upokorzenia.

- Nie, Betsy. To się nazywa strach. Halo, Jacko? To ja. Słuchaj. Mam dla ciebie straszne wieści...

Betsy kątem oka obserwowała wyrazistą twarz Micky, okoloną jedwabistymi jasnymi włosami. Ten widok od lat był jej droższy niż wszystkie skarby świata. W tej chwili jednak nie odczuwała nic oprócz irracjonalnej, niepojętej pewności, że nadciąga katastrofa.

Jacko opadł na poduszki i porządkował sobie to, co przed chwilą usłyszał. Wcześniej wahał się, czy dzwonić na policję. Z jednej strony, przemawiałoby to za jego niewinnością. O ile się nie mylił, nikt poza domownikami nie wiedział, że posterunkowa Bowman miała z nim jakąkolwiek styczność. Z drugiej, zakrawałoby na pewną nadgorliwość, gdyby dobrowolnie wplątał się w sprawę głośnego zabójstwa. A każdy, komu wpadła w ręce choć jedna książka o seryjnych zabójcach, wiedział, że sprawca często stara się w jakiś sposób uczestniczyć w dochodzeniu.

Zdanie się na inicjatywę Micky wydawało się bezpieczniejszym rozwiązaniem. Dowodziło jego niewinności niejako z drugiej ręki, za pośrednictwem oddanej żony, osoby prawej i szanowanej, a więc i

godnej zaufania. Od początku zakładał, że małżonka poleci na policję, jak tylko zobaczy zdjęcie Shaz. Przewidział też, że nastąpi to, zanim on zdąży wstać, więc nikt nie będzie pytać, dlaczego sam nie zadzwonił na policję. Dlatego, rzecz jasna, panie śledczy, że pracował do późna i nie obejrzał wieczornych wiadomości. Czasem brakuje mu czasu, żeby rzucić okiem na własny program, a co dopiero na program żony!

Pozostawało jedynie dopracować strategię. Ani mu się śniło tłuc do Leeds, żeby porozmawiać z kmiotkami w mundurach; jak będą chcieli, sami do niego trafią, w to akurat nie wątpił. Dopomoże im w miarę możliwości, jak wspaniałomyślny człowiek, który nie ma nic do ukrycia. Oczywiście, że może pan dostać autograf dla żony, panie śledczy.

Najważniejsze to wszystko dokładnie planować. Przewidzieć każdy „nieprzewidziany wypadek” i opracować plan awaryjny. Planowanie było tajemnicą jego sukcesu. Za tę naukę omal nie zapłacił najwyższej ceny. Za pierwszym razem nie wszystko do końca sobie przemyślał, nie całkiem się przygotował. Odurzały go nowe możliwości i nie zdawał sobie sprawy, jak ważna jest analiza możliwych scenariuszy i przygotowanie się na każdą ewentualność. Zdarzyło się to, nim jeszcze kupił domek w Northumberland. W swojej głupocie wybrał walącą się pasterską chatę, którą pamiętał z młodzińskich spacerów po wzgórzach.

Był święcie przekonany, że w samym środku zimy będzie pusta, w dodatku można było wygodnie do niej podjechać starym szlakiem,

którym niegdyś pędzono owce. Nie śmiał zostawić dziewczyny żywej, więc postanowił wykończyć ją tej samej nocy, kiedy przywiózł ją na miejsce. Świtało, gdy odetchnęła po raz ostatni. Roztrzęsiony i wycieńczony wysiłkiem, jakiego wymagało spętanie jej, przyniesienie ciężkiego imadła, którym zmiażdżył jej rękę, i zadzierzgnięcie jej garotą z gitarowej struny - ów wybór, choć wtedy sobie tego nie uświadamiał, symbolizował kolejny z utraconych talentów - nie miał już sił na zaplanowany pochówek. Postanowił zostawić ją tam, gdzie leżała, i wrócić następnego dnia wieczorem, żeby zrobić ze wszystkim porządek.

Na samo wspomnienie oddech uwiązał Jacko w piersi. Był w land roverze na głównej drodze, w odległości raptem kilku kilometrów od zjazdu na szlak prowadzący do chaty, gdy w lokalnych wiadomościach radiowych podano komunikat, że przed godziną grupa wędrowców odkryła zwłoki młodej kobiety. Z wrażenia omal nie wylądował na poboczu.

Opanował się cudem i pomknął do domu, mokry od potu. O dziwo, nie zostawił wystarczająco wielu śladów, żeby zainteresowała się nim policja. Najwyraźniej nigdy nie brano go nawet pod uwagę. Jego związek z ofiarą - zaledwie chwila rozmowy - okazał się błahy, wręcz bez znaczenia.

Z tego doświadczenia wyciągnął trzy ważne wnioski. Po pierwsze, musiał znaleźć sposób na przedłużenie rytuału, by rozkoszować się męką swoich ofiar.

Po drugie, moment zabójstwa wcale nie sprawiał mu przyjemności. Podobała mu się cała otoczka, agonია i przeraźliwy strach, a już wręcz przepadał za poczuciem władzy, które pojawiał się, gdy odbierał życie, ale duszenie silnej, zdrowej młodej kobiety to żadna frajda. Raczej ciężka praca. Było mu obojętne, czy zdechną na posocznicę, czy z rozpacz, ale wolał nie zabijać własnymi rękami.

I, po trzecie, potrzebował bezpiecznej kryjówki. Micky, Northumberland i wolontariat na rzecz nieuleczalnie chorych rozwiązały te trzy problemy skutecznie. Przez pół roku, nim wszystko się ułożyło po jego myśli, musiał najzwyczajniej zdobyć się na cierpliwość. Nie było łatwo, ale tym rozkoszniej szy był następny raz.

Ani mu się śniło rezygnować z kolejnej sekretnej przyjemności tylko dlatego, że Shaz Bowman ubrdała sobie, że jest cwańsza. Po prostu trzeba będzie jeszcze staranniejsze wszystko zaplanować niż zwykle.

Jacko zamknął oczy i zamyślił się. Carol zrobiła głęboki wdech i zapukała do drzwi. Gdy znajomy głos zaprosił do środka, weszła do gabinetu Jima Pendlebury'ego, jakby w ostatnim czasie nie zdarzyło się nic, co mogłoby powodować między nimi jakieś napięcie.

- Dzień dobry, Jim - przywitała go wesoło.

- Carol. Masz dla mnie jakieś wieści? Usiadła naprzeciwko i pokręciła głową.

- Przyszłam po listę strażaków na niepełnym etacie, o której wczoraj rozmawialiśmy.

Oczy mu się rozszerzyły.

- Chyba sama widzisz, że to wyjątkowy kretynizm? - spytał z przekąsem. - Myślałem, że po prostu starasz się być miła dla swojego gościa.

- W kwestiach dochodzeń kryminalnych bez wahania poparłabym opinię Tony'ego przeciwko twojej.

- Oczekujesz, że będę pomagał ci robić z moich ludzi kozły ofiarne? - spytał gardłowo. - Chociaż oni ryzykują wszystko, kiedy ktoś wzywa pomocy?

Carol westchnęła z rozdrażnieniem.

- Usiłuję zminimalizować to ryzyko. Nie tylko dla twoich strażaków, ale i dla biednych sukinkotów pokroju Tima Coughlana, którzy nie wiedzą nawet, że je ponoszą. Nie rozumiesz tego? To nie polowanie na czarownice. Nie jest moim marzeniem wrabianie niewinnych. Jeśli sądzisz inaczej, to najwyraźniej za mało mnie znasz, żeby bez zapowiedzi czy zaproszenia pukać do moich drzwi i oczekiwać, że kiedykolwiek pozwolę ci ponownie przekroczyć próg mojego domu.

Sekundy dłużyły się im obojgu jak godziny, gdy stali i w milczeniu spopielieli się wzrokiem. W końcu Pendlebury z rezygnacją potrząsnął głową.

- Dam ci tę listę - powiedział, choć słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Ale nie znajdziesz na niej swojego podpalacza.

- Mam nadzieję, że nie - stwierdziła spokojnie. - Wiem, że mi nie wierzysz, ale nie chcę, żeby okazało się, że to któryś z twoich ludzi. Nie bardziej cieszyłaby mnie perspektywa wykrycia, że to

skorumpowany glina. Takie rzeczy podkopują autorytet nas wszystkich. Ale nie mogę zlekceważyć możliwości, za którą wiele przemawia.

Odwrócił się i przeszedł obok fotela ku szafce z dokumentami. Wyciągnął dolną szufladę i wyjął z niej kartkę. Potem popchnął po blacie w stronę Carol. Kartka zawierała nazwiska, adresy i numery telefonów dwunastu strażaków, pracujących w jednostce w Seaford na niepełnych etatach.

- Dziękuję ci - powiedziała Carol. - Doceniam to. - Już w półobrocie, spojrzała na niego, jakby coś jej się przypomniało. - Jeszcze jedna sprawa, Jim. Te pożary. Wszystkie podchodzą pod jedną dywizję czy są bardziej rozproszone?

Usta mu pobielwały.

- Wszystkie na terenie jednostki w Seaford - wycedził po chwili. - Gdyby było inaczej, nie wychodziłabyś stąd z tą kartką papieru.

- Właśnie czegoś takiego się spodziewałam - wyznała, tonem głosu proponując zawieszenie broni. - Uwierz mi, Jim, byłabym najszczęśliwsza na świecie, gdyby się okazało, że wszystkie twoje chłopaki są jak szczere złoto.

Uciekł wzrokiem.

- Okaże się. Ja ich znam. Zawierzałem im własne życie. Ten twój psycholożyna... co on o tym może wiedzieć.

Carol podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, spojrzała na Pendlebury'ego. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Zobaczymy, Jim.

Podkute stalowymi flekami obcasy brązowych kozaków dzwoniły o schody, gdy zbiegała ku anonimowości i bezpieczeństwu swojego samochodu. Pendlebury był przekonany, że jest skłonna poświęcić niewinnego człowieka, strażaka, niemalże kolegę po fachu.

- Niech to szlag - zaklęła, zatrzasnąła drzwi i gniewnie dźgając stacyjkę kluczykiem. - Niech to wszystko szlag trafi.

Najwyraźniej działali w myśl zasady, że każdy psycholog wart swojego honorarium z miejsca przejrzałby każdą próbę manipulacji, bowiem dali sobie spokój z finezją, choć traktowali Tony'ego z szacunkiem. Naczelnik McCormick oraz inspektor Colin Wharton siedzieli ramię w ramię przy wąskim stole w pokoju przesłuchań. Dyktafon był włączony: nie kwapili się nawet zapewnić obłudnie, że to dla jego dobra.

Najpierw maglowali go w kwestii znalezienia zwłok; pytania w oczywisty sposób obliczone były na podważenie jego zapewnień, że wcześniej nie był nigdy u Shaz i że nie miał pojęcia, które okna należą do jej mieszkania. Teraz przechodzili do spraw, których związek z zabójstwem był mniej przejrzysty. Cóż, Tony był w pełni świadomy tego, że łatwo mu nie popuszczą. Po pierwsze, nie był pełnoprawnym gliniarzem, jeśli więc szukali kozła ofiarnego, byłby wdzięczniejszym kandydatem niż piątka jego kursantów. Po drugie, istotną rolę odgrywała tutaj cicha uraza lokalnej policji, zmuszonej udostępnić pomieszczenia i akta bandzie outsiderów pod dyktando mędrka z Home Office. Pamiętając o tym, wyświetlił zawczasu rozmaite

scenariusze na ekranie projekcyjnym swojej wyobraźni, zanim jeszcze rano otworzył oczy. Zamartwiał się perspektywą przesłuchania przez całe śniadanie, pomimo starań Carol, która próbowała go przekonać, iż chodzi tylko o rutynową procedurę.

Przez całą drogę do Leeds gapił się w okno pociągu, ale nic do niego nie docierało. W kółko myślał o tym, jak przekonać policję, że powinna zainteresować się osobami spoza kręgu znajomych i kolegów Shaz. Kiedy wrócił do rzeczywistości, pożałował, że nie złapał pociągu do Londynu. Mięśnie ramion już zdążyły mu się zacisnąć jak węzły. Czuł, jak dziwna drętwota ogarnia stopniowo jego kark i szyję. Zanosilo się na piekielny ból głowy.

- Proszę zacząć od samego początku - rzucił McCormick szorstko.

- Kiedy poznał pan posterunkową Bowman? - sekundował mu Wharton.

Przynajmniej nie odgrywali przez nim „dobrego i złego gliny”. Obaj bez skrępowania obnosili się z niechęcią i wrogością.

- Wraz z komendantem Bishopem przeprowadziliśmy z nią rozmowę kwalifikacyjną w Londynie około ośmiu tygodni temu. Dokładna data jest zapisana w biurowym kalendarzu. - Mówił spokojnie i neutralnym tonem, choć wymagało to ogromnego wysiłku woli. Tylko analizator stresowy głosu mógłby wykryć mikro-drżenia pod powierzchnią. Szczęściem dla Tony'ego, urządzenie nie należało do popularnych.

- We dwóch prowadziliście tę rozmowę? - McCormick.

- Tak. Po rozmowie kwalifikacyjnej komendant Bishop pożegnał się, a ja przeprowadziłem testy psychologiczne. Następnie posterunkową Bowman wyszła i ponownie zobaczyłem ją dopiero w pierwszym dniu szkolenia profilerskiego.

- Ile czasu spędził pan sam na sam z Bowman? - Znowu McCormick. Wharton siedział rozparty na krześle, wbijając w Tony'ego spojrzenie wyrażające zawodową mieszaninę powątpiewania, pogardy i podejrzliwości.

- Przeprowadzenie testów trwa mniej więcej godzinę.

- No, to już można trochę człowieka poznać. Tony pokręcił głową.

- Na towarzyską rozmowę nie starcza czasu. Co więcej, byłoby to niepożądane. Staramy się, aby proces selekcji przebiegał możliwie obiektywnie.

- Decyzja o przyjęciu Bowman do zespołu była jednogłówna? Tony zawahał się. Jeżeli nawet nie rozmawiali jeszcze z Paulem Bishopem, zrobią to wkrótce. Mijanie się z prawdą było pozbawione sensu.

- Paul miał pewne zastrzeżenia. Uważał, że za bardzo jej na tym zależy. Argumentowałem, że potrzebujemy pewnego zróżnicowania w zespole. Zgodził się na Shaz, a ja przystałem na jednego z kandydatów, na którego zapatrywałem się mniej entuzjastycznie.

- A mianowicie? - drażył McCormick. Tony nie dał się podejść.

- Lepiej niech panowie zapytają o to Paula.

Wharton raptownie pochylił się i zwrócił ku Tony'emu szeroką, toporną twarz.

- Spodobała się panu, co?

- A cóż to za pytanie?

- Normalne, my tu nie owijamy w bawełnę. Tak czy nie? Uważał pan, że jest atrakcyjna? Wpadła panu w oko?

Tony umilkł na sekundę. Szukał właściwych słów.

- Odnotowałem fakt, że większość mężczyzn uznałaby jej wygląd za pociągający, owszem. Ale osobiście nie czułem do niej pociągu seksualnego.

- A skąd pan wie, co pomyślałaby większość mężczyzn? - zaszydził Wharton. - O ile mi wiadomo, nie reaguje pan jak normalny facet, prawda?

Tony skulił się jak uderzony. Jego napięte mięśnie przebiegło drżenie, w żołądku zaczęło się przewracać. Po sprawie, przy której pracował z Carol Jordan, był przesłuchiwany. Musiał wspomnieć o swoich problemach seksualnych. Przyobiecano mu całkowitą dyskrecję i jeśli wnosić z reakcji funkcjonariuszy, z którymi miał później styczność, obietnicy tej dotrzymano. Ale wydawało się, że śmierć Shaz Bowman z dnia na dzień pozbawiła go prawa do prywatności. Zastanowił się przelotnie, gdzie zdobyli tę informację, modląc się, żeby jego impotencja nie stała się przedmiotem plotek.

- Moje relacje z Shaz Bowman były czysto zawodowe - podkreślił, siląc się na spokój. - Moje życie osobiste w żaden sposób nie wiąże się z prowadzonym przez panów dochodzeniem.

- O tym to już my decydujemy - wycedził McCormick.

- Mówi pan, że to czysto zawodowe relacje. - Wharton płynnie przejął pałeczkę. - My natomiast dysponujemy oświadczeniami, w myśl których poświęcał pan Bowman więcej czasu niż pozostałym kursantom. Koledzy zastawali was rano pochłoniętych rozmową. Ona zostawała po zajęciach, żeby zamienić z panem słówko na osobności. Jak dla mnie, to bardzo bliska znajomość.

- Między mną a Shaz nie doszło do niczego niestosownego. Zawsze wcześnie zaczynam dzień. Niech pan spyta kogokolwiek, kto ze mną pracował. Shaz nie radziła sobie najlepiej z obsługą oprogramowania, więc przychodziła wcześniej, żeby trochę poćwiczyć. Owszem, rzeczywiście zostawała po zajęciach grupowych, ale to dlatego, że była zafascynowana pracą, a nie z dwuznacznych pobudek. Jeśli podczas śledztwa dowiedzieliście się czegoś o Shaz Bowman, to powinniście rozumieć, że była zakochana w pracy i tylko w pracy. - Nabrał powietrza.

Zapadło milczenie. Potem McCormick spytał:

- Gdzie pan był w sobotę?

Tony pokręcił głową w osłupieniu.

- Marnujecie czas. Powinniście korzystać z naszej pomocy, żeby schwytać zabójcę, a nie starać się wywołać wrażenie, że winny jest wśród nas. Porozmawiajmy raczej o znaczeniu tego, co zabójca zrobił Shaz i czemu nie znaleźliście żadnych śladów kryminalistycznych.

McCormick zmrużył oczy.

- Ciekawe, skąd ta pewność, że nie było śladów. Jak zdołał się pan tego dowiedzieć?

Tony jęknął.

- Niczego się nie dowiadywałem. Ale widziałem zwłoki i miejsce zbrodni. Z mojej wiedzy o psychopatycznych mordercach wynika, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz.

- Policjant albo ktoś, kto ściśle z policją współpracuje, rozumiałby wagę dowodów kryminalistycznych - podchwycił przebiegle McCormick.

- Jak każdy, kto umie czytać albo ma telewizor - odparował Tony.

- Ale nie każdy potrafiłby zatrzeć ślady swojej bytności na miejscu zbrodni. Co innego, gdyby często obserwował techników kryminalistycznych przy pracy, prawda?

- Czyli potwierdza pan to, co powiedziałem? - Tony uczepił się tej jednej jedynej informacji, jaka wydawała się istotna.

- Ja nic nie mówię, o nie - odpalił tryumfalnie McCormick. - Morderca Sharon Bowman uważa zapewne, że ich nie zostawił. Ale się myli.

Tony rozmyślał gorączkowo. Na pewno nie odciski palców ani ślady butów; to kłóciłoby się z metodycznością i ostrożnością zabójcy. Może włosy albo włókna. Włosy przydałyby się tylko wtedy, gdyby policja miała już podejrzanego, od którego mogłaby pobrać próbki do porównania. Do ustalenia pochodzenia włókien natomiast

wystarczyłoby laboratorium. Miał nadzieję, że tutejsza policja korzysta z naprawdę dobrego.

- To świetnie - powiedział tylko.

McCormick się skrzywił, Wharton rozpiął teczkę i położył przed Tonym jakąś kartkę.

- Do protokołu: pokazuję doktorowi Hillowi fotokopię strony z kalendarza Shaz Bowman. Są dwa wpisy z dnia morderstwa. JV, dziewięta trzydzieści. Oraz litera T. Ujmę to tak, doktorze Hill: umówił się pan z Shaz Bowman na spotkanie w sobotę. I pan na to spotkanie poszedł.

Tony przeczesał palcami włosy. Potwierdzenie domysłów Carol, że Shaz dążyłaby do konfrontacji z Vance'em, wcale go nie ucieszyło.

- Inspektorze, ja nie byłem z nią umówiony. Ostatni raz widziałem Shaz, żywą, w piątek przed wieczorem. To, co robiłem w sobotę, nie ma tu nic do rzeczy.

McCormick pochylił się i przemówił łagodnie:

- Nie jestem tego taki pewny. T jak Tony. Może mimo wszystko się z panem spotkała. Przypadkiem wpadła na pana gdzieś na mieście, jej chłopak o wszystkim się dowiedział i strasznie się tym gryzł. Może przyparł ją do muru i wydusił z niej, że pan jej się bardziej podoba?

Usta Tony'ego drgnęły i zastygły w pogardliwym grymasie.

- Nie stać pana na nic lepszego? To żałosne, McCormick. Miałem pacjentów, których rojenia były znacznie bardziej wiarygodne. Nie rozumie pan, że najważniejszy wpis z kalendarza to ten: „JV, dziewięta trzydzieści”? Możliwe, że Shaz *zamierzała* ze mną

porozmawiać, ale do rozmowy nie doszło. Jeśli tak bardzo pana ciekawi, co w sobotę porabiał zabójca, powinien pan raczej prześwietlić Jacko Vance'a i jego otoczenie.

Zaledwie Tony wypowiedział to nazwisko, zrozumiał, że położył sprawę. McCormick z ubolewaniem pokręcił głową, Wharton zerwał się tak energicznie, że nogi krzesła zgrzytnęły o tanią winylową wykładzinę.

- Jacko Vance uratował niejedno życie. To pan figuruje w naszych aktach - wydarł się Wharton. - Zabił pan człowieka, prawda, doktorze Hill? Sami powtarzacie, że wystarczy raz złamać tabu, by przestało istnieć. Kto zabił raz... Resztę sam pan sobie dośpiewaj, doktorze. Resztę, kurwa mać, sam sobie dośpiewaj.

Tony zamknął oczy. Kłuło go w piersi, jakby cios w przepoń wycisnął mu z płuc powietrze. Postępy, jakie osiągnął przez ostatni rok, zostały zaprzepaszczone, znowu czuł woń potu i krwi, śliskość na rękach, słyszał krzyki wyrywające się z własnej krtani, na ustach miał smak tamtego judaszowego pocałunku. Gwałtownie rozwarł powieki i spojrzał na Whartona i McCormicka z nienawiścią, do jakiej dotąd nie czuł się zdolny.

- Dość - uciał, podnosząc się z krzesła. - Kiedy następnym razem będziecie chcieli ze mną porozmawiać, będziecie musieli mnie aresztować. I radzę dopilnować, żeby nie zabrakło mojego adwokata.

Nie chciał im dawać satysfakcji i tylko dlatego trzymał się jakoś, wychodząc z pokoju przesłuchań, idąc przez cały posterunek i wreszcie na dwór. Nikt nie próbował go zatrzymać. Ruszył szybko w

poprzek parkingu, bo chciał dotrzeć do ulicy, zanim zwróci śniadanie. Nagle przy krawężniku zatrzymał się samochód, w oknie od strony pasażera opuściła się szyba. W głębi zamajaczyła okolona ciemnymi włosami twarz Simona McNeilla.

- Podrzucić pana?

Tony cofnął się jak przed ciosem.

- Nie... ja... Nie, dziękuję.

- Może jednak? - nalegał Simon. - Czekałem na pana. Przetrzymywali mnie pół nocy. Zwałą to na mnie, jeśli tylko uda im się do czegoś przyczepić. Musimy odkryć, kto zamordował Shaz, zanim dojdą do wniosku, że czas dokonać aresztowania.

Tony nachylił się nad oknem.

- Simon, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Masz rację, oni chcą, żeby to był ktoś od nas. Nie jestem pewny, czy posunęliby się do fabrykowania dowodów. Ale nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma i czekać. Zamierzam dowiedzieć się, kto za tym stoi, ale nie mogę cię w to wciągać. To niebezpieczna zabawa nadepnąć na odcisk człowiekowi zdolnemu do takich rzeczy, jakie zrobił Shaz. Będę musiał pilnować własnych pleców i nie potrzebuję dodatkowo martwić się o twoje. Zatem oddaj przysługę i mnie, i sobie. Wracaj do domu. Przebolej swoją stratę. Nie strugaj bohatera, Simon. Nie chcę chować kolejnego z was.

Simon wyglądał, jakby miał ochotę równocześnie rozplakać się i walnąć Tony'ego.

- Nie jestem dzieckiem. Pracowałem w sekcjach do spraw zabójstw. Zależało mi na niej. Nie może pan spytać mnie poza nawias. Nie może mnie pan powstrzymać przed przyskrzynieniem tego sukinsyna.

Przeciągłe westchnienie.

- Nie, nie mogę. Ale Shaz też była policjantką. I też pracowała nad morderstwami. Wiedziała, że rozdrażni zabójcę. Mimo to została starta w pył. Unicestwiona. Tej sprawy nie da się rozwiązać za pomocą konwencjonalnych policyjnych metod, Simon. Ja już mam na koncie jedno takie doświadczenie. Wierz mi, wiem, jak to jest, i nie życzę tego najgorszemu wrogowi. Wracaj do domu, Simon.

Samochód Simona z piskiem opon oderwał się od krawężnika. Tony patrzył, jak auto odjeżdża i o wiele za szybko skręca w lewo w najbliższą ulicę, dopóki tylny zderzak nie zniknął za zakretem.

19

Halucynacje miały swoje jasne strony. Gdy napad gorączki kładł się świeżą warstwą potu na wcześniejszych, kwaśnych i zastałych, od których skórę na całym ciele miała lepka, mogła znowu uciec w majaki o niebo przyjemniejsze niż rzeczywistość.

Donna Doyle tuliła się do ściany, goniąc chimery dziecięcych wspomnień, jakby mogły ją ocalić. Któregoś roku mama i tato zabrali ją na walentynkowy jarmark w Leeds. Wata cukrowa, hot dogi i cebula, kalejdoskop rozmytych świateł karuzeli, pod nią miasto połyskliwe jak wystawa salonu jubilera, diabelski młyn obracający się

łagodnie w chłodnym nocnym powietrzu, kobierzec jarmarcznych neonów u jej stóp.

Tato wygrał dla niej dużego pluszowego misia o wściekle różowym futerku, z ciamajdowatym uśmiezkiem wyhaftowanym na białej mordce. Ostatni prezent przed śmiercią taty. To wszystko jego wina, pomyślała Donna, pociągając nosem. Gdyby ich nie zostawił i nie umarł, nic by się nie zdarzyło. Nie byłyby biedne, a ona nie myślałaby o zostaniu gwiazdą telewizji, mogłaby słuchać mamy i dużo się uczyć, i pójść na uniwersytet.

Z kącików jej oczu popłynęły łzy, zaczęła bezsilnie bębnić pięścią w ścianę.

- Nienawidzę cię! - zaszlochała, wykrzyczała prosto w niknący obraz mężczyzny o pociągłej twarzy, który tak uwielbiał swoją córkę.
- Nienawidzę cię, ty draniu!

W końcu, zmęczona szlochem, niepostrzeżenie pogrążyła się w wytęsknionej nieświadomości.

20

Tupeciarstwo, jakie cechowało Leona w kontaktach z równymi sobie, znikło jak kamfora. Skrył się za obojętnym, upartym grymasem, jaki widywał na twarzach wielu innych młodych czarnych, zarówno w areszcie, jak i na ulicy. Na jego ulicy. Może i miał legitymację, która formalnie czyniła go „swoim chłopem”, ale nie był głupi i wiedział, że dla urodzonych w Yorkshire gliniarzy, którzy siedzieli po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań, nadal jest obcy.

- No, Leon - przemówił Wharton obłudnie serdecznym tonem - twoja wersja zgadza się z tym, co już słyszeliśmy od posterunkowej Hallam. Spotkaliście się o czwartej i poszliście do kręgielni. Potem na drinka do „The Cardigan Arms”, jeszcze później dołączył do was Simon i razem poszliście do indyjskiej knajpy. - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Zatem ani ty, ani ona nie zabiliście Shaz Bowman - podsumował McCormick.

Leon zorientował się, że to rasista, zaledwie spojrzał na różową plamę twarzy, wypraną z emocji, oczy zimne i wrogie, oblizane wargi w permanentnej gotowości do pogardliwego grymasu.

- Nikt od nas jej nie zabił, człowieeeeku - mruknął Leon, celowo przeciągając samogłoskę w ostatnim słowie. - Była jedną z nas. Może nie jesteśmy zespołem od dawna, ale trzymamy się razem. Szkoda czasu.

- Obowiązują nas procedury, chłopcze, przecież wiesz - wtrącił Wharton. - Masz zostać profilerem, więc chyba nie muszę ci mówić, że ponad dziewięćdziesiąt procent morderstw to robota najbliższych. Ale do rzeczy: kiedy Simon do was dołączył, jakie robił wrażenie?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Okay. Był przejęty, pobudzony, w histerii? Leon pokręcił głową.

- A gdzie tam. Może trochę cichszy niż zwykle, ale pomyślałem, że to dlatego, że Shaz nie przyszła. Myślałem, że mu się podobała i był rozczarowany, że się nie pojawiła.

- A dlaczego myślisz, że mu się podobała? Leon rozłożył dłonie.

- Różne takie. No, wie pan? Zawsze się starał jej zaimponować. Obcinał ją wzrokiem. Wciągał do rozmowy. Jak to facet, kiedy jest zainteresowany, kapuje pan, o co biega?

- A ona była nim zainteresowana?

- Nie wydaje mi się, żeby Shaz interesowała się kimkolwiek. Nie w sensie, żeby się pobzykać. Miała fioła na punkcie pracy i nie zawracała sobie głowy takimi rzeczami, jeśli mnie pan pyta. Nie sądzę, żeby Simonowi się poszczęściło. No, żeby sobie zaliczył.

- Wspominał, że był wcześniej pod jej domem? - spytał McCormick.

- Nie, ani słowem. Ale pan też by tego nie zrobił, no nie? Znaczy się, gdyby pan myślał, że cizia wystawiła pana do wiatru, nie opowiadałby pan o tym na lewo i prawo. W tym, że siedział cicho, nie ma nic dziwnego. Gdyby coś powiedział, to dopiero byłoby dziwne.

Leon zapalił papierosa i ponownie posłał McCormickowi puste spojrzenie.

- W co był ubrany? - odezwał się Wharton.

Leon zmarszczył czoło, przypominając sobie z wysiłkiem. - W skórzaną kurtkę, butelkowe polo, czarne dzinsy, czarne martensy.

- Nie we flanelową koszulę? Leon potrząsnął głową.

- Jak do nas dołączył, to nie. A co? Znaleźliście włókna z flaneli na jej ubraniu?

- Na ubraniach nie - ożywił się Wharton. - Naszym zdaniem ona...

- Na tym etapie darujemy sobie szczegóły dotyczące dowodów kryminalistycznych - przerwał McCormick stanowczo. - Nie byłeś zaniepokojony, że posterunkowa Bowman nie pojawiła się na wieczornej imprezie?

Leon wzruszył ramionami i wydmuchnął smugę dymu.

- Nie, niespecjalnie. Kay się śmiała, że pewnie miała coś ciekawszego do roboty. Ja obstawiałem, że pewnie siedzi z nosem w komputerze i odrabia pracę domową.

- Trochę taka klasowa prymuska? Ulubienica nauczycieli, co? - podchwycił Wharton, znowu pełen zrozumienia.

- Eee tam. Kujonka i tyle. Słuchajcie no, nie powinniście raczej poszukać drania, który ją tak urządził, zamiast marnować czas na takie gadki? U nas nie znajdziecie mordercy. Wstąpiliśmy do tej jednostki, żeby takiego syfu było mniej, a nie żeby samemu robić takie numery, człowieku.

Wharton przytaknął skinieniem.

- Im szybciej przez to przejdziemy, tym lepiej. Potrzebujemy twojej pomocy, Leon. Jesteś wyszkolonym śledczym, ale masz też dobrego nosa, inaczej nie przyjęliby cię do zespołu. Nie skąp nam swoich przemyśleń. Co sądzisz o Tonym Hillu? To znaczy, wiesz chyba, że był przeciwny twojej kandydaturze?

Tony wpatrywał się w ciemnoniebieski ekran. McCormick i Wharton mogli go wyrugować z budynku, ale albo nie wiedzieli o podłączonym do sieci komputerze, który w nim pozostał, albo też nie

mieli pojęcia, jak odciąć Tony'emu dostęp. Konfiguracja z konieczności była niewyszukana, bowiem z systemu korzystały osoby wiedzące o komputerach mniej niż statystyczny siedmiolatek. Wszystkie terminale były podłączone do centralnej jednostki procesującej i archiwizującej dane. Wystarczył modem, aby każdy członek zespołu uzyskał natychmiastowy dostęp do swoich prywatnych plików oraz do materiałów przeznaczonych dla całej grupy. Ze względów bezpieczeństwa każdy miał inny login i indywidualne hasło. Kursanci zostali pouczeni, że mają zmieniać je co tydzień. Czy się do tego stosowali, czy nie, to już inna kwestia.

Żaden z kursantów nie wiedział natomiast, że Tony dysponuje listą wszystkich loginów. W efekcie mógł połączyć się z centralnym komputerem i podszyć się pod dowolnego z nich w sposób niewykrywalny dla systemu. Oczywiście, bez hasła miałby tylko ograniczony wgląd w ich prywatne materiały, niemniej znalazłby się w systemie.

Natychmiast po powrocie z przesłuchania uruchomił domowy komputer. Najpierw wyświetlił podanie Shaz i wypełnione przez nią testy, zeskanowane zaraz po jej przyjęciu do zespołu. Wydrukował je razem z raportami z jej postępów, jakie sporządzili z Paulem Bishopem.

Następnie wylogował się jako Tony i zalogował jako Shaz. Dwie godziny i dzbanek kawy później nie posunął się ani odrobinę dalej. Wypróbował wszystkie możliwości, jakie przyszły mu do głowy. SHAZ, SHARON, BOWMAN, ROBIN, HOOD, WILHELM,

TELL, ARCHER, AMBRIDGE. Potem nazwiska reszty bohaterów radiowej opery mydlanej „Rodzina Archerów”. Eksperymentalnie wpisał też oczywiste JACKO, VANCE i nieco mniej oczywiste MICKY, MORGAN. Mimo to na ekranie dalej błyskał napis: „Ogólna Krajowa Jednostka Profilerska wita. Proszę podać hasło: - „Kursor migotał długo, Tony natomiast zyskał absolutną pewność, iż nie cierpi na skłonności do epilepsji.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju, ale nic nowego nie wymyślił.

- Starczy tego dobrego - rzucił z rozdrażnieniem.

Sięgnął po kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła i ubrał się szybko. Przejdzie się do sklepu po wieczorną gazetę, może świeże powietrze rozjaśni mu w głowie.

- Nie oszukuj się - mruknął, otwierając drzwi wejściowe. - Po prostu jesteś ciekaw, co te kurze mózdzki obwieściły na najnowszej konferencji prasowej.

Spacerował ścieżką oddzielającą dwie rabaty, na których przykurzone krzewy różane stosowały taktykę odwrotu w wojnie z ludźmi i maszynami. Skręcił w ulicę i w nieokreślonej marki furgonetce, zaparkowanej po drugiej stronie jezdni, zauważył dwóch mężczyzn. Jeden zerwał się z siedzenia pasażera jak oparzony, równocześnie ryknął uruchamiany silnik. Tony stwierdził, że jest obiektem obserwacji w amatorskim wydaniu. Czy to możliwe, by policja zachodniego Yorkshire marnowała cenny czas na fundowanie mu „ogona”?

Przed rogiem zatrzymał się, żeby zajrzeć przez okno do Bric'n'Brack, rupieciarni z żałośnie pretensjonalną nazwą. Dumny właściciel dbał o czystość szyb, dzięki czemu Tony mógł zorientować się, co dzieje się za jego plecami. Człowiek, który przed chwilą wyskoczył z furgonetki, kręcił się przy przystanku autobusowym, udając, że studiuje rozkład jazdy. Ta czynność jak mało która demaskowała go jako nietutejszego; miejscowi wystarczająco dobrze znali anarchistyczne praktyki konkurencyjnego przedsiębiorstwa autobusowego, by dopatrywać się w rozkładzie jazdy jedynie kiepskiego dowcipu.

Tony skręcił i pod pozorem, że rozgląda się przed wejściem na jezdnię, zerknął przez ramię. Furgonetka zawróciła i wlokła się teraz jakieś pięćdziesiąt metrów za nim. Sprawa się wyjaśniła. Skoro to byli najlepsi spece, jakimi dysponowała lokalna policja, zabójca Shaz Bowman może spać spokojnie.

Ubolewając nad głupotą „kolegów”, kupił w kiosku gazetę i powoli poczłapał do domu, czytając po drodze. Przynajmniej nie powiedzieli niczego, co później narazi ich na kpiny. Prawdę mówiąc, okazali się zaskakująco powściągliwi.

Po powrocie do domu podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony, przy okazji dyskretnie się rozejrzał. Obaj mężczyźni znowu siedzieli w furgonetce, zaparkowanej w tym samym co wcześniej miejscu. Na co czekają? Myślą, że niby co zrobi?

Gdyby sytuacja nie była taka poważna, serdecznie by się uśmieł. Szybko wykręcił numer komórki Paula Bishopa. Kiedy Paul odebrał, Tony walnął z grubej rury:

- Paul? Nie uwierzysz. McCormick i Wharton wbili sobie do łbów, że Shaz zamordował ktoś z naszego zespołu, bo tylko nas tu znała.

- Wiem - wyznał Bishop przygnębionym tonem. - Ale co ja mogę? To ich dochodzenie. Jeśli ci to poprawi humor, doszły mnie słuchy, że kontaktowali się z jej dawną jednostką, prosili o sprawdzenie, czy jakiś bandzior nie miał do niej wystarczająco dużej urazy, żeby przywlec się za nią aż tutaj. Póki co nie ma powodów do radości. Ale dzwoniła sierżant z dochodzeniówki i powiedziała, że pośredniczyła między Jacko Vance'em a Bowman i umówiła ich na spotkanie w sobotę rano. Wychodzi na to, że Bowman zaczęła działać, zamiast zapomnieć o tym postrzelonym pomysle z zaginionymi nastolatkami.

Tony westchnął z ulgą.

- No i chwała Bogu, że zadzwoniła. Może teraz zaczną nas traktować serio. Przecież musi ich zastanawiać, dlaczego Vance się nie zgłosił, choć zdjęcie Shaz było we wszystkich gazetach.

- To nie takie proste - mruknął Bishop. - Jego żona zadzwoniła dosłownie parę minut po telefonie tej sierżant z wiadomością, że Shaz Bowman była u nich w domu w sobotę rano. Uprzedziła, że mąż jeszcze nie przeglądał gazet. Więc właściwie nikt niczego nie ukrywa.

- Ale zamierzają przynajmniej z nim porozmawiać?

- Z pewnością.

- Czyli jednak widzą w nim podejrzanego? Tony usłyszał w słuchawce ciężkie westchnienie.

- Kto wie? Problem polega na tym, Tony, że mogę pewne rzeczy delikatnie zasugerować, ale nie nakazać. Nie mam takich kompetencji.

- Ale zgodziłeś się, że zespół powinien zostać zawieszony - wytknął Tony. - Przecież nie musiałeś iść im na rękę.

- Oj, przestań, Tony, wiesz, jaka to trudna sprawa z polityką policji. Home Office żąda, żebyśmy nikomu nie robili trudności. To takie małe ustępstwo. Zespół nie został rozwiązany. Nikt nie został ponownie wcielony do dawnej jednostki. Zostaliśmy tylko odsunięci od tej operacji, dopóki sprawa albo nie zostanie rozwiązana, albo nie zejdzie z pierwszych stron gazet. Spróbuj myśleć, że to coś jak szabas.

Tony był wściekły, ale nie zapomniał o tym, co skłoniło go do sięgnięcia po słuchawkę.

- Coś dziwny ten szabas, skoro obejmuje inwigilację jak z niemego filmu. „Gliniarze z Keystone”, tyle że pod moimi oknami.

- Żartujesz?

- Niestety nie. Łażą za mną, odkąd wypuścili mnie po przesłuchaniu. Najpierw jednak nasłuchiwałem się opinii, że jakby mieli typować podejrzanego, postawiliby na mnie, bo raz już zabiłem. A teraz śledzą mnie Beavis i Butthead. To jest nie do wytrzymania, Paul.

Bishop sapnął w słuchawkę.

- Rozumiem cię, Tony. Mimo to położmy uszy po sobie i poczekajmy, aż się nami znudzą i zabiorą za właściwe dochodzenie.

- Nie sądzę, Paul - wycedził Tony. - Nie żyje moja kursantka, a oni nie dają mi pomóc, choć razem szybciej znaleźlibyśmy jej zabójcę. Od razu mi przypomnieli, że nie jestem jednym z nich, tylko intruzem. Ale każdy kij ma dwa końce. Skoro nie możesz ich przekonać, żeby zeszli mi z oczu, zwołam na jutro rano prywatną konferencję prasową. I daję ci słowo, to, co powiem, nie spodoba ci się ani trochę bardziej niż McCormickowi i Whartonowi. Czas pociągnąć za kilka sznurków, Paul.

- Kapuję - odpowiedział Bishop z westchnieniem. - Niech i tak będzie.

Tony rzucił słuchawkę na widełki i odsunął zasłony. Włączył lampkę na biurku i przystanął przed oknem, wpatrując się wyzywająco w pasażera i kierowcę furgonetki. Przeanalizował informacje, jakie uzyskał od Bishopa, i zestawiał je z tym, czego się dowiedział na miejscu przestępstwa. Zabójca zaatakował, bo Shaz trafiła na coś ważnego. To oznaczało, że jej hipoteza jest trafna i że na wolności istotnie pozostaje nieznanym policji seryjny zabójca nastolatek. Wpadł w panikę i dlatego się jej pozbył. A jedyną rzeczą, jaką Shaz zrobiła w związku ze swoją teorią, było złożenie Jacko Vance'owi wizyty na kilka godzin przed śmiercią.

Wiedział już, że zabójcą Shaz Bowman nie jest jakiś szalony fan Vance'a. Było nie do pomyślenia, żeby nawet najbardziej operatywny maniak dowiedział się w tak krótkim czasie, kim Shaz jest i co ją sprowadza do rezydencji Vance'a.

Tymczasem furgonetka odjechała. Tony rzucił kurtkę na podłogę i zasiadł przed komputerem. Było to małe zwycięstwo, ale na nowo rozbudziło w nim ducha walki. Musi znaleźć dowód przemawiający za tym, że Shaz miała rację i właśnie dlatego zginęła. Jakiego Shaz Bowman użyłaby hasła? Postać fikcyjna? Warshawski i Scarpetta - za długie. KINSEY, MILLHONEY, MORSE, WEXFORD, DALZIEL, HOLMES, MARPLE, POIROT - też na nic. Filmowy zbrodniarz? MORIARTY, HANNIBAL, LECTER. Też nici.

W normalnych okolicznościach odgłos samochodu hamującego pod domem nie dotarłby do niego. Ale po takim dniu cichnący warkot silnika brzmiał głośno jak dzwonienie budzika. Ze znajomego szkarłatnego forda wysiadły ostatnie trzy osoby, które Tony miał w tej chwili ochotę oglądać. Leon Jackson, Kay Hallam oraz Simon McNeill wylegli na chodnik i ze speszonymi minami zerkali na jego zachmurzoną twarz. Z jękiem poczłapał do drzwi, otworzył zasuwę, po czym zrobił w tył zwrot i pomaszerował do gabinetu.

Weszli za nim. W małym pomieszczeniu natychmiast zrobiło się ciasno, gdy goście, nie czekając na zaproszenie, szukali wygodnych miejsc; Simon usiadł na parapecie, Leon oparł się elegancko o szafkę, Kay uplasowała się w drugim fotelu. Tony siedział milcząco, śląc im gniewne spojrzenia, zrezygnowany.

- Już rozumiem, dlaczego niewinni ludzie przyznają się do zbrodni - powiedział pół żartem, pół serio.

- Mnie pan nie chciał słuchać, więc ściągnąłem posiłki - wyjaśnił Simon, blady, jakby miał zaraz zemdleć; Tony dopiero teraz dostrzegł piegi rozsiane na grzbiecie jego nosa.

- Ten McCormick z Whartonem, no, uwzięli się na nas - wybuchnął Leon. - Kwitłem tam całe rano, a ci się wdzięczą: „Ejże, Leon, możesz nam śmiało powiedzieć, co naprawdę myślisz o Tonym Hillu i Simonie McNeillu”. Człowieku, normalnie ich posrało. „McNeillowi podobała się Bowman, ale ona była zakochana w Hillu, więc zabił ją z zazdrości, jak myślisz? Albo Hill chciał się dobrać Bowman do majtek, ale ją bardziej interesowała randka z McNeillem i to McNeill ją zabił, bo oszalał z zazdrości”. Pieprzenia więcej niż w burdelu, aż mi się słabo robiło. - Wyciągnął paczkę papierosów i znieruchomiał. - Można...?

Tony skinął głową i wskazał wykrzywionego grudniowca.

- Tylko strzepuj do podstawki.

Kay pochyliła się do przodu i wsparła łokciami o kolana.

- Jakby mieli klapki na oczach. Szukają na pana jakiegoś haka i nie interesuje ich nic innego. A już najmniej to, co próbowała udowodnić Shaz. Uważają, że jej teoria o seryjnym zabójcy to głupota, bo była kobietą, a wiadomo, że wszystkie wariujemy przez hormony. Więc doszliśmy do wniosku, że skoro oni nie chcą zrobić tego, co trzeba, my ich wyręczymy.

- Mogę wtrącić słowo? - spytał cierpko Tony.

- Śmiało - zezwolił Leon z miną łaskawcy.

- Rozumiem, co czujecie. I to dobrze o was świadczy. Ale to nie ćwiczenie. Nic w stylu „O pięciu takich, co upolowali psychopate”. To śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy ostatnio otarłem się o seryjnego zabójcę, omal nie przypłaciłem tego życiem. A z całym szacunkiem dla waszych policyjnych talentów, wiedziałem dużo, dużo więcej niż wy troje razem wzięci. Nie jestem gotowy do wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności.

- Wiemy, że to nie zabawa, Tony - przekonywała Kay. - I wiemy, że jesteś najlepszy. Dlatego przyszliśmy z tym do ciebie. Ale możemy robić rzeczy, które tobie by się nie udały. Mamy legitymacje służbowe. A gliniarze ufają tylko innym gliniarzom.

- Jeśli nam nie pomożesz, będziemy musieli sobie poradzić bez ciebie - dodał Simon i z uporem zacisnął usta.

Tony z ulgą powitał natarczywy dzwonek telefonu. Osłonił dłonią słuchawkę.

- Halo? - odezwał się ostrożnie, mierząc wzrokiem trójkę młodych ludzi, jakby oczekiwał eksplozji.

- To ja. - Głos Carol. - Dzwonię tylko, żeby spytać, jak się trzymasz.

- Wolałbym ci odpowiedzieć na żywo - powiedział szybko.

- Nie możesz rozmawiać?

- Jestem trochę zajęty. Może się później spotkamy?

- U mnie? O wpół do siódmej?

- Lepiej o siódmej - mruknął. - Mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia, zanim będę się mógł stąd wyrwać.

- Będę czekała. Jedź ostrożnie.

- Dzięki.

Delikatnie odłożył słuchawkę i na sekundę zamknął oczy. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo doskwiera mu samotność. Na szczęście była Carol. Otworzył oczy i stwierdził, że troje młodszych funkcjonariuszy wpatruje się w niego chciwie. Zaczął mu świtać pewien pomysł, zapowiedź pomysłu.

- A pozostała dwójka? - zainteresował się. - Poszli po rozum do głowy, co?

Leon wydmuchnął smugę dymu.

- Raczej stchórzyli. Boją się rozkołysać łódkę, żeby widoki na awans się nie potopiły.

- A kogo obchodzi awans, kiedy taka dziewczyna jak Shaz zostaje zamordowana, a policja nie ściga jej zabójcy? Kto chciałby pozostać w służbie? - rzucił Simon.

- Przykro mi - powiedział Tony. - Ale odpowiedź brzmi: nie.

- Świetnie - warknęła Kay. - W takim razie przejdziemy do planu awaryjnego. Włoski strajk. Będziemy pana zadręczać, dopóki się pan nie zgodzi. Gdziekolwiek pan pójdzie, my pójdziemy z panem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nas troje, pan jeden.

- Trzy do jednego. Czarno to widzę.

Leon zapalił kolejnego papierosa, choć niedopałek poprzedniego jeszcze się żarzył. Tony westchnął.

- W porządku. Mnie nie słuchacie. Ale może posłuchacie kogoś, kto wie, czym się kończą takie kalkulacje.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał parę minut po siódmej, w radiu leciał temat muzyczny z „Rodziny Archerów”, co dowodziło, że zegar późni się o trzy minuty. Wiekowe auto dziko podskakiwało na wyboistej drodze odchodzącej od asfaltówki. Tony pokonał ostatni zakręt i z satysfakcją stwierdził, że w domu Carol świeci się światło.

Czekała w progu, gdy zatrzasnął za sobą drzwiczki. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak bardzo się cieszył na myśl o czyimś towarzystwie, o wkroczeniu na cudze terytorium. Na widok obstawy nieznacznie uniosła brwi.

- Woda się gotuje, piwo chłodzi - powiedziała i delikatnie uścisnęła ramię Tony'ego. - To twoi goryle?

- Niezupełnie. Jestem przetrzymywany w charakterze zakładnika - wyjaśnił sucho i wszedł za nią do środka. Obstawa nie czekała na zaproszenie, przez cały czas deptała mu po piętach. - Pamiętasz Kay, Leona i Simona? Będą mi wisieć u szyi jak młyńskie kamienie, dopóki nie zgodzę się z nimi pracować i wykryć mordercy Shaz.

W salonie skinął kciukiem w stronę sofy i foteli. Milcząca trójca rozsiadła się wygodnie.

- Mam nadzieję, że przemówisz im do rozumu. Carol potrząsnęła głową, rozbawiona.

- To oni *chcą* z tobą pracować? Boże, ależ się plotkarze ostatnimi czasy postarzeli.

- Najpierw kawa - zażądał Tony. Lekko oparł dłoń na ramieniu Carol i popchnął ją w stronę kuchni.

- Już się robi.

Poszedł za nią i zamknął drzwi.

- Przepraszam, że zwałam to na ciebie. Ale nie chcą mnie słuchać. Problem w tym, że całe zachodnie Yorkshire zachowuje się tak, jakby Simon był pierwszy na liście podejrzanych. Ja zajmuję zaszczytną drugą pozycję. A te żółtodzioby nie zamierzają potulnie tego znosić. Zresztą sama wiesz, jak to jest, kiedy rozpracowuje się seryjnego zabójcę i sprawa staje się osobista. Brakuje im doświadczenia, nie poradzą sobie. Vance albo ktoś z jego ludzi wygrał z najlepszą i najinteligentniejszą z nich. Nie chcę mieć kolejnej śmierci na sumieniu.

Carol wsypała kawę do filtra i włączyła ekspres.

- Zrozumiałe - odparła. - Ale... jeżeli się co do nich nie mylę, zajmą się tym tak czy inaczej. Najlepszy sposób, żebyś nikogo więcej nie stracił, to przejąć kontrolę. Co możesz osiągnąć w jednym wypadku: pracując z nimi. Przydziel im co żmudniejsze zajęcia, każ się nabiegać przy zbieraniu wywiadów środowiskowych, od jakich się zaczyna pracę w dochodzeniówce. Śliskie sprawy, wszystko, co uznamy za niebezpieczne albo wymagające specjalistycznych technik, weźmiemy na siebie.

- „My”?

Carol plasnęła się w czoło grzbietem dłoni i skrzywiła.

- Dlaczego mam wrażenie, że właśnie dałam się nabić w butelkę? - Szturchnęła go w ramię. - Weź cukier, mleko i kubki i zanieś je na tacy, zanim się rozzłoszczę.

Odczuwał dziwną ulgę na myśl, że w ciągu kilku godzin z Samotnego Jeźdźca zmienił się w kapitana drużyny. Zanim Carol przyniosła kawę, zdążył powiadomić o swojej decyzji wielce z siebie zadowoloną drużynę.

Położył laptopa na stole z nielakierowanej sosny i podłączył modem, po czym wetknął wtyczkę zasilacza do najbliższego gniazdka. Pozostali ustawiali się tak, żeby widzieć monitor, Carol zaś spytała półgłosem:

- Przesłuchanie było bardzo nieprzyjemne?

- Skończyło się tak, że wyszedłem - wyjaśnił zwięźle, czekając na rozruch systemu. - Nazwijmy to wrogą atmosferą. Niby jest „cześć, cześć, chłopaki”, ale tak naprawdę wcale nie uważają, że jesteśmy po tej samej stronie, wiesz? Wakat głównego podejrzanego rezerwują dla Simona. Miał pecha, że Shaz zgodziła się pójść z nim na randkę akurat tego wieczora, kiedy zginęła. Ale ja jestem pewnie drugim faworytem.

Gdy podniósł wzrok na Carol, dostrzegła w jego spokojnej twarzy cierpienie.

- Durne kmiotki - powiedziała i postawiła kubek z kawą przy laptopie. - Z drugiej strony Yorkshire to Yorkshire, co za różnica, wschodnie czy zachodnie. Wierzyć mi się nie chce, że nie korzystają z waszej pomocy. Leon zaniósł się niewesołym śmiechem.

- Mowa. Można tu palić?

Carol obserwowała go ukradkiem; jego palce bezgłośnie bębniły o udo. Zaraz sam się tu spali.

- Spodek jest w szafce kuchennej nad czajnikiem - mruknęła. -
Tylko w tym pomieszczeniu, proszę.

Gdy wyszedł, przysunęła fotel bliżej Tony'ego i usiadła.
Patrzyła, jak monitor zmienia się za dotknięciem klawiszy.

Tony włamał się do systemu, podszywając się pod Shaz.
Skinieniem wskazał migający kursor.

- Godzinami łamałem sobie głowę przez to cholerstwo. Mogę się
zalogować jako Shaz, ale nie potrafię odgadnąć jej hasła.

Wyrecytował wszystkie swoje pomysły, podzielone na
kategorie, odliczając je na palcach, potem Leon, Kay i Simon sypnęli
własnymi. Carol przysłuchiwała się temu z uwagą; lewą ręką skubała
kosmyki jasnych włosów na karku. Kiedy Tony i pozostała trójka
umilkli, oznajmiła:

- Nie wpadliście na to, co najbardziej oczywiste, co? Kogo Shaz
podziwiała? Kim chciała być?

- Szefową Scotland Yardu? Myślisz, że powinno się spróbować
ze słynnymi komisarzami policji metropolitalnej?

Carol przysunęła do siebie laptopa, żeby dosięgnąć klawiatury.

- Raczej ze sławnymi profilerami.

Wstukała: RESSLER, DOUGLAS, LEYTON, ale bez rezultatu.
Z niewesołym uśmiechem wpisała: TONYHILL. Monitor na chwilę
poczerniał, potem pojawiło się menu.

- Cholerny świat, że też się o to nie założyłam - podsumowała
kwaśno.

Kursanci nagrodzili ją brawami, pogwizdywaniem i pohukiwaniem. Tony potrząsnął głową.

- Co muszę zrobić, żeby zwerbować cię do jednostki? - spytał. - Marnujesz się w zwykłej dochodzeniówce. Tyle administracyjnej roboty, a powinnaś zaprzęgnąć swój natchniony umysł do łapania psychopatów.

- Jasne - stwierdziła Carol sarkastycznie, popychając laptopa w jego stronę. - Jeśli jestem taka dobra, to czemu nie wpadłam na to, że mój podpalacz to zwykły oprych, a nie wariat.

- A temu, że pracowałaś sama. Nie najlepsza metoda, kiedy chodzi o analizę psychologiczną. Profilerzy powinni pracować w parach, śledczy i psycholog to uzupełniające się umiejętności.

Przesunął kursor w dół, do opcji: „Katalog plików”, i wcisnął „enter”.

Carol zręcznie zmieniła temat, zachęcając Leona, Kay i Simona do rozwinięcia teorii Tony’ego, że podpalaczem jest strażak na niepełnym etacie, kierujący się klasycznym motywem.

- Ale *jaki* to motyw? - odezwała się Kay. - Kluczowe pytanie, prawda?

- Jak klasyczny, to wystarczy spytać, kto zbiera profity - odparł Leon. - Skoro nie właściciele ani nie firmy ubezpieczeniowe, to może jakaś szycha ze straży pożarnej, która nie życzy sobie kolejnych redukcji.

Tony oderwał wzrok od nazw plików, przesuujących się na monitorze.

- Niezła myśl - pochwalił. - Choć pokrętna. Jako zwolennik brzytwy Ockhama popieram najbardziej łopatologiczną teorię. Długi - dodał i ponownie wlepił oczy w monitor.

- Długi? - powtórzyła Carol z powątpiewaniem.

- Zgadza się. - Obejrzał się na nią. - Ktoś, kto ma mnóstwo długów i zdolność kredytową na minusie. Dom zajęty przez komornika albo na granicy przejęcia, sterta niekorzystnych wyroków sądowych. Od jednego pożycza, żeby drugiemu oddać.

- Ale nocne wezwanie to ile? Pięćdziesiąt, sto funciaków góra, zależy, jak długo będą gasić? Nie myśli pan chyba, że ktoś narażałby własną wolność i życie kolegów dla takiej kwoty! - zaprotestował Simon.

Tony wzruszył ramionami.

- Jak się jest pod ścianą, dodatkowa stówka może decydować o tym, czy zostaniesz w jednym kawałku, czy też połamię ci nogi, podprowadzą samochód, wyłączą prąd, a bank ogłosi cię bankrutem. Spłacasz dwadzieścia funtów z jednego długu, pięćdziesiąt z innego, dziesiątka tu, piątka tam. Okazujesz dobrą wolę. Dzięki temu dają ci trochę odsapnąć. Sądy bardzo niechętnie podejmują drastyczne kroki, jeżeli jesteś w stanie wykazać, że naprawdę się starasz. Każda rozsądna osoba wie, że w ten sposób tylko odsuwa czarną godzinę, ale człowiek zadłużony po uszy przestaje trzeźwo myśleć. Zaczyna fantazjować, oszukiwać samego siebie, że jeśli tylko pokona ten ostatni wybój, dalej droga będzie prosta. Widywałem żalosnych idiotów, którzy wisieli blisko dwadzieścia kawałków

niebezpiecznemu lichwiarzowi, a mimo to nadal zatrudniali sprzątaczkę i ogrodnika, ponieważ zwolnienie ich byłoby jak przyznanie się do tego, że stracili kontrolę nad własnym życiem. Szukaj kogoś na granicy niewypłacalności, Carol.

Ponownie wpatrzony w monitor, mruknął:

- Niech pomyślę... OSZAG. 001. To chyba jej prezentacja, jak myślicie?

- Na to wygląda. A OSZAGJV. 001 to pewnie wyniki jej prywatnego śledztwa w sprawie Jacko Vance'a.

- Rzućmy na to okiem. - Tony otworzył plik.

Gdy wyświetlił się tekst Shaz, poczuł się jak na seansie spirytystycznym. Zupełnie jakby wyjątkowe niebieskie oczy majaczyły za jego plecami, wbijały się w niego kategorycznym spojrzeniem. Wyszeptał:

- Mój Boże. Dla niej to nie była zabawa.

LISTA KONTROLNA CECH SPRAWCY

Jacko Vance

Re: grupa OSZAG

Rodność matki Jedynak.

Stabilność posady ojca Inżynier - długie okresy przebywania poza domem na kontraktach.

Nieobecny ojciec Patrz wyżej.

Brak konsekwencji w dyscyplinie rodzicielskiej Patrz powyżej; ponadto matka przeszła depresję poporodową, odtrąciła JV, a w późniejszym okresie traktowała go surowo.

IQ powyżej przeciętnej Uznawany za inteligentnego przez nauczycieli, ale wyniki w nauce gorsze od spodziewanych; źle wypadł na egzaminach.

Zawód wymagający dużych umiejętności, zróżnicowany przebieg zatrudnienia Najpierw oszczepnik, potem prezenter telewizyjny; perfekcjonista, skłonny do napadów szału i zwalniania członków ekipy; gdyby nie nagradzana medalami sprawność fizyczna popularność wśród widzów, z biegiem lat straciłby szereg kontaktów na skutek aroganckiego i protekcyjnego zachowania.

Szalenie sprawny w kontaktach z ludźmi; może bywa towarzyski i komunikatywny, ale nie potrafi nawiązać emocjonalnej więzi Patrz wyżej; na powierzchownym poziomie ma bardzo dobrą więź z widzami; jednak jednym z powodów, dla których jego małżeństwo postrzegane jest jako tak udane, jest to, iż nie utrzymuje żadnych intymnych kontaktów z kobietami czy mężczyznami poza obrębem tego związku.

Mieszkanie z partnerem/partnerką Zona Micky, są razem od dwunastu lat. Małżeństwo bardzo na pokaz, złota para krajowej telewizji.

Jednak często poza domem: zarówno interesy, jak i czasochłonna praca dobroczynna.

Opanowanie podczas dokonywania zbrodni Brak danych: ale Vance znany jest w biznesie z zimnej krwi w trudnych sytuacjach.

Przyjmowanie alkoholu bądź narkotyków podczas dokonywania zbrodni Brak danych. Brak historii problemów alkoholowych, pewne

wskazania na to, że mógł borykać się z uzależnieniem od środków przeciwbólowych w następstwie wypadku, w którym stracił rękę.

Mobilny; samochód w dobrym stanie technicznym Vance ma srebrnego mercedesa - kabriolet z podnoszonym dachem - oraz land rovera. Oba pojazdy mają automatyczne skrzynie biegów i zostały przystosowane do jego niesprawności.

Siedzi zbrodnie w mediach Znajduje się w idealnej sytuacji, by to robić - ma bezpośredni dostęp do mediów. Zalicza wielu dziennikarzy w poczet znajomych.

Ofiary mają cechy wspólne Tak - patrz załącznik „A” z początkową wersją siedmioosobowej grupy ofiar.

Zachowanie niebudzące podejrzeń Miliony ludzi z całym zaufaniem powierzyłyby mu życie, swoje lub córek. W sondażu sprzed czterech lat uznano go za trzecią najbardziej godną zaufania osobę w Wielkiej Brytanii po królowej i biskupie Liverpoolu.

Przeciętny wygląd

Nie sposób ocenić obiektywnie. Blichtr sławy, dbałość o aparycję oraz kosztowne stroje uniemożliwiają cokolwiek ponad powierzchowny osąd.

Choroba psychiczna w najbliższej rodzinie Brak danych; matka zmarła osiem lat temu, rak.

Problemy z alkoholem bądź narkotykami w najbliższej rodzinie Brak danych.

Rodzice z przeszłością kryminalną Brak danych.

Dręczenie emocjonalne Matka rzekomo powtarzała mu, że jest brzydki i niezdarny, „zupełnie jak ojciec”. Jak się wydaje, winiła go za nieobecność ojca.

Dysfunkcja seksualna - niezdolność do dojrzałej relacji z inną osobą dorosłą, za jej zgodą Nic za tym nie przemawia: życie małżeńskie upublicznione. Brak wskazań, jakoby MM była nieszczęśliwa w małżeństwie lub miała kochankę??? Sprawdzić w rubrykach plotkarskich??? Sprawdzić u mundurowych z lokalnych patroli - jakieś przesłanki???

Chłodna, obojętna matka; bardzo ograniczony dotyk i brak ciepła emocjonalnego w dzieciństwie Implikowane w obu książkach.

Egocentryczny ogląd świata Wszystkie dowody - nawet bałwochwalcza relacja MM - przemawiają za tym.

Bity w dzieciństwie MM napomyka, że opowiadał kiedyś, jak jego ojciec wrócił do domu z wyjazdu i stłukł go za to, że bardzo słabo wypadł na „Eleven plus”.

Był jako dziecko świadkiem stresogennych sytuacji o charakterze seksualnym, np. gwałtu małżeńskiego, prostytuująca się matka Brak danych.

Separacja rodziców przypadająca na dzieciństwo lub wczesne lata młodzieńcze Rodzice rozwiedli się, kiedy miał dwanaście lat.

Według książki MM, jego obsesja na punkcie lekkoatletyki była próbą zwrócenia na siebie uwagi ojca.

Wiek młodzieńczy zdominowany przez autoerotyzm Brak danych.

Fantazjowanie o gwałcie Brak danych.

Skłonności voyeurystyczne Brak danych.

Świadomość, że jego relacje seksualne/emocjonalne są anormalne i pretensje do świata Brak danych.

Obsesyjny charakter

Potwierdzają koledzy zarówno z pracy, jak i konkurencja.

Irracjonalne lęki, fobie Brak danych.

Notoryczny kłamca Szereg przypadków, kiedy „przerabiał” incydenty z przeszłości; porównać książki.

Stresor katalizujący zbrodnię? Pierwszą dziewczyną Jacko Vance’a była Jillie Woodrow. Wcześniej nie układało mu się z dziewczynami. Kiedy się zeszli, miał prawie szesnaście lat, ona zaledwie czternaście. Nie licząc obsesyjnych treningów, obchodziła go tylko ona. Ich związek miał charakter wyłącznościowy, kompulsywny i toksyczny. To on, miał na nią dominujący wpływ. Zaręczyli się, jak tylko skończyła szesnaście lat, choć jej rodzicie i jego matka byli temu przeciwni; kontaktów z ojcem już wtedy nie utrzymywał. Po wypadku i utracie ręki, jak przekonuje w książce MM, zwrócił Jillie wolność, ponieważ nie był już tym samym mężczyzną, którego zgodziła się poślubić; wersja TB głosi, że dziewczyna od pewnego czasu szukała wyjścia z klaustrofobicznego związku, a w wypadku upatrywała jedynie pretekstu: twierdziła, że perspektywa życia z człowiekiem mającym protezę ramienia budzi w niej odrazę. MM i Vance zeszli się niewiele później. Tuż przed ich ślubem Jillie rozwiązał się język w wywiadzie dla „The News of the World”: ujawniła, że Vance zmuszał ją do uczestnictwa w

sadomasochistycznych rytuałach, wiązał ją i wymuszał na niej stosunki seksualne. Vance usiłował zapobiec publikacji wywiadu i stanowczo wszystkiemu zaprzeczył. Wywiad się ukazał, choć Vance wystąpił na drogę sądową, ale nie domagał się odszkodowania: twierdził, że nie stać go na proces. (Prawdopodobnie na ówczesnym etapie jego kariery rzeczywiście tak było). Albo koniec związku z Jillie w traumatycznych okolicznościach, albo jej późniejszy wywiad mógł okazać się wystarczająco potężnym stresorem, żeby popchnąć Vance'a do pierwszej z serii zbrodni.

- O cholera - jęknęła Carol, gdy doczytała do końca. - Naprawdę daje do myślenia.

- Pani zdaniem Jacko Vance mógłby być seryjnym zabójcą? - spytała Kay.

- Shaz tak uważała. A ja nie wykluczam, że miała rację - wtrącił Tony ponuro.

- Coś mi tu nie pasuje - odezwał się nagle Simon. Zachęcony pytającym spojrzeniem Tony'ego, wyjaśnił: - Jeśli Vance to socjopata, to czemu ratował te dzieciaki i próbował wyciągnąć kierowcę z tamtej ciężarówki? Czemu nie zostawił ich na pewną śmierć?

- Dobre pytanie - pochwalił Tony. - Powiedziałbym, że w okresie, gdy kształtował się jego charakter, Vance desperacko walczył o uwagę i aprobatę. W momencie wypadku automatycznie wybrał działanie, które podniesie go w oczach innych.

- Będziesz musiał dać znać McCormickowi i Whartonowi, że dotarłeś do tego pliku - zauważyła Carol.

- Nie mam na to szczególnej ochoty po tym, jak mnie potraktowali.

- Przecież chcesz, żeby zamknęli zabójcę Shaz?

- Tak, chcę, żeby zamknęli zabójcę Shaz - oświadczył Tony stanowczo. - Po prostu nie wierzę, żeby ci dwaj mieli dość wyobraźni, aby należycie wykorzystać te informacje. Pomyśl, Carol. Jeśli im powiem, co znaleźliśmy, i tak mi nie uwierzą. Założą, że majstrowaliśmy przy tych plikach. Już sobie wyobrażam, jak przesłuchują Vance'a. - Z łatwością przeszedł na dialekt swojego dzieciństwa. - „Dobra, panie Vance, przepraszamy za kłopot, ale naszym zdaniem dziewczyna, co tu była w sobotę, uważa pana za seryjnego zabójcę. Głupota, to się wie, ale że dała się zamordować tego samego wieczora, tośmy pomyśleli, że lepiej przyjść na słówko. Może akurat coś pan widział, niby jakiego dziwoląga, co za nią łąził”.

- Przesadzasz - zaprotestowała Carol, ale parsknęła śmiechem.

- Akurat, są jeszcze gorsi - mruknął Leon.

- Nigdzie nie pójda i wcale Vance'a nie przesłuchają - zachnął się Simon. - Rozdziawią tylko japy z podziwu i staną po jego stronie. Wpiszą się mu do karneciku i cześć pieśni.

- A Jack Chłopak na Medal to inteligentny drań - podjął Tony. - Skoro już wie, że policja jest poinformowana o wizycie Shaz, będzie chodzącą niewinnością. Więc coś mi podpowiada: nie, nie mów im.

Zapadło milczenie. Po dłuższym czasie Simon spytał:

- Co teraz?

Tony wyjął z torby na laptopa notes i szybko coś nagryzmolił.

- Jak coś robić, to porządnie. Co znaczy, że będę kontrolował i koordynował wasze działania. Carol, jest w okolicy jakaś knajpa, która dowozi jedzenie?

Parsknęła drwiąco.

- Tutaj? Zróbcie coś dla mnie. Jest chleb, ser, salami, tuńczyk, jakaś sałata. Pomóżcie mi. Zorganizujemy jakieś kanapki, a nasz przywódca pomedytuje.

Po kwadransie wrócili z górą kanapek i miską chipsów. Porozkładali się po całym salonie z butelkami piwa i talerzami i słuchali.

- Myślę, że wszyscy się zgodziliśmy, iż wiele przemawia za tym, że śmierć Shaz wiąże się z czymś, co zrobiła po przyjeździe do Leeds. Nic nie wskazuje na to, by miała jakichś dawnych wrogów. Zatem wyjdziemy z założenia, że Shaz Bowman słusznie twierdziła, że na wolności przebywa nieznany policji seryjny zabójca nastoletnich dziewcząt. - Pytająco uniósł brwi i zarejestrował cztery potakujące skinienia.

- Zewnętrzny czynnik łączący te sprawy to obecność Jacko Vance'a. Shaz przyjęła, że to on jest zabójcą, aczkolwiek nie powinniśmy zapominać, że sprawcą mógłby się okazać ktoś z jego otoczenia. Osobiście opowiadam się za Vance'em.

- Stary, poczciwy Ockham - mruknął Simon kwaśno.

- Nie tylko w myśl zasady o najmniej skomplikowanym wyjaśnieniu - zastrzegł się Tony. - Na mój pogląd wpływają także ramy czasowe zabójstw. Nie wiem, czy ktokolwiek współpracował z Vance'em przez całe sześć lat. A Vance ma charyzmę.

Mamy sporządzony przez Shaz profil Vance'a. Powierzchnowy, co nieuniknione. Opierała się na ogólnodostępnych materiałach, bo zdobycie innych wymagałoby czasu. Były to, zdaje się, dwie biografie: jedna napisana przez żonę Vance'a, druga przez pismaka zajmującego się show-biznesem. Musimy dotrzeć znacznie głębiej, zanim będziemy mogli orzec, czy to człowiek zdolny do popełnienia postulowanej tu serii zabójstw.

Znowu zgodne skinienia. Leon podszedł do wejścia do kuchni, żeby zapalić, nie psując nikomu przyjemności z jedzenia.

- Zrozumiano - powiedział przeciągle. - Nasze zadania, o ile będziemy skłonni je przyjąć, to...?

- Trzeba odszukać jego dawną narzeczoną, Jillie Woodrow. Osoba odpowiedzialna za przesłuchanie Jillie powinna również ogólnie przyjrzeć się latom jego młodości: rodzinie, sąsiadom, kolegom ze szkoły, nauczycielom, miejscowym gliniarzom o długim stażu pracy bądź od niedawna na emeryturze. Simon, piszesz się na to?

Simon zaniepokoił się.

- Co dokładnie miałbym zrobić?

Tony spojrzał znacząco w kierunku Carol.

- Dowiedzieć się o Jacko wszystkiego, co się tylko da - odpowiedziała. - Pełny wywiad środowiskowy. Jeśli potrzebujesz wiarygodnego pretekstu, mów, że prowadzimy dochodzenie w sprawie gróźb pod jego adresem i uważamy, że przyczyny należy szukać w jego przeszłości. Ludzie przepadają za powiewem melodramatyzmu. Z Jillie tak się nie uda. Może warto by nakłamać, że chodzi o pomówienia, z jakimi wystąpiła przeciwko Jacko jakaś prostytutka. Zasugeruj, że twoim zdaniem to podłe kłamstwa.

- No, dobra. Ale jak ją znajdę, skoro nie mam dostępu do ogólnokrajowej policyjnej bazy danych. Jakaś podpowiedź?

- O tym za chwilę - uspokoił go Tony. - Leon, dowiedz się, jak wyglądało jego życie na trochę przed wypadkiem, w którym stracił rękę, i po nim. Weź pod lupę także początki jego kariery w telewizji. Może udałoby ci się odszukać jego dawnego trenera, ludzi, z którymi pracował zaraz po podjęciu posady komentatora sportowego. Sportowców, którzy byli z nim w reprezentacji kraju, tego rodzaju rzeczy. Okay?

- Załatwione - odpowiedział Leon zimno i po raz pierwszy w życiu śmiertelnie serio. - Nie pożałujesz, że mnie o to poprosiłeś, człowieku.

- Kay, twoje zadanie to odwiedzić rodziców dziewcząt wytypowanych przez Shaz i ponownie ich przesłuchać. Klasycznie, jak to w związku z zaginięciem, plus cokolwiek zdołasz z nich wyciągnąć na temat Jacko Vance'a.

- Lokalne posterunki chętnie udostępnią ci akta - wtrąciła Carol.
- Będą zachwyceni, że ktoś chce wziąć na siebie odpowiedzialność za taką beznadziejną sprawę, i najpewniej dadzą ci wolną rękę.

- A wszystkiego dopilnuje obecna tu starsza inspektor Jordan - uzupełnił Tony jednym tchem. - Będzie wam ułatwiać działania, rozmawiać ze starszymi funkcjonariuszami z innych posterunków na terenie kraju i zbierać dla was informacje. Ustali obecne miejsce pobytu Jillie Woodrow, sprawdzi, co się stało z trenerem Vance'a, a także poda wam adresy rodzin ofiar, choćby przeprowadzili się do Scunthorpe.

Carol wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Leon, Simon i Kay z zachwytem nastolatków czekali na wiszącą w powietrzu kłótnię.

- Świetnie - mruknęła sarkastycznie. - Mam bardzo mało roboty i z przyjemnością dopiszę te drobiazgi do mojego grafiku. No, Tony, a co ty będziesz porabiał, kiedy reszta z nas będzie odwalać całą harówkę?

Sięgnął po kanapkę, sprawdził, z czym jest, potem spojrzał na Carol z uśmiechem.

- Potrząsnę drzewem - oświadczył.

Micky uznała, że inspektor Colin Wharton wygląda jak kryminalista z jednego ze straszliwie przewidywalnych seriali o gliniarzach i rabusiach, taśmowo produkowanych przez sieci kablowe. Kiedyś musiał być przystojny na swój niechlujny sposób, ale nadmiar

trunków oraz jedzenia rozmył mu rysy, a pod niebieskimi oczami pojawiły się worki. Zgadywała, że pewnie szykuje się do drugiego rozwodu; dzieciaki z poprzedniego małżeństwa wyrosły na nastolatków z piekła rodem; powoli zaczyna go poboлеваć w którychś z ważnych organów wewnętrznych, niezbyt mocno, ale z niepokojącą regularnością. Powściągliwie skrzyżowała nogi i posłała mu uśmiech, jakim skutecznie dodawała otuchy tysiącom gości w studiu. Po prostu wiedziała, że kompletnie go rozbroi. Jego i posterunkowego, który miał taką minę, jakby wstydził się poprosić o autograf.

Zerknęła na zegarek.

- Jacko powinien wrócić lada moment. To przez te korki. Betsy ma tak samo. Moja osobista asystentka.

- Już pani uprzedzała - stwierdził Wharton. - Jeśli to nie robi pani różnicy, zaczniemy od razu. Z panią Thorne i panem Vance'em pomówimy później. - Pogmerał w teczce rozłożonej na kolanach; spodnie opinały go komicznie. - Rozumiem, że rozmawiała pani z posterunkową Bowman na dzień przed jej śmiercią. Jak doszło do tego spotkania?

- Mamy dwie linie telefoniczne, jedną dla mnie, jedną dla Jacko. Zastrzeżyliśmy numery, nie rozdajemy ich byle komu. Zna je zaledwie garstka osób. Kiedy wychodzę na miasto, przekierowuję rozmowy ze stacjonarnego aparatu na komórkę, i właśnie tak dodzwoniła się do mnie posterunkową Bowman. To było w piątek rano, około wpół do dziewiątej. Była ze mną researcherka, prawdopodobnie mogłaby to potwierdzić. - Micky zdała sobie sprawę, że rozwodzi się nad

szczegółami bez znaczenia, co aż nazbyt dobitnie dowodziło zdenerwowania, i umilkła.

- Ale to nie był inny researcher? - naprowadził ją Wharton.

- Nie. Głos, którego nie znałam. Przedstawiła się jako posterunkową Sharon Bowman z policji metropolitalnej i powiedziała, że chce się umówić na spotkanie z Jacko. Moim mężem.

Wharton zachęcił ją skinieniem głowy.

- A pani na to?

- Wyjaśniłam, że dodzwoniła się na komórkę, a ona przeprosiła i powiedziała, że podano jej ten numer jako jego prywatny. Spytała, czy może z nim rozmawiać, a kiedy powiedziałam, że nie ma go ze mną, czy może zostawić dla niego wiadomość. Z reguły nie wyręczam sekretarki Jacko, ale skoro dzwonił ktoś z policji, pomyślałam, że zrobię najlepiej, jeśli przekażę jej prośbę mężowi.

Uśmiechnęła się; kobieta onieśmielona w obliczu autorytetu, przepraszająca, że żyje. Występ był fatalny, ale Wharton najwyraźniej niczego nie zauważył.

- Rozsądne podejście, pani Morgan - zapewnił. - Jak brzmiała wiadomość?

- Mówiła, że to zwykła formalność, rutynowa procedura, ale że chciałaby z nim porozmawiać w związku ze sprawą, nad którą obecnie pracuje. Ponieważ ma inne zobowiązania, pasuje jej tylko sobota, ale bardzo chętnie dostosuje się do grafiku mego męża. Czas i miejsce spotkania wedle jego uznania. I zostawiła numer kontaktowy, pod którym będzie mógł ją złapać.

- Nadal ma pani ten numer? - spytał Wharton; kolejne standardowe pytanie.

Micky podała mu kajet.

- Jak pan widzi, nowy dzień zaczynamy od nowej kartki. Wpisujemy wszystko, jak leci: numery telefonów, pomysły na programy, domowe różności.

Wharton przeczytał: „Post. Sharon Bowman. Jacko. Rozm.??? sobota??? zdecyduj kiedy + gdzie. 307-46-76 sierż. Devine”. Potwierdzało to oświadczenie, jakie złożyła telefonicznie sierżant Devine, ale Wharton wolał się upewnić.

- Ten numer... to w Londynie? Micky skinęła głową.

- Tak. 0171. Taki sam kierunkowy jak do nas, dlatego nie chciało mi się zapisywać. Ale to zrozumiałe, zdaje się? Była z policji metropolitalnej.

- Była tymczasowo przeniesiona do jednostki w Leeds - powiedział z naciskiem. - I tam mieszkała, pani Morgan.

- No proszę - odparła Micky. - A wie pan, z jakiegoś powodu kompletnie mi to umknęło. Dziwne.

- Istotnie - mruknął Wharton. - Zatem przekazała pani wiadomość mężowi i na tym koniec?

- Nagrałam się na jego poczcie głosowej. Wspomniał później, że umówił się z nią na spotkanie u nas w domu na sobotę rano. Wiedział, że nie będzie mi to przeszkadzać, ponieważ wybierałyśmy się z Betsy do „Le Shuttle” na darmowy bankiet. Plusy profesji.

Znowu posłała mu promienny uśmiech. Wharton zastanowił się melancholijnie, dlaczego kobiety jego życia nigdy nie wyglądają na takie uradowane, kiedy z nim rozmawiają.

Zanim zadał kolejne pytanie, w wyłożonym parkietem holu rozbrzmiały kroki. Zdążył się częściowo obrócić, gdy otworzyły się drzwi. Do salonu wkroczył Jacko Vance - uosobienie niespożytej energii w drogim garniturze. Miał w sobie coś, co sprawiało, że chciało się go oglądać nawet podczas tak banalnych czynności jak przejście przez pomieszczenie i podanie ręki w powitalnym geście.

- Inspektor Wharton, jak przypuszczam - przemówił Vance ciepło, udając, że nie zauważa wypieków na twarzy śledczego, który zastygł w pół drogi między pozycją siedzącą a stojącą, podał niewłaściwą rękę, następnie niezdarne przełożył plik papierów, po czym przesadnie długo potrząsał dłonią Jacko. - Pewnie w sprawie tej tragedii...? - Vance odwrócił się i przyjaznym skinieniem powitał posterunkowego, przestępującego z nogi na nogę, następnie usiadł obok żony. Poklepał ją po udzie. - Trzymasz się jakoś, Micky? - spytał z taką samą troskliwością, jaką okazywał nieuleczalnie chorym.

- Właśnie mówiliśmy o telefonie posterunkowej Bowman - wyjaśniła.

- Racja. Niech mi panowie wybaczą spóźnienie. Wpakowałem się w korek na West Endzie - powiedział, układając usta w znajomy, przepraszający uśmiech.

- Pani Morgan przekazała panu wiadomość od posterunkowej Bowman, zgadza się?

- Jak najbardziej - potwierdził Vance z wielką pewnością siebie.
- Zadzwońm pod numer, który podała, i rozmawiałem z panią sierżant. Niestety, nazwisko kompletnie wyleciało mi z głowy. Powiedziałem, że jeśli posterunkowa Bowman przyjdzie do nas w sobotę rano między wpół do dziesiątej a południem, chętnie ją przyjmę.

- Bardzo to uprzejmie, taki zapracowany człowiek... - stwierdził Wharton.

Vance uniósł brwi.

- Zawsze staram się pomagać władzom, jak tylko mogę. To nie był dla mnie żaden kłopot. Na ten dzień planowałem tylko podgonić prywatną papierkową robotę, potem podjechać do domku letniskowego w Northumberland i w miarę wcześnie się położyć. W niedzielę miałem poprowadzić imprezę charytatywną, ten półmaraton w Sunderland, wie pan. - Przybrał niedbałą pozę; był przekonany, że ostatnia kwestia, rzucona na przynętę, zostanie odnotowana i uwieczniona w aktach po stronie dowodów jego niewinności.

- O której pojawiła się posterunkowa Bowman? - spytał Wharton. Vance skrzywił się i zwrócił twarz ku Micky.

- Która to była? Właśnie wychodziłyście, prawda?

- Zgadza się - potwierdziła. - Musiało być koło wpół do dziesiątej. Betsy pewnie potrafi określić to dokładniej. Tylko ona w tym domu ma jakiegokolwiek poczucie czasu. - Uśmiechnęła się kwaśno, zdumiona, z jaką łatwością ten policjant przyjmuje do wiadomości, że para telewizyjnych sław, która trzyma w garści

najbardziej popularne programy, nie potrafi na wyczucie określić pory z dokładnością do trzydziestu sekund. - Praktycznie stałyśmy w drzwiach. Jacko był na górze i rozmawiał przez telefon, więc pokazałam jej, które to drzwi, i już nas nie było.

- Nie kazałam jej czekać więcej niż parę minut - podjął gładko Vance. - Przeprosiła, że nachodzi mnie w weekend, ale wytłumaczyłam jej, że w tym zawodzie tak naprawdę nie ma wolnych weekendów. Łapiemy dla siebie tyle czasu, ile się da, prawda, kochanie? - Spojrzał na żonę z uczuciem i objął ją ramieniem.

- A ciągle go mało - westchnęła Micky. Wharton chrząknął.

- Mogę spytać, o czym chciała z panem pomówić posterunkowa Bowman?

- Czy to znaczy, że pan nie wie? - ożywiła się Micky; natychmiast rozbudził się w niej instynkt dziennikarski. - Funkcjonariuszka policji pokonuje całą drogę z Yorkshire do Londynu, żeby porozmawiać z tak znanym człowiekiem jak Jacko, a pan nie wie nawet, czemu to miało służyć? - Wyglądała na zdumioną, pochylona do przodu, oparta przedramionami o uda, z szeroko rozłożonymi dłońmi.

Wharton poruszył się niespokojnie i wpatrzył z uporem w punkt na ścianie między dwoma wąskimi oknami.

- Posterunkowa Bowman została przydzielona do nowej jednostki. Ściśle biorąc, nie powinna prowadzić czynności operacyjnych. Z grubsza wiemy, nad czym pracowała, ale na chwilę obecną nie uzyskaliśmy ostatecznego potwierdzenia. Bardzo by nam

pomogło, gdyby pan Vance zechciał opowiedzieć, jak przebiegło sobotnie spotkanie. - Sapnął przez nos i posłał gospodarzom zakłopotane, proszące spojrzenie.

- To żaden kłopot - zapewnił swobodnie Vance. - Posterunkowa Bowman wyjaśniła, że pracuje nad serią zaginięć nastoletnich dziewcząt. Jej zdaniem do ucieczki z domu nakłoniła je jedna i ta sama osoba. Część z tych dziewcząt pojawiała się na moich występach na krótko przed tym, jak znikwały rodzinom z oczu, i pani śledcza zastanawiała się, czy moich fanek nie prześladowuje jakiś maniak. Powiedziała, że chce mi pokazać zdjęcia tych dziewcząt, bo liczyła na to, że widziałem, jak rozmawiały z jakąś konkretną osobą.

- Kimś z pańskich ludzi, to chce pan powiedzieć? - podsunął Wharton grzecznie.

Vance zaśmiał się ciepłym barytonem.

- Przykro mi, że pana rozczarowuję, panie inspektorze, ale ja właściwie nie mam „swoich” ludzi. Kiedy robię program, mam grono bardzo bliskich współpracowników. Czasem, kiedy szykuję się do „sztuki” - to jest, do publicznego występu - mój producent czy researcher, który zbiera materiały do programu, wpadają, żeby dotrzymać mi towarzystwa i trochę pomóc. Wszystko, co wydaję na ochronę i całą resztę, pochodzi z mojej prywatnej kieszeni. A ponieważ lwia część mojej pracy wiąże się z zarabianiem gotówki dla instytucji dobroczynnych, szaleństwem byłoby wydawać więcej niż to absolutnie konieczne. Zatem, jak wyjaśniłem posterunkowej Bowman, nie mam wiernych poddanych. Jest tylko, jak myślę, grupka oddanych

pomocników. Przypuszczam, że znalazłoby się także parę tuzinów fanów i fanek, którzy pojawiają się na każdej prowadzonej przeze mnie imprezie. Dziwni ludzie, ale zawsze myślałem, że są nieszkodliwi.

- To cena sławy - stwierdziła Micky rzeczowo. - Jeśli kilku dziwaków nie jeździ za tobą, dokądkolwiek się ruszysz, jesteś nikim. Wie pan, niechlujni faceci w anorakach i kobiety w poliestrowych kieckach i sweterkach z akrylu. A wszyscy z koszmarnymi fryzurami. Nie są to osoby, z jakimi uciekłaby statystyczna nastolatka, dając panu słowo.

- Z grubsza to samo powiedziałem posterunkowej Bowman - ciągnął Vance. Jak gładko i naturalnie wychodzi im współpraca, pomyślał. Może już czas, żeby zacząć razem prowadzić programy. Zrobił w pamięci notatkę, żeby omówić ten pomysł z producentem. - Pokazała mi fotografie kilku dziewcząt, ale niczego sobie nie przypomniałem. - Rozbrajające wzruszenie ramion. - Proszę mi się nie dziwić. Na jednej imprezie potrafię napisać przeszło trzysta autografów. No, powiedziałem: „napisać”... chociaż „nabazgrać” byłoby bliższe prawdy. - Spojrzał ze smutkiem na protezę ręki. - Pisanie to jedna z wielu rzeczy, które nie udają mi się jak kiedyś.

Zapadła cisza. Trwała zaledwie chwilę, ale Whartonowi dłużyła się jak Dzień Pamięci Narodowej. Szukał sensownego pytania.

- Jak posterunkowa Bowman na to zareagowała, panie Vance? Na pańskie zapewnienie, że nic więcej pan nie pamięta, o to mi chodzi.

- Wyglądało na to, że jest rozczarowana - stwierdził Vance. - Ale przyznała, że od początku nadzieja była mizerna. Wyraziłem ubolewanie, iż nie okazałem się bardziej pomocny, potem wyszła. To musiało być jakoś... och, o wpół do jedenastej czy coś koło tego?

- Czyli spędziła tu mniej więcej godzinę? To chyba sporo czasu na zadanie kilku pytań - rzucił Wharton, raczej ze skrupulatności niż podejrzliwie.

- Racja, sporo - przytaknął Vance. - Ale pozwolę sobie przypomnieć, że kilka minut na mnie czekała, potem poszedłem zrobić kawę i trochę pogadaliśmy, o wszystkim i o niczym, jak to zwykle. Ludzie zawsze są ciekawi zakulisowych plotek. Potem przeglądałem zdjęcia. Nie spieszyłem się. W końcu chodziło o poważną sprawę. Wie pan, nastoletnie dziewczęta bez kontaktu z rodzinami po tak długim czasie, w niektórych przypadkach po całych latach, jak mówiła posterunkowa Bowman, niewykluczone, że zostały zamordowane. To zasługiwało na uwagę.

- Święte słowa, proszę pana - przyznał Wharton z ciężkim sercem. - Przypuszczam, że nie wspomniała, co planuje na resztę dnia?

Vance pokręcił głową.

- Przykro mi, inspektorze. Odniosłem wrażenie, że śpieszy się na inne spotkanie, ale nie mówiła gdzie ani z kim.

- A skąd to wrażenie, proszę pana? - Wharton podniósł wzrok; po raz pierwszy z nadzieją.

Vance zmarszczył czoło.

- Jak skończyłem ze zdjęciami, zaproponowałem, że zrobię świeżej kawy. Ale ona spojrzała na zegarek i zrobiła zaskoczona minę. Jakby nie zdawała sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Powiedziała, że musi już iść, że nie miała pojęcia, że rozmawialiśmy tak długo. Wyszła w ciągu paru minut.

- Ja także będę się już zbierał, panie Vance. - Wharton zamknął notes. - Jestem bardzo wdzięczny, że poświęcili mi państwo swój czas na tę rozmowę. Gdybym miał dalsze pytania, w co szczerze wątpię, będę się z państwem kontaktował. - Podniósł się i skinął na posterunkowego.

- Nie chce pan pomówić z Betsy? - spytała Micky. - Zaraz się pojawi.

- Nie sądzę, aby to było konieczne - stwierdził Wharton. - Szczerze powiedziawszy, wizyta posterunkowej Bowman w tym domu niemal na pewno nie miała nic wspólnego z jej śmiercią. Po prostu musimy trzymać się procedury.

Vance stanął przy drzwiach.

- Szkoda, że musieli panowie fatygować się taki kawał drogi, choć prawdziwa praca czeka na panów w Yorkshire.

Micky pożegnała się i obserwowała z okna, jak Vance odprowadza policjantów poza teren posesji. Nie była pewna, co jej mąż ukrywa. Ale znała go na tyle dobrze, żeby ocenić jego odpowiedzi jako odbiegające od prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Gdy wrócił, stała oparta o kominek.

- Powiesz mi to, czego im nie powiedziałaś? - spytała, taksując go przebiegłym spojrzeniem.

Vance wyszczerzył zęby.

- Jędza z ciebie, Micky. Tak, powiem ci to, o czym im nie wspomniałem. Rozpoznałem jedną z dziewczyn, których zdjęcia pokazywała mi Bowman.

Oczy Micky rozszerzyły się.

- Rozpoznałeś? Jak to? Skąd?

- Nie ma powodu do paniki - stwierdził z przekąsem. - To zupełnie niewinna sprawa. Kiedy zaginęła, jej rodzice skontaktowali się z nami. Była moją najżarliwszą wielbicieleką, ple, ple, ple, nigdy nie przepuściła żadnej mojej sztuki, ple, ple, ple. Chcieli, żebyśmy wystąpili z apelem i poprosili, żeby się z nimi skontaktowała.

- I wystąpiłeś?

- Oczywiście, że nie. To się nie wpisywało w format programu. Ktoś z biura wysłał do nich współczujący list i przycisnęliśmy jeden z brukowców, żeby opublikowali artykuł w duchu: „Jacko błaga uciekinierkę o telefon do rodziców”.

- To dlaczego nie powiedziałaś o tym Whartonowi? Skoro dałeś wywiad do prasy, znajdą go z jakichś archiwach?! Jak się do niego dokopią, znajdziesz się po same uszy w gównie.

- Niby dlaczego? Nie wiedzą nawet, czym Bowman się zajmowała, więc najpewniej nie zainteresują się archiwami, prawda? Słuchaj, Micky, ja tej dziewczyny nie znałem. Nie zamieniłem z nią słowa. Ale jak powiem inspektorowi, że kojarzę ją z widzenia...

cholera, Mick, przecież wiesz, że policja jest jak najbardziej dziurawe sito w mieście. Zanim się zorientujesz, „Jacko przesłuchiwany w sprawie o morderstwo” znajdzie się na pierwszych stronach gazet. Piękne dzięki, ale wolę nie. Nie mogą mnie powiązać z ani jedną z tych uciekinierek Bowmanowej. Król dementi, pamiętasz?

Micky potrząsnęła głową; wbrew sobie podziwiała jego tupet.

- Raczej Teflonowy Człowiek. Nic się ciebie nie ima - mruknęła.
- Muszę oddać ci honor, Jacko. Kiedy chodzi o manipulowanie ludźmi, nawet ja mogę przy tobie tylko świecznik trzymać. Gdy nazajutrz Carol weszła do swojego gabinetu, spotkała ją niespodzianka. Tommy Taylor rozwalił się w fotelu dla gości, z szeroko rozstawionymi nogami, zapewne dla podkreślenia, jaki z niego macho. Lee stał przy uchylonym oknie i dmuchał dymem papierosowym w przepojone spalinami powietrze. Di zajęła swoje zwykłe stanowisko pod ścianą, z rękoma skrzyżowanymi na dekolcie fatalnie leżącego drogiego zakietu. Carol aż świerbiło, żeby zaciągnąć tę dziewczynę, choćby wrywała się i wrzeszczała, na styczniowe wyprzedaże i wyposażyć w komplet ciuchów, twarzowych i w jej rozmiarze.

Carol pomaszerowała prosto ku swej twierdzy: usiadła za biurkiem i otworzyła aktówkę.

- Racja - odezwała się. - Nasz seryjny podpalacz.

- Kompletny „Swirek” Muchomorek - mruknął Lee.

- Okazuje się, że nie - mruknęła Carol. - Najwyraźniej nasz „piroman” jest równie poczytalny jak wy czy ja. No, przynajmniej ja,

bo za waszą trójkę nie ręczę. Okazuje się, że nie mamy do czynienia z psychopatą. Człowiek, który wszczyna te pożary, ma podręcznikowy motyw. Możliwe, że to ktoś z ludzi Jima Pendlebury'ego. - Wszyscy troje gapili się na nią, jakby nagle przeszła na szwedzki.

- Ze co? - Lee pierwszy odzyskał mowę. Carol rozdała kserokopie listy.

- Chcę pełnego rozpoznania środowiskowego. Zwróćcie szczególną uwagę na sprawy finansowe. Tylko żeby żaden z nich się nie zorientował, że się nimi interesujemy.

Tommy Taylor odzyskał głos.

- Oskarża pani strażaków?

- Ostatnio wolą chyba, żeby używać określenia „funkcjonariusze straży pożarnej” - stwierdziła uprzejmie Carol. - Jeszcze nikogo nie oskarżam, sierżancie. Zbieram informacje.

- Strażacy giną w pożarach - oburzyła się Di Earnshaw. - Doznają obrażeń, wdychają dym. Po co strażak miałby podkładać ogień? Musiałby to być jakiś psychol, a przed chwilą pani mówiła, że ten sprawca nie jest psycholem. Przecież to się wzajemnie wyklucza?

- On nie jest chory - stwierdziła Carol stanowczo. - Może to desperat, ale nie człowiek chory psychicznie. Szukamy kogoś, kto ma tyle długów, że myśli jedynie o tym, jak się z nich wykaraskać. Nie w tym rzecz, że on chce narażać kolegów. On po prostu nie wpisuje ich w to równanie.

Taylor sceptycznie pokręcił głową.

- To cholerna zniewaga dla straży pożarnej - stwierdził.

- Nie większa niż wewnętrzne śledztwa w policji w związku z podejrzeniami o korupcję. A wszyscy wiemy, że takie rzeczy w policji się zdarzają. - Głos Carol był suchy. Przetasowała dokumenty i na powrót schowała je do aktówki, potem podniosła wzrok. - Jeszcze tu jesteście?

Lee cisnął papierosa na ulicę wymownym gestem i ostentacyjnie podreptał ku drzwiom.

- Już się robi - mruknął.

Taylor wstał i demonstracyjnie poprawił spodnie w okolicach krocza.

- Ano - westchnął, podążając za Lee i dając znak Di Earnshaw, żeby też się ruszyła.

- Myk, myk - zawołała za nimi Carol.

Gdyby kręgosłupy umiały mówić, ten należący do Di Earnshaw odpowiedziałby soczystym: „pieprz się”. Drzwi się zamknęły, Carol wcisnęła się plecami w oparcie fotela i rozmasowała napięty kark. Zanosilo się na wyjątkowo długi dzień.

Tony machinalnym gestem odebrał telefon. Wymamrotał:

- Tony Hill z tej strony, proszę chwilę zaczekać - i do końca wstukał rozpoczęte zdanie. Spojrzał na słuchawkę w swojej dłoni, jakby nie był pewny, skąd się tam wzięła. - Tak, przepraszam, Tony Hill przy aparacie.

- Tu inspektor Wharton. - Ton był neutralny.

- Po co? - spytał Tony.

,- Co? - wykrztusił Wharton, zbity z tropu.

- Pytałem, po co pan dzwoni. Co w tym takiego dziwnego?

- No, dzwonię grzecznościowo - odparł Wharton z szorstkością, która zaprzeczała jego słowom.

- To coś nowego.

- Nie bądź pan taki sprytny. Mój szef mógłby bezproblemowo ściągnąć pana na następną wizytę.

- Musiałby to omówić z moim adwokatem. Dostaliście jedno darmowe podejście. A więc jaką to grzecznością chce mnie pan uraczyć?

- Zatelefonowała do nas Micky Morgan, prezenterka telewizyjna i, o czym może pan wiedzieć lub nie, pani Vance. Dobrowolnie podała nam informację, że Bowman była u nich w domu, w Londynie, w sobotę rano, żeby porozmawiać z jej mężem. Zatem zrobiliśmy sobie wycieczkę i osobiście pomówiliśmy z panem Vance'em. On jest czysty. Bowman chciała tylko spytać, czy widział na swoich imprezach kogoś podejrzanego. Ale nie widział. Nic dziwnego, jak się weźmie pod uwagę, ile stale wokół niego nowych twarzy. Zatem sam pan rozumie, doktorze, Hill. Jest czysty. Pierwsi się do nas odezwali.

- I na tym koniec? Jacko Vance zapewnił, że z progu pomachał Shaz Bowman na pożegnanie, i to wam wystarcza?

- Nie ma powodu, żebyśmy mu nie wierzyli - odparł Wharton oficjalnym tonem.

- Ostatniej osobie, jaka widziała ofiarę żywą? Czy zwykle nie bierze się takiej pod lupę?

- Nie wtedy, kiedy nie była w żaden sposób związana z ofiarą, znana jest z uczciwości, a z ofiarą pożegnała się dwanaście godzin przed zbrodnią - odpalił Wharton jadownicę. - Zwłaszcza jeśli to niepełnosprawna, jednoręka osoba, która musiałaby obezwładnić świetnie wyszkoloną, sprawną funkcjonariuszkę policji.

- Czy wolno mi zadać pytanie?

- Pytać zawsze pan może.

- Czy ta rozmowa odbyła się w obecności świadka, czy też Vance widział się z Shaz sam na sam?

- Do domu wpuściła ją jego żona, ale potem wyszła. Bowman widziała się z nim w cztery oczy. Ale to nie znaczy automatycznie, że on kłamie, wie pan. Potrafię poznać, kiedy mnie ktoś okłamuje. Nie mogę powiedzieć, że pana winię za to, że próbował pan nam namieszać w głowach, ale zamierzamy trzymać się jej znajomych.

- Dziękuję, że mnie pan zawiadomił. - Bał się, że głos go zdradzi, więc odłożył słuchawkę.

Ludzka naiwność nigdy nie przestawała go zdumiewać. Wharton nie był głupcem; po prostu wierzył, że ludzie tacy jak Jacko Vance nie mogą być brutalnymi przestępcami.

W pewnym sensie Tony oczekiwał telefonu od Whartona. Policja nie chciała pomścić Shaz ani docenić jego pracy. Ale on mógł obie rzeczy zmienić i czerpał z tej myśli pewną cierpką satysfakcję. Ponadto relacja Whartona ostatecznie go przekonała, że to robota Vance'a.

Wykręcił numer wyszukany zawczasu w książce telefonicznej. Kiedy zgłosiła się centrala, rzucił:

- Proszę mnie połączyć z biurem produkcji „Popołudnia z Morgan”. Potem czekał z posepnym uśmiechem na ustach.

John Brandon gładził ucho kubka z kawą.

- Nie podoba mi się to, Carol - oznajmił. Otwierała już usta, ale uciszył ją gestem. - Och, wiem, że tobie się ten pomysł nie uśmiecha ani trochę bardziej niż mnie. Ale tak czy siak rzucenie cienia na straż pożarną to poważna sprawa. Oby się nie okazało, że popełniamy tragiczny błąd.

- Tony Hill jest dobry - przypomniała. - Jego wnioski mają sens. I tylko one.

Brandon ze smutkiem potrząsnął głową, co jeszcze bardziej upodobniło go do grabarza.

- Wiem. Ale to taka przygnębiająca myśl. Narażać życie tylu osób z takiego trywialnego powodu.

Nawet nie poczęstował jej kawą.

- A co tam - mruknął. - Informuj mnie, jak na coś traficie. Byłbym wdzięczny, gdybyś powiadomiła mnie, zanim dokonacie aresztowania.

- Naturalnie. Została jeszcze jedna sprawa. Sir...?

- To, co powiedziałaś przed chwilą, było tą złą wiadomością czy tą dobrą?

- Myślę, że tą złą. Zależy, co pan pomyśli o tej drugiej sprawie, sir. - Uśmiech Carol pozbawiony był wesołości.

Komendant westchnął i obrócił się w fotelu, żeby popatrzeć na ujście rzeki. Oceaniczny trawler „przepłynął” z okna do okna. Oczywiście szef ma najlepszy widok, pomyślała Carol odruchowo.

- Zmieniam się w słuch.

- To także dotyczy Tony’ego Hilla - odparła. - Wie pan o morderstwie w jego zespole?

- Paskudna historia - stwierdził Brandon. - Najgorsze, co może się w tym fachu zdarzyć. Ale stracić kogoś w taki sposób... to najgorszy z koszmarów.

- Zwłaszcza jeśli ma się za sobą takie przeżycia jak Tony Hill.

- Racja. - Łypnął na nią przebiegle. - Pomijając twoje przyrodzone współczucie, jak to się ma do nas?

- Oficjalnie wcale się nie ma.

- A nieoficjalnie...?

- Tony ma pewne problemy z policją zachodniego Yorkshire. Wygląda na to, że traktują cały zespół jako głównych podejrzanych zamiast korzystać z jego pomocy. Zdaniem Tony’ego, innych podejrzanych skreślili z listy z arbitralnych względów, a on poprzysiągł sobie, że zabójca Shaz Bowman nie ujdzie kary tylko dlatego, że prowadzący dochodzenie mają klapki na oczach.

Brandon uśmiechnął się, najpierw lekko, potem od ucha do ucha.

- Tak się wyraził?

Carol odpowiedziała konspiracyjnym uśmiechem.

- Nie słowo w słowo. Nie robiłam notatek.

- Rozumiem, dlaczego chce działać - powiedział Brandon ostrożnie. - Każdy na jego miejscu zareagowałby tak samo. Ale mamy w policji zasady, które uniemożliwiają funkcjonariuszom kierowanie dochodzeniami, w których mają partykularny interes. Prawa wymyślono nie bez powodu. Przepięstwa na własnym terenie zaciemniają osąd policjanta. Jesteś pewna, że nie byłoby najlepiej pozwolić, żeby ci z zachodniego Yorkshire trzymali się swoich metod?

- Nie, skoro oznacza to, że na wolności pozostanie psychopata - ucięła Carol. - Osobiście nie potrafię się dopatrzeć żadnego błędu w rozumowaniu Tony'ego.

- Nadal nie wyjaśniłaś, co nam do tego.

- On potrzebuje pomocy. Pracuje z częścią kursantów, ale zespół jest zawieszony, więc nie mają oficjalnych dojsć. W dodatku trzeba mu opinii kogoś z policji jako przeciwwagi dla jego własnych. Policja zachodniego Yorkshire ma to gdzieś. Chcą tylko pretekstu, żeby jego albo kogoś z jego zespołu wpakować za kratki.

- Zaczniemy od tego, że wcale nie chcieli u siebie zespołu profilerskiego - powiedział Brandon. - Nic dziwnego, że dla nich to okazja, żeby całe przedsięwzięcie storpedować. Niemniej to oni prowadzą śledztwo, a nas o pomoc nie proszą.

- Nie, ale Tony owszem. Mam poczucie, że jestem mu choć tyle winna, sir. Tylko poszperałabym trochę i podrzuciła im jakieś

materiały, parę nazwisk i adresów. Zamierzam dopomóc mu w miarę skromnych możliwości. Wolałabym to robić z pańskim błogosławieństwem.

- Pomóc?

- Nie będę wchodzić w drogę tym z zachodniego Yorkshire. Nawet się nie zorientują, że robię swoje. Nie wpakuję pana w spór, cóż podlega pod czyją jurysdykcję.

Brandon przełknął ostatni łyk kawy i odepchnął od siebie kubek.

- Racja, psia krew, nie wpakujesz. Carol, rób, co musisz. Ale działasz nieoficjalnie. Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Jeśli cokolwiek wyjdzie na jaw, to wiedz, że nawet na oczy cię nie widziałem.

Uśmiechnęła się szeroko i wstała.

- Dziękuję, sir.

- Proszę trzymać się z dala od kłopotów, pani inspektor - dodał zrzędlawie i odprawił ją machnięciem ręki. - Kiedy otwierała drzwi, rzucił za nią: - Gdybyś potrzebowała pomocy, znasz mój numer.

Carol miała nadzieję, że z tej propozycji nigdy nie będzie zmuszona skorzystać.

Sunderland było położone najdalej na północ, Exmouth na południe. Między nimi mieściły się Swindon, Grantham, Tamworth, Wigan i Halifax. W każdej z tych miejscowości zaginęła dziewczyna, która przykuła uwagę Shaz Bowman. Kay Hallam rozumiała, że musi wycisnąć świeże soki z dawnych dochodzeń, w przeciwnym bowiem

razie prywatne śledztwo zespołu Tony'ego przeciwko Jacko Vance'owi ugrzęźnię na mieliźnie poszlak. Nie było to łatwe zadanie. Mijały lata, a wraz z nimi słabła ludzka pamięć. Działanie w pojedynkę także nie było najlepszym rozwiązaniem. W idealnym świecie dwie Kay miałyby parę tygodni na uporanie się z nawałem pracy; spokojnie przesłuchałyby świadków, nie huczałyby im w głowach, bo nie musiałyby zjeździć kraju wszerz i wzdłuż.

Marzenia. Nie żeby Kay miała coś przeciwko wyjazdom. Zabójca Shaz nie zasługiwał ani na jedną chwilę wolności dłużej. Najtrudniej było siedzieć beczynnym i czekać na wyniki telefonicznych konferencji starszej inspektor Jordan. Oto wzór do naśladowania, pomyślała Kay, krążąc niespokojnie po swoim domu, zbudowanym przed laty dla wiktoriańskiego rzemieślnika. Carol Jordan najwyraźniej wiedziała, za które sznurki należy pociągnąć.

- Jeśli chcesz odnieść sukces, kręć się przy ludziach sukcesu i staraj się ich naśladować - Kay wyrecytowała mantrę z jednej z kaset amerykańskiego kursu samodoskonalenia.

Telefon rozdzwonił się w porze lunchu. Carol była po rozmowach ze wszystkimi wydziałami dochodzeniowymi, jakie zajmowały się zaginionymi nastolatkami z listy Shaz. W trzech przypadkach inspektor zdołała skontaktować się z prowadzącymi „śledztwa”, aczkolwiek było przesadą określać tym słowem pobieżne zbieranie informacji o dziewczynach, które zdaniem śledczych wcale nie chciały zostać odnalezione. Załatwiła Kay wgląd do akt, choć nie

było ich wiele, i wytrzasnęła adresy i numery telefonów rodziców ofiar.

Kay odłożyła słuchawkę i zaczęła studiować atlas drogowy. Doszła do wniosku, że wyrobi się z Halifaxem po południu, a z Wigan wieczorem. Potem ekspresówką do Midlands i nocleg w motelu. Śniadanie w Tamworth i raz, dwa do Exmouth, żeby dotrzeć na miejsce późnym popołudniem. Z powrotem drogą szybkiego ruchu, nocleg w Swindon, potem na przełaj do Grantham. Następnego dnia przystanek w Leeds, by złożyć sprawozdanie Tony'emu, i będzie mogła skończyć w Sunderland. Zupełnie jak w jakimś piekielnym kinie drogi. Nawet Thelma i Louise podróżowały z większą klasą, pomyślała.

Zauważyła, że wszystkie miejscowości z jej listy albo leżą w pobliżu autostrady, albo w sąsiedztwie którejś z dróg ekspresowych, usianych stacjami benzynowymi i restauracjami typu fast food. Zastanawiała się, czy to ważny wniosek. Czy Vance umawia się z ofiarami na spotkanie w miejscach, w których mogą łatwo zorganizować sobie jakąś podwózkę? Było to właściwie jedyne nowe spostrzeżenie, jakie poczyniła po dwóch dniach pracy, pomyślała ponuro. Specyficzny dobór miejsc oraz nikła, upiorna wizja schematu działania. Opowieści rodziców natomiast okazały się deprymująco do siebie podobne i wyjątkowo ubogie w informacje, zwłaszcza gdy pytania dotyczyły samego Vance'a. Zdołała porozmawiać z koleżankami i kolegami części zaginionych, ale okazali się niewiele bardziej pomocni. Nie żeby nie chcieli pomóc; Kay należała do osób,

z jakimi chętnie się rozmawia. Jej żywą inteligencję maskował wygląd szarej myszki, więc dla kobiet nie była rywalką, mężczyźni zaś czuli się przy niej obrońcami. Nie, nie w tym sęk, że cokolwiek ukrywali, po prostu mieli niewiele do powiedzenia. Tak, zaginione małolaty podkochiwały się w Jacko, tak, chodziły na jego imprezy, i tak, opowiadały o nim z wypiekami na twarzach. Za każdym razem te same banały.

Kiedy dotarła do Grantham, czuła się jak robot. Dwie noce w motelach o zbyt miękkich łóżkach, przy wtórze nieustających cienkich gwizdów, świstów i szmerów samochodów śmigających za oknami o podwójnych szybach, nie składały się na recepturę produktywnego przesłuchania, choć i tak były lepsze niż kompletny brak snu, upomniała się Kay w duchu, ziewając potężnie na chwilę przed naciśnięciem dzwonka u drzwi.

Kenny i Denise Burton nawet nie zauważyli jej znużenia. Minęły dwa lata, siedem miesięcy i trzy dni, odkąd Stacey zamknęła za sobą drzwi, by już nie powrócić. Podkrążone oczy jej rodziców dowodziły, że od tamtej pory żadne z nich nie przespało spokojnie nawet jednej nocy. Wyglądali jak bliźnięta, oboje niscy, krępi, o bladej cerze ludzi wiecznie przesiadujących w domu i pulchnych palcach. Kiedy się patrzyło na zdjęcia szczupłej, bystrookiej córki tej pary, trudno było wierzyć w prawa genetyki. Siedzieli w salonie, który nadawał się na ilustrację powiedzenia: „miejsce na wszystko i wszystko na miejscu”. W zagraconym pomieszczeniu było multum zakamarków na przeróżne szpargały: narożne witryny, wnęki z

półkami na niezliczone bibeloty. Wystrój pokoju wieńczył dekoracyjny kominek z wnękami. Klaustrofobiczne, umiarkowanie sztampowe wnętrze. Dwie rury grzejne zakurzonego elektrycznego kominka buchały gorącem i Kay ledwie mogła oddychać. Nic dziwnego, że Stacey chciała się stąd wyrwać.

- Była uroczą dziewczyną - powtórzyła Denise ze smutkiem. Ten refren Kay zdążyła już znienawidzić, bo zawsze ukrywał wszystkie użyteczne informacje o osobowości nastoletniej dziewczyny.

- Nie jak poniektóre - dodał Kenny i przygładził siwiejące włosy, by ukryć łysinę, gotową wystrzelić spod nich jak guz na łepetynie ludzika z kreskówki. - Jak się zapowiedziało, że ma być przed dziesiątą, to była przed dziesiątą.

- Nie odeszłaby z własnej, nieprzymuszonej woli - mówiła Denise; kolejny wers litanii, recytowanej z idealnym wyczuciem czasu i miejsca. - Nie miała powodu. Musiał ją ktoś porwać. Nie ma innego wyjaśnienia.

Kay przemilczała bolesną, oczywistą prawdę.

- Chciałabym zadać parę pytań na temat dni poprzedzających zniknięcie Stacey - powiedziała. - Wychodziła gdzieś po szkole?

Kenny i Denise bez zastanowienia odpowiadali jedno przez drugie:

- Była w kinie.

- Z Kerry.

- W weekend przed porwaniem.

- Tom Cruise.
- Uwielbia Toma Cruise'a. - Pełen nadziei czas teraźniejszy.
- W poniedziałek też wychodziła.
- Normalnie nie pozwaliśmy jej wychodzić w szkolne dni.
- Ale to było coś wyjątkowego.
- Jacko Vance.
- Wspaniały człowiek.
- Uświetnił otwarcie pubu.
- Normalnie nie pozwolilibyśmy jej pójść do pubu.
- Bo jakże to, czternastolatce?
- Ale mama Kerry miała je zabrać, więc uznaliśmy, że będzie w porządku.
- I było.
- Wróciła do domu na czas, tak jak mama Kerry obiecywała. - A szczęśliwa jak mały, ta nasza Stacey. Dostała zdjęcie z autografem.
- Własnoręcznym. Z dedykacją z jej imieniem.
- Zabrała je ze sobą. Kiedy wychodziła. - Pauza. Kay wykorzystała ten moment.
- Jak się zachowywała po powrocie?
- Była bardzo podniecona, prawda, Kenny? Rozmowa z Jacko Vance'em była dla niej spełnieniem marzeń.
- A rzeczywiście miała okazję z nim porozmawiać? - Kay zmusiła się, by zabrzmiało to obojętnie, ale z każdą taką rozmową zarys schematu konkretyzował się w jej wyobraźni.
- Durzyła się w nim po same uszy - powiedział ojciec Stacey.

- Zawsze chciała występować w telewizji. - Znowu jedno przez drugie.

- Pani koledzy ubrdali sobie, że uciekła do Londynu, żeby robić karierę w show-biznesie - rzucił z pogardą Kenny.

- Akurat. Nie Stacey. Nie taka rozsądna dziewczyna. Zgadzała się z nami. Najpierw szkoła, potem matura, potem byśmy zobaczyli.

- Mogłaby występować w telewizji. - Teraz Denise, tęsknym głosem.

- A ładna była jak obrazek.

- Mówiła, o czym rozmawiała z Jacko Vance'em? - spytała Kay.

- Tylko tyle, że był bardzo serdeczny - odparła Denise. - Ale chyba nie powiedział jej nic szczególnego, jak myślisz, Kenny?

- On nie ma czasu, żeby dłużej rozmawiać z jedną osobą. Zajęty człowiek. Tuziny, nie, setki ludzi chcą, żeby dał im autograf, zamienił parę słów, pozował do zdjęcia.

Te słowa zawisły w powietrzu jak rozbłysk fajerwerków na siatkówce oka, wciąż widoczny, choć pokaz już dobiegł końca.

- Pozował do zdjęć? - spytała Kay słabo. - Stacey ma z nim wspólne zdjęcie?

Równocześnie skinęli głowami.

- Mama Kerry je zrobiła.

- Mogłabym zobaczyć? - Serce Kay nagle zabiło jak werbel, dłonie się jej spociły, w pokoju zrobiło się nieznośnie duszno.

Kenny wyciągnął spod ławy z drewna zabarwionego na kolor niespotykany w naturze album w wytłaczanej oprawie. Zręcznie

otworzył go na ostatniej stronie. Znajdowała się tam niewyraźna, powiększona do formatu dwadzieścia pięć na dwadzieścia fotografia grupki osób stłoczonych wokół Jacko Vance'a. Zdjęcie było zrobione pod dziwnym kątem, twarze rozmazane, jakby powietrze zmętniało z gorąca. Jednak dziewczyną stojącą obok Jacko Vance'a, tą, z którą ewidentnie rozmawiał z dłonią opartą na jej ramieniu, z twarzą zwróconą ku niej, dziewczyną, którą wpatrywała się w niego pełnym szczenięcym uwielbieniem wzrokiem, bez cienia wątpliwości była Stacey Burton.

Rozmowa z sierżant Chris Devine okazała się trudniejsza, niż Wharton oczekiwał. Kiedy zadzwonił do niej do pracy, dowiedział się, że wzięła parę dni wolnego, wymawiając się problemami rodzinnymi, wkrótce po tym, jak telefonicznie złożyła oświadczenie w związku ze śmiercią Bowman. Wharton po raz pierwszy zetknął się z kimś, kto najwyraźniej przechodził autentyczną żałobę po Shaz Bowman.

Chris odsłuchiwała jego wiadomość i oddzwoniła, ale Wharton był już w Londynie, gdzie przesłuchiwał Vance'a i jego żonę. Zgodziła się, żeby odwiedził ją w jej mieszkaniu.

Był starym gliniarzem i natychmiast poczuł do Chris Devine sympatię, zaledwie otworzyła drzwi i powitała go słowami:

- Mam szczerą nadzieję, że przyskrzynicie bękarta, który to zrobił.

Nie przeszkadzały mu artystyczne kobiece akty, jakimi obwieszane były ściany jej mieszkania. Pracował wcześniej z

lesbijkami i generalnie uważał, że powodowały w jednostce znacznie mniej zamieszania niż ich heteroseksualne koleżanki. Jego pomagierowi brakowało widocznie zimnej krwi, wołał bowiem usiąść przodem do przeszklonej ściany z widokiem na stary kościółek, kontrastujący z nowoczesnym budynkiem, w którym się znajdowali; wyglądał dziwnie wtłoczony w sam środek londyńskiego osiedla Barbican Estate.

- Ja także mam taką nadzieję - odparł.

Przysiadł na gruzłowatej wersalce i zastanowił się przelotnie, jak można spać na takim starociu.

- Widział się pan z Jacko Vance'em? - spytała Chris, zanim jeszcze umościła się w dużym fotelu z podpórkami, stojącym naprzeciwko sofy.

- Wczoraj przesłuchaliśmy i jego, i jego żonę. Potwierdził wszystko, co nam pani opowiadała o spotkaniu, jakie posterunkowa Bowman odbyła z nim w dniu swojej śmierci.

Kiwała głową, odgarniając z twarzy orzechowe włosy.

- Vance wygląda na takiego typa, który wszystko sobie skrzętnie notuje.

- No więc, co panią podkusiło? - ponaglił Wharton. - Dlaczego pomagała pani posterunkowej Bowman podtrzymać iluzję, że nadal jest funkcjonariuszką policji metropolitalnej?

Zmarszczka między brwiami kobiety pogłębiła się.

- Przepraszam...?

- Numer bezpośrednio na pani biurko został podany jako numer kontaktowy posterunkowej Bowman. Stąd wrażenie, że nadal służyła w policji metropolitalnej.

- Bo służyła - odpaliła Chris. - Za tym, że podała mój numer, nie kryje się żadna mroczna tajemnica. W okresie szkolenia funkcjonariusze z zespołu profilerskiego nie mogą odbierać telefonów w godzinach służbowych. Shaz spytała, czy coś na to poradzę, to wszystko.

- Dlaczego akurat pani, pani sierżant? Czemu nie dyżurny z jednostki policyjnej, z której siedziby korzystał zespół? Czemu nie zostawiła numeru domowego i nie poprosiła, żeby oddzwonił wieczorem? - W zachowaniu Whartona nie było wrogości; był autentycznie ciekaw odpowiedzi.

- Pewnie dlatego, że już wcześniej kontaktowałyśmy się w związku z tą sprawą - wyjaśniła Chris; nie dała po sobie poznać narastającego rozdrażnienia. Lata w policji wyrobiły w niej nawyk czytania między wierszami i nieokazywania reakcji.

- A kontaktowały się panie? W związku z czym?

Chris odwróciła twarz. Jej ciemne oczy spoglądały ponad ramieniem Whartona ku niebu.

- Nie pierwszy raz prosiła mnie o pomoc. Potrzebowała kserokopii jakichś gazet i pojechałam do Colindale, żeby zrobić te odbitki.

- To pani przysłała jej tamtą paczkę?

- Ja, owszem.

- Słyszałem coś niecoś. Musiało być tego setki stron, w pudle takich rozmiarów i o takiej wadze. Sporo kserowania - zauważył Wharton. Nieświadomie pochylał się do przodu.

- Zajął się tym w czasie wolnym. W porządku, inspektorze?

- Poświęciła go pani niemało dla młodszej koleżanki - prowokował Wharton.

Chris zasznurowała usta. Ze swoim zadartym nosem przypominała mu Marudę z Siedmiu Krasnoludków.

- Swego czasu Shaz i ja byłyśmy partnerkami, długo służyłyśmy razem. Byłyśmy nie tylko koleżankami z pracy, ale i przyjaciółkami. To chyba najbardziej utalentowana policjantka, z jaką miałam przyjemność współpracować. Szczerze powiedziawszy, panie Wharton, nie rozumiem, jak ta rozmowa ma pomóc w znalezieniu jej zabójcy.

Wharton wzruszył ramionami.

- Wywiad środowiskowy. Nigdy nic nie wiadomo.

- Ja wiem, niech mi pan wierzy. To o Jacko Vance'a powinien pan pytać.

Wbrew najszczerzszym wysiłkom Wharton nie zdołał powstrzymać się od ironicznego uśmiešku.

- Proszę mi nie mówić, że też się pani na to nabrała?

- Jeśli ma pan na myśli to, czy wierzę, że Jacko Vance morduje nastoletnie dziewczyny, odpowiedź brzmi: nie wiem. Nie miałam okazji przejrzeć zebranych przez nią dowodów. Najważniejsze, że Jacko prosił za moim pośrednictwem, żeby przyszła do niego w

sobotę, a w niedzielę już nie żyła. U nas tak to działa, że ostatnia osoba, jaka widziała ofiarę morderstwa żywą, bardzo nas interesuje, a z tego, co mówi matka Shaz, nic nie wskazuje na to, by ktokolwiek ją widział już po wyjściu od Vance'a. Na pańskim miejscu zaczęłabym od niego. Jak to widzi zespół profilerów?

- Jestem pewny, że doskonale pani rozumie, iż dopóki nie będziemy mogli wykluczyć jej najbliższych współpracowników z kręgu podejrzanych, nie możemy korzystać z ich pomocy przy dochodzeniu.

Chris aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie konsultuje się pan z Tonym Hillem?

- Uważamy, że Shaz mogła znać swojego zabójcę, a w Leeds znała tylko kolegów z kursu.

- Macie na wyciągnięcie ręki najbardziej cenionego profilera w kraju, człowieka, który znał ofiarę i wiedział, nad czym pracowała, i nie obchodzi was jego zdanie? Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcecie złapać zabójcy Shaz? Założę się, że Tony Hill nie jest zachwycony tym, że zamierzacie pozwolić Vance'owi wywinąć się z tej kabały.

Wharton uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zdaję sobie sprawę, że podchodzi pani do tej sprawy w sposób emocjonalny. - Chris aż się gotowała, a Wharton kontynuował, zachęcony jej milczeniem: - Niemniej zapewniam panią, iż rozmawialiśmy z panem Vance'em i nic, ale to nic nie wskazuje, by cokolwiek łączyło go z tym morderstwem. Według jego oświadczenia

wszystko, czym posterunkowa Bowman była zainteresowana, to fakt, iż mógł zauważyć którąkolwiek z zaginionych dziewcząt, czy, używając jej określenia, „ofiar”, w towarzystwie osób regularnie chadzających na jego imprezy. Powiedział, że nie, i na tym koniec.

- I uwierzyliście mu na słowo? Ot, tak? Wharton wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, czemu mielibyśmy nie wierzyć? Gdzie powody do podejrzeń?

Chris zerwała się gwałtownie i złapała paczkę papierosów z narożnego stolika. Zapaliła i ponownie zwróciła się twarzą ku Whartonowi.

- To ostatnia znana nam osoba, która ją widziała - powiedziała ochryple.

Uśmiech Whartona miał ją udobruchać, ale tylko rozwścieczył.

- Tego nie wiemy, z całym szacunkiem. Wpisała literę „T” w swoim kalendarzu pod spotkaniem z Vance’em. Jakby dokądś się później wybierała. Nie wie pani, kogo oznacza to „T”, pani sierżant?

Chris zaciągnęła się mocno, potem wydmuchała dym, w końcu stwierdziła:

- Nikt nie przychodzi mi do głowy. Przykro mi.

- Nie sądzi pani, że może chodzić o Tony’ego Hilla? Teraz to ona wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że mogłoby. Może znaczyć właściwie wszystko. Mogła się wybierać do Trocadero pograć na automatach, czy ja wiem? Nigdy mi nie wspominała o innych planach.

- Nie przyszła do pani? Chris zmarszczyła czoło.

- A po co miała przychodzić?

- Przecież panie się przyjaźniły? Była w Londynie. Myślałem, że na pewno wpadła z wizytą, tym bardziej że pani była taka pomocna i tak dalej. - W głosie Whartona pojawiła się ostrzejsza nuta, bezwiednie wysunął dolną szczękę.

- To się pan pomylił.

Wyczuwając słaby punkt, Wharton drażył dalej.

- A to czemu, pani sierżant? Wolą, żeby między wami pozostawał pewien dystans? Zwłaszcza teraz, kiedy znalazła sobie chłopaka?

Chris otworzyła drzwi.

- Żegnam, inspektorze Wharton.

- To ogromnie interesująca odpowiedź, sierżant Devine - stwierdził Wharton. Podniósł się niespiesznie i sprawdził, czy asystent wszystko zanotował.

- Może pan uwłaczać pamięci Shaz i obrażać moją inteligencję, ale nie w moim domu. Następnym razem niech się pan nastawi na oficjalną rozmowę. Sir. - Oparła się o drzwi i patrzyła, jak obaj idą przez hol w stronę wind. - Dupek - mruknęła półgłosem. Potem zatrzasnęła ciężkie drzwi i podeszła do telefonu. Wykręciła numer dawnej dziewczyny z Home Office.

- Dee? Hej, lalka, mam prośbę. Jest u was na garnuszku jeden taki psycholog, ekscentryk nazwiskiem Tony Hill. Potrzebuję jego domowego numeru...

Jimmy Linden zauważył młodego czarnego mężczyznę, zanim ten dotarł na miejsce w szóstym rzędzie pustych trybun. Lata pracy z dobrze się zapowiadającymi lekkoatletami wyostrzyły jego umiejętność instynktownego wypatrywania obcych twarzy. Nie tylko zboczeńców należało się wystrzegać. Dilerzy byli równie niebezpieczni. A młodziaki Jimmy'ego jak mało kto narażone były na pokusę. Każdy, kto chciał być najlepszy w miotaniu oszczepem, młotem, kulą czy dyskiem, potrzebował muskulatury, a tę znacznie łatwiej było osiągnąć przez anaboliki a nie treningi.

Nigdy nie zaszkodzi być czujnym, mieć oko na nieznajomych, zwłaszcza tutaj, na Meadowbank Stadium, gdzie trenował szkocką reprezentację juniorów, najlepszych z najlepszych, a każdy z nich rozpaczliwie chciał się podciągnąć, zostać mistrzem. Jimmy znowu zerknął na nieznajomego. Na oko był w niezłej formie, jeśli jednak kiedykolwiek marzył mu się start zawodniczy, powinien rzucić fajki dawno, dawno temu.

Trening dobiegał końca, zawodnicy wbili się w dresy. Jimmy zauważył, że samotny widz wstaje i znika na schodach. Po chwili wyłonił się na skraju bieżni - przepuścili go, a więc miał oficjalne powody, by się tu znajdować. Jimmy poczuł, jak mięśnie karku rozluźniają mu się stopniowo; dopiero teraz uświadomił sobie, że był spięty. Starość nie radość, pomyślał cierpko. Swego czasu żaden nerw nie drgnąłby mu bez jego woli.

Zanim mógł podążyć za spoconymi zawodnikami do szatni, nieznajomy zastąpił mu drogę i błysnął legitymacją służbową. Zrobił to zbyt szybko, żeby Jimmy zdążył się zorientować, o jaką jednostkę chodzi, ale umiał rozpoznać gliniarza.

- Posterunkowy Jackson. Jestem śledczym - przedstawił się mężczyzna. - Przepraszam, że niepokoję pana w pracy, ale chciałbym, żeby poświęcił mi pan pół godziny.

Jimmy zacmokał. Jego wąska jak charci pysk twarz jeszcze bardziej się wydłużyła w grymasie niezadowolenia.

- U nich żadnych narkotyków pan nie znajdzie - zachnął się. - W mojej drużynie nikt nie będzie ćpał i oni doskonale o tym wiedzą.

Leon z uśmiechem pokręcił głową.

- To nie ma nic wspólnego z pańską drużyną. Po prostu muszę pana spytać o pewną sprawę sprzed lat, to wszystko. - Ani śladu wyszczekania czy cwaniackiej gadki, z jakich znali go pozostali uczestnicy kursu profilerskiego.

- Jaką sprawę sprzed lat?

Leon zauważył, że Jimmy strzela oczami za podopiecznymi, i uświadomił sobie, że trener nadal ma im coś do powiedzenia. Wyjaśnił z pośpiechem:

- To nic, czym trzeba by się martwić, słowo. Proszę posłuchać, widziałem niedaleko stąd prawie przyzwoitą kafejkę. Może spotka się pan tam ze mną po pracy i spokojnie pogawędzimy?

- Ano, niech będzie - zgodził się Jimmy niechętnie.

Pół godziny później siedział naprzeciwko Leona przy kubku herbaty i talerzu wyładowanym ciastkami i ciasteczkami, dzięki którym Szkocja zyskała przydomek „Land O’Cakes”. Musi być piekielnie dobrym trenerem, pomyślał Leon, patrząc, jak mały człowieczek błyskawicznie pochłania porcję lodów posypanych wiórkami kokosowymi. Wszyscy odnoszący sukcesy miotacze, z jakimi Leon się zetknął, byli dużymi miškami, szerokimi w barach i o muskularnych udach. Jimmy Linden natomiast przypominał średniowiecznego ascetę, klasycznego długodystansowca, jedno z tych stworzeń zbudowanych z samych kości i więzadeł, a mimo to z łatwością pokonujących metę na maratonach, z oczami wpatrzonymi przed siebie i miną, jakby jedynym, o czym marzą, było przebiegnięcie kolejnych czterdziestu kilometrów.

- No, to o co się rozchodzi? - spytał Jimmy. Bardzo starannie otarł usta bawełnianą chustką z wyhaftowanym monogramem, wyciągniętą z rękawa bluzy.

- Z powodów, które za chwilę staną się oczywiste, nie mogę zagłębiać się w szczegóły. Prowadzimy dochodzenie w sprawie, która może sięgać szmat czasu wstecz. Pomyślałem, że pan może coś wiedzieć.

- O czym? Znam się tylko na lekkoatletyce, synu.

Leon kiwnął głową i patrzył, jak znika kawał tortu z bezami.

- Interesuje mnie sprawa sprzed kilkunastu lat.

- Kiedy prowadziłem drużynę na południu? Zanim się tu przeprowadziłem?

- Zgadza się. Był pan trenerem Jacko Vance'a - podchwycił Leon. Po twarzy Jimmy'ego przemknął cień. Potem przekrzywił głowę i mruknął:

- Nie mów mi tylko, że ktoś oczernia Jacko Vance'a i łudzi się, że mu to ujdzie na sucho. - W załzawionych niebieskich oczach błysnęło rozbawienie.

Leon mrugnął do niego.

- Ode mnie pan tego nie słyszał, panie Linden.

- Na imię mi Jimmy, synu, wszyscy się tak do mnie zwracają. Zatem Jacko Vance, eh? Co ja ci mogę powiedzieć o tym genialnym dzieciaku?

- Wszystko, co pamiętasz.

- A dużo masz czasu?

Uśmiech Leona miał w sobie coś posepnego. Nie zapomniał, co go sprowadziło do Edynburga.

- Tyle, ile trzeba, Jimmy.

- Niech pomyślę. Zdobył tytuł w kategorii do lat piętnastu jako zaledwie trzynastolatek. Ja byłem wtedy trenerem reprezentacji narodowej i jak tylko go zobaczyłem, powiedziałem, że to nasza największa nadzieja na olimpijskie złoto, jaka nam się trafia od pokolenia. - Potrząsnął głową. - I nie myliłem się. Biedny smarkacz. Nikt nie zasługuje na to, żeby oglądać zawody, które powinny dać mu podium, a równocześnie uczyć się posługiwać protezą kończyny.

Leon dośpiewał sobie niedopowiedziane: „nawet Jacko Vance”.

- Nigdy nie brał pod uwagę startu w paraolimpiadzie? - spytał. Jimmy parsknął pogardliwie.

- Jacko? To by znaczyło, że się przyznaje do niepełnosprawności.

- Byłeś jego trenerem, odkąd miał trzynaście lat?

- Zgadza się. Nie bał się ciężkiej pracy, to muszę mu przyznać. Miał szczęście, że mieszkał w Londynie, bo i ja byłem blisko, i sale treningowe, i, na Boga, w pełni te możliwości wykorzystał. Często go pytałem, czy nie ma dokąd iść, że ciągle tu przesiaduje?

- I co on na to?

- Ach, tylko wzruszał ramionami. Ja myślę, że matka miała gdzieś, co robił, byle tylko nie plątał się jej pod nogami. Wtedy nie żyła już z jego ojcem, rzecz jasna. Byli po separacji, rozwodzie, cholera wie.

- To jego rodzice nie przychodzili mu kibicować? Jimmy potrząsnął głową.

- Matki nie widziałem. Ani razu. Jego ojciec był na jednym spotkaniu. Chyba jakoś wtedy, jak Jacko przygotowywał się do pobicia brytyjskiego rekordu młodzieżowego, ale zawałił sprawę. Martwiłem się, bo ojciec wyśmiał go wtedy w pięknym stylu. Wziąłem go na bok i powiedziałem, że jak nie umie chłopaka wesprzeć, nie jest mile widziany.

- Jak to przyjął?

Jimmy siorbnął herbaty i mruknął:

- Aaa tam, głupi gnojek, nazwał mnie pedziem. No to mu powiedziałem, żeby się odpieprzył, i tyleśmy go widzieli.

Leon zanotował to sobie w pamięci. Do kolekcji Tony'ego. Młody Jacko rozpaczliwie chciał zwrócić na siebie uwagę. Matka była obojętna, ojciec nieobecny, więc całym swoim jestestwem skoncentrował się na osiągnięciach sportowych w nadziei, że dzięki nim zdobędzie aprobatę rodziców.

- Trzymał się na uboczu? Pytam o Jacko. - Przypalił papierosa, udając, że nie zauważa zde gustowanego wyrazu twarzy trenera.

Jimmy zastanawiał się.

- Mógł zakasować najlepszego z nich, ale tak naprawdę nigdy nie był jednym z paczki, wiesz, o co mi chodzi? Za bardzo mu zależało. Nie umiał się wyluzować. Nie żeby był samotnikiem. Nie, zawsze holował za sobą Jillie. Kręciła się przy nim, powtarzała, jaki jest cudowny.

- Czyli byli sobie oddani?

- Ona była oddana jemu. On tylko sobie, ale lubił jej uwielbienie. Bezwarunkowe, jak u psa collie. Uważasz, nawet Jillie czasem miała go dość. Nieraz poruszyłem niebo i ziemię, żeby go nie rzuciła. Zawsze jak się jej przejadły treningi i zawody, podnosiłem ją na duchu, mówiłem, jak fantastycznie będzie się czuła, kiedy on będzie stał na olimpijskim podium i odbierał złoto. Mówiłem: większość dziewczyn, jak już dostanie coś złotego, to tylko lichą obrączkę ślubną, a ona dostanie złoty medal.

- I to wystarczało, tak?

Jimmy skrzywił się i machnął ręką, żeby opędzić się od papierosowego dymu.

- Szczerze mówiąc, tylko dzięki temu jakoś się trzymała. Jak Jacko przeszedł do seniorów, a Jillie była ociupinę starsza, zaczęła zauważać, jak inne chłopaki traktują swoje dziewczyny. A Jacko nie wypadł za dobrze w tym porównaniu. Gdyby nie stracił ręki, może i znosiłaby wszystko dla sławy i forsy, jaka za nią idzie, bo lekkoatleci zaczynali właśnie kasować megadolce i zanosilo się na to, że pieniędzy będzie jeszcze więcej. Ale jak tylko doszła do wniosku, że nie będzie z niego maszynki do robienia szmalcu ani sławy, rzuciła go w diabły.

Leon nadstawił uszu.

- Myślałem, że to on ją rzucił? Chyba czytałem wtedy, że zerwał zaręczyny, bo nie był już człowiekiem, w którym się zakochała, i uważał, że nie fair byłoby ją wiązać? Jakoś tak?

Usta Jimmy'ego wykrzywił pogardliwy uśmiech.

- Dałeś się nabrać na te przesłodzone dyrdymały? To tylko historyjka, jaką Jacko puścił do prasy, żeby wyjść na wielkodusznego faceta zamiast na żalosego frajera, którego panienka puściła kantem.

Zatem Shaz spokojnie mogła mieć rację, pomyślał Leon. Okoliczności tak się ułożyły, że jedna trauma, jeden potężny stresor nałożył się na drugi. Najpierw Vance stracił rękę i przyszłość sportową. Niewiele później stracił jedyną osobę, która w niego wierzyła, widziała w nim człowieka, a nie maszynę do miotania oszczepem. Tylko silny człowiek wyszedłby z tego nieokaleczony na

duszy; człowiek wypaczony chciałby zemścić się na podłym świecie.

Leon zgasił papierosa i spytał:

- Wiesz to od niego?

- Nie. Od Jillie. To ja wiozłem ją do szpitala tamtego dnia. I widziałem się z Jacko po tym, jak się z nim rozmówiła.

- Jak zareagował?

Z oczu Jimmy'ego biła pogarda.

- Och, jak to facet. Nazwał ją cyniczną suką, której tylko jedno w głowie. Przekonywałem, żeby się nie poddawał, że to nie koniec świata, że może trenować do paraolimpiady. Tłumaczyłem, że im szybciej się dowiedział, jaka Jillie jest naprawdę, tym lepiej. Kazał mi spieprzać i zakazał więcej się do siebie zbliżać. I to był ostatni raz, jak go widziałem.

- Nie odwiedzałeś go w szpitalu? Twarz trenera była pełna smutku.

- Jeździłem dzień w dzień przez okrągły tydzień. Nie chciał mnie widzieć. Kategorycznie odmawiał rozmowy. Jakby nie rozumiał, że ja też straciłem swoje marzenia. Tak czy inaczej, z grubsza wtedy nadarzyła się szansa na posadę tu, w Szkocji, więc wróciłem do ojczyzny i zacząłem od zera.

- Zdziwiłeś się, kiedy zobaczyłeś go w telewizji?

- Nie mogę powiedzieć, żebym się zdziwił. On potrzebuje kogoś, kto by mu powtarzał, jaki jest cudowny, ten chłopak. Często się zastanawiałem, czy miliony telewidzów kiedykolwiek mu wystarczą, jeżeli w dalszym ciągu tak strasznie potrzebuje adoracji jak

za młodu. Widział tylko swoje odbicie w oczach innych. - Jimmy pokręcił głową i skinieniem poprosił o następną herbatę. - Pewnie bardziej cię interesuje, czy miał wrogów i mroczne tajemnice?

Po godzinie Leon miał pewność, że to, co Jimmy Linden powiedział na początku rozmowy, było najważniejsze. No i Całe szczęście, uświadomił sobie, gdy wsiadł później do samochodu. Z jakiegoś powodu dyktafon zawiódł i zamiast przerzucić miniaturową kasetę, zarejestrował jedynie pierwszą połowę rozmowy. Mimo to bardzo z siebie zadowolony Leon rozpoczął długą podróż na południe, dumając, kto z grupy spisał się najlepiej. Wiedział, że to nie zawody. Wystarczająco lubił Shaz, żeby robić to przez wzgląd na nią. Ale też był człowiekiem i rozumiał, że jeśli wykaże się w terenie, nikomu nie zaszkodzi. A wiedział, że jeśli chodzi Tony'ego Hilla, to musi się nie tyle wykazać, co popisać.

Nietrudno było znaleźć stadion sportowy połączony z centrum rekreacji. Oświetlony spotami na tle ciemnych Malvern Hills, kompleks był widoczny na wiele kilometrów z drogi ekspresowej. Jednak jadąc mniejszymi drogami, usianymi minirondami, Tony cieszył się, że zawczasu zadzwonił i wypytał o trasę. Centrum powstało niedawno i miejscowi nie orientowali się, jak do niego trafić, toteż w anonimowym głosie, który udzielił mu przez telefon dokładnych wskazówek, wyczuwało się sporą wprawę.

Okazało się, że spokojnie trafiłby na miejsce, gdyby po prostu podążał za jakimkolwiek innym samochodem jadącym w tym samym

kierunku. Parking pękał w szwach, w związku z czym Tony zmuszony był zostawić auto kilkaset metrów od głównego wejścia, nad którym wisiał wielki baner reklamowy: „Gala z okazji Uroczystego Otwarcia - z Gościem Specjalnym Jacko Vance'em oraz Gwiazdami Angielskiej Reprezentacji”. Piłkarze dla facetów, Jacko dla kobiet, pomyślał, maszerując po asfalcie, zadowolony, że gmach stadionu osłania go przed chłodnym nocnym wiatrem.

Dołączył do rozemocjonowanego tłumu napierającego na obrotowe bramki, okiem fachowca taksując bileterów. Wybrał kobietę w średnim wieku, która wyglądała na osobę kompetentną i macierzyńską, i przecisnął się pod jej okienko. Wyciągnął z kieszeni wydane przez Home Office listy uwierzytelniające i pokazał je, układając twarz w zatroskaną minę kogoś, komu bardzo się spieszy.

- Doktor Hill, Home Office, grupa badawcza do spraw sportu. Miałem dostać wejściówkę VIP-owską, ale nie dotarła. U pani pewnie też nic...?

Podejrzliwie zmarszczyła czoło. Błyskawicznie otaksowała go wzrokiem. Zastanowiła się, czy natręt czegoś nie kombinuje, uświadomiła sobie, że rośnie za nim kolejka, w końcu uznała, że to nie jej problem, nawet jeśli rzeczywiście coś kombinował, i przycisnęła guzik, który uwalniał bramkę.

- To pan do łoży kierownika chyba. Dookoła i na prawo, drugie piętro.

Tony pozwolił, by tłum poniósł go w rozległą, rozbrzmiewającą echem przestrzeń pod trybunami, po czym przecisnął się pod ścianę,

żeby postudiować gigantyczną mapę stadionu zmyślnie umieszczoną na spodniej stronie wspartych słupami trybun. Jej autor uwzględnił fakt, iż zostanie oddana na trójwymiarowej powierzchni, i jakimś cudem była czytelna bez względu na to, pod jakim kątem się na nią patrzyło. Według programu, który Tony kupił przed chwilą, na głównej arenie przewidywano występ jakiegoś zespołu muzycznego na żywo, następnie pokazowy halowy mecz piłki nożnej z udziałem zawodników reprezentacji Anglii, potem pokaz tańca irlandzkiego. Dla tych, którzy wysupłali dodatkowe pięćdziesiąt funtów albo wygrali jakiś konkurs w telewizji, radiu bądź gazetach, będzie okazja, żeby spotkać się ze sławami. I właśnie wśród tych osób chciał się znaleźć.

Sprawnie prześlizgiwał się przez ludzką ciżbę. Każdy ruch obliczony był na to, żeby nie potrącić nikogo po drodze do windy dla personelu. Lobby zostało odgrodzone kordonem ciężkich karmazynowych lin. Ochroniarz, który za pasem miał dość sprzętu, by wyposażyć cały sklep żelazny, groźnie łytał okiem spod czapki zwyczajem gwardzistów nasuniętej na twarz. Tony błysnął dokumentami, idąc przed siebie równym krokiem, jakby się nie spodziewał, że ktoś może o coś pytać. Ochroniarz cofnął się o krok i burknął:

- Czekać no pan chwilę.

Tony dopadł już do windy i nacisnął guzik.

- W porządku - rzucił. - Home Office. Lubimy się pojawiać bez zapowiedzi. Trzeba mieć oko na różne sprawy, sam pan rozumie. -

Mrugnął porozumiewawczo i wszedł do windy. - Nie chcemy powtórki z Hillsborough, prawda?

Drzwi zasunęły się, ukrywając rozbawioną twarz ochroniarza.

Potem to już była łatwizna. Wysiąść z windy, przejść przez hol i dwuskrzydłowe drzwi, potem szklanka jakiejś gazowanej ciecchy słomianego koloru, podana przez unizonego delikwenta w liberii, i sprawa załatwiona. Tony przyglądał się przeszklonej ścianie, za którą widać było zadaszoną halę. Grupa majorettek wkraczała właśnie defiladowym krokiem. Tłum rozproszył się i ponownie zbił w grupy na obrzeżach hali. Na samym końcu, przy oknie, w środku gromady kobiet w średnim wieku i kilku mężczyzn, stał Jacko Vance. Włosy mu połyskiwały w świetle reflektorów, oczy lśniły w łagodnym świetle łoży. Mimo że tego dnia zaliczył już dwie imprezy charytatywne, mową ciała wyrażał ciepło i serdeczność, uśmiechem dawał odczuć, że każdy jest tu mile widziany i że nie ma tu równych i równiejszych. Wyglądał jak bóg obcujący ze swoimi wyznawcami, łaskawy, ale nie pobłażliwy. Tony uśmiechnął się powściągliwie. Trzecia impreza, na którą poszedł zapolować na Jacko i za każdym razem trafiał na żyłę złota. Zupełnie jakby istniało jakieś powiązanie, niewidzialny światłowód łączący myśliwego ze zwierzyną. Tym razem jednak zamierzał dopilnować, by role się nie odwróciły. Raz już wystarczy.

Tony przesuwiał się wzdłuż ściany, kryjąc się za pełnoprawnymi gośćmi. Trwało to parę minut, ale w końcu stanął w rogu łoży naprzeciwko Vance'a, choć poza zasięgiem jego wzroku. Rozglądał

się na boki, skanując najbliższe otoczenie gwiazdora, na niczym dłużej nie zatrzymując spojrzenia. Starał się nie tracić Vance'a z oczu.

Nie musiał czekać długo. Młoda kobieta o szkarłatnych ustach w kształcie serduszka, gładko zaczesanych jasnych włosach i w lennonkach na nosie przepychała się przez tłum. Ścisnęła kurczowo torbę, z której krzyczał napis: SHOUT! FM, i co rusz oglądała się przez ramię, czy podopieczni się jej trzymają. Za nią maszerowały gęsiego trzy nastoletnie dziewczyny, przesadnie wystrojone i umalowane, paru pryszczatych małych oraz starsza pani o tak mocno utrwalonych lokach, jakby nadal tkwiły w nich lokówki. Trzy kroki za nimi czaił się chłopaczyna o wyglądzie kujona, w kamizelce z tuzinem wypchanych kieszeni i z parą poobijanych lustrzanek dyndających u szyi. Zwycięzcy jakiegoś kretyńskiego konkursu dla słuchaczy, domyślił się Tony. Pomyślał cierpko, że jednego pytania z pewnością im nie zadano: podaj liczbę nastolatek zamordowanych przez Jacko Vance'a. Minie kilka lat, zanim wejdzie ono do kanonu trywialnych kwizów.

Blondyna podeszła do miejsca, w którym królował Vance. Tony widział, jak Vance zerka na nią bez zainteresowania, a potem wraca do czarowania ubranej w turkusowe sari kobiety w średnim wieku. Blondyna przebiła się przez ciasny wianuszek wielbicielek po to tylko, by zostać natychmiast odprawioną przez kobietę w sari; już na pierwszej imprezie Vance'a Tony zorientował się, iż pełniła ona rolę bufora między gwiazdorem a fankami. Pochylili ku sobie głowy, następnie asystentka skinęła z powagą i dotknęła łokcia Vance'a.

Ten odwrócił się, omiatając halę spojrzeniem, i zauważył Tony'ego. Na sekundę zatrzymał na nim wzrok, po czym kontynuował oględziny z niezmienionym wyrazem twarzy.

Przyprowadzonych przez blondynkę zwycięzców konkursu zaproszono przed oblicze idola. Bożyszcze uśmiechnęło się do nich łaskawie. Vance gawędził, rozdawał autografy, ścisnął dłonie, cmokał w policzki i pozował do zdjęć. Co pół minuty jego spojrzenie traciło ostrość i bezbłędnie odnajdywało Tony'ego, opartego o ścianę i sączącego „szampana” w pozie tchnącej pewnością siebie i spokojem.

Gdy konkursowi laureaci dobrnęli do końca audyencji, Tony porzucił swój punkt obserwacyjny i skierował się w stronę grupy fanów w pobliżu Vance'a; miny wielbicielek oscylowały od ekstazy po afektowaną nonszalancję w zależności od tego, jak bardzo wyluzowane one same chciały się wydawać. Tony dyskretnie wmieszał się w tłum.

- Przepraszam, że się wtrącam do rozmowy - powiedział ciepło.
- Ale myślę, że mogliby mi państwo dopomóc. Nazywam się Tony Hill i jestem psychologiem kryminalnym. Naturalnie wiedzą państwo, że gwiazdy takie jak Jacko bywają często prześladowane przez natrętnych fanów. Otóż współpracuję z grupą antyterrorystyczną nad sposobami ustalenia tożsamości takich prześladowców, zanim zaczną stwarzać realne zagrożenie. Próbujemy mianowicie stworzyć portret psychologiczny idealnego fana, pozytywnego wielbiciela. Kogoś takiego jak każdy z państwa, fana, jakiego chcą mieć po swojej stronie sławni ludzie. Wszystko, czego nam trzeba, to krótka rozmowa. Góra

pół godzinki. My przyjeżdżamy do państwa albo państwo do nas, płacimy dwadzieścia pięć funtów, a państwo mają komfort, jakim jest wiedza, że być może powstrzymaliście następnego Marka Chapmana.

- Uwielbiał obserwować, jak ich twarze zmieniają się w chwili, gdy wspominał o pieniądzach.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni karteluszkę z miejscem na wpisanie danych osobowych.

- I co państwo na to? Bezbolesna anonimowa ankieta, pomagają nam państwo w uratowaniu komuś życia i zarabiają dwadzieścia pięć funtów. Proszę tylko wpisać nazwisko i adres na jednej z tych karteczek, a ktoś z mojej ekipy badawczej skontaktuje się z państwem.

- Wyjął ładne, wytłaczane wizytówki Ogólnokrajowej Jednostki Profilarskiej. - Tu znajdują państwo moje namiary. - Rozdał wizytówki. Tylko jeden z przyszczatych małolatów nie wyciągnął ręki. - Namawiam. - Pokiwał garścią długopisów.

Zerknął ukradkiem na Vance'a, który twarz nadal miał uśmiechniętą, jego usta poruszały się, dłoń poklepywała czyjś łokieć, czyjeś plecy. Ale oczy były wlepione w Tony'ego; pociemniałe, pytające, wrogie.

Dom taki sobie, pomyślał Simon, parkując samochód. Bungalow z mansardowymi oknami i trzema sypialniami na trzydziestoletnim osiedlu, które niebawem zaprzeczy powiedzeniu, że życie zaczyna się po czterdziestce. Byłaby znacznie lepiej ustawiona, gdyby została z Jacko. Z pewnością nie skończyłaby w takiej miejscinie jak

Wellingborough, gdzie większość mieszkańców za dobrą zabawę uważa wieczorny wypad do marketu z artykułami dla majsterkowiczów.

Był zdumiony, że Carol Jordan tak szybko zdobyła adres Jillie Woodrow, która przed trzema laty ponownie wyszła za mąż.

„Nie pytaj”, zaśmiała się Carol, kiedy wyskoczył z komplementem i przyznał, że jemu zajęłoby to całe dni. Pamiętał, że Tony Hill w rozmowie z Carol napomknął, że jej brat pracuje w branży komputerowej. Zastanowił się kwaśno, czy ich niskobudżetowa jednostka profilerska nie dopisała właśnie włamania do czyjegoś systemu komputerowego do listy swoich wybryków.

Siedział w aucie i spoglądał na dom Jillie i Jeffa Lewisów. Wydawał się nieskazitelnie czysty i niemiłosiernie podmiejski z tym swoim perfekcyjnie przyciętym trawnikiem i rabatami idealnie równo rozsadzonych krzewów hebe i wrzosów. Na podjeździe stał roczny austin metro, w oknie wisiały siatkowe firanki. Nagle Simon pomyślał, że jeżeli odgłos silnika zwrócił uwagę Jillie Lewis, mogła spokojnie go obserwować.

Niemal na pewno będzie to najważniejsza rozmowa w jego dotychczasowej karierze, rozmyślał Simon, przygotowując się do wykonania zadania. Nie próbował poukładać sobie w głowie, o co dokładnie zapyta, jeśli jednak Jillie Lewis dysponowała informacjami, dzięki którym Jacko Vance odpowie za zabójstwo Shaz Bowman, zamierzał wycisnąć je za każdą cenę. Nie było mu dane dowiedzieć się, czy mógłby się stać dla Shaz kimś więcej niż tylko kolegą z pracy.

Ale i tak miał wobec niej dług. Simon wysiadł z samochodu i założył marynarkę z Marks & Spencer. Wyrównał ją na ramionach, poprawił krawat, odetchnął głęboko i ruszył w stronę drzwi.

Otworzyły się parę sekund po naciśnięciu dzwonka. Zatrzymały się raptownie, unieruchomione przez rachityczny łańcuch, który sforsowałby w mgnieniu oka, gdyby miał taką fanaberię. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiał się, czy osoba, która się w nich ukazała, to sprzątaczką, a może raczej niania. Kobieta stojąca w progu nie była podobna do Jillie Woodrow, jaką znał ze zdjęć w gazetach, ani do zaginionych nastolatek. Włosy z blond pasemkami miała obcięte na chłopczycę, choć spodziewał się ciemnego pazia, ciało zaś' pozbawione krągłości, a raczej tak wychudzone, że na miejscu jej męża Simon sięgnąłby ukradkiem po lektury na temat anoreksji. Zamierzał już przeprosić za pomyłkę, kiedy poznał jej oczy. O twardszym niż kiedyś spojrzeniu, z zaczątkami zmarszczek przy kącikach, ale niewątpliwie były to ciemnoniebieskie, uduchowione oczy Jillie Woodrow.

- Pani Lewis? - spytał. Kobieta skinęła głową.

- Kim pan jest? - Gdy Simon pokazał jej swoją legitymację, jęknęła: - Jeff...?

Simon próbował ją uspokoić.

- To nie ma związku z pani mężem. Jestem obecnie przydzielony do specjalnej jednostki dochodzeniowej w Leeds, ale moja rodzima jednostka mieści się w Strathclyde. Nie znam tu nikogo.

- Leeds? Nigdy nie byłam w Leeds. - Kiedy ściągnęła brwi, niezadowolenie było wypisane na jej twarzy jak na banerze reklamowym.

Simon uśmiechnął się.

- To ma pani szczęście. Ostatnio zdarzały się momenty, kiedy żałowałam, że nie mogę powiedzieć tego samego. Pani Lewis, to bardzo niezręczna sytuacja i byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym mógł wszystko wyjaśnić w domu, przy kawie, zamiast przez próg. Mogę wejść?

Z niepewną miną ostentacyjnie sprawdziła godzinę na zegarku.

- Powinnam być w pracy - zastrzegła się, celowo nie precyzując kiedy.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby to nie było ważne - stwierdził Simon; w jego przeproszającym uśmiechu odzwierciedlał się urok, który zjednał mu wielu ludzi.

- No, to niech już pan wejdzie - mruknęła.

Zdjęła łańcuch i cofnęła się, żeby zrobić przejście. Simon wkroczył do holu, który wyglądał jak fragment ekspozycji salonu meblowego. Bez plamki brudu, kompletnie bez gustu i nieskazitelnie czysty, prowadził do kuchni, w której, jeśli wierzyć oczom, nikt nie gotował. Jillie poszła przodem i wskazała ręką okrągły stolik w rogu.

- Niech pan siądzie. - Wzięła do ręki ciemnozielony czajnik; identyczny odcień miał pas glazury wokół zlewu. - Kawy, tak?

- Poproszę - odparł Simon i wcisnął się na krzesło za stolikiem. - Z mlekiem, bez cukru.

- Pewnie pan uważa, że sam jest wystarczająco słodki - skomentowała Jillie kwaśno. Wyjęła z szafki słoik taniej kawy rozpuszczalnej i wsypała parę łyżeczek do dwóch porcelanowych kubków. - Najpewniej chodzi o Jacko Vance'a, tak?

Simon starał się nie okazać zaskoczenia.

- Dlaczego pani tak sądzi?

Jillie odwróciła się i oparła plecami o blat, po czym skrzyżowała nogi obciążone dzinsami i obronnym gestem złożyła ręce na piersi.

- A o kogo mogłoby chodzić? Jeff to uczciwy, solidny handlowiec, ja pracuję dorywczo przy przetwarzaniu danych. Nie zadajemy się z kryminalistami. Jedyne, co kiedykolwiek robiłam i co mogłoby interesować osobę z zewnątrz, to fakt, że jestem eksdziewczyną Jacko Vance'a. Tak więc jakaś specjalna ekipa dochodzeniowa, która puka do moich drzwi, może pytać tylko o cholernego Jacko Vance'a. Wraca po latach, psiakrew, żeby znowu mnie dręczyć.

Po tym gniewnym wybuchu odwróciła się do Simona plecami; niewinną czynność nalewania kawy zdołała jakimś cudem przepoić złośliwością.

Niepewny, jak posterować rozmową, Simon mruknął tylko:

- Przepraszam. Widzę, że to przykry temat.

Jillie z hukiem postawiła przed nim kubek. Zważywszy na wymuskaną czystość kuchni, aż się zdziwił, że nie pobiegła po ścierkę, kiedy kawa chlusnęła na sosnowy blat. Jillie jednak znowu oparła się o rant blatu, tuląc kubek do siebie.

- Nie mam nic do powiedzenia na temat Jacko Vance'a. Niepotrzebnie jechał pan taki kawał drogi aż z Leeds. Choć najpewniej i tak dostaje pan ciepłutki ryczałt, bo na pańskie pobory idą pieniądze podatników, a nie szefa dusigrosza.

Chyba jej rozgoryczenie wpłynęło na smak kawy, pomyślał Simon ze smutkiem. Mimo to sączył potwornie gorzki napój, żeby dać sobie czas do namysłu.

- To poważne dochodzenie - powiedział w końcu. - Bylibyśmy pani wdzięczni za pomoc.

Postawiła kubek, że aż huknęło.

- Słuchaj pan. Mam gdzieś, co on wygaduje. Ja go nie prześladowuję. Nosem mi to wszystko wychodzi. Zaczęło się krótko po moim ślubie z Jeffem. Gliniarze byli u mnie pięć czy sześć razy. Czy wysyłam do Jacko anonimy? Czy wyzywałam jego żonę przez telefon? Czy pakuję w karton psie gówienka i ślę do jego biura? Odpowiedź brzmi tak samo, jak brzmiała wtedy. Jeśli pan wierzy, że jestem jedyną osobą, która naraziła się Jacko podczas egoistycznej wspinaczki na szczyty sławy, to cierpi pan na poważny niedostatek wyobraźni. - Urwała nagle i spiorunowała go wzrokiem. - W szantaż też się nie bawię. Może pan sprawdzić. Każdy pens, jaki przepływa przez ten dom, jest rozliczony. O to też mnie oskarżył i to też jest cholerna kpina, jak cała reszta jego pomówień. - Potrząsnęła głową. - Aż trudno uwierzyć, jaka z niego świnią.

Simon rozłożył ręce.

- Spokojnie, spokojnie. Chyba niepotrzebnie od razu wytacza pani najcięższe działa. Nie jestem tu z powodu skargi. Fakt, chcę rozmawiać o Jacko, ale interesuje mnie tylko to, co on zrobił, a nie to, co pani niby zrobiła. Słowo!

Rzuciła mu ostre spojrzenie. - Co?

Simon wyjaśnił:

- Jak już mówiłem, to delikatna sprawa. Nazwisko Jacko Vance'a wypłynęło w toku śledztwa, a moje zadanie polega na zbieraniu wywiadów środowiskowych. W taki sposób, by nie ostrzec pana Vance'a, że się nim interesujemy, jeśli mnie pani rozumie. - Miał nadzieję, że nie wyglądał na zdenerwowanego, ale wewnętrznie cały aż dygotał. Przewidywał najróżniejsze reakcje, jednak nie taką, jakiej się doczekał.

- Prowadzicie śledztwo przeciwko Jacko? - W głosie Jillie brzmiało niedowierzanie, ale zaczynała wyglądać na niemal wesołą.

Simon poruszył się niespokojnie.

- Jak już mówiłem, jego nazwisko wypłynęło w związku z dochodzeniem...

Jillie uszczypnęła się w udo.

- Czyli tak! Rychło, psiakrew, w czas. Proszę mi nie mówić, niech zgadnę. Zrobił jakiejś biednej kretynce duże kuku i nie nastraszył jej na tyle mocno, żeby trzymała gębę na kłódkę, o to chodzi?

Simon czuł, że rozmowa w piorunującym tempie wymyka mu się spod kontroli. Mógł jedynie uczeplić się jej pazurami i modlić, że nie odpadnie gdzieś po drodze.

- Skąd to podejrzenie? - spytał.

- Bo to się musiało kiedyś stać - oświadczyła niemal radośnie. -
No, więc co pan chce wiedzieć?

Po powrocie do domu Tony miał piasek w oczach; zbyt wiele kilometrów przejechał tej nocy i zbyt wiele godzin wyteżał wzrok. Nie zamierzał sprawdzać automatycznej sekretarki, ale gdy przechodził obok drzwi do gabinetu, kątem oka złowił migające światełko. Ze znużeniem przycisnął klawisz odtwarzania.

- Witam. Jestem Chris Devine. Sierżant Chris Devine. Przez pewien czas partnerowałam Shaz Bowman w londyńskiej dochodzeniówce. To ja umówiłam ją na spotkanie z Jacko Vance'em. Proszę do mnie oddzwonić, obojętnie, o której pan wróci.

Chwycił długopis i pospiesznie zapisał numer. Sięgnął po słuchawkę, jak tylko wiadomość dobiegła końca. Telefon zadzwonił pięć czy sześć razy, potem ktoś odebrał.

- Czy to Chris Devine? - rzucił w ciszę.

- Czy to Tony Hill? - Charakterystyczny południowlondyński akcent.

- Nagrała mi się pani na sekretarce. W związku z Shaz? - Taa. Proszę posłuchać. Były u mnie buraki z zachodniego Yorkshire i

słyszałam, że z panem nie współpracują. Zgadza się? Lubił ludzi, którzy nie tracą czasu.

- Są zdania, że naraziliby śledztwo na utratę bezstronności, gdyby włączyli do niego mnie albo kogokolwiek z najbliższych współpracowników Shaz.

- Gówno prawda - stwierdziła z niesmakiem. - Nie mają o niczym zasranego pojęcia, wybaczy pan brzydkie słowa. Prowadzi pan prywatne dochodzenie czy coś?

- Naturalnie bardzo zależy mi na tym, żeby zabójca Shaz został ujęty - powiedział ostrożnie.

- Co zatem pan przedsięwzięmie?

- Dlaczego pani pyta? - odpowiedział wykrętnie.

- Żeby się dowiedzieć, czy nie potrzeba ci pomocnika, człowieka, a coś ty myślał? - rzuciła skrajnie zirytowana. - Shaz była świetną dziewczyną, byłaby z niej też świetna policjantka. Ale nie będzie, bo Jacko Vance albo ktoś inny sprzątnął ją z powodów, które nie do końca jeszcze znamy. Tak czy siak, trop rozpoczyna się pod jego drzwiami frontowymi, prawda?

- Racja - przyznał Tony. Teraz wiedział już, jak czuje się cement pod walcem drogowym.

- I rozpracowuje pan tę sprawę?

- W pewnym sensie.

Jej westchnienie kojarzyło się z tłem dźwiękowym niepomyślnej prognozy dla żeglarzy.

- No, to ja w pewnym sensie mogłabym pomóc. Czego pan potrzebuje?

- Przydałby się punkt zaczepienia, coś na Jacko Vance'a i jego żonę. Coś, czym mógłbym zabić im klina. To na początek.

- Jak na przykład to, że Micky Morgan jest lesbijką?

- Coś w tym duchu, owszem.

- Chcesz powiedzieć, że to za mało? - oburzyła się Chris, bezwiednie przechodząc na „ty”.

- A mówiłaś serio? Parsknęła.

- Oczywiście, że serio. Kryją się z tym po takich ciemnych kątach i szafach, że można je pomylić z parą zimowych płaszczy, ale to para les.

- Les?

- Najprawdziwszych „kochających inaczej”. Jest z Betsy kopę lat.

- Z Betsy Thorne? Swoją asystentką?

- Asystentką, sraty taty. Chyba raczej kochanką. Betsy prowadziła ze swoją eks małą firmę cateringową, potem poznała Micky Morgan, i eks usłyszała: miło było, pa pa. Na początku bywały w paru bardzo dyskretnych lokalach. Na jakiś czas zrobiło się o nich cicho, a raptem okazuje się, że Micky jest nową maskotką Jacko Vance'a. Ale Betsy nadal jest w tle. Widzisz, Micky robiła karierę i dziennikarze zaczęli się nią interesować.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytał Tony słabo.

- A jak myślisz? Chryste, dwanaście czy piętnaście lat temu nie zagrzewało się miejsca w tym fachu, jak się człowiek ujawnił. Chadzałyśmy do tych samych lokali. Tam wszyscy byli w tej samej sytuacji, więc nikt na nikogo nie kablował. Komu jak komu, ale mnie możesz wierzyć: nie wiem, kogo posuwa Jacko Vance, ale na pewno nie swoją żonę. Prawdę mówiąc, właśnie to mnie przekonało, że Shaz mogła rzeczywiście mieć na niego jakiegoś haka.

- Mówiłaś to wszystko Shaz?

- O Micky Morgan to ja myślałam raz na ruski rok. Chciałam powiedzieć Shaz, jak do mnie przedzwoni po rozmowie z Jacko. Czy to ci się jakoś przyda?

- Chris, to fantastyczne. Ty jesteś fantastyczna.

- Każda ci to powie, dziecinko. To jak, chcesz, żebym pomogła?

- Chyba już pomogłaś.

Gdy Carol weszła do swojego królestwa, milczące trio zajmowało już swoje zwyczajowe miejsca, a od okna napływała smuga papierosowego dymu - Lee. Podejrzewała, że palenie jest w zamyśle wyzwaniem. Chociaż sama nie była palaczką, lekki papierosowy smrodek rzadko jej przeszkadzał. Carol odszukała w sobie dość energii, by się uśmiechnąć i nie zgarbić, ledwie jej cztery litery znalazły się w fotelu.

- No więc, co mamy?

Tommy Taylor założył nogę na nogę tak, iż lewą kostkę oparł na prawym kolanie, i zsunął się niżej w fotelu. Carol nie zazdrościła mu

bólu krzyża, jakim zapłaci za ten nawyk na stare lata. Lekceważącym gestem rzucił na biurko papierową teczkę. Ta przesunęła się po blacie, a ze środka wysunęły się brzegi kartek.

- O finansach tych gości wiemy więcej niż ich żony.

- Z tego, co słyszałam o Yorkshire, to niewiele - mruknęła Carol. Tommy i Lee Whitbread wyszczerzyli zęby. Di Earnshaw nadal przyglądała się jej z kwaśną miną.

- Jak rany, pani inspektor, myślę, że można by to uznać za seksistowską uwagę - zapiał Lee.

- To mnie zaskarż. Co ustaliliście?

- Wszystko jest w raportach - stwierdził Tommy, wskazując teczkę kciukiem.

- Streście.

- Di? - zachęcił Tommy. - Masz najlepsze gadane.

Di, która stała dotąd z założonymi rękami, wcisnęła je do kieszeni oliwkowego żakietu; wyglądała w nim tak, jakby miała za moment zwymiotować.

- Choć Pendlebury nie palił się do tego, dał nam wgląd w informacje dotyczące płac i stąd mamy dane bankowe, adresy i daty urodzenia naszych podejrzanych. Z tymi informacjami byliśmy w stanie sprawdzić wyroki sądów ziemskich...

- A dzięki dobrej wróżce wiemy, jak wygląda sytuacja z kredytami komercyjnymi - wtrącił Lee.

- Nie o tym mowa - zachnął się Tommy.

- Możecie darować sobie tę komedię i przejść do konkretów? - zniecierpliwiła się Carol.

Di ściągnęła usta z wyraźną dezaprobatą.

- Mamy dwójkę kandydatów: Alan Brinkley i Raymond Watson. Obaj są zadłużeni, jak sama pani zobaczy. Obaj tutejsi. Watson jest kawalerem, Brinkley ożenił się mniej więcej przed rokiem. Obu grozi, że komornik przejmie dom, obaj mają na koncie wyroki sądu ziemskiego na swoją niekorzyść, obaj żonglują kasą, od tego trochę pożyczają, temu trochę oddadzą. Dla obu pożary były czymś w guście błogosławieństwa.

- Nie ma tego złego... - mruknął Taylor.

Carol otworzyła teczkę i wyłowiła arkusze dotyczące tej dwójki.

- Dobra robota. Popisaliście się, zbierając tak szczegółowe dane.

Lee wzruszył ramionami.

- W gruncie rzeczy Seaford to jedna duża wioska. Rączka rączkę myje.

- O ile w grę nie wchodzi pieniądze, bo wtedy obraz sytuacji się zaciemnia - odparła Carol.

- Nie ma pani do nas zaufania? - spytał Tommy przeciągle.

- Podajcie mi pięć dobrych powodów, dla których powinnam je mieć.

- Więc jak, chce pani, żebyśmy ich ściągnęli na przesłuchanie? - spytał Lee.

Carol zastanawiała się chwilę. Przede wszystkim chciała skonsultować się z Tonym, ale tak, żeby nie pomyśleli, że ich szefowa nie potrafi samodzielnie decydować.

- Dam wam znać, jak będę już miała okazję dokładniej wszystko przejrzeć. Możliwe, że są skuteczniejsze metody niż próba wyciśnięcia z nich prawdy.

- Moglibyśmy się postarać o nakaz przeszukania. - Znowu Lee, jak zawsze najbardziej aktywny.

- Wrócimy do tej rozmowy jutro rano - ucięła Carol. Patrzyła, jak wychodzą, potem wcisnęła teczkę z dokumentacją do wypchanej aktówki. Pora na szybki obchód i dopilnowanie, czy reszta jej podwładnych zajmuje się tym, czym powinna. Miała tylko nadzieję, że nikt nie będzie oczekiwał od niej pracy w natchnieniu: marzyło się jej raczej wytchnienie.

Zawróciła od drzwi, bo nagle rozdzwonił się telefon.

- Inspektor Jordan - rzuciła w słuchawkę.

- Mówi Brandon.

- Sir?

- Właśnie rozmawiałem z kolegą z zachodniego Yorkshire. Napomknął, że główny podejrzany najwyraźniej wziął nogi za pas. Gagatek nazwiskiem Simon McNeill. Mówił, że najpewniej jutro puszczą w obieg okólnik, żeby inne jednostki miały na McNeilla oko i zatrzymały go, w razie gdyby nawinął im się pod rękę.

- Ach, tak.

- Pomyślałem, że to cię może zainteresować - dodał Brandon pogodnie. - To praktycznie nasi sąsiedzi.

- Jak najbardziej, sir. Jak tylko otrzymam oficjalne zawiadomienie, nie omieszkam poinformować ludzi.

- Nie żebym przypuszczał, że się u nas pokaże.

- M-hm. Dziękuję panu, sir. - Carol energicznie odłożyła słuchawkę i mruknęła pod nosem: - Cholera.

Tony polizał palec i przyglądał parę sterczących włosków na lewej brwi. Krytycznym okiem studiował swoje odbicie w lustrze, oprócz którego w pokoju niewiele większym od szafki kuchennej, gdzie kazano mu zaczekać, znajdowała się jeszcze para pomarańczowych polipropylenowych pufów; więcej mebli nie było. Uznał, że w jedynym przyzwoitym garniturze, jaki posiadał, prezentuje się nobliwie, choć Carol skomentowała kiedyś, że wygląda w nim jak przeniesiony w czasie piłkarz z ubiegłej epoki. Jednak nawet ona, orzekł, nie zdołałaby niczego zarzucić jego gołębioszarej koszuli i ciemnopurpurowemu krawatowi.

Drzwi otworzyły się i Tony ujrzał spokojną osobę - jak wiedział od Chris, przyjaciółkę Micky - która wcześniej przedstawiła się jako jej asystentka.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- W najlepszym.

- To dobrze. - Głos miała ciepły i serdeczny jak nauczycielka z podstawówki, ale uśmiechała się grzecznościowo. Myślami była gdzie

indziej. - Cóż, to dla nas dość niezwykła sytuacja. Micky lubi się odświeżyć, zanim przyjmie gości. Niemniej czuje się... cóż, związana, choć tylko marginalnie, z tragiczną stratą, jaką poniosła policja, i zgodziła się z panem porozmawiać od razu. Zakładam, że to panu odpowiada?

Żelazna nutka w jej tonie nie dopuszczała myśli o sprzeciwie. Micky ma szczęście, że strzeże jej taka lwica.

- Będę zachwycony - zapewnił, nie całkiem mijając się z prawdą.

- Dobrze. Dołączy do pana za kilka minut. Napije się pan czegoś? Kawy? Wody mineralnej?

- Ta kawa to z automatu? - spytał dla pewności. Tym razem uśmiech był szczery.

- Obawiam się, że tak. Nie do odróżnienia od herbaty, gorącej czekolady i rosółu z kurczaka.

- W takim razie powiem: pas.

Wycofała się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Był tak zdenerwowany, że zaczęło go ścisnąć w żołądku. Publiczne występy zawsze go stresowały. Dzisiaj jego stres był tym większy, że chciał spłoszyć Jacko i sprawić, by ten zrobił coś, co go zdemaskuje. Obserwowanie Vance'a na jego imprezach odpowiadało zaledwie strzałowi ostrzegawczemu. Występ w programie jego żony podbije stawki w tej grze. Nie było sensu oszukiwać się, że jest inaczej.

Chrząknął nerwowo. Nie zdołał się powstrzymać od ponownego zerknięcia w lustro. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do

pomieszczenia weszła Micky Morgan. Tony zmusił się, żeby powoli obrócić się twarzą w jej stronę.

- Witam, pani Morgan - powiedział, podając rękę.

- Doktorze Hill - odparła; uścisk był krótki, zdecydowany, a dłoń chłodna. - Dziękuję, że zgodził się pan wystąpić.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jest tyle nieporozumień co do tego, czym się zajmujemy, iż cieszę się, ilekroć nadarza się okazja wygłosić małe sprostowanie. Tym bardziej że znowu mówiono o nas w wiadomościach zupełnie nie z tych powodów, co potrzeba. - Opuścił na chwilę wzrok.

- Rzeczywiście. Zrobiło mi się autentycznie przykro, kiedy usłyszałam o posterunkowej Bowman. Widziałam ją tylko przelotnie, ale zrobiła na mnie wrażenie bardzo błyskotliwej, bardzo skupionej na pracy osoby. I bardzo pięknej kobiety, oczywiście.

Tony skinął głową.

- Wszystkim nam będzie jej brakowało. Była jedną z najlepszych funkcjonariuszek, z jakimi miałem przywilej pracować.

- Wyobrażam sobie. To straszna rzecz dla policji stracić kogoś ze swoich szeregów.

- Nieprzyjemna historia. Wszyscy skaczą sobie do oczu, żeby zamaskować fakt, że w ich poczuciu śmierć w policyjnej rodzinie dowodzi własnej niekompetencji, że byliby w stanie jej zapobiec, gdyby tylko robili, co do nich należy. W tym przypadku sam także czuję się winny.

- Jestem pewna, że nie leżało w pańskiej mocy zapobiec tej tragedii - powiedziała Micky i impulsywnie położyła dłoń na jego ramieniu. - Kiedy mówiłam mężowi, że wystąpi pan w programie, powiedział to samo, a przecież on ma jeszcze mniej powodów, żeby czuć się odpowiedzialny za to nieszczęście.

- Nie ma żadnego powodu - zapewnił Tony, zaskoczony, że zabrzmiało to tak szczerze. - Choć obecnie zaczynamy skłaniać się do poglądu, że zabójca namierzył ją raczej w Londynie niż w Leeds. Przyznaję, miałem cichą nadzieję, że pozwoli mi pani zaapelować do świadków.

Micky osłoniła ręką szyję dziwnie nerwowym gestem.

- Nie sądzi pan chyba, że ktoś śledził ją, odkąd wyszła z naszego domu?

- Nie ma do tego przesłanek - zapewnił z pośpiechem.

- Nie? - Nie.

- Dzięki i za tę pociechę. - Odetchnęła głęboko i odgarnęła z twarzy jasne włosy. - Wróćmy do wywiadu. Zapytam, dlaczego pański zespół został powołany, na jakich działa podstawach prawnych, jakiego rodzaju wykroczeniami będą się państwo zajmować i kiedy zespół zacznie działać. Potem przejdę do sprawy Sharon...

- Shaz - przerwał jej Tony. - Proszę nie mówić o niej Sharon. Nie znosiła tego imienia.

Micky skinęła głową.

- Shaz. Przejdę do sprawy Shaz, a pan będzie miał okazję poprosić o wszelką pomoc, jaką chce pan uzyskać. Tak będzie dobrze? Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan ogłosić?

- Jestem przekonany, że moja wiadomość dotrze, do kogo potrzeba - stwierdził.

Oparła dłoń na klawisze.

- Betsy, moja asystentka, z którą rozmawiał pan wcześniej, przyjdzie po pana tuż przed naszym wejściem na antenę. Będzie pan ostatnim gościem przed przerwą na blok informacyjny.

- Dzięki - mruknął.

- Nie ma za co - odparła Micky.

I już jej nie było, pozostał jedynie ledwie uchwytny zapach kosmetyków. Tony wiedział, że ma przed sobą szansę, żeby zyskać w Micky sojuszniczkę. Miał tylko nadzieję, że tej szansy nie zmarnuje.

Lepiej żeby się okazało, że było warto, pomyślał Vance. Specjalnie odwołał lunch przygotowany osobiście przez Marco Pierre'a White'a i wiedział, że szef kuchni - straszny choleryk - każe mu słono za to zapłacić. Zamknął na klucz drzwi swojego gabinetu i opuścił rolety. Jego sekretarka miała dość rozumu, żeby nie łączyć rozmów, producent ani asystentka nie wiedzieli, że nadal przebywa w budynku. Cokolwiek wypłynie na światło dzienne podczas „Popołudnia z Morgan”, nikt nie zobaczy jego reakcji.

Wyciągnął się na długiej skórzanej sofie, zajmującej niemal całą szerokość ściany, i oparł nogi na poręczy. Z rozdrażnioną miną

włączył pilotem telewizor o gigantycznym ekranie w chwili, gdy zaczynała lecieć znajoma lista płac. Nie ma się czego bać. Shaz Bowman pochlebiała sobie, że coś wie, ale nie zdołała przekonać kolegów z zespołu. Z policją już się rozmówił. Jedli mu z ręki, i nie dziwota. Szczerze wątpił, by jakiś akademicki psycholożyna zdołał mu zaszkodzić, nie mając oficjalnego poparcia.

Zdołał wyciągnąć trochę informacji o Tonym Hillu, choć nie tyle, ile chciał. Tu także zachował ostrożność; starał się, by pytania brzmiały niezobowiązująco. Przecież wścibstwo' może wydać się podejrzane. To, czego się dowiedział, rozpałiło jego ciekawość. Hill stał za kontrowersyjnym programem badawczym pod egidą Home Office i doprowadził do powołania zespołu profilerckiego, do którego należała Shaz Bowman. Brał udział w łowach na seryjnego zabójcę w Bradfield, ale okazał się nie dość sprytny i skończyło się tak, że zabił własnego niedoszłego mordercę. Chodziły też słuchy, że w jego życiu seksualnym było coś graniczącego z perwersją. I dopiero to podziałało na Vance'a jak zastrzyk adrenaliny, tej właśnie kwestii nie wolno mu było tykać, choć najbardziej go interesowała.

Wprawdzie domysły na temat Tony'ego były fascynujące, nie stanowiły jednak żadnej konkurencji dla ekranu. Zauroczenie magią telewizji nie przybladło przez szereg lat, gdy sam występował przed kamerą. A już wprost uwielbiał telewizję na żywo z jej niebotycznym ryzykiem wpadki. Mimo że powinien raczej zachodzić w głowę, jak zneutralizować Tony'ego Hilla, gdyby okazało się to konieczne, nie umiał się oprzeć Micky. Lata znajomości zrodziły nie pogardę, lecz

szacunek dla jej umiejętności zawodowych i talentu. Naprawdę była świetna. Dostrzegł to na samym początku i rozumiał, że Micky jest kimś, kogo warto mieć po swojej stronie. To, że dotąd pozostała jego sojuszniczką, było niczym wielka, nieoczekiwana premia od losu.

Już wtedy była dobra, ale zrobiła ogromne postępy, bez dwóch zdań. Po części dlatego, że przybyło jej pewności siebie, po części dzięki Betsy. Ukochana pokazała jej, jak ukryć ostrze agresji pod powierzchnią spokojnego, delikatnie sondującego zainteresowania. Ofiary Micky Morgan najczęściej nie uświadamiały sobie, że zostały werbalnie wypatroszone, dopóki nie obejrzały swojego wywiadu z kasety. Jeśli trzeba było zmać powierzchowny spokój Tony'ego Hilla, wywiad na żywo z Micky załatwi sprawę. Zapobiegliwie napomknął żonie, że pod pogodną powierzchownością jej gościa może kryć się coś mrocznego. Teraz wszystko spoczywało w jej rękach.

Oczami znawcy oglądał pierwsze pięćdziesiąt minut programu, szacując i oceniając występ żony i jej współpracowników. Doszedł do wniosku, że korespondenta z Midlands trzeba się będzie pozbyć. Przy okazji wspomni o tym Micky. Vance nienawdził dziennikarzy, którzy na takim samym dramatycznym bezdechu mówią o dalekich wojnach, rozsadach w rządzie i fabułach oper mydlanych. Demonstrowali tym brak empatii, który gros odnoszących sukcesy pismaków nauczyło się ukrywać u początków kariery.

To dziwne, pomyślał, ale nigdy nie czuł pożądania do swojej żony. Prawda, nie była w jego typie, mimo to sporadycznie trafiał na

kobiety, które pociągały go, mimo że nie odpowiadały jego erotycznemu wzorcowi. Micky natomiast nigdy nie interesowała go pod względem seksualnym. Nawet w tych rzadkich chwilach, gdy przelotnie widywał ją nagą. Choć może to i lepiej, biorąc pod uwagę istotę ich związku. Jeden przebłysk tego, czego naprawdę chciał od płci pięknej, i Micky natychmiast by się z nim rozwiodła. Czego zdecydowanie nie chciał. Tym bardziej teraz.

- A po przerwie - mówiła Micky z poufałym ciepłem w głosie, które, jak podejrzewał, wywoływało erekcję u wielu bezrobotnych młodych mężczyzn z całego kraju - będę rozmawiała z człowiekiem, który całe dni spędza w umysłach seryjnych zabójców. Psycholog kryminalny Tony Hill zdradzi nam tajniki nowej ogólnokrajowej jednostki policyjnej. My zaś złożymy hołd funkcjonariuszce, która niedawno w tragicznych okolicznościach straciła życie. To wszystko, oraz codzienny skrót informacji, tuż po przerwie.

Kiedy zaczęły się reklamy, Vance zatrzymał nagrywanie. Odłożył pilota, przerzucił stopy na podłogę i pochylił się do przodu z oczami wlepionymi w ekran. Ostatnia reklama zbladła, ustępując miejsca logo „Popołudnia z Morgan”, a żona uśmiechnęła się do niego, jakby był dla niej całym światem.

- Witam po przerwie - powiedziała Micky. - Moim gościem jest uznany psycholog kliniczny, doktor Tony Hill. Cieszymy się, że jesteś tu z nami, Tony.

Reżyser zarządził odjazd kamery i uwidocznienie w kadrze dwóch osób, dzięki czemu Vance po raz pierwszy mógł przyjrzeć się

szeffowi Shaz Bowman. Krew uciekła mu z twarzy, potem napłynęła gwałtownie, przyprawiając go o ciemne wypieki. Był przekonany, że twarz Tony'ego Hilla będzie mu obca. Ale znał człowieka na ekranie. Zauważył go na sponsorowanym konkursie tańca towarzyskiego. Czaił się przy ścianie, gadał z fanami. Z początku Jacko uznał go za najnowszy dodatek do żalostnego oddziału szwendającego się za jego obozem. Ale ubiegłego wieczoru, na gali sportu, gdy patrzył, jak ten ktoś rozdaje wizytówki, zaczął się zastanawiać. Zamierzał polecić komuś sprawdzenie, co to za jeden, ale jakoś wyleciało mu z głowy. A teraz ów nieznajomy siedzi sobie na sofie i gawędzi z żoną Vance'a na oczach milionów telewidzów.

Nie żaden walnięty fan, jakich miał od groma. Nie zafajdany glina. Szef Shaz Bowman. Kto wie, może i przeciwnik.

- Jak tragiczna śmierć kursantki wpłynęła na zespół? - spytała Micky z troską i oczami błyszczącymi akurat na tyle, ile trzeba, by wyrażały szczere współczucie.

Tony uciekł wzrokiem; było oczywiste, że cierpi.

- To straszny cios - odparł. - Shaz Bowman była jedną z najbłyskotliwszych policjantek, z jakimi miałem zaszczyt pracować. Była obdarzona prawdziwym talentem i nikt jej nie zastąpi. Poprzysięgliśmy sobie, że jej zabójca zostanie ujęty.

- Naturalnie współpracujesz z funkcjonariuszami prowadzącymi dochodzenie w tej sprawie? - Znowu Micky. Odpowiedź na to, jak sądziła, rutynowe pytanie, okazała się interesująca.

Uniósł brwi, oczy mu się rozszerzyły.

- Każdy członek zespołu robi wszystko co w jego mocy, żeby pomóc - zapewnił pospiesznie. - Niewykluczone, że mogliby nam dopomóc i widzowie.

Zaimponował jej tym, jak szybko się opanował. Wątpiła, czy choćby jedna osoba na tysiąc widzów zauważyła, że gość zaciął się na chwilę.

- W jaki sposób, Tony?

- Jak wszystkim wiadomo, Shaz Bowman została zamordowana w swoim mieszkaniu w Leeds. Jednak mamy powody uważać, iż nie było to przypadkowe zabójstwo. Co więcej, nie jest wykluczone, że zabójca wcale nie pochodzi z Leeds. Shaz była w Londynie w sobotę rano, około dwunastu godzin przed śmiercią. Nie wiemy, dokąd się później udała ani z kim się widziała około wpół do jedenastej. Możliwe, że właśnie wtedy zainteresował się nią zabójca.

- Mam rozumieć, że ktoś ją śledził?

- Nie wykluczam możliwości, że śledzono ją przez całą drogę do Leeds z Londynu.

Nie było to dokładnie to samo, ale Micky miała za mało czasu, żeby drażyć temat.

- I liczysz na to, że znajdzie się jakiś świadek?

Tony skinął głową i wpatrzył się prosto w kamerę, przy której błyskało czerwone światelko. Micky miała podgląd na monitorze przed sobą i widziała, że mówił szczerze. Boże, wprost stworzony do telewizyjnych występów.

- Apelujemy do wszystkich, którzy widzieli Shaz Bowman po godzinie dziesiątej trzydzieści w sobotę rano. Wyróżniała się wyglądem. Miała wyjątkowo jasne niebieskie oczy, trudno jej było nie zauważyć. Może ktoś z państwa widział ją samą lub w towarzystwie zabójcy, chociażby kiedy tankowała samochód. Miała czarnego volkswagena golfa. Albo może w którymś ze sklepików czy toalet przy zjazdach z autostrady na odcinku między Londynem a Leeds. Może zauważyli państwo kogoś, kto się nią podejrzanie interesował. Jeśli tak, musimy się o tym dowiedzieć.

- A oto numer do pokoju zgłoszeń na komisariacie w Leeds - wtrąciła Micky; numer telefonu przepływał właśnie dołem monitora. Micky i Tony znikli z podglądu, ukazała się na nim fotografia uśmiechniętej twarzy Shaz. - Jeżeli widzieli państwo Shaz Bowman w sobotę, obojętnie, jak krótko, niech państwo zadzwonią i poinformują o tym policję.

- Chcemy go złapać, zanim znowu zabije - dodał Tony.

- Zatem proszę śmiało dzwonić do policji zachodniego Yorkshire bądź do najbliższego posterunku policji, jeżeli są państwo w stanie pomóc. Tony, dziękuję za przybycie i rozmowę. - Uśmiechnęła się do kamery; w słuchawce poganiał ją gniewny głos z reżyserki. - A teraz oddaję głos do studia. Zapraszamy na popołudniowy skrót wiadomości.

Micky oparła się wygodniej i pozwoliła sobie na serdeczne westchnienie.

- Dzięki, Tony. - Odpięła mikrofon i pochyliła się do przodu, aż ich kolana się zetknęły.

- To ja powinienem ci dziękować - odparł pośpiesznie na widok Betsy.

- Odprowadzę pana - mruknęła asystentka. Micky zerwała się na nogi.

- To była fascynująca rozmowa. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu.

Tony skorzystał z okazji.

- Moglibyśmy pomówić przy kolacji.

- Chętnie - odpowiedziała Micky takim tonem, jakby sama się sobie dziwiła. - Jesteś wolny dziś wieczorem?

- Tak, tak, jestem.

- Zatem umówmy się na wieczór. Wpół do siódmej ci pasuje? Z konieczności wcześniej jadam kolację, jak pracuję nad programem.

- Zarezerwuję stolik.

- Nie ma takiej potrzeby. Betsy się tym zajmie, dobrze, Bets? Na twarzy kobiety błysnęło rozbawienie, zauważył Tony. Zaraz potem wróciła maska zdawkowej uprzejmości.

- Nie ma sprawy. Ale teraz muszę wyprowadzić doktora Hilla z planu zdjęciowego, Micky - przypomniała i posłała mu przepraszający uśmiech.

- W porządku. Do zobaczenia później, Tony.

Micky patrzyła, jak Betsy i Tony odchodzą szybko. Cieszyła się, że będzie mogła znowu z nim porozmawiać; wydał się jej bardzo

interesujący. Warczenie w słuchawce brutalnie ściągnęło ją na ziemię: najpierw musiała przebrnąć przez resztę programu.

- Od razu przechodzimy do anarchii w szkole, tak? - mruknęła, zerkając do reżyserki, znowu skoncentrowana wyłącznie na pracy. Shaz Bowman stała się wspomnieniem.

Carol wpatrywała się w port widoczny za oknem gabinetu. Na dworze było wystarczająco zimno, żeby znikli przypadkowi spacerowicze. Sporadyczni przechodnie przemykali energicznie, nawet ci, którzy wyprowadzali psy. Miała nadzieję, że jej śledczy też się sprężają. Wybrała numer telefonu do hotelu, w którym zatrzymał się Tony. Nie mogła się doczekać sprawozdania z występu w telewizji. Sama także miała interesujące nowiny. Na szczęście, nie musiała długo wysłuchiwać „Walca z kukułką” w słuchawce.

- Halo? - Jego głos.

- „Popołudnie z Morgan” było świetne, Tony. A ty, co o tym sądzisz? Widziałeś Jacka Chłopaka na Medal?

- Nie, nie widziałem, za to ją polubiłem bardziej, niż bym się spodziewał. To profesjonalistka. Buduje w człowieku fałszywe poczucie bezpieczeństwa, potem znenacka podchodzi dziwacznymi pytaniami. Ale to, co chciałem powiedzieć, powiedziałem.

- Czyli Vance’a nie było na widoku?

- Nie w studiu. Mówiła natomiast, że uprzedzała go o moim występie, więc nie stawiałbym swoich pieniędzy na to, że Chłopak na Medal przegapił dzisiejszą emisję.

- A ona, sądzisz, że domyśla się czegokolwiek?

- Ze podejrzewamy jej męża? - Wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Ze jej mąż to seryjny zabójca. - Jest dziś wyjątkowo rozkojarzony, skostatowała Carol.

- Chyba nie ma o niczym zielonego pojęcia. Wątpię, czy zostałaaby z nim, gdyby się domyślała - stwierdził z przekonaniem.

- On naprawdę umie zamydlić człowiekowi oczy.

- Oj tak. Zobaczymy, czego potrzeba, żeby go wykurzyć z nory. Zaczynam od dziś. Zabieram jego żonę na kolację.

Carol nie zdołała zapanować na ukłuciem zazdrości, ale głos jej się nie zmienił. W skrywaniu uczuć przed Tonym miała aż nadto wprawy.

- Naprawdę? Jak ci się to udało?

- Myślę, że ona jest autentycznie zainteresowana profilowaniem psychologicznym - wyjaśnił. - Oby tylko udało mi się wyciągnąć z niej jakieś użyteczne informacje.

- Jeżeli ktokolwiek to potrafi, to tylko ty. Tony, chyba mamy problem. Z Simonem. - Pokrótce przedstawiła swoją rozmowę z Johnem Brandonem. - I co ty na to? Powinniśmy go namówić, żeby sam się zgłosił?

- Moim zdaniem powinniśmy jemu pozostawić tę decyzję. Jeżeli się zgadzasz? Bo pewnie nieraz będzie siedział w twoim salonie, zanim wszystko się skończy.

- Nie spodziewam się większych kłopotów - odparła Carol powoli. - Mówimy tylko o wewnętrznej notatce. Przecież nie będzie ogólnokrajowych poszukiwań z jego zdjęciami w każdej gazecie. No, przynajmniej nie jutro czy pojutrze. Jeśli sprawa przeciągnie się do przyszłego tygodnia, a on nie pojawi się w domu ani nie skontaktuje z przyjaciółmi albo rodziną, sytuacja może bardziej się skomplikować. Wówczas musielibyśmy go przekonać, aby się przeprosił z policją.

- Zakładasz, że nie podrepcze potulnie do kwatery głównej w Leeds?

Carol parsknęła kpiąco.

- A jak myślisz?

- Myślę, że za dużo zainwestował w to, co robimy. A skoro już o tym mowa, jak się spisuje zespół?

Streściła mu wyniki tournée Kay i rozmów z rodzinami zaginionych. Gdy doszła do zdjęcia, które Kay prawie wyrwała z rąk Kenny'ego i Denise Burton, Tony'ego na chwilę aż zatkało.

- Zeloci.

- Słucham?

- Zagorzali fani. Fanatycy. Apostołowie Jacko Vance'a. Byłem dotąd na trzech jego publicznych występach i jest kilku takich, którzy pojawiają się na każdym bez wyjątku. Raptem trzy czy cztery osoby. Zauważyłem je od razu.

- Gdybyś kiedykolwiek skończył na zasiłku, mógłbyś się starać o posadę w straży sąsiedzkiej - stwierdziła. - Nazywałaby się „strażą antyświrową”.

Roześmiał się.

- Tak czy owak, dwoje z nich robiło zdjęcia.

- Bingo?

- Możliwe. Całkiem możliwe. To się bardzo, ale to bardzo dobrze składa. Może będziemy mieć na niego haka.

- I jest nas pięcioro. On patrzy tylko z jednej perspektywy.

- Masz absolutną rację. Pogadamy jutro, okay?

Czuła, że Tony aż rwie się do działania. Wcale mu się nie dziwiła. Micky Morgan będzie prawdziwym wyzwaniem dla jego umiejętności, a Tony uwielbiał wyzwania. Bez względu na to, czy wydobędzie z niej nowe informacje, czy tylko wykorzysta kolację z żoną Vance'a, żeby podnieść mu ciśnienie. Ale jeszcze nie pora powiedzieć: „do usłyszenia”.

- Ostatnia sprawa... podpalacz?

- O Boże, tak, oczywiście. Przepraszam, jakieś postępy?

Zreferowała odkrycia zespołu, koncentrując się na dwóch podejrzanych.

- Sama nie wiem, czy na tym etapie ściągać obu na przesłuchanie i spróbować uzyskać nakaz rewizji, czy raczej objąć ich obserwacją. Pomyślałam, że się ciebie poradzę.

- Na co wydają pensje?

- Brinkley z żoną na takie rzeczy, które widać. Nowe samochody, sprzęty domowe, sklepowe karty kredytowe. Watson wygląda na hazardzistę. Upłynnia, co się da, a z gotówką pędzi do bukmacherów.

Tony przez chwilę się nie odzywał. Wyobraziła go sobie: jak marszczy czoło, przegarnia gęste czarne włosy, a jego głęboko osadzone oczy ciemnieją i nabierają nieobecnego wyrazu.

- Na miejscu Watsona postawiłbym kasę na to, że to robota Brinkley a - oznajmił w końcu.

- Jak to?

- Jeśli Watson to nałogowy hazardzista, jest przekonany, że następny zakład, następny kupon loteryjny rozwiąże wszystkie jego problemy. Wierzy. Brinkley nie jest człowiekiem wiary. Myśli, że jeśli tylko wykombinuje trochę dodatkowej gotówki, jakoś się wykaraska z kłopotów. Tak przynajmniej to widzę. Ale czy mam rację, czy nie, przesłuchanie nic nie da. Może pożary ustaną, ale nikt nigdy nie będzie za nie sądzony. Nakaz przeszukania też nie pomoże, sądząc z tego, co mówiłaś na temat śladów na miejscu przestępstwa. Wiem, że nie taką odpowiedź chciałaś usłyszeć, ale obserwacja daje najlepsze widoki na skazanie. No i musisz obu podejrzanych objąć nadzorem.

Carol jęknęła.

- Wiedziałam, że to powiesz - poskarżyła się. - Obserwacja. Ulubione zajęcie gliniarzy. Budżetowy koszmarek.

- Poczuj się, że chodzi tylko o noc. A on nie próżnuje, więc to nie potrwa długo.

- Czy mam już lepszy humor?

- Lepszej pociechy nie znajduję.

- W porządku. Nie twoja wina. Dzięki za pomoc, Tony. Biegnij już, życzę udanej kolacji. Wracam do domu na rozmrożoną pizzę i,

miejmy nadzieję, nowinki od Simona i Leona. Da dobry Bóg, to wcześniej się położę. Spać... - Ostatnie słowo zabrzmiało jak pieszczota. Tony zaśmiał się.

- Zatem miłych snów.

- Och, wyśpię się, wyśpię - zapewniła. - Tony...? Powodzenia.

- Z braku cudów, niech będzie i powodzenie.

Szczęk odkładanej słuchawki uniemożliwił jej wspomnienie o jeszcze jednym przedsięwzięciu, jakie dziś podjęła. Niesprecyzowany niepokój dręczył ją dopóty, dopóki, w samym środku rozlicznych zajęć, nie znalazła chwili, by rozesłać zapytanie do wszystkich jednostek policyjnych na terenie kraju. *Starsza inspektor Carol Jordan z wydziału kryminalnego policji wschodniego Yorkshire prosi o informacje na temat najnowszych raportów dotyczących niewyjaśnionych zaginięć nastoletnich dziewcząt.*

- Mike McGowan? To ten przy narożnym stoliku, słodziutki - powiedziała barmanka, wskazując kciukiem kierunek.

- Co pije? - spytał Leon.

Ale barmanka obsługiwała już kolejnego klienta. W pubie było umiarkowanie tłoczno, klientela zaś składała się niemal wyłącznie z mężczyzn. W małych miastach na wschodzie Midlands, takich jak to, obowiązywał klarowny podział na lokale, w których mężczyźni chcieli spędzać czas z kobietami, oraz na te, do których udawali się, by od nich odpocząć. Przynależność pubu do drugiej kategorii

zdradzała umieszczona na zewnątrz duża tablica głosząca: „Sport non stop, wielkie ekrany”.

Leon sączył swoje shandy, mieszankę lageru z lemoniadą i bez pośpiechu przyglądał się Mike’owi McGowanowi Jimmy Linden wymienił wcześniej jego nazwisko jako specja od życiorysu Jacko Vance’a.

Leon skontaktował się z redakcją londyńskiej gazety, do której McGowan pisywał, ale dowiedział się, że on nie pracuje tam już od trzech lat po redukcji stanowisk. Rozwodnik, trójka dorosłych dzieci. Ponieważ nic nie zatrzymywało McGowana w drogiej stolicy, wrócił do Nottinghamshire, miasta swojej młodości.

Eksreporter bardziej przypominał karykaturę wykładowcy z Oksfordu czy Cambridge niż ogólnokrajowego „gazeciarza”, jakich Leon dotąd widywał. Nawet kiedy siedział, było oczywiste, że jest bardzo wysoki. Szopa popielatoszarych włosów z gęstą grzywką zachodzącą na oczy, duże okulary w oprawkach z żółwiowej skorupy i karnacja jak u świńskich blondynów nadawały mu chłopięcy wygląd. Marynarka z przedpotopowego tweedu, który zaczyna wyglądać na miły w dotyku po piętnastu latach noszenia, za to można go nosić przez następnych dwadzieścia bez najmniejszych śladów przetarc. Pod spodem miał szarą flanelową koszulę i krawat w paski, zawiązany w wąski, ciasny węzeł. Siedział sam w narożnej niszy, z uwagą wpatrując się w pięćdziesięciosześcioletni ekran telewizyjny, na którym leciał mecz koszykówki. Gdy Leon mu się przyglądał, McGowan wytrząsnął zawartość fajki, postukując nią o popielniczkę;

machinalnie oczyścił ją i napełnił świeżym tytoniem, nie odrywając wzroku od ekranu.

Nadal śledził mecz koszykówki, gdy Leon wyrósł obok niego cicho jak duch.

- Pan Mike McGowan?

- We własnej osobie. A pan coś za jeden? - odpowiedział pytaniem; specyficzny sposób wypowiedzania samogłosek, identyczny jak u barmanki, zdruzgotał iluzję szacownego wykładowcy akademickiego.

- Leon Jackson.

McGowan posłał mu szybkie, taksujące spojrzenie.

- Jakieś pokrewieństwo z Billie'em „Chloptasiem” Jacksonem? Leon omal się nie przeżegnał.

- To mój wuj - wykrztusił.

- Masz taki sam kształt głowy. Kto jak kto, ale ja powinienem to wiedzieć. Siedziałem w pierwszym rzędzie tego wieczora, jak Marty Pyeman rozwalił twojemu wujkowi czachę. Ale chyba nie to cię sprowadza, co?

- Czy mogę panu postawić coś do picia, panie McGowan? Dziennikarz skrzywił nos.

- Ja tu nie przychodzę na drinka. Przychodzę oglądać sport. Mam gównianą emeryturę. Nie stać mnie na abonament za satelitę ani na taki ekran. Chodziłem do szkoły z ojcem właściciela, więc nie protestuje, jak jedno piwo sączę przez pół wieczoru. Siadaj i mów, o co chodzi.

Leon wyjął legitymację. Chciał nią tylko mignąć McGowanowi przed oczami i zaraz schować, ale dziennikarz był szybszy.

- Policja metropolitalna - powiedział z namysłem. - Tylko co londyński glina z liverpoolskim akcentem robi z emerytowanym pismakiem w najciemniejszym kącie Nottinghamshire?

- Jimmy Linden wspomniał, że mógłby mi pan pomóc - zaczął Leon.

- Jimmy Linden? Oto nazwisko z zamierzchłej przeszłości. - Położył legitymację na stoliku i przesunął ją w stronę Leona. - No, to co chcesz wiedzieć o Jacko Vance'ie?

Leon z uznaniem potrząsnął głową.

- Nie mówiłem, że interesuje mnie akurat Vance. Ale skoro pan chce o nim mówić, proszę śmiało.

- Rety, ale ostatnimi czasy uczą was subtelności - stwierdził McGowan jadowicie.

Zapalił zapalną i przytknął ją do fajki. Zaciągnął się, potem wydmuchnął kłęb siwego dymu, który pochłonał cienką, spiralną smużkę z papierosa Leona.

- No, więc co Jacko zmalował? Cokolwiek to jest, założę się, że nigdy za to nie beknie.

Leon milczał, choć był pod wrażeniem.

- Nie widziałem Jacko kopę lat - mruknął w końcu McGowan. - Nie przepada za tymi, którzy pamiętają, jaki był, jak jeszcze miał wszystkie kończyny. Nie znosi, jak mu się przypomina, co stracił.

- Można by pomyśleć, że to, co ma teraz, powinno mu wynagrodzić stratę - podchwycił Leon. - Świetna praca, więcej forsy niż przeciętny ekscentryk byłby w stanie wydać, boska żona, dom wielkości pałacu. Ilu złotych medalistów olimpijskich może się pochwalić czymś podobnym?

McGowan powoli pokręcił głową.

- Nic nie wynagrodzi komuś, kto uważa się za boga, odkrycia, że wcale nim nie jest. Ta jego cizia dobrze zrobiła, że go rzuciła. To jasne, że byłaby pierwsza na liście, gdyby Jacko Vance zaczął szukać kogoś, kto zapłaci za to, co zrobili mu bogowie.

- Jimmy mówił, że nikt nie wie o Jacko tyle co pan.

- Pozory. Siedzę jego karierę, przeprowadzałem z nim wywiady. Pewnie parę razy mignął mi człowiek pod maską, ale nie powiedziałbym, że go znam. Nie sądzę, żeby ktokolwiek go znał. Serio, nie mam o Jacko do powiedzenia nic więcej niż to, co o nim napisałem.

McGowan wydmuchnął kolejny pierzasty kłęb dymu. Leonowi zapach skojarzył się z tortem „czarny las”: wiśnie i czekolada. Nie pojmował, jak można palić takie świństwo.

- Jimmy wspominał też, że zbierał pan artykuły prasowe o sportowcach, których karierą się pan interesował.

- Rety, sporo żeś wycisnął ze starego Jimmy'ego. Musiałeś mu przypaść do serca. Uważasz sobie, zawsze miał duży szacunek dla czarnych lekkoatletów. Mawiał, że muszą pracować dwa razy ciężiej, żeby się wybić. Pewnie myślał, że w policji jest podobnie.

- A może po prostu umiem rozmawiać z ludźmi - uciął Leon sucho. - Są szanse, że pozwoli mi pan zerknąć na te artykuły?

- Na któryś w szczególności, panie śledczy? - droczył się McGowan.

- Zdam się na pana w kwestii tego, co najbardziej interesujące, proszę pana.

McGowan, wpatrzony w mecz, burknął:

- W karierze równie długiej jak moja trudno wyłować wyjątkowe chwile.

- Jestem przekonany, że się to panu uda.

- Mecz kończy się za dziesięć minut. Może wtedy pójdziesz zerknąć na moje archiwa?

Po półgodzinie Leon siedział w należącym do McGowana segmencie z dwiema sypialniami, jakimś cudem spartańskim i zagraconym zarazem. W pomieszczeniu były tylko dwa meble: zmaltretowane skórzane krzesło na kółkach, które wyglądało, jakby było używane już w czasach wojny domowej w Hiszpanii, oraz porysowane i obdrapane biurko nieokreślonego koloru, niegdyś grafitowy metalik. Wszystkie cztery ściany zajmowały przemysłowe metalowe regały, wypełnione pudłami po butach; do każdego przyklejona była etykieta.

- To niesamowite - rzucił.

- Zawsze sobie obiecywałem, że jak przejdę na emeryturę, napiszę książkę - mruknął McGowan. - Zdziwiające, jak oszukujemy samych siebie. Kiedyś podróżowałem po całym świecie, zaliczając

największe imprezy sportowe. Teraz mój świat skurczył się do rozmiarów telewizyjnego ekranu w „The Dog and Gun”. Ktoś mógłby pomyśleć, że będę załamany. Ale zabawna rzecz, wcale nie jestem. W życiu nie byłem z siebie taki cholernie zadowolony. Przypomniało mi się, że zawsze najbardziej lubiłem oglądać sport. Wolność bez odpowiedzialności, oto co teraz mam.

- Niebezpieczne połączenie - wtrącił Leon.

- Wyzwalające. Gdybyś pojawił się trzy lata temu, od razu zacząłbym węszyć za sensacją. Nie spocząłbym, póki nie dowiedziałbym się, co jest grane. Teraz jestem bardziej podniecony sobotnią walką w Vegas niż wszystkim, co powiedział czy zrobił Jacko Vance. - Wskazał półkę. - Jacko Vance. Piętnaście pełnych kartonów. Baw się dobrze, chłopcze. Jestem umówiony na mecz tenisowy w „The Dog and Gun”. Jeśli skończysz przed moim powrotem, po prostu zatrzaśnij za sobą drzwi.

Gdy Mike McGowan wrócił tuż przed północą, Leon nadal wertował artykuły. Dziennikarz przyniósł mu kubek kawy instant i mruknął:

- Mam nadzieję, że płacą ci za nadgodziny, chłopcze.

- To raczej akt dobrej woli, można by powiedzieć - wyjaśnił Leon sucho.

- Z dobroci serca czy ukłon wobec szefa? Leon zastanowił się.

- Wobec jednej z koleżanek. Niech pan to nazwie długiem honorowym.

- Jedyne, jakie warto słać. Nie będe przeszkadzal. Postaraj sie nie huknac drzwiami, jak bedziesz wychodzil.

Do Leona ledwie docieraly odglosy towarzyszone przygotowaniom gospodarza do snu: trzeszczenie klepek w podlodze, buczenie w rurach, odglos spuszczonej wody w toalecie. Potem zapadla cisza, jezeli nie liczyc szelestu pozolkllych kartek.

Dochodzila druga nad ranem, kiedy dokopal sie czegoś ciekawego. Tylko jeden artykul, przelotna wzmianka. Ale zawsze to jakis poczatek. Kiedy Leon Jackson wyszedl na ciemna, opustoszała ulice, pogwizdywal pod nosem.

Jej oczy wydawaly sie zupełnie szczere. Zgarnela ostatni kęs wędzonej kaczkki na widelec, nadziala ostatni strączek fasoli i stwierdzila:

- Ale przeciez to musi miec na ciebie jakis wplyw, skoro tyle czasu i energii poswiecasz na wczuwanie sie w psychopatow? Tony podejrzenie dlugo przezuwal kęs polenty.

- Czlowiek uczy sie budowac chiński mur wokół siebie - odparl w koncu. - Wie sie, ale sie nie wie. Czuje sie, ale nie czuje. Przypuszczam, ze podobnie jest z dziennikarzami od wiadomosci. Ty pewnie tez gorzej sypiasz w dniu, kiedy informowalas ludzi o czymś takim jak masakra w Dunblane albo zamach bombowy w Lockerbie?

- Owszem, ale my zawsze jesteśmy z boku. Ty musisz byc w samym centrum wydarzeń, prawda?

- Ale chyba nie zawsze jesteś z boku? Kiedy poznałaś Jacko, sensacja wręcz wdarła się w twoje życie. Musiałaś oddzielić wszystko, co o nim wiedziałaś prywatnie, od tego, co mówiłaś na jego temat światu. Kiedy jego była dziewczyna popełniała niedyskrecje i opowiadała o różnych rzeczach brukowcom, niemożliwe, żebyś miała je za temat jak każdy inny. Czy to nie wpłynęło na twój ogląd świata?

- sondował; skorzystał z pierwszej okazji, by naprowadzić rozmowę na temat jej męża.

Micky odgarnęła włosy. Nawet po dwunastu latach, jak się przekonał, jej pogarda dla Jillie Woodrow nie osłabła.

- Podła baba - mruknęła. - Ale Jacko mówił, że ona głównie zmyśla, a ja mu wierzę. Więc w gruncie rzeczy wcale mnie to nie dotknęło.

Przybycie kelnera wybawiło ją z opresji. Kiedy w milczeniu zebrał nakrycia i zniknął, Tony powtórzył pytanie.

- To ty jesteś psychologiem - odparowała. Sięgnęła do torebki po paczkę marlboro. - Miałbyś coś przeciwko temu, żebym...?

Pokręcił głową.

- Nie wiedziałem, że palisz.

- Tylko po kolacji. Nie więcej niż pięć dziennie - wyjaśniła, zabawnie wykrzywiając usta. - Maniaczka na punkcie samokontroli, to cała ja. Maniaczka nad maniaczkami.

Drgnął, słysząc to określenie. Sam użył go tylko raz - w odniesieniu do osoby, z której ręki omal nie zginął. Dziwnie i deprymująco było usłyszeć je z cudzych ust.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - zaśmiała się. Zaciągnęła się dymem z wyraźną, zmysłową wręcz przyjemnością.

- Coś mi się przypomniało. Głowę mam nabitą mnóstwem dziwnych skojarzeń.

- Założę się, że to prawda. Zastawiałam się tylko, skąd masz pewność, że do profilu trafiają te właściwe. - Zaciągnęła się mocno, wydmuchała przez nos smużki bladego dymu; minę miała zaintrygowaną.

Rzucił jej badawcze spojrzenie. Teraz albo nigdy.

- A jak można w ogóle być czegoś pewnym? To połączenie wiedzy i doświadczenia. I umiejętności zadawania właściwych pytań.

- Na przykład?

Pytała z autentycznym zainteresowaniem i zaczął odczuwać wyrzuty sumienia na myśl, że za chwilę zepsuje taki przyjemny wieczór.

- Czy Jacko nie ma nic przeciwko temu, że Betsy jest w tobie zakochana?

Twarz jej stężała, źrenice rozszerzyły się w przyływie paniki. Po pewnym czasie zdobyła się na słaby śmiech.

- Jeśli chciałeś mnie wziąć z zaskoczenia, niewątpliwie ci się to udało.

Pozbierała się wyjątkowo szybko, ale wyraz jej oczu był jak przyznanie się do winy.

- Ja nie jestem dla ciebie zagrożeniem - powiedział miękko. - Dyskrecja to moja druga natura. Ale głupcem też nie jestem. Ty i

Jacko stanowicie fałszywkę jak banknot dziewięciofuntowy. Byłaś z Betsy, zanim go poznałaś. Potem raptem zrobiło się o was głośno jak o Karolu i Dianie, więc plotkarze ucichli.

- Po co to wywlekasz? - spytała.

- Oboje jesteśmy tutaj z ciekawości. Ja odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania. Możesz mi się zrewanżować lub nie. - Miał nadzieję, że jego uśmiech jest serdeczny.

- Boże... - zdumiała się Micky. - Ależ masz tupet. Spoglądała na niego z namysłem. Skinieniem odprawiła kelnera niosącego kartę deserów.

- Proszę nam przynieść jeszcze jedną butelkę zinfandela - zawołała za nim. Potem pochyliła się ku Tony'emu i powiedziała łagodnie: - O co chcesz zapytać?

- Co z tego ma Jacko? Przecież nie jest gejem? Micky z przejęciem pokręciła głową.

- Jillie rzuciła Jacko po wypadku, bo nie chciała być z mężczyzną, który nie jest ideałem. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie łączył seksu z uczuciem. Potrzebował atrapy, która odstraszałaby od niego inne kobiety, a ja mężczyzny, za którym mogłabym ukrywać Betsy.

- Obopólna korzyść.

- O tak, obopólna korzyść. I żeby oddać Jacko honor, dopowiem, że nigdy nie próbował wycofać się z umowy. Nie wiem, jak rozwiązuje problem seksu, ale podejrzewam, że korzysta z usług

ekskluzywnych dziewczyn na telefon. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to, dopóki nie przynosi mi wstydu.

Zgasiła papierosa i podniosła na Tony'ego spojrzenie wyrażające absolutną szczerłość, tysiące razy przećwiczone przed okiem kamery.

- Dziwię się, że kogoś, komu płacą za interesowanie się życiem innych, tak mało interesuje własny mąż - mruknął.

Jej uśmiech był ironiczny.

- Jedenaście lat małżeństwa z Jacko nauczyły mnie tego, że Jacko nie można poznać. Zrozum, ja nie myślę, że on kłamie, po prostu mówi zaledwie część prawdy. Różni ludzie znają małe fragmenty prawdy o Jacko, ale sądzę, że całej nie zna nikt.

- Jak to?

Tony sięgnął po dyskretnie doniesioną przez kelnera butelkę, ponownie napełnił kieliszek Micky, pusty, oraz własny, ledwie tknięty.

- Wśród ludzi, na forum publicznym, Jacko zachowuje się jak idealny, troskliwy mąż, ale wiem, że to tylko aktorstwo. W domu wydaje się taki daleki, że aż trudno uwierzyć, iż mieszkamy pod jednym dachem od tylu lat. W pracy zachowuje się tak, jak według powszechnego mniemania powinien się zachowywać telewizyjny gwiazdor: perfekcjonista, trochę egzaltowany, drze się na ekipę i asystentów, kiedy nie wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Ale wobec policji zmienia się w Mistera Wdzięku. Z kolei, jak przychodzi do zbierania pieniędzy, staje się trzeźwym, twardym biznesmenem.

Wiesz, że na każdego funta, jaki idzie na cele charytatywne, dwa trafiają do jego kieszeni?

Tony pokręcił głową.

- Pewnie powiedziałby, że instytucje charytatywne i tak dostają dzięki niemu fundusze, jakie inaczej nigdy by do nich nie trafiły.

- A czemu miałyby pracować za darmo? Fakt, kiedy ja uczestniczę w imprezach dobroczynnych, nie domagam się nawet zwrotu za prywatne wydatki. Ale to tylko jedna strona medalu. Z drugiej jest jego wolontariat, praca na rzecz nieuleczalnie chorych. Godzinami przesiaduje przy ich łózkach, słucha, rozmawia. Raz jakiś dziennikarz próbował przemycić magnetofon, żeby ukazać ludziom „tajemnice Jacko Vance’a”. Jacko dowiedział się o tym i rozwalił magnetofon. Dosłownie rozdeptał na kawałki. Wszyscy myśleli, że dziennikarza też rozszarpie, ale gość miał dość rozumu, żeby zwiać.

- Człowiek, który ceni sobie prywatność - stwierdził Tony.

- Och, ma jej pod dostatkiem. Kupił dom w Northumberland, na środku pustkowia. Przez te dwanaście lat widziałam go tylko raz, jak jechałyśmy z Bets do Szkocji i postanowiłyśmy go odwiedzić. Wręcz zmusiłam go, żeby zrobił nam herbaty. W życiu nie czułam się bardziej niepożądana. - Micky uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Tak, można powiedzieć, że Jacko ceni prywatność. Ale mnie to nie przeszkadza. Lepsze to, niż gdyby miał przez cały czas wisieć mi nad głową.

- W takim razie nie był pewnie zachwycony, że policja interesuje się jego sprawami - podchwycił Tony. - Po wizycie Shaz Bowman, o to mi chodzi.

- To nie żarty. Tak się składa, że to ja zadzwoniłam na policję, wiedziałeś? Z reakcji Betsy i Jacko można by wnosić, że doniosłam na nich i przeze mnie pójdą siedzieć za morderstwo. To był koszmar, zanim ich przekonałam, że musimy przyznać się do wizyty tej nieszczęsnej kobiety.

- Dobrze, że choć jedno z was ma poczucie obowiązku - stwierdził Tony sucho.

- No tak. Aczkolwiek o wszystkim wiedziała również policjantka, do której Jacko dzwonił domówić szczegóły spotkania. Sprawa i tak by się wydała.

- Strasznie męczy mnie sumienie - wyznał Tony, uciekając spojrzeniem. - Widziałem, że czymś się gryzła, ale nie myślałem, że zacznie driałać bez konsultacji ze mną.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, nad czym pracowała? - spytała Micky z niedowierzaniem. - Gliniarze, którzy u nas byli, też się nie orientowali, ale sądziłam, że kto jak kto, ale ty będziesz to wiedział.

Tony wzruszył ramionami.

- Właściwie to nie. Podejrzewała, że jakiś seryjny morderca zabija nastolatki i że może to być ktoś w rodzaju maniakałnego fana sław. Szczegółów nie znałem. Chodziło o ćwiczenie, nie o autentyczne śledztwo.

Micky zadrżała i dopiła wino.

- Możemy zmienić temat? Rozmowa o morderstwie źle wpływa na trawienie.

Nie zamierzał się spierać. Ryzyko już się opłaciło, i to sownie. A Tony nie był pazerny.

- Okay. Opowiedz mi, jak to zrobiłaś, że minister rolnictwa przyznał się do związków z tamtą firmą biotechnologiczną.

Carol wpatrywała się w trzy zwrócone ku niej buntownicze twarze.

- Wiem, że obserwacja to nic miłego. Ale tylko obserwacja pomoże nam go złapać. Pożary wybuchają dość często, więc jest całkiem możliwe, że za parę dni będzie po wszystkim. A oto mój plan. Sami zakaszemy rękawy. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie lekko, ale sami wiecie, jak to jest z budżetem. Rozmawiałam z mundurowymi i zgodzili się podesłać nam parę osób, które będą ich pilnować za dnia. Codziennie o dziesiątej wieczorem dwójka z was przejmie inwigilację. Każde z was będzie pracować dwie noce z rzędu, potem jedna wolna. Każde z was będzie mieć wsparcie drugiej osoby, gdyby zanosilo się na jakiś numer. Zaczniemy od dziś. Pierwsza zmiana już jest na miejscu. Jakies pytania?

- A w razie wpadki? - spytał Lee.

- Nam nie zdarzają się wpadki - stwierdziła Carol. - Ale w razie czego zjeżdżasz na chodnik, dzwonisz do osoby obserwującej drugi obiekt i zamieniacie się. Wiem, że to trudna operacja przy takiej

liczbie osób. Ale nie mam cienia wątpliwości, że sobie poradzicie. Nie rozczarujcie mnie, proszę.

- Psze pani? - odezwała się Di.

- Tak?

- Skoro naprawdę mamy takie problemy z obsadzeniem stanowisk, czemu nie ograniczyć inwigilacji do jednego podejrzanego?

- Dobre pytanie - przyznała. - Też o tym myślałam. Potem zastanowiłam się, co będzie, jeśli obstawimy niewłaściwego kandydata i dowiemy się o tym dopiero po następnym pożarze z ofiarami śmiertelnymi? - Rozmyślna pauza. - Uznałam więc, że lepsza będzie jednoosobowa obstawa, ale dla obu podejrzanych.

Di pokiwała głową.

- Racja. Tak się tylko zastanawiałam.

- W porządku. Ustalcie między sobą godziny zmian i wcześniej się nie pokazujcie. Informujcie mnie na bieżąco. Cokolwiek się stanie, wystarczy jeden telefon i już jestem. Nie trzymajcie mnie w niewiedzy.

- Kiedy pani mówi, że wystarczy jeden telefon... - zaczął Tommy sugestywnym tonem.

- Chcę być przy aresztowaniu.

- Ano, skoro to miała pani na myśli.

Udał rozczarowanie: Carol wiedziała, że chciał ją zirytować. Starannie ukryła, iż mu się to udało, i uśmiechnęła się ze słodyczą.

- Wierz mi, Tommy, powinieneś się z tego cieszyć. A teraz spadajcie i dajcie mi popracować.

Jej dłoń spoczywała na słuchawce, zanim Carol skończyła mówić. Wybrała pierwszy numer z listy, postukując ołówkiem o kaset, gdy elita Seaford opuszczała pomieszczenie w tempie ślimaka, który nażarł się valium.

- Zamknijcie za sobą drzwi, proszę - zawołała za nimi. - Halo? Baza policji? Tu inspektor Jordan ze wschodniego Yorkshire. Muszę z kimś porozmawiać na temat osób zaginionych. Posłałam prośbę o informacje na temat nastoletnich dziewcząt...

Tony ostrożnie wjechał na śliską drogę. Zastanawiał się, czy prowadzenie samochodu sprawiałoby mu większą przyjemność, gdyby miał jedną z tych kosmicznych bryk, jakie oglądał na błyszczących ulotkach, zamiast rozklekotanego starego vauxhalla. Jakoś w to wątpił. Ale wiedział, że nie o tym powinien rozmyślać, gdy wycieraczki omiatały szybę z zacinającego ukośnie deszczu, jak to w Yorkshire, by odsłonić widoczne w oddali Bradford. Na obwodnicy jechał według wskazówek i w końcu zatrzymał auto przed segmentem, którego obsesyjnej czystości dorównywała jedynie wojskowa precyzja samotnej rabaty kwiatowej. Nawet zasłony wyglądały na zaciągnięte w taki sposób, aby z każdej strony okna widoczny był identyczny pas franki.

Naciśnięcie dzwonka wywołało paskudne, uporczywe brzęczenie. Drzwi otworzyły się, odsłaniając człowieka, którego Tony widział na wszystkich imprezach Jacko Vance'a.

Philip Hawsley poszedł na pierwszy ogień - z braku lepszych powodów dlatego, że mieszkał najbliżej. Podążając za gospodarzem do hipersterylne go salonu, który roztaczał woń politory i odświeżacza powietrza, a wyglądał jak rekonstrukcja pokoju dziennego typowej rodziny z klasy średniej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku, Tony zarejestrował wszystkie oznaki osobowości obsesyjno-kompulsywnej. Hawsley, którego wiek mieścił się w przedziale między trzydziestką a pięćdziesiątką, nieustannie przeciągał palcami po guzikach beżowego swetra, żeby sprawdzić, czy wszystkie są na swoim miejscu. Studiował paznokcie przynajmniej raz na minutę, upewniając się, czy nie zabrudziły się, odkąd ostatnio patrzył. Siwiejące włosy miał ostrzyżone krótko, po wojskowemu, buty wypolerowane na wysoki połysk. Poprosił, żeby Tony, usiadł i wskazał, na którym krześle. Nie proponując kawy ani herbaty, usiadł dokładnie naprzeciwko psychologa, z nogami szczerlnie do siebie przyciśniętymi w kolanach i kostkach.

- Imponująca kolekcja - zagadnął Tony, rozejrzawszy się po pokoju.

Całą ścianę zajmowały półki z kasetami wideo, opatrzonymi nalepkami z datą i nazwą programu. Nawet stąd widział, że większość to „Wizyty Vance'a”. Laminowany regał zawierał serię albumów i zeszytów z wycinkami z gazet. Na półce nad regałem stało pół tuzina

książek. Zaszczytne miejsce, na ścianie z kominkiem gazowym, zajmowała duża, oprawiona w ramki fotografia. Przedstawiała Hawsleya ściskającego rękę Jacko Vance'a.

- Taki mały hołd mego pomysłu - wyjaśnił Hawsley świętoszkowatym, zniewieściałym głosem. Tony aż nadto żywo wyobrażał sobie, jak dokuczano mu, kiedy był nastolatkiem. - Jesteśmy rówieśnikami, wie pan. Co do dnia. Czuję, że nasze losy są nierozzerwalnie splecione. Jesteśmy jak dwie strony tej samej monety. Jacko to ta publiczna, ja ta prywatna.

- Zgromadzenie tylu materiałów musiało trwać całe lata - zauważył Tony.

- Poświęciłem się prowadzeniu tych archiwów - odparł Hawsley nobliwie. - Pochlebiam sobie, że mam pełniejszy ogląd życia Jacko niż on sam. Kiedy przeżywa się je tak pracowicie, nie ma czasu, żeby przysiąść i zastanowić się nad wszystkim. Nad jego odwagą, skromnością, ciepłem, współczuciem. Jest stuprocentowym człowiekiem naszych czasów. Szczególny paradoks polega na tym, że musiał stracić część siebie, aby osiągnąć doskonałość.

- Całkowicie się z panem zgadzam - zapewnił Tony - Jacko jest prawdziwym natchnieniem.

Oparł się i pozwolił, by bałwochwalcze wywody Hawsleya spływały po nim jak woda. Udawał, że jest zafascynowany, choć czuł obrzydzenie. W końcu Hawsley odprężył się, co oznaczało, iż o parę centymetrów odsunął się od krawędzi krzesła w niby wygodniejszej pozycji, a Tony stwierdził:

- Bardzo chciałbym obejrzeć pańskie albumy ze zdjęciami. Krytyczne daty zdażyły wyryć mu się w pamięci.

- Na potrzeby naszych badań zajmujemy się konkretnymi momentami w karierach różnych osób - papłał, kiedy Hawsley otworzył szafkę i zaczął wyjmować albumy. Tony podawał miesiąc i rok, Hawsley sięgał po określony tom i kładł go przed nim na stoliku, otwarty na odpowiedniej stronie. Jacko Vance nie próżnował. Miał od pięciu do dwudziestu imprez miesięcznie, w tym wiele charytatywnych zbiórek funduszy, często dla szpitala w Newcastle, w którym ochotniczo pracował.

Pamięć Hawsleya do szczegółów, o ile wiązały się z jego idolem, była fenomenalna. Co dla Tony'ego okazało się błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. Po stronie plusów zyskał mnóstwo czasu na dokładne obejrzenie zdjęć, po stronie minusów monotony głos Hawsleya omal nie pogrążył go w stanie katatonii. Wkrótce jednak Tony poczuł dreszcz podniecenia: zaledwie na dwa dni przed tym, jak pierwsza z nastolatek wytypowanych przez Shaz Bowman zaginęła, Jacko Vance był na otwarciu hospicjum w Swindon. Na drugiej z czterech ulubionych fotografii Hawsleya z tej uroczystości, tuż obok połyskliwej głowy Vance'a, Tony zobaczył twarz, której wcześniej nauczył się na pamięć. Debra Cressey. Miała czternaście lat w dniu zaginięcia. A dwa dni wcześniej spoglądała z uwielbieniem na Jacko Vance'a, wręczającego jej autograf. Była w siódmym niebie.

Po paru godzinach Tony rozpoznał kolejną dziewczynę u boku Vance'a i najwyraźniej pogrążoną z nim w rozmowie. Trzecia potencjalna ofiara wspinała się na palce, żeby skraść roześmianemu Vance'owi całusa. Ale widać ją było z profilu, więc trudno o absolutną pewność. Teraz pozostawało jedynie wyprosić zdjęcia od Hawsleya.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym pożyczyć niektóre z tych fotografii? - zagadnął.

- Oczywiście, że nie - obruszył się Hawsley. - Jest sprawą pierwszorzędnej wagi, aby ciągłość archiwalna została zachowana. A gdyby mnie sprawdzono i okazałoby się, że brakuje kilku pozycji z inwentarza? Nie, doktorze Hill, obawiam się, że o tym absolutnie nie może być mowy.

- A co z negatywami? Zachował je pan? Dotknięty do żywego Hawsley oświadczył:

- Oczywiście, że tak. O jakiego kalibru niechlujstwa mnie pan tu posądza?

Otworzył drzwiczki szafki wbudowanej w regał. Pudła z negatywami ustawione były na półkach, wszystkie oklejone etykietami i opisane z obsesyjną skrupulatnością. Tony w duchu aż się wzdrygnął, bo wyobraził sobie, jak Hawsley metodycznie opisuje każdy negatyw z każdego pudła. Nie tyle chorobliwie skrzętny, co banalny.

- Cóż, może w takim razie mógłbym pożyczyć negatywy, żeby zamówić odbitki? - spytał tonem pozbawionym irytacji, choć kosztowało go to niemało wysiłku.

- Wykluczone, nie wypuszczę ich z rąk - uparł się Hawsley. - Są zbyt ważne.

Kolejny kwadrans zajęło znalezienie możliwego do przyjęcia kompromisu. Tony zawiózł Philipa Hawsleya wraz z jego cennymi negatywami do najbliższego zakładu fotograficznego, gdzie zapłacił bająną sumę za to, żeby odbitki wykonano na poczekaniu. Następnie odwiózł Philipa Hawsleya do domu, żeby mógł odłożyć negatywy na swoje miejsce, zanim pozostałe zauważą ich brak.

Na drodze ekspresowej, jadąc do właściciela drugiego nazwiska z listy, pozwolił sobie na chwilę tryumfu i optymizmu.

- Dorwiemy cię, Jack Chłopaku na Medal. Dorwiemy cię.

22

Simon McNeill wiedział o Tottenham tylko tyle, że mają drugorzędną drużynę piłkarską i że zabito tam jakiegoś glinę podczas zamieszek w latach osiemdziesiątych, kiedy sam chodził jeszcze do szkoły. Nie spodziewał się przyjaznego powitania ze strony tubylców, więc nie był zaskoczony, że jego pojawienie się w miejscowym lokalu wyborczym zostało przyjęte bez zachwytu. Zaledwie wyjaśnił, co go sprowadza, urzędujący za biurkiem patyczak w garniturze wznosił oczy ku niebu i westchnął.

- Będzie pan musiał sam się tym zająć - stwierdził opryskliwie. - Nie mam nadwyżek personelu, w dodatku nikt nie raczył mnie o niczym uprzedzić.

Wepchnął Simona do zakurzonych archiwów, poczęstował go dziesięciosekundowym wprowadzeniem w system katalogowania i zniknął.

Rezultaty poszukiwań nie były zachęcające. Przy ulicy, gdzie Jacko Vance dorastał, w latach sześćdziesiątych stało około czterdziestu domów. Do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego dwadzieścia dwa zostały wyburzone, a w ich miejscu powstał blok mieszkalny o nazwie Shirley Williams House. Osiemnaście ocalałych zamieszkiwali regularnie zmieniający się zarejestrowani wyborcy. Garstka osób pozostawała tam dłużej niż parę lat, szczególnie w ponurych czasach podatku pogłównego w połowie lat osiemdziesiątych. Tylko jedno nazwisko się nie zmieniało.

Simon ucisnął grzbiet nosa; zaczynała go boleć głowa. Modlił się, żeby to wszystko przybliżyło ich do schwytania zabójcy Shaz. Pod powiekami miał obraz jej twarzy, przenikliwych niebieskich oczu, roziskrzonych, roześmianych. Dość tego, zmitygował się po chwili, założył skórzaną kurtkę i wyruszył na poszukiwanie Harolda Adamsa.

Numer dziewiąty przy Jimson Street okazał się malutkim segmentem z brudnożółtej londyńskiej cegły. Owalny ogródek, który oddzielał go od ulicy, zaśmiecały puszki po piwie, paczki po chrupkach i pojemniki po jedzeniu na wynos. Gdy otwierał bramę,

chudy czarny kot łypnął na niego wrogo, potem dał wielkiego susa, unosząc ze sobą kość kurczaka. Cała ulica tchnęła wonią rozkładu. Zaszuszone starszy pan, który otworzył drzwi, gdy w końcu ustał zgrzyt zasuw i obracanych w zamku kluczy, wyglądał, jakby był starcem już w czasach, gdy Jacko Vance biegał w krótkich spodenkach. Simon podłamał się lekko.

- Pan Adams? - spytał bez większych nadziei na inteligentną odpowiedź.

Staruszek przekrzywił głowę, spróbował wyprostować przygarbione plecy i spojrzał Simonowi w oczy.

- Pan z rady miejskiej? Już mówiłem tej kobiecie, nie potrzebuję pomocy domowej i nie chcę przywożonego jedzenia. - Jego głos przywodził na myśl nienaoliwione zawiasy.

- Jestem z policji.

- Ja nic nie widziałem - rzucił Adams z pośpiechem i przysunął się ku drzwiom.

- Nie, nie, niech pan poczeka. Ja w zupełnie innej sprawie. Chciałem porozmawiać o kimś, kto mieszkał tu wiele lat temu. Znał pan Jacko Vance'a?

Adams znieruchomiał.

- Aha! Dziennikarz? Chcesz pan ocyganić starego człowieka. Zadzwoń na policję.

- Ja jestem z policji. - Simon mignął otwartą legitymacją na wysokości wyblakłych, szarych oczu. - Proszę spojrzeć.

- Dobrze już, dobrze, nie jestem ślepy. Sami zawsze nam powtarzacie, że ostrożności nigdy dość. Po kiego chcesz pan gadać o Jacko Vance'ie? Nie mieszka tu od... niech pomyślę, będzie jakieś siedemnaście, osiemnaście lat.

- A może wszedłbym do środka, pogawędzilibyśmy? - zaproponował Simon z cichą nadzieją, że Adams odprawi go z kwitkiem.

- Niech i tak będzie.

Adams otworzył drzwi na oścież i odsunął się, by przepuścić gościa. Gdy Simon go mijał, doleciał go zapach starego człowieka, tracący moczem i nieświeżymi herbatnikami. Wszedł do salonu, który, o dziwo, okazał się nieskazitelnie czysty. Nie dostrzegł żdźbła kurzu na ekranie olbrzymiego telewizora czy jednej plamki na wykończonych koronką pokrowcach foteli ani najmniejszej smugi brudu na ukrytych za szkłem i oprawionych w ramki fotografiach, ustawionych nad kominkiem. Harold Adams miał słuszość: nie potrzebował pomocy w prowadzeniu domu. Simon poczekał, aż staruszek zasiądzie w fotelu, zanim sam spoczął.

- Ja jeden się ostałem - oznajmił Adams dumnie. - Jak się tu osiedliliśmy w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, ta ulica była jak jedna wielka rodzina. Każdy wiedział wszystko o każdym i, jak to w rodzinie, ciągle zdarzały się jakieś kłótnie. Teraz nikt nikogo nie zna, ale wszyscy kłócą się jak za starych czasów. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a Simon pomyślał, że jego twarz wygląda jak przód czaszki jakiegoś ptaka, w której cudem zachowały się oczy.

- Założę się, że to prawda. Czyli nie najgorzej znał pan rodzinę Vance'ów?

Adams zaśmiał się ironicznie.

- Jaka tam była z nich rodzina, he, he. Jego tatusiek, inżynier niby, ale z tego, co widziałem, to tylko co rusz znikał jak kamień w wodę, i to na całe tygodnie. Uważasz pan, nie zdziwiłbym się, gdyby nieźle zarabiał. Zawsze ubierał się lepiej niż wszyscy z okolicy. Ale nawet szylinga nie wydał na dom czy na żonę z dzieciakiem, chyba że musiał.

- A ona, jaka była?

- Zawsze jej brakowało piątej klepki. Nie miała czasu dla tego chłopaka, nawet wtedy, jak był jeszcze w powijakach. Wystawiała go na dwór w wózku i nawet do niego nie zajrzała przez całe godziny. Czasami zapominała go zabrać, nawet jak zaczynał padać deszcz, i moja Joan albo jakaś sąsiadka musiała do niej iść, pukać do drzwi i powiedzieć. Moja Joan nieraz widziała, jak w porze obiadu chodziła jeszcze w szlafroku.

- Zaglądała do kieliszka?

- Nic o tym nie słyszałem. Po prostu nie lubiła tego dzieciaka. Uważała, że traci przez niego klasę, jak przypuszczam. Kiedy podrósł, po prostu pozwalała mu biegać luzem, a potem, jak ludzie przychodzili na skargę, spuszczała mu lanie. Nie wiem, co się tam działo za zamkniętymi drzwiami, ale czasem słyszało się, jak dzieciak szlochał, jakby mu serce pękło. A uważasz pan, zawsze mu źle z oczu patrzyło.

- Jak to?

- Paskudne chłopaczysko było z tego Jacko Vance'a. Wszystko mi jedno, co ludziska o nim mówią, że bohater i sportowiec, miał diablika za skórą, co ja mówię, całego diabła. Och, umiał być uroczy, jak myślał, że coś na tym zyska. Wszystkie kobiety z naszej ulicy owinał sobie dookoła małego paluszka. Ciągłe dawały mu jakieś łakocie, pozwalały oglądać telewizję, jak matka zamknęła mu drzwi przed nosem.

Adams bawił się jak król. Simon podejrzewał, że w tych czasach nieczęsto miał okazję dać upust swojej złości.

- Ale pan swoje wiedział? Adams znowu zarechotał.

- Wiedziałem o wszystkim, co działo się na tej ulicy. Raz przyłapałem „tego małego gnojka na tyłach zamykanych garaży przy Boulmer Street. Trzymał za kark kota, wie pan, tak żeby nie mógł go podrapać. Akurat moczył mu ogon w słoiku z benzyną, jak wyszedłem zza rogu. A na ziemi leżała paczka zapalek. - Krótka, wiele mówiąca pauza. - Zmusiłem go, żeby wypuścił kota, a potem skopałem smarkaczowi tyłek, aż miło. Ale nie myślę, żeby to coś pomogło. Koty dalej znikają. Ludzie gadali. A ja swoje wiedziałem.

- Jak pan mówił, miał diabła za skórą.

Aż trudno było w to uwierzyć. Dręczenie zwierząt było jak żywcem wyjęte z podręcznika. Nie znalazłby lepszego informatora, choćby długo szukał.

- Był z niego mały dręczyciel, ot co. Wiecznie dokuczał młodszym dzieciakom, podjudzał do robienia niebezpiecznych rzeczy,

pakował je w kłopoty, chociaż palcem ich nawet nie tknął. Tylko stał z boku i czekał, aż coś się niby samo stanie, i patrzył. My z Joan dziękowaliśmy Bogu, że nasza dwójka już dorosła i wyniosła się stąd. Na szczęście, zanim pojawiły się wnuki, Vance odkrył, że potrafi rzucać głupim oszczepem dalej niż ktokolwiek inny. Po tym prawie go nie widywaliśmy i krzyżyk mu na drogę, bezpieczniej bez takiego sąsiada, jak słowo daję.

- Nie znajdzie pan wielu osób, które powiedzą o tym człowieku złe słowo - zauważył Simon uprzejmie. - Ocalił dwójkę dzieci, pewnie pan o tym słyszał. Bardzo chętnie wspomaga instytucje dobroczynne. I rezygnuje z wolnego czasu, by zajmować się nieuleczalnie chorymi.

Adams wykrzywił twarz w szyderczym grymasie.

- Mówiłem panu, on lubi się przyglądać. Pewnie podnieca go świadomość, że oni niedługo odwalą kite, a on nadal będzie puszyć się w telewizji jak udzielny książę. Powiadam ci, synku, Jacko Vance ma diabła za skórą. No, więc czym wam podpadł?

- Nie mówiłem, że podpadł.

- To po coś chciał o nim gadać? Simon puścił do niego oko.

- No, no, wie pan, nie mogę zdradzać szczegółów policyjnego dochodzenia. Był pan niebywale pomocny, tyle panu powiem. Na pańskim miejscu w najbliższych dniach oglądałbym wiadomości. Przy odrobinie szczęścia dowie się pan, co było powodem mojej wizyty. - Wstał. - No, zbieram się. Mojego zwierzchnika bardzo zainteresują informacje, jakich nam pan udzielił, panie Adams.

- Latami czekałem, żeby to z siebie wyrzucić, synku. Latami.

Barbara Fenwick zginęła sześć dni przed swoimi piętnastymi urodzinami. Gdyby żyła, miałaby prawie dwadzieścia siedem lat.

Jej okaleczone zwłoki odnaleziono w chacie na wrzosowiskach za miastem. Najwyraźniej została zmuszona do odbycia stosunku seksualnego, ale nie znaleziono spermy ani w ciele, ani na skórze. O niezwykłości tej zbrodni przesądził charakter odniesionych przez nią obrażeń. Większość psychopatycznych zabójców okalecza organy płciowe swoich ofiar; zabójca Barbary zdruzgotał prawą rękę dziewczyny, tak iż pozostał jedynie krwawy ochłap, a zmiażdżone kości i mięśnie przestały przypominać ludzką kończynę. Patolog obstawała przy tezie, że okaleczenia odpowiadają raczej narastającemu naciskowi na tkanki niż jednorazowemu, potężnemu uderzeniu.

Prowadzący śledztwo nie widzieli w tym sensu.

Ci, którzy dokonali makabrycznego znaleziska, mieli alibi; od sześciu dni obozowali w okolicy i razem chodzili po wrzosowiskach. Rodzice dziewczyny także byli poza wszelkim podejrzeniem. Od samego początku powtarzali, że córka czuła się w domu szczęśliwa, że przenigdy by nie uciekła, że musiała zostać porwana. Policja była ostrożna, podkreślała fakt, iż wraz z Barbarą zniknął komplet najlepszych ubrań i że córka, wychodząc z domu w dniu zaginięcia, okłamała rodziców, mówiąc o swoich planach. W dodatku poszła wtedy na wagary, i to nie po raz pierwszy.

Prowadzący śledztwo nie widzieli w tym sensu.

Barbara Fenwick nie była szaloną nastolatką ani rozrabiarą. Nie była notowana, przyjaciele zarzekali się, że wypijała czasem puszkę słodkiego cydru, ale nie więcej, nikt nie wierzył, by eksperymentowała z narkotykami czy seksem. Jej ostatni chłopak, którego miesiąc wcześniej rzuciła dla innego, mówił, że nigdy nie poszli na całość i że pomimo seksownego wyglądu, najpewniej nigdy tego nie robiła, podobnie jak on. Uczyła się nie najgorzej, chciała zostać przedszkolanką. Po raz ostatni wiarygodni świadkowie widzieli ją w autobusie do Manchesteru rano w dniu zaginięcia. Sąsiadce, która ją zauważyła, powiedziała, że wybiera się do kliniki dentystycznej na wizytę w sprawie ósemek. Jej matka upierała się, że Barbara nie miała ósemek, a patolog to potwierdziła.

Prowadzący śledztwo nie widzieli w tym sensu.

Nic nie sugerowało, że to dziewczyna, której grozi wykolejenie się. Wcześniej wybrała się do dyskoteki z grupą przyjaciół. Jacko Vance wystąpił w niej nieodpłatnie w roli gwiazdy wieczoru, rozdawał autografy. Przyjaciele dziewczyny mówili, że fantastycznie się bawiła.

Prowadzący śledztwo nie widzieli w tym wszystkim sensu. Leon Jackson wręcz przeciwnie.

23

Kamienna płyta miała zmyślne sterowanie elektroniczne i była tak precyzyjnie dopasowana, że nie wydawała nawet złowieszczego zgrzytu. Gdy niewielki ładunek elektryczny powodował nacisk na konkretny, ściśle określony punkt, po prostu obracała się o sto

osiemdziesiąt stopni i odsłaniała schodki prowadzące do małej krypty, której istnienia pod przebudowaną kaplicą nikt by nie podejrzewał. Jacko Vance pstryknął przełącznikiem, który zalał kryptę ostrym fluorescencyjnym światłem, i ruszył w dół.

Najpierw poczuł smród. Dławiąca woń uderzyła go, zanim mógł zobaczyć stworzenie, które było niegdyś Donna Doyle. Fetor rozkładającej się tkanki mieszał się z odorem niemytej, złanej gorączkowym potem skóry oraz z kwaśnym zapachem chemicznej toalety. Przewracało mu się w żołądku, ale powiedział sobie, że wahał gorsze smrodki 'na oddziale nieuleczalnie chorych, gdzie gangrena pożerała ciała ludzi, którym już amputowano wszystko, co tylko było do amputowania. Było to kłamstwo, ale dodało mu otuchy.

U podstawy schodów zatrzymał się i wpatrzył w żalną postać, która przyciskała się do zimnej kamiennej ściany, jakby sądziła, że ta rozstąpi się i da jej drogę ucieczki.

- Jesteś obrzydliwa - wycedził z pogardą, patrząc na zmierzwione włosy, ropiejące rany, brudną skórę; pewnie wpadała po ciemku na różne przedmioty.

Miała płatki śniadaniowe i bieżącą wodę. Nie było usprawiedliwienia dla jej stanu; mogła zadać sobie trud, żeby się obmyć, zamiast siedzieć na materacu we własnych nieczystościach, pomyślał z odrazą. Żelazny łańcuch dawał wystarczająco dużo swobody, a wnosząc z otwartych pudełek, walających się na ziemi, w jedzeniu boląca ręka jej nie przeszkodziła. Pogratulował sobie, że

wybrał materac w plastikowym pokrowcu; będzie mógł splukać ślady jej obmierzłej obecności strumieniem wody. Jak już z nią skończy.

- Jak ty wyglądasz? - rzucił z obrzydzeniem.

Chwiejnie ruszył ku niej. Po drodze rozpiął marynarkę i cisnął ją na krzesło ustawione poza zasięgiem rąk dziewczyny.

- Czego mógłbym chcieć od takiej żalösnej kreatury?

W kwileniu, jakie wydobyło się z posiniaczonych ust Donny Doyle, nie sposób było wyodrębnić słów. Zdrową ręką chwyciła koc we wzruszającej próbie osłonięcia własnej nagości. Jeden szybki krok i Jacko pochylił się nad nią, wyrwał jej szorstkie, wełniane okrycie. Na odlew rąbnął dziewczynę protezą w twarz. Upadła na bok, łyzy mieszały się na jej twarzy z krwią i wydzieliną z nosa.

Vance odsunął się i splunął na nią. Spokojnie rozebrał się, złożył ubranie i ułożył je schludnie na krześle. Miał wzwód, był rozpalony. Musiał czekać dłużej niż zazwyczaj, a wszystko przez tę sukę Bowman. Po odkryciu zwłok nie śmiał zbliżyć się do swojej krypty, dopóki policja nie przestała się nim interesować. Nawet gdyby Tony Hill czegoś się domyślał, dowody przecież nie istniały i nikt nie przejmie się jego słowami. Znowu bezpieczny, wrócił po następną dawkę tego, co nadawało sens życiu: po słodki smak zemsty, słodki smak cierpienia. Uklęknął na materacu. Ręką brutalnie rozsunął dziewczynie nogi, napawając się jej protestami, próżnymi wysiłkami, żeby go powstrzymać, jej żalösnymi, kwilącymi skargami. Wbił się w nią i całym ciężarem przygniótł jej okaleczoną rękę.

Donna Doyle w końcu zdobyła się na zrozumiałą wypowiedź. Jej krzyk odbił się echem od ponurego sklepienia lochu: - Nie!

24

Carol energicznie otworzyła drzwi i praktycznie wciągnęła Tony'ego do środka.

- Zaczynaliśmy się zastanawiać, czy się nie zgubiłeś - oświadczyła.

Pomaszerowała w stronę stołu, na którym szeroki termos z zupą stał obok paru bochenków chleba z oliwkami i tacy serów.

- Wypadek na trasie - mruknął, rzucając na blat teczkę, i ciężko opadł na fotel.

Wydawał się zdenerwowany, głos miał smutny.

Carol naląła zupy do dwóch kubków i podała jeden Tony'emu.

- Muszę z tobą porozmawiać, zanim dotrze tu cała reszta. Tony, to już nie jest akademickie ćwiczenie. Sądzę, że na kilka dni przed zamordowaniem Shaz on porwał następną.

Natychmiast skupił na niej niepodzielną uwagę.

- Dowody? - zażądał.

- Raczej przeczucie. Rozesłałam po kraju prośbę o informacje w sprawie osób niedawno zaginionych. Dziś po południu zadzwonili do mnie z Derbyshire. Donna Doyle. Lat czternaście. Z Glossop. Jakieś osiem kilometrów od końca M67. - Carol podała mu wydruk faksowy. - Matka sama zamówiła ulotkę, bo policja nieszczególnie się tą sprawą zamartwiała. Identyczny schemat, zobacz: rano wyszła z domu, rzekomo do szkoły, rodzicom wytłumaczyła, że nie wróci do późna.

Znikła jej najlepsza odzież. Zaplanowana ucieczka z domu, sprawa nie tyle zamknięta, co raczej dyskretnie ignorowana. Ale pogawędziłam z posterunkową, która przesłuchiwała matkę, zanim dali sobie spokój. Nie naprowadzałam jej na nic, sama z siebie wspomniała, że wieczorem, na parę dni przed zaginięciem, Donna była z przyjaciółką na imprezie charytatywnej, której gościem honorowym był Jacko Vance.

- O cholera - syknął Tony. - Carol, to nic pewnego, ale ona może jeszcze żyć.

- Nie chcę nawet myśleć, że może być inaczej.

- Mówię serio. O ile Vance przetrzymuje je przed zabójstwem, jest spora szansa, że po zamordowaniu Shaz bał się do niej zbliżyć. Chryste, musimy zlokalizować miejsce, gdzie je zabija. I to szybko.

Patrzyli na siebie ze ściśniętymi gardłami.

- On ma dom w Northumberland - przypomniał sobie Tony.

- Nie będzie tego robił na własnym progu - zaprotestowała Carol.

- Najpewniej nie, ale śmiało bym się założył, że do miejsca zabójstw ma niedaleko i może tam szybko dotrzeć samochodem. Zespół przyniósł jakieś sensacje? - spytał posepnie.

Carol zerknęła na zegar ścienny.

- Nie wiem. Dowiemy się lada chwila. Spotkali się w Leeds i przyjadą tu razem. Ale złożyli mi przez telefon krótkie sprawozdanie i zanoszą się na to, że z tej mąki będzie chleb.

- To dobrze. - Umilkł, słysząc rżenie auta, które z trudem forsowało stromy podjazd pod dom Carol. - Nadciąga kawaleria, jeśli uszy mnie nie mylą.

Carol otworzyła drzwi i do środka wpadła trójka niezwykle z siebie zadowolonych funkcjonariuszy. Rozsiedli się przy stole, ściągnęli kurtki i płaszcze i rzucili je na podłogę; chcieli jak najszybciej się pochwalić.

Tony przegarnął włosy.

- Podejrzewamy, że tuż przed zamordowaniem Shaz uprowadził kolejną dziewczynę. Możliwe, że ona jeszcze żyje.

Bez satysfakcji obserwował, jak błysk znika z ich oczu, twarze opromienione zadowoleniem kurczą się i bledną.

- Carol?

Carol powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała Tony'emu, on tymczasem poszedł do kuchni, dokąd zwabił go zapach kawy, i napełnił filiżanki. Po powrocie oznajmił:

- Czas na sporządzenie szczegółowego profilu i przeprowadzenie burzy mózgów to luksus, na który nas nie stać. Musimy w trybie ekspresowym zgromadzić dowody i zrobić co w ludzkiej mocy, aby ocalić życie tej dziewczyny. No, a co wy osiągnęliście? Kay, może ty pierwsza?

Kay zwięźle przedstawiła przebieg rozmów z rodzicami ofiar.

- W gruncie rzeczy opowiadają taką samą historyjkę. Nie ma znaczących rozbieżności, ani w porównaniu z początkowymi zeznaniami figurującymi w aktach, ani między poszczególnymi

wersjami. Wpadło mi w ręce zdjęcie Jacko Vance'a z jedną z zaginionych, ustaliłam też, że wszystkie zaliczyły jego imprezę na kilka dni przed zniknięciem. I na tym koniec. Przykro mi.

- Niepotrzebnie - zapewnił Tony. - Wspaniale się spisałaś. Na pewno nie było łatwo rozmawiać z ludźmi, którzy nadal cierpią. Zdjęcie też nam pomoże, będziemy mieć coś konkretnego. Dobra robota, Kay. Simon?

- Dzięki Carol udało mi się odszukać eksnarzeczoną Jacko. Zebrał myśli.

- Według Jillie Woodrow w sypialnianych nawykach Jacko nie było nic z normalności. Od samego początku ich życia seksualnego musiał wszystko kontrolować. Ona miała być bierna i pełna uwielbienia. Nienawidził, kiedy dotykała go w sposób erotyczny, raz spoliczkował ją za to, że pchała się z rękami. Coraz bardziej interesował się pornografią sadomasochistyczną i chciał, żeby odgrywała fantazje z pisemek, książek i jego własnej wyobraźni. Nie przeszkadzało jej to, że ją wiązał, powiada Jillie, niespecjalnie przeszkadzały jej klapsy czy pejcze, ale kiedy zaczął wyjeżdżać z gorącym woskiem, klamrami na sutki i wielkimi wibratorami, powiedziała: dość.

Zajrzał do notatek.

- Podejrzewa, że mniej więcej w okresie, kiedy jego kariera zaczęła nabierać rozpędu, a on zbijać grubą kasę, zaczął korzystać z usług prostytutek. Nic obleśnego, nic w taniutkim pokoju czy na rogu ulicy. Było parę luksusowych dziewczyn na telefon, kobiet, które albo

godziły się na jego udziwnione potrzeby, albo organizowały panienki takiego pokroju, że było im wszystko jedno, nawet jak przeholował. Ćpunkci, takie tam. Jillie twierdzi, że chciała się wyrwać, ale bała się go. Poza sypialnią - chodzący ideał. Troskliwy, uprzejmy, hojny, choć niewiarygodnie zaborczy. Więc po wypadku uczepliła się okazji obydwoma rękami. Pomyślała, że jak powie mu w szpitalu, będzie bezpieczna, bo zanim Jacko wyjdzie, ochłonie i sprawa rozejdzie się po kościach.

Simon podniósł wzrok; Tony miał ironiczną minę.

- Co potem, wszyscy dobrze wiemy, prawda? Micky Morgan. Małżeństwo z rozsądku.

Teraz wszyscy wpatrywali się w niego okrągłymi oczami. Słuchali zdumieni i pełni niedowierzania, gdy wyjaśnił, czego się dowiedział od Chris Devine i że informacje te potwierdziła sama Micky.

- Historia tyleż fascynująca, co chora - podsumował. - Wprawdzie nie mamy dowodów, które skłoniłyby policję do dokenania aresztowania, ale przynajmniej swoje już wiemy, nieprawdaż?

Nie musieli nic mówić. Odpowiedź wyczytał w ich oczach.

- To nie wszystko - wtrącił Simon i pośpiesznie streścił swoją rozmowę z Haroldem Adamsem.

- Człowieku, im więcej się dowiadujemy, tym trudniej uwierzyć, dlaczego Chłopak na Medal nadal chodzi wolno - westchnął Leon i

zapalił papierosa, trzeciego od chwili przyjścia. - Ale ja też mam prawdziwą bombę.

Najpierw przekazał skąpe informacje, jakie uzyskał od Jimmy'ego Lindena.

- Na koniec opowiedział mi o emerytowanym dziennikarzu nazwiskiem Mike McGowan. Ten gość więcej o sporcie zapomniał, niż my kiedykolwiek będziemy wiedzieli. Ma archiwa, dla których ci z British Library chyba by go ukatrupili. Mówię wam, zajęło mi pół nocy, zanim przejrzałem wszystko, co ma o Jacko. A potem znalazłem to.

Teatralnym gestem wydobył pięć kserokopii oraz wycinek z „The Manchester Evening News”, poświęconego morderstwu Barbary Fenwick. Jeden akapit był zaznaczony na żółto markerem.

- „Barbara, jak twierdzą jej znajomi, nie była imprezowiczką. Swoją ostatni sobotni wieczór spędziła jak zazwyczaj. Z grupą przyjaciół udała się do dyskoteki, w której charytatywnie wystąpił utalentowany sportowiec Jacko Vance” - odczytał z naciskiem.

- Pracus i wielki altruista - mruknął Simon ironicznie.

- Cóż, w jego pracowitość nikt chyba nie wątpi - skomentował Tony. - Ale do rzeczy: są jakieś dowody na to, że Vance osobiście poznał tę dziewczynę?

- Szalala ze szczęścia, bo dał jej autograf - odparł Leon i rozdał kserokopie streszczenia, jakie przygotował na podstawie danych z archiwum policyjnego. - Nie pozwolili mi skserować akt, więc to

tylko kopie moich odręcznych notatek. Założę się, że to jego pierwsza ofiara.

- A ja założę się, że masz rację - stwierdził Tony. - Och, to dobre, Leon, to naprawdę dobre. Potem nabrał wprawy. Mój Boże, ci obozowicze niemalże się o niego potknęli. Patrzcie, tu jest napisane, że tuż po tym, jak dotarli do grani, widzieli samochód, wyglądał im na land rovera, zjeżdżający szlakiem. Jacko obleciał strach. Zrozumiał, że potrzebuje spokojnego miejsca, gdzie będzie mógł zabijać. Podejrzewamy z Carol, że to może być gdzieś w Northumberland, nawiasem mówiąc. W pobliżu jego domu. Ale bez nowych informacji... - Potarł dłońmi twarz. - Ta sprawa sprzed dwunastu lat. Gdzie przechowują dowody?

Leon był wyraźnie przybity.

- Nie wiadomo. Przed pięcioma laty przenieśli wszystkie nierozwiązane sprawy do nowego lokum i wszystkie dane kryminalistyczne albo zaginęły, albo pomyłkowo trafiły do niewłaściwej szuflady. Nie żeby według spisu materiałów było dużo. Żadnych odcisków, żadnych płynów ustrojowych. Trochę śladów opon, ale dwanaście lat temu nie było z tego żadnego pożytku.

- Prowadzący dochodzenie. Oto z kim musimy pomówić. Ale najpierw opowiem wam, co sam ustaliłem. Może skromnie to wygląda w porównaniu z waszymi osiągnięciami, ale zawsze przyda się dodatkowa porcyjka dowodów poszlakowych - stwierdził Tony, otworzył teczkę i pokiwał wachlarzem fotografii. - Pojechałem odwiedzić zagorzałych fanów. Wrażenia jak ze strzeżonego szpitala

psychiatrycznego. Zaryzykuję i poopatuję was fachowym żargonem: nie tyle brakuje im piątej klepki, co chyba ani jednej nie mają. Jednak, za cenę wysłuchiwania o najrozmaitszych obsesjach na punkcie Jacko Vance'a, zdobyliśmy kolekcję zdjęć Jacko Vance'a z imprez, na których, jak wiemy, były również obecne te dziewczyny. Na czterech zdjęciach stoi tuż przy lub w niewielkiej odległości od zaginionej. Na kolejnych pięciu czy sześciu dziewczyna na zdjęciu może być jedną z naszych, choć pewność zyskamy dopiero dzięki obróbce komputerowej.

Ukroił sobie kawałek chleba.

- Z fotką, która przyniosła Kay, mamy pięć dziewczyn z listy Shaz - podsumowała Carol.

- Przypuszczam, że to nie wystarczy do wszczęcia oficjalnego śledztwa - spytał Tony bez nadziei, zajęty krojeniem sera.

Carol skrzywiła się.

- Kłaniają się problemy z jurysdykcją. Gdyby choć jedna z dziewczyn była ze wschodniego Yorkshire, mogłabym próbować coś rozkręcić. Zresztą jak tu prowadzić dochodzenie? Mamy same poszlaki, a to stanowczo za mało, żeby go ściągnąć na przesłuchanie, bo o uzyskaniu nakazu przeszukania można od razu zapomnieć.

- Czyli pani zdaniem nie przekonamy tych z zachodniego Yorkshire, żeby jeszcze raz przyjrżeli się Vance'owi? Mimo wszystko? - zdumiała się Kay.

Simon parsknął.

- Żartujesz sobie? Biorąc pod uwagę ich opinię na mój temat? Za każdym razem, jak na drodze widzę wóz policyjny, zaczynam się pocić. Wszystko, co im podsunie, uznają za niewiarygodne, bo są przekonani, że to ja jestem zabójcą, a wy mnie osłaniacie. Mówię wam: nie uwierzą w ani jedno nasze słowo.

- Też racja - poddała się Kay.

- Oto czego nam trzeba: świadka, który widział go z Shaz po jej rzekomym wyjściu z rezydencji. Najlepiej w Leeds - zasugerował Leon.

- Najlepiej biskupa kościoła anglikańskiego - przerwała Carol cynicznie. - Nie zapominaj: to musi być osoba, której słowo będzie bardziej wiarygodne od zeznań narodowego bohatera.

Ręka trzymająca nóż omsknęła się i Tony uciął sobie koniuszek palca wskazującego. Zerwał się na równe nogi, nie zważając na sączącą się krew.

- Cholera, ja pieprzę, a niech to szlag! - wrzasnął i wepchnął zraniony palec do ust.

Carol złapała papierową serwetkę, omal nie przewracając termosu, i okręciła Tony'emu palec.

- Sierota - orzekła szorstko.

- To twoja wina - odparował i opadł na krzesło.

- Moja?

- To, co mówiłaś. O świadku nie do obalenia.

- Tak?

- Kamera nie kłamie, racja?

- Zależy, czy to cyfrówka, czy nie - odparła Carol ironicznie.

- Nie bądź taka dowcipna. Mówię o kamerach, dzięki którym przestępcy trafiali już za kratki.

- Co?

- Policyjne kamery, Carol. Ściślej biorąc, fotoradary. Fotoradary! Leon prychnął szyderczo.

- Proszę nie mówić, że pan też się dał na to nabrać?

- Na co? - zdziwił się Tony.

- Wielkie mity naszych czasów, numer czterdziesty siódmy. Fotoradary łapią przestępców. Jasne.

Leon rozwalił się na krześle, cyniczny grymas wrócił mu na usta.

- O co ci chodzi? Oglądam telewizję, nieraz widziałem policyjne nagrania z pościgów samochodowych. Albo mandaty, wydane na podstawie zdjęć z fotoradarów. - oburzył się Tony.

Carol westchnęła.

- Fotoradary działają bez zarzutu. Ale tylko w pewnych sytuacjach. Właśnie do tego Leon zmierza. Pstrykają fotkę jedynie pojazdom znacznie przekraczającym dozwoloną prędkość. Od jakichś stu czterdziestu w górę, inaczej nawet nie drgnie migawka. A nagrywanie włącza się dopiero wtedy, kiedy zdarzył się wypadek albo ruch jest poważnie utrudniony. Przez resztę czasu po prostu są wyłączone. Ale założmy nawet, że działają na okrągło. I tak trzeba by najnowocześniejszego oprogramowania do korygowania obrazu, żeby uzyskać wyrok na ich podstawie.

- Pani brat nie znałby kogoś? - spytał Simon. - Myślałem, że to geniusz komputerowy.

- No tak, ale nie mamy mu co pokazać i najpewniej jeszcze długo nie będziemy mieli - zaprotestowała Carol.

- A ja myślałem, że kiedy centrum Manchesteru wyleciało w powietrze za sprawą IRA, policja wyśledziła furgonetkę zamachowców właśnie dzięki policyjnym kamerom drogowym. - Tony upierał się do końca.

Kay pokręciła głową.

- Mieli nadzieję, że może uda się ją namierzyć dzięki zdjęciom, ale nie były dostatecznie szczegółowe... - Umilkła i twarz jej pojaśniała.

- Co jest? - spytała Carol.

- Kamery przemysłowe - oznajmiła bez tchu. - Pamiętacie? Policja manchesterska zaapelowała do właścicieli garaży i punktów gastronomicznych, monitorowanych przy użyciu kamer przemysłowych, o zgłoszenie się z nagraniami. Nie zobaczymy Vance'a ani Shaz na zdjęciach z kamer policyjnych, ale będą na taśmach ze stacji benzynowych, na których tankowali. Shaz najpewniej zatankowała do pełna przed wyjazdem z Leeds. Na jednym baku dojechałaby do Londynu, ale już nie z powrotem. Więc przypuszczalnie skorzystałaby ze stacji przy drodze ekspresowej, zamiast zjeżdżać z niej po to tylko, żeby nabrać paliwa.

- A możecie znaleźć dojście do tych taśm? Carol jęknęła.

- Nie to stanowi problem. Większość firm radośnie godzi się na współpracę. Zwykle nawet nie fatygują się spytać, czemu ma to służyć. To perspektywa ślepienia godzinami w rozedrgany obraz z kaset. Na samą myśl dostaję migreny.

Tony chrząknął.

- Prawdę powiedziawszy, Carol, zamierzałem zasugerować, żebyś wybrała się ze mną na rozmowę z policjantami, którzy prowadzili śledztwo w sprawie śmierci Barbary Fenwick.

Posłał pozostałej trójce przepaszający uśmiech. Simon i Kay wydawali się rozczarowani, Leon natomiast całym sobą wyrażał bunt.

- Przykro mi, ale Carol jest najstarsza stopniem, a ja chcę, żeby to dość oficjalnie wyglądało - bąknął Tony. - Nie możemy jednak zwalić się tam całą watahą. Nie chcemy tym ludziom nadepnąć na odcisk. Nie chcemy stwarzać wrażenia, że oni spartaczyli robotę, a my jesteśmy odsieczą, która przybywa, by posprzątać bałagan. To fucha dla mnie i dla Carol. Co do was, prosiłbym, żebyście się rozdzielili na ekspresówce i sprawdzili wszystkie kamery ze stacji. - Teraz cała trójka wyglądała na szczerze zdegustowaną. Tony dodał ze współczuciem: - Sam bym się tym zajął, gdybym mógł. Ale tu nie obejdzie się bez legitymacji.

Odpowiedział mu nieartykułowany pomruk od strony stołu.

- Wiemy, wiemy - rzucił Simon kąśliwie.

- Donna Doyle może jeszcze żyje - przypomniała Carol.

Trójka posterunkowych wpatrywała się w siebie ponurymi, poważnymi oczami. Leon skinął głową.

- Nawet jeśli ona już nie, żyje jej następczyni.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich Tony Hill nauczył się jako profiler, było to, iż przygotowania nigdy nie idą na marne. Ani jemu, ani Carol nie przyszło łatwo wykrzesać z siebie entuzjazm pośród stert w zakurzonej policyjnym archiwum, oboje jednak wiedzieli, ile znaczy staranność w przeczesywaniu akt. Prozaiczne ślęczenie nad każdą dostępną informacją było równie istotne dla stworzenia trafnej charakterystyki zabójcy jak najbliższe spostrzeżenia. Co prawda sama żmudna praca nie czyniła profilera specjalistą, ale to samo dotyczyło także widowiskowej charyzmy. Tony cieszył się, że mimo wszystko mylił się co do Leona. Lekceważący stosunek posterunkowego do pierwszego ćwiczenia, przy całym jego pozerstwie, jeszcze ugruntował w Tonym niechęć. Jednak albo Leon wyniósł naukę z upokorzenia na oczach wszystkich pozostałych kursantów, albo też należał do osób, które potrafią pracować na całego, albo wcale. Tak czy inaczej, dumiał Tony, gdy wraz z Carol w identycznym tempie brnęli przez dokumenty, Leon odwalił kawał dobrej roboty.

Parę godzin później niemal równocześnie wyprostowali się na krzesłach.

- Wygląda na to, że Leon niczego nie przeoczył - zauważył Tony.

- Chyba tak. Ale skoro mamy rozmawiać z człowiekiem, który prowadził tę sprawę, lepiej się nie chwalić, ile wiemy.

- Naprawdę doceniam twoją pomoc, Carol - powiedział cicho, wyrównując stertę. - Nie musiałaś robić sobie kłopotu.

Kącik jej ust drgnął; uśmiech albo wyraz bólu.

- Musiałam, przecież wiesz - wyszeptała.

Nie powiedziała tego, co wiedzieli oboje: że nigdy nie będzie umiała odwrócić się do niego plecami. Wiedziała też, że to uczucie jest wzajemne, dopóki żadne z nich nie przekroczy granic, jakie sobie wyznaczyli.

- Jesteś pewna, że dochodzenie w sprawie podpaień na tym nie ucierpi? - spytał; to był bezpieczniejszy temat.

Porządkowała papiery w pudle.

- Jeśli cokolwiek się zdarzy, to tylko w nocy. Właśnie taką cenę może ci przyjść zapłacić za koczowanie w moim pokoju gościnnym.

- Na to mnie chyba jeszcze stać - odparł kwaśno.

Podążył za nią do dyżurki, gdzie zwróciła akta posterunkowemu.

Carol posłała mu swój popisowy uśmiech.

- Oficer prowadzący to śledztwo... Nadinspektor Scott? Zakładam, że przeszedł już na emeryturę?

- Jakieś dziesięć lat temu - wyjaśnił dyżurny, z wysiłkiem podnosząc ciężkie pudła, i ruszył w stronę regałów.

- Pewnie nie wie pan, gdzie mogłabym go zastać? - zawołała Carol za jego oddalającymi się plecami.

- Mieszka przy drodze na Buxton. Na osiedlu Countess Sterndale. Raptem trzy domy.

Kilka minut zajęło im ustalenie, jak trafić do Countess Sterndale, bo osiedla nie było na mapie, kolejnych trzydzieści zaś dojechanie na miejsce.

- Czyli nie kłamał - stwierdził Tony na końcu jednopasmowej drogi, która zmieniała się w obrzeżoną drzewami pętlę wokół okrągłego trawnika. Znajdowali się przed frontem zmaltratowanej rezydencji niczym z czasów królowej Anny, a po lewej mieli dwa długie, niskie domki o ciężkich, krytych dachówką dachach i grubych ścianach z piaskowca. - Który to, jak myślisz?

Carol wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie rezydencja, chyba że brał łapówki. Entliczek, pentliczek... - Wskazała budynek po prawej.

Kiedy szli przez trawnik, Tony mruknął:

- Ty pierwsza. Chętniej wpuści gliniarza niż psychologa.

- Kobietę? - spytała ironicznie Carol.

- Racja. Rozegraj to, jak się da.

Otworzył elegancko pomalowaną bramę; zawiasy nawet nie skrzypnęły. Dróżka była wyłożona kostką brukową, ze szczelin nie wyrastał ani jeden chwast. Tony stuknął czarną, żelazną kołatką. Dźwięk zwielokrotniło echo. Kiedy przebrzmiało, dały się słyszeć ciężkie kroki, potem drzwi uchyliły się i stanął w nich rosły mężczyzna o stalowosiwych włosach, lśniących od brylantyny i zaczesanych z przedziałkiem na boku, i z krzaczastymi wąsami przypominającymi włosie na szczoteczce do zębów. Wyglądał jak

bohater poranków z lat czterdziestych, tyle że w wieku emerytalnym, pomyślała Carol, powściągając uśmiech.

- Przepraszamy za kłopot. Szukamy nadinspektora Scotta - wyjaśniła.

- Ja jestem Gordon Scott - przedstawił się. - A państwo...? I tu zaczynały się komplikacje.

- Starsza inspektor Carol Jordan, sir. Śledcza, policja wschodniego Yorkshire. A to jest doktor Tony Hill z Ogólnokrajowej Jednostki Profilerskiej.

O dziwo, twarz Scotta rozpromieniła się z zachwytu.

- W sprawie Barbary Fenwick? - podchwycił żywo. Skonsternowana Carol zerknęła na Tony'ego bezradnie.

- Czemu pan tak sądzi? - spytał. Scott zaniósł się tubalnym śmiechem.

- Może i dawno wypadłem z gry, ale kiedy w ciągu dwóch dni trzy osoby chcą zerknąć na akta mojej jedynej nierozwiązanej sprawy o morderstwo, nietrudno to skojarzyć. Zapraszam, zapraszam.

Wprowadził ich do wygodnego salonu, pochylając głowę, żeby nie uderzyć się o framugę drzwi. Czasopisma i książki w nierównych stertach leżały przy dwóch fotelach zwróconych przodem do siebie, za nimi w kominku palił się ogień. Scott wskazał gościom fotele.

- Może coś do picia? Żona wypuściła się do Buxton na zakupy, ale z herbatą sobie poradzę. A może piwa?

- Świetna myśl z tym piwem - odpowiedział Tony; nie chciał czekać, aż Scott zaparzy herbatę. Carol przytaknęła skinieniem.

Parę chwil później gospodarz wrócił z trzema puszkami boddingtona. Przesunął dużego rudego kota i rozsiadł się na siedzisku w niszy okiennej, zmniejszając masywną sylwetką ilość światła, jaka wpadała do środka, przynajmniej o połowę. Otworzył puszkę, ale zanim łyknął piwa, wygłosił krótką mówkę:

- Strasznie się ucieszyłem, jak usłyszałem, że interesujecie się morderstwem popełnionym na Barbarze Fenwick. Zamartwiałem się tą sprawą blisko dwa lata. Nie sypiałem po nocach. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy jej matki, kiedy przyjechałem powiedzieć, że znaleźliśmy zwłoki. Nadal mnie to prześladowuje. Zawsze uważałem, że sprawa jest do rozwiązania, po prostu zabrakło nam umiejętności. Więc kiedy odebrałem telefon i usłyszałem, że to ludzie z jednostki profilarskiej... No, muszę przyznać, że odżyła we mnie nadzieja. Co was naprowadziło na Barbarę? Tony postanowił mówić szczerze.

- To dość niekonwencjonalne dochodzenie - zaczął. - Może czytał pan o śmierci jednej z moich kursantek.

Scott ze smutkiem pokiwał swoją dużą głową.

- Ano. Mówili o tym w wiadomościach. Wyrazy współczucia.

- Nie wie pan natomiast, iż pracowała nad teorią, że na wolności grasuje seryjny zabójca nastolatek, którego istnienia nikt nie podejrzewa, i że dzieje się to od dawna. Zaczęło się od zwykłego ćwiczenia, ale Shaz drażyła tę sprawę. Cały zespół uważa, że właśnie dlatego została zamordowana. Niestety, policja zachodniego Yorkshire jest innego zdania. Głównym tego powodem jest osoba, którą Shaz wzięła pod lupę.

Zerknął na Carol, szukając bardziej wiarygodnego, oficjalnego poparcia.

- Wiele dowodów poszlakowych wskazuje na Jacko Vance'a - powiedziała prosto z mostu.

Brwi Scotta powędrowały w górę.

- Tego z telewizji? - Gwizdnął cicho, a ręką machinalnie poszukał kota i zaczął rytmicznie głaskać go po łebku. - Nie dziwię się, że woleli nie wiedzieć. A jak skojarzyliście go z Barbarą Fenwick?

Carol wyjaśniła pokrótce, jak poszukiwania Leona naprowadziły ich na artykuł prasowy, który z kolei skierował ich uwagę na akta sprawy prowadzonej przez Gordona Scotta. Kiedy skończyła, Tony wyjaśnił:

- Otóż mieliśmy nadzieję, że są sprawy, które nigdy nie zostały przelane na papier. Dzięki współpracy z Carol wiem, jak to jest w wydziale zabójstw. Ma się intuicję, przeczucia, jakich nigdy nie powierza się nikomu prócz partnera, nie mówiąc już o wzmiance w notatce służbowej. Zastanawialiśmy się, co czuli przez skórę funkcjonariusze, którzy rozpracowywali tę sprawę.

Scott łyknął piwa.

- Jasne, że się zastanawialiście. I nie bez racji. Kłopot polega na tym, że mam do powiedzenia tyle co nic. Parę razy ktoś się nam nie podobał, ale zawsze się okazywało, że na przesłuchaniu był podminowany z jakiegoś innego powodu. Powiem prawdę: czuliśmy się kompletnie sfrustrowani. Po prostu nie potrafiliśmy znaleźć na

tego gnojka jakiegoś haka. Wyłonił się jak spod ziemi i zniknął, jakby się pod nią zapadł. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że to ktoś spoza naszego rewiru, kto przypadkiem natknął się na tę dziewczynę, jak po raz enty poszła na wagary. Co w pewnym sensie przystawałoby do waszej teorii, nieprawdaż?

- Z grubsza tak, choć uważamy, że teraz sprawca przygotowuje się znacznie dokładniej - uściślił Tony. - No cóż, warto było spróbować.

- Sir, dowodów kryminalistycznych, jak się wydaje, nie było szczególnie dużo... - naprowadzała Carol.

- Nie. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie zetknąłem się z przestępcą seksualnym, który tak umiejętnie zacierałby za sobą ślady. Większość z nich to narwańcy, działają pod wpływem chwili. Ale tam właściwie nie było nad czym pracować. Jediną znamioną rzeczą była zmiądzona ręka, jak oceniła patolog. Nie chciała niczego dać na piśmie, ale jej zdaniem rękę tej dziewczyny zmiądzono w imadle.

Na myśl o tak wyrafinowanych torturach Tony'emu ścisnęło się w żołądku; echem wróciły koszmarnie wspomnienia.

- Ach - powiedział tylko. Raptem Scott palnął się w czoło.

- Oczywiście! Vance stracił rękę, prawda? Miał wystartować na olimpiadzie, ale stracił rękę. To ma sens, czemu wtedy o czymś takim nie pomyśleliśmy? Boże, jaki ze mnie idiota!

- Nie widzę powodów, dla których powinien był pan wtedy na to wpaść - zapewnił Tony, żalując, że naprawdę w to nie wierzy,

zastanawiając się, ile ludzkich istnień mogłoby ocaleć, gdyby przed laty sprowadzono do współpracy psychologa.

- Ta patolog nadal pracuje? - spytała Carol, rzeczowa jak zawsze.

- Uczy stażystów w jednym z londyńskich szpitali. Gdzieś powinienem mieć jej wizytówkę - stwierdził Scott, wstał i poczłapał do przedpokoju. - Boże, czemu nie pomyślałem o ręce?

- To nie jego wina, Tony - odezwała się Carol.

- Wiem. Czasami przyłapuję się na pytaniu, ilu jeszcze ludzi będzie musiało zginąć, zanim władze przestaną traktować psychologów jak znachorów - mruknął. - Posłuchaj, Carol, żeby przyspieszyć sprawę: sądzę, że powinniśmy poprosić Chris Devine, żeby zajęła się tą patolog. Bardzo chce być pomocna, a ma dość doświadczenia, żeby wiedzieć, co nas zainteresuje. Co ty na to?

- Myślę, że to dobry pomysł. Prawdę mówiąc, bałam się ci powiedzieć, że nie mogę jechać z tobą teraz do Londynu. Muszę dziś być na miejscu na wypadek, gdyby podpalacz znowu dał o sobie znać.

Uśmiechnął się.

- Pamiętałem o tym.

Był to chyba pierwszy wypadek w jego karierze zawodowej, by coś niedotyczącego sprawy, na której punkcie popadł w obsesję, przebiło się do jego świadomości. Największy minus współpracy z Carol Jordan. Działała na niego jak nikt. Kiedy jej nie widział, potrafił zapomnieć; tak było wygodniej. Ale teraz zignorować tego było nie sposób. Posłał jej poważny uśmiech.

- Nie chcę zdenerwować Johna Brandona. Nie zaryzykuję, że nasz podpalacz da nogę.

- Oczywiście.

Kupiła kłamstewko, wiedząc, teraz nie czas i nie miejsce na osobiste rozmowy.

Kay straciła rachubę. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy ogląda teraz siódmy czy też ósmy komplet kaset wideo. Przy podziale wylosowała najmniej wdzięczny odcinek drogi do inspekcji i przed świtem pokonała M1 z Leeds do Londynu. Następnie zawróciła i ruszyła tą samą trasą, zatrzymując się przy każdej mijanej stacji i przy każdym sklepiku. Było już późne popołudnie, a ona siedziała w kolejnym obskurnym, dusznym gabinecie, śmierdzącym potem i papierosowym dymem, i śledziła drgający obraz, który tańczył jej przed oczami, gdy przewijała kasetę na podglądzie. Opiła się marnej kawy po dziurki w nosie, usta wciąż jeszcze miała śliskie od tłuszczu po śniadaniu, jakie przed wielu godzinami zjadła w Scratchwood Services. Oczy ją bolały, pod powiekami miała piasek i żałowała, że nie może być gdziekolwiek indziej.

Dobre i to, że udało im się zawęzić ramy czasowe. Doszli do wniosku, że - o ile kierowali się na północ - Shaz albo Vance mogli korzystać z sieci usługowej przy drodze nie wcześniej niż o jedenastej rano i nie później niż o jedenastej wieczorem. Ustalenie, o której mijali konkretne stacje, nie było trudne.

Obejrzenie kaset zajmowało o wiele mniej czasu, niż wynikałoby to z rzeczywistego czasu pracy kamer, bo, zamiast na nagrywanie ciągle, ustawione były na utrwalanie określonej liczby klatek na sekundę. Mimo to oglądania było na całe godziny. Przewijała taśmę, dopóki nie wypatrzyła albo czarnego volkswagena golfa, albo jednej z marek samochodów zarejestrowanych na Jacko Vance'a: srebrnego mercedesa kabrio z podnoszonym dachem albo land rovera. Golfy były na tyle pospolite, że często musiała włączać pauzę, dwie pozostałe marki pojawiały się znacznie rzadziej.

Uważała, że teraz pracuje szybciej niż na początku. Oczy miała zestrojone z obrazem, niemniej czuła się zmęczona i martwiła się, że może przez to przegapić coś naprawdę ważnego. Zmuszając się do skupienia, Kay przewijała taśmę, dopóki nie ukazała się znajoma czarna sylweta golfa; kształt kojarzył się jej z wózkiem dziecięcym. Włączyła normalną prędkość odtwarzania. Jakiś siwy facet w czapce z daszkiem. Jej palec machinalnie przesunął się ku przyciskowi przewijania. Nagle skręcił i zatrzymał się na przycisku pauzy; Kay zauważyła, że kierowca wygląda jakoś dziwnie.

Przyjrzała się osobie, która wygramoliła się z auta i poczłapała w stronę dystrybutora, ale nie ona ją zafrapowała. Mimo że samochód stał pod dziwnym kątem do dystrybutorów, Kay wypatrzyła ostatnie dwie litery na tablicy rejestracyjnej. Były identyczne z końcówką numeru rejestracyjnego auta Shaz.

- Och, cholera - zaklęła cicho.

Cofnęła taśmę i ponownie obejrzała fragment. I już wiedziała, dlaczego kierowca rzucał się w oczy. Niezdarnie posługiwał się lewą ręką, prawą natomiast właściwie wcale. Zupełnie tak, jak robiłby to Jacko Vance, gdyby korzystał ze sprzętu, który nie był zaprojektowany z myślą o jego kalectwie.

Przestudiowała kasetę jeszcze kilkakrotnie. Niełatwo było rozpoznać rysy tego człowieka, ale założyłaby się, że to żadna przeszkoda; Carol Jordan z pewnością zna kogoś, kto im pomoże. Nim ta noc dobiegnie końca, będą mieli na Jacko Vance'a coś, z czego nie wyciągną go nawet najlepiej opłacani adwokaci. I będzie to jej zasługa, najlepszy hołd, jaki może złożyć kobiecie, z którą były na prostej drodze do przyjaźni.

Podniosła klapkę telefonu komórkowego.

- Carol? Tu Kay. Chyba mam coś, na co twój brat chętnie by zerknął...

Chris Devine nie odmawiała patologom prawa do dni wolnych. Tym, co wkurzyło ją na cacy, był fakt, że akurat ta patolog w wolnym czasie przesiaduje na ulewnym deszczu na środku pustkowia, żeby zobaczyć, jak przelatuje jakieś cholerne, głupawe ptaszysko, które powinno być w Norwegii, ale jakoś zdołało się zgubić. Wielkie halo, mamrotała Chris, ilekroć nowa porcja deszczu dostawała się między szyję a kołnierz. Zastrane Essex.

Schroniła się przed kąśliwym wschodnim wiatrem, żeby po raz kolejny zerknąć na uproszczoną mapkę, jaką naszkicował dla niej

prowadzący obserwacje ptaków. Nie mogła być daleko. Dlaczego te pieprzone kryjówki muszą być tak dobrze zakamuflowane? Nie można było walnąć czegoś, co przypominałoby dom jej babci? W ogródku miała więcej cholernych ptaków, niż Chris przez całe popołudnie widziała na wrzosowiskach. Te ptaszki odznaczały się zbyt dużym rozsądkiem, psia krewno, żeby pokazywać się w ulewę, klęła w myślach, upychając mapę w kieszeni, i ruszyła dookoła zagajnika.

Omali nie przegapiła doskonale zamaskowanej kryjówki. Chris otworzyła drewniane drzwi i zmusiła się do wygładzenia gniewnie zmarszczonego czoła.

- Przepraszam, że przeszkadzam - przemówiła do trojga stłoczonych wewnątrz osób. - Czy ktoś z państwa to profesor Stewart?

Modliła się, by dobrze trafić; postaci w impregnowanych płaszczach, wełnianych szalikach i ciepłych czapkach były doskonale bezpłciowe i anonimowe.

Uniosła się dłoń w rękawicy.

- Ja jestem Liz Stewart. W czym rzecz? Chris odetchnęła z ulgą.

- Sierżant Devine, z policji metropolitalnej. Czy mogłabym prosić na słówko?

Kobieta pokręciła głową.

- Nie jestem na dyżurze - zachnęła się; oburzenie sprawiło, że szkocki akcent stał się wyraźniejszy.

- Rozumiem panią. Ale sprawa jest pilna.

Chris szerzej uchyliła drzwi, żeby wiatr mógł wdrzeć się do chwiejnej budowli.

- Och, na litość boską, Liz, idź i dowiedz się, czego ona chce - odezwał się poirytowany męski głos spod innej czapy. - W ogóle nie zobaczymy nic godnego uwagi, jak będziecie stały i wydzierały się jak para przekupek.

Rozzłoszczona profesor precisięła się do drzwi i podążyła za Chris.

- Schowajmy się pod drzewami.

Przepchnęła się obok Chris i na czworakach brnęła już po poszyciu; zatrzymała się, gdy były względnie osłonięte przed żywiołami. Na przecince Chris ujrzała czterdziestokilkulatkę o ostrych rysach i przejrzystych, bursztynowych oczach, przywodzących na myśl oczy jastrzębia.

- No, to o co chodzi? - spytała gniewnie Stewart.

- Dwanaście lat temu pracowała pani przy pewnej sprawie. Nierozwiązane morderstwo nastolatki z Manchesteru, Barbary Fenwick. Pamięta ją pani?

- Dziewczyna ze zmiądzoną ręką?

- Właśnie. Ta sprawa wypłynęła ponownie w związku z innym dochodzeniem. Podejrzewamy, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Być może Barbara Fenwick jest jedyną z jego ofiar, której zwłoki znaleziono. Toteż przeprowadzona przez panią sekcja staje się bardzo ważna.

- Więc będzie ważna i w poniedziałek rano - odparła sucho patolog.

- Taa, ale dziewczyna, którą ten drań przetrzymuje, może do tego czasu nie dożyć - zachnęła się Chris.

- Ach. W takim razie śmiało, pani sierżant. Słucham.

- Emerytowany nadinspektor Scott poinformował moich kolegów, że pominęła pani w swoim raporcie wniosek, iż ręka ofiary wyglądała tak, jakby została zmiażdżona czymś w rodzaju imadła. Celowo zmiażdżona, zgadza się?

- Taką powzięłam opinię, ale to tylko spekulacje. Fantastyczne wymysły, jakich nie uwzględniam w oficjalnym raporcie z sekcji, chyba że mam do takiego poglądu konkretne podstawy - ucięła.

- Ale przyciśnięta do muru, właśnie tak by pani orzekła?

- Zapytana wprost, czy istnieje taka możliwość, owszem, musiałabym się z tym zgodzić.

- Coś jeszcze pominęła pani jako zbyt „fantastyczne”? - dopytywała się Chris.

- Nic, o czym bym pamiętała.

- Wiem, że ten wniosek nie trafił do oficjalnego raportu, ale może napomknęła pani o czymś w swoich notatkach?

- O tak - odparła profesor takim tonem, jakby chodziło o rzecz najnaturalniejszą w świecie. - Gdyby później okazało się to ważne, oskarżenie miałoby mniej problemów z przedstawieniem mojej ekspertyzy w sądzie.

Chris przymknęła oczy i zmówiła krótką modlitwę.

- Czy nadal ma pani te notatki?

- Oczywiście. Ale i coś jeszcze lepszego.

Kafeterii przy stacji na Hartshead przy M62 nikt nie uważał za miejsce wymarzone do zabawy w sobotni wieczór, dzięki czemu nadała się jak znalazł. Ostatnio do utworzonej ad hoc ekipy dochodzeniowej dołączyła Chris Devine, która wpasowała się w grupę, jakby należała do niej od zawsze. Wyglądało na to, że ona i Carol już się szykują do zawarcia przymierza krwi, z racji wspólnych doświadczeń w służbie i z racji tego, że z całego zespołu były najstarsze stopniem.

Grupa ulokowała się w samym rogu, gdzie ryzyko podsłuchania było minimalne, na pograniczu części dla palących. Leona, przybitego po ostatnich niepowodzeniach, podniosły na duchu wyniki Kay. Ale twarz Simona zdradzała oznaki napięcia nieuchronnego u człowieka, którego nazwisko figuruje na liście osób poszukiwanych.

Carol wyrwała go z niewesołych myśli.

- Umówiłam Kay na spotkanie z kolegą mojego brata. Skoryguje obraz, żebyśmy mogli do minimum zawęzić margines wątpliwości.

- Pani się nie wybiera? - Kay wyglądała na nieco zmartwioną.

- Obowiązki zatrzymują dziś Carol we wschodnim Yorkshire - wyjaśnił Tony. - Czy to problem, Kay?

Zrobiła zawstydzoną minę.

- Nie problem jako taki. Tylko że... no, ja nie znam tego chłopaka, a on się tym zajmuje w ramach przysługi, racja?

- Racja - przytaknęła Carol. - Michael mówi, że kiedyś mu pomógł.

- Tylko że... no, jakbym chciała trochę mocniej go przycisnąć, wiecie, gdybym uważała, że nie daje z siebie stu procent, bo ma to gdzieś albo że szkoda mu zachodu, nie będę mogła go przydusić tak, jak mogłaby to zrobić Carol.

- Ma rację dziewczyna - potwierdziła Chris ze stolika dla palących, przy którym siedziała z Leonem. - Nie ona prosiła go o przysługę. No i jest sobotni wieczór. Nawet maniacy komputerowi mają przecież coś ciekawszego do roboty od pomagania komuś, kto nawet nie pofatyguje się osobiście. Tak to będzie wyglądało. Moim zdaniem Carol powinna przy tym być.

Carol zamieszała mętną kawę.

- Macie rację. To logiczne. Niestety, dzisiaj nie mogę sobie pozwolić na opuszczenie rewiru.

Zerknęła na zegarek i obliczała coś z pośpiechem.

- Nie, Carol... - poprosił Tony, ale wiedział już, że nic nie wskóra.

- Gdybyśmy ruszyły od razu... dotarłybyśmy na miejsce przed dziewiątą... mogłabym wrócić do Seaford najpóźniej przed pierwszą. W sumie jakby coś się miało dziać, to nad ranem. - Carol umilkła; podjęła decyzję, chwyciła swój płaszcz i torebkę. - W porządku. Chodź, Kay, zmykamy.

Ruszyła ku drzwiom, Kay niemalże pobiegła za nią. W progu Carol obejrzała się i rzuciła:

- Chris? Pomyślnych łowów.

- No i co teraz? - dopytywał się Leon agresywnym tonem, odpalając papierosa od żarzącego się niedopałka. - Mam wrażenie, że zmarnowałem cały dzień na pieprzenie się z kamerami drogowymi. Chcę zrobić coś doniosłego, wie pan?

Tony cieszył się, że Chris Devine do nich dołączyła; coś mu się wydawało, że będzie zmuszony polegać wyłącznie na jej doświadczeniu, bo pozostałym wyraźnie zaczynały puszczać nerwy.

- Nikt nie marnuje czasu, Leonie. Przebyliśmy dziś długą drogę - oświadczył spokojnie. - To podwaliny, na których musimy budować. Informacje, jakie Chris uzyskała od patolog, stanowią wielki krok naprzód. Choć same w sobie nie są wiele warte. Vance pasuje do profilu. Wszystko, czego się o nim dowiadujemy, dokłada kolejną cegielkę do muru. Niemniej nadal poruszamy się w sferze przypuszczeń.

- Pomimo ofiary ze zmiądzoną prawą ręką? - Simon najwyraźniej nie wierzył własnym uszom. - Wolne żarty, przecież to dla niego jak ostatni gwóźdź do trumny! Czego nam więcej trzeba, na miły Bóg?

- Ta zmiądzona ręką to już coś - przyznała Chris. - Mimo to nie na wiele się zda, dopóki mówimy o jednostkowym przypadku. Potrzebujemy porównania. Tyle że do tej pory nie było innych zwłok, tak? - Pozostali skinęli zgodnie. - Ale uważacie, że porwał następną tuż przed tym, jak Shaz przyparła go do muru? No, skoro tak, mamy szansę, że zabrał się za nią, ale z nią nie skończył. Czyli odnajdujemy ją i mamy na niego drugiego haka. Komuś się to nie podoba?

- Podoba, tyle że nie wiemy, gdzie je przetrzymuje, zanim dokona zabójstwa - mruknął Tony.

- Jasne, że nie wiemy. A może jednak...?

Gdyby byli psami, wszyscy zastrzygliby teraz uszami.

- Śmiało - zachęcił Tony.

- Największą zaletą bycia lesbijką w moim wieku jest to, że jak zaczynałam się pokazywać w środowisku, każda, która miała dobrą posadę, udawała hetero. Teraz połowa kobiet, z którymi chodziłam na drinka, szefuje najróżniejszym firmom i instytucjom. A przypadkiem jedna z nich jest współniczką agencji public relations, z której korzysta Jacko. - Wyjęła wydruk faksowy z wewnętrznej kieszeni kurtki. - Grafik Jacko z ostatnich sześciu tygodni. Zatem o ile nie jest Supermanem, jest tylko jeden region kraju, gdzie może więzić tę małą.

Rozparła się na krzesło i patrzyła, jak rozpromieniają im się twarze.

Tony przegarnął włosy.

- Wiem, że ma dom w tamtych stronach. Ale to olbrzymi rejon. Jak go zawęzić?

- Możliwe, że wykorzystuje własną chatę - odezwał się Leon. - Jasne - podchwycił Simon gorączkowo. - Jedźmy tam, rzućmy okiem na tę jego kryjówkę.

- Sama nie wiem - powiedziała Chris. - Był bardzo ostrożny we wszystkich innych sprawach, nie wierzę, żeby tak ryzykował.

- Gdzie tu ryzyko? - zaprotestował Tony. - Ściąga te dziewczyny pod osłoną ciemności i słuch po nich ginie. Nigdy nie znajdują się

zwłoki. Ale Jack Chłopak na Medal pracuje ochotniczo w szpitalu w Newcastle. Muszą tam mieć spalarkę. On chce uchodzić za swojaka. Założę się, że regularnie wpada do kotłowni na pogaduszki z chłopakami. A jeśli od czasu do czasu pomaga im w załadowaniu pieca, kto zauważy dodatkową torbę wśród tych ze szpitalnymi odpadkami?

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Tony podrapał się po zarośniętym podbródku.

- Powinienem był wcześniej się domyślić. Przecież mamy do czynienia z maniakiem na punkcie kontroli. Dla niego bezpieczne miejsce do zabijania to takie, nad którym ma całkowitą kontrolę.

- Jedźmy wreszcie - wtrącił Simon, odepchnął filiżankę i chwycił kurtkę.

- Nie - odparł Tony stanowczo. - Simon, to nie pora na taktykę w stylu bohaterów akcji. Musimy się przygotować. Nie możemy po prostu wpaść tam całą watahą i modlić się, że to, co znajdziemy, usprawiedliwi całą akcję. Jego prawnicy zrobiliby z nas sieczkę. Potrzebujemy strategii.

- Łatwo ci mówić, człowieku - zachnął się Leon. - Nie ciebie chcą capnąć gliny. Możesz sypiać we własnym łóżku. Simon potrzebuje, żeby to się wreszcie skończyło.

- Dobrze już, dobrze - mitygowała Chris. - Nie zaszkodziłoby się przespacerować po okolicy ze zdjęciami Donny Doyle. Z jego grafiku wychodzi na to, że musiała tam dotrzeć własnym sumptem. Założę się, że wysłała je pociągiem albo autobusem. Powinniśmy przypuścić

szturm na dworzec autobusowy i kolejowy, pogadać z personelem. I z miejscowymi. Jeśli w pobliżu kryjówki Chwackiego Jacka jest jakaś mała lokalna stacyjka, ktoś mógł widzieć, jak wysiadała z pociągu.

Simon wstał. Jego ciemne oczy płonęły.

- Na co w takim razie czekamy?

- Nie ma sensu ruszać przed ranem - mruknęła Chris.

- To dwie i pół godziny jazdy stąd. Nie mamy ciekawszych zajęć, prawda? Ruszajmy teraz, poszukajmy taniego hotelu i bierzmy się do roboty skoro świt. Pisziesz się na to, Leon?

Leon zgasił papierosa.

- O ile nie będę musiał jechać w twoim samochodzie. Jaki masz wózek, Chris?

- Nie spodobałaby ci się muzyka, jakiej słucham. Każdy pojedzie swoim. W porządku, Tony?

- W porządku. O ile będziecie trzymać się z dala od jego domu. Mam na to twoje słowo, Chris?

- Masz moje słowo, Tony.

- To samo dotyczy was dwojga. Pamiętajcie, że formalnie Chris jest tu najstarsza stopniem.

Leon skrzywił się, ale powściągliwie skinął głową. Simon także przytaknął.

- W porządku. Pewnie i tak nie ja powinienem tu decydować.

- Co planujesz, Tony? - spytała Chris.

- Wracam do domu i przygotuję pełny profil na podstawie wszystkiego, co teraz wiemy. Proponuję, żebyśmy z samego rana

uderzyli do tych z zachodniego Yorkshire i przekonali ich, żeby oficjalnie otworzyli sprawę. Zatem nic oprócz lokalnego rekonesansu, dopóki nie skontaktuję się z Carol i Kay. W porządku?

Chris skinęła z powagą.

- Zaufaj mi, Tony. Shaz zbyt wiele dla mnie znaczyła, bym ryzykowała, że to spieprzymy.

Jeżeli chciała w ten sposób sprawić, by z oczu dwóch funkcjonariuszy zniknął wyraz wariackiego zapału, osiągnęła pełen sukces. Nawet Leon przestał przestępować z nogi na nogę.

- Nie zapomniałem o tym - powiedział Tony cicho. - Ani o tym, jak bardzo chciała przyłapać Jacka Chłopaka na Medal.

- Wiem - odparła Chris. - Pieprzona wariatka, byłaby uszczęśliwiona.

Dawno, dawno temu wiedziałaby wszystko, co tylko można wiedzieć o komputerach, rozmyślała Carol smętnie. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym była niemal równie genialnym specem od CP/M-u i DOS-u jak Michael. Ale wstąpiła do policji i praca dosłownie pożarła całe jej życie. Kiedy mozoliła się nad Ustawą o Policji i Dowodach Kryminalnych, Michael chłonał nowinki w dziedzinach sprzętu i oprogramowania, które ewoluowały dosłownie z dnia na dzień. Teraz była jak jednooki w krainie normalnie widzących. Po dziesięciu minutach z bratem i jego kumplem Donnym zrozumiała, że w dzisiejszych czasach, gdyby porównać informatykę ze sztuką kulinarną, jej wiedza odpowiadała

umiejętności ugotowania wody. Sądząc z miny Kay, posterunkowa czuła się nie lepiej. Dobrze się stało, że mimo wszystko zgodziła się Kay towarzyszyć, pomyślała Carol. Wiedzy wystarczyło jej na tyle, żeby zorientować się, kiedy chłopaki odlatują do własnego świata, a autorytetu do tego, żeby ściągnąć ich na ziemię.

Obaj mężczyźni, siedzący przed komputerowym monitorem wielkości ekranu telewizyjnego, jakie miewają w pubach, mamrotali między sobą niezrozumiale na temat sterowników do kart wideo, magistral lokalnych i smart cache. Carol знаła te słowa, ale nie umiała ich w jakikolwiek sposób połączyć z tym, co ta dwójka wyprawiała z myszą i klawiaturą. Donny, jak zdążył jej powiedzieć Michael, był najlepszy na całej północy kraju, jeśli chodzi o obróbkę zdjęć czy klitek wideo. A tak się akurat składało, że pracował w tym samym budynku, gdzie siedzibę miała firma software'owa, w której pracował Michael. I, wbrew przekonaniu Chris, jego życie towarzyskie wyglądało tak nieciekawie, że był zachwycony, iż ktoś odciąga go od „Z Archiwum X” i kolacji z mikrofalówki, żeby pochwalił się swoimi zabawkami.

Carol i Kay spoglądały ponad ich ramionami na monitor. Donny zrobił już z tablicą rejestracyjną, co się dało; potwierdził zgodność dwóch ostatnich liter i potencjalnie trzeciej. Teraz pracował nad kierowcą. Pogmerał i pomajstrował przy klatkach, na których widoczna była cała postać, w końcu oświadczył, że z jednej jest zadowolony, i wydrukował parę kolorowych odbitek. Im dłużej Carol

się przyglądała, tym bardziej była przekonana, że spod bejsbolówki marki Nike i zza lotniczych okularów zerka na nią Jacko Vance.

- I jak myślisz? - zwróciła się do Kay.

- Nie wiem, czy rozpoznałoby się go na okazaniu, ale jak się wie, kogo się szuka, myślę, że idzie go zidentyfikować.

Donny pracował teraz nad głową i ramionami mężczyzny, który tankował czarnego golfa w porze lunchu w sobotę, gdy zginęła Shaz Bowman. Trudno było znaleźć dobrą klatkę do obróbki, bo prawie przez cały czas daszek czapki ocieniał jego twarz, albo uchwycony był w chwili, gdy pochylał się nad bakiem. Tylko dzięki powiększeniu klatka po klatce Donny zdołał wyszukać pojedyncze ujęcie, na którym człowiek w czapce zerkał na dystrybutor, żeby sprawdzić, ile zatankował paliwa.

Przyglądanie się, jak Donny mozolnie koryguje obraz, dobijało Carol. Nie była w stanie oderwać wzroku od zegarka, przerażona i w pełni świadoma, że powinna być zupełnie gdzie indziej i że jeśli w Seaford cokolwiek się wydarzy, znajdzie się po same uszy w gównie. W ślimaczym tempie pełzły minuty, podczas gdy potężny procesor przetrząsał ogromną pamięć komputera w poszukiwaniu najlepszego rozkładu pikseli na ekranie. Aczkolwiek przeprowadzał większą liczbę obliczeń na sekundę, niż ludzki umysł mógłby ogarnąć, w poczuciu Carol trwało to całą wieczność. Wreszcie Donny odwrócił się tyłem do ekranu i zsunął własną bejsbolówkę z czoła.

- Lepszego nie dostaniecie - oznajmił. - Zabawne, wygląda znajomo. Powinien?

- Możesz mi wydrukować pół tuzina odbitek? - poprosiła Carol.

Czuła się podle, udając, że nie słyszy tego dobrodusznego pytania, ale nie była to ani pora, ani miejsce, żeby tłumaczyć Donny'emu, że nie licząc policzków, które bezdyskusyjnie są zbyt pulchne, twarz, którą odtworzył, należy do telewizyjnego ulubieńca narodu.

Michael albo był przytomniejszy, albo bardziej zaznajomiony z tym środkiem przekazu.

- Jest podobny do Jacko Vance'a, dlatego ci się poplątało, Donny - wtrącił niewinnie.

- Tak, racja, do tego patafiana - mruknął Donny, obrócił się z krzesłem i mrugnął do obu kobiet. - Kurwa mać, szkoda, że to nie jego aresztujecie. Oddałybyście światu przysługę, gdyby szajs jego produkcji zniknął z ekranu. Przykro mi, że nie udało się z lepszą fotką głowy, ale nie za bardzo było na czym pracować. Mówiłyście, że skąd macie tę kasetę?

- Stacja przy M1. Watford Gap - wyjaśniła Kay.

- Taa, jasne. Szkoda, żeście nie szukali tego gościa w Leeds.

- Leeds? - Carol aż podskoczyła. - Dlaczego w Leeds?

- No bo tam się mieści firma pracująca nad najnowocześniejszym systemem telewizji przemysłowej. Seesee Vision. Praktycznie monopolisci. Myślę, że swobody obywatelskie to nazwa luksusnego sklepu z bielizną. - Uśmieł się z własnego, kiepskiego żartu. - Zastrąnce cwane że hej, jak słowo daję. Nie sposób do nich nie trafić. W dupę kopany monolit z przyciemnianego szkła

tuż za końcem ekspresówki. Jak szukacie kogoś, kto zjechał z M1 w Leeds, oni mają to na taśmie.

- Jak to, kogoś, kto zjechał w Leeds? - Carol wyłamywała sobie palce, żeby nie złapać Donny'ego za koszulę i nie potrząsnąć nim, żeby zaczął mówić do rzeczy.

Donny uniósł oczy na znak, że męczy go obcowanie z upośledzonymi umysłowo.

- Jasne. Lekcja historii. Dziewiętnastowieczna Brytania. Porozrzucane wodociągi, dostawcy gazu, kompanie kolejowe. Stopniowo wszystkie połączyły się w ogólnokrajowe sieci. Nadażasz za mną?

- No, proszę, a ja myślałam, że komputerowcy wiedzą o czasach wiktoriańskich tylko to, co dotyczyło Charlesa Babbage'a - warknęła Carol. - Dobra, Donny, rewolucję przemysłową przerabialiśmy w szkole. Dostaniemy się do ich kamer przemysłowych?

- Okay, okay, wyluzuj. Z telewizją przemysłową jest teraz tak, jak wtedy było z tymi zaczątkami sieci. W powijakach jest. Ale to się niedługo zmieni. Wszystkie śródmiejskie systemy monitorowania połączą się z prywatnymi systemami zabezpieczeń i powstanie ogólnokrajowy system monitorowania przemysłowego. A te systemy będą tak ze sobą zestrojone, że rozpoznają ciebie albo twoje cztery kółka, i jak będziesz się wybierała gdzieś, gdzie nie powinnaś, wielcy panowie ochroniarze przyjadą cię zgarnąć. Na ten przykład, gdybyś była notowana za kradzieże sklepowe, a w Marks & Spencer nie chcieliby, żebyś im się plątała przy ladach z żarciem, albo jesteś małą

świntuszką i miejscowa pralnia nie chce, żebyś przyłaziła podniecać się cudzymi majtami... - Urwał i zrobił gest, jakby chciał podciąć sobie gardło.

- No i właściwie co to ma wspólnego z MI?

- Seesee Vision to mistrzowie wszechświata najnowszej technologii. A wszystkie nowe gadżety testują na MI. Sprzęcior mają taki, że dostałybyście wysokiej rozdzielczości zdjęcia kierowców i pasażerów siedzących z przodu, mniejsza o dziecinne szczegóły jak tablica rejestracyjna. - Donny potrząsnął głową, rozmarzony, ale zaraz spoważniał. - Jakiś czas u nich pracowałem, ale mi się nie spodobało. Od razu widać, że to miasto mew.

- Miasto mew? - powtórzyła Carol słabym głosem.

- Zlatuje się szefostwo, nakłapie dziobem, capnie, co się da, nasra wszystkim na głowy i znowu wyleci. To nie dla mnie.

- Myślisz, że ze mną by współpracowali?

- Zlali by się w gacie. Ze skóry wyłożą, żeby zrobić na was wielkie wrażenie. Kiedy krajowa sieć wreszcie ruszy z miejsca, będą chcieli siedzieć na siedzeniu dla kierowcy. W dobranym towarzystwie.

Carol zerknęła na zegarek. Było po dziesiątej. Powinna już wracać do Seaford, żeby być na miejscu, gdyby zespół zmuszony był wkroczyć do akcji. Ponadto o tej porze w Seesee Vision z pewnością nie będzie nikogo z kierownictwa.

Donny zauważył ukradkowe spojrzenie Carol i, jakby czytał w jej myślach, wtrącił:

- O tej porze też ktoś tam będzie, jeśli nad tym dumasz. Przedzwoń do nich. Nie macie nic do stracenia.

Ale całkiem możliwe, że Donna Doyle ma, pomyślała Carol, przechwytyjąc błagalne spojrzenie Kay. A zresztą Leeds mieściło się w pół drogi między Manchesterem a Seaford. Ludzie z jej ekipy są dorośli. Nie po raz pierwszy musieliby samodzielnie myśleć.

Najpierw ofiary. Od tego zawsze się zaczyna. Problem polegał na przekonaniu kogokolwiek, że były ofiary i była zbrodnia. Z drugiej strony, może ich najzwyczajniej poniosło. Tak bardzo chcieli, by Shaz miała rację, że widzieli dowody tam, gdzie ich po prostu nie było. Niby mieli całą stertę poszlakowych dowodów przeciwko Jacko, ale niewykluczone, że nie kryło się za nimi nic więcej.

Na tej drodze czekało szaleństwo. Szaleństwo i perspektywa, że biedny Simon zostanie aresztowany, jak tylko przekroczy próg własnego domu.

- Ofiary - powtórzył Tony.

Zapatrzył się w ekran laptopa i zaczął pisać.

SPRAWA SERYJNEGO SPRAWCY

Pierwsza znana ofiara z postulowanej serii to Barbara Fenwick, zamordowana dwanaście lat temu (patrz załącznik do akt sprawy, zawierający streszczenie przygotowane przez posterunkowego Leona Jacksona). Możemy z pewną dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że było to pierwsze zabójstwo tego sprawcy, ponieważ w aktach policji

nie ma wcześniejszych wzmianek o zachowaniu stanowiącym jego sygnaturę, mianowicie o zdruzgotaniu prawej ręki ofiary od łokcia w dół. W oczywisty sposób zachowanie to jest jego „podpisem”; podobne okaleczenia nie są nieodzownym elementem napaści seksualnej ani zabójstwa. Są zbędne, zrytualizowane, w związku z czym można bezpiecznie założyć, że mają dla sprawcy szczególne znaczenie. Uwzględniając ceremonialny charakter zachowania stanowiącego sygnaturę, jest wysoce prawdopodobne, iż sprawca stale posługuje się tym samym narzędziem; należy się zatem spodziewać, iż obrażenia wszystkich ofiar będą podobne.

Jeszcze jedna rzecz wskazuje na to, iż było to jego pierwsze zabójstwo. Sprawca wybrał wystarczająco, jak uważał, odludne i bezpieczne miejsce, by dokonać tej zbrodni, nie będąc niepokojonym, lecz w gruncie rzeczy omal nie został przyłapany na gorącym uczynku. To przypuszczalnie przestraszyło go, a w związku z tym podjął zapewne odpowiednie kroki celem zapewnienia sobie bezpiecznego miejsca dokonywania mordów. Za jego „sukcesem” w tym względzie przemawia fakt, iż zwłoki późniejszych ofiar nigdy nie zostały znalezione.

A wobec braku zwłok co może przemawiać za istnieniem seryjnego sprawcy?

Przerwał pracę i zerknął do listy cech wspólnych ofiar, jaką Shaz przedstawiła zespołowi; czuł się, jakby to wszystko działo się przed wiekiem. W najgorszym układzie mógł przynajmniej dopilnować, by

jej praca nie poszła na marne. Przepisał listę, tu coś zmieniając, tam dodając parę słów.

Aczkolwiek wystąpienia dwóch czy trzech cech wspólnych należy się spodziewać w każdej grupie kontrolnej, liczba i powtarzalność cech, jaką możemy tu wskazać, zdecydowanie wykraczają poza ramy zwykłego przypadku. Szczególną wagę ma stopień podobieństwa między zamordowanymi. Ofiary mogłyby być siostrami.

Być może jeszcze donioślejszy jest fakt, że wszystkie mogłyby również uchodzić za siostry niejakiej Jillie Woodrow i wyglądały tak, jak ona przed piętnastu czy szesnastu laty, gdy stała się pierwszą dziewczyną Jacko Vance'a, naszego głównego podejrzanego. Błyskotliwa kariera lekkoatletyczna Vance'a została przekreślona wskutek wypadku, w którym, bez nadziei na powrót do zdrowia, utracił właśnie prawe przedramię.

Ponadto data zabójstwa Barbary Fenwick jest oddalona w czasie od wypadku Jacko Vance'a o zaledwie czternaście tygodni. Większość tego okresu spędził w szpitalu, przechodząc rekonwalescencję, a później poddawał się intensywnej fizykoterapii. I właśnie w okresie rekonwalescencji Jillie Woodrow skorzystała z szansy, by zakończyć to, co z czasem stawało się coraz bardziej toksycznym i niechcianym związkiem (patrz notatki z rozmowy z J.W., przeprowadzonej przez posterunkowego Simona McNeilla, w załączeniu). Stres wywołany przez te dwa zdarzenia byłby

wystarczającym bodźcem do zabójstwa na tle seksualnym u jednostki mającej predyspozycje do realizowania socjopatycznych reakcji poprzez przemoc.

Odtąd nigdy nie realizował impulsów seksualnych w sposób normalny. Jego szeroko nagłośnione małżeństwo jest oszustwem: żona jest w rzeczywistości lesbijką, a jej „osobista asystentka” to jej kochanka jeszcze sprzed ślubu. Vance nigdy nie utrzymywał kontaktów seksualnych z żoną, która zakłada, że korzysta on z usług „luksusowych dziewczyn na telefon”, by dać ujście popędowi seksualnemu. Nic nie wskazuje na to, by żywiła jakiekolwiek podejrzenia co do psychopatycznych czynów męża.

Gdy zestawić życiorys Vance’a z kryteriami, które, jak wykazuje praktyka, stanowią wspólny mianownik socjopatów czynnie realizujących swoje psychopatyczne skłonności, uderza nas niebywały stopień zgodności. Mamy przesłuchania świadków, którzy potwierdzają jego napięte relacje z odtrącającą go matką, z często nieobecnym ojcem, któremu jako dziecko rozpaczliwie starał się zaimponować, historię nękania młodszych dzieci, okrucieństwa wobec zwierząt oraz jego sadystyczne, dominujące zachowania seksualne, jak również rozbudowane i perwersyjne fantazje seksualne. Jego sprawność fizyczną można uznać za potężną nadkompensację poczucia bezwartościowości, jakie nękało go we wszystkich innych sferach życia, a utrata tejże sprawności zadała miażdżący cios jego niezwykle kruchej samoocenie.

Zważywszy na te okoliczności, w oczywisty sposób jego ofiarami byłyby kobiety. Zapewne matkę, a później narzeczoną, postrzega jako kobiety „kastrujące”. Jest jednak zbyt inteligentny, aby dać upust swojej furii przeciwko oczywistym „celom”, toteż zwrócił się ku serii zastępczyń. Stały się nimi dziewczęta, zdradzające wyraźne podobieństwo do Jillie Woodrow w wieku, w którym została przez niego uwiedziona.

Należy pamiętać o tym, że ujęci seryjni zabójcy wykazują się zwykle ponadprzeciętną inteligencją, w niektórych przypadkach w stopniu dużo powyżej średniej. Nie powinien zatem dziwić fakt, że na wolności przebywają także seryjni sprawcy, dotąd nieujęci ani nawet niebudzący niczych podejrzeń, którzy wykorzystują tę inteligencję bardziej efektywnie. Jacko Vance jest, w mojej opinii, przykładem ilustrującym tę regułę.

Rozparł się w fotelu. Tyle w kwestii rysu psychologicznego. Będzie musiał przygotować bardziej szczegółowe zestawienie, ale wiedział, że to nie zajmie mu dużo czasu. Poprze swoje tezy konkretnymi dowodami, które, jak miał nadzieję, jeszcze dzisiejszego wieczoru zdobędą Carol i Kay, i będzie dość materiałów, żeby w ciągu dwunastu godzin policja zachodniego Yorkshire zobaczyła Jacko Vance’a w całkiem nowym świetle.

Sierżant Tommy Talor potrafił się połapać, kiedy wdepnął w gówno. A inwigilowanie strażaków na niepełnym etacie było

najpaskudniejszym szajsem, w jaki wdepnął od bardzo, bardzo dawna. Całą noc obserwował Raymonda Watsona, co sprowadzało się do tego, że „obserwował” dom Raymonda Watsona. Żeby chociaż ten dom obfitował w ciekawostki architektoniczne, dzięki którym umysł Tommy’ego pozostałby aktywny. Sztampowy segment, przed wejściem „ogród” rozmiarów chustki do nosa, mogący się poszczycić wymęczonym krzewem różanym, zmienionym przez północno-wschodnie wiatry w krzywulca; niektórzy współcześni rzeźbiarze oddaliby pół życia, żeby ich dzieło osiągnęło taki kształt. Łuszcząca się farba, niechlujnie wyglądający lakier na frontowych drzwiach.

Ubiegłego dnia Watson wrócił do domu o jedenastej wieczorem; wyścigi psów kończyły się późno. Dzisiaj ich nie było, toteż dotarł do domu tuż po siódmej, według mundurowych, którzy mieli go na oku za dnia. Od tamtej pory nic. Chyba że za wielkie wydarzenie uznać wystawienie butelek po mleku.

Światła zgasły po jakichś dziesięciu minutach. Godzinę później w okolicy nie widać było żadnych oznak życia. Boczne uliczki Seaford nie sływały z nocnego życia. Jediną rzeczą, jaka wyrwałaby Raymonda Watsona ze snu, jest duży pożar, skonstatował Taylor kwaśno. Chrząknął i przesunął się na siedzeniu w aucie, podrapał się po jajach, a potem powąchał palce. Znudzony do porzygania się, włączył krótkofalówkę i wezwał Di Earnshaw.

- Co na twoim podwórku? - spytał.

- Cisza - padła odpowiedź.

- Jakby baza dobiła się do ciebie z wiadomościami o pożarze, do którego ściągają naszych, nadaj mi o tym przez CB, dobra?

- A co? Zostawiasz samochód i będziesz śledzić podejrzanego pieszo?

Wyraźnie się ożywiła. Pewnie nudziła się tak samo jak on i ekscytowała ją myśl o jakiejś akcji, nawet gdyby mogła tylko o niej posłuchać.

- Nie, tu też cisza - zgasił ją Taylor. - Muszę rozprostować nogi. Te pieprzone puszki na sardynki nie są zbudowane z myślą o normalnym facecie. Jak mówiłem, cokolwiek się zacznie dziać, zgłoś się. Bez odbioru.

Przekreślił kluczyk w stacyjce. Silnik ożył z kaszlącym dźwiękiem, który na cichej, bocznej uliczce wydawał się upiornie hałaśliwy. Chrzanić głupawe pomysły Carol Jordan. Jakies półtora kilometra stąd był klub, otwarty do późna głównie z myślą o marynarzach schodzących na ląd z zagranicznych statków. Czekał tam na niego kufelek piwa, chyba że grubo się mylił. Pora sprawdzić tę możliwość.

Carol i Kay podążały za ochroniarzem oślepiająco białymi korytarzami. Otworzył drzwi i odsunął się, gestem zapraszając je do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Niemal każdą poziomą powierzchnię zajmowały monitory komputerowe. Młoda kobieta w dzinsach i koszulce polo, z włosami ufarbowanymi na platynowy blond i ostrzyżonymi na zapałkę, obejrzała się przez ramię,

spostrzegła gości i odwróciła się plecami do monitora, którym dotąd była zaabsorbowana. Jej palce błyskawicznie odszukały klawiaturę i obraz na monitorze zmienił się. Carol kątem oka złowiła jakieś poruszenie i obróciła twarz w tamtą stronę. Wysoki szatyn w garniturze za ciężkie pieniądze siedział na skraju biurka. Tym, co ściągnęło jej wzrok, był gest pośpiesznego rozłożenia ramion i opuszczenia rąk; wstawał właśnie, żeby powitać gości.

Postąpił krok w ich kierunku i odgarnął niesforny kosmyk z oczu. Jeśli stawał na chłopięcy wygląd, pomyślała Carol, rąbnął się mniej więcej o jedno pokolenie.

- Starsza inspektor Jordan? - upewnił się, wyraźnie zachwycony basowym brzmieniem swojego głosu. - Oraz posterunkowa Hallam. Witajcie w przyszłości.

Boże, ratuj, jęknęła Carol w duchu.

- Pan Philip Jarvis, prawda? - Zmusiła się do uśmiechu. - Bardzo dziękuję, że był pan skłonny przyjąć nas o tak późnej porze.

- Czas na nikogo nie czeka - odparł z taką dumą, jakby był autorem tego powiedzenia. - Ani na mężczyznę, ani na kobietę, skoro już o tym mowa. Doceniamy wagę pani pracy i, podobnie jak pani, działamy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteśmy, było nie było, w tej samej branży, w branży zapobiegania przestępczości, a gdy środki zapobiegawcze zawiodą, ujmowania winnych.

- Mmm - mruknęła Carol niezobowiązująco. Było oczywiste, że to z góry przygotowana mówka, która nie zostawiała miejsca na odpowiedź.

Jarvis uśmiechnął się dobrodusznie. Zademontrował przy tym lśniący biały uzębienie, jakie częściej widuje się w Nowym Yorku niż w Yorkshire.

- To nasza monitorownia - objaśnił niepotrzebnie, popierając słowa zamasztywym gestem. - Obraz jest przekazywany albo z naszej w pełni zautomatyzowanej biblioteki, albo na żywo z rozlicznych kamer drogowych, jakie testujemy w terenie. Operator bądź operatorka wybierają źródło i wywołują obraz, który ich interesuje.

Podprowadził Carol i Kay bliżej, aż cała trójka znalazła się tuż za plecami kobiety. Z bliska Carol widziała, że jej skóra jest przedwcześnie postarzała, ma niezdrowy koloryt wskutek braku naturalnego światła i wpływu promieniowania z monitorów.

- Oto Gina - obwieścił Jarvis takim tonem, jakby przedstawiał monarchinię. - Kiedy podała mi pani datę i godziny, które panie interesują, oraz numery rejestracyjne pojazdu, poprosiłem Ginę, żeby zajęła się tym od razu.

- Naprawdę to doceniam. I jak, poszczęściło się państwu?

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy, starsza inspektor - odparł Jarvis z bezwiedną arogancją. - Nie w przypadku supernowoczesnego systemu. Gina?

Gina oderwała wzrok od monitora i obróciła się z krzesłem.

- Czternasta siedemnaście rzezonego dnia. - Odczytała z kartki.
- Czarny volkswagen golf zjechał z M1 w kierunku centrum miasta. Następnie, o dwudziestej trzeciej minut trzydzieści dwie, srebrny

mercedes kabrio pokonał dokładnie tę samą trasę. W obu przypadkach możemy dostarczyć nagrania z datami i godzinami oraz zdjęcia.

- Można zidentyfikować kierowców pojazdów? - spytała Kay; starała się, żeby w jej głosie nie brzmiało podniecenie, ale poniosła klęskę.

Zaintrygowana Gina uniosła brew i wpatrzyła się w policjantki.

- Oczywiście, zdjęcia daytime przysparzają w tym względzie mniej problemów - wtrącił Jarvis. - Ale korzystamy z wysoce zaawansowanego, eksperymentalnego medium do nocnych nagrań i przy zastosowaniu naszej techniki obróbki komputerowej powinno się uzyskać zaskakująco dobrą jakość obrazu.

- Gdyby panie wiedziały, kogo szukają, mogłyby tę osobę rozpoznać. Jeżeli planowały panie pokazać zdjęcia w „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie” w „Brytyjskiej kronice kryminalnej”, zapewne pojawiłby się problem czy dwa - uściśliła Gina.

- Mówią państwo, że to eksperymentalny system. Jak, pani zdaniem, spoglądano by na takie dowody w sądzie? - spytała Carol.

- Identyfikacja pojazdów na sto procent pozytywnie. Identyfikacja kierowców miałaby siedemdziesiąt pięć procent szansy.

- Ej że, Gina, nie bądźmy takimi pesymistami. To zależy, jak w przypadku większości dowodów, od tego, jak zostaną zaprezentowane ławnikom - zaprotestował Jarvis. - Z radością zeznałbym, że postawiłbym moją reputację na wiarygodność tego systemu.

- A jest pan biegłym, prawda? - upewniła się Carol.

Nie zamierzała wzywać go na świadka, ale czasu było mało i musiała ustalić, na czym stoi.

- Nie, ale są nimi niektórzy z moich współpracowników.

- Ja na przykład - uzupełniła Gina. - Proszę posłuchać, pani Jordan, a może zerknie pani na to, co tutaj mamy, i sprawdzi, czy to nie dość, żeby mogła pani zebrać ostateczne dowody i nie uzależniać się od tego, co ławnicy sądzą na temat naszych metod?

Po półgodzinie Kay wyszła, piastując kilka kaset wideo i wydruków laserowych, które, jak obie śledcze przeczuwały, miały zapędzić Jacko Vance'a w kozi róg. Jeżeli Donna Doyle pozostała przy życiu, właśnie one stanowiły jej ostatnią nadzieję. Carol nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Tony'ego. W drodze do samochodu zerknęła na zegarek. Wpół do pierwszej nad ranem. Wiedziała, że Tony będzie chciał jak najszybciej obejrzeć materiały, ale musiała wracać do Seaford. Zresztą Kay zawsze mogła mu je podrzucić. Carol stała przy samochodzie, niezdecydowana.

Chrzanić to, pomyślała. Naprawdę zależało jej na tym, żeby przedyskutować sprawę z Tonym. Będzie miał tylko jedno podejście, żeby zjednać sobie Whartona i McCormicka, a ona potrzebowała pewności, że przygotował coś, co idealnie utrafi w gliniarskie gusty.

Poza tym miała komórkę. Gdyby zespół naprawdę jej potrzebował, wystarczy, że zadzwonią.

Posterunkowa Di Earnshaw wcisnęła się ramionami w oparcie fotela, a miednicę wysunęła do przodu, nadaremnie próbując

rozprostować obolały kręgosłup i przybrać wygodną pozycję w nieoznakowanym aucie. Żałowała, że nie mogła przyjechać własnym małym citroenem, którego fotele wydawały się zaprojektowane z myślą o jej sylwetce. Ktokolwiek testował policyjnego vauxhalla, był w oczywisty sposób węższy w biodrach i miał dłuższe nogi.

Dobrze przynajmniej, że niewygodna nie dała jej zasnąć. Było coś z dumy i przekory w determinacji, z jaką Di starała się zachować czujność. Podobnie jak Tommy Taylor, uważała, że obserwacja jest kompletną stratą czasu i pieniędzy, była jednak zdania, że istnieją subtelniejsze i skuteczniejsze sposoby okazania tego szefostwu od urywania się z posterunku. Zdażyła wystarczająco dobrze poznać kolegę sierżanta, żeby spokojnie sobie wyobrazić, jak spędzał godziny męczącego czuwania, gdy noc nieuchronnie pełzła w stronę świtu. Gdyby Carol Jordan się dowiedziała, wróciłby do mundurowych w mgnieniu oka. A że dochodzeniówka była prawdziwą fabryką plotek, wcześniej czy później starsza inspektor się dowie. Jeśli nie przy tej okazji, to przy następnej, być może takiej, która akurat będzie się liczyła.

Di ani się śniło robić coś tak oczywistego, żeby podkopać autorytet Jordan. Nie posunęłyby się do donosu. Raczej wybrałyby pełne politowania uśmieшки za plecami Jordan, subtelne aluzje. „Naprawdę, nie powinnam tego mówić, ale...” przy każdej okazji. Niechby wyglądało, że każda obsuwa jest skutkiem wydanych przez Jordan poleceń, każdy sukces wynika z inicjatyw jej podwładnych. Chyba nie ma czegoś bardziej destrukcyjnego niż ciągłe podważanie

czyjejś kompetencji. Kto jak kto, ale ona wiedziała. Aż nadto często doświadczała tego na własnej skórze jako funkcjonariuszka policji wschodniego Yorkshire.

Ziewnęła. Nic się nie wydarzy. Alan Brinkley leżał sobie grzeczniutko w łóżeczku obok żony w pretensjonalnym bloku na tak zwanym „osiedlu kierowniczym”, stanowiącym przerost formy nad treścią. Co z tego, że łatwiej je sprzątnąć i utrzymać, Di wolała swoją chatkę rybacką, jak lubiła nazywać segment w pobliżu doków, choć odkąd okrzyknięto je częścią dziedzictwa narodowego, roilo się tam od turystów. Kochała brukowane ulice i morską sól w powietrzu, świadomość, że pokolenia kobiet Yorkshire stały w progach tych domów i wypatrywały swoich mężczyzn na horyzoncie. Żeby sama miała tyle szczęścia, pomyślała, przez chwilę szczerze siebie nienawidząc.

Sprawdziła, czy jej zegarek i ten na tablicy rozdzielczej pokazują tę samą godzinę. Po dziesięciu minutach, odkąd ostatnio sprawdzała, nadal pokazywały czasy różne o dokładnie pięć sekund. Ziewając, włączyła małe przenośne radio. Przy odrobinie szczęścia niebawem skończą się telefony od słuchaczy, co w duchu nazywała „prolmową”, i DJ puści coś przyzwoitego. W chwili gdy Gloria Gaynor bez ogródek wyznawała, że dopóki umie kochać, wie, że żyje, łagodne światło zabłysło nagle za czterema oszronionymi szybkami w imitacji georgiańskiego świetlika we frontowych drzwiach państwa Brinkleyów. Di zacisnęła ręce na kierownicy i pośpiesznie podniosła

się do pozycji siedzącej. Czy to jest to? Czy może bezsenność sprawia, że ktoś z domowników nabrał ochoty na filiżankę herbaty?

Światło, równie nagle, jak się pojawiło, zgasło. Di westchnęła z rezygnacją, gdy raptem pod bramą garażową ukazała się poświata. Wystraszona, wyłączyła radio i opuściła szybę w oknie; rześkie nocne powietrze owiało ją i wyostrzyło zmysły. Tak, to jest to. Pokasływanie silnika, odgłos, którego nie sposób pomylić z żadnym innym.

Parę sekund później brama garażowa uniosła się z dygotem, a na podjazd wytoczyło się auto. Samochód Brinkleya, o pomyłce nie było mowy. A ściślej biorąc, samochód, za który Brinkley spłacił tylko trzy raty i który trafi do poprzedniego właściciela, jak tylko windykatorzy wpadną na to, jak capnąć go, nie włamując się do garażu Brinkleyów. Obserwowany przez Di Brinkley wysiadł z auta, cofnął się w stronę garażu i sięgnął do środka, przypuszczalnie po to, żeby nacisnąć przycisk, który powodował opuszczenie się bramy.

- O kurczę - powiedziała bezgłośnie.

Zakręciła szybę, chwyciła magnetofon na mikrokasety, nacisnęła przycisk nagrywania i podyktowała podniecona:

- Alan Brinkley opuszcza dom samochodem o pierwszej dwadzieścia siedem po północy.

Rzuciła magnetofon na sąsiedni fotel i złapała krótkofalówkę, która miała jej zapewnić łączność z Tommym Taylorem.

- Tu Tango Charlie. Tango Alpha, słyszysz mnie? Odbiór.

Odpaliła silnik, pilnując się, żeby odruchowo nie włączyć świateł. Brinkley wycofał auto z podjazdu i wyjeżdżał teraz ze ślepej

uliczki, sygnalizując skręt w prawo. Zdjęła stopę ze sprzęgła, nadal na wyłączonych światłach, i dogoniła go na krętej alei biegnącej przez osiedle w kierunku drogi głównej.

Pstryknięciem włączyła radio i powtórzyła komunikat dla sierżanta.

- Tango Charlie do Tango Alpha. Podejrzany się przemieszcza, czy mnie słyszysz? Odbiór.

Brinkley dojechał do głównej drogi i skręcił w lewo. Policzyła do pięciu, potem włączyła światła i skręciła za nim. Kierował się w stronę centrum miasta, około pięciu kilometrów dalej, utrzymując stałą prędkość, tuż powyżej ograniczenia. Nie na tyle wolno, żeby drogówka zatrzymała go, podejrzewając nadmiernie ostrożnego pijanego kierowcę, i nie dość szybko, żeby zarobić mandat za zbyt szybką jazdę.

- Tango Charlie do Tango Alpha.

Bezgłośnie klęła sierżanta. Potrzebowała wsparcia, a jego nie było na posterunku. Pomyślała, czy nie wezwać bazy, ale tylko posłaliby na miejsce grupę samochodów patrolowych, które każdego podpalacza wystraszyłyby tak, że wiałby przez trzy hrabstwa.

- O cholera - zaklęła tonem skargi, gdy Brinkley zjechał z głównej drogi na słabo oświetlone uliczki małego kompleksu przemysłowego. Znowu zgasła światła. Kiedy wysokie mury budynków zamknęły się wokół niej, uznała, że pora wezwać wsparcie. Podkręciła fonię i włączyła policyjne radio:

- Delta Trzy do bazy, odbiór?

Trochę szumu, potem cisza. Serce w niej zamarło, gdy zrozumiała, że znajduje się na terenie jednego z paru miejsc, do których nie docierają fale radiowe, rozsianych po centrum miasta. Równie dobrze mogłaby nadawać z czarnej dziury: szanse na wsparcie miałyby dokładnie takie same. Nic dodać, nic ująć. Była zdana na własne siły.

25

Donna Doyle nie czuła już bólu. Pływała w ciepłej zupie delirium, oglądała dawne wspomnienia jak w krzywym zwierciadle. Ojciec żył jeszcze, podrzucał ją do góry w parku, zewsząd machały do niej drzewa. Ich gałęzie zmieniły się w ramiona i Donna stała nagle w kręgu przyjaciół, na środku, i w coś się z nimi bawiła. Wszystko było większe niż zwykle, bo miała zaledwie sześć lat, a kiedy jest się małym, przedmioty zawsze wydają się wielkie. Kolory przechodziły jeden w drugi i nastał Tydzień Przystrajania Studni, karnawałowe parady rozpląwały się na ulicach jak zostawione na słońcu żelki.

A oto i ona w samym sercu parady, na platformie pikapu przybranego kwiatami z krepiny; w jej gorączkowym otumanieniu urosły do rozmiarów główek kapusty. Była promienną „Księżniczką Róż”, w wielowarstwowej, wykrochmalonej halce. Uroczystość chwili zagłuszała nieprzyjemne swędzenie skóry pod szorstkim materiałem w ciepłe słoneczne popołudnie i bolesny ucisk plastikowej tiary. Na mglistym pograniczu między snem a rzeczywistością Donna zastanawiała się, dlaczego słońce paliło z taką tropikalną zaciętością, że raz pociła się, a raz dygotała.

Poza obrębem jej świadomości obrzmiały, przebarwiony ochłap, zwisający wzdłuż jej boku, rozkładał się nieprzerwanie, rozsyłał nowe trucizny po jej ciele, które w każdej sekundzie chyliło się raz ku zatruciu, raz ku przetrwaniu. Gnilny odór i jątrząca się tkanka były jedynymi zewnętrznymi oznakami sięgającego głębiej zakażenia. Niecierpliwe ciało nie mogło się doczekać, by śmierć rozpoczęła wreszcie dzieło ostatecznego zniszczenia.

26

Wysiadając z auta przed bramą garażową, Alan Brinkley zauważył, że nocne powietrze zmienia jego oddech w białe obłoki pary. Paskudny ziąb, pomyślał. Zima mocno się trzymała. Dobrze, że upatrzył sobie coś, co nie wymagało długiego spaceru. Tylko tego mu brakowało - zdrętwiałych z zimna, niezdarnych palców przy robocie. Ale nie ma jak porządne ognisko, żeby człek mógł się ogrzać do szpiku kości, podsumował w duchu z ironicznym uśmiechem, gdy odpalał silnik.

Jego celem była fabryka farb specjalistycznych na samym końcu niewielkiego kompleksu przemysłowego. Tym razem zaparkuje przed sąsiednim budyneczkiem, blacharnią. Tam zawsze stoi pół tuzina samochodów na różnych etapach prac lakierniczych czy napraw po wypadku. Jednego więcej nikt nie zauważy. Choć raczej nie miał kto. Zwłaszcza że strażnika, który miał patrolować cały kompleks, nigdy nie było na miejscu między drugą a trzecią trzydzieści i wiedział, że gość ma zbyt wiele posesji na głowie.

Skrecił w prowadzący do kompleksu przesmyk między wysokimi budynkami magazynów i ostrożnie wjechał na drogę dojazdową do blachami. Zaraz potem wyłączył silnik oraz światła i dla pewności dwa razy sprawdził, czy w kieszeniach wszystko jest na miejscu: sznurek, mosiężna zapalniczka roztaczająca woń benzyny, paczka z siedemnastoma papierosami, wymemłane pudełko zapalek, wczorajsza gazeta wieczorna, scyzoryk z siedmioma ostrzami i wygnieciona, poplamiona olejem chustka do nosa. Wyjął ze schowka małą, ale mocną latarkę. Trzy głębokie wdechy z zamkniętymi oczami i był gotów.

Wysiadł z wozu i rozejrzał się szybko. Omiótł spojrzeniem samochody stojące wokół blachami. Widział także przód vauxhalla stojącego w cieniu magazynu przy drodze dojazdowej, w miejscu gdzie biegła łukowato, ale nie uświadomił sobie, co to oznacza. Nie pamiętał, że nie mijał go przed paroma chwilami. Pewny, że nic się nie msza na horyzoncie, mszył po asfalcie w kiemniku fabryki farb i lakierów. Boże, ale się będzie hajcowało, aż miło popatrzeć, pomyślał z satysfakcją. Jak fabryka pójdzie z dymem, przy okazji sfajczy się kilka sąsiednich budynków. Jeszcze parę takich pożarów i Jim Pendlebury powie: „Chrzanić budżet”, i przyjmie go na pełny etat. Wystarczyłoby tylko na spłatę odsetek od długów, których uzbierało się jemu i Maureen jak pcheł na kocie, ale wierzyciele na trochę by się odczepili, a wymyśli już sposób, żeby nareszcie wyjść na prostą.

Brinkley potrząsnął głową. Przeważenie ogarniało go na myśl o monstmalnej górze długów. Bezustannie powtarzał sobie, że to, co

robi, jest jedyną metodą na pozostanie przy życiu. Bezdomny, który zginął, odpuścił sobie tę walkę na długo, zanim Brinkley pojawił się na scenie. Z nim będzie inaczej. On przetrwa. Ale musi przestać się rozpraszać i skupić na osiągnięciu zamierzonego celu, tak by nie dać się złapać.

Jeśli wpadnie, nigdy nie spłaci długów. A Maureen nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby dał się złapać.

Brinkley wepchnął dłonie między przemysłowy kontener na śmieci i ścianę fabryki. Jego palce natrafiły na torbę, którą wcześniej tam schował, i zacisnęły się na niej. Tym razem najlepiej będzie wejść przez okno biura. To, że jest świetnie widoczne od strony drogi dojazdowej, wcale go nie martwiło. W żadnym z zakładów nie pracowano na nocną zmianę, ochroniarza spodziewał się nie wcześniej niż za godzinę, a fabryka farb i lakierów była ostatnim budynkiem kompleksu; dalej znajdowało się jedynie wysokie na przeszło dwa metry ogrodzenie. Nikt nie będzie tędy szedł, bo musiałby tylko nadłożyć drogi.

Dostanie się do środka zajęło mu niecałe pięć minut, zaledwie siedmiu potrzebowały jego wprawne ręce, żeby złożyć standardowy mechanizm zapalający. Dym papierosowy kłębił się i unosił ku górze. Był to dla niego najcudowniejszy z aromatów, którego słodycz mieszała się z chemicznym zapachem farby, przesycającym fabrykę. Farba buchnie jak słup ognia na pustyni, rozmyślał z satysfakcją, gdy cofał się ciemnym korytarzem, nie odrywając oczu od kopącego lontu.

Sięgnął za siebie, żeby wymacać otwarte drzwi, którymi tu się dostał. Zamiast na pustkę jego palce trafiły na materiał. Odwrócił się w popłochu i jego oczy poraził snop światła z latarki; poczuł się, jakby ktoś chlusnął mu w twarz kieliszkiem wina. Zamrugał oślepiony. Niezdarnie próbował wycofać się w głąb korytarza, ale, zdezorientowany, uderzył bokiem o ścianę. Snop światła poruszył się, potem trzasnęły zamykane drzwi.

- Wpadłeś, pieprzony skurwielu - usłyszał głos kobiety. - Alanie Brinkley, aresztuję cię pod zarzutem podpalenia...

- Nie! - zaryczał jak zaszczute zwierzę i rzucił się w stronę światła.

Zderzyli się i runęli na ziemię w płątanie kończyn i huku przewracanych mebli. Kobieta szamotała się pod nim i wiała jak rozzłoszczony kociak, ale on był cięższy i silniejszy, a muskulaturę miał rozbudowaną dzięki wieloletnim treningom w straży.

Chciała uderzyć go latarką, ale z łatwością odparował cios ramieniem; latarka poturlała się po podłodze w kierunku szafki, zakolebała lekko i oświetliła scenę walki migotliwym światłem. Zobaczył jej twarz, usta otwarte i wykrzywione na podobieństwo ptasiego dzioba. Skoro on widzi ją, ona widzi jego, rozkrzyczał się jego spanikowany umysł.

Jeśli wpadnie, nigdy nie spłaci długów. A Maureen nigdy mu nie wybaczy, gdyby dał się złapać.

Przycisnął kolanem brzuch policjantki, żeby wydusić powietrze z jej płuc. Przedramieniem przycisnął szyję, przyszpilił do podłogi.

Kiedy wywalila język, desperacko walcząc o oddech, wolną ręką przyciągnął do siebie jej głowę i objął ramieniem. Nie tyle usłyszał, co poczuł, że coś trzasnęło. Zwiotczała. Walka była skończona.

Sturlał się z niej i przybrał pozycję embrionalną. W krtani narastał mu szloch. Co on najlepszego zrobił? Aż nadto dobrze znał odpowiedź, ale bez końca powtarzał w myśli to pytanie. Przetoczył się na kolana i zwiesił głowę jak pies, który coś przeszkrobał. Nie mógł jej tu zostawić. Za szybko by ją znaleźli. Trzeba ją gdzieś przenieść.

Z jego ust dobył się jęk. Niechętnie dotknął skóry, którą jego wyobraźnia już uczyniła trupią i zimną. Ciężko zarzucił zwłoki kobiety przez ramię klasycznym strażackim chwytem. Zatoczył się, ale podniósł na nogi i chwiejnie ruszył korytarzem w stronę ogniska pożaru. Poniósł ją aż za mechanizm zapalający, wydający teraz ostrą woń, gdzie na paletach stały puszki z farbą, czekające na załadunek na ciężarówce. Tutaj temperatura będzie wyjątkowo wysoka, więc mało zostanie dla ludzi z laboratorium kryminalistycznego. A już na pewno nic, co łączyłoby ją z jego osobą. Pozwolił zwłokom bezwładnie opaść na podłogę.

Brinkley, ocierając łzy z oczu, obrócił się i pobiegł ku zapraszającemu chładowi nocy. Jak do tego doszło? Jak kilka okazji, żeby się zabawić, upodobanie do wygodnego życia, doprowadziło do takiej sytuacji? Najchętniej rzuciłby się na ziemię i wył jak wilk. Ale musiał wstać, dowlec się do samochodu i zareagować na wiadomość na pagerze, gdy będą wzywać go do siedziby straży. Musi jakoś z tego wybrnąć. Nie ze względu na siebie, ale ze względu na Maureen.

Jeśli wpadnie, nigdy nie spłaci długów. A Maureen nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby dał się złapać.

- Nie powinnaś być w Seaford? - spytał.

- Mam przy sobie komórkę. Ekspresówką będę jechała tylko pół godziny dłużej niż z domu. Poza tym musimy uporządkować to, co już mamy, i zastanowić się co dalej.

- Wejdz.

Carol potrzebowała więcej czasu, żeby przeczytać raport Tony'ego, niż on na przestudiowanie zdjęć i obejrzenie kaset, które przyniosła, ale nie miał nic przeciwko temu. Raz po raz oglądał nagranie, tasował datowane zdjęcia ze skrytym uśmiechem na ustach i ogniem w oczach. Po pewnym czasie Carol dotarła do końca. Konspiracyjne spojrzenie, jakim się wymienili, upewniło ich oboje, że mają rację - i sprawę, której władze nie zdołają dłużej ignorować.

- Dobra robota, doktorze - pochwaliła Carol.

- Dobra robota, starsza inspektor - odwzajemnił komplement.

- Zemsta jest moja, mówi profiler.

- Żałuję, że nie poświęciłem temu więcej uwagi, jak tylko Shaz opowiedziała o swoich podejrzeniach. Może wtedy osiągnęlibyśmy tyle samo, ale nie za tak wysoką cenę.

Carol impulsywnie nakryła jego rękę swoją.

- To śmieszne, Tony. Nikt nie otworzyłby dochodzenia na podstawie prezentacji z jakiegoś szkolenia.

- Nie do końca to miałem na myśli. - Przegarnął włosy. - Wiesz, w końcu jestem psychologiem. Powinienem był się zorientować, że

ona sobie nie odpuści. Powinienem był zastanowić się, jak moglibyśmy popchnąć sprawę naprzód, nie wystawiając tej szalonej dziewczyny na ryzyko.

- Równie dobrze mógłbyś stwierdzić, że to wina Chris Devine - zachnęła się Carol. - Wiedziała, że Shaz zamierza go przesłuchać, i puściła ją samą.

- A dlaczego, twoim zdaniem, Chris poświęca swój cenny czas na szwendanie się po Northumberland z Leonem i Simonem? Nie z poczucia obowiązku. Z poczucia winy.

- Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za wszystko i wszystkich. Shaz była policjantką. Powinna była liczyć się z ryzykiem. Nie musiała tam iść, ale poszła i nawet gdybyś próbował ją powstrzymać, i tak by cię nie posłuchała.

Tony uniósł głowę i dostrzegł w oczach Carol współczucie. Smutno pokiwał głową.

- Odtąd działamy oficjalnie. Carol delikatnie zabrała rękę.

- Cieszę się, że to powiedziałeś, bo zaczynam porządnie się denerwować, jak to będzie z dopuszczeniem dowodów. Formalnie nic mi przecież do tego śledztwa, a w kwestii zgłaszania materiału dowodowego nie mam do powiedzenia nic więcej oprócz: „Były w mojej torebce, kochany szefie”. W kółko myślę o tym, co zrobi ze mną obrona, jak będę zeznawać. „A więc, śledcza Jordan, oczekuje pani, że przysięgli uwierzą, iż podczas samotnej krucjaty po sprawiedliwość - pani jedna przeciwko całej policji zachodniego Yorkshire, przypadkiem natknęła się pani na jedyny dowód, wiążący

mojego klienta z morderstwem, którego ofiarą padła posterunkowa Bowman, kobieta widziana przez niego raz, i to przez niecałą godzinę? A czym zajmuje się pani brat, że powtórzę pytanie, pani Jordan? Geniusz komputerowy, czy to byłoby dobre określenie? Błyskotliwy młody człowiek, który potrafi z obrazem cyfrowym zrobić wszystko, co tylko zechce?" Ci z zachodniego Yorkshire muszą się w to włączyć.

- Wiem. Przychodzi taki moment, kiedy trzeba przestać odgrywać samotnego strzelca, i ten moment właśnie nadszedł. Ty też musisz być kryta. Rano uderzę prosto do sekcji zabójstw. Co ty na to?

- Nie myśl sobie, że nie chcę przykładać do tego ręki, Tony - powiedziała żałośliwie. - Po prostu przegramy, jeśli nie dopuszczą tych dowodów.

Poczuł przyływ ciepła.

- Sam bym tyle nie osiągnął. Kiedy Jacko Vance stanie przed ławą przysięgłych, to tylko dzięki temu, że ty do nas dołączyłaś.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwała się jej komórka.

- Cholera - zaklęła Carol, odbierając. - Starsza inspektor Jordan. Z drugiego końca linii dobiegł ją głos Jima Pendlebury'ego.

- Mamy kolejny pożar, Carol. Fabryka farb i lakierów. Buchnęła jak raca.

- Przyjadę najszybciej, jak się da, Jim. Podasz mi adres? - Tony, nieproszony, popchnął w jej stronę ołówek i kartkę, Carol zanotowała szybko. - Dzięki.

Rozłączyła się i na chwilę zamknęła oczy. Potem wybrała zapisany w pamięci telefonu numer sali łączności.

- Mówi inspektor Jordan. Były jakieś zgłoszenia od posterunkowego Taylora albo od posterunkowej Earnshaw?

- Nie, proszę pani - odparł anonimowy głos. - Mieli zachowywać ciszę radiową, chyba że coś konkretnego wydarzy się podczas obserwacji w terenie.

- A dałoby się ich wywołać i przekazać, żeby spotkali się ze mną na Holt Industrial Estate? Dzięki. Dobrej nocy. - Spojrzała na Tony'ego, skonsternowana. - Najwyraźniej obstawialiśmy nie tego, kogo potrzeba.

- Podpalacz?

- Znowu dał o sobie znać. Ale ani Tommy Taylor, ani Di Earnshaw nie zgłaszali nic przez radio, więc to chyba żaden z naszych podejrzanych. - Potrząsnęła głową. - Czyli wracamy do punktu zero. Lepiej podjadę na miejsce i zorientuję się, co i jak.

- Powodzenia - rzucił za nią Tony, gdy zakładała płaszcz.

- Ważniejsze, żeby tobie się powiodło. Obyś przekonał Whartona i McCormicka - odparła, kiedy ją odprowadzał. W progu odwróciła się i spontanicznym gestem oparła dłoń na jego ramieniu.

- Nie wyrzucaj sobie śmierci Shaz. - Przytuliła się i pocałowała go w policzek. - Skup się na pokonaniu Jacka Chłopaka na Medal.

I poszła. Został tylko nikły ślad jej zapachu w powietrzu.

Ponad sodowymi i neonowymi światłami panowała przejrzysta, rozgwieżdżona noc. Z okna poddasza rezydencji Holland Park Vance wpatrywał się w panoramę Londynu i wyobrażał sobie northumberlandzkie gwiazdy. Było jedno słabe ogniwo, jedyna nić, jaka mogła rozsnuć się i doprowadzić do niego. Czas, by Donna Doyle zginęła.

W gruncie rzeczy już od bardzo dawna nie musiał zabijać. To nie mordowanie sprawiało mu przyjemność, a przyglądanie się procesowi umierania. Unicestwienia istoty ludzkiej poprzez otepiający ból i infekcję. Jedną się stawiała. Nie chciała jeść, pić ani korzystać z toalety. Była wyzwaniem, ale nie pociągnęła długo. Nie wzięła poprawki na to, jakim siedliskiem zakażeń są szczyny i kał, którymi zanieczyściła całą podłogę. Myślała tylko o tym, jak obrzydzić mu siebie, tak by nie chciał jej tknąć, ale i to się jej nie udało.

Niemniej tej „Jillie” będzie się musiał pozbyć, i to szybko. Jej istnienie martwiło go, dokuczało jak bezustanne swędzenie po ukąszeniu przez pchłę w notorycznie podrażnianym miejscu. Jednak dopóki policja węszyła wokół śmierci Shaz Bowman, nie chciał wykonać niestosownego ruchu. Nieplanowany, nagły wypadek do Northumberland byłby podejrzany. Krótka wizyta, jaką tam złożył, nie dała mu dość czasu na rozprawienie się z tą suką. Potem należało się zastanowić nad rolą Tony’ego Hilla. Wiedział coś, czy tylko chciał go zdenerwować, skłonić do palnięcia głupstwa, które mogłoby go zdemaskować?

Tak czy tak, musiała zniknąć. Póki żyła, stanowiła dla niego śmiertelne zagrożenie. Powinien sprzątnąć ją tej samej nocy, kiedy zabił Bowman, ale obawiał się, że ktoś może zainteresować się jego wyjazdami i powrotami, co mogłoby okazać się kłopotliwe. Ponadto był zbyt zmęczony, by mieć pewność, że wykona robotę jak należy.

Będzie musiał po prostu polegać na skuteczności kryjówki pod kamienną posadzką. Wiedzieli o niej tylko dwaj budowlańcy, którzy na jego zlecenie zamontowali sprytne urządzenie sterujące włazem. Dwanaście lat temu wierzono jeszcze w groźbę wojny atomowej. Jego wywody o tym, że chce mieć własny schron jądrowy, zostały przez miejscowych przełknięte jako niegroźny ekscentryzm. I z pewnością dawno już zapomniane.

Ona musi zniknąć. Nie dziś. Wcześniej rano miał być na nagraniach i potrzebował się wyspać, choć nie liczył na spokojny sen. Ale za dzień czy dwa będzie mógł wymknąć się na całą noc i zająć dziewczyną.

Będzie musiał sobie poużywać, ile się da. Minie trochę czasu, zanim znowu pofolguje żądzy. Raptem zaświtała mu pewna myśl. Może dobrze byłoby dać Tony'emu Hillowi bardziej osobistą nauczkę niż Shaz. Będzie pamiętał, żeby rano zapytać żonę, czy Hill wspominał przy kolacji o swojej partnerce.

Zabić Shaz Bowman nie było trudno. Powtórka z dziewczyną Tony'ego Hilla może być tylko łatwiejsza.

Z rękoma wepchniętymi do kieszeni, kołnierzem podniesionym dla osłony przed porywistym wiatrem od rzeki, Carol Jordan stała nieruchomo jak głaz, wpatrzona w dymiące ruiny fabryki. Czuwała już od trzech godzin, ale nie dojrzała do tego, by odejść. Strażacy w rzucających się w oczy żółtych hełmach, pokrytych plamami jakiejś oleistej substancji, kręcili się na obrzeżach budynku. Gdzieś we wnętrzu tej pękającej skorupy inni próbowali dotrzeć do ogniska pożaru. Carol zaczynała godzić się z myślą, że nie potrzebuje ich naocznego świadectwa, by zrozumieć, dlaczego Di Earnshaw nie odpowiedziała na wezwania bazy i apele, żeby stawiała się na miejscu pożaru.

Di Earnshaw już tam była.

Carol usłyszała, jak hamuje za nią samochód, ale nie odwróciła głowy. Szelest policyjnych taśm, potem na linii jej wzroku pojawił się Lee Whitbread i podał jej kawę w tekturowym kubku jak z baru szybkiej obsługi.

- Pomyślałem, że dobrze to pani zrobi - odezwał się. Kiwnęła głową i bez słowa wzięła kawę.

- Na razie nic? - spytał.

- Cisza - potwierdziła.

Zdjęła pokrywkę i uniosła kubek do ust. Kawa była mocna i gorąca, zaskakująco smaczna.

- Na posterunku też nic - mruknął Lee i dłońmi osłonił trzymanego w ustach papierosa, żeby go przypalić. - Kropnąłem się do niej do domu, ot tak, żeby sprawdzić, może zrobiła sobie wolne i

wróciła do siebie, ale ani widu, ani słychu. Okna sypialni dalej zasłonięte, może się zdrzemnęła z zatyczkami w uszach?

Nie chciał uwierzyć, że zanosi się na kolejny policyjny pogrzeb.

Carol nie potrafiła się zdobyć na to, by dzielić z nim choć tę kruchą nadzieję. A skoro ona wiedziała, że Di Earnshaw nie należy do osób, które znikają, jakby się zapadły pod ziemię, Lee musiał mieć absolutną pewność, że posterunkowa rozstała się ze służbą, i to raz na zawsze.

- Widziałeś sierżanta Taylora? - spytała.

Lee zasłonił ręką twarz i ze złością zaciągnął się papierosem.

- Mówi, że się nie zgłaszała. Wrócił na posterunek, a nuż tam się czegoś dowiedzą.

- Mam nadzieję, że pracuje nad wyobraźnią i wymyśli coś lepszego - stwierdziła Carol ponuro.

Spod ciemnej kopuły fabryki wyłoniły się trzy postacie i wyjęły ustniki aparatów oddechowych. Jedna odłączyła się od dwóch pozostałych i ruszyła w stronę milczących policjantów. Metr od nich zatrzymała się i ściągnęła hełm: Jim Pendlebury.

- Nie znajduję słów, żeby wyrazić, jak mi przykro, Carol. Carol przekrzywiła głowę, potem skinęła ze znużeniem.

- Żadnych wątpliwości, jak przypuszczam?

- Zawsze jest miejsce na wątpliwości, dopóki laboratorium nie skończy pracy. Ale oceniamy, że to kobieta, a przy zwłokach znaleźliśmy coś, co wygląda jak nadtopiona krótkofalówka. - Współczucie nadało jego głosowi łagodne brzmienie.

Spojrzała na jego zatroskaną twarz. On wiedział, jakie to uczucie stracić kogoś, za kogo się odpowiada. Żałowała, że nie mógł jej powiedzieć, ile upłynie czasu, zanim będzie mogła znowu spojrzeć w lustro.

- Mogę ją zobaczyć? Potrząsnął głową.

- Jeszcze tam za gorąco.

Carol wymknęło się krótkie, urywane westchnienie.

- Będę w moim gabinecie, gdyby ktoś mnie potrzebował.

Rzuciła kubek, odwróciła się i, pochylona, przeszła pod taśmami, a potem na oślep pobiegła w kierunku swojego samochodu. Kawa rozlała się na asfalcie w kałużę. Lee Whitbread celnym pstryknięciem umieścił w niej niedopałek i patrzył, jak gaśnie z sykiem. Podniósł wzrok na Jima Pendlebury'ego.

- Ja też. Teraz mamy pieprzonego zabójcę gliniarza do przyskrzynienia.

Colin Wharton przetasował plik fotografii, uzyskanych z nagrania wideo, potem pochylił się i wyjął kasetę z magnetowidu. Unikając spojrzenia Tony'ego, mruknął:

- To niczego nie dowodzi. W porządku, kto inny odprowadził samochód Shaz Bowman do Leeds. Za tym kamuflażem mógłby się kryć dosłownie każdy. Ledwie widać fragmenty twarzy tego gościa, a obróbka komputerowa... *Ja* jej nie ufam, a ławnicy są jeszcze gorsi. Jak zaszary obrońca kończy wygłaszać mowę wstępną, zakładają, że wszystko, co bodaj otarło się o komputer, to fotomontaż.

- A ta ręka? To nie fotomontaż. Jacko Vance ma protezę prawego przedramienia. Człowiek ze zdjęć wcale się nie posługuje prawą ręką. To naprawdę rzuca się w oczy - naciskał Tony.

Wharton wzruszył ramionami.

- A może jest mańkutom? Może zranił się w rękę, kiedy szarpał się z Bowman. Może wiedział, jaki postrzelony pomysł chodzi Bowman po głowie w związku z Jacko Vance'em, i chciał się pod niego podszyć. Byle kto wie teraz o kamerach przemysłowych, doktorze Hill. Vance pracuje w branży: naprawdę pan sądzi, że nie pomyślałby o kamerach?

Tony przegarnął włosy i uczepił się ich, jakby tylko to ratowało go przed wybuchem.

- Ma pan Vance'a zjeżdżającego z drogi ekspresowej w Leeds, własnym samochodem, o krytycznej porze. Przecież to wykracza poza zbieg okoliczności?

Wharton zrobił obojętną minę.

- Ja tak nie uważam. Człowiek ma dom w Northumberland. Nieodpłatnie pracuje w tamtejszych szpitalach. W porządku, może i Al byłoby krócej, ale M1 jedzie się szybciej, a potem łatwo się włączyć na A1 na północ od miasta. Możliwe, że naszła go ochota na rybę z frytkami u Bryana, i nadłożył drogi.

Tony założył ręce na piersi, jakby to mogło powstrzymać gniew i rozpacz przed znalezieniem ujścia.

- Dlaczego nie chce pan potraktować nas serio? - spytał.

- Gdyby Simon McNeill nie był zbiegiem, nie zakładalibyśmy, że wszystko, co przedstawiacie, jest sfabrykowane - warknął ze złością Wharton.

- Simon nie ma tu nic do rzeczy. On Shaz Bowman nie zamordował. Zrobił to Jacko Vance. Mamy zdjęcia, na których siedzi za kółkiem w jej samochodzie, a samej Shaz nigdzie nie widać. Potem w swoim aucie, ta sama trasa. Czytał pan przygotowany przeze mnie profil. Co jeszcze musimy zrobić, żeby pana przekonać, aby przynajmniej lepiej się pan temu człowiekowi przyjrzał?

Drzwi za nim otworzyły się. Naczelnik Dougal McCormick wtarabanił swój masywny tors do pomieszczenia. Jego twarz miała ciemnoczerwony odcień jak u kogoś, kto zbyt dużo wypił w porze lunchu, mięsiste policzki lśniły od potu. Jego głos stał się o oktawę niższy niż zwykle.

- Sądziłem, że ma pan zakaz wstępu, o ile my po pana nie przyjdziemy? - warknął, dźgając Tony'ego palcem.

- Przyniosłem wam dowody, którą pozwolą na otwarcie sprawy przeciwko zabójcy Shaz Bowman - wyjaśnił Tony ze znużeniem. - Tyle że pan Wharton najwyraźniej nie jest w stanie pojąć ich wagi.

McCormick wszedł, rozpychając się łokciem.

- Coś podobnego? I co ty na to powiesz, Colin?

- Mam bardzo interesujące nagranie ze stacji benzynowej. Ktoś inny prowadził pojazd Shaz Bowman po tym, jak została zamordowana.

Umilkł i rozłożył zdjęcia przed McCormickiem. Ten zmrużył ciemne oczy i przestudiował je z uwagą.

- To Jacko Vance - obstawał Tony. - Odprowadził jej samochód do Leeds, potem wrócił do Londynu, potem znowu pojechał na północ, przypuszczalnie z Shaz w bagażniku.

- Mniejsza o Jacko Vance'a - zbył go McCormick. - Mamy świadka.

- Świadka?

- Ano, świadka.

- Świadka czego dokładnie?

- Sąsiadkę, która widziała pańskiego błękitnookiego chłoptasia, Simona McNeilla, pod mieszkaniem Sharon Bowman wieczorem w dniu jej zabójstwa. Wychodzącego nie widziała. Podesłałem ekipę, która w tej chwili przetrząsa jego chałupę. Już wcześniej go poszukiwaliśmy, ale teraz zostanie to publicznie ogłoszone. Może pan wie, gdzie go znajdziemy, doktorze Hill?

- Sami rozwiązaliście mój zespół. Skąd miałbym wiedzieć, gdzie jest teraz Simon? - spytał Tony; zimnym tonem maskował frustrację.

- Ach, no cóż, mniejsza o to. Wcześniej czy później go dorwiemy. Nie wątpię, że moi chłopcy będą mieli coś lepszego do pokazania w sądzie od nagrań, przy których majstrował brat pańskiej dziewczyny. - Widząc zdumioną minę Tony'ego, ponuro pokiwał głową. - Zgadza się, wiemy wszystko o panu i starszej inspektor Jordan. Naprawdę pan myślał, że nie mamy swoich źródeł?

- W kółko mi pan powtarza, że interesują pana tylko dowody, a nie domysły - wycedził Tony, panując nad sobą wielkim wysiłkiem woli. - Do protokołu: starsza inspektor Jordan nie jest ani nigdy nie była moją dziewczyną. A moje zapewnienie, że to robota Vance'a, nie opiera się wyłącznie na tych nagraniach. Nie próbuję pana uczyć siusiu robić, ale niech pan chociaż zerknie na mój raport. Są tam solidne dowody.

McCormick sięgnął po raport i przekartkował go.

- Charakterystyka psychologiczna to nie to, co nazwałbym „dowodem”. Plotki, zagadki, zazdrośnicy, którzy chcą się odegrać. Właśnie na tym pan polega.

- Jego własna żona mówi, że nigdy z nią nie spał. Nie powie mi pan, że w zachodnim Yorkshire uważa się to za normalne zachowanie?

- Mogła mieć najróżniejsze powody, żeby pana okłamać - stwierdził McCormick lekceważąco i rzucił raport na stolik.

- Widział Barbarę Fenwick na parę dni przed tym, jak została uprowadzona, a potem zamordowana. Wszystko jest opisane i przechowywane w archiwum w Manchesterze. Na jednej z pierwszych w jego karierze imprez charytatywnych po wypadku, w którym stracił rękę. Mamy jego zdjęcia z późniejszych imprez z innymi dziewczynami, które potem zniknęły bez śladu. - W głosie Tony'ego pobrzmiwało teraz zniechęcenie.

Nie zdołał nawiązać porozumienia, które mogłoby skłonić policjantów do zastanowienia się. Co gorsza, wyglądało na to, że

zraził do siebie McCormicka w takim stopniu, że gdyby powiedział „czarne”, McCormick odpaliłby „białe”.

- Taki człowiek poznaje setki lasek tygodniowo i włos im z głowy nie spada - zachnął się McCormick i opadł w fotel. - Niech pan posłucha, doktorze Hill, wiem, że trudno się pogodzić z myślą, że dał się pan zrobić w konia. Ale proszę spojrzeć na pańskiego człowieka, McNeilla. Był zakochany w Bowman, a ona najwyraźniej nie odwzajemniała jego uczuć. Mamy tylko jego słowo na to, że miała się z nim spotkać przed wspólnym wieczorem. Widziano go na tyłach domu mniej więcej w czasie jej śmierci. Mamy jego odciski na przeszklonych drzwiach. A teraz odstawił sztukę ze znikaniem. Przyzna pan, że to znacznie bardziej, do cholery, przekonujące niż kopczyk dowodów poszlakowych przeciwko człowiekowi, który jest bohaterem narodowym. To, co stara się pan osiągnąć, doktorze Hill, jest całkiem zrozumiałe. Pewnie czułbym się tak samo jak pan, gdyby podejrzenie padło na jednego z moich ludzi. Niemniej niech pan spojrzy prawdzie w oczy: palnął pan głupstwo i zwerbował do zespołu zimnego drania.

Tony podniósł się.

- Przykro mi, że się nie zgadzamy. Przykro tym bardziej, że moim zdaniem Jacko Vance więzi obecnie kolejną nastolatkę i możliwe, że ona jeszcze żyje. Panowie, największymi ślepcami są ci, którzy nie chcą widzieć. Mam szczerą nadzieję, że za panów ślepotę Donna Doyle nie zapłaci życiem. A teraz, jeśli panowie wybaczą, praca czeka.

Wharton ani McCormick nie próbowali go zatrzymać. Gdy dotarł do drzwi, Wharton rzucił:

- Dla McNeilla byłoby lepiej, gdyby nie czekał na aresztowanie.
- Jakoś w to nie wierzę - odparował Tony.

Na parkingu przed budynkiem oparł się o drzwi samochodu i ukrył twarz w dłoniach. Co, u diabła, mógł jeszcze zrobić? Ze starszych oficerów w jego chimeryczne dowody wierzyła tylko Carol, a ona nie miała teraz dojść do policji zachodniego Yorkshire, to akurat było jasne. Dowody, które zebrali, należały do tego rodzaju, jakie pochodzą z telewizyjnych rekonstrukcji zdarzeń i apeli w ogólnokrajowej prasie; oficjalne środki pozostawały nieosiągalne dla ośmieszonego psychologa, dwójki działających solo gliniarzy z dwóch krańców kraju, i garstki śledczych żółtodziobów.

Konwencjonalne metody zawiodły. Nadszedł czas, by regulamin wyrzucić do śmieci. Raz już tak postąpił i to uratowało mu życie. Tym razem może ocali życie komuś innemu.

Carol stała w drzwiach sali sztabowej z rękami wspartymi o biodra i słała gniewne spojrzenia. Wieści dotarły przed nią i dwaj śledczy wyraźnie byli przybici. Jeden przepisywał notatki na maszynie, drugi smętnie przedzierał się przez stertę papierkowej roboty. Gdy zarejestrowali jej przybycie, ograniczyli się do zerknięcia na nią spod oka.

- Gdzie on jest? - zołdkowała się Carol.

Śledczy łypnęli jeden na drugiego; bez słowa zrozumieli się i uzgodnili między sobą decyzję. Odezwał się ten przy maszynie do pisania, choć nie oderwał wzroku od swojej pracy.

- Sierżant Taylor, pani inspektor?

- A kto? Gdzie on jest? Wiem, że wcześniej tu był, ale chcę wiedzieć, gdzie przebywa teraz.

- Wyszedł zaraz po tym, jak dowiedzieliśmy się o Di - ubiegł go drugi.

- A gdzie go zastanę? - Carol nie ustępowała.

Nie mogła sobie na to pozwolić. Nie w trosce o swój autorytet, ale żeby zachować szacunek dla samej siebie. Ona tu robiła za najwyższą instancję i nie zamierzała uchylać się od odpowiedzialności. Przede wszystkim jednak chciała zrozumieć, w jaki sposób operacja przerodziła się w potworną katastrofę.

- Słucham - ponagliła. - Gdzie?

Śledczy znowu popatrzyli po sobie. Tym razem z rezygnacją.

- Harbourmaster's Club - mruknął ten pierwszy.

- Chła z samego rana? - spytała ze złością.

- To nie bar, tylko klub, pani inspektor. Można tam zjeść albo posiedzieć, poprzeglądać gazety i napić się kawy. Carol odwróciła się i chciała wyjść, ale śledczy dorzucił szybko:

- Pani nie może tam iść.

Spojrzenie, jakie mu posłała, ścinało krew w żyłach.

- To lokal tylko dla mężczyzn - wymamrotał młody śledczy. - Nie wpuszczą pani.

- Jezu Chryste! - wybuchła Carol. - Broń Boże, żebyśmy pogwałcili miejscowe obyczaje. No dobrze, Beckham, przestań przy tym gmerać i jedź do Harbourmaster's Club. Macie mi tu wrócić z sierżantem Taylorem w ciągu pół godziny, albo legitymację odbiorę nie tylko jemu, ale i tobie. Wyraziłam się dostatecznie jasno?

Teczka już była zamknięta, a Beckham na nogach. Przemknął obok niej, przeprosił i wypadł z sali.

- Będę w swoim gabinecie - warknęła Carol do drugiego śledczego; chciała trzasnąć drzwiami, ale zawiasy źle chodziły.

Ciężko usiadła w fotelu. Nawet nie zdjęła płaszcza. Ponure wyrzuty sumienia rozgościły się w niej na dobre. Gapiła się tępo w ścianę, przy której stawała Di Earnshaw podczas odpraw, rozpamiętywała jej spojrzenie śniętej ryby, fatalnie leżący żakiet, twarz o dużym nosie. Nigdy nie zostałyby przyjaciółkami, Carol wiedziała to instynktownie, co w pewnym sensie jeszcze pogarszało sprawę. Do poczucia winy, że Di Earnshaw zginęła podczas spartaczanej operacji, za którą Carol odpowiadała, dochodziły wyrzuty sumienia, że niespecjalnie tę kobietę lubiła, że gdyby musiała pod przymusem wybrać, kto spod jej komendy padnie ofiarą, Di nie byłaby ostatnia na liście.

Carol ponownie przemyślała całą operację, zastanawiając się, co mogłaby - czy powinna - zrobić inaczej. Która decyzja spowodowała śmierć Di Earnshaw? Jakkolwiek na to patrzeć, zawsze dochodziła do tego samego wniosku. Niedostatecznie mocno trzymała dochodzenie na wodzy, w niewystarczającym stopniu miała oko na młodszych

funkcjonariuszy, a ci nie przejmowali się, że brakiem rzetelności w pracy rzuca cię na jej osobę. Za bardzo ją pochłaniała rola opiekunki i obrończyni Tony'ego Hilla. Nie po raz pierwszy pozwoliła, by emocje, jakie w niej budził, zaćmiły zdolność osądu. Tym razem konsekwencje były zabójcze.

Rozległ się dzwonek telefonu. Chwyliła słuchawkę w połowie drugiego sygnału. Nawet najpotężniejszy kac moralny nie mógł zagłuszyć obowiązkowości na tyle, żeby zdołała zignorować służbowy telefon.

- Inspektor Jordan - rzuciła głucho.

- Szefowo, tu Lee.

Wydał się jej beczelnie pogodny. Nawet tak negatywnie nastawiona do świata osoba jak Di Earnshaw miała prawo do odrobiny smutku w sercach najbliższych kolegów.

- Co jest? - spytała Carol szorstko, obróciła się z fotelem i wpatrzyła w widoczne za oknem, omiatane przez wiatr nabrzeże.

- Trafiłem na jej samochód. Za jednym z magazynów, z boczku, pięknie schowany. Szefowo, ona miała taki mały kaseciak. Leżał na siedzeniu pasażera, no to ściągnąłem jednego kołosa z drogówki, żeby pomógł mi się dostać do środka. Wszystko tam jest, nazwisko, godzina, trasa, kierunek jazdy, cel. Więcej niż trzeba, żeby przyskrzynić Brinkleya!

- Dobra robota - powiedziała nijakim tonem.

Lepsze to niż nic, ale nadal za mało, by ukoić poczucie winy. Nie wiedziała, skąd to wie, ale była pewna, że kiedy powie Tony'emu, że nie mylił się co do Brinkleya, wcale go tym nie pocieszy.

- Ściągnij go tu, Lee.

Odwróciła się, żeby odłożyć słuchawkę, i zobaczyła w drzwiach Johna Brandona. Ze zmęczeniem zaczęła się podnosić, lecz Brandon gestem nakazał jej nie wstawać, a potem dopasował swoje długie kończyny do niewygodnego krzesła dla gości.

- Fatalna sprawa - odezwał się.

- Nikt prócz mnie nie ponosi za nic winy - powiedziała Carol. - Na chwilę spuściłam ich z oczu. Zostawiłam moich ludzi samych podczas operacji, którą wszyscy uważali za stratę czasu. Nie traktowali jej poważnie, a teraz Di Earnshaw nie żyje. Powinnam była wisieć im nad głowami.

- Dziwię się, że była w terenie bez wsparcia - stwierdził Brandon; te słowa niosły w sobie dość potępienia nawet bez wyrazu wyrzutu na jego twarzy.

- Nie taki był zamysł - odparła Carol beznamiętnie.

- Ze względu na nas oboje, mam nadzieję, że będziesz mogła to udowodnić.

To nie groźba, uświadomiła sobie Carol, dostrzegając w jego oczach ciepło i żal. Wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w porysowany blat biurka.

- Jakoś nie umiem się tym teraz martwić, sir.

Głos Brandona nabrał surowości.

- Cóż, sugeruję, żeby pani zaczęła, starsza inspektor Jordan. Di Earnshaw odebrano luksus uzalania się nad sobą. Wszystko, co jeszcze możemy dla niej zrobić, to postawić zabójcę przed sądem. Kiedy mam się spodziewać aresztowania?

Dotknięta do żywego Carol gwałtownie podniosła głowę i spopieliła Brandona spojrzeniem.

- Jak tylko posterunkowy Whitbread wróci z dowodami, sir.

- To dobrze. - Brandon wstał. - Jak już lepiej się pani zorientuje, co wydarzyło się ubiegłej nocy, porozmawiamy. - W jego oczach zagościł cień uśmiechu. - Nie ponosisz za to winy. Nie możesz być na posterunku przez okrągłą dobę.

Po jego wyjściu Carol wpatrywała się w otwarte drzwi i zastanawiała się, ile lat zajęło Brandonowi nauczanie się, kiedy sobie odpuścić. Potem, ważąc w myśli wszystko, co o nim wiedziała, zastanawiała się, czy rzeczywiście kiedykolwiek mu się to udało, czy może tylko nauczył się lepiej z tym ukrywać.

Leon rozejrzał się z rozbawieniem.

- Myślałem, że to Newcastle jest ostatnim zakątkiem na ziemi, gdzie docierają kulinarne nowinki?

- Masz coś przeciwko pubom dla wegetarian? - spytała uprzejmie Chris Devine.

Simon bezczelnie suszył zęby.

- Tylko udaje, że lubi surowe mięso. - Ostrożnie spróbował piwa. - Ale browar w porządku. Jak znalazłaś tę knajpę?

- Nie pytaj, to nie będziesz się czuł skrępowany, dziecino. Po prostu zaufaj starszemu stopniem, tym bardziej kobiecie. No, co porabiacie? - spytała Chris. - Oblazłam z jej zdjęciem cały dworzec, ale nic to nie dało. Nikt z bufetu ani z kasy biletowej, ani z księgarni nie pamięta, żeby ją widział.

- Na autobusowym to samo - doniósł Simon. - Figa z makiem. Z tym, że jeden z kierowców spytał, czy to aby nie ta sama dzierlatka, która zaginęła w Sunderland przed paru laty.

Posepnie kontemplowali ironię sytuacji.

- Ja coś wyniuchałem - odezwał się Leon. - Rozmawiałem z jednym ze strażników pociągu i odesłał mnie do kafejki, gdzie wszyscy chodzą na kawę i bułkę z bekonem w porze śniadania. Posiedziałem z chłopakami, błysnąłem paroma zdjęciami. Jeden twierdził, że najprawdopodobniej widział ją w pociągu z Carlisle. Zapamiętał ją, bo dwa razy go pytała, o której pociąg dojeżdża do Five Walls Halt i czy będzie zgodnie z rozkładem jazdy.

- Kiedy to było? - spytała Chris, dla zachęty podając mu papierosa.

- Nie był pewny. Ale przypuszcza, że jakoś przed dwoma tygodniami.

Leon nie musiał im przypominać, że ta data idealnie pasuje do daty zniknięcia Donny Doyle.

- A gdzie jest ten Five Walls Halt? - zainteresował się Simon.

- Gdzieś na samym środku pustkowia po tej stronie Hexham - wyjaśniła Chris. - Niedaleko Muru Hadriana. A przypuszczalnie i

czterech innych. W końcu to „Przystanek Pięciu Murów”. Tylko też nie radzę pytać, skąd to wiem, w porządku?

- No, co takiego jest na samej stacji, że akurat tam wysiadła? Leon spojrzał na Chris, ale tylko wzruszyła ramionami. - Zgaduję tylko, ale obstawiałabym, że to może być gdzieś w pobliżu domu Jacko Vance'a. Do którego, jak nie muszę wam chyba mówić, mamy się nawet nie zbliżać.

- Ale do Five Walls Halt moglibyśmy się kropnąć - zauważył Leon.

- Dopóki nie dopijesz tego piwa, to nie - ponaglił Simon.

- Zostaw piwo - poleciła Chris. - Niemożliwe, żeby nikt oprócz niej nie wysiadł na tamtej stacji. Skoro mamy chodzić od drzwi do drzwi, nie może od nas jechać jak od browaru. - Podniosła się. - Odkryjmy piękno northumberlandzkiej wsi. Zabraliście ze sobą kalosze?

Leon i Simon spojrzeli na siebie z paniką.

- Dzięki, Chris - mruknął Leon sarkastycznie, kiedy wyszli na lekki deszcz.

Alan Brinkley stał pod prysznicem w kaskadzie niemalże wrzątku. Strażacy, którzy walczyli z szalejącym pożarem, zeszli ze służby, a zastąpiła ich mniej liczna ekipa, która dogaszała ogniska pożaru i świeżym okiem rozglądała się za czymkolwiek znaczącym pośród zgliszczy. Teraz, gdy znaleziono zwłoki, władze nie zamierzały ryzykować.

Na myśl o tym, co zrobił, dreszcz wstrząsnął całym ciałem Brinkleya. Pomimo parującego gorąca bezwiednie zaszczekał zębami. Nie będzie myślał o tych zwłokach. Jakby nigdy nic, musi zachowywać się jakby nigdy nic. Czyli właściwie jak? Jak się zwykle zachowywał po pożarze z ofiarami śmiertelnymi? Co mówił Maureen? Ile piw wypijał wieczorem? Co koledzy wyczytywali z jego twarzy?

Oparł się o parujące kafle kabiny natryskowej i pozwolił, by łzy popłynęły mu z oczu. Bogu dzięki za nową siedzibę straży z oddzielnymi kabinami, nie to co stare zbiorcze natryski, jakie pamiętał z czasów, gdy uczył się zawodu. Tu, pod prysznicem, nikt nie mógł podpatrzeć, jak szłocha.

Nie mógł pozbyć się zapachu, który nadal wypełniał jego nozdrza. Wiedział, że to tylko wyobraźnia; chemikalia w fabryce farb zagłuszyłyby woń zwęglonej tkanki. Niemniej wydawał mu się jak najbardziej realny. Nawet nie znał jej imienia, ale wiedział, jak teraz cuchnie.

Otworzył usta w niemym krzyku i bezgłośnie walił pięściami w ścianę. Za jego plecami kurtyna z grzechotem przesunęła się na metalowych kółkach. Odwrócił się powoli i wcisnął w róg kabiny. Widział już tych dwoje na miejscach pożarów. Mężczyzna milczał, usta kobiety poruszały się, słyszał jej głos, ale nie rozumiał, co do niego mówi.

Nieważne. Nagle pojął, że tylko to przyniesie mu ulgę. Osunął się wzdłuż ściany i skulił w pozycji płodowej. Niespodzianie odzyskał głos i rozszlochał się jak upośledzone dziecko.

Chris Devine znajdowała się zaledwie parę kilometrów od Newcastle, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy.

- To ja, Tony. Powody do radości?

Wprowadziła go w częściowe poranne sukcesy, on z kolei opowiedział jej, że nie udało mu się przekonać Whartona i McCormicka.

- To jakiś koszmar - poskarżył się. - Nie stać nas na to, żeby czekać w nieskończoność. Jeżeli Donna Doyle jeszcze żyje, każda godzina się liczy. Chris, myślę, że jedyne, co mi pozostało, to skonfrontować z nim dowody i trzymać kciuki, żeby wpadł w panikę i do wszystkiego się przyznał albo zrobił coś, co go pograży.

- Identyczny pomysł zabił Shaz - przypomniała Chris. Wypowiedzenie jej imienia na powrót przywołało cały ból; odczuła go fizycznie jak uderzenie. Gdyby zdołała zapomnieć o jasnej obecności Shaz w swoim życiu, i o ciemności, jaka zapanowała po jej odejściu, powinna przebrnąć przez to wszystko, nie najgorzej podszywając się pod normalną, pogodną Chris Devine. Ale za każdym razem, gdy padało imię Shaz, dosłownie uchodziło z niej powietrze. Podejrzewała, że nie jest jedyną osobą, która boryka się z taką reakcją; to tłumaczyłoby, dlaczego tak rzadko mówiono o Shaz, wymieniając jej imię.

- Nie planowałem porywać się z motyką na słońce. Potrzebuję wsparcia.

- Może Carol? Przeciągająca się cisza.

- Carol straciła podwładną tej nocy.

- O, cholera. Ten podpalacz?

- Ten podpalacz. A ona rwie włosy z głowy, bo uważa, że angażując się u nas, zaniedbała swoje obowiązki. Tak się akurat składa, że nie ma racji, ale wciąż siedzi na swoim posterunku w Seaford.

- Z tego, co mówisz, tkwi teraz po uszy w takim gównie, w jakim nikt jeszcze nie siedział. Taa, zapomnij o Carol.

- Będę potrzebował cię na miejscu, Chris. Dasz radę się urwać i wrócić do Londynu? Teraz?

Nie wahała się ani chwili. Kiedy szło o schwytanie człowieka, który zmasakrował piękną twarz Shaz Bowman, zanim odebrał jej duszę, niewiele było rzeczy, na jakie Chris by się nie zgodziła.

- Nie ma sprawy. Dam znać chłopakom.

- Możesz im przekazać, że Kay także jest już w drodze. Czekala na mnie, kiedy wróciłem z kwatery głównej w Leeds dziś rano. Zadzwońię do niej i poproszę, żeby kierowała się na Five Walls Halt. Niech się tam spotka z Simonem i Leonem.

- Chwała Bogu, że znajdzie się tam przynajmniej jedna osoba z odrobiną zdrowego rozsądku - oświadczyła Chris ironicznie. - Popilnuje, żeby panowie pistolety nie palnęli jakiejś głupoty.

- Złapali wiaterek w skrzydełka, co?

- Najchętniej dokopaliby Jacko Vance'owi. Z braku laku poprzestaliby na otworzeniu z kopa jego frontowych drzwi.

Zauważyła zatoczkę przy dwupasmowej drodze szybkiego ruchu i zasygnalizowała, że zamierza na nią zjechać, sprawdzając w lusterku, czy Simon i Leon nadążają za nią.

- Chciałem zaklepać tę przyjemność dla siebie. Chris zaniósł się sardonicznym śmiechem.

- Ustaw się w kolejce, dziecińo. Zadzwońię do ciebie, jak dojadę do M25.

Policjanci w kantine powitali Carol i Lee Whitbreada spontanicznymi oklaskami. Carol podziękowała roztargnionym skinieniem, Lee spisał się lepiej, bo zdobył się na blady uśmiech. Dwie kawy, dwa pączki, na jej koszt, i już ich nie było. Wracali do pokoju wydziału dochodzeń. Minie co najmniej godzina, zanim adwokat Brinkleya dotrze na miejsce, a do tej pory jego klient był nietykalny.

W połowie schodów odwróciła się i zastąpiła Lee drogę.

- Gdzie był?

Lee miał niepewną minę.

- Nie wiem - wymamrotał. - Zapewne gdzieś, gdzie nie ma zasięgu.

- Gówno prawda - zirytowała się Carol. - No, wal, Lee. Nie pora na fałszywie pojmowaną lojalność. Di Earnshaw pewnie żyłaby dziś, gdyby Taylor ją ubezpieczał tak, jak powinien był to zrobić. Mogło

paść na ciebie. Następnym razem to możesz być ty. Pytam się ciebie: gdzie był? Urwał się?

Lee podrapał się po brwi.

- Jak na niego trafiałem, robił swoje jakoś tak do północy. Potem zgłaszał się i mówił, że idzie na browar do Corcorana.

- Jeśli taki sam numer odstawił Di, czemu nie wezwała wsparcia przez radio? - dopytywała się Carol.

Lee wiercił się, usta mu się wykrzywiły.

- Di by nie powiedział. Facetowi to co innego, nie? Carol na chwilę zamknęła oczy.

- Mówisz mi, że straciłam jednego z moich ludzi przez tradycyjny męski szowinizm? - spytała z niedowierzaniem.

Lee opuścił wzrok i studiował stopień pod swoimi nogami.

- Żadne z nas nie myślało, że przyjdzie co do czego.

Carol okręciła się na pięcie i pomaszerowała na górę; Lee poczłapał za nią. Tym razem, gdy popchnęła ramieniem drzwi, Tommy Taylor skoczył na równe nogi.

- Szefowo... - zaczął.

- Dla ciebie starsza inspektor. Mój gabinet. Natychmiast. - Puściła go przodem. - Wiesz co, Taylor? Wstydzę się, że pracuję w tej samej jednostce co ty.

Reszta śledczych w pomieszczeniu nagle odkryła w sobie fascynację rutynowymi zajęciami.

Carol kopniakiem zatrzaskała za sobą drzwi.

- Nie siadaj, szkoda fatygi - wycedziła, przechodząc za biurko, i opadła w fotel; podczas rozmowy nie potrzebowała się podporać takimi sztuczkami jak stanie, podczas gdy młodszy oficer siedział. - Posterunkowa Earnshaw leży w kostnicy, spopielona, ponieważ ty poszedłeś się nachlać w godzinach pracy.

- Ja nigdy... - wyjąkał.

Carol kontynuowała podniesionym głosem:

- Jak przyjdzie do oficjalnego dochodzenia, będziesz mógł wciskać kit o braku zasięgu, ile wlezie. Do tego czasu będę dysponowała oświadczeniem każdego pijaczka z Corcorana. Dopilnuję, żeby to był twój pogrzeb, Taylor. Dopóki nie zostaniesz oficjalnie wywalony z tej jednostki, jesteś zawieszony. A teraz wynoś się z mojej sali sztabowej i trzymaj się z dala od moich ludzi.

- Nigdy nie myślałem, że coś jej grozi - powiedział żałośnie.

- Pensje dostajemy za to, że zawsze ryzykujemy - odparła Carol.

- A teraz precz z moich oczu i módl się, żeby cię nie przywrócono do służby, bo w całym zachodnim Yorkshire nie znajdziesz gliniarza, który naszczałby na ciebie, gdybyś się palił.

Taylor wycofał się rakiem i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

- Teraz ci lepiej? - spytała Carol półgłosem. - A sama mówiłaś, że nie umiesz podejmować decyzji.

Ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że dochodzenie raczej nie wskaże jej jako winnej. Nie zmieniało to jednak poczucia, że ma na rękach krew Di Earnshaw w nie mniejszym stopniu niż Tommy

Taylor. A po oficjalnej identyfikacji zwłok ona będzie musiała przekazać wiadomość jej rodzicom.

Dobre i to, że nie będzie się już musiała martwić Jacko Vance'em i Donna Doyle. To, chwała Bogu, przestało już być jej problemem.

Gdy Chris Devine mówiła o wyważaniu drzwi kopniakiem, Simon i Leon wyobrażali sobie schludną małą wioskę z dwiema czy trzema uliczkami. Żaden z nich nie wziął poprawki na to, jak duży obszar może być obsługiwany przez małą stacyjkę w pół drogi między Carlisle a Hexham. Oprócz rozproszonych budynków, które składały się na samo Five Walls Halt, były i farmy, gospodarstwa, które rozciągały się na niewiarygodnym dystansie w dalekich wąskich dolinach. Koniec końców obaj wylądowali w biurze informacji turystycznej i kupili mapy wydane przez Urząd Kartograficzny.

Po przybyciu Kay podzielili rejon między sobą i uzgodnili, że ponownie spotkają się na stacji przed wieczorem. Było to niewdzięczne zadanie, takie jednak, w jakich Kay sprawdzała się lepiej niż ktokolwiek. Ludzie zawsze chętniej rozmawiali na swoim progu z kobietą niż z mężczyzną. Późnym popołudniem wiedziała już o dwóch sytuacjach, kiedy ktoś mógł widzieć Donnę Doyle. Obaj świadkowie twierdzili, że jechała pociągiem, którym regularnie podróżowali do domu, ale żaden nie potrafił podać konkretnej daty.

Zlokalizowała także kryjówkę Jacko Vance'a. Jeden z domów, do których zapukała, należał do dekarza, który zaledwie pięć lat wcześniej naprawiał czarny, kryty dachówką dach niegdysiejszej

kaplicy. Temat poruszyła w określony sposób, podpytywała o Vance'a tak, jakby interesowały ją zwykłe plotki, więc nawet nie nabrał podejrzeń. Wieczorem w pubie wspomni najwyżej, że policjantki są takie same jak inne baby: polecą na każdego ze sławnym nazwiskiem, miłym uśmiechem i kupą pieniędzy na koncie.

Vance kupił dom dwanaście lat temu, mniej więcej pół roku po wypadku. Wtedy były to właściwie cztery ściany i dach, więc musiał wyłożyć niezłą kasę, żeby go podremontować. Po jego ślubie z Micky miejscowi byli przekonani, że oboje będą do niego przyjeżdżać na weekendy, ale Vance widział w nim raczej cichą przystań; dogodną bazę lokalową, gdy pracował w szpitalu w Newcastle. Nikt nie wiedział, dlaczego wybrał właśnie tę okolicę. Nie był stąd ani nikogo tu nie znał.

Wieści podekscytowały Leona i Simona. Sami niespecjalnie mieli się czym pochwalić, nie licząc paru wątpliwych świadków. Jeden niby widział Donnę na parkingu samochodowym, jak wsiadała do jakiego auta. Nie potrafił jednak określić dnia, godziny ani marki pojazdu.

- To nie przypadek, że „oświadczenie” rymuje się z „bredzenie”
- mruknął Leon. - Ten szajs donikąd nas nie zaprowadzi. Jedźmy do chaty Vance'a.

- Tony mówił, żeby się trzymać z daleka - sprzeciwił się Simon.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - poparła go Kay.

- A co to szkodzi? Słuchajcie, jeśli podjechał tu po tę małą i zabrał ją do swojej kryjówki, są szanse, że widział ją ktoś z sąsiadów. Nie możemy ot, tak wrócić do Leeds, najpierw to sprawdzmy.

- Powinniśmy najpierw zadzwonić do Tony'ego - upierał się Simon.

Leon uniósł oczy ku niebu.

- Okay - westchnął.

Ostentacyjnie wyjął komórkę i wystukał numer. Nikomu z pozostałej dwójki nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy to numer Tony'ego. Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu Leon rzucił tryumfalnie:

- Nie odbiera, racja. No, to nie zaszkodzi, jak pójdziemy i sprawdzimy, nie? Cholera, możliwe, że ta mała jeszcze żyje, a my tu gadamy o siedzeniu na czterech literach do Gwiazdki. Ej, no, musimy coś zrobić.

Kay i Simon wymienili spojrzenia. Żadne z nich nie chciało złamać wyraźnych poleceń Tony'ego.

- Niech będzie - poddała się Kay. - Ale tylko się rozejrzemy. Jasne? - Jasne - przytaknął Leon entuzjastycznie.

- Mam taką nadzieję - oznajmił Simon ze znużeniem. - Naprawdę mam taką nadzieję.

Chris Devine sączyła podwójne espresso i mocno zaciągała się kolejnym papierosem; usiłowała w ten sposób odegnać zmęczenie. W

porze podwieczorku, w niedzielę, w jadalni Shepherd's Bush panowało mniejsze ożywienie niż w zakładzie pogrzebowym.

- Powtórz mi to jeszcze raz - rozkazała Tony'emu.

- Idę do jego domu. Według grafiku, jaki przekazał nam twój informator, Vance ma prowadzić konferansjerkę na charytatywnym pokazie mody w Kensington, więc w Northumberland go nie będzie.

- Pewny jesteś, że nie powinniśmy najpierw kropnąć się do jego domu? - wpadła mu w słowo Chris. - Jeśli Donna Doyle żyje...

- Może być gdzie indziej. Jak zaczniemy tam węszyć, miejscowi najpewniej nas przyuwają. Najpewniej od razu zatelefonowałyby do Vance'a. A wtedy będziemy kompletnie spaleni. W tej chwili on nie ma pewności, czy ktokolwiek siedzi mu na karku. Wie tylko, że ja notorycznie wtykałem i wtykam nos w nie swoje sprawy, ale nic więcej. To nasza jedyna przewaga. Musimy od razu przejść do bezpośredniej konfrontacji.

- A jeśli jest tam jego żona? Nie będzie ryzykował, że ona usłyszy, co mamy do powiedzenia o nim i o Shaz.

- Jeżeli są tam Micky i Betsy, to się piekielnie postara usunąć mnie z drogi, zanim będę miał okazję pisnąć im choćby jedno słowo. Ale lepiej, żeby były na miejscu, bo wtedy mam większe szanse wyjść w jednym kawałku.

- Pewnie tak. No to lepiej powtórzmy wszystko jeszcze raz - mruknęła, wydmuchując kłęb dymu.

- Mówię Jacko, że pracuję bez porozumienia z policją i że odkryłem ważne dowody, nagrania na kasetach wideo, mające

związek ze śmiercią Shaz Bowman, przy których, moim zdaniem, mógłby nam pomóc. Wpuści mnie, bo będę sam, i uzna, że można mnie sprzątnąć w taki sam sposób, w jaki pozbył się Shaz, gdyby wyszło na to, że naprawdę jestem wolnym strzelcem. Ja mu pokazuję nagrania i fotografie po obróbce, aż nagle go oskarżam. Ty siedzisz na zewnątrz w samochodzie z krótkofalówką i magnetofonem, na którym nagrywasz wszystko, co dociera z mikrofonu w tym zmyślnym małym długopisie, który kupiłem na Tottenham Court Road, jadąc tutaj.

Tony pokiwał długopisem przed samym nosem Chris.

- Chyba nie myślisz serio, że pęknie i wszystko wyśpiewa? Tony pokręcił głową.

- Myślę, że o ile jest sam, spróbuje mnie zabić. I dokładnie w tym momencie ty przybywasz z odsieczą jak jednoosobowy oddział kawalerii. - Słowa były żartobliwe, ale ton ponury.

Spoglądali na siebie, zasępieni.

- No, to do dzieła - oznajmiła Chris. - Przyszpilmy zasrańca do ściany.

Mniej niż dziesięć minut zajęło im dokonanie odkrycia, że niemożliwością jest obserwowanie posiadłości Jacko Vance'a w taki sposób, by nie rzucić się w oczy mniej niż wilk na tle stada owiec.

- Ja pieprzę - mruknął Leon.

- Nie sądzę, żeby wybrał taką okolicę przypadkowo - stwierdził Simon, rozglądając się po posepnym stoku.

Wokół zwirowego kręgu przez wejściem do wysokiego, strzelistego budynku pasły się setki owiec, których bliżej nie dopuszczało druciane ogrodzenie. Pomimo gęstniejącej szarówki było oczywiste, że jak okiem sięgnąć nie ma wokół ani istoty ludzkiej, ani ludzkiej siedziby.

- Zabawne - zamyśliła się Kay. - Normalnie gwiazdorzy lubią mieć trochę prywatności. Bramy, mury, wysokie żywopłoty. Ale to miejsce widać chyba z wielu, wielu kilometrów, jeśli iść przez wrzosowiska.

- To działa w dwie strony - wyjaśnił Leon. - Widać ciebie, ale i ty widzisz z wyprzedzeniem, czy ktoś się do ciebie zbliża. Spójrzcie na tę drogę. Jakby jacyś Piktowie przyszli szukać guza, zobaczyłabyś ich na horyzoncie.

- Lubi taką prywatność, która nie pozwala nikomu go szpiegować - dodał Simon. - Na mój gust znaczy to tyle, że ma do ukrycia coś znacznie gorszego od tego, że jakiejś gwiazdce zdarza się ssać mu palce u stóp.

- A na mój, że powinniśmy sprawdzić, co to takiego - podchwycił Leon.

Przez dłuższy czas tylko na siebie patrzyli. Kay pokręciła głową, Simon oświadczył:

- Nie ma mowy, nie piszę się na otwieranie z kopa drzwi Vance'a.

- Kto mówi o otwieraniu z kopa? - obruszył się Leon. - Kay, ty rozmawiałaś z faciem, który naprawiał u niego dach. Przebąkiwał coś

o innych miejscowych, którzy u niego pracują? Ogrodnik, sprzątaczką, kucharz? Ktokolwiek w tym stylu?

- O tak, akurat wpuści sprzątaczkę na posesję, w której magazynuje ofiary morderstw - stwierdził Simon z przekąsem.

- Facet uwielbia blefować - przekonywał Leon. - Uwielbia wciskać ciemnotę głupim, starym glinom. Nic nie urzekłoby go bardziej od jakiejś poczciwej starowinki, polerującej sekretne drzwi, za którymi on więzi jakiegoś dzieciaka. Co mówił ten gość, Kay?

- Nic nie mówił - ucięła. - Ale jeśli ktokolwiek ma coś wiedzieć, to pewnie najbliższy sąsiad.

- No, komu najlepiej wychodzi tutejszy akcent? - spytał Leon, wskazując Simona. - Kto gada jak chłopak z Geordielandu?

- To nie jest dobry pomysł - bronił się Simon.

Dziesięć minut później stukał do drzwi pierwszej siedziby, na jaką się natknęli: dużej, kanciastej farmerskiej chaty, zwróconej frontem do wrzosowisk, w kierunku Muru Hadriana znajdującego się kilometr z kawałkiem dalej. Przeształ z nogi na nogę.

- Uspokój się - upomniała go Kay. - Tylko błysnij legitymacją. Nie będą nad nią ślęczyć.

- Przekreślmy sobie przez to widoki na karierę - wymamrotał Simon przez zaciśnięte zęby.

- Wolę ponieść to ryzyko niż pozwolić zabójcy Shaz odejść wolno. Grymas Kay przerodził się w promienny uśmiech, za ledwie drzwi uchylły się i stanął w nich niski ciemnowłosy człowiek,

groźnie marszczący czoło. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak jego piktyjscy przodkowie uprzykrzali życie Rzymianom.

- Ano? O co się rozchodzi?

Mignęli legitymacjami i złożyli je równocześnie. Mężczyzna przez chwilę wydawał się skonsternowany, potem znowu gniewnie ściągnął brwi.

- Posterunkowy McNeill z policji Northumbrii - wytrajkotał Simon. - Było zgłoszenie o intruzach na posesji pana Vance'a, kawalek stąd tą drogą. Nie możemy dostać się do środka i pomyśleliśmy, że może pan wie, kto przechowuje klucze?

- To łon wam nie pedzioł, ten tamoj? - spytał z akcentem, który Kay wydal się prawie niezrozumiały.

- A gdzie tam - odparł Simon, podpierając się dialektem Newcastle. - Złapać go nie idzie, bo to i niedziela, i w ogóle.

- Szukajta Doreen Elliot. Trza się cofnąć wzdłuż drogi, potem pirsza po lewo, jej dom stoi na dole. Jego obejścia pilnuje.

Drzwi zaczęły się domykać.

- Dzięki - powiedział Simon słabo.

- Ano - mruknał mężczyzna i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Po półgodzinie mieli już klucze. Niestety, w aucie Kay mieli również panią Doreen Elliott - Elliott po mężu - na miejscu dla pasażera, która poprzysięgła sobie zadbać, by cenna posiadłość Jacko nie doznała uszczerbku podczas wizyty policji. Kay pozostawało tylko mieć nadzieję, przez wzgląd na starszą panią, że nie znajdą tego, co jak się

obawiała, czekało za ciężkimi, drewnianymi drzwiami domu Jacko Vance'a.

Brama otworzyła się, zaledwie rzucił swoje nazwisko. Tony szedł po podjeździe, z każdym krokiem coraz bardziej wcielając się w personę, którą wybrał na to spotkanie. Chciał się wydać Jacko niepewny i niespecjalnie bystry. Panowałby nad sytuacją dzięki temu, że wydawałby się słabszy od swojego oponenta. Była to ryzykowna strategia, ale nie wątpił, że sobie poradzi.

Vance otworzył cały w uśmiechach; witając go, zwracał się do niego po imieniu. Tony mógł jedynie pozwolić, by gospodarz wciągnął go do środka, i ułożyć twarz w wyraz zmieszania.

- Strasznie mi przykro, ale Micky właśnie wyszła - zmartwił się Vance. - Ma spędzić weekend u jakichś przyjaciół na wsi. Ale nie chciałem stracić okazji, żeby spotkać się z tobą twarzą w twarz - mówił, wprowadzając Tony'ego w głąb domu. - Oczywiście, widziałem cię jakiś czas temu w programie mojej żony, ale zauważyłem, że ostatnio bywasz też na wszystkich moich imprezach. Szkoda, że nie podszedłeś i nie przedstawiłeś się, bo moglibyśmy wcześniej pogawędzić, oszczędzić ci drogi do Londynu.

Uroczy, wygadany, słowa same się z niego lały, spokojne, pojednawcze.

- Prawdę powiedziawszy, nie przychodzę do Micky. Chciałem z panem porozmawiać o Shaz Bowman - wyjaśnił Tony, starając się, by zabrzmiało to kostycznie i niezręcznie.

Przelotny wyraz zdziwienia. Potem Vance stwierdził:

- Ach, tak, ta zamordowana śledcza, co za tragedia... Racja. Tak, mi coś chodziło po głowie, że chcesz o czymś zupełnie innym... Czyli oficjalnie współpracujesz z policją nad tą sprawą?

- Jak pan zapewne pamięta z wywiadu, jaki przeprowadziła ze mną pańska żona, odpowiadałem za jednostkę, do której Shaz została czasowo wcielona. Zatem, naturalnie, odegrałem pewną rolę w śledztwie - odparł Tony; oficjalny ton przekona Vance'a, że gość czuje się skrepowany.

Brwi Vance'a uniosły się, lśniące niebieskie oczy miały przekorny wyraz, tak jak zawsze, ilekroć patrzyły z ekranu telewizora.

- A ja słyszałem, że podczas śledztwa doszło do zamiany ról - stwierdził uprzejmie. - Że odpowiadałeś na pytania zamiast je zadawać.

Tony nie był zdziwiony, że Vance wie o wewnętrznych sprawach policji; przed konfrontacją napomknął Chris, że się tego spodziewa.

- Winszuję informatorów. - Starał się zaprawić głos niechęcią. - Jednakże mogę pana zapewnić, że choć pracuję niezależnie od policji, dowody, jakie odkryłem, trafią w jej ręce w stosownym czasie.

W domyśle: działał solo.

- A co to wszystko ma wspólnego ze mną? - rzucił Vance, w swobodnej pozie opierając się o słupek schodów prowadzących na piętro.

- Dysponuję nagraniami wideo, które chciałbym panu pokazać, może rzuci pan światło na tę sprawę - wyjaśnił Tony i dumnie poklepał kieszeń kurtki.

Po raz pierwszy od chwili, gdy się witali, Vance wydawał się nieco zbity z tropu. Jego twarz rozjaśniła się błyskawicznie, na usta wrócił uśmiech złotego chłopca.

- W takim razie proponuję, żebyśmy udali się na górę. Na piętrze mam pokój, którego używam do projekcji w kameralnym, doborowym gronie.

Odsunął się i z wdziękiem, zdrową ręką, skinął, by Tony ruszył pierwszy.

Tony wszedł po schodach. Powtarzał sobie, że to wszystko jedno, w którym pomieszczeniu przebywają; Chris nadal go słyszała i gdyby zrobiło się niebezpiecznie, będzie miała dość czasu, by przybyć na ratunek. Miejmy nadzieję.

Zatrzymał się na półpiętrze, lecz Vance milcząco zachęcił gościa, by ten szedł dalej.

- Pierwsze drzwi po prawej - wyjaśnił, gdy znaleźli się na górze, w zadziwiająco jasnej przestrzeni; światło wpadało przez świetlik w kształcie piramidy.

Pokój, w którym Tony się znalazł, był długi i wąski. Ścianę w głębi zajmował ekran wideo. Po lewej, przyśrubowany do podłogi, znajdował się wysoki barek; stały na nim magnetowid i projektor. Za barkiem były półki, którymi obudowano biurko montażowe, a na nich mnóstwo kaset wideo i rolek z filmami. Kilka skórzanych foteli, które

pomimo drewnianych stelaży wyglądały na wygodne, dopełniało umeblowania.

Okno powinno napełnić Tony'ego niepokojem. Mimo że szyby były przezroczyste, pokrywała je warstwa jakiejś substancji.

Gdyby otoczeniu poświęcił tyle samo uwagi, co mieszkańcom tego domu, zauważyłby środek ostrożności, stosowany niegdyś w budynkach rządowych. Specjalna warstwa na szybach czyniła je nieprzenikalnymi dla sygnału radiowego, przeciwdziałając elektronicznemu podsłuchowi. W połączeniu z wytłumieniem ścian dawała ona pewność, że pomieszczenie jest praktycznie odcięte od świata. Mógł krzyknąć do woli. Chris Devine i tak by go nie usłyszała.

Chris wpatrywała się w rezydencję Holland Park i zastanawiała się, co, do cholery, zrobić. Głosy Tony'ego i Vance'a rozbrzmiewały głośno i wyraźnie, a raptem zapadła cisza. Ostatnim, co słyszała, była uwaga Vance'a: „Pierwsze drzwi po prawej”. Nie wiedziała nawet, gdzie się dokładnie teraz znajdują.

Z początku pomyślała, że to awaria sprzętu - odłączył się jakiś przewód, wyczerpała bateria. Straszne sekundy mijały jak z bicza strzelił, gdy Chris sprawdzała wszystko, co tylko dało się sprawdzić. Kółka w kasecie nadal się obracały, lecz odbiornik milczał jak zaklęty. Ścisnęła ręką czoło i rozważała, co mogło się dzieć za murami rezydencji. Nie słyszała niczego, co wskazywałoby na szamotaninę albo na to, że Vance dostrzegł nadajnik. Niewykluczone, że Tony sam go wyłączył. Mógł, na przykład, znaleźć się w otoczeniu, w którym zdradziłoby go włączone urządzenie elektroniczne. Vance

mówił o specjalnej salce projekcyjnej; w takim pomieszczeniu może się znajdować czuły sprzęt elektroniczny.

Nie potrafiła podjąć decyzji i nienawidziła się za to. Wszystko mogło Tony'ego spotkać. Był w jednym domu z zabójcą, człowiekiem, który - jak się spodziewał - spróbuje go zamordować.

Mogłaby zadzwonić na jego komórkę. Wcześniej uzgodnili, że nie powinna dzwonić, chyba że byłaby to ostatnia deska ratunku. No, wobec ciszy radiowej nie pozostawało jej nic innego do zrobienia. Nacisnęła klawisz pamięci, który wywoływał jego numer, potem klawisz „łącz”. Przez parę chwil nic, potem trzy znajome tony, po nich irytująco spokojny kobiecy głos oświadczył monotonię:

- Przepraszamy. Wybrany numer w sieci Vodaphone się nie zgłasza. Prosimy spróbować później.

- Cholera, cholera, cholera - syknęła Chris.

Nie było na to rady. Może spali akcję Tony'ego, ale nie powinna ryzykować, że jej niezdecydowanie będzie kosztowało Tony'ego życie. Chris wyskoczyła z auta i pobiegła drogą w stronę rezydencji Vance'a.

Niepomny niebezpieczeństwa, w jakie się wpakował, Tony zwrócił się twarzą ku Vance'owi.

- Zmyślne - stwierdził.

- Najlepszy sprzęt, jaki można kupić - pochwalił się Vance. - No, to co chciałeś mi pokazać?

Tony podał mu kasetę i patrzył, jak Vance wkłada ją do magnetowidu. Zauważył, że tu, w domu, kalectwo Vance'a wydawało

się niemal niezauważalne. Ławie przysięgłych trudno będzie uwierzyć, że mógłby być tak niezdarny jak wówczas, gdy tankował auto Shaz. Tony zrobił w pamięci notatkę, żeby zaproponować przeprowadzenie rekonstrukcji tego zdarzenia na użytek sądu.

- Proszę spocząć - zachęcił Vance.

Tony wybrał fotel, z którego widział Vance'a kątem oka. Gdy włączyło się odtwarzanie, Vance sięgnął po pilota i przygasił światła, Tony zaś szykował się do następnego etapu konfrontacji. Pierwsza sekwencja, nieobrobiona komputerowo, ukazywała zamaskowanego Vance'a na stacji benzynowej. Po zaledwie trzydziestu sekundach Vance wydał niski, gardłowy dźwięk, prawie warknięcie. Z czasem dźwięk stawał się coraz głośniejszy i wyższy. Tony uświadomił sobie, że Vance się śmieje.

- To mam być ja? - wykrztusił między napadami wesołości i zwrócił roześmianą twarz ku Tony'emu.

- To jesteś ty. Obaj to wiemy. A niebawem dowie się o tym świat.

Tony liczył na uderzenie we właściwą nutę, gdzieś między brawurą a strachem. Dopóki Vance miał pewność, że nad wszystkim panuje, istniała szansa, że popełni błąd.

Oczy Vance'a śmignęły ku ekranowi. W zwolnionym tempie leciało teraz nagranie po komputerowym retuszu. Każdy, kto wiedział, kogo się spodziewać, nie przeoczyłby podobieństwa człowieka na ekranie i tego, który siedział z pilotem w ręku.

- Jejku, jej - rzucił sardonicznie. - Myślisz, że ktokolwiek zbuduje sprawę na czymś, co zostało w oczywisty sposób podrasowane?

- To nie koniec - odparł uprzejmie Tony. - Oglądaj dalej. Mnie się podoba nagranie, na którym wracasz do Leeds, żeby dokończyć robotę.

Vance zatrzymał kasetę. Wyjął ją z magnetowidu i rzucił Tony'emu; z niebywałą wprawą posługiwał się jedną ręką.

- Ja się tak nie poruszam - oznajmił pogardliwie. - Wstydzilibym się za siebie, gdybym tak kiepsko przystosował się do swojego kalectwa.

- To był cudzy samochód, dziwna sytuacja.

- Będziesz się musiał bardziej postarać.

Tony rzucił mu kopię swojego raportu. Vance złapał ją lewą ręką, z wyćwiczonym refleksem, i otworzył raport na pierwszej stronie. Zerknął i na ułamek sekundy napięła mu się skóra wokół ust i przy oczach. Tony wyczuwał, że tylko ogromnym wysiłkiem woli Vance powstrzymuje się od wybuchu.

- Wszystko tu jest - oświadczył Tony. - Twoje ofiary. Twoje zdjęcia z nimi. Ich zadziwiające podobieństwo do Jillie. Okaleczona Barbara Fenwick. I wszystko wskazuje na ciebie.

Vance uniósł przystojną twarz i z politowaniem pokręcił głową.

- Płonna nadzieja - wycedził. - To poszlaki, śmieci. Kupa wyretuszowanych zdjęć. Czy ty masz pojęcie, ilu ludzi robi sobie ze mną zdjęcia w ciągu roku? Jedną zadziwiającą rzeczą z punktu

widzenia statystyki jest to, że tak niewielu z nich pada ofiarą morderstwa. Traci pan czas, doktorze Hill. Tak samo jak wcześniej Shaz Bowman.

- Nie wykręcisz się z tego gadaniem, Vance - zachnął się Tony. - To wykracza poza zbieg okoliczności. Nie ma w tym kraju takiej ławy przysięgłych, którą byś nabrał.

- Nie ma w tym kraju takiej ławy przysięgłych, w której nie znalazłoby się pół tuzina moich fanów. Jak się im powie, że robicie z tego polowanie na czarownice, uwierzą. Jeszcze jedno słowo, a nie tylko naślę na ciebie moich prawników, ale i pójdę z tym do prasy, opowiem o żalonym, małym człowieczku, który pracuje dla Home Office, i ma obsesję na punkcie mojej żony. Ma urojenia, oczywiście, jak wszyscy żalśni, mali ludzie, którzy zakochują się w twarzy z telewizora. Ubrdał sobie, że tylko dlatego, że była z nim na kolacji, wpadłaby mu w ramiona, gdybym tylko ja zniknął z tego obrazka. Więc próbuje mnie wrobić w serię fikcyjnych zabójstw. Zobaczymy, kto w końcu wyjdzie na głupca, doktorze Hill.

Vance przytrzymał teczkę prawym przedramieniem i przedarł ją.

- Zabiłeś Shaz Bowman - wypalił Tony. - Zamordowałeś mnóstwo innych dziewczyn, ale zabiłeś Shaz Bowman i pójdziesz siedzieć. Drzyj mój raport, jak długo chcesz, ale i tak cię dopadniemy.

- Nie sądzę. Gdyby w tej teczce było cokolwiek, co przypominałoby dowody, byłby tu zespół starszych oficerów. To mrzonka, doktorze Hill. Powinien się pan leczyć.

Zanim Tony zdążył odpowiedzieć, na ścianie przy drzwiach zabłyśło zielone światelko. Vance podszedł do nich zamasyście i chwycił słuchawkę.

- Kto tam? - Chwilę słuchał. - Nie ma potrzeby, żeby pani wchodziła, pani śledcza. Doktor Hill właśnie wychodzi. - Odłożył słuchawkę i posłał Tony'emu badawcze spojrzenie. - A więc, doktorze Hill? Wychodzi pan? Czy mam wezwać policjantów, którzy do tematu posterunkowej Bowman podejdują w sposób bardziej racjonalny niż sierżant Devine?

Tony wstał.

- Nie odpuszczę ci - ostrzegł. Vance parsknął śmiechem.

- A moi przyjaciele z Home Office zarzekali się, że ma pan przed sobą taką obiecującą karierę. Niech pan skorzysta z mojej rady, doktorze Hill. Niech pan wyjedzie na urlop. Zapomni o Bowman. Zacznie żyć własnym życiem. Najwyraźniej się pan przepracował.

Jednak oczy mu się nie śmiały. Przy całym doświadczeniu w maskowaniu się przed światem nawet Jacko Vance nie potrafił ukryć niepokoju, jaki czaił się pod serdecznym wyrazem jego twarzy.

Tony zwalczył pokusę, by okazać rozweselenie, jakie go ogarnęło, i poczłapał po schodach jak człowiek, który poniósł klęskę. Osiągnął niemal dokładnie to, co sobie zaplanował. Nie do końca był to cel, jaki zdradził Chris Devine, ponieważ nie miał pewności, czy zdoła dopiąć swego. Bardzo zadowolony z siebie Tony przemierzył hol i wyszedł frontowymi drzwiami.

Kaplicę zbudowano dla małej, lecz żarliwej kongregacji. Była prosta, ale autentycznie piękna w swoich proporcjach, pomyślała Kay, gdy stała w progu. Przebudowę na powierzchnię mieszkalną przeprowadzono ze smakiem, zachowując wrażenie przestrzenności. Vance wybrał meble o prostych, ascetycznych liniach, całą dekorację stanowiły żywe w kolorach dywaniki rozrzucone po kamiennej posadzce. Jedno pomieszczenie z otwartą kuchnią, niewielkim aneksem jadalnym oraz otwartym salonem z parą sof wokół dużego, niskiego stołu z łupku. W głębi antresola, pełniąca funkcję sypialni. Pod nią zaś coś, co wyglądało jak ława rzemieślnicza z osprzętem. Kay poczuła, że z emocji ściska ją w żołądku. Patrzyła, jak Simon i Leon rozglądają się po pomieszczeniu w poszukiwaniu śladów fikcyjnego intruza.

U jej boku stała Doreen Elliot, niezłomna i stanowcza, przysadzisty, krępy obelisk kobiety po pięćdziesiątce, o twarzy pozbawionej wyrazu i kamiennej jak sam Mur Hadriana.

- Mówiliście, że niby kto zgłosił tego intruza? - spytała podejrzliwie; zazdrośnie strzegła swoich praw opiekunki spokoju Jacko Vance'a.

- Nie wiem dokładnie - wykręcała się Kay. - Myślę, że dzwonił z samochodu. Ktoś przejeżdżał obok, zobaczył, że w środku miga jakieś światło, jakby latarki.

- Musi to spokojna noc, jak we troje przychodzicie w takiej sprawie. - Kwaśny ton sugerował, że miejscowa policja zwykle nie potrafiła sprostać jej wysokim wymaganiom.

- Byliśmy w okolicy - wyjaśniła Kay. - Łatwiej nam trochę zboczyć z drogi, niż im podesłać kogoś innego. Poza tym - dodała z konspiracyjnym uśmiechem - kiedy chodzi o kogoś takiego, jak Jacko Vance, cóż, chyba przykładamy się nieco bardziej.

- Phi. A ci to myślą, że co tu znajdą?

Kay spojrzała w głąb pomieszczenia: Simon, jak się wydawało, lustrował posadzkę, czubkiem buta unosił brzegi dywaników i zaglądał pod spód. Leon metodycznie otwierał szafki kuchenne, wysuwał szuflady, szukając, jak wiedziała, jakiegokolwiek przesłanki, że Donna Doyle może tu przebywać.

- Sprawdzają tylko, czy nie znikło coś, czego brak rzuciłby się w oczy, bo schować to tu się nie ma gdzie - zełgała.

Simon dał sobie spokój z dywanikami i podszedł do ławy. Zaledwie się zbliżył, plecy mu zeszywniały. Jakby się czaił. Przekrzywił głowę, by lepiej się przyjrzeć. Gdy zwrócił się twarzą w stronę obu kobiet, Kay dostrzegła w jego oczach błysk.

- Widać, że pan Vance interesuje się ciesielką - zauważył Simon, skinieniem głowy przywołując Leona.

- Struga drewniane zabawki dla szkrabów ze szpitala - oznajmiła pani Elliot, dumna jak z rodzonego syna. - Tyle dla nich robi, a zawsze mu mało. Mniejsza o Krzyż Jerzego, powinni mu dać medal za godziny, jakie spędza z biedaczyskami u wrót śmierci. Nie sposób zmierzyć otuchy, jaką ludziskom daje.

Leon podszedł do Simona i ławy.

- Widzę, że ma porządny sprzęt - stwierdził. - Człowieku, te dłuta są ostre jak diabli. - Twarz miał posępną i zaciętą. - Kay, musisz obejrzeć to imadło. W życiu czegoś podobnego nie widziałem.

- Ściska nim kawałek drewna - wyjaśniła pani Elliott. - Rękę ma, jaką ma, i bez niego nie dałby sobie rady. Powiada, że to jego dodatkowa para rąk.

Tony wyszedł na podjazd przed domem Vance'a. Zwiesił głowę, w uszach wciąż jeszcze rozbrzmiewał mu huk zatrzasniętych drzwi. Podniósł wzrok i złowił niespokojne spojrzenie Chris. Mrugnął szelmowsko, wyrażając zniechęcenie mową ciała dopóty, dopóki nie znalazł się za elektronicznie sterowaną bramą, znowu na ulicy, osłonięty od domu wysokim żywopłotem.

- Co się tam, kurwa mać, stało? - napadła na niego Chris.

- Jak to? Właśnie zaczynałem się rozkręcać, kiedy znienacka zwałaś mi się na głowę - zaprotestował Tony.

- Sygnał się urwał. Nie wiedziałam, co się, do cholery, dzieje. - Jak to, urwał się?

- Po prostu zrobiło się głucho. Powiedział: „pierwsze po prawej”, potem kompletna cisza. Z tego, co wiedziałam, równie dobrze mógł już cię sprzątnąć.

Tony zmarszczył czoło. Usiłował rozszyfrować, co się wydarzyło.

- Widocznie pokój jest ekranowany - oświadczył w końcu. -
Jasne. Ostatnie, czego mu potrzeba, to żeby ktoś węszył wokół niego bez jego wiedzy. Nawet mi to przez głowę nie przemknęło.

Chris złożyła dłonie w daszek i zapaliła papierosa.

- Jezusie - odetchnęła, wydmuchując długą smugę dymu. -
Nigdy więcej nie napędzaj mi takiego stracha. To co się stało?
Wyśpiewał coś? Nie mów, że wyśpiewał, a myśmy tego nie nagrali?

Tony pokręcił głową, razem przeszli na drugą stronę jezdni, gdzie zaparkował samochód, na widoku z domu Vance'a. Obejrzał się ukradkiem i z satysfakcją zobaczył go przyklejonego do okna na górnym piętrze.

- Wsiądź do mojego samochodu, zaraz wyjaśnię - mruknął.
Uruchomił silnik i przejechał za róg.

- Kpił sobie z dowodów - zaczął, jak tylko skręcił w następną ulicę, żeby wrócić do miejsca, gdzie, parę metrów od bramy Vance'a, Chris zostawiła swoje auto, niewidoczne z rezydencji. - Dał jasno do zrozumienia, że jego zdaniem nic na niego nie mamy i jeśli nie odwołamy psów gończych, weźmie się za mnie.

- Groził, że cię zabije?

- Nie, groził, że zwróci się do gazet i zrobi ze mnie idiotę.

- Wyglądasz na dość zadowolonego z siebie jak na kogoś, kto właśnie zawałił konfrontację swojego życia - zauważyła Chris. -
Myślałam, że miał albo grzecznie wszystko wyśpiewać, albo spróbować cię unieszkodliwić?

Tony wzruszył ramionami.

- Wcale nie oczekiwałem spowiedzi. A jakby zamierzał mnie zabić, nie sądzę, żeby zrobił to u siebie. Może i przekonał Whartona i McCormicka, że nie było niczego niepokojącego w wizycie, jaką Shaz złożyła mu tuż przed śmiercią, ale daję głowę, że nawet oni coś by podejrzewali, gdybym został zamordowany na krótko po wizycie u Vance'a. Nie, chciałem zmać jego spokój, żeby zaczął się zastanawiać, na ile dobrze zatarł za sobą ślady.

- A co to da?

Przykręciła szybę i strząsnęła popiół za okno.

- Przy odrobinie szczęścia śmignie prosto do kryjówki, w której dokonuje zabójstw. Musi się upewnić, że nie ma tam niczego, co może go obciążyć na wypadek, gdybym kiedykolwiek zdołał przekonać policję do wystąpienia o nakaz rewizji, choć to mało prawdopodobne.

- Myślisz, że pojedzie od razu?

- Na bank. W grafiku jutro nie ma żadnych zajęć aż do spotkania o trzeciej po południu. Potem tydzień zaczyna wyglądać koszmarnie. Musi spróbować teraz.

Chris zajęczała.

- Tylko nie znowu Ml.

- Czujesz się na siłach?

- Czuję się na siłach - mruknęła ze znużeniem. - Jak przedstawia się plan?

- Ja jadę od razu. Widział, jak razem odjeżdżamy, więc pewnie założy, że droga jest wolna. Pojadę do Northumberland, a ty spróbujesz go śledzić. Możemy się kontaktować telefonicznie.

- Dobrze, że jest ciemno - stwierdziła. - Może nie zauważy tych samych świateł we wstecznym lusterku. - Otworzyła drzwiczki, wysiadła i, zaglądając do środka, dodała: - Wierzyć się nie chce. Taki cholerny szmat drogi z Northumberland do Londynu po to tylko, żeby zrobić w tył zwrot i dawaj, tą samą trasą. Chyba jesteśmy porąbani.

- Nie. Tylko zdeterminowani.

On, owszem, i to jak, pomyślała Chris. Wracała do swojego auta i patrzyła, jak Tony wykonuje manewr zawracania na trzy i oddała się tą samą drogą, którą tu jechali. Boże, jęknęła w duchu. Już siódma. Pięć, sześć godzin jazdy do Northumberland. Miała nadzieję, że u celu podróży nie będzie zbyt wiele roboty, bo i bez tego już czuła się jak zombie.

Ustawiła radio na stację ze starymi przebojami, rozsiadła się i postanowiła pośpiewać przy kawałku z lat sześćdziesiątych. Nie miała dużo czasu, żeby zgrać głos z wokalem z radia, bo niebawem bramy rezydencji Vance'a rozjechały się, a z posesji wychyłała maska srebrnego merca.

- Ty pieprzona ślicznoto - mruknęła pod nosem, włączyła zapłon i powoli pojechała za nim, nie spuszczając go z oczu. Holland Park Avenue, potem włączył się na A40. Gdy przejeżdżali przez Acton i Ealing, Chris ogarnął niejasny niepokój. To nie była po prostu ładniejsza trasa do Northumberland. Była pokrętna. Wierzyć jej się nie

chciało, że zamierzał jechać taki kawał drogi na zachód do okrężnicy M25 tylko po to, żeby zatoczyć koło wokół prowadzącej na północ M1.

Trzymała się dość blisko, żeby nie zgubić go na światłach, zawsze pilnując, by rozdzielał ich jeden samochód. Z czasem drogowskazy odsyłające na M25 znikły i Chris szykowałą się do wykonania skrętu na dojazdówkę do drogi ekspresowej, mimo że nic nie wskazywało na to, by Vance przygotowywał się do jakiegoś manewru. Prawdopodobnie w ostatniej chwili zmienił pas, pomyślała, o ile podejrzewa, że ktoś może go śledzić.

Ale nie zmienił i to ona musiała ratować się manewrem w ostatniej chwili, nacisnąć na pedał gazu, nim znikłyby tylne światła jego wozu. Udało się jej to tylko dlatego, że tylko nieznacznie przekraczał ograniczenie prędkości, jak człowiek, któremu wyjątkowo zależy na uniknięciu mandatu. Złapała telefon i przywołała numer Tony'ego.

- Tony? Tu Chris. Słuchaj, jestem na M40, siedzę mu na ogonie i zmierzam na zachód. Gdziekolwiek się wybiera Chłopak na Medal, na pewno nie do Northumberland.

Po znalezieniu imadła poszukiwania stały się bardziej gorączkowe. Doskonale świadoma tego, jak dziwaczne muszą się wydawać ich zabiegi Doreen Elliott, Kay rozpaczliwie próbowała zająć ją rozmową.

- Ależ się popisali przy przebudowie - zagadnęła promiennie. Najwyraźniej powiedziała, co potrzeba. Pani Elliott zwróciła się ku kuchni i pogłaskała gładko wypolerowany, drewniany blat.

- Kuchnię robił nasz Derek. Nie liczył się z kosztami, o nie. Wszystko, czego dusza zapagnie, najnowsze sprzęty. - Wskazała fronty szafek. - Pralko-suszarka, zmywarka, lodówka, zamrażarka, wszystko w zabudowie.

- Myślałabym, że będzie częściej przywozić tu żonę - sondowała Kay.

Najwyraźniej powiedziała coś nie tak. Pani Elliott zmarszczyła czoło.

- Cóż, mówił, że będą tu przyjeżdżać na weekendy. Ale koniec końców nigdy nie przyjechała. On powiada, że to miastowa dziewczyna. Nie lubi wsi, rozumie pani. Ano, wystarczy na nią spojrzeć, obejrzeć ten jej program w telewizji, żeby zrozumieć, że nie pasowałyby do takich jak my. Nie to co pan Vance.

- Co? Ani razu tu nie była? - Kay starała się przesyć głosem zdziwieniem, choć to nie była dla niej żadna nowina.

- Nawet nosa tu nie pokazała. - Potem uśmiezek. - Nie żeby w tym domu zawsze brakowało kobiecej ręki. Ano, mężczyzna ma prawo szukać pociechy, jak jego żona nie może się zmusić do tego, żeby dzielić z nim zainteresowania.

- Czyli widywała go pani tutaj z innymi kobietami? - Tym razem Kay wysiliła się na niezobowiązujący ton.

- Widzieć, to nie widziałam, ale raz na dwa tygodnie przychodzę tu posprzątać i parę razy bywało, że jak opróżniałam zmywarę, znajdowałam kieliszki ze śladami szminki. W zmywarce to one nie zawsze schodzą. Zostaje dodać dwa do dwóch i myślę, że ma dziewczynę. Ale ma do nas zaufanie; wie, że się nie wygadamy.

No, chyba że ktoś zapyta, pomyślała Kay cynicznie. - Jak już pani mówiła, skoro jego żona nie przyjeżdża do takiego domu...

- To pałac - poprawiła pani Elliott, bez wątpienia porównując go z ciemną kuchnią w swoim domu. - Jedno pani powiem: założę się, że to jedyny dom w Northumberland z prywatnym schronem atomowym.

- Schronem atomowym? - Kay zamarła.

Simon i Leon znieruchomieli jak ogary wystawiające zwierzyne.

- Dokładnieśko pod naszymi stopami - oznajmiła pani Elliott. - Nie wymyśliłam tego sobie, skarbenku.

Zaledwie Chris skończyła rozmowę z Tonym, zobaczyła, że Vance wrzucił kierunkowskaz: sygnalizował, że zamierza skrócić w następną dojazdówkę. Chris zrobiła to samo, czekając do ostatniej chwili. Skręcili na północ, a kilka kilometrów od drogi ekspresowej Vance zasygnalizował skręt w lewo. Przed skrzyżowaniem Chris zwolniła i ujrzała coś, co sprawiło, że zaczęła się pocić jak kibic na meczu piłki nożnej.

Wyłączyła światła mijania i na samych pozycyjnych jechała ostrożnie wąską jednopasmówką. Pokonała zakręt i po lewej zobaczyła cel podróży Jacko Vance'a.

Prywatne lotnisko było zalane światłem. Na pasie asfaltu, przed czterema hangarami, stał tuzin małych samolotów. Chris patrzyła, jak reflektory samochodu Vance'a rozbłyskują dwoma bliźniaczymi stożkami światła w ciemnościach na obrzeżu lotniska, potem toną w powodzi blasku, gdy auto zatrzymało się za jednym z samolotów. Z kokpitu wyskoczył jakiś człowiek i pomachał ręką. Vance wysiadł i podszedł do samolotu, po czym na powitanie poklepał pilota po ramieniu.

- O kurwa - jęknęła Chris.

Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny nie miała pojęcia, co robić. Vance mógł wyczarterować samolot, by ten przerzucił go do Northumberland, zanim dotarłaby tam potencjalna pogoń. Albo żeby wydostać się z kraju. Krótki przelot nad Kanałem Angielskim, ku otwartym granicom Europy, i rano mógł być dosłownie wszędzie. Powinna zdecydować się na dramatyczną interwencję czy pozwolić mu wystartować?

Było to ryzyko, za które nie chciała ponosić odpowiedzialności. Skanowała oczami lotnisko i jej spojrzenie zatrzymało się na małej wieży kontrolnej, wystającej zza najdalszego hangaru. Potem zobaczyła, że Vance z pilotem znikają we wnętrzu samolotu. Kilka sekund później śmigła ożyły.

- Pieprzyć to - zaklęła Chris i wrzuciła wyższy bieg. Objechała parkan okalający lotnisko i dotarła do wieży kontrolnej w momencie, gdy samolot zaczynał kołować.

Chris wbiegła do środka tak nagle, że wystraszyła kontrolera lotu. Podsunęła mu legitymację pod sam nos.

- Samolot na pasie. Zgłaszał trasę lotu?

- Taa, taa, zgłaszał - wymamrotał kontroler. - Leci do Newcastle. Jakiś problem? Znaczy się, mogę mu przekazać, żeby wstrzymał start, jeśli jest jakiś problem. Zawsze chętnie pomagaliśmy policji...

- Nie ma żadnego problemu - odparła Chris ponuro. - Po prostu zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś, okay? Żadnych dyskretnych uwag przez radio, że ktoś się interesował, okay?

- Nie, znaczy się, tak, jak pani sobie życzy. Żadnych uwag. - A dla pewności - dodała Chris, przyciągając sobie krzesło i posyłając mu drapieżny uśmiech, który wydobywał zeznania z twardych facetów - nigdzie się stąd nie ruszę. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do Tony'ego.

- Sierżant Devine - rzuciła. - Obiekt jest na pokładzie prywatnego samolotu lecącego do Newcastle. Będzie pan musiał przejąć sprawę. Radziłabym zorganizowanie komitetu powitalnego. Okay?

Na ekspresówce rozbawiony Tony wpatrywał się w migające światła jadących przed nim samochodów.

- O cholera, samolot? Rozumiem, że nie możesz mówić swobodnie?

- Tak jest. Zostaję tu, żeby się upewnić, że obiekt nie otrzyma ostrzeżenia od wieży kontrolnej.

- Spytaj go, ile się leci do Newcastle.

Przytłumione odgłosy rozmowy, potem Chris znowu na linii.

- Mówi, że lecą aztekiem, który powinien się wyrobić w dwie i pół do trzech godzin. Nie ma szans, żeby pan wygrał ten wyścig.

- Zrobię, co mogę. Jeszcze jedno, Chris: dzięki.

Rozłączył się i wcisnął pedał gazu. A więc od dwóch i pół do trzech godzin? Potem będzie musiał dostać się do Five Walls Halt albo taksówką, albo wynająć samochód, co o dziesiątej w sobotni wieczór nie będzie łatwe. Mimo to Tony wiedział, że Chris ma rację. Nie był w stanie dotrzeć na miejsce przed Vance'em.

- I właśnie dlatego zdecydował się na samolot, rzecz jasna - powiedział na głos.

Vance nie był w ciemną bity. Najpewniej domyślił się, że Tony wie o jego drugim domu i że tam się właśnie uda. Tym, czego Vance nie wiedział, był fakt, że Tony zawczasu posłał do Northumberland troje profilerów. A przynajmniej Tony zakładał, że w dalszym ciągu przeprowadzają tam swoje prywatne śledztwo, bo nie powiadomili go o zmianie planów. Skoro już o tym mowa, nie odzywali się od południa, odkąd zadzwonił, co u Simona, i dowiedział się, że zamierzali pochodzić po domach i poszukać ewentualnych świadków, którzy widzieliby Donnę Doyle.

Ale to za mało. Trójka młodych funkcjonariuszy z dochodzeniówki, nikogo z lokalnej policji, żadnego doświadczonego zwierzchnika. Zapewne czuli się niepewnie, nie będą wiedzieli, kiedy przycisnąć Vance'a ani czy w ogóle na niego naciskać. Nie będą wiedzieli, kiedy siedzieć cicho ani kiedy wkroczyć do akcji. Sytuacja

wymagała umiejętności, jakimi nie dysponowało żadne z nich. Była tylko jedna osoba, która zdołałaby dotrzeć tam na czas i trzymać Leona, Simona i Kay w ryzach.

Odebrała po drugim sygnale.

- Inspektor Jordan.

- Carol? To ja. Jak żyjesz?

- Nie za dobrze. Szczerze mówiąc, jestem wdzięczna za kontakt z człowiekiem. Czuję się jak trędowata. Mam zakaz wstępu, bo ich zdaniem po części ponoszę odpowiedzialność za śmierć Di Earnshaw. Izolują mnie od Johna Brandona, ponieważ zostanie przeprowadzone dochodzenie, na które nie może mieć wpływu. No i nie uczestniczę w przesłuchiwanie Alana Brinkleya, na wypadek gdybym miała zaszkodzić dochodzeniu z osobistych pobudek. Muszę ci też powiedzieć, że po przekazaniu wieści jej rodzicom miałam poczucie, że metoda obchodzenia się z posłańcami przynoszącymi złe wiadomości, stosowana przez starożytnych Greków, musiała czasem przynosić posłańcowi ulgę.

- Przykro mi. Na pewno żałujesz, że cię wciągnąłem w tę aferę z Vance'em.

- Nie - odparła stanowczo. - Ktoś musi powstrzymać Vance'a, a nikt inny nie chciał cię wysłuchać. Nie winię cię za niewypał w Seaford. Sama za to odpowiadam. Nie powinnam próbować prowadzić inwigilacji za śmieszne pieniądze. Wiedziałam, że masz rację, lecz mimo to nie poszłam za ciosem i nie zażądałam

dodatkowych dusz, zamiast zgodzić się na prowizoryczny zespół. Gdybym to zrobiła, Di Earnshaw żyłaby jeszcze.

- Nie masz takiej pewności - zaprotestował Tony. - Różnie mogło się stać. Jej partner mógł gdzieś odejść w kluczowym momencie, mogliby się rozdzielić, żeby obejść budynek z dwóch stron. Jeśli kogokolwiek należałoby winić, to tylko tego sierżanta. Mieli się nawzajem ochraniać, a on był jej bezpośrednim zwierzchnikiem. Opieka nad nią należała do jego obowiązków, a on zawiódł.

- A co z moim obowiązkiem opieki? Tony pokręcił głową.

- Och, Carol, nie zadręczaj się.

- Nie potrafię. Ale starczy tego. Gdzie jesteś? I co się dzieje z Vance'em?

- Jestem na M1. To był bardzo trudny dzień. Pędząc zewnętrznym pasem, pomny jedynie ruchu na drodze i kobiety na drugim końcu linii, wprowadził Carol w sytuację.

- Czyli teraz jest gdzieś między Londynem a Newcastle? - upewniła się Carol.

- Zgadza się.

- Ty na czas nie dotrzesz, tak? - Tak.

- Ale ja bym zdążyła?

- Możliwe. Prawdopodobnie tak, gdybyś wystawiła koguta. Nie mogę cię o to prosić, ale...

- Tutaj nie mam nic do roboty. Skończyłam służbę, nikt dziś wieczorem nie będzie mnie wzywał. Przynajmniej nie będę siedzieć w

domu i uważać się nad sobą. Dowiedz się, jak tam dojechać. Zadzwoń do ciebie, jak będę blisko Newcastle.

Mówiła głośniej i bardziej stanowczo niż na początku rozmowy. Nawet gdyby chciał się z nią spierać, nie miałoby to sensu. Była taką kobietą, za jaką ją uważał: po prostu nie przeszłaby obojętnie wobec wyzwania.

- Dzięki - powiedział.

- Tracimy czas na gadanie.

W słuchawce raptownie zrobiło się głucho.

Ceną umiejętności Tony'ego była empatia, jaką wnosił w takie sytuacje. Doskonale rozumiał, przez co przechodzi teraz Carol. Carol straciła nagle grunt pod nogami i nikt, kto nie miał za sobą podobnego doświadczenia, nie mógł pomóc jej w powrocie na *terra firma*. Podejrzał, że jego telefon, na zasadzie farta, jest pierwszym krokiem we właściwym kierunku. Z nadzieją, że to prawda, Tony wpatrzył się w zwięzający się tunel czerwonych świateł i dalej jechał na północ.

Zapytana o dokładną lokalizację wejścia do piwnicznego schronu, pani Elliott była już mniej precyzyjna.

- Jest gdzieś tu, pod posadzką. On ściągnął z Newcastle paru chłopaków, żeby zamontowali je tak, żeby nie szło go wypatrzeć.

Trójka policjantów wpatrywała się ze wściekłością i frustracją w szerokie na metr kamienne płyty, którymi wyłożona była podłoga. Potem Simon rzucił:

- Skoro go nie widać, to jak się tam wchodzi?

- Nasz Derek mówił, że zamontowali silniczek - wyjaśniła pani Elliott.

- No, jak jest silnik, musi być i jakiś przełącznik - mruknął Leon.

- Si, ty zaczniesz na prawo od drzwi. Kay, ty od lewej. Ja pójdę na antresolę.

Obaj z Leonem oddalili się i zaczęli wypróbowywać przełączniki, Kay nie ruszyła się, bo pani Elliott oparła dłoń na jej rękawie.

- A czemu chcecie znaleźć ten schron? - spytała. - Myślałam, że mówiliście, że ktoś tu miał niby grasować? Na dole go przecież nie będzie.

Kay odszukała najbardziej krzepiący uśmiech.

- Kiedy mamy do czynienia z taką sławą jak pan Vance, musimy być wyjątkowo czujni. Z intruzem w jego domu może być o wiele poważniejsza sprawa niż z pospolitym włamywaczem. Gdyby ktoś go śledził, na przykład, mógłby się ukryć i czekać na jego powrót. Więc musimy podejść do tego śmiertelnie serio. - Nakryła dłoń kobiety swoją. - Może poczekamy na dworze?

- Po co?

- Jeżeli tam na dole ktoś jest, mogłoby się zrobić bardzo niebezpiecznie. - W uśmiechu Kay było napięcie.

Jeżeli w piwnicy znajdowała się Donna Doyle, odkrycie jej wywołałoby szok, po którym nawet krzepkiej Doreen Elliott do końca życia śniłyby się koszmary, i Kay o tym wiedziała.

- Nasz zawód polega na chronieniu obywateli, wie pani. Jak, pani zdaniem, zareagowałby mój szef, gdybym dopuściła do tego, żeby stała się pani zakładniczką jakiegoś wariata z nożem?

Pani Elliott dała się wyprowadzić na malutką werandę; tylko raz obejrzała się ukradkiem na Simona i Leona, którzy krążyli po pomieszczeniu, eksperymentując z włącznikami.

- Myśli pani, że to wariat? - spytała z wypiekami na twarzy. - Tutaj?

- Niekoniecznie ktoś z tych stron - odpowiedziała Kay. - Maniakalny fan. Siedzą swego idola tygodniami, miesiącami, uczą się na pamięć każdego szczegółu z jego życia i przyzwyczajzeń. Widziała pani jakichś przyjezdnych, którzy by się tu kręcili?

- No, mamy trochę turystów i piechurów, ale przeważnie to przyjeżdżają obejrzeć ten mur. Nie kręcą się po okolicy.

Zanim Kay zdążyła coś dodać, zadzwoniła komórka.

- Przepraszam panią, to potrwa tylko minutkę - rzuciła i wślizgnęła się do domu, żeby odebrać. - Halo?

- Kay? Tu Tony. Gdzie jesteście?

O cholera, pomyślała. Dlaczego ja? Czemu nie zadzwonił do Leona? - Ehem... w domu Jacko Vance'a w Northumberland - wykrztusiła.

Simon zerknął na nią, ale skinęła tylko, żeby szukał dalej.

- Co? - wykrzyknął Tony, wściekły.

- Wiem, że kazał pan czekać, ale ciągle myśleliśmy o Donnie Doyle...

- Włamaliście się?

- Nie. Mamy święte prawo tu przebywać. Kobieta stąd ma klucz. Poinformowaliśmy ją, że były zgłoszenia o włamaniu, i sama nas wpuściła.

- No, to lepiej się stamtąd zabierajcie w trybie ekspresowym.

- Tony, ona może tu być. Pod domem jest zamknięta piwnica. Vance powiedział budowlańcom, że chce mieć schron jądrowy.

- Schron jądrowy?

- To było dwanaście lat temu - wyjaśniła Kay. - Rzecz w tym, że ona mogłaby być tam na dole, a my byśmy jej nie słyszeli, nawet jakbyśmy stali dokładnie nad nią. Musimy znaleźć włącz.

- Nie. Musicie zwiewać. On już jest w drodze. Wyczarterował samolot, Kay. Prawdopodobnie wybiera się do Newcastle, żeby dokończyć dzieła. Kay, musimy go przyłapać na gorącym uczynku. Musimy obstawić dom i obserwować go, dopóki nie znajdzie się na nietkniętym miejscu zbrodni.

Kiedy to mówił, Kay zobaczyła ze zdumieniem, że posadzka zaledwie parę kroków od niej rozstępuje się. Pojedyncza płyta przechyliła się bezgłośnie i otworzyła w reakcji na naciśnięty przez Simona pstryczek. Z otworu buchnęło cuchnące powietrze, Kay zakrztusiła się, a potem, opanowawszy się, rzuciła:

- Już za późno. Znalezliśmy włącz.

Simon dopadł już do otworu w posadzce i zaglądał do środka: kamienne schodki prowadziły w dół. Pomacał na oślep, jego palce

natrafiły na przełącznik i wewnątrz zalała powódź światła. Po chwili zwrócił się w stronę Kay. Jego twarz miała odcień kitu.

- Jeśli dzwoni Tony, lepiej mu powiedz, że Donnę Doyle też żeśmy znaleźli.

Delikatnie bębnił palcami o poręcz fotela; oprócz tego jego ciało było nieruchome jak ciało lwa szykującego się do skoku. Nie łapał za poręcz nawet wtedy, gdy mały dwusilnikowy samolot wpadał w turbulencje, ale pozwalał ciału poruszać się wraz z nim. Dawno, dawno temu obgryzał paznokcie u prawej dłoni, kiedy się denerwował. Utrata przedramienia wraz z dłonią okazała się radykalną terapią, która uwolniła go od głupiego nałogu, jak lubił kwaśno powtarzać na forum publicznym. Obecnie praktykował bezruch, bo zrozumiał, że tiki nerwowe niczego nie przyspieszały ani nie ułatwiały. Poza tym bezruch znacznie bardziej deprymował resztę świata.

Odgłos pracy silników zmienił się o ton, gdy pilot zaczął podchodzić do lądowania. Jacko wyjrzał przez okno i wpatrzył się w plamę podmiejskich świateł w drobnym deszczu. Zrobił Tony'ego Hilla na szaro. Nie prześcignie samolotu. A wsparcia najzwyczajniej nie miał, jak Jacko wiedział dzięki dyskretnemu, prywatnemu śledztwu, i co przyznali zarówno Micky, jak i Tony.

Koła uderzyły o płytę lotniska, szarpnęło nim i zawisł na pasach. Samolotem zarzuciło lekko, pilot skorygował kierunek, i już łagodnie kołowali ku hangarom. Zaledwie samolot znieruchomiał, Jacko

otworzył drzwi. Zeskoczył na asfalt i rozejrzał się, szukając wzrokiem znajomej sylwetki land rovera. Sam Foxwell i jego brat zawsze się cieszyli, że wpadnie im dwadzieścia funciaków, ilekroć potrzebował, żeby jego auto czekało na lotnisku. Kiedy dzisiaj rozmawiał z nimi z telefonu w mercedesie, obiecali, że land rover będzie na miejscu.

Nigdzie go jednak nie dostrzegł i poczuł dreszcz paniki. Niemożliwe, żeby go zawiedli akurat dzisiaj. Pilot przerwał te rozważania, wskazując tonący w cieniu bok hangaru.

- Jeśli pan szuka swojego land rovera, to chyba stoi o, tam, schowany. Zauważyłem go, jak kołowaliśmy.

- Dzięki. - Jacko sięgnął do kieszeni i spośród ściśniętych klipsem banknotów wydobył dwudziestofuntowy. - Na piwo, ode mnie. Do zobaczenia niebawem, Keith.

Jak huragan pędził wąskimi northumberlandzkimi drogami, które stanowiły najszybszą trasę ku jego prawdziwemu domowi. Ponownie przeanalizował, co ma do zrobienia w ciągu tych paru godzin przewagi nad Tonym Hillem. Najpierw musi sprawdzić, czy ta suka jeszcze zipie, a jeśli tak, dopilnować, żeby to się zmieniło. Potem złapać się za piłę, trupa do wora, wór do land rovera. Spłukać piwnicę szlauchem wysokociśnieniowym i wyruszyć do szpitala. Starczy mu czasu? Czy też powinien po prostu wyłączyć silnik, który służył do otwierania wjazdu? Bądź co bądź Hill nie miał jak się dowiedzieć o schronie w piwnicy, a lokalna policja nie przeprowadzi rewizji tylko dlatego, że on tak mówi, i nie wtedy, gdy stanowiłoby to obrazę dla

takiego wzorowego płatnika podatków jak Jacko Vance. Poza tym nie miał gwarancji, że Tony Hill w ogóle pokaże się na miejscu.

Może więc wystarczyłoby dopilnować, aby pożegnała się z tym światem, a sprzątanie zostawić na później. Byłoby coś zachwycającego w podejmowaniu Tony'ego Hilla zaledwie parę metrów od najnowszej ofiary. Usta wykrzywił mu brzydki grymas. DonnaDoyle pozostanie jego najnowszą ofiarą na jakiś czas. Niech piekło pochłonie tego człowieka. Tony Hill nie powinien budzić licha. Niemniej także wobec Tony'ego Hilla Jacko powziął pewne plany. Pewnego pięknego dnia, kiedy wszystko już przycichnie, a Tony Hill pogodzi się z myślą, że poniósł klęskę, ów plan zostanie wcielony w życie i Hill pożałuje, że wtykał nos w nie swoje sprawy.

Światła mijania wcinają się w tonący w mroku wiejski krajobraz, omiotły wzgórze, za którym mieściło się jego sanktuarium. Tam, gdzie powinna być jedynie nieprzenikniona czerń, przyszczyżone trawy wrzosowisk i szary żwir na podjeździe, ujrzał powódź światła. Jacko wdepnął hamulec, land rover szarpnął i zatrzymał się z piskiem opon. Co jest, do kurwy nędzy?

Gdy tak siedział, rozmyślając gorączkowo, rozdygotany od adrenaliny, dostrzegł za autem parę długich świateł. Niewidoczny samochód ustawił się na wąskiej drodze w taki sposób, że nie mógł się cofnąć. Powoluteńku Jacko zdjął stopę z hamulca i pozwolił, by land rover łagodnie staczał się w kierunku jego domu. Światła zmieniły pozycję; samochód go konwojował. Kiedy znalazł się bliżej, dostrzegł

drugi wóz, który stał w poprzek drogi nieco za wjazdem na jego posesję, blokując przejazd.

Vance wjechał na swój teren. Błady strach, od którego ścisnęło go w żołądku, pomógł zebrać myśli. Zahamował spokojnie, wyskoczył z auta, uosobienie oburzonego właściciela posesji. Dopadł do młodego czarnego mężczyzny stojącego w progu.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - spytał gniewnie.

- Obawiam się, proszę pana, że będę musiał poprosić, żeby zaczekał pan na zewnątrz - odpowiedział Leon pokornie.

- Jak to? Przecież to mój dom. Było włamanie czy jak? Co się dzieje? I coś pan, do diabła, za jeden?

- Posterunkowy Leon Jackson z policji metropolitalnej. Śledczy Jackson.

Leon pokazał mu swoją legitymację. Vance zmienił się w uosobienie uroku.

- Jest pan daleko od domu.

- Tego wymagało śledztwo, proszę pana. Zadziwiające, dokąd w tych czasach, dzięki łączności elektronicznej i efektywnym sieciom transportu, może nas doprowadzić śledztwo - stwierdził Leon beznamiętnie, lecz nawet na chwilę nie spuszczał Vance'a z oczu.

- Proszę posłuchać, wie pan, kim jestem, to oczywiste. Wie pan, że to mój dom. Nie może mi pan powiedzieć choć tyle, co się tu, do diabła, dzieje?

Dał się słyszeć klakson i Vance odwrócił się w momencie, gdy samochód, który jechał za land roverem, zatrzymał się pod bramą,

uniemożliwiając opuszczenie posesji. Zapędzili go w kozi róg. Jezu, modlił się, by ta suka już nie żyła. Z auta wysiadł młody człowiek i podszedł do nich po żwirowej drodze.

- Pan też z metropolitalnej? - zagadnął Vance, zmuszając się do serdeczności.

- Nie - odparł Simon. - Jestem ze Strathclyde.

- Strathclyde? - Vance przez chwilę nie wiedział, co o tym myśleć. Parę lat temu zgarnął jedną z Londynu, ale ze Szkocji nikogo.

Miały ohydny akcent. Przypominał mu o Jimmym Lindenie i wszystkim, co ten człowiek uosabiał. Skoro więc przywłókł się tu szkocki glina, niemożliwe, żeby śledztwo dotyczyło jego dziewczyn. Wszystko będzie dobrze, powiedział sobie w duchu. Wykaraska się.

- Zgadza się, proszę pana. Posterunkowy Jackson i ja rozpracowujemy różne aspekty tej samej sprawy. Byliśmy w okolicy i otrzymaliśmy zgłoszenie od kierowcy przejeżdżającego koło pańskiej posesji, że widział intruza. Pomyśleliśmy więc, że lepiej to sprawdzić.

- Postawa godna pochwały, panowie funkcjonariusze. Może wszedłbym do środka i sprawdził, czy niczego nie skradziono ani nie popsuto?

Chciał prześlizgnąć się obok Leona, ale policjant miał szybszy refleks. Ramieniem zablokował Vance'owi drogę i potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie, proszę pana. To miejsce przestępstwa, widzi pan. Potrzebujemy pewności, że wszystko zostanie tak, jak jest.

- Miejsce przestępstwa? Co, u nieba, się stało?, Zatroskany, mów, jakbyś był zatroskany, ostrzegł się bezgłośnie. To twój dom,

jesteś niewinnym człowiekiem i chcesz się dowiedzieć, co się wydarzyło na twojej posesji.

- Obawiam się, że ktoś zginął w podejrzanych okolicznościach - wyjaśnił zimno Simon.

Jacko odegrał scenkę mimowolnego odsuwania się o krok i zakrył twarz rękoma, żeby nikt nie dostrzegł, jak wielkiej doznał ulgi. Zdechła, alleluja! Martwa nie będzie zeznawać. Z przyklejonym do twarzy wyrazem niepokoju podniósł wzrok na policjantów.

- Ale to straszne. Zginął? Tutaj? Jakże to tak? To mój dom. Nikt oprócz mnie tu nie bywa. Skąd tu jakiś nieboszczyk?

- Właśnie to staramy się ustalić, proszę pana - odpowiedział Simon.

- Ale kto to jest? Włamywacz? Kto?

- Naszym zdaniem to nie włamywacz - oznajmił Simon, który z trudem panował nad furją, jaką czuł, stojąc twarzą w twarz z człowiekiem, który zamordował Shaz, a teraz udawał, że nie ma nic wspólnego z koszmarem w piwnicy.

- Ale... jedyną osobą, która ma klucze, jest pani Elliott. Doreen Elliott z Dene Cottage. Chyba to nie... nie ona?

- Nie, proszę pana. Pani Elliott cieszy się wybornym zdrowiem. To właśnie pani Elliott wpuściła nas na teren posesji i wyraziła zgodę na rewizję. Ktoś od nas odwiózł ją do domu.

W baczym spojrzeniu czarnego gliniarza, gdy wypowiadał te słowa, było coś, co sprawiło, że Vance'a przebiegł dreszczyk strachu, i rozstroił mu nerwy. Przesłanie między wierszami było jasnym i

czytelny ostrzeżeniem, że jego pierwsza linia obrony obróciła się w gruzy. Nici z bezprawnego wtargnięcia i nielegalnej rewizji.

- I chwała Bogu za to. Więc kto to jest?

- Na tym etapie nie możemy bawić się w domysły, proszę pana.

- Ale chyba potrafia panowie powiedzieć czy to mężczyzna, czy kobieta?

Simon przygryzł usta. Nie wytrzymał.

- Jakbyś nie wiedział - wycedził głosem ochryłym od gniewu i pogardy. - Myślisz, że głowy mamy dla ozdoby?

Odwrócił się i zacisnął pięści.

- Co on wygaduje? - obruszył się Vance tonem urażonej niewinności.

Leon wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

- Sam niech mi pan to powie - rzucił lekceważąco, potem, spoglądając ponad ramieniem Vance'a, dodał: - Oj, dobrze. Chyba przybywają posiłki.

Vance nie określiłby tak kobiety wysiadającej z auta, które zatrzymało się za Simonem. Miała nie więcej niż trzydzieści lat. Nawet w zbyt obszernym płaszczu była ewidentnie szczupła i ładniutka, o krótkich jasnych włosach, gęstych i zmierzwionych.

- Dobry wieczór, panowie - powiedziała sucho. - Panie Vance, pozwoli pan, że się przedstawię. Starsza inspektor Carol Jordan. Wybaczy mi pan na chwilę, muszę pokonferować z kolegą. Leon, dotrzymasz towarzystwa panu Vance'owi? Chcę zajrzeć do środka. Simon, można cię prosić na słówko?

Nie dała mu szansy na udzielenie odpowiedzi, bo od razu wciągnęła młodego policjanta do budynku; minimalnie uchylila drzwi, tak by Vance nie miał okazji zajrzeć do środka.

- Nie rozumiem, co się tu wyprawia - oznajmił Vance. - Nie powinno tu być techników kryminalistycznych? Służb mundurowych?

Leon ponownie wzruszył ramionami.

- Życie, panie tego, niespecjalnie przypomina telewizję.

Palił papierosa, póki nie został sam filtr, który cisnął na schody werandy i przydeptał.

- Bardzo pana proszę - zachnął się Vance, wskazując niedopałek.

- To mój dom. Moje schody. To, że ktoś się w nim zabił, nie daje panu prawa do zachowywania się jak wandal.

Leon uniósł brew.

- Tak po prawdzie, proszę pana, myślę sobie, że w tej chwili to najmniejsze z pańskich zmartwień.

- Skandal! - żołądkował się Vance.

- Na mój gust, skandalem jest ukrywanie w domu ludzkich zwłok. Na jeden wieczór wystarczy.

Drzwi uchylily się i z domu wyłonili się Simon i Carol. Kobieta wydawała się ponura, facet, jakby mu było trochę słabo, skonstatował Vance. I dobrze.

- Pani inspektor, kiedy ktoś mi wyjaśni, co się tu odbywa?

Obserwował ją bacznie i nie zauważył, jak dwaj policjanci obchodzą go z boków. Carol zawiesiła na nim zimne spojrzenie niebieskich oczu.

- Jacko Vance, aresztuję pana pod zarzutem morderstwa. Może pan zachować milczenie, ale muszę ostrzec, że mógłby pan utrudnić zadanie swoim obrońcom, gdyby podczas przesłuchania nie wspomniał pan o czymś, na czym będzie się pan chciał oprzeć później, w sądzie. Wszystko, co pan powie, może wejść w skład materiału dowodowego.

Po twarzy Vance'a przemknął wyraz niedowierzania, gdy Simon i Leon go przytrzymali. Zanim do niego dotarło, że nie dość, że ta baba go aresztuje, to jeszcze ci dwaj idioci lecą do niego z łapami, na jego lewym nadgarstku zatrzasnęła się obręcz kajdanek. Oprzytomniał, gdy próbowali bezceremonialnie zawlec go w kierunku land rovera. Szarpnął się konwulsyjnie, rozpaczliwie próbował uwolnić, wykorzystując przewagę fizyczną. Ale poślizgnął się na żwirze i poczuł, że ziemia ucieka mu spod nóg.

- Nie dajcie mu się przewrócić - krzyknęła Carol.

Leon zdołał jakiś cudem wślizgnąć się pod Vance'a, nim ten upadł. Simon, z zaciętą miną uczepony kajdanek, szarpnął Vance'a za ramię; ten aż pisnął.

- Zrób mi tę przyjemność, zasrańcu - wrzasnął Simon. - Daj mi wymówkę, żebym ja mógł ci dać przedsmak tego, co zafundowałeś Shaz.

Pociągnął za kajdanki, zmuszając Vance'a do mozolnego podniesienia się na nogi.

Leon wstał z trudem i szturchnął go w pierś.

- Wiesz, co by mnie naprawdę uszczęśliwiło? Żebyś spróbował dać nogę, kurwa mać, normalnie szalałbym z zachwytu, bo wtedy miałbym pretekst, żeby cię skopać, śmieciu, aż będziesz srał w kolorach tęczy. - Znowu go pchnął. - Śmiało, spróbuj. Śmiało, jeden kroczek.

Vance zatoczył się do tyłu, by uciec przed jadem w głosie Leona, jak i po to, by zelżał rozdzierający ból w ramieniu. Z łoskotem wpadł na land rovera. Simon brutalnie targnął kajdankami i zapiął drugą obręcz na rurze nad zderzakiem. Gdy zwrócił się twarzą ku Carol, miała w oczach łzy.

- Już on nigdzie się nie wybiera - wyskrzecztał.

- Pożałujecie tego dnia - wycedził Vance gardłowo, z groźbą. Carol zastąpiła drogę Simonowi i oparła mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze się spisałeś, Simon. Teraz, chyba że ktoś wpadnie na lepszy pomysł, sądzę, że pora wezwać tutejszą policję.

W posterunkach i komisariatach jest coś szablonowego, pomyślał Tony. W kantynach nigdy nie serwowano sałatek, w poczekalniach zawsze śmierdziało papierosami, choć palenie było zabronione od lat, wnętrza niezmiennie miały taki sam wystrój. Rozglądał się po posterunku w Hexham i uświadomił sobie, że równie dobrze mógłby się znajdować gdziekolwiek od Penzance po Perth. Zaledwie napłynęła ta myśl, otworzyły się drzwi i do środka weszła Carol z dwoma kubkami kawy.

- Mocna, czarna i zaparzona gdzieś tak w ubiegłym tygodniu - mruknęła i opadła na sąsiednie krzesło.

- Co się dzieje? Sapnęła.

- Dalej się wydziera, że to bezprawie i że jest fałszywie oskarżany. Przed chwilą złożyłam zeznanie wyjaśniające.

Zamieszał kawę, patrząc na nią. Dostrzegł w jej oczach wyraz napięcia.

- Które brzmiało...?

- W rejonie objętym dochodzeniem nasze chłopaki odebrały zgłoszenie o potencjalnym włamaniu. Uznali, że będzie szybciej, jak sami to sprawdzą, tytułem współpracy między jednostkami policyjnymi, więc znaleźli osobę przechowującą zapasowe klucze, która chętnie ich wpuściła i udzieliła zgody na rewizję - wyrecytowała Carol, potem rozsiadła się wygodniej i niewidzącym wzrokiem wpatrzyła w sufit. - Zaniepokojeni możliwością, iż ktoś może się ukrywać na terenie domu, otworzyli piwnicę, gdzie znaleźli zwłoki młodej białej kobiety odpowiadającej rysopisowi Donny Doyle, która, jak wiedzieli, figurowała na liście osób zaginionych. Jako że pan Vance jest jedyną osobą, która, według naszej wiedzy, przebywała w tym domu, w oczywisty sposób czyni to z niego podejrzanego o morderstwo. Ja uznałam, że istnieje niebezpieczeństwo ucieczki. On znalazł się na miejscu przestępstwa i dysponował pojazdem pozwalającym na jazdę przełajową i ujście pogoni.

Odetchnęła i recytowała dalej:

- Aczkolwiek moje kompetencje nie obejmują terenu podlegającego siłom policyjnym Northumberland, jestem upoważniona do dokonania aresztu obywatelskiego. Założenie panu Vance'owi kajdanek i wynikający z tego minimalny dyskomfort wydawały się lepszym rozwiązaniem niż pozostawienie mu pełnej swobody, gdzie każdy jego ruch w kierunku własnego pojazdu mógłby prowadzić do przesadnej reakcji ze strony funkcjonariuszy, z którymi współpracowałam. Przykucie Vance'a kajdankami do land rovera służyło w gruncie rzeczy jego własnemu bezpieczeństwu. Kiedy skończyła ten wywód, oboje uśmiechali się szeroko.

- Tak czy siak, miejscowe chłopaki oddały mi przysługę i dokonały powtórnego aresztu chwilę później.

- Postawią mu zarzuty? Carol wyglądała na załamana.

- Czekają na przyjazd jego adwokata. Ale umierają ze strachu. Widzieli twoje dossier, przesłuchali Kay, Simona i Leona, ale w dalszym ciągu są nieufni. To jeszcze nie koniec, Tony. Końca nawet jeszcze nie widać. Nie tyle koniec pieśni, co pieśń jeszcze się nie zaczęła.

- Żałuję tylko, że otworzyli tę piwnicę. Powinni obserwować dom, mogliby potem zeznać, jak sam ją otworzył i zszedł do piwnicy, gdzie znajdowały się zwłoki Donny Doyle.

Carol westchnęła.

- Nie żyła od niedawna, wiedziałeś? - Nie.

- Zdaniem policyjnego chirurga nie minęła nawet doba. Siedzieli w milczeniu i zastanawiali się, co mogli zrobić inaczej albo szybciej,

czy mniej lub bardziej ściśle trzymanie się litery prawa pozwoliłoby im ocalić Donnę. Carol przerwała niezręczną ciszę.

- Jeżeli nie wsadzimy Vance'a za kratki, chyba nie będę chciała zostać w policji.

- Czujesz się tak dlatego, że Di Earnshaw spotkało to, co spotkało - wyjaśnił Tony i oparł dłoń na jej ramieniu.

- Czuję się tak, bo Vance jest śmiertelnie niebezpieczny i jeśli nie potrafimy unieszkodliwić jego i jemu podobnych, nadajemy się tylko do kierowania ruchem, choć ludzie nas gloryfikują - oznajmiła gorzko.

- A jeśli nam się uda? Wzruszyła ramionami.

- Wtedy może odkupimy nasze winy wobec tych, których tracimy.

W milczeniu popijali kawę. Potem Tony przegarnął włosy i spytał:

- Mają dobrego patologa?

- Nie mam pojęcia. Czemu?

Nie odpowiedział, bo w uchylonych drzwiach ukazała się zmartwiona twarz nadinspektora okręgowego Phila Marshalla.

- Doktorze Hill? Mogę prosić na słowo?

- Proszę wejść, tu się pracuje - mruknęła Carol. Marshall zamknął za sobą drzwi.

- Vance chce z panem mówić. Sam na sam. Zgadza się, żebyśmy nagrywali rozmowę, ale ma być tylko w cztery oczy.

- Co z jego adwokatem? - spytała Carol.

- On mówi, że ma być tylko doktor Hill i on sam. Co pan na to, doktoru? Porozmawia pan z nim?

- Nie mamy nic do stracenia, prawda? Marshall skulił się.

- Z mojego punktu widzenia to do stracenia mamy całkiem sporo. Będę szczery: chcę dowodów, żeby móc postawić Vance'owi zarzuty, albo niech zniknie stąd przed jutrem. Nie wybieram się do sądu pokoju prosić, żeby pozwolili mi trzymać Jacko Vance'a pod kluczem na podstawie materiałów, jakie do tej pory mi pan przedstawił.

Tony wyjął notes i wydarł z niego czystą kartkę. Nagryzmolił na niej nazwisko i imię. Podał ją Carol.

- Oto kogo musimy tu ściągnąć. Wyjaśnisz wszystko, jak będą się bawił z Jackiem Chłopakiem na Medal?

Carol odczytała napis i w jej zmęczonych oczach błysnęło zrozumienie.

- Oczywiście. - Uścisnęła jego rękę. - Powodzenia.

Tony skinął głową i podążył za Marshalllem przez korytarz.

- Będziemy to nagrywać, rzecz jasna - uprzedził Marshall. - Tutaj musimy być czyści jak łąza. Już mówi o procesie przeciwko starszej inspektor Jordan.

Przystanął przed wejściem do pokoju przesłuchań i otworzył drzwi. Skinieniem odprawił umundurowanego strażnika.

Tony wszedł do środka i wpatrzył się w przeciwnika. Nie mógł uwierzyć, że dotąd nie powstał najmniejszy wyłom w tej aroganckiej

pewności siebie, najmniejsza szczelina nie pojawiła się na tej czarującej masce.

- Doktorze Hill - rzucił Vance powitalnym tonem, bez drżącej nuty w wyszkolonym głosie. - Chciałbym móc powiedzieć, że bardzo mi przyjemnie, ale takiego łgarstwa nikt by nie przełknął. Trochę jak pańskiego niedorzecznego oskarżenia.

- Doktor Hill zgodził się na rozmowę - wpadł mu w słowo Marshall. - Będziemy ją nagrywać. Teraz panów zostawię.

Wyszedł, a Vance wskazał Tony'emu krzesło. Psycholog potrząsnął głową i z założonymi rękoma oparł się o ścianę.

- Po co chciał pan się ze mną zobaczyć? - spytał Tony. - Żeby wysłuchał spowiedzi?

- Gdybym chciał się spowiadać, poprosiłbym o księdza. Chciałem się z panem zobaczyć, żeby uprzedzić, że jak tylko stąd wyjdę, wytoczę panu i starszej inspektor Jordan proces o zniesławienie.

Tony roześmiał się.

- Śmiało. Ani ona, ani ja nie mamy nawet ułamka pańskich rocznych dochodów. To pan wyda majątek na koszty prawne. Osobiście byłbym zachwycony, gdyby miał pan zeznawać w sądzie pod przysięgą.

- Tego nigdy pan nie osiągnie. - Vance rozparł się na krześle. Oczy miał zimne, w jego uśmiechu było coś gadziego. - Te wysrane z palca oskarżenia nie ostaną się w świetle dnia. Co pan ma? To swoje dossier z retuszowanymi zdjęciami i zbiegami okoliczności. „Oto

Jacko Vance na MI w Leeds wieczorem w dniu śmierci Shaz Bowman”. Cóż, owszem, mój drugi dom mieści się w Northumberland i to najwygodniejsza trasa, żeby tam dotrzeć. - Jego nosowy głos ociekał sarkazmem.

- A co pan powie na: „Oto Jacko Vance ze zwłokami w piwnicy?” Albo: „Oto zdjęcie Jacko Vance’a z dziewczyną znaną później w jego piwnicy, tu żywą jeszcze, oddychającą i roześmianą?” - spytał Tony; pilnował, by jego głos brzmiał miarowo i uprzejmie.

Niech się Vance podenerwuje, niech to on walczy o panowanie na sobą.

Odpowiedzią Vance’a był sardoniczny uśmiezek:

- To pańscy ludzie rozwiązali ten problem. To oni napomknęli o jakimś maniaku. To wcale nie takie nieprawdopodobne. Nietrudno mi wyobrazić sobie, że ktoś tropił mnie aż do Northumberland. Każdy z miejscowych wie, że Doreen Elliott przechowuje zapasowe klucze i, jak większość tutejszych, nigdy nie zamyka swojego domu na klucz, jeśli zamierza wyskoczyć na chwilę do sąsiadki na herbatę albo do warzywnika, żeby wykopać trochę ziemniaków. Dziecinnie łatwo „pożyczyć” klucze i dorobić drugi komplet.

Gdy zapalił się do swojego pomysłu, jego uśmiech stał się szerszy, najwyraźniej się odprężył.

- Jest także tajemnicą poliszynela fakt, że kryptę pod kaplicą przerobiłem na schron atomowy. Trochę to krępujące w tych czasach, ale jakoś to przeżyję - ciągnął Vance, teraz wychylony do przodu, z protezą opartą o blat stołu, drugą ręką przerzuconą przez oparcie

krzesła. - I nie zapominajmy o sławetnej wendecie mojej eksnarzeczonej, uderzająco, jak słusznie pan zauważył, podobnej do tych biednych zaginionych dziewczyn. Wie pan, nie pomyślałby pan, że oddaje mi przysługę, zabijając jej lustrzane odbicie, gdy miał pan na moim punkcie obsesję? Jego uśmiezek był bezsprzecznie tryumfalny.

- Bo pan ma na moim punkcie obsesję, prawda, doktorze Hill? Z największą przyjemnością wyjaśnię światowej prasie, że ma pan, w moim przekonaniu, fiksację na punkcie mojej osoby. Tragiczna śmierć Shaz Bowman dostarczyła panu okazji do wdarcia się w życie moje i mej żony, a kiedy kochana, słodka Micky zgodziła się pójść z panem na kolację, ubrdał pan sobie, że gdyby nie ja, wpadłaby w pańskie ramiona. I właśnie pańskie smutne rojenia przywiodły nas tutaj.

Z politowaniem potrząsnął głową.

Tony podniósł wzrok, wpatrzył się w oczy, które równie dobrze mogłyby należeć do Marsjanina, tak niewiele miały w sobie człowieczeństwa.

- Zabiłeś Shaz Bowman. Zabiłeś Shaz Bowman.

- Nigdy tego nie udowodnisz. Ponieważ to kompletna bzdura, nigdy tego nie udowodnisz - rzucił Vance nonszalancko.

Następnie uniósł zdrową rękę i zasłonił nią oczy, potem usta, na końcu ucho. Dla osoby postronnej byłyby to zaledwie gesty zmęczonego człowieka. Tony błyskawicznie odczytał w nich szyderstwo, którym w istocie były.

Odepchnął się od ściany i przemierzył pokój dwoma długimi krokami. Wsparł się na pięściach i pochylił twarz nad więźniem. Wbrew sobie Vance wykręcił szyję niczym żółw, który chce schować się do swojej skorupy.

- Może i masz rację - wycedził Tony. - Jest jak najbardziej możliwe, że nigdy cię nie przyskrzynimy za Shaz Bowman czy Donnę Doyle. Ale jedno ci powiem, Jacko. Nie zawsze byłeś takim specem. Dorwiemy cię za Barbarę Fenwick.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - oświadczył Vance pogardliwie.

Tony zaczął spacerować po zamkniętym pomieszczeniu, leniwie, jakby był w parku.

- Dwanaście lat temu, kiedy zabiłeś Barbarę Fenwick, było wiele rzeczy, z jakimi medycyna sądowa nie potrafiła sobie poradzić. Ślady narzędzi chociażby. W tamtych czasach porównania były bardzo mało precyzyjne. Ale teraz mamy elektronowe mikroskopy skaningowe i mikroskopy z detektorami BSE. Nie pytaj mnie, jak działają, ale teraz można porównać obrażenie z narzędziem i określić, czy do siebie pasują. W najbliższych dniach porównają zmiażdżone kości przedramienia Donny Doyle z imadłem w twoim domu. - Zerknął na swój zegarek. - Przy odrobinie szczęścia patolog już jest w drodze. Profesor Elizabeth Stewart. Nie wiem, czy o niej słyszałeś, ale cieszy się opinią znawczyni antropologii sądowej oraz patologii. Jeżeli ktokolwiek może orzec, czy obrażenia Donny Doyle zadane były imadłem z twojego domu, to właśnie Liz Stewart.

Powoli zwrócił się twarzą w stronę Vance'a. Tym razem w aroganckiej zwykle twarzy Vance'a błysnęła niepewność.

- To kompletne bzdury. Przyjmijmy nawet, ot, na potrzeby tej dyskusji, że uzyskałeś zezwolenie na ekshumację zwłok. Żaden prokurator koronny nie przepchnie sprawy, która zależy od śladu na kawale kości, co przeleżała w ziemi dobre dwanaście lat.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przytaknął Tony. - Ale widzisz, patolog, która przeprowadziła sekcję Barbary Fenwick, po raz pierwszy spotkała się z takimi obrażeniami. Zaintrygowały ją. Tak się składa, że ta patolog to właśnie profesor Elizabeth Stewart. Zwróciła się do Home Office z prośbą, by pozwolono jej zatrzymać rękę Barbary Fenwick jako pomoc dydaktyczną. Żeby zilustrować, jak wygląda uraz układu kostnego i tkanki, wywołany przez zgniatanie. Dość zabawnie się złożyło, bo zwróciła uwagę na nieznaczne uszkodzenie dolnej krawędzi urządzenia, którym zadano obrażenia. Malusieńki metalowy zadziór, który zostawił na kości ślad równie niepowtarzalny, jak odcisk palca.

Pozwolił, by te słowa zawisły w powietrzu; Vance nawet na sekundę nie oderwał od niego wzroku.

- Kiedy profesor Stewart przeprowadziła się do Londynu, nie zabrała tego niezwykłego preparatu. Przez ostatnich dwanaście lat przedramię Barbary Fenwick, perfekcyjnie zakonserwowane, znajdowało się na wydziale anatomii Uniwersytetu w Manchesterze. - Tony uśmiechnął się łagodnie. - Jeden namacalny, niepodważalny

dowód wiążący cię z narzędziem morderstwa i nagle całkiem inaczej patrzy się na te poszlakowe, nie sądzisz?

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Nawiasem mówiąc, Micky wcale mi się nie podoba. Ja nigdy nie byłem na tyle niewydarzony, żebym musiał ukrywać się za żoną lesbijką.

W korytarzu zasygnalizował mundurowemu, który warował przed drzwiami, by wrócił do sali przesłuchań. Później, wykończony konfrontacją z Vance'em, osunął się po ścianie i kucnął, oparty o nią plecami, ręce skrzyżował na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Nie ruszył się, dopóki dziesięć minut później Carol nie wyłoniła się z sali projekcyjnej, gdzie razem z Marshalllem obserwowali spotkanie myśliwego z zabójcą. Przykucnęła przed nim i ujęła jego twarz w dłoń. Spojrzał jej w oczy.

- Co o tym myślisz? - spytał niespokojnie.

- Przekonałeś Phila Marshalla - odparła. - Rozmawiał już z profesorem Stewart. Nie była zachwycona, że ktoś budzi ją w środku nocy, ale jak Marshall wytłumaczył, w czym rzecz, była naprawdę podekscytowana. Około dziewiątej rusza pociąg z Londynu. Ona w nim będzie, przywiezie te swoje sławetne slajdy. Marshall załatwił kogoś, kto w te pędy podjedzie po rękę Barbary Fenwick na Uniwersytet Manchesterski. Jeśli będzie zgodność, postawią mu zarzuty.

Tony zamknął oczy.

- Mam tylko nadzieję, że cały czas używał tego samego imadła.

- Och, ja myślę, że tak było - powiedziała Carol z przekonaniem.
- Obserwowaliśmy was. Ty nie mogłeś tego widzieć, ale kiedy wspomniałeś o profesor Stewart i jej preparacie, prawa noga zaczęła mu podskakiwać pod stołem. Nie potrafił nad tym zapanować. W dalszym ciągu używał tego samego imadła. Założyłabym się o własne życie.

Tony poczuł, że blady uśmiech unosi mu kąciki ust.

- Myślę, że to nareszcie koniec.

Otoczył Carol ramionami i podniósł się, ciągnąc ją za sobą. Odsunął Carol na odległość ramienia i błysnął wszystkimi zębami w uśmiechu.

- Wspaniale się tam spisałeś. Jestem naprawdę dumna, że należę do twojego zespołu. - Minę miała uroczystą, oczy poważne.

Tony'emu opadły ręce. Odetchnął głośno.

- Carol, uciekam od ciebie już od bardzo dawna - powiedział.
Carol skinęła potakująco.

- Chyba rozumiem dlaczego. - Opuściła wzrok, nie chciała mu patrzeć w oczy teraz, kiedy odważyli się na tę rozmowę.

- Och tak?

Zacisnęła zęby, potem spojrzała na niego.

- Śmierć Di Earnshaw wszystko zmienia. I fakt, że żadne z nas nie mogło ocalić Donny...

Tony przytaknął smutno.

- To nie jest coś, co przyjemnie z kimś dzielić.

Carol często wyobrażała sobie ten moment. Wcześniej sądziła, że wie, czego pragnie. Teraz przekonała się, zaskoczona, że jej reakcje są zupełnie różne od tych, których się spodziewała. Oparła dłoń na jego ramieniu i stwierdziła:

- Przyjaciołom z tym łatwiej niż kochankom, Tony. Spoglądał na nią przez dłuższy czas, ze zmarszczonym czołem.

Myślał o zwłokach, które Jacko Vance spopielił w tym samym szpitalu, w którym spędzał czas, czuwając przy umierających. Myślał o tym wszystkim, co mogłaby osiągnąć Shaz Bowman. Rozmyślał o tym, jak wiele śmierci jest jeszcze dopiero przed nimi. I o odkupieniu, nie poprzez pracę, lecz przyjaźń. Twarz mu się wygładziła i uśmiechnął się.

- Wiesz, może ty jednak masz rację.

Epilog

Morderstwo jest jak magia, pomyślał. Szybkość jego ręki zawsze miała oko i zawsze będzie je mamić. Myślą, że zapędzili go w pułapkę, zaszyli w worku i obwiązali łańcuchami winy. Myślą, że powoli opuszczają go do zbiornika dowodów, które go utopia. Ale on jest Houdinim. Uwolni się, gdy najmniej będą się tego spodziewali.

Jacko Vance leżał na wąskiej więziennej pryczy z głową opartą na zdrowej ręce. Wpatrywał się w sufit i wspominał, jak się czuł w szpitalu. Przychodziły napady rozpacz i bezsilnej złości i wiedział, że zapewne powrócą, zanim na zawsze zamknie za sobą drzwi celi. Kiedy jednak był w szpitalu, miał pewność, że pewnego dnia się

stamtąd wyrwie i cały swój potężny intelekt zaprzęgał do pracy nad ukształtowaniem owej chwili.

Owszem, wtedy pomagała mu Micky. Zastanowił się, czy nadal może na niej polegać. Doszedł do wniosku, że o ile zdoła wzbudzić w niej wątpliwości co do swej winy, żona będzie przy nim stać. Ale jak tylko on zacznie iść na dno, ona odejdzie. Ponieważ nie zamierzał do tego dopuścić, był jej względnie pewny.

Dowody okazały się wątpliwe. Niemniej trudno zaprzeczyć, że Tony Hill wykazał się imponującym opanowaniem. Ciężko byłoby podważyć jego wiarygodność w sądzie, nawet gdyby Vance'owi udało się z wyprzedzeniem podsunąć prasie historyjkę, oskarżającą Hilla o obsesję na punkcie Micky. A i tutaj kryło się ryzyko. Hill jakiś cudem dowiedział się, że Micky jest lesbijką. Gdyby sprzedał tę informację mediom w rewanżu za oskarżenia przeciwko niemu, poważnie zaszkodziłby zarówno wiarygodności Micky, jak i własnemu wizerunkowi męża.

Nie, gdyby przyszło do batalii w sądzie, nawet przy ławie składającej się nałogowych telewidzów Vance ponosiłby pewne ryzyko. Musi dopilnować, żeby cała sprawa wzięła w łeb po wstępnym przesłuchaniu. Musi zniszczyć dowody, wykazać, że sprawy po prostu nie ma.

Najwięcej groziło mu ze strony patolog i jej ekspertyzy. Gdyby zdołał ją zdyskredytować, zostałyby jedynie detale, poszlaki. Rozpatrywane razem były obciążające, ale pojedynczo można by je obalić. Imadło stanowiło jednak namacalny dowód.

W pierwszej kolejności musi podać w wątpliwość, czy przedramię z uniwersytetu rzeczywiście należy do Barbary Fenwick. Niemożliwe, by na uniwersyteckim wydziale patologii było równie dobrze zabezpieczone jak w policyjnym archiwum dowodów. Każdy mógł mieć do niego dostęp przez te wszystkie lata. Mogło wręcz zostać wymienione na inne, celowo zmiażdżone w imadle, przez, powiedzmy, policjanta rozpaczliwie chcącego go zrobić. Albo mogli je podmienić studenci, taki makabryczny żarcik. Tak, trochę pracy i autentyczność preparatu mogłaby stać pod znakiem zapytania.

Drugim etapem będzie wykazanie, iż imadło nie należało do niego w czasie, gdy umierała Barbara Fenwick. Leżał na twardym materacu i przetrząsał mózg w poszukiwaniu rozwiązania.

- Phyllis - mruknął w końcu, a na jego usta wypłynął przebiegły uśmiech. - Phyllis Gates.

Nieuleczalnie chora na raka. Zagnieździł się w jej lewej piersi, potem mozolnie przedzierał przez system limfatyczny, by zadać mękę, ostatecznie rozlokowując się w kręgosłupie. Vance miesiącami przesiadywał u jej łóżka, czasem rozmawiając, czasem tylko w milczeniu trzymając ją za rękę. Uwielbiał poczucie władzy, jaką dawała mu praca z żyjącymi na kredyt. Oni poumierają, a on będzie trwał na szczycie świata. Phyllis Gates zmarła już dawno temu, ale jej bliźniak, Terry, żył i miał się dobrze. Przypuszczalnie nadal prowadził stoisko.

Terry sprzedawał narzędzia. Nowe i używane. Terry przypisywał Vance'owi jedyne chwile szczęścia, jakich jego siostra

zaznała w ostatnich tygodniach choroby. Dla Vance'a Terry chodziłby po rozżarzonych węglach. Terry oznajmił ławie przysięgłych, że sprzedał Vance'owi imadło przed zaledwie paroma laty, z radością mogąc spłacić dług wdzięczności.

Vance usiadł na pryczy i rozłożył ramiona jak bohater przyjmujący hołdy tłumów. Wymyślił sposób. Właściwie był już wolnym człowiekiem. Morderstwo rzeczywiście jest jak magia. A pewnego dnia, wkrótce, Tony Hill także się o tym przekona. Vance nie mógł się już doczekać.